

3

**ZAGUBION
E
WYBRZEŻE**

*

•

W **MOCNEJ SERII** ukazały się:

Phillip Margolin *Przypadek
sędziego Cuinna*

Andrew Klavan
Zwierzęca godzina

Lucian K. Truscott IV
Szary mundur

Gardner McKay
Psychopata

Elizabeth George
Szkoła zbrodni

W przygotowaniu:

Iris Johansen
W obliczu oszustwa

Elizabeth George
Kto z was jest bez grzechu

Denis
JOHNSON

**ZAGUBIONE
WYBRZEŻE**

Z angielskiego przełożył
Jędrzej Polak

LiBROS

Tytuł oryginału
ALREADY DEAD

Projekt serii *Cecylia*
Staniszewska, Ewa Łuki

Ilustracja na okładce
Zygmunt Zaradkiewicz

Redakcja
Ludwika Szumna

Redakcja
techniczna :q \

Korekta 'aria
Włodarczyk a
Syczewska-Olszewska
Lidia Lamparska



Copyright © 1997 by Denis Johnson
All rights reserved
© Copyright for the Polish edition
by Bertelsmann Media Sp. z o.o., Warszawa 2001

Bertelsmann Media Sp. z o.o.
Libros
Warszawa 2001

Skład *Joanna Duchnowska*

Druk i oprawa
Zakłady Graficzne im. KEN S.A. w Bydgoszczy

ISBN 83-7311-021-6

Nr3110

Dla Cindy Lee

Składam podziękowania
Fundacji Charlesa Engelharda i Fundacji Lannan
za stworzenie mi możliwości napisania tej książki;
nieskończenie wdzięczny jestem
poecie Billowi Knottowi, od którego zaczerpnąłem
fabułę tej opowieści.

W koszmarach sennych, które są niczym innym, jak tylko intensyfikacją zmartwień podszytych niepokojem, zawsze spełnia się to, co najgorsze: byk jest tuż-tuż, nóż sięga gardła, topór świszcze nam koło ucha. Na szczęście, gdy uznaliśmy się już za zmarłych, budzimy się ze snu. (Chociaż kiedyś zdarzyło mi się poczuć stalowy chłód miecza zagłębiającego się w moim ciele).

- Pedro Meseguer SJ
Tajemnica snów

KSIĘGA PIERWSZA

*

7 sierpnia 1990

Van Ness odczuwał radość i zdumienie, kiedy mijał małe osamotnione miasteczka wzdłuż drogi krajowej numer 101 w Północnej Kalifornii; odczuwał także ciekawość i nieokreśloną tęsknotę, zostawiając za sobą miejsca, o których wiedział, że można się w nich zagubić. Przypominały mu drzemki, z których człowiek nigdy się nie budzi - gdyby złapał teraz gumę i poszedł piechotą na stację benzynową, może natknąłby się niespodziewanie na resztę swojego życia, ludzi, którzy w końcu zaczęliby coś dla niego znaczyć, kobietę, dozgonną przyjaźń, zbawczą wspólnotę w świątyni jakiejś zapoznanej religii. Ale taka rzecz, jak choćby mały objazd ku głębokim i trwałym zmianom, była - przynajmniej teraz, gdy jechał wzdłuż wybrzeża z Seattle do okręgu Men-docino - nie do pomyślenia w świecie Van Nessa.

Krótką wycieczką z drogi 101 do okręgu Humboldt doskonale to potwierdziła. Zjechał z trasy w Redway i zapuścił się pięć mil na zachód, do Briceland, a stamtąd jakieś sześć mil nad rzekę Mattole. Minał niewidoczne miasteczko Etters-burg (według niego cała miejscowość składała się z jednoizbowej szkoły widocznej w głębi pola), a później jeździł w tę i z powrotem górkami serpentynami, by po kolejnych pięciu milach zatrzymać się przy drodze gruntowej, przecinającej Park Narodowy King Range.

Wprowadzając powoli volvo na stromy, wijący się zakosami szlak pośród zakurzonych sekwoi, ujrzał niebo nad oceanem, ale samego morza nie dostrzegł. Zatrzymał się przez dwie minuty na poboczu zakrętu nad urwiskiem, zjadł paczkę serowych krakersów i wytarł usta, strzepując okruszki z wą-

sów - długich straków opadających niesamowitym łukiem, niczym na twarzy Fu Manchu - które wraz z grubymi szklami bez oprawy zapewniały mu całkiem bezosobowy wygląd. Oprócz krakersów nie miał nic więcej do jedzenia. Rzucił opakowanie na podłogę samochodu i pojechał dalej.

Świtała mu w głowie myśl, by w tej zapomnianej przez Boga okolicy, znanej pod nazwą Zagubionego Wybrzeża, zdobyć się na jakieś samooczyszczenie, by pościć nad Pacyfikiem, leżeć nad plecach przez całą noc i, słuchając detonujących fal, wpatrywać się w deszcz meteorów: w radiu mówili, że tej nocy co minuta spadnie od dziesięciu do trzydziestu pięciu gwiazd.

Lecz gdy dotarł w końcu na wybrzeże, przekonał się, że zamiast do pustelni wjechał od tyłu do miejscowości Shelter Cove - olbrzymiego, nieudanego osiedla: na odgrozonym od reszty świata kawałku wybrzeża setki maleńkich, pustych działek wbitych między wyasfaltowane ulice z zielonymi napisami na słupkach - ALEJA MAŁŻY, DROGA PLAŻOWA - przekrzywionych i nakrapianych od piasku niesionego wiatrem. Frontem do plaży stało z pół tuzina prawdziwych domów, parę przewróconych dnem do góry łodzi i sklep z delikatesami, ale tak naprawdę nikt tu nigdy nie mieszkał. Ocean płonął bezdusznym błękitem, a po niebie latały helikoptery, pełne - wedle radiowych doniesień - żołnierzy Gwardii Narodowej i agentów federalnych prowadzących masowy nalot na poletka marihuany ukryte w bezludnych górach, przez które właśnie przejechał. Van Ness kupił lunch w delikatesach, zlorzcząc w duchu na słabą kawę i mewie odchody na ogrodowym stole. Jediną osobą, z którą rozmawiał, była ładna kobieta. Skłęła go, bo gdy szedł w stronę śmietnika i mijał jej stół, nadepnął przez nieuwagę na strącone przez nią słoneczne okulary. Okularów nie dało się już uratować. Dał jej piętnaście dolarów, choć twierdziła, że kosztowały dwa razy tyle. Wrócił na autostradę po kilku godzinach od chwili, gdy z niej zjechał. Zatoczył koło i z powrotem znalazł się w Redway - mieście, w którym zaczął objazd. Cała bezsensowna wycieczka przekonała go ostatecznie, że nie może spodziewać się żadnych nieoczekiwanych zmian. Później miał jeszcze spotkać tę kobietę, Winonę Fairchild, więcej niż raz, to zaś zmusiło go do uznania bezspornej rzeczywi-

stości przeznaczenia i prawdy tkwiącej w sprawach właściwych wyobraźni.

Kalifornijski policjant zatrzymał go na odcinku drogi 101, który musiał pokonać przed dotarciem do Leggett i kolejnym skretem na zachód, ku wybrzeżu. Van Ness wiedział, że przekroczył dozwoloną szybkość; robił to z nawyku, obsesyjnie. Miał obok siebie pasażerkę, nastolatkę, ubraną z litewska w długą spódnicę, jaskrawą chustę i szkarłatne trzewiki ze spiczastymi noskami; jej imię - jakiś poetycki wytwór oznaczający wrażenie lub zapach, a może: Tęczowy Dzień albo Jaśminowa Świątynia - umknęło mu z pamięci, zanim wymówiła je do końca. Oprócz powitania zamienił z nią najwyżej dziesięć słów, odkąd zabrał ją spod stacji Texaco w Redway, gdzie zagadnął do niej: „Witaj, baśniowa panienko”.

Teraz tego żałował. Gdy młody policjant stanął obok drzwi samochodu i zajrzał do środka, prosząc o prawo jazdy, mała hipiska wychyliła się ku niemu nad kolanami Van Nessa:

- Czy do Leggett zostało jeszcze dziesięć mil?

- Tak, proszę pani. Niewiele więcej niż osiem - odparł policjant.

- Boję się go - rzuciła niespodziewanie.

- Kogo? - zapytał policjant.

- Tego mężczyzny - powiedziała. - Robił różne uwagi. I dotknął mojego uda.

- Kiedy? - zapytał Van Ness. - Kiedy włączałem radio? To był przypadek.

Policjant zupełnie niepotrzebnie zaczął studiować prawo jazdy Van Nessa.

- Wy dwoje... jesteście przyjaciółmi?

Van Ness powiedział, że nie, a dziewczyna dodała: - Jadę autostopem.

- Wsiądź i stań obok mojego samochodu - polecił jej policjant.

Van Ness zgasił silnik. - Rzygać mi się chce - powiedział do policjanta. Patrzyli na dziewczynę maszerującą w szkarłatnych trzewikach, stawianych czubkami do środka, w kierunku obracających się świateł wozu policyjnego. - Nie wiem, co mam powiedzieć. Nic jej nie zrobiłem. Wiem, że nie jestem Casanovą, pojmuje pan?

- Czy pan wie, z jaką szybkością pan jechał?
- Tak, tak - potwierdził Van Ness. - To znaczy wiem z całą pewnością, że jechałem za szybko. Oczywiście. Ale to... Nigdy w życiu!
- Muszę wystawić panu mandat - powiedział policjant. - A potem zajmę się nią. A jeszcze później sprawdzę, kim pan jest. Jeśli tylko używał pan słów uznawanych za wulgarne i dotknął jej uda, nic mnie to nie obchodzi.
- Nie używam takich słów.
- Ale jeśli pan chwycił, zostawił ślad na jej ciele, siniaka...
- Nie zrobiłem tego. Nie zrobiłbym...
- Porozmawiam z nią.
- Jest stuknięta.
- W mojej pracy nie spotyka się innych - zapewnił policjant.
- Rozumiem.
- Pan też pewnie do nich należy - dodał.
- Tak - zgodził się Van Ness.

Gdy czekał, aż policjant skończy przesłuchanie ofiary, czuł, jak w mijających go samochodach, które pędziły przez okręg Humboldt, narastają pragnienia, smutki i złość, jak za przeczystymi szybami aut kłębią się namiętności.

Wszystko skończyło się dobrze i po kilku minutach ruszył w dalszą drogę. Nie dostał nawet mandatu. Policjant uwolnił go od pasażerki, Van Ness przejechał więc samotnie przez Leggett, a potem wzgórze, po których pięła się droga stanowa numer 1, i znów dotarł na wybrzeże. Był już w okręgu Mendocino.

Jechał Drogą Nadbrzeżną przez osiemdziesiąt mil bez przerwy, sprawdzając opony na niezliczonych zakrętach i żałując, że nie prowadzi sportowego auta. Od czasu do czasu pojawiał się jakiś rząd domostw, osada, która zaraz znikwała, a poza tym przy drodze nie było nic materialnego, konkretnego, nie licząc miast Fort Bragg i Mendocino. Okolica przypominała Irlandię, a raczej jego wyobrażenie o Irlandii, bo nigdy tam nie był: bezkresne pola, dziwne, sinoszare w ukośnie padającym świetle, pola, które - gdy wybieliło je słońce - wszyscy nazywali izabelowatymi, lecz kiedy porównał ich barwę z maścią koni palomino widocznych w cieniu iglastych krzewów na skraju pastwiska, doszedł do wniosku, że sierść pa-

lomino jest bardziej jednostajnie biaława. Nadmorska wilgoć nie pozwala obumrzeć trawom podczas suszy. Potencjał odnowy widoczny w...

Ostry zakręt zmusił go do wbicia hamulca w podłogę. Nagle znalazł się w Point Arena. Zdumiał go odgłos silnika własnego samochodu odbity od ścian domów. Tuż przed miejscem - od którego dzieliły go może trzy przecznice - gdzie miasto kończyło się nagle, jakby zamknięte oknem wychodzącym na pola, skręcił w prawo i pojechał w stronę portu tylko dlatego, że podobał mu się tamtejszy wygląd świata. Van doskonale znał takie okolice, czasami stały tam odrapane domy na łodziach. Lubił żeglarzy i gromady ich dzieci, które ciągnęli ze sobą od portu do portu. Krajobraz opadał ku morzu płaską doliną, wijącą się między wzniesieniami - kiedyś zapewne była dnem wielkiej rzeki, z której teraz, o ile mógł się zorientować, pozostał ledwie strumień. Gdyby znów wezbrały wody, naniosłyby tu sporo mieszkalnych przyczep i śmiecia zalegającego na zboczach. Wokół żywego ducha, tylko przeogromny ocean. Nim wrócił na drogę, siedział z minutę w samochodzie, nie wyłączając silnika, i chłonał to wszystko wzrokiem. Stały tu domy, duża, nie dokończona jeszcze restauracja, mocne, nowe molo, łodzie na kotwicy. Wszystko czekało, by je dotknąć, zbadać... pomacać, połamać.

Letargiczna pielgrzymka Van Nessa - wędrującego pozornie w poszukiwaniu pracy w przystaniach basenu Los Angeles, a naprawdę mającego inne plany - dobiegła końca w południowo-zachodnim zapadłym kącie okręgu Mendocino, w miejscowości Gualala, wybranej kiedyś do pierwszej dziesiątki najbrzydszych miast kalifornijskiego wybrzeża. Gualala wcale nie była aż tak brzydka, przynajmniej w jego oczach. Wydała mu się tylko wyzuta z sensu. Sklepy i motele porzucane na nadmorskich klifach były całkiem nieświadome tego, w jakim pięknie wypadło im żyć - odwrócone od porośniętych sekwojami wzgórz nad sobą i ślepe na widok fal rozbijających się w mgłę poniżej.

Frankenstein, stary kumpel z marynarki handlowej, mieszkał milę dalej, na poszarpanych wzgórzach nad Gualala, którymi biegła kolejna droga z północy na południe i przy której stały kolejne zabudowania - te bardziej przypominające

rezydencje i bardziej oddalone od siebie, tworzące coś w rodzaju drugiej, wysokiej Gualali. Frankenstein miał mały dom, pół akra ziemi wokół i wspaniały widok - może na ocean, choć trudno to stwierdzić: chmury zalegające nad Pacyfikiem przemieniły w niebo całą leżącą niżej Kalifornię.

Nikt nie stanął w drzwiach, gdy Van Ness wjechał między dwa pnie sekwoi wytyczające podjazd, za którym piętrzyły się sterty śmieci i góry trudnej do nazwania maszynerii -skarbów kogoś o ekscentrycznej niewątpliwie osobowości. Nikt nie odpowiedział, gdy Van Ness podszedł do drzwi i zapukał. Przez siatkę w drzwiach widział Franka obok czarnej mordy kominka, siedzącego z wyciągniętymi na całą długość nogami, co jeszcze podkreślało wzrost mężczyzny - miał sześć stóp i dziewięć cali.

- Niedługo zrobi się ciemno - krzyknął Van Ness - ale ja nie odejdę.

Upłynęła minuta, zanim olbrzym stanął w drzwiach i spojrzał na przybysza.

- Nikogo nie przyjmuję. Nikt tu nie przychodzi - powiedział.

- Ja tu jestem.

- Pozwól, że będę w to wątpił.

Van Ness już żałował, że tu przyjechał. Frank musiał niedawno wyjść z odwyku albo oddziału psychiatrycznego. Przez ostatnie kilka lat gnębiły go niepowodzenia i nawroty psychoz.

Gdy znalazł się w środku, Van poczuł się jeszcze gorzej. Frank przemeblował dom, używając jakiegoś ciężkiego narzędzia, prawdopodobnie łomu, którym powybił w ścianach wiele osobliwych dziur; niby żółty dym wycierały z nich kłęбки izolacji termicznej. Zerwał też znaczną część podłogi, pod którą leżały wiórowe płyty.

Nim usiadł na powrót przed kominkiem, wyszarpnął wtyczkę z kontaktu, mówiąc:

- Właśnie słuchałem radia. Wiesz już? Wysyłamy trylion obłąkanych marines do Zatoki.

- Słyszałem, że się nad tym zastanawiają.

- Już nie. Rzecz jest ustalona. Mamy wojnę, człowieku.

- Chyba jeszcze za wcześnie o tym mówić.

- „Pequod” tam pływa.

- Teraz? - „Pequodem” nazywali jednostkę handlową „Peabody”, na której służyli obaj przed kilku laty: mały frachtowiec, zawijający do portów Zatoki Perskiej i Oceanu Indyjskiego.

- Owszem, teraz. Benhurtz telegrafował do żony, a ona dzwoniła do mnie w zeszłym tygodniu. Zaraz jak Irak przekroczył granicę.

- Zanim trafiłeś na oddział.

- Fakt, że mnie pojebało, ale rozumiałem każde jej słowo. Benhurtz jest na „Peaodzie”. „Pequod” jest w Zatoce. Boją się, że Irak postawi miny albo zbombarduje statki i tak dalej.

- Trudno uwierzyć, że tam byliśmy.

- Mogliśmy być tam teraz. Oko w oko z wojną.

- Mogę usiąść? - zapytał Van Ness.

- Dobra, zabierz mi krzesło - rzucił Frankenstein, zrywając się sprzed kominka.

Van Ness przyciągnął sobie krzesło od czegoś, co dawniej było stołem, i postawił je obok zimnego paleniska. W kominku wały się opakowania po batonach i długie drzazgi dębowego parkietu.

- Jest mgła - powiedział Frank, przesuwając się pod okno.

- Kiedy tu jechałem, przez cały czas świeciło słońce.

- W zeszłym miesiącu mieliśmy dwadzieścia jeden mglistych dni pod rząd. Zazwyczaj mgła dochodzi aż na tę wysokość, ale rankiem opada o kilka jardów. Przed miesiącem utrzymywała się nawet tu.

- Kiedy wróciłeś?

- Nie liczyłem.

- Minęło więcej niż sześć dni?

- Dobra - powiedział olbrzym. - Sześć. - Wyciągnął rękę, by wziąć z kominka pojemnik z benzyną do zapalniczek. Zaczął polewać drewno na palenisku. Zapalił papierosa i odrzucając zapalną, podpalił śmieci w kominku. Oblała go pomarańczowa poświata, a po pokoju zaczęły pełzać purpurowe cienie. - Byłem tam tylko trzy dni.

Służyli razem prawie przez dziesięć lat. Van Ness rzucił w końcu marynarę, zamierzał „zrobić karierę”, co w praktyce oznaczało mnóstwo drobnych porażek. Frankenstein został „uziemiony” nieco wcześniej za uderzenie oficera. Van Ness był kapitanem przystani na Florydzie, sprzedawał łodzie

nad jeziorem Champlain, a ostatnio nad cieśniną Puget. Frankenstein zajął się rzemiosłem. Wciąż był właścicielem nieczynnej od jakiegoś czasu firmy hydraulicznej.

- Przez cały ten czas byłem tu z Yvonne - powiedział - przez całe dwadzieścia jeden dni mgły. Każdego ranka wyglądaliśmy przez okno i niczego nie widzieliśmy oprócz prądy: bezkształtnej jednorodności, pełni pustki. Ojej, staje mi, jak o tym myślę! Nie mogliśmy przestać się pieprzyć. A później nad oceanem zmieniły się warunki atmosferyczne i rozpoczął się na nowo małpi taniec, wszechświat: stosunki, postępy, transakcje. Mówią na to ładna pogoda. Mówią - bezchmurnie. Mówią, że tak jest dobrze.

Perorując, otworzył frontowe drzwi i chwycił kilka drewna na podpałkę ze sterty ułożonej obok domu. Cisnął je w ogień. Usiadł dysząc ciężko, przewracając popielniczkę, zaciągając się papierosem, kaszląc.

- Wydaje dziwne odgłosy, nie? - wskazał na ogień. - Wyje i piszczy, dudni i jęczy. Powinieneś być przyjechać tu dwa tygodnie temu. Niezrównana akustyka - charknął co sił i splunął w ogień. - Nasze małe szczęście skisło.

- Czyje szczęście?

- Naprawdę nie nazywa się Yvonne. Wymyśliła sobie nowe imię, by spostonować pamięć o rodzicach, wykastrować ojca.

- Nie chodziłeś do niej przypadkiem na terapię?

- To było w niej najpiękniejsze: połączenie kochanki, terapeutki, bogini. Pierwotnego wroga.

Tylko raz przywalił facetowi, nowo mianowanemu trzeciemu oficerowi, zamkniętą pięścią, a potem przez trzydzieści sześć godzin siedział w kucki w korytarzu przed izolatką, żeby się dowiedzieć, czy facet umrze, czy nie. Pozostał na wolności, bo kapitan go lubił, no i nie zmieściłby się w mamrze.

- Odniosła zwycięstwo - powiedział - próbując mnie zniszczyć za pomocą bielizny.

- Puściła cię w trąbę - mruknął Van. - Czy to nielegalne? O co ją oskarżasz?

- O co ją oskarżam... właśnie! O kradzież przedmiotów kultu.

Nie było problemów z wywaleniem go ze służby, bo skła-

mał, podając wzrost. Skurczył się jakoś, kiedy go mierzyli. Nie było oficjalnego śledztwa. Poprawiono tylko błąd w papierach i skreślono go z listy załogi jako zbyt wysokiego. Frankenstein był na „Peabody” pokładowym intelektualistą. Niewielu oficerów - może jeden albo dwóch, może ten, którego uderzył - było bardziej czytanych. Frankenstein studiował, recytował, często klócił się o rzeczy, które dla większości nic nie znaczyły. Inni ustępowali mu miejsca, był ich naturalnym przywódcą ze względu na wzrost, inteligencję i słodczy charakter.

- Przyjechałem - powiedział ostrożnie Van Ness - bo pomyślałem sobie, że może zechcesz mnie jeszcze czegoś nauczyć.

- Nauczyć? Czy ja ciebie uczyłem? Przeczytaliśmy razem parę książek. I co?

- Nie wiem. A co?

- Uważasz, że jesteśmy ludźmi wykształconymi? W życiu nie zamieniłem słowa z profesorem z college'u. Mogłem studiować w UCLA dzięki stypendium dla koszykarzy, ale wolałem się prześlizgnąć. Co naprawdę zrozumieliśmy z Wit-tgensteina?

- Wiem, dlaczego nam się podobał.

- Dlatego, że odrzucił cały swój porządek myślowy i zaczął na nowo w połowie życia? Może...

- Za niezależność nawet od własnych prawd....

- Ale nie zrozumieliśmy tych prawd. Na „Pequodzie” byliśmy tylko dwoma kutasami zbierającymi wielkie słowa. Wszyscy wiedzieli, że jesteśmy pojebani... Wszyscy oprócz nas.

- To bardzo smutne - Van Ness był zaskoczony.

- Nie. To bez wartości... tak czy inaczej.

- Jestem chory - powiedział Van Ness.

- Chory?

Van Ness zawahał się.

- Nie czuję się najlepiej.

- Nie najlepiej... To brzmi jeszcze gorzej.

- I tak jest.

- To brzmi jak „długa choroba”. //^^toa), ~

Zgadza się.

- „Zmarł po długiej chorobie”.

Van Ness ukrył twarz w dłoniach.

- Umierasz, co? Nie sądzisz, że to takie zwierzęce?
- Czy tylko to masz mi do powiedzenia?
- Tylko to? Nie. Mógłbym wciskać ci kit do Bożego Narodzenia. Mógłbym ci rzygać poematami, facet.

Frankenstein wyglądał na zdenerwowanego, przytupywał stopą, pocierał gwałtownie palce kciukiem, przygryzał dolną wargę. Van Ness wiedział, że są to oznaki złości. Frank, wstydzając się swego wzrostu, nie pozwalał sobie na swobodną ekspresję.

Van nie miał tu nic do roboty, ale nie mógł tak po prostu wyjść, przejechał przecież pięćset mil, szykując się do tej rozmowy. - Może szpanowaliśmy, jasne... Ale otworzyłeś mi oczy na świat. Wittgenstein, Spinoza...

- Nietzsche.
- Właśnie.
- Czyżby? A dlaczego nie Hobbes albo Locke? Albo zgoła Marks?

- Nie wiem.
- Bo zmierzali ku odpersonifikowanej, zrobotyzowanej, martwej za życia ziemi, którą zamieszkujemy. Ja natomiast zmierzam ku w pełni ludzkiej, subiektywnej i znacznie bardziej rzeczywistej... Od dawna podróżuję w tym kierunku. A ty... ty płaczesz, łkasz, chcesz ode mnie teorii, którą mógłbyś połączyć jak pastylkę, żeby wszystko odeszło...

- Nie rozumiesz mnie, pierdol się.
- Jeśli umierasz, to jedyne, co ci pozostało, facet, jedyna rzecz, jaką naprawdę powinienes zrobić, to postarać się i umrzeć. Być zwierzęciem do samego końca. Miło było cię znać.

Van Ness milczał przez kilka minut. Olbrzym odpalał jednego camela od poprzedniego i zaciągał się głęboko, czemu towarzyszyły serie krótkich konwulsji. Podchodził ciągle do kominka, by strząsać popiół.

- Od lat mam te kije golfowe. Dziewiątką waliłem w ściany, bo słyszałem za nimi tych sukinsynów, jak skradali się i szeptali. Były to po części... - mówił Frankenstein - psychotyczne halucynacje, jasne. Ale wierz mi, są w to zamieszani także prawdziwi ludzie, wykorzystują, pojmujesz, moją chemiczną demencję. Chciałem rozwalić im łby. Wiem, kim są, przynajmniej część z nich. Nocami strzelają w okna ja-

kimś sprayem, jakąś mgłą... Kiedy prowadzę, słyszę - człowieku - jak to świństwo ścieka do samochodu. O, tak! O, tak! Czuję je na skórze. Wyrwałem rury spod wanny, spuściłem wodę, przewróciłem wszystko do góry nogami, rozumiesz? I nic. Wziąłem ten kij, numer dziewięć, i zacząłem rozwalać podłogę w pikapie. I wiesz co? Znalazłem jednego! Rozpieprzyłem mu mordę na miazgę śrubokrętem. Miałem krew na rękach, na koszuli, cały ocean krwi. Obudziłem się następnego dnia i krew znikła. Ani śladu. Umyli mnie całego, kiedy spałem. I strzelają we mnie mikroskopijnymi strzałkami.

Przerwał, żeby zapalić trzeciego papierosa.

- Nie gram w golfa - powiedział Van Ness.
- Dziewięćdziesiąt procent tego gówna to halucynacje, wiem. Ale dziesięć procent dzieje się naprawdę. - Frank wymierzył oskarżycielsko palec wprost w grdykę Van Nes-sa. - I tych dziesięciu procent musimy się strzec.

Płonące na kominku sekwojowe drwa syczały monotennie. Ogień doszedł do swojego średniego wieku. Kołysząc się w tę i z powrotem, by strząsać popiół, Frank zdawał się wchodzić i wychodzić z oświetlonego pochodnią kręgu jakiejś prymitywnej inkarnacji w jednej z tych zadymionych grot, o których - jak twierdził - zapomniał w świadomym życiu, lecz które nosił odcisnięte w sercu.

Frank od zawsze miał osobiste credo, związane - w sposób naukowy - z wędrówką dusz. Może mówi prawdę - pomyślał Van - może dusza Franka wywedrowała gdzieś, pozostawiając za sobą skorupę: włączony telewizor, pieprzący bez sensu w tym wielkim, zrujnowanym hotelu.

A przecież niespełna dwadzieścia lat wcześniej to Frank wprowadził Vana - wówczas dwudziestojednolatka - w jasny krąg filozofii, która miała go strzec, gdy dorastał.

Wśród marynarzy pod pokładem uważano Van Nessa za osobisty twór olbrzymia, który ulepił go na własną modłę. To dlatego mówili o nim Frankenstein. Frank - o czym Van Ness często zapominał, pytając o jego numer w centrali telefonicznej - nazywał się naprawdę William Frankheimer.

- Co masz? - zapytał Frank.
- Nic nie rozumiesz, nie?
- Pytam, na co jesteś chory.

- Kurwa, człowieku, powiedzmy, że na chorobę popromienną.
- Wcale nie jesteś chory. Wcale nie umierasz.
- Będę martwy za czterdzieści osiem godzin - powiedział Van Ness.
- To daleko nie zajedziesz.
- I tak mogę cię przeżyć.

Wracając na południe do centrum Gualali, Van Ness znalazł się na prostym odcinku Drogi Nadbrzeżnej i wcisnął pedał gazu. Miał włączone światła i jechał wprost w ścianę światłości, która była mgłą. Nie miał pojęcia, jak długi jest prosty odcinek drogi za wycieraczkami ani kiedy szosa skręci w prawo albo w lewo, posyłając go, niczym pocisk, trajektorią opadającą przez pięćdziesiąt metrów powietrza. Gdy przejechał ćwierć mili, samochód zaczął rzeźić, zbliżając się do 105 mil na godzinę, choć wskazówka szybkościomierza oszalała zupełnie i miotła się delirycznie między 120 a niczym... Skorupa volvo drżała rytmicznie, a potem tak się zatrzęsła, że musiał zacisnąć zęby. Miał wrażenie, że pędzi we wronim gnieździe unoszonym przez tornado, że wszystko zaraz się rozleci, zostawiając go wirującego w powietrzu. Zwolnił ucisk dłoni na kierownicy, po chwili puścił ją zupełnie, grzejąc ręce płomieniem szaleństwa. A potem coś w środku - ale nie jego wola! - kazało mu chwycić kierownicę i zdjąć nogę z gazu. Jechał z dozwoloną szybkością przez mgłę.

Van Ness starał się być uprzejmy dla bliźnich niezależnie od okoliczności. Gdy tego wieczoru zastanawiał się nad późną kolacją w barze nadmorskiej restauracji, postawił drinka facetowi, który - jak się okazało - również był przyjezdny. Polował tu na dziki. Zaczęli rozmowę od żartów na temat barmanki, a potem przeszli do rzeczy poważnych.

- Podwójną - rzucił Van Ness w stronę baru. - Ja nie mogę pić. Mam chorobę trzustkę.

Gdy zapytał myśliwego, czym się zajmuje, ten mruknął pod nosem:

- Tym i owym. Ostatnio dużo rąbałem.
- Gdzie? Tu, w Kalifornii?

_ Głównie w okręgu Del Norte, ale praktycznie wszędzie.

Pojawił się kolega myśliwego, jeszcze jeden brodaty, potężnie zbudowany drwal. Przyjechał z obozowiska i narzekał na mgłę, zakrety i wysoki brzeg.

Pierwszy drwal zamówił drinka dla kumpla i sodową dla Vana.

- Nie może pić - powiedział kumplowi. - Ma chorą czuskę czy coś takiego.

- Mam raka trzustki - poprawił go Van.

- Naprawdę?

Mężczyźni zamilkli i sączyli whisky.

- Kurwa - odezwał się drugi drwal. - Chyba bym zwariował, jak miałbym coś takiego. Na to się umiera, nie?

- Trudno powiedzieć. Równie dobrze mogę was przeżyć.

- Człowieku... - drwal szukał słów - to jest jak wielkie... niebieskie światło.

- Naprawdę? - zdziwił się Van.

- Mówię ci.

- Posłuchajcie - odezwał się pierwszy drwal. - Co do tych klifów: mąż mojej siostry chodził na kurs spawaczy w Santa Rosa. Któregoś dnia jechał sobie nad morzem po tych klifach na północ od Jenner. Widziałeś je? Pięćset, sześćset stóp urwiska, żadnego pobocza. Jak spadasz, masz czas, żeby się zesrać w gacie i jeszcze włożyć czyste. No więc mój szwagier jedzie po tych klifach, a przed nim taka czarna corvetta. No i dobrze. Nagle corvetta zmienia bieg, corvetta przyśpiesza i corvetta leci do oceanu przez pół tysiąca stopek przejrzystego powietrza. Prosto z urwiska! Później okazało się, że facet kupił samochód tego samego dnia. Miał nówkę. Jakiś pieprznięty dzieciak. Nie mrugnął nawet światłami stopu - dokończył.

- Który rocznik? - zapytał jego towarzysz.

- Co „który rocznik”?

- Corvetta, który rocznik?

- Rocznik, który nas nie interesuje - rzucił niecierpliwie pierwszy drwal. - Rocznik, o którym pewno nigdy nie słyszałeś.

Van Ness znał ten rodzaj związków. Przyjaźnie, które dymiły kwaśno jak zła literatura. Zawierane w więzieniu albo Pod pokładem.

*

Wilhelm Frankheimer poczuł się lepiej, gdy Van Ness zakończył wizytę i wyszedł. Frankheimer namoczył węgiel obok kuźni i chciał jak najszybciej zabrać się do roboty.

Wszedł w posiadanie kuźni tak samo, jak piły tarczowej, pikapa i paru innych dużych przedmiotów, dziedzicząc je po klientach, którym przepychał kiedyś w domach zatkane rury, bo sami byli za starzy lub niedołężni, by sobie z tym poradzić.

W dzieciństwie marzył o kowalstwie, wyobrażał sobie, jak tyra w jaskrawym świetle wydobywającym się z gardzieli paleniska. Kuźnia, którą odziedziczył, nie była większa niż ogrodowy grill. W zasadzie wyglądała jak grill, różniła się jedynie kominem i poruszaną ręcznie dmuchawą z boku paleniska, podobną do rozrośniętej nadmiernie, szkolnej temperówki. Miał tę kuźnię od lat, ale uruchomił ją dopiero teraz, po ostatnim powrocie do domu od kapłanów rozumu. Praca ze stalą wkrótce stała się jego zupełnie bezsensowną i bardzo radosną obsesją. Już zrobił prosty nóż i parę krzywych podków, najczęściej jednak nie wykuwał niczego, zadowolając się rozgrzewaniem stali i kuciem jej. Pracował jak zauroczony, zmieniał stal dla ukrytej w niej chwały, czasami spalał jej kawałki, za mocno rozdmuchując ogień, i przyglądał się, jak metal sypie gwiazdami i znika. Wyroby, formy - wszystko to miał za nic. Nadszedł czas topienia rzeczy. Wkroczył we własną, prywatną epokę żelaza, zanurzając się w pierwotnych otchłaniach.

Niemal nic już nie zostało z dnia, gdy ruszył do warsztatu: ogrodowej szopy z klepiskiem, wybudowanej przez ludzi, od których kupił ten dom.

Mgła była dzisiaj straszna. Gdyby nie wiedział, gdzie stoi szopa, na pewno by jej nie znalazł.

Zatrzymał się chwilę na podwórku, nasłuchując poszczekiwania fok na Skale Rozbitków, dźwięku, który - podobnie jak odgłosy innych nie naoliwionych urządzeń: tłoków, kół pasowych, zawiasów - niósł się z wiatrem aż tutaj, z odległości dwóch mil. Niektóre z tych odgłosów były słowami. Niektóre ze stworzeń wylegujących się na skałach nie były fokami. Nie były też zjawami rybaków-topielców, wołających o pomoc od osiemdziesięciu siedmiu lat. Ani drwali, bezradnych na sztormowym morzu, modlących się, by ktoś ich

usłyszał tamtej nocy w 1903, gdy zatoneła tutaj flotylla siedemnastu barek pchanych wicherą od Bodega Bay. Do następnego dnia z życia i pracy drwali nie została się nawet drzazga. Ale to inna historia. Szczekające stworzenia nie były drwalami, należały do nich.

Wsluchiwał się uważnie. Dziś ani słowa. Usnęły w jego krwiobiegu.

Gdy wszedł do warsztatu i zapalił światło, zrobiło mu się lżej na duszy. Stał przy kuźni i zaczął grzebać w popiele, odrzucając powykęcany na wszystkie strony żużel i wybierając kawałki spalone na koks. Oczyszczył popielnik i wrzucił do małego pieca trzy garście strużyn. Połał je naftą. Coś go jednak dręczyło... Skąd ten ołów w sercu? Zapałką podpalił wióry. Nie lubił rozpalać ognia, chyba dlatego zrobiło mu się smutno. Człowiek męczy się od tych wiecznych początków.

Powinien był zerwać kontakt z Van Nessem już dawno. Fakt, obaj byli samotni, ale każdy na swój sposób, i nie zasługiwali na siebie. Van, jesteś demonem - pomyślał, zgarniając wczorajszy koks na środek paleniska i wsuwając go motyką pod płonące wióry. Dorzucił do ognia parę garści mokrego węgla z wiadra, a potem ułożył węgiel w pierścień wokół paleniska, by powoli wytopić z niego siarkę.

Tak, chodziło o to, by pozbyć się żużlu i siarki, gdyż wszystko, co nie płonie żywym ogniem, niepotrzebnie pochłania ciepło, a ciepło może pochłaniać tylko stal. Żywe ciepło... Rozebrał się do spodenek, które dawniej, przed obcięciem, były parą zwykłych dżinsów, wzuł robocze buty, nasunął na oczy narciarskie gogle ze szklami w kolorze bursztynu, a potem zaczął pracować miechem jak oszalały, rozpalając węgiel do miedzianego blasku.

Robił coś w rodzaju pogrzebacza, nie wiedział dokładnie, jakiego, improwizował na ogólny temat narzędzia do podgarniania węgla. Wsunął metrowej długości pręt do słonecznego serca ognia... Ogień miał serce i usta, i pieśń... Naciskał miech, wzniesając białą pożogę.

Zdjął ze ściany trzyfuntowy młot, odnalazł na kowadle Powierzchnię wielkości dłoni dającą najczystsze brzmienie i uderzył w nią potężnie, delektując się zmysłowym szczęściem kowadła. Wszystko ma dwa znaczenia - myślał. -

Nasze najprostsze, najbliższe słowa rozrastają się w burze i tornada seksu, wojny, wiary. Dlatego słowa nigdy nie pracują. Oddychał płytko, patrząc na wypiekający się na obrzeżu paleniska węgiel, na uchodzącą siarkę, która wypełniła warsztat dymem kłującym płuca. Koksuję - pomyślał - i brzmienie tego słowa kazało mu się zastanowić, czy nie robi tego zamiast brania koki, czy ta część w nim, która literalizuje słowa, ta rozszyfrowująca, śniąca część Frankheimera nie każe mu przychodzić tutaj, żeby znalazł się na haju. Nawrót poprzedziło kilka nocy sennych koszmarów. Najróżniejszych koszmarów, które rozgrywały się w tym samym miejscu, w mieście, które musiał kiedyś odwiedzić, a teraz już go nie pamiętał, w wyludnionym mieście, olbrzymim i martwym, z licznymi, milczącymi stadionami i ulicami pozbawionymi wszelkiego ruchu. Mężczyzna w koszmarach nie był nim, był to jakiś inny kretyn, jakiś inny zaćpany szaleniec, a on, Frankenstein, przyglądał się wszystkiemu z zewnątrz -jak widz w kinie, jak widz w koszmarze sennym. Przedtem nigdy nie miewał snów, w których nie brałby udziału.

A Van Ness... Van zawsze był taki: postać spoza sceny, przyglądająca się nawet sobie. Wychodząc na pierwszy plan, stawał się niebezpieczny. Dla Vana nie liczyły się spekulacje, wszystkie bezsensowne bzdury musiały być wprowadzone w czyn.

Jako terapeutka, uzdrowicielka, szamanka Yvonne musiała stawić czoło śniącej części Frankheimera. Szarpała mnie po jungowsku... Zerwała ze mnie łuskę... Chryste, teraz wcale nie wydaje się to piękne, na samo wspomnienie chce się rzygać... od tych obrzydliwości...

A zatem, Van, chcesz się zabić. Dobrze. Każda śmierć dotyka mnie boleśniej, a twoja boli bardziej od innych. Jediną osobą, której cierpienia nie dane mi było poruszyć mimo jego przysychającej powierzchni, była Yvonne. Przyczyną wydawało się to, że jesteśmy wyjątkowi, że pobłogosławiono nasz związek, usuwając z niego ból. Ale w Yvonne nigdy nie było bólu. Jej wnętrze jest jak szpilka, jak mikroskopijna gwiazda płonąca bez życia w temperaturze absolutnego zera. Wszystko ze mnie wyssała, to, co muszę odzyskać, wdychając ogień kuźni... Ciepło. Zabrała mi ciepło. Sprzedała je diabłu za jakąś błyskotkę.

Ból obwinał mu się wokół ręki od nadgarstka do barku. z czoła skapywał pot i syczał, spadając na rozpaloną stal. A cóż to jest... to, co trzyma w rękach? Kowadło dzwoniło, gdy uderzał w pomarańczowy koniec pręta zbrojeniowego, takiego, jaki jest używany przy budowie mostów. Spłaszczwał pręt. Czy będzie z niego pogrzebac? A może kolejny nóż? Albo miecz. Krzyki kowadła były bardzo kobiece i jakby operowe.

Skąd ten drugi dźwięk? Znieruchomiał z opuszczoną głową, z młotem zwisającym z dłoni. Czyżby usłyszał bicie potężnych skrzydeł? Przyszłość tłukącą dziobem w jego ściany. Coś zapłonęło na zewnątrz warsztatu, jakby reflektory przenikające mgłę. Większość takich świateł i wibracji nic nie znaczyła albo inaczej: znaczyła coraz mniej, gdy dochodził do siebie po wielu dniach i nocach spędzonych w szponach szybującej wysoko bestii, niektóre były jednak prawdziwe, były nasionami, z których wykluwały się zdarzenia.

Nietrudno było to zrozumieć: ktoś z bosego, opartego na zasiłku życia pojawił się na jego podjeździe. Przybył postępującym, przypominającym zabawkę volkswagenem. To zdumiewające, jak wiele mikrobusów tej marki przetrwało od lat sześćdziesiątych niczym kruche latawce na strychach. Uciął pomruk małego silnika.

Staął w drzwiach warsztatu, ściskając młot w ręce i wyciągając drugą, by zgasić zewnętrzną lampę.

Gdy zgasło światło, jakiś cienki głosik pisnął:

- Na pomoc!

- Czego chcesz? - zapytał głośno i w ciemności przesunął się z miejsca, z którego mówił, w inne.

- Nic nie widzę... a tak chcę zobaczyć... - Kobieta, w dodatku mówiąca z obcym akcentem. - Proszę oświetlić drzwi, bo inaczej nie zrobię ani kroku albo się przewrócę.

Wedle logiki prowadzonych przez Frankheimera wojen każdy, kto zbliżał się otwarcie, nie był groźny. Zapalił więc światło.

- Dziękuję, tak! - Któż to wyłonił się z mglistej ciemności? Szła ku niemu zakosami, jak mały psiak. - Właśnie Przejeżdżałam - powiedziała - i zobaczyłam cię. Zobaczyłam, jak łnisz.

Rozpoznał ją. Dziewczyna zza „żelaznej kurtyny”, emi-

grantka z udreńczonych krain. Chuda jak patyk, szczerze nowoplemienna, eteryczna, tak... Miała piękną twarz. A na głowie biały turban.

Raz czy dwa, ale dosyć dawno, miał z nią do czynienia. Mikrobus, którym przyjechała, należał do Owczej Mamy.

Wyglądała na nieco rozbitą, tusz spływał jej z rzęs. Może wraca z imprezy, może uciekła z niej po jakiejś nieprzyjemnej scenie? Nadąsana i zapłakana. Było jej z tym do twarzy. Chciał z nią podzielić jej chemię uciekinierki.

- O mój Boże! - wykrzyknęła. - Jaki jesteś piękny! Spocony, nagi, tylko w podartych spodenkach.

- Poważnie? Może również chciałyś mieć coś podartego na sobie? - Nie pragnął nikogo od czasu Yvonne.

Kobietom zdarzało się pojawiać przed nim w ten sposób, wprost z nicości; przyciągała je okazała postura, siła i piękno jego napiętych mięśni. Van Ness odkrył to przed wielu laty: podziwiał w nim to samo, co w koniach stojących w słońcu.

- Śmierdzi tu. Straszne zanieczyszczenie... - powiedziała z uśmiechem.

- To dym z siarki - nie było potrzeby zwlekać. - Spluczę go z siebie w gorącej kąpieli.

Zdjął podarte spodenki. Stał teraz przed nią w samych butach, roboczych woWerinsach.

- Nie ma tłuszczu - pochwaliła go. - Prezentujesz się doskonale.

Ten kliniczny ton oceny trochę go rozczarował.

- Po co tu przyszłaś?

- Słyszałam, że już nie ma Yvonne. Jesteś sam.

Zrobiła krok w jego stronę, a Frankheimer pomyślał, że bez kłopotu może ją podnieść z ziemi i spojrzeć jej w twarz.

- Czy to jedwab? - zapytał, dotykając jej powypychanych spodni.

Zrzuciła chodaki, machając kolejno stopami.

- Spodnie? Są z indyjskiego jedwabiu - odrzekła i pocałowała go bardzo delikatnie. Jej drugi pocałunek był bardzo żywiołowy, pełen pragnienia. Poczul limonę i tequilę.

- Tak - mruknął. - Masz na imię Melissa. Pamiętam jak przez mgłę, że coś nas łączy. Poznaliśmy się chyba zeszłej zimy przy gorących źródłach.

- A teraz znowu!

Melissa mieszkała z Owczą Mamą nad rzeką Garcia i pieprzyła się chyba z Nelsonem Fairchildem, alkoholikiem, hodowcą marihuany, bardzo bogatym gościem. Musiała przejeżdżać tędy codziennie, w tę i z powrotem, po drodze do zmurszałej obory, gdzie Owcza Mama trzymała swoje rozbeczane stadko.

Chwyciła go mocno za szyję, wisząc dwie stopy nad klepiskiem, na które rzucił jej pantalon z indyjskiego jedwabiu. Pozwolił, żeby została w białym podkoszulku i w turbanie.

- Na zewnątrz, we mgle, twoje światło wygląda jak kopała. Bardzo miękkie - znów go pocałowała. - Chcę wpłynąć do środka.

Owcza Mama uczyniła swoim powołaniem ratowanie takich typów: brała je do siebie, opiekowała się nimi, póki nie umarli albo do reszty nie oszaleli. No cóż, będzie musiał nadzieć tę chuderławą, psychotyczną znajdę. Ma pewno z pół tuzina chorób, ale nikt nie rodzi się bez skazy. By uzyskać wzwód, pomyślał o Yvonne. Wyobraził ją sobie nagą, w pozycji lotosu. Gdy siadała w ten sposób, wyglądała bardzo pornograficznie. Podniecająco, ale nie dlatego, że była nieprzyzwoita, to Frankheimer był nieprzyzwoity. Podniósł Me-lissę w górę, potem ruch w dół i zdaje się, że natychmiast miała kilka orgasmów. Jeśli chodzi o niego, czuł, że nic z tego nie będzie, że nie spuści się bez względu na to, jak długo będzie ją posuwał. Ale czynność ta sprawiała mu przyjemność, mógłby stać tak przez całą noc, oferując spełnienie innej istocie ludzkiej, temu stworzeniu z ciała i kości, krzyczącemu jak kowadło. Ale nie tu, w warsztacie... Komin musiał się zatkać, bo w kuźni kłębił się siarczany dym. Było gorąco. Oczy Frankheimera zaczęły łzawić. Melissa na przemian krzyczała z rozkoszy i kaszlała. Odsunęła się od niego na długość ramion. Łzy spływały jej po policzkach.

- Pieprzymy się w piekle! Pieprzymy się w piekle! - za wołała.

Ale Frankenstein myślał o Yvonne. Dlaczego już go nie kocha? Dlaczego on kocha ją bardziej niż kiedykolwiek? Wyniósł Melissę na dwór, w wilgoć i ciemność.

- Mogę oddychać! - ucieszyła się i wciągnęła głęboko Powietrze. Oparła twarz na jego piersi. Poczuł, jak mu zlizuje Pot z sutka. - Smakuje jak szaleństwo - orzekła.

Postawił ją na ziemi. Pisnęła, dotykając stopami mokrej trawy. Trzęsa się w żółtym świetle żarówki przenikającym z warsztatu. Wrócił do środka i przyniósł jej zwinięte spodnie.

- Prawdę mówiąc - mruknął - wanna jest nieczynna.
- Jak to, nie ma dziury?
- Myślałem, że ukrywają się w niej moi wrogowie.
- Aha. Starzy, szaleni wrogowie - powiedziała, wciągając spodnie, pochylając się i malejąc w czworoboku światła, w którym wyglądała jak figurynka z kości słoniowej.
- Co to za akcent? Skąd jesteś?
- Z Austrii.
- Jak Hitler.
- Tak. I wielu wspaniałych poetów i filozofów.
- Wittgenstein?
- Nie znam wszystkich.

Wsunęła stopy w chodaki, pocałowała go i odeszła. Był jej za to wdzięczny.

Przed świtem wygasł ogień w kuźni, a Frank leżał w małej sypialni, nie mogąc zasnąć lub - co gorsza - śniąc, że nie może zasnąć. Wsłuchiwał się uważnie w ściany. Nic. Dzisiaj wykuł z sześciofuntowego pręta płaski, ważący trzy uncje przycisk do papieru.

Dwoje gości jednego dnia, a każde z nich bardziej popieprzone niż on sam. Niemka, czy kimkolwiek jest, była idiotką. Ale ją polubił i może spotka się z nią jeszcze raz, jeśli wcześniej nie umrze od kokainy albo od Yvonne. A Van Ness... Jeszcze jeden duch z kolejnego koszmaru. I brzydszy niż kiedykolwiek z tymi rozszerzonymi oczami i wąsami kung-fu, zwisającymi niczym liany w dżungli. Frank był pewien, że Van Ness zmaterializował się tu w roli demona, na szczęście i dzięki Bogu nie jego. Tym razem wezwał go kto inny. Już wiele lat temu miałem go dosyć, myślał, już wiele lat temu miałem powyżej uszu potęgę, jaką daje nam świat, byśmy tworzyli takie istoty jak Van Ness.

Jego własne demony szeptały zza ścian i spod podłogi. Miały swój własny spryt, a ich małoduszność była niszcząca. Van Ness zadreślał na całkiem inne sposoby. Ktoś mógł go wypchnąć z jakiejś orientalnej baśni albo przypowieści buddyjskiej, pewnie z tej, która, o ile dobrze pamiętał, mówiła

pielgrzymie - podróżniku z Północnej Krainy. Zmęczony wędrówką pielgrzym usiadł któregoś gorącego dnia w cieniu drzewa, by medytować o zmianie bezcelowości życia. W cieniu powietrze smakowało dobrze, po pewnym czasie odczuł jednak pragnienie, a nie mógł przecież pić powietrza. Pomyślał, że dobrze byłoby mieć teraz kubek chłodnej wody. I natychmiast znalazła się przed nim amfora pełna owocowego nektaru. Bo drzewo, pod którym usiadł, było Drzewem Życzeń. Pił długo, a zaspokoiwszy pragnienie, pomyślał, że dobrze byłoby coś zjeść. I natychmiast pojawił się przed nim talerz podplomyków. Pił i jadł do syta. Cóż to za wspaniałe miejsce! - pomyślał. Przyszło mu do głowy, że mógłby tu zamieszkać. I jak spod ziemi wyrósł jaśniejący w słońcu dom z białego kamienia. No tak, pokiwał głową, gdybym tylko miał żonę... A oto ścieżką nadchodzi precudnej urody kobieta, siada obok niego i ujmując delikatnie jego dłonie. Pielgrzym wziął ją w ramiona i potem leżeli razem w trawie - on z głową wspartą na jej łonie. Zасыpiając, pomyślał, że wszystkie te cuda mogą być dziełem diabła. I oczywiście wyrósł spod ziemi wielki diabeł, czerwony jak sam gniew, plugawy i cuchnący zgnilizną. Pochwyił pielgrzyma, rozwał go na strzępy i zjadł na oczach jego żony. Przed białym, kamiennym domem.

8-10 sierpnia 1990

Moja żona jest uroczą kobietą i razem zbudowaliśmy jeden z najpiękniejszych domów w okolicy.

Dom jest z prawdziwej, wypalanej na słońcu cegły, z wnętrzami wyłożonymi drewnem sekwoi, ze słonecznym ogrzewaniem, z kominkiem i dwiema sypialniami. Otacza go czterdzieści akrów ziemi. Nie jest oczywiście dworem, ale idealnie nadaje się dla bezdzietnego małżeństwa - pod warunkiem, że panuje w nim zgoda i miłość. My jednak wcale się nie kochamy.

Winona kocha Kalifornię, Winona kocha swój zachodni, złoty sen. A ja kocham Melisę.

Melisso, twoje oczy - tęcze i wichry na niebie...

Zobaczyłem Melisę na pełnym kolein podjeździe. Jej muzyka była smutna. Ale gdy później ujrzałem, jak idzie w swej obcej miękkości i mruży oczy przed jaskrawym błękitem nieba, poprzysiągłem sobie - tak jak wtedy, gdy widziałem ją po raz pierwszy - że porzucę dla niej wszystko. Was wszystkich, jeśli zajdzie taka konieczność. Zrobię to.

- Jak wydostałaś się z miasta?
- Prosząc o podwiezienie.
- Nie, Melisso, nie powinnaś tego robić. Któregoś dnia ktoś może cię porwać.
- I co mi zrobi?
- Różne rzeczy - powiedziałem.
- Te same, które ty lubisz robić.

Była dzieckiem natury z rodzaju tych, które odmódziło zażywanie narkotyków. Mieszkała w miejscach, gdzie nie było prądu ani bieżącej wody, ubierała się na pchlich targach. Tylko dla mnie nakładała cienie na powieki i, co prawda niestarannie, malowała usta bladą różową szminką. Tylko dla mnie ubierała się w długie, lśniące szmaty, nosiła sztuczną biżuterię i sandały na wysokich obcasach. Tylko dla mnie nie wkładała majtek, gdy śmigaliśmy moim kabrioletem do jakiejś nadmorskiej knajpki, w której na tarasie podają zimne margarity. Piliśmy ponad miarę i całowaliśmy się na oczach wszystkich w zachodzącym słońcu, a cały świat czerwieniał się i dygotał z oburzenia. Pojmujecie, o co mi chodzi? Myślicie, że mógłbym zrobić coś takiego z Winoną? Nie. Pierwsze noce naszej znajomości z Winoną spędziliśmy na rozmowach o Europie, powiedzieliśmy sobie wszystko, co było do powiedzenia na temat Starego Kontynentu, gdzie - nawiasem mówiąc - nigdy nie byłem. Później oczywiście zwiedziłem Europę i uznałem, że jest fantastycznym, inspirującym rejonem świata. Ale Melissa jest lepsza od Europy.

Opowiem wam o tej dziewczynie. Ma brązowe, wilgotne oczy. Uśmiechając się, krzywi usta, by nie pokazywać popsutych zębów. Gdy jest pijana, śmieje się bez opamiętania, sypiąc iskrami ze złotych koronek. Barmani lubią pochylać się przed nią i podawać ogień, w którego świetle przyglądają się jej uważnie, jak kochankowie. Wszystko w niej jest. W tym skarconym dziecku, w skradzionym makijażu. Oczy, które nie spojrzą już na nikogo innego. Ten gest, gdy cu-

, wnie odchyła się z ręką na podółku... Czasami dąsa się •
iedzi zgarbiona nad drinkiem, bębniąc palcami w blat baru.
Wygląda wtedy jak kurwa. Potrafi się złościć. Kobieta tak
erwersyjna, kobieta, którą tak łatwo jest zranić, właściwie
snędza życie na szukaniu mężczyzny, który zadreczy ją na
śmierć, a w dodatku będzie podobny do jej ojca. Myślę ob-
razami. Widzę obraz mężczyzny miażdżącego orchideę. Och,
kwiaty...

Jeździsz w górę i w dół nadmorską autostradą, orchidee i
azalie, twoje płatki rozgniecione butem.

Wbijają wzrok w chłopaka podającego do stołu - niebie-
skie oczy, włosy w kucyk, koszula rozpięta od pępka do
mocnego jabłka Adama. Jego muzyka to orientalny flet i
dźwięk pustych patyczków uderzających o siebie. I... chyba
się znają. Pewnie ją miał na drewnianym stole w swoim
baraku. Przez okna dolatywał słodkawy fetor śmieci gnijących
w skrzynkach po pomarańczach. Pewnie ją miał w Schooner
Gulch, gdy wiał zimny wiatr, gryzł jej gęsią skórkę swoimi
pięknymi zębami.

- O co chodzi? - pyta Melissa.

- Pieprzyłaś się z nim? Nie... - przerywam jej krótki, spło-
szony śmiech - ale będziesz. Nim twoje życie dobiegnie
końca, będziesz miała ich wszystkich.

Tequila dziś nie szła, mój mózg połyskiwał jak nóż, chcia-
łem wygłosić wspaniałe przemówienie, powiedzieć, jak bar-
dzo jej nienawidzę za to, że jest kobietą, za to, że może się
otwierać i przyjmować, ale z moich ust padło jedynie:

- Cały świat będzie w tobie. Jesteś jak ocean...

A potem jadę szybko przed siebie żółtym porsche, roz-
jaśnia mi się w głowie od uderzeń wiatru, szukam w sercu
słów, którymi mógłbym ją przeprosić, a siedząca obok Me-
iissa krzyczy:

- Rozerwać, wybuchnąć, eksplodować, pędzić jak galak-
tyki, jak wybuchające gwiazdy - na wszystkie strony!...

Moja rodzina od trzech pokoleń przynależy do Północnej
Kalifornii, mieszka w cieniu jej cudów - wielkich wybryków
natury, olbrzymich, poskręcanych rąk cyprysów, które pora-
stają urwiska... Urwiska... Jest w tym słowie coś, co nadaje

mu właściwe brzmienie, co pozwala słyszeć postękiwanie Boga przy wpychaniu klifów we właściwe miejsca.

Do tych naturalnych wspaniałości lgną najlepsi, najdoskonalsi ludzie, ludzie, którzy próbują świadomie i godnie przejść przez życie.

Ale Północna Kalifornia jest także krainą nie kończących się deszczy, otumaniających suszy, a w lipcu i sierpniu -gęstych, przenikających się ławic mgieł. Tego lata mgła wisiała nad Północnym Wybrzeżem przez dwadzieścia jeden dni pod rząd, jak... jak Amerykański Sen, wznoszący się nad zamarznętym morzem. Na którym planujemy postawić platformy wiertnicze i wydobywać sny, nasze sny spod dna oceanu; nasze czarne, ociekające mazią sny, które pozwolą nam jeszcze szybciej i szybciej pędzić naszymi nadmorskimi drogami. Jeśli chodzi o mnie, jeżdżę nie tylko kupionym z drugiej ręki porsche, ale i otwartym dżipem z opływowym tyłem - oba są bardzo szybkie. To znaczy jeździłem. Teraz dżipem jeździ Winona.

Robimy wszystko, co się da, żeby nasze marzenia się spełniły. Parę lat temu pewien gość z naszego okręgu wynajął zawodowego mordercę, żeby zabił jego żonę. Zleceniodawca chciał zgarnąć ubezpieczenie i zamieszkać z kochanką. Zawodowy morderca okazał się jednak tajnym agentem federalnym. Męża oskarżono o planowanie morderstwa i skazano na trzy lata więzienia. Po kilku miesiącach kochanka o nim zapomniała. W ostatnim roku odsiadki zaczęła odwiedzać go żona. Teraz znów są razem.

Melissa jest moją kochanką od października. Ta prześliczna hipiska pochodzi z Austrii. Uważam, że cierpi na anoreksję. Jest jak ptaszek. Kiedy się kochamy, próbuję połamać jej wszystkie kości. Poznałem ją na szkolnym przedstawieniu w zeszłym roku. Wystawiali nic niewarte sztuczdyło i było mi wstyd, że Winona bierze w tym udział. Na szczęście pracowała za kulisami. Melissa siedziała przy samym proscenium, na podłodze, wśród najmłodszych dzieci. Wpatrywałem się w nią przez cały wieczór.

Chcę wbijać wzrok w Melisse, moją ukochaną, mimochodem niszcząc jednocześnie Winonę. Chcę cisnąć Winoną o ziemię obok resztek z naszej uczy.

Muzyka Winony jest głośna, symfoniczna - może być Vi-

Valdi i *Cztery pory roku*. Każda z nich lub wszystkie razem. Winona jest nieduża, trochę klockowata, co nie razi w jej przypadku. Ma twarz, którą nazywamy ładniutką albo i słodziutką. Lubi się przytulać.

Ha łożdu pastwiska w naszej posiadłości Winona ma swoje tandetne studio, w którym zajmuje się rzeźbą. Jej dzieła stoją rm słonecznym pastwisku i w tutejszej nadmorskiej przejrzystości, z oceanem w tle, wyglądają zaskakująco: długie drewniane totemy modernistycznie nieczytelne, porażające oczy żelazne kształty - półksiężycy przyspawane do rów-noległoboków i tym podobne, wysokie na osiem, dziesięć, dwanaście stóp. Winona jest silna. Sama tnie drewno wielką piłą łańcuchową i podtrzymuje żelazne pręty przy spawaniu. Spawanie jest niebezpieczne. Wysokie napięcie. Można się usmażyć. Wyobrażam sobie, jak wracam do domu i znajduję zwęgloną Winonę, w zwisających szczątkach ubrania wygląda jak własny cień pośród rzeźb. Lubię o tym myśleć. Zastanawiam się, jak jej w tym pomóc.

Ona myśli o mnie podobnie. Kocha nasze czterdzieści akrów. Zrobiłaby wszystko, by je zatrzymać, coś jeszcze dołączyć... Rozwiodłaby się? Bez mrugnięcia okiem. Najchętniej jednak by mnie zastrzeliła. Dałaby za to wszystko, nawet swój talent czy jego smętne ślady, nawet swoją nieśmiertelną duszę.

Nasza ziemia wychodzi na Pacyfik, ale pod nami, niżej, aż po sam ocean ciągnie się piętnaście mil kwadratowych lasu, przeważnie sekwoi. Ten las należy do mojego ojca.

Gdy kogoś zapytać o mojego ojca, odpowie bez wahania, że to straszny człowiek. Okropny. Zasłużył sobie na taką opinię. Skrzywdził każdego, kto się z nim zaprzyjaźnił, kto go potrzebował, kto mu zaufał. Jeśli ze mną jest coś nie tak, to dlatego, że jestem żywym przykładem komunikatu z wojny - mapy z zaznaczonymi trafieniami pocisków, lejami, które się nie zabliznią - po zmarnowaniu dzieciństwa na próbach pokochania potwora. Wiem, wiem, wszędzie na świecie zdarzają się okropieństwa, przy których moje, typowo amerykańskie, można uznać za uprzywilejowanie. Tak czy maczej, powtarzam wszem i wobec: winą za to, jaki jestem, obarczam ojca.

Ze swej strony ojciec został zgwałcony przez babkę,

Włoszkę o figurze słupa ogłoszeniowego, rozrastającą się równomiernie aż do samej śmierci. Gdy umarła, ważyła grubo ponad trzysta funtów, co na pogrzebie przysporzyło nam niemało wstydu, bo musieliśmy wynajmować dodatkowych mężczyzn do dźwigania trumny. Była prawdziwą wiedźmą z Palermo. Nie mogła pogodzić się z tym, że wyszła za Walińczyka, jedyne brytyjskiego ranczera w okolicy i pierwszego w okolicy hodowcę owiec. Nie mogła pogodzić się z tym, że musiała wyprowadzić się z winnic Sonomy na północ. Umarła, kiedy miałem cztery lata, a mój brat Bill siedem. Nie zapomnimy jej do końca życia; w naszych chłopięcych oczach była chodzącym koszmarem o rozmiarach Alp. Dziadka, jej świętej pamięci męża i emigranta z Cardiff, pamiętam jak przez mgłę. Zmarł w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, nieco wcześniej od babki, od której był jednak o dziesięć lat młodszy. Jego brytyjska stał pordzewiała przez dziesięciolecia kwaśnych żalów, furii i religijnych orgii babki. Mój ojciec był potomkiem tego niewiarygodnego związku. Stał się uosobieniem jego wszystkich sprzeczności: włoskiej namiętności tłumionej brytyjskim chłodem. Właśnie dlatego zrobił się zły. W jego oczach zapalały się radosne ogniki, gdy mógł kogoś zwieść, gdy siał niezgodę i zbierał gniew. Nie mając pojęcia o życiu rodzinnym, dryfował po wodach ojcostwa z zawiązanymi oczami. Wypracowanym przez niego sposobem wprowadzania w życie mnie i Billa było zadawanie tajemniczych pytań, na które nie znaleźliśmy odpowiedzi. Mógł nam wówczas wykazać, że popełniliśmy jakiś straszliwy życiowy błąd. „Widzieliście kiedyś, jak koń puchnie? Jak kładzie się na ziemi? Jak przewraca się na bok i zdycha, zanim minie noc?” Słyszac coś takiego, domyślaliśmy się, że nakarmiliśmy konia nie tym, co trzeba. Nigdy nie mówił nam wprost, co zrobiliśmy źle, nawet gdy prosiliśmy go o to. „Wiesz, jak wygląda mucha rozgnieciona na ścianie?” - oznaczało, że bawimy się niebezpiecznie przy wyrębie drzew. „Miałeś kiedy złamaną nogę?” - stosował w wielu różnych sytuacjach związanych z wycinką i transportem drewna. Gdzie powinienem stanąć, ojczu, żeby czuć się bezpiecznie? Powiedz mi, gdzie mam stać i co robić? Powiedz cokolwiek! Nie wiem, o co ci chodzi. Mów! Dziecko - stwierdzam to

z przykrością - jest jak ksiądz pod niebem ojca. Dlaczego skazałeś mnie na porażkę?

- Rozerwać, wybuchnąć, eksplodować, pędzić jak galaktyki, jak wybuchające gwiazdy: na wszystkie strony! - Me-lissa lubi wykrzykiwać amerykańskie słowa, gdy pędzimy moim porsche, kremowo-żółtym roadsterem 356, staruszkim, który jeździ po drogach od trzydziestu lat z górą. Wciąż jeszcze potrafi przekroczyć setkę na, nieczęstym w tych okolicach, prostym odcinku szosy. Możemy rozmawiać tylko na zakrętach, gdy zmniejszam obroty silnika.

- Przepraszam - mówię. I znowu prosta. Porsche to nie jest wózek dla lalek. Porsche to potwór pełen wściekłych zaworów. Zakręt. - Wiem, że nie przespałabyś się z tym facetem! - Chodzi mi o kelnera, od którego wszystko się zaczęło. - No dobra, przespałabyś się! Oboje to wiemy. Ale moim zadaniem jest kochać cię wbrew wszystkiemu. Na tym polega moja praca.

- Nieważne.

- Dla mnie ważne. Pokażę ci, jak bardzo. Pokażę ci coś, czego jeszcze nikomu nie pokazywałem.

- Niedobrze mi.

Wjechaliśmy na serpentynę prowadzącą w dół, do strumienia, który przepływa pod drogą i wpada do morza.

Zjechałem z szosy. Skręciłem w prawo tuż przed zwodzonym mostkiem.

- Dlaczego skręcasz? Jest napisane, że nie wolno.

- Chcę coś sprawdzić.

- Chcesz sprawdzić, czy ktoś złamał zakaz? To twoja ziemia?

- Zamknij "się na chwilę, proszę. Obserwuj tablice.

- Jakie tablice?

Serpentyną prowadzącą do mostka jedzie turystyczny pi-kap. Minał nas, zaczął wspinać się na zbocze po drugiej stronie strumienia. Trzyma się drogi. Nie widzieli nas.

- Jakie tablice? - powtarza Melissa.

- Tablice. Tablice! Tablice rejestracyjne. Byli z Oregonu? Tablice mieli niebieskie, mogli być z Kalifornii. Ilu ich tam siedziało? Widziałem dwóch. Ty też widziałaś dwóch?

- Jakie tablice?

- Z tyłu siedział pies...
- Angielski jest niemożliwy!
- Ci ludzie mnie śledzą. Mają psy.
- Nic nie widzę. Posłuchaj mnie. Angielskie słowa są jak pryzmaty. Puste, nic w nich nie ma, a robią tęcze.

Miała zajoba na punkcie słów i części mowy, co wynikało z konieczności uczenia się drugiego języka.

Wąski parów, którym przepływał strumień, pogрузzył nas w mroku. Ukryty za dwoma potężnymi wzgórzami, ocean tylko pomrukiwał i uderzał głucho. Byłem z lekka wstawiony. Mimo to bałem się w jakiś „rozciągliwy” sposób. Uspokoilem się, patrząc na wodę i rozważając buddyjską maksymę, według której rzeka jest we wszystkich miejscach naraz, w każdej części siebie, choć sprawia wrażenie ruchliwej, my zaś myślimy o niej jak o rzeczy, która ma swój początek i koniec. Wiele naszych najwspanialszych snów rozpoczyna się przy pustej drodze nad strumieniem, a to świadczy o głębi naszych sennych przeżyć.

Melissa przysunęła się bliżej, niewygodnie przechylając się nad dźwignią zmiany biegów między fotelami.

- Wszystko w tobie jest takie maleńkie - powiedziałem, całując jej mały nosek, usta i koniuszki palców. Czulem sól z margari ty.

- Kto chce cię śledzić?
- Znam paru.
- Dlaczego?
- Bo moje życie leży w gruzach.

Melissa miała na głowie szykowny niegdyś kapelusik, przypominający turban, który nie pozwalał włosom opadać na czoło i chronił jej delikatne uszy przed chłodnym wiatrem. Gdy jeździliśmy ze zsuniętym dachem, zawsze otulała się w puszysty, biały szlafrok, który trzymałem dla niej za siedzeniem. W tym podróżnym stroju przypominała pacjentkę zbiegłą ze szpitala po operacji mózgu, ale było jej ciepło. Całowałem ją jeszcze przez chwilę, marząc, by moje czary uzdrowiły ją.

Miała szeroko otwarte oczy i zezowała na mój zegarek.

- Przepraszam, która godzina?
- Czwarta czterdzieści.
- Znowu piliśmy przed kolacją. To cudowne! Zasnę o ós-

mei Obudzę się o trzeciej nad ranem i pójde naga ku gwiazdom.

- Kiedy ostatnio widziałaś gwiazdy u Owezej Mamy? Nad Garcia wciąż wisi mgła - powiedziałem, wyłączając silnik.

Może naprawdę mnie śledzili? Ludzie... jacyś ludzie. Tak czy inaczej, teraz ja jechałem za nimi. I miałem zamiar pozwolić im uciec.

Gdy jedzie się którąkolwiek z dróg prowadzących wzgórzami w głąb łądu - w moim przypadku jest to Droga Rozbitków, którą przemierzam trzy razy w tygodniu - nagle opuszcza się królestwo mgły i wjeżdża w duszną ciszę wysokich sekwoi drugiego pokolenia. Osłaniają one od wiatru stare, rozpadające się ranca, górują nad opuszczonymi obozowiskami drwali, którzy zwalili ich ojców i matki, pierwotne olbrzymy tej ziemi, i ukrywają szczątki członków starych wspólnot. Kiedyś najlepsi, najwspanialszy ludzie dali się tu zwabić granej na flecie piosence. Trzymały ich razem narkotyki lub religia; pochylali ku sobie głowy, by dzielić lub żywić się własnymi myślami.

Myślicie, że jest mi żal tych ludzkich zjaw - starych hipisów? Otóż nie. Przyjechali tu i prześnili swój sen. Piosenka zamieniła się w marsz i pocwałowała dalej.

Tego dnia, o którym myślę, przyjechaliśmy z Melissą do miasta Point Arena. Skręciłem z Drogi Nadbrzeżnej i wspiałem się na wzgórze.

W dniu, o którym myślę, pokazałem jej moją uprawę marihuany. Ta niedyskrecja wzmogła mój strach stokrotnie.

Zabrałem ją bardzo daleko Drogą Rozbitków. Jezdnia skończyła się wiele mil wcześniej, porsche ślizgał się na żwirowych zakrętach, wznosząc obłoki pyłu. Na językach mieliśmy smak ziemi, ale w tej odległości od morza było za gorąco, by rozkładać dach. Melissa zamknęła oczy, jej twarz przybrała pustą, twardy wygląd. Omiatały ją delikatne cienie.

Gdy zaparkowaliśmy, drzewa, które biegły wraz z nami do tego miejsca, również przystanęły, zaryły w miejscu. Wyłączyłem silnik. Cisza zagrała jedyną prawdziwą, czystą nutę. Melissa otworzyła oczy.

Ze szczytu wzgórze widzieliśmy kanion, głęboki na ćwierć

mili i półmilojowej szerokości. Dalej sterczały szczyty za Napa Valley, oddalone o jakieś sto mil.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? - zapytałem.
- Tak cicho. Czuję się, jakbyśmy wjechali pod wodę.
- Tutaj hoduję trawę.

Powierzałem jej wielką tajemnicę, ale ona była po prostu pijana.

To właśnie wywierało na mnie tak dojmująco smutne wrażenie: Melissa nie brała udziału w naszych dramatach. Nigdy jej nie widziałem tak wyraziście jak podczas naszego pierwszego spotkania, gdy siedziała na podłodze przed sceną, w mroku, wśród małych dzieci. Tuż przed nią stremowane nastolatki potykały się o dekoracje i wykrzykiwały dialogi.

Czy dlatego oszalałem na jej punkcie? Bo kiedyś ujrzałem całą o niej prawdę? Czy oddanie może być aż tak nieskomplikowane?

Zostawiłem ją i zacząłem schodzić z boczem. Szedłem. Potykałem się na stromiznach. Potem usiadłem, by zacząć zjazd na tyłku. Zatrzymywałem się od czasu do czasu i chłonałem wrażenia. Niżej stok był łagodniejszy, a na dnie świata królowała roślinność. Na ocienionym południowym zboczach rosły drzewa iglaste, a po przeciwnej stronie - dęby ze swymi krewniakami. Ich cienie malowały się na platynowej trawie. Tu i ówdzie zwiędłe, karłowate orzechy chinquapin odżywały, dochodziły do siebie po raz pierwszy w tym sezonie. U góry były jeszcze martwe po wcześniejszych zniszczeniach, ale podnosiły głowy po wszelkich tragediach, tak jak niektóre majestatyczne, kalekie alkoholizki. I jeszcze zbite w gromadkę sekwoje, w zasadzie młodziaki, nie starsze od naszego stulecia, a już wysokie na sto stóp, pijące wszystko, co się nawinie, nie zwracające niczego... Moim zdaniem te drzewa dzięki swojej pomysłowości wynalazły nowy, nie mający precedensu sposób zażywania rozkoszy, do którego może i mnie dopuszczają, jeśli wyzbędę się skrupułów.

W chwilach najbardziej niebezpiecznych dla mojego zdrowia psychicznego przepadam gdzieś wśród leśnych dróg, huśtam się na stromych zboczach urwisk, przeżywam wszystko wokół i świadczę o otaczającej mnie wielkości, pragnę jej dorównać jakimś wspaniałym gestem, czynem równie odosobnionym, co i potwornym, myślami, do których wstydzę

się przyznać. Czy możecie to zrozumieć?... Wyobrazić sobie? Człowiek wyjeżdża z zakrętu i staje nad urwiskiem, a ma przed sobą morze suchych igieł, milczące, pyliste jary aż po sam horyzont... Widzi strumień płynący dnem wąwozu, słyszy, a raczej wyobraża sobie, że słyszy, szmer wody odległej o pół mili... Wzrokiem wynajduje pięć czarnych sępów tkwiących nieruchomo i drżących w samym środku powietrza... Dzikość tych okolic tworzy i tłumaczy mnie tak samo, jak wszystko, co odziedziczyłem i czego mnie nauczono. Kształt tej ziemi woła o zuchwałę projekty... Nie! Wymaga ekstrawagancji! Byłem w katedrach w Mediolanie i na Sycylii. Panuje tam taka sama świętość i taki sam kosmiczny obłęd: bardzo dramatyczny, bardzo biblijny, przedziwny.

Zszedłem już ze sto pięćdziesiąt jardów od drogi. Kanion skręca tu na południe, po czym zawraca haczykowato na północ. W tym miejscu słońce świeci przez cały dzień, jest gorąco i bezwietrznie. Droga do ogródka prowadzi przez chłód i upał, ocieniona łączka mokra jest od płynących wśród trawy strumyczków. Mamy tu własne źródło: stugalonową, cedrową beczkę z wodą, która spływa w dół cienką, plastikową rurką nawadniającą.

Przejeżdżam przez śliską, mokrą łączkę, hamując za pomocą rąk. Chwytam grube, śmieszne liście rododendronów pozbawionych kwiatów. Kieruję się wzdłuż czarnej rurki ku zachodniemu skrajowi łączki, wychodzę z cienia i mam przed sobą dwadzieścia siedem krzewów konopi rosnących na szerokiej grządce - wysokich, miękkich, cennych krzewów, które pachną słodko w letnim słońcu. O tej porze roku mają tu światło przez czternaście godzin na dobę. Ożywczą zasadą hodowli maryhy jest ekstaza, a celem uzyskanie od kwitnących koniuszków żeńskich roślin jak największej ilości upajającego narkotyku: tetrahydrocannabinolu. Narkotyk jest zawarty w lepkiej żywicy roślin, którą wydzielają i liście, i kwiaty, chroniąc się przed promieniami słońca. Do hodowli potrzebny jest ogród, woda, dużo słońca i suche powietrze. Oprócz tego trzeba mieć, rzecz jasna, żeńskie rośliny w mocnym, egzotycznym gatunku. Ścina się je tuż przed wydaniem nasion. W naszych faszystowskich czasach ogród musi być ukryty, co stanowi pewien problem, gdyż trudno jest niekiedy Pogodzić odpowiednie nasłonecznienie z dobrym kamufla-

zem. Hodowcy marihuany obawiają się głównie poszukiwaczy prowadzących obserwację z powietrza. Dlatego wybrałem kanion, miejsce niebezpieczne dla helikopterów, zwłaszcza że jest on pełen zdradliwych zawirowań powietrza i występów skalnych, utrudniających przelot nad działką. Przez trzy kolejne lata zebraliśmy zdumiewająco dobre plony nie niepokojeni przez władze, co trzeba uznać za sukces.

W smętnych czasach, o których mówię, jest wielce prawdopodobne, że znajdą twoje rośliny. Jest wielce prawdopodobne, że wynajęci za stanowe pieniądze niedouki, kowboje uzbrojeni w szybkostrzelne uzi, wyskoczą ze śmigłowców na twoje poletko i wszystko zniszczą. Nie mogą cię aresztować, chyba że bronisz pola. Gdy znajdą cię choćby dwa metry dalej, mogą ci już tylko naskoczyć - stan nie ma żadnej szansy na wygranie ewentualnego procesu. Ale i tak straty są ogromne. Zabierają rośliny i czekają, żeby bezimienny hodowca zbankrutował. Jeśli bezimienny hodowca jest na tyle głupi, by prowadzić uprawę na własnej ziemi, zniszczą go podatkami: stanowy i federalny urząd finansowy potraktuje działkę jak kopalnię złota, która przynosi nie zadeklarowane dochody, nałoży podatki, domiary, kary, będzie go ścigał dopóty, dopóki nie odda mu swojej własności. Nasza działka znajduje się na skrawku gruntu, zaledwie jednej mili kwadratowej. Ziemia oficjalnie należy do niejakiego Wyetha, który nie żyje od lat. Jego rodzina nie zainteresowała się nieużytkiem graniczącym z dużą posiadłością leśną. Przed paru laty był tu geodeta, który zabrał świętej pamięci Wye-thowi kilka jardów i oddał je tartakowi Georgia Pacific Lum-ber Company. Przynajmniej na mapie. Linie podziału terytorialnego są tu dosyć płynne i nasza marihuana rośnie w prawnej próżni.

Sprawdziłem rośliny. Nawadnianie działało bez zarzutu. Ziemia wokół korzeni była wilgotna. Maryhna rozpościerała liściaste ramiona - jak głosił kiedyś pewien stary wierszyk -i modliła się do słońca. Nad nią, nie dalej niż dwadzieścia stóp, wisiał sęp kołyszany powietrznymi prądami. To nic wielkiego - mówił do mnie - wstąp tu w wierze, a zdepczesz stopami przestworza.

Gdy śnię o lataniu, moc moich skrzydeł pochodzi z serca. W zeszłym roku w czasie podróży do Włoch wielekroć mie-

wałem takie sny. Nawet kiedy nie spałem, czułem się lżejszy od reszty otaczającego mnie świata - Europa jest stara, jej kultura ma olbrzymi ciężar. Mediolan: wielkość i słońce, i dziko uniesione brwi obywateli... Podróżowałem z Winoną; teraz muszę o tym pamiętać, gdy Melissa kołysze się nade mną jak anioł gdzieś na grzbiecie wzgórza, tam gdzie nie sięga wzrok... We Włoszech weszliśmy z Winoną do potężnego *duomo* - kościoła o wysokości nowoczesnego wieżowca, ale zbudowanego przed wiekami i mającego tylko jedno jedyne, wysoko sklepione piętro. W środku czułem się mniejszy niż zazwyczaj i dalszy niż zazwyczaj niebu. Górne partie wnętrza kryły się w mgle kadzideł. Gdy podniosłem wysoko głowę, straciłem całą swoją lekkość i nagle zacząłem spadać, topić się, czując u nóg żelazny uścisk pragnień, frustracji i samolubnych nadziei. O, święte mury marmurowe od słodkiego dymu! Ileż to pożądlivosti nam dano! Do jakiej pożądlivosti jesteśmy zdolni! Kopała świątyni była tak głęboka, jak kalifornijski kanion. Te sępy wiszące w powietrzu - o jedno uderzenie skrzydeł za krawędzią Signal Ridge - czułyby się tam jak w domu. Ktoś mógłby mi nie uwierzyć, ale wydawało mi się wtedy, że czułem ich obecność, a przynajmniej obecność czegoś podobnego do nich: czułem, jak obserwują mnie drapieżne ptaki, unoszące się wysoko w gigantycznym mroku.

Wiara zniknęła z tych miejsc, potęga serc potrzebna do lotu - w to wierzę. Ale przyjeździecie do Kalifornii. Stańcie nad krawędzią kanionów, jeśli chcecie, by świętość uniosła was w przestworza. Jeśli marzycie o prawdziwej, przejrzystej ciszy, jeśli chcecie, by cisza śpiewała - przyjeździecie do Kalifornii.

Nieczęsto przyjeżdżałem do ogródka, ale mój wspólnik--plantator, Clarence, wyjechał w tym miesiącu do Los Angeles - jeśli dobrze pamiętam - żeby kantować w pokera czy wystąpić w roli drużby na ślubie transwestytów, w każdym razie robić coś wielce nieświętego. Podczas jego nieobecności sprawdzałem naszą inwestycję co dwa, trzy dni, upewniając się, że jest nawadniana. Teraz stoję na zboczu z głową wystającą ponad małą dżunglę. Przyciąłem rośliny, a martwe liście ukryłem w kieszeni na piersi. Pogłaskałem ostre pa-

luszki krzewów. Górne liście nie były zwyczajnie lepkie, pokrywała je substancja zupełnie nie z tego świata, całkowicie niezemska, nie moja. Wyobraziłem sobie matkę, która chwytła mnie teraz za rękę i krzyczy: „Nie dotykaj tego!” Niemal wszystkie z dwudziestu siedmiu krzewów były w doskonałej formie - niemal wszystkie, bo jeden niedomagał. Przesadzając flance wiosną (byliśmy zdenerwowani: od wielu miesięcy nie odwiedzaliśmy tego miejsca, które wtedy wydało nam się obce, niebezpieczne, a nawet przeklęte), niechcący osłabiłem korzenie tego krzewu, podwijając je do góry. Nieborak nigdy nie doszedł do siebie. Wyrwałem go. Teraz zostało nam tylko dwadzieścia sześć. A każdy z nich może być wart siedem tysięcy dolarów albo i więcej.

Mój wspólnik, Clarence, jest surferem. Robi wszystko z nieobecnyim wyrazem twarzy. Między zbiorami a sadzeniem, po sprzedaży plonów w Los Angeles, podróżuje po całej zachodniej półkuli, przemierzając fale tego świata na dużej, sztucznej stopie ze szklanego włókna. Szybkuje ku plażom Nikaragui czy Salwadoru, nie mając o niczym pojęcia. Lewica, prawica, walka klas, rewolucja agrarna - Clarence nic o tym nie wie, a jego jedynym marzeniem jest czuć pod sobą miękkość piasku. Gdy wraca z tych zimowych podróży, jest bardzo ożywiony - inaczej niż zazwyczaj. Ma tak ciemną opaleniznę, że oczy błyszczą mu z jakąś maniacką świętością.

Clarence jest kilkanaście lat starszy od tutejszych surferów, ale wytrwale posługuje się subkulturowym żargonem. „Nie szum mi, koleś” - mówi do mnie jak do fali.

Zgodnie z naszym układem do Clarence'a należy pilnowanie roślin. Ja zarządzam całością, zajmuję się ewentualnymi problemami prawnymi, nawiązuję kontakty handlowe na południu i trzymam kasę. Może mi ufać, bo gdybym go zawiódł, gdybym go oszukał, wyprułyby mi flaki, rozprawiłyby się ze mną. Clarence był działonowym w marynarce wojennej i jakimś cudem brał udział w walkach lądowych w Libanie. Zabijał ludzi gołymi rękami i jeszcze dali mu za to medale.

W czasach, o których myślę, często się zastanawiałem, czy go nie wynająć, żeby pozbyć się swego byłego przyjaciela Harry'ego Lally. Skończyć z nim, zamordować. Plan nie do-

szedł jednak do skutku, bo za wiele poszlak wskazywałoby wprost na mnie.

Jeśli chodzi o Winonę, wymarzyłem sobie nieszczęście, wypadek związany z pracą. W końcu posługiwała się piłą mechaniczną! To nie był plan, raczej wizja, w dodatku napiętnowana poczuciem winy, ale cieszyłem się nią i podniecałem niemal tak samo jak marzeniami o piratach i Piotrusiu Panu w dzieciństwie. Oczami wyobraźni widziałem Winonę leżącą na trawie lśniącej od krwi, wpatrzoną dzikim wzrokiem w nieszczęśliwie odpilowaną część ciała: rękę albo nogę. Nic z tego! A mógłbym być uleczony! Przez pewien czas ukrywałbym się z Melissą przed wyrzutami sumienia, wlewając forszę z ubezpieczenia - pół miliona z polisy Winony, ubezpieczonej w tej samej wysokości co ja - wprost do gardła i do baków szybkich samochodów, a potem wróciłbym z nią do mojej wspaniałej posiadłości, uprawiał marihuanę i spokojnie czekał na spadek po ojcu.

Pół miliona! W tej wizji nie muszę zabijać Harry'ego Lally. Rzucam mu sto patyków z kupki i Harry odchodzi uszczęśliwiony.

Harry Lally chce ode mnie pieniędzy i z pewnością wynajmie ludzi, żeby je dostać. Jestem niemal pewien, że już to zrobił, że jego ludzie są coraz bliżej... dwa typy, dwaj szpetni mężczyźni, którzy utrzymują, że są drwalami z okręgu Del Norte, wypytuja o mnie po nazwisku w sklepie żelaznym Jaya Haymakera, dwaj powolni, muskularni, odziani we fla-nelę ludzie z gór. Niby polują na dziki - tłumaczą się -dlatego podróżują z całym arsenałem i trzema psami. Podobno są moimi starymi znajomymi. Podobno chcieliby - mówią, krztusząc się ze śmiechu pod starym dagerotypem w sklepie Jaya, przedstawiającym pięciu rewolwerowców powieszonych na krokwi w stodole (poniżej jest tekst: TAK WYGLĄDA NASZA POLITYKA KREDYTOWA) - zabrać mnie ze sobą w góry. Pytanie, czy miałbym ochotę z nimi pojechać!

Wciągnąłem w płuca ostry smród wyrwanej rośliny. Zapowiadały się zbiory najwyższej jakości. Jeśli tak dalej pójdzie, niedługo Clarence i ja będziemy bogatymi ludźmi. Wzgórza pod mną opadały w głąb kontynentu, ku miejscom, gdzie włoskie rodziny niezmiennie uprawiały winorośl i wyrabiały z niej wino. Widziałem z tej wysokości opary życia

kotłujące się nad winnicami Sonomy, w których wychowała się moja babka. Okolica przypominała sycylijskie wzgórza, wznoszące się nad Palermo, i położoną w głębi wyspy wi-nodajną krainę, w której przyszedł na świat mój pradziadek.

Wywiozłem pieniądze Harry'ego Lally do Palermo. Dałem je poważnemu włoskiemu adwokatowi w solidnych okularach w czarnej oprawie, sprawiającemu ogólnie wrażenie ociężałego, co wzięłem wówczas za przejaw zamożności. Przyczyniłem się do jej wzrostu, oddając mu jakieś sto tysięcy dolarów należących do Harry'ego Lally, za które dał mi cztero-kilogramowy pakiet kokainy. Później zjedliśmy szynkę *pro-sciutto* z miodowym melonem, spaghetti i jesiotra, po czym wypiliśmy kawę - którą nalewaliśmy sobie wprost z dużych, metalowych pojemników z kranikami (zupełnie jak w kawiarenkach mafii) - z dodatkiem gorącego mleka, nalewanego z podobnych naczyń. Napchałem się. Wszystko szło dobrze, pochłonęliśmy lunch na dole w Palmę Grandę, gdzie wcześniej wynająłem z Winoną pokój, a gdzie przed paru laty na antresoli wyróżniło się paru ludzi mafii i trupy spadały po szerokich, spiralnych schodach. Wyczuwałem wokół siebie potężne kamienie tradycyjnego bezprawia: starożytne, nie-przeniknione, chroniące mnie od świata.

Dwa dni później na lotnisku w Rzymie wcale nie odnosiłem takiego wrażenia. Czułem pustkę, samotność - i wpadłem w popłoch. Każdy strażnik, przedstawiciel biura podróży, sprzątacze, kelnerka, kontroler biletów - wszyscy czyhali na mnie. Czyhali na mnie i sięgali po broń! Dobra! Strzelajcie! Strzelajcie! Ale, na rany Chrystusa, oszczędźcie mi wstydu przed żoną, nie demaskujcie mnie, nie rozbijajcie w proch skorupy, którą się okryłem, nie ukazujcie przyprawiającej o mdłości brudnej prawdy, jaka się pod nią kryje! Winonie nawet nie drgnęła powieka. Nie miała o niczym pojęcia, nie odwróciła się, żeby powiedzieć - jak w jednym z jej ulubionych filmów Hitchcocka (których, nawiasem mówiąc, nie lubię: wszyscy są w nich zbyt szczęśliwi i tacy zwyczajni -James Stewart, Cary Grant; podoba mi się tylko *Urzeczona*, ale jedynie do chwili, kiedy wychodzi na jaw, że Ingrid Bergman nie jest wcale zła): „Kochanie, ty drżysz! O co chodzi?”, gdy wątroba wywracała mi się ze strachu.

Na europejskim lotnisku nie tak łatwo jest pozbyć się ano-

nimowego pakunku. Oddziały specjalne nie tolerują takich prezentów. Uznają każdy anonimowy obiekt za potencjalną bombę, dopóki nie przekonają się, że jest inaczej. Nawet kosze na śmieci nie przyjmują przedmiotów większych niż zgniecione chusteczki higieniczne. Spędziłem w toalecie pół godziny, rozszarpując czterdzieści plastikowych torebek, wrzucając ich zawartość - kokainę - do wody i następnie spuszczać rurami majątek.

Gdy tylko postawiłem stopę na amerykańskiej ziemi i przeszedłem przez cło, nie mogłem pojąć natury własnego zamroczenia z rzymskiego lotniska, ba! nie miałem pojęcia, skąd wynikała jego sprawcza moc. Pojawiłem się w salonie Harry'ego Lally z głupim wyrazem twarzy i pustymi rękoma... no, może nie całkiem pustymi, bo miałem w nich wyprodukowane w Japonii opakowanie przesyłki od sycylijskiego adwokata. Nie nadawało się już do niczego, bo płukałem je na lotnisku wodą z kranu. Moja porażka nadwreżyła nić naszej przyjaźni z Lallym. W porządku, nie ma się co oszukiwać: jestem gotów przyznać, że po pierwsze - przez własne skąpstwo, a po drugie - przez towarzyszące mu tchórzostwo zasłużyłem sobie na śmiertelnego wroga. Z którym prowadzę teraz wojnę.

I mam na karku dwóch myśliwych z psami, którzy na pewno są elementem planu Harry'ego Lally, dążącego do wyegzekwowania ode mnie należności. Harry chce swojej forsy. A ja nie mam pieniędzy. Tych ludzi przysłano po to, by odebrać mi wszystko, co da się łatwo spieniężyć - głównie moje dwadzieścia sześć krzewów.

Z chęcią powiedziałbym im: bierzcie wszystko! Weźcie mój zegarek, moje sygnety, moje wędki, buty i skarpetki! Ale krzaki nie są moje! Połowa należy do Clarence'a, zabójcy odznaczonego medalami.

Usiadłem na kupce ziemi i przytuliłem wyrwany krzew, otrzepując i czyszcząc ów martwy płód z liści i spoglądając na kanion. Gdy zbliża się zachód, sekwoje nabierają miedzianej barwy. Gasną liście konopi. Wszechmoc wieczoru wspina się po zachodnich stokach, drząc i niosąc ze sobą zapach chłodnej wilgoci. Zmrok zapada najwcześniej w kanionach, wydobywa się wprost z pęknięć ziemi. Kształty zacierają się. Przyływ królestwa snów wkrada się coraz wyżej

i wyżej do mojego życia. Wilgoć koszmarów tak daleko od morza... Co za kutas ze mnie! Pośród oazy spokoju czuję się jak w klatce, czuję pętlę na szyi. Tylko najchciwszy prostak mógł się wpakować w takie gówno.

Teraz znów przeraża mnie szum opon - wznoszący się i zamierający - na żwirze nade mną. Jestem idiotą. Przecież każdy w okolicy zna moje żółte porsche. Wszyscy podejrzewają, że mam ogródek. Clarence zniszczy mnie, jeśli kiedykolwiek „zasygnalizuję” - by użyć jego porąbanego wojskowego żargonu, jego wojennego słownictwa - naszą pozycję. A może to chłopaki Harry'ego Lally? Tak, „chłopaki Harry'ego Lally” - moje życie mówi teraz kącikami ust na sposób wszystkich gangsterów.

Kurz ciągnący się za samochodem pojawił się dalej na północy, gdzie Droga Wraków skręca o sto osiemdziesiąt stopni. Przejechali.

- Melisso! - wrzasnałem.

Zawsze bałem się, że zniknie, gdy tylko spuszczę ją z oczu; że wskoczy do jakiegoś obcego szybkiego samochodu w poszukiwaniu nowej przygody.

- Nie chcę palić twoich narkotyków, bo jestem już kompletnie i cudownie pijana - jej głos dobiegł z wysoka.

Zacząłem się powoli wspinać, przytrzymując się od czasu do czasu korzeni manzanity i sprawdzając, czy nie zostawiam za sobą śladu z wyrwanych roślin. Gdy zatrzymałem się, by odetchnąć i wytrzeć brudny pot z twarzy kowbojską chustką, usłyszałem, jak śpiewa coś po niemiecku: jakąś ludową piosenkę, może bajkę, coś z bardzo, bardzo daleka, gdzie zawsze mieszkała.

- Kto był w tym aucie? Kto siedział za kierownicą? - krzyknąłem zduszonym głosem, gdy tylko wspiąłem się ponad krawędź stoku.

A oto i ona, moja ukochana: Melissa siedząca bokiem w otwartych drzwiach kabrioletu z zadartą spódnicą między białymi, kruchymi nogami. Chciało mi się płakać. Wszystko! Oddam wszystko, jeśli mnie zmuszą, za tę jedną kobietę.

- Spójrz na mnie - poleciłem jej.

Popatrzyła na mnie pytająco, z uśmiechem, słodyczą i wahaniem w oczach.

- Czy dostrzegasz u mnie objawy szaleństwa?

*

Noce bywają zimne, ale jeździmy z opuszczonym dachem ze względu na tlen. Cyprysy na wysokich nadmorskich zboczach, powykręcane przez wiejące od wieków wiatry, zamienione na stałe w plamy, chmurki, kleksy, wyglądają jak komiksowe rysunki, gdy pędzimy pijani i niebezpieczni przez granatowy zmrok, przyprawiający o drżenie serca. Na morzu kołyszą się światełka łodzi rybackich: jeśli im pozwolić, mogą symbolizować wszystko. Zwalniam, żeby zapalić skręta, wciągam dym razem z wilgotnym i czystym oceanicznym powietrzem. Melissa kręci głową. Wbijam pedał gazu w podłogę.

Kochanie się z Melissą jest niebezpiecznym błogosławieństwem. To niemal wszystko, co chciałbym w życiu robić. Ale po imprezach takich jak dzisiejsza najczęściej zapominamy iść ze sobą do łóżka. Odwożę ją na Acorn Road, na owczą farmę, gdzie mieszka w szokującej przyczepie, i zostawiam. Nieczęsto zdarza mi się odwiedzać jej małe domostwo. Melissa przygarnia dzikie koty, a jej przyczepa przypomina śmietnik.

Melissa jest organiczna. Opisałem ją jako osobę odmóżdżoną przez narkotyki. Ale tak naprawdę, to jada ona tylko surowe warzywa i szprycuje się wyłącznie ziołami i roślinami, co obejmuje większość win i niektóre, bardzo drogie gatunki szkockiej whisky, a także tequili; czasami bierze marihuanę zapieczoną w ciasteczkach - odmawia wchłaniania jej dymu do płuc. Twierdzi, że miała kiedyś raka wątroby, z którego wyleczyła się dzięki autosugestii.

Wiozę ją na sam koniec Acorn Road. Mgła znad rzeki wyszła nam na spotkanie w połowie drogi. Nieuchwytna, lecz wszechobecna.

- Dobranoc. Mam zamiar spać w ubraniu. Mam nadzieję, że przyśni mi się, że nie jestem pijana - powiedziała Melissa.

Nie pocałowała mnie nawet.

Kiedy znikła w przyczepie - jednej z tych zaokrąglonych, aluminiowych silver streamów - położyłem wypełnioną nagle smutkami głowę na kierownicy. Wiatr targał koronami drzew na wzgórzach. Daleki szum obudził owce, które zaczęły beczeć - to trafne słowo, doskonale oddaje starczą, ludzką żalność ich głosów. Po drugiej stronie podjazdu właścicielka tej nieruchomości, Owcza Mama - pięćdziesięciolatka o śród-

ziemnomorskiej urodzie, stosunkowo miła osoba, ale całkiem pomyłona - siedziała przy obiedzie w kuchni domu przypominającego rancho i karmiła prosto z talerza wielkiego psa, który stał nad nią, łapami oparty chyba o krawędź stołu. Bardzo to smutne, gdy kocha się kobietę, która nie potrafi odwzajemnić uczucia; serce mężczyzny rozdziera miłość do kobiety, która oddaje się innym, wykorzystuje go i jego dobre zamiary, nie bacząc na to, o co mu chodzi. Ale mam wrażenie, że ten głupi, bolesny romans jest najbliższy temu - przynajmniej dla mnie - o co chodzi w życiu. I nie jest to niewyraźne wrażenie. Przeciwnie, jest potężne, tak że czuję, iż dotykam prawdy ukrytej za chmurami.

Marząc o jednej kobiecie, jadę do domu do drugiej.

Ostatnio Winona rzadko tu bywa. Na rancho nie palą się światła, a dęby wyglądają jak wycinanki na tle rozmazanych gwiazd.

Prawdę mówiąc, Winona mieszkała tu sama. Jesteśmy w separacji od wielu miesięcy, a zaczęło się to parę tygodni po wykończeniu domu. Ponieważ Winona nie miała kochanka - przynajmniej nikogo, o kim ktokolwiek by wiedział - w niczym nie przeszkadzałem, przychodziłem i wychodziłem, zajmowałem się stajniami podczas jej nieobecności i rzadko przestępowałem próg domu; ściśle biorąc, dziś miałem spać tu po raz pierwszy tego lata. Winona podróżowała wzdłuż wybrzeża, odwiedzając ludzi, których - moim zdaniem - znała za mało, by składać im wizyty. Było to coś w rodzaju pielgrzymki: w tym regionie - gdzie żargon z Haight-Ash-bury trwa mimo upływu lat - nazywamy to „przechodzeniem zmian”.

Postawiłem porsche w stajni. Nie chciałem, by rzuciło się w oczy, gdyż prędzej czy później spodziewałem się wizyty chłopaków Harry'ego Lally. Nie byłem w swoim mieszkaniu, odkąd usłyszałem, że są w mieście. W końcu namierzą mnie tutaj. Ale będę ich widział na miłą i zanim zdążą tu dotrzeć, zejdem ze wzgórza do lasu - lasu mojego ojca; lasu, w którym mieszka mój brat. Nigdy nie domyśla się, że tu byłem, chyba że przeszukają wszystkie przybudówki i znajdą samochód.

Przychodzę i wychodzę, ale z całą pewnością nie jest to już mój dom. Nie ma tu moich rzeczy. W sypialni Winona

śpi na wąskim łóżku. Moje biuro, czyli szopa obok stajni, zostało -jak mówi Winona - lepiej zagospodarowane. Z tego, co wiem, wprowadziły się tam pająki.

Na gwoździu wbitym we frontowe drzwi wisiała wiadomość od Winony z datą sprzed trzech tygodni. „Red ma robaki - lekarstwa są w sklepie z paszą - daj mu zastrzyk”. Zerwałem kartkę z gwoźdźcia, przysunąłem do ust i wdychałem powietrze, próbując wychwycić zapach kobiety, którą poślubiłem. Kobiety, którą wtedy kochałem. Ale ona znikła. Jeden facet powiedział mi któregoś wieczoru w barze hotelu „Gualala”, że gdybym był starszy, wiedziałbym, że ludzie przechodzą różne epoki, że kiedy zmieniają się i giną, można znaleźć ich gdzieś w następnej erze. Nieco później tego samego wieczoru facet stał się nieprzyjemny wskutek wódki i trzeba go było poskromić. Rzucił się na mnie z wściekłością - odciągały go mięsiste łapska rybaków i czarne od smaru ręce nafciarzy. Jego wzrok nadał nowy sens tamtemu banałowi. Przyglądał mi się w skupieniu w prawdziwie psychotyczny i zwierzęcy sposób. Jego źrenice paliły i mroziły jednocześnie. Czułem oparzeliny i gęsią skórę - miażdżył mnie wzrokiem przez okno, gdy schodziłem z drewnianej hotelowej werandy w mrok. To tyle, jeśli chodzi o rozsądek naszych psychoterapeutów. Ten szaleniec nie pomógł mi odnaleźć Winony ani w jej obecnej epoce, ani w żadnej innej. Nie pytajcie, kim jest ta kobieta, która chodzi w ciele mojej żony z dumnie podniesioną głową.

Obudziłem się w nie swoim łóżku, obudziłem się, czując zapach żony, ale to nie był ten, który miałem w pamięci. Stałem na górze blisko poręczy i przyglądałem się zmianom, jakie zaszły w domu, odkąd byłem tu po raz ostatni. Tego ranka drżały mi ręce. Spałem w ubraniu. Moja obcość przerażała mnie. Jedyną radość odczuwałem na myśl, że mogę zaraz stąd wyjść. Postanowiłem pożyczyć od Winony starą półciężarówkę i napić się kawy w mieście.

Prowadząca wzgórzami przez kilkanaście mil, droga biegnie równoległe do morza, opada ku wąwozom, przecina strumienie i znów wspina się na zbocza. Nie jest to Droga Nadbrzeżna, ale znacznie węższa trasa, odpowiadająca mojemu ³utu i mojemu stylowi prowadzenia, ale nie wielgachnemu

dodge'owi Winony. Nie ma tu poboczy, drzewa wpychają się na jezdnię. Wzdłuż drogi mieszkają zwykli, szczęśliwi ludzie, których domostw nie widać z okien samochodu. Często składają na mnie doniesienia za przekraczanie szybkości. Wyczuwam ich obecność w lasach: zajmują się swoimi zwierzętami i ogródkami. Dla nich ciemne zakamarki myśli mają u samego wlotu znak: „Zakaz wjazdu”. Wszystko jest świetnie, trzeba tylko zetrzeć to guano z lewego buta, które pozostawiła za sobą w trawie jedna z ich niezliczonych gęsi. Przesiąknięta słońcem, kalifornijska mgła o poranku. Brzęk wietrznych dzwonów, koty przewracają się na boki i przeciągają w dojrzałej zieleni w rytm muzaku z gatunku New Age - czegoś, co nazywam „elektroniczną oczywistością” i co opada na wszystko kropelkami niczym letni deszczyk. Moi dobrzy sąsiedzi. Kiedy słyszę, jak moi dobrzy sąsiedzi rozmawiają w drugistorze o broszurach wydawanych przez Drukarnię Rządową, broszurach o ogrodnictwie rozdawanych za darmo, mam ochotę ich zabić. Podejrzewam, że wszyscy doświadczamy podobnego uczucia od czasu do czasu. Wszyscy... to znaczy kto? No... chyba ci, których powinno się ścigać i wsadzić, jak mniemam, do pudła.

Na szczęście dzisiaj nikt nie gawędzi w drugistorze. Dzisiaj zatrzymuję się w sklepie z paszą, by kupić worek owsianej siewki i worek lucerny. Moja żona Winona od najmłodszych lat miała kasztanowatego konia, który nazywał się Red. Obecnie Red ma ponad dwadzieścia pięć lat. Nie robi nic oprócz spożywania siana i konsultowania się ze swoim weterynarzem w sprawie nękających go żołądkowych przypadłości. Dostałem, zdaje się, jakiś list? Coś o jakimś lekarstwie? Znalazłem go w kieszeni na piersi: Red ma robaki.

Wpadłem na jedną z przyjaciółek Winony.

- Witaaam... - Miała na imię Yvonne.

- Yvonne! Witaj! Właśnie coś kupuję - mówiąc to, powiedziałem więcej niż bym chciał, jak zwykle w zetknięciu się z osobami, których nie lubię.

- Nelson, jak się masz?

- Wspaniale, świetnie! Kupujesz nasionka dla ptaszków? - zapytałem zupełnie bez powodu.

Podniosła wyżej kartonowe pudło.

- Tu są białe szczury!

W tej części świata ludzie mogą robić, co im się żywnie podoba, mówić, co im ślina na język przyniesie, i być takimi, jakimi akurat chcą być - bez potrzeby usprawiedliwiania się przed kimkolwiek. Jutro mogą się stać swoimi przeciwnościami.

- Białe, powiadasz?
- Nie widziałam cię, odkąd rozstałeś się z Winoną. Jak to na ciebie transponuje?
- Transponuje?
- Tak, jak to na ciebie transponuje?
- Chodzi ci o to, jak przebiega separacja? Jak funkcjonuje to, co niefunkcjonalne? Mówiąc krótko: jestem skonfundowany, smutny i wkurwiony.
- Restrukturyzacja związku - zauważyła dowcipnie.
- Wyciągnęła rękę i uściśniła mi dłoń. Zapewne wyobraża sobie, że jest uzdrowicielką.
- No cóż, do zobaczenia.
- Czołem.
- Wszedłem do sklepu, nie oglądając się za siebie.
- Yvonne kupiła dwa szczury - poinformowała mnie kobieta z za kontuaru.
- Dlaczego sprzedajecie szczury?
- Kupuje małe zwierzątka, ale nigdy nie bierze dla nich klatek. Czyżby je wypuszczała?
- Kto wie i kogo to obchodzi?
- Niektórzy ludzie karmią chomikami węże.
- To dlatego sprzedajecie chomiki i gryzonie w sklepie z paszą?
- Ja nic o tym nie wiem. To nie jest mój sklep.
- Ani mój.
- Czy to nie pan któregoś dnia sprzedawał owoce?
- Wszystko jest możliwe.
- Był pan pijany i sprzedawał owoce.
- Pomagałem tylko sprzedawcy. Zaczęliśmy rozmawiać i tak od słowa do słowa... sama pani rozumie.
- Zawsze kupuję owoce na straganie. Są lepsze niż w sklepie. Tańsze.
- W zasadzie nie przyszedłem tu po to, żeby rozmawiać o owocach.
- Ani o niczym innym, moja droga pani ze sklepu z paszą.

Znam ją od lat - długie rude włosy, lśniące niebieskie oczy: właścicielka karmelkowego mózgu. Rozćwierkana, jakby co dzień stała na progu jakiejś niewyobrażalnej katastrofy. Wyjechała z Los Angeles tak dawno temu, że wpadłaby w popłoch, gdyby przenieść ją na ulice tego miasta. Ledwo daje sobie radę wśród worków z sianem.

- Potrzebuję coś na odrobaczenie - powiedziałem.

- O... - mruknęła ze współczuciem. - Red chory? Chory? To zwierzę od wieków stoi nad grobem. Jego pani regularnie robi mu lewatywę, szepcząc czule słówka do ucha. Jego pan pojawił się w sklepie z paszą nękany kacem i oto stoi teraz przed tobą w chwili, gdy pęka ostatnia nić, która go łączyła z rzeczywistością.

- To dla mnie - rzuciłem. Roześmiała się. Tu, w Kalifornii, okazujemy radość i gniew w jeden i ten sam sposób: krótkim, urywanym kalifornijskim śmiechem. Trzeba mieć wyrobione ucho, by uchwycić różnicę. Tu, w Kalifornii, nigdy nie jest „dobrze” ani „źle” - nie, w tej superwygodnej wieczności nad oceanem chwile odmierza się innymi słowami. Wszystko, co niepożądane - od irytującego drobiazgu do globalnej tragedii - jest *okay*. A wszystko choćby odrobinę lepsze - od miliardowej wygranej na loterii do drugiego nadejścia Chrystusa - jest *cool*.

- To załatwi robale - powiedziała, wręczając mi lekarstwo dla Reda w małej białej torebce. - Sam pan załaduje siano?

- Bezsprzecznie. - Kolejna przydatna fraza z wiejskich okolic Kalifornii.

Na zewnątrz dostrzegłem dwóch obcych, którzy rozglądali się za mną - prawdopodobnie po to, żeby mnie zabić - i to było *okay*. Minęli mnie w swym wielkim wozie kempingowym. Zmierzali na południe. Nie znaleźli mnie, przynajmniej nie tym razem. I to było *cool*.

Najwyżej pół godziny później jadłem coś w rodzaju śniadania w oddalonym o pięć mil na północ Anchor Bay. Jedzenie nie było smaczne. Za dużo cynamonu w szarlotce. Oprócz tego kucharz wylał na płytę paleniska chemiczny środek czyszczący i wszyscy zaczęli się dusić w kawiarni „Pod Pełnymi Żaglami”.

Policjant z Point Arena - nowy człowiek w naszej części

wybrzeża - denerwował mnie od jakiegoś czasu, siedząc w pełnym umundurowaniu przy ladzie i śledząc każdy ruch szkapowatej, ciemnowłosej kelnerki. Wyglądał przy tym na znudzonego i spragnionego rozrywki w rodzaju aresztowania kogoś.

_ Naprawdę chciałbym się z tobą umówić - powiedział do kelnerki.

_ O co ci chodzi? - zapytała.

- Poszlibyśmy do kina albo gdzie indziej.
- Do kina w Point Arena?
- Albo na podmorskie wyścigi.
- Słyszałam o nich - mruknęła.

_ Moglibyśmy też pożyczyć film na wideo.

- Lubię wideo.
- Te brzydkie też?

Nie odpowiedziała.

- Chcesz obejrzeć brzydki film na wideo?
- *Okay* - stwierdziła.
- Lubisz gliniarzy? Lubisz mundury?
- Nie wiem - odparła. - No... chyba tak...
- Wezmę film o gliniarzach.
- Szybko zmierzasz do celu, no nie?
- Może w ogóle zrezygnujemy z wideo.
- I to ma być rozrywka!
- Może nakręcimy sobie własne wideo. Ja mogę grać gliniarza.

- Niby tak - zgodziła się. - Masz już mundur.
- Mógłbym być bohaterem. Znaczy się - w filmie...
- A kto będzie przestępcą?
- Mogę być i przestępcą.
- Nie masz wyboru.
- Gwałcicielem?
- Inaczej bym na to nie poszła.

Nagle straciłem zainteresowanie dla tej ciekawie rozwijającej się konwersacji, bo przed kawiarnią „Pod Pełnymi Żaglami” pojawili się dwaj myśliwi. Postawili wóz obok pi-kapa Winony i jeden z nich wszedł do lokalu. Znaleźli się tu przypadkiem, nie mogli przecież znać starej półciężarówki mojej żony, ale natychmiast umarłem. Jeździli długim chevy silverado.

Zapłaciłem tak szybko, jak tylko się dało, a wychodząc, powiedziałem „dzień dobry” do gliniarza, który nazywał się chyba Navarone. Kiwnął głową.

- Którą ma pan godzinę? - zapytałem tylko po to, żeby widzieli, jak z nim rozmawiam.

- Piętnaście po dziesiątej - odparł. - Czemu pan pyta? Na ścianie wisi zegar.

- A... ten... - mruknąłem.

Znałem gliniarza z widzenia. Był chłopcem z dużego miasta, gdzie mu się nie powiodło, i dlatego przyjechał do nas deptać ludziom po piętach, wlepiac mandaty za złe parkowanie i bez powodzenia szukać zaginionych zwierząt domowych.

Złapałem myśliwych, gdy odpalali swoje idiotyczne sil-verado. Słyszałem szczekanie i drapanie psów w kempingowej skorupie. Ten, który był w sklepie, wrócił z jakimś pakunkiem.

- Hej, wy! - krzyknąłem i wskazałem palcem okna ka wiarni. - Powiedziałem o was policji.

Nie było ich dobrze widać, ale sprawiali wrażenie dużych i silnych. Żaden nie nosił czapki. Myśliwi - jak mi się wydawało - powinni nosić czerwone czapki, żeby nie postrzelił ich inny polujący.

Ruszyli na wstecznym biegu, nie zwracając na mnie uwagi.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy się nie pomyliłem co do nich. Stałem na parkingu zażenowany i rozmyślałem: Kim jesteśmy, przepraszam, a kim my wszyscy mamy być, do ciężkiej cholery! Spojrzałem w głąb kawiarni.

I nagle doświadczyłem radości, widząc ludzi za szybą: gliniarza i kelnerkę... niemych teraz... drżących na myśl o fałszywych rozkoszach. Jego gadanina była żałosna. Wyglądał jak zbity pies, jakby właśnie zakończył opowieść, której ostatnie słowa brzmiały: „Wtedy byłem szczęśliwy...”.

Wróciłem do domu Winony z workami siana podskakującymi na pace samochodu i z lekarstwem dla konia, upewniając się po drodze, czy nie jedzie za mną ktoś, kto mógłby mnie zamordować. Jeśli istotnie ktoś chciał mnie zamordować. Dziki... dziki... Może naprawdę chodziło im tylko o dziczyznę? Nie zrobili przecież nic złego, oprócz kłamstwa co

do znajomości ze mną. Ale za to nie wsadza się ludzi do więzienia.

Gualalę przykrywała warstwa chmur. Na wzgórzach było przejrzyste i dom jaśniał biało w słonecznym blasku. Nie dokończyłem śniadania. Widok tych dwóch odebrał mi apetyt i kazał ruszyć w drogę. Usiadłem na tarasie za domem -ukryty przed oczami tych, którzy mogliby przybyć od strony podjazdu - mając ze sobą litr wina i cieniutkiego papierosa skręconego z zeszłorocznej *sinsemilli*.

Ze szczytu wzgórza spoglądałem tego ranka na powłokę z chmur. Nie widziałem morza, jedynie skłębioną pustkę pod błękitnym niebem. Na zachód ode mnie nie było niczego, żadnej ziemi, żadnych gór, nic, co by przewyższało moją posiadłość. Równie dobrze mogłem siedzieć na wysokości siedmiu mil nad światem. W rzeczywistości nie znajdowałem się wyżej aniżeli 2200 stóp. Wyższe wzniesienia leżą na wschód od tego miejsca, a od oceanu dzieli nas sześć mil.

Uwielbiam siedzieć tu samotnie, wpatrywać się w północnokaliifornijski poranek, pić północnokaliifornijskiego klareta i palić północnokaliifornijskiego skręta. Z lewej strony staw, niemal trzy akry błękitnozielonej wody, a poniżej - skłębione morze drzew mojego ojca, opadające wraz z ziemią ku chmurom. Z prawej strony, jednocześnie na północ ode mnie, lśni małeńka pomarańczowa kopuła: świątynia tybetańskich mnichów, stojąca wysoko w górach. Na najwyższych szczytach na wschodzie widać dwie jaskrawobiałe budowle z kształtu podobne do tybetańskiej i nawet - jak się nad tym zastanowić - o podobnym przeznaczeniu: są to dwie stacje radarowe amerykańskiego lotnictwa, wysyłające w eter mikrofalowe mantry.

Siadywałem tu, słuchając jednym uchem Winony i wędrując myślami po oceanie.

Winona zrobiła się niedobra wkrótce po zaprzyjaźnieniu się z Yvonne. Jej „uroda” nabrała cech prosiakowatości. Na skutek subtelnych transformacji urok stał się mierzwą. Nie, nie przytyła. Straciła tylko bystrość spojrzenia, jej oczy zbliżyły się do siebie od ciągłego zapatrzenia we własne wnętrze. Jej słownictwo wzbogaciło się o pogardliwe chrząknięcia, którymi bez przerwy mnie traktowała, twierdząc, że robi to nieświadomie.

Jej kumpela Yvonne jest bardzo New Age. Zajmuje się ciałami astralnymi, kryształami, magią wicca i podobnymi sprawami. Odbywa „sesje” - seanse, podczas których wnikają w nią, jak twierdzi, różne niematerialne byty, gotowe rozwiązywać cudze problemy miłosne i odpowiadać na pytania o przyszłość. Kontakty z dawnymi wcieleniami nawiązuje za pomocą Ouija, planszy do wywoływania duchów. Warto przy tym pamiętać, że w jej zabawach biorą udział dorośli, a w trakcie seansów pewna ilość gotówki przechodzi z rąk do rąk. Ogólnie rzecz biorąc, Yvonne jest zawodową czarownicą. Ma zdecydowanie zielone, zabójcze oczy. Rozdyma nozdrza. Według mnie wygląda jak wiedźma, ale nie z powodu kostropatego i haczykowatego nosa. Mówiąc szczerze, jest całkiem ładna. Ale gdy o niej myślę, jej twarz jawi mi się zupełnie inaczej, jest niepociągająca, wręcz budzi niepokój. Słowiańskie kości policzkowe i szeroki nos - przez to częste rozdymanie nozdrzy - zaczynają wyglądać, gdy o nich pomyślę, jak groteskowe oblicza rzygaczy na murach włoskich kościołów. Na przykład w Palermo, gdzie nad moim życiem zapadła wieczna noc. Twarz Yvonne i oblicza rzygaczy stapiają się w jedno monstrum, które przypatruje się moim najgłępszym posunięciom. Yvonne jest prawdopodobnie nieszkodliwa, ale jej nienawidzę. Kojarzy mi się z wieloma złymi rzeczami.

Siedzę na tarasie i myślę w sposób napadowy, aż w końcu czuję odrętwienie od skreła i pomieszanie od aktywności mózgu. Myślę o nieszczęściach w interesach, o żonie, kochance, moim regionie oraz korzyściach i stratach z nim związanych. O moim bracie idiocie. O okropnym ojcu. Wolna wola? Osobiście podejmowane decyzje? To nie takie proste. Niestety, nie. Czymże jestem, jeśli nie kłębkim, ciemnym, splątanym zwojem prowadzących do mnie nici? Sznurków, które nie pozwalają mi działać, a dopiero szarpaniem zmuszają do czynu. Jeśli nie będę się trzymał, rozerwą mnie na strzępy. Jeśli chcę iść dalej, muszę jednak zerwać te więzy, przeciąć je raz a dobrze, co zresztą oznaczałoby mój koniec w nie mniejszym stopniu niż ich.

Ciekawe, czy na świecie jest więcej takich ludzi jak Yvonne (która udaje, że jest taka): synów i córek typów bratających się z tajemnymi mocami, gotowych do machinacji za kuli-

sami, ciemnych interesów za spuszczoną kurtyną? Takich jak wiedźmy, które ukradły krucyfiks Carli Frizelli - chciałbym z nimi porozmawiać. Milt Sharkey twierdził, że wiedźmy ukradły krucyfiks, który wyrwał z pazurów Puszka. Słyszeliście o Puszkę, baśniowym stworze cierpiącym - jak wilkołak - na rozdwojenie jaźni, tylko że w podmorskich głębinach? Człowieku-foce, który nocami wychodzi z oceanu, a wstydząc się swej plugawej, mokrej powłoki, krzywdzi niewinnych ludzi?

Mówi się, że Puszek był kiedyś człowiekiem, jednym z marynarzy we flotyli liczącej siedemnaście statków, która poszła na dno u naszych brzegów podczas sztormu w 1903. Człowiek ten nie zginął, jak jego towarzysze, gdyż bałwany zaniósł go poza Shipwreck Rock. Nie roztrząskawszy się o skały, dryfował, trzymając się jakiejś deski, i powoli zamarzał na śmierć. Był już ledwie żywy, gdy przypadkiem wpadł na wielką fokę. Nie zastanawiając się wiele, wyrwał zza pasa nóż i rozplątał zwierzę od łba po tylne płetwy. Wciągnął sobie na grzbiet krwawe futro i dzięki temu ocalał: następnej nocy fale wyrzuciły go na brzeg. Od tego wszystkiego pomieszał mu się rozum, nie zrzucił foczego futra i uznał się za morskiego ssaka. Czasami, gdy psychoza ustępowała, błąkał się w marynarskiej bluzie po wybrzeżu i szukał we mgle ludzkich siedzib, drogi powrotnej do nich. Widziało go wielu drwali i traperów, wielu innych słyszało, jak płacze, gdy ucieka od światła padającego z okien drewnianych chat. W końcu jednak ów nieszczęśnik zaprzyjaźnił się z pewną dziewczyną, niejaką Carla Frizelli. Wkrótce po okolicy rozeszła się wieść, że Carla folguje sobie po nocach z morskim zwierzęciem. Wyśmiewano ją i poniżano. Miejscowy lekarz stwierdził po zbadaniu jej, że została zdeflorowana w jakiś niewyobrażalny sposób. Pewnej niedzieli w kościele Św. Alfonsa w Point Arena proboszcz wyklął ją z ambony. Na pewien czas zamknięto Carlę w Ukiah, o czym pisały gazety z San Francisco. A potem Carla znikła. Nikt o niej już nigdy nie słyszał, podobnie jak o jej morskim kochanku. Jediną rzeczą, która po niej została, był wplątany w wodorosty krucyfiks wyrzucony przez morze. Znalazł go Milton Sharkey na plaży Bowling Bali. Przez lata krucyfiks wisiał na gwoździu w jego chacie. Sam go tam widziałem, i to nie jeden raz. Morska sól wy-

trawiła srebrzystą powłokę, tak że Jezus z krucyfiksą był zielony. Milt był chłopcem, kiedy go znalazł, i starcem, gdy mi go pokazywał. Teraz chyba już nie żyje, a jeśli nawet żyje, to oddali go pewnie do domu spokojnej starości. Nie wiadomo, co gorsze. Chata Milta wciąż stoi, wciąż w jej ścianie tkwi gwóźdź. Tylko krucyfiksę już nie ma. Jak wieść niesie, dostał się w łapska miejscowych wiedźm, które posługują się nim podczas swoich bluźnierczych obrzędów i wygłaszają nad nim zaklęcia. To możliwe. W okolicy pełno jest takich dziewczuch. Tak, zwróciłbym się nawet do nich o pomoc, gdyby nie były tylko zaćpanymi ulicznymi „zdobnymi” w runiczny tatuaż, gdyby naprawdę znalazły się na gusłach i zaklęciach.

Wierzcie mi, że marzy się o czymś takim, gdy człowiek zbudował sobie tak zwichrowane życie na opoche z kłamstwa, własny zdeformowany wszechświat. Ale marzenia nie są końmi, nie są nawet wiedźmami. Żeby przetrwać w tym podziemnym świecie, trzeba praktykować *bushido* - drogę wojowników, duchową sztukę samurajów bycia martwym jeszcze przed śmiercią. Zapomnij o sobie i idź na wojnę. Nikt nie pomoże ci magicznym zaklęciem. Nie pozostaje ci nic innego, jak wynająć płatnego mordercę.

Mój wspólnik Clarence. Kiedy ma zakurzoną twarz, nie zauważa tego i nie wyciera ręką brudu. Pijąc kawę, wysysa z wąsów kropelki płynu. W najgłębszym spokoju ducha przechadza się w swych szerokich gaciach, które ledwo trzymają mu się na biodrach. Rozmawia o częściach samochodowych, nastoletnich kobietach i morskich prądach. Na torsie - od krocza do ramion - ma siedem blizn po kulach, które wpakowali mu terroryści w zasadzce w Bejrucie tego samego ranka, gdy w zamachu bombowym zginęło tam dwustu amerykańskich marines. Nie pamięta owej chwili z miejskiej pustyni, kiedy jego życiowe siły pchnęły go poza pojmanie, gdy zrzucił z siebie więzy, a utajona żywotność eksplodowała w morderczym instynkcie - wyróżnął wtedy sześciu terrorystów, za co dostał wysokie odznaczenia - niczym w dwu-dziesięciosekundowym spazmie zwykłego spalania adrenaliny. W razie czego Clarence z pewnością poradziłby sobie z najemnikami Harry'ego Lally. Na deser zjadłby jeszcze ich psy.

Ale chodzi mi po głowie inny plan. Straszliwy plan. Plan, który mnie zasmuca, gdy myślę o nas wszystkich.

Faceci polujący na dziki szukali mnie tamtego popołudnia na ranczu Winony: ich kempingowy wóz pruł podjazdem, podskakując ciężko na nierównościach i ciągnąc za sobą chmurę pyłu. Nie czułem się zaskoczony. Dom Winony z pewnością nie był ostatni na ich liście.

Zeskoczyłem z tarasu i ukryłem się na gęsto zalesionym zboczku niedaleko domu. Wyjrzałem z zarośli. Wskoczyli z kabiny, zostawiając otwarte drzwi i włączony silnik. Pędzili w stronę domu. Ich muzyka pochodziła z włoskich westernów, słyszało się w niej grzechotniki i wybuchowe pasaże meksykańskiej gitary. Nie próbowali podchodów, zresztą psy i tak by im na to nie pozwoliły: oszalały na dźwięk otwieranych drzwi. Myśliwi byli takiej postury, jak mi się wydawało. Tylko jeden był może nieco wyższy i szczuplejszy. Maszerowali obok siebie, kiwając barkami, wymachując ramionami, przebierając dłońmi w powietrzu. Co ciekawe, nie zapukali. Na szczęście dla drzwi sprawdzili najpierw, czy są od środka zamknięte, nim zdecydowali się je wyważyć. W tych rejonach mało kto zamyka drzwi na klucz. W powietrzu panował taki spokój, że usłyszałbym, jak wałą obcasami w podłogę, gdyby była drewniana. Swego czasu kazaliśmy jednak położyć w całym domu terakotę - znacznie trwalszą i niepodatną na wibracje.

Przykucnąłem w zaroślach nie dalej niż trzydzieści stóp od tarasu i śledziłem ich milczenie, które jak gigantyczny wieloryb płynęło i przewalało się przez pokoje. Z drugiej strony dachu dobiegało stłumione skamlenie psów. Byłem bosy. Siedziałem na tarasie w białych sportowych skarpetach. Cisza... cisza... Potem w kuchni zaczęły się otwierać i zamykać szafki. Nie chciałem tego! Łzy piekły mnie pod powiekami, ale żadna nie wypłynęła na zewnątrz. Piekące, kwaśne łzy, od których dostaje się wrzodów.

Gdzieś w domu leżała broń. Zostawiłem ją Winonie. Magnum kaliber 0,357 - oryginalny Smith and Wesson z numerem seryjnym poniżej czterech tysięcy. Prawdziwy rarytas dla kolekcjonerów. Co z tego, kiedy zapomniałem, gdzie był ostatnio widziany. Zresztą i tak bym go nie użył przeciw

takim typom. Czasami myślałem sobie, że jestem zupełnie opanowanym facetem - może nawet kowbojem - z moim 0,357 i 0,356, produktami firm Smith and Wesson oraz Porsche. Na dokładkę miałem jeszcze ranczo z wypalanej cegły. W obecnym stanie ducha z chęcią zrzekłbym się wszystkich trzech własności.

Brat miał chatę w odległości mili od mojego domu. Więcej niż połowę tego dystansu pokonałem, skradając się od drzewa do drzewa. W samych skarpetach. W końcu znalazłem jego podjazd. Na szczęście przez cały czas droga prowadziła w dół, inaczej w ogóle bym się jej forsowania nie podjął. Modliłem się tylko, żeby nie spuścili psów.

Mówiąc szczerze, nigdy wcześniej nie wędrowałem po tych lasach. Ta cudowna sceneria i atmosfera były czymś, co warto było zobaczyć, czym warto było pooddychać. Mimo to pogrążałem się w nich bez przyjemności, wznosząc tumany kurzu, raniąc się o szorstką korę i dziurawiąc skarpety na ostrych kamieniach. Tego rodzaju podniety były potrzebne mojemu bratu Billowi, który zerwał z cywilizacją. A ja byłem człowiekiem chorym, miałem kaca i żadnego interesu w obijaniu się o pnie. Jakiś czas temu przemyślałem nad zgłoszeniem się do takiego miejsca, gdzie żywią ludzi ziarnem i ziołami i pomagają opanować picie. Nigdy jednak nie spotkałem mistrza opanowania - gdzie oni wszyscy się podziali? W porządku! Niech więc piją ze mną mój strach. Niech spróbują, jak smakuje, gdy wzbiera w żołądku i ogarnia całe ciało, przesuwając się wzdłuż kręgosłupa. Niech poznają, jak się czuję, gdy wydaje mi się, że wiszę do góry nogami, a wszystko płynie nie w tę stronę i krew tryska z uszu. Potrzebuję czegoś na uspokojenie. Ci faceci są u mnie w domu, dotykają moich sprzętów, chodzą po moich pokojach. Ci faceci to tylko jedna z wielu, bardzo wielu przeciwności, którym niepodobna stawić czoła. Ukryłem porsche, ale zapomniałem o sportowym obuwiu, które stoi sobie obok kuchennego stołu. Znajdą brudne naczynia w zlewie, a na górze odcisnięty zarys mego ciała i plamy potu na zmierzwionej pościeli. Gdyby mieli choć trochę oleju w głowie, spuściliby psy i poszli moim tropem. Wątpię, czy są aż tak przedsiębiorczy.

Dotarłem do ścieżki wydeptanej przez jelenie i ruszyłem na dół pewniejszym krokiem. Podczas tego spaceru prawdzi-

we wydarzenia rozbłyskiwały jak iskry nad resztkami snów zapamiętanych z poprzedniej nocy. Gdy nastąpiłem na cierń, przypomniałem sobie sen o dużym owadzie. Złapałem go j wyrwałem mu skrzydła, a potem zmiądzżyłem drania stopą. Odwzajemnił się, wbijając mi bezradnie żądło w podeszwę. Czy śniłem o tym miejscu? O tych drzewach? Po jakimś czasie pochłoneła mnie mgła. Zrobiło się chłodno, a między drzewami panowała cisza, gęsta niczym wata. Kojąca, osłaniająca cisza. Nieustannie zmieniające się „tu i teraz” obserwowałem w formie małych, ustronnych zakątków nagle wyłaniających się z mgły. Mówię o prawdziwym spacerze, a nie tym ze snu.

Znalazłem podjazd Billy'ego - krętą, wyjeżdżoną oponami drózkę, wzdłuż której spoczywało siedemnaście złomowanych aut. Mój brat uznawał je za antyki. Większość jego iluzji była naprawdę żalosna. Jedyny ciekawy przejaw szaleństwa zdarzył mu się przed wielu laty: odwiedził wtedy pobliski rezerwat, rozebrał się do naga i błagał Indian, żeby go ukrzyżowali. Był po LSD.

Tu, na mniej stromych zboczach, trzymają się jeszcze naprawdę duże drzewa: jest wśród nich grupa sekwoi, które pamiętają chyba dzień narodzin Juliusza Cezara, są wysokie na dwieście stóp i mają średnio trzydzieści stóp w obwodzie. Znalazłem się w wysoko sklepionej świątyni, wzniesionej przez dawno wymarłą rasę. Teraz nikt nie składa tu ofiar. Pozostawione samym sobie, drzewa trwają w stanie odwiecznej medytacji. Wymierają niezauważalnie. Uczestniczą w niesamowitych pogrzebach, od których drży ziemia. A potem rozkładają się w nieskończoność: przemierzający te rejony wędrowiec nie ma pod stopami ziemi, lecz martwy, rdzawy mięsz. Bill mieszka w chacie w zachodniej części nie tkniętych ludzką ręką kilku akrów starodrzewu. Gdy mgła unosi się, widzi ze swojej werandy ocean - słoneczną pocztówkę upstrzoną czarnymi skałami omywanymi przez fale. Wychodząc z domu, staje twarzą w twarz z prehistorią. Wielką ciszą. Wielkimi sekwojami. Półmrokiem paproci. Kiedyś w lasach mieszkała połowa rasy ludzkiej, teraz niewiele osób decyduje się na przeprowadzkę do boru, w którym królują niespieszne, prastare żywoty. Uważam, że las w sposób cudowny wpłynął na mojego brata. Te dobrodusze olbrzymy

wyrwały go z szaleństwa i obdarzyły świętym - nawet jeśli łatwo dającym się zakłócić - spokojem. Bill jest teraz cichym człowiekiem, który podnieca się tylko wtedy, gdy wypije coś, co zawiera kofeinę. Odwiedzam go raz albo dwa razy w roku i zawsze zastanawiam się, dlaczego jeszcze nie towarzyszę mu w tym cudownym miejscu ozdrowień. Las należy do mojego ojca, ale Billy jest jego prawdziwym właścicielem.

Wśród osób wróżących ze snów las uchodzi za symbol nieświadomości, za miejsce, gdzie przebywamy podczas snu. To samo odnosi się do oceanu. Mój brat ma las z jednej, a ocean z drugiej strony: mieszka między dwiema bramami, które prowadzą w głąbiny snu. Las jest miejscem niebezpiecznym, magicznym, ale symbolizuje też szczęśliwe zakończenie. Śniący przez całą noc chodzi po lesie i nie wie nawet, że śpi. Różnice między logiką obowiązującą w lesie a logiką świata jawy są ogromne. Ale oba światy wydają się takie same. A czy nie rozpoznajemy logiki po tym, jaka nam się wydaje? Bez względu na to, co mówi Kartezjusz, jego podstawowa prawda spoczywa jedynie w piórku - wrażeniu - tym samym, którego doświadczamy, wędrując po nie istniejącym lesie; lesie, który jest równie podstawowy w tym świecie - i równie rzeczywisty - jak „myślę, więc jestem” w świecie Kartezjusza. Mijałem złomowane trupy, którymi mój brat wytycza drogę do chaty - stare auta, których historie unoszą się wraz z mgłą przez rozbite przednie szyby, auta potężne nawet po śmierci, złowrogie i szczerze, i przerażające, przynajmniej dla mnie. Pył pokrywa plamy pozostałe po dzieciakach i kochankach swawolących ongiś na tylnych siedzeniach, rdza przemienia silniki w czerwone, bezkształtne bryły. Przez ich szczerłość rozumiem brak udawania, brak jakiegokolwiek pretensji, która rysowałaby się na ich zdezelowanych obliczach - zupełnie jak u zdychających psów. Gdyby mój męczący spacer był marzeniem sennym, śniący nie musiałby pytać o znaczenie aut - ich trupy znaczą dokładnie to, co znaczą: że wszystko przemija, wszystko się rozkłada i nawet stal nie uniknie zgnilizny; znaczą, że nawet młodzi kopulujący kiedyś na tylnych siedzeniach odejdą w przeszłość. Ale kogo to obchodzi? Po co tłumaczyć sobie przyszłe sny, po co w ogóle je mieć? Po co spać?

Wyszedłem zza zakrętu i oto ujrzałem brata: brodatego, jasnowłosego mężczyznę, który stoi przed dżipem marki International Harvester i leje wodę na maskę samochodu z puszeki po kawie.

Bill dostrzegł, że mu się przyglądam.

Niemal czułem wysiłek, jakiemu został poddany jego mózg. Potrzebował słów. A zapomniał już o ich istnieniu. Musiał spiąć się w sobie, pozwolić słowom ukształtować się, niczym chmury, we własnym wnętrzu.

- Zmywam ptasie gówna z tego pojazdu - powiedział.

Wątpię, by udało mu się osiągnąć ten cel bez szczotki, a przynajmniej szmaty. Istnieją pewne rzeczy, które są niemożliwe. Bill wyglądał się z braku prawdziwych konieczności.

- Wygląda na to, że zapomniałeś butów - oznajmił.

- Bardzo się śpieszyłem.

- Hej - odparł - hej...

- Nie, nikt nie umarł.

Przez „nikt” rozumiałem naszego ojca. Nasz ojciec nie umarł.

- Hej - powtórzył - okay.

- Musiałem szybko dostać się do ciebie.

Staliśmy niecałe dwadzieścia stóp od drzwi jego domu, ale nie zaprosił mnie do środka. Nie chciał mnie w swojej jednoizbowej chacie, bo się bał, że przeczytam listy, które pisze. W okresie manii Bill prowadzi obszerną korespondencję, nie wiem dokładnie, z kim. Wiem tylko, że zazwyczaj całymi torbami wysyła listy zaadresowane rozchwianym pismem. Niektóre z nich - choć stosunkowo rzadko - trafiają do któregoś z mieszkańców Gualali; człowiek ów pokazuje je następnie w całym mieście - dla jaj. Chata Billa jest porządnie zbudowana, drzwi poprzedza schludny ganek z małym daszkiem, z tyłu znajduje się taras. Poszedłem za Billem do strumyka płynącego obok chaty. Mój brat przyklęknął i napelnił puszkę. Młode akacje rozpychały się na brzegu strumienia wśród wyższych olch. Akacje kwitną złościście i obficie wiosną, a mnożą się jak króliki, toteż trzeba je wycinać. Na sznurkach do snopowiązałek, rozciągniętych między gałęziami, wisały jelenie łby z gwiazdkami zamiast oczu - tak jak przedstawiają je rysownicy.

- To chyba sarna - mówię, wskazując jeden.
- Jestem kłusownikiem - przyznaje Billy. - Ale w sezonie, a nawet jak się skończy, nie poluję na sarny.

Tak wygląda jego życie. Morduje i patroszy jelenie, potem przewozi krwawe płyty między chatą a zamrażarką ojca. Zew krwi, pierwotne powołanie.

- Gdyby przyszło tu za mną dwóch ludzi - mówię - zastrzełbyś ich dla mnie, zamordował, a potem zrobił im takie oczy?

- Nie, nie. Nie, Nellie - odpowiedział, używając nienawistnego mi zdrobnienia z dzieciństwa. - Tutaj nie można uciekać się do przemocy.

- Zabijasz jelenie!
- Ale nie prowadzę wojny. Wojna jest chorą grą.
- Jestem obiektem niegodziwości.
- Bo sam jesteś chorą grą. To wina tych radarów. Nie powinienes tu przychodzić.

- Tym razem mam zamiar zostać tu dłużej. Chciałbym się tutaj ukryć.

- Jedź do Przyplływów. Albo do hotelu.
- Przez ostatnie sześć dni zmieniłem pięć pokoiów hotelowych.

- To ukryj się na swoim polu z marihuaną!
- Nie mogę.
- Potrzebujesz tylko śpiwora. Bądź mężczyzną!
- Chodzi im o moje rośliny, rozumiesz? Chodzi im o forszę.
- Nigdy cię tam nie znajdą.
- Upiłem się i pokazałem pole Melissie.
- Melissie!

Billowi nie podobało się nic, co nie miało związku z lasem. Ale moja kochanka zasługiwała w jego oczach na specjalną pogardę. Chyba obaj uważaliśmy, że jest niezdolna do lojalności.

- Muszę się gdzieś ukryć i pomyśleć. Muszę zająć się tym bałaganem, i to szybko. Zanim dobiórą się do niej.

- Przecież nie pokaże im drogi, nie potrafiłaby...
- Potrafiłaby. Ogólnie. Może im udzielić ogólnych wskazówek i znajdą pole. Mają psy.

- Oni?

Kiwnąłem głową.

- Oni są prawdziwi? - Billy był podejrzliwy.
- Tak.
- Nie są wytworem chemii?
- Są prawdziwi. Właśnie złożyli mi wizytę w domu.
- Może twoja reakcja jest wytworem chemii?
- Nie. Mam poważny powód, żeby się bać.
- Na sto procent?
- Od czasu do czasu palę skręta. Jednorazowo. Rekreacyjnie.
- Może źle reagujesz na marychę.
- Rzeczywiście, mocno daję w gaz. Powinienem się ograniczać.
- Trawa i tequila! Plus to, co masz przez radary.
Zdaje się, że zrobiłem mu scenę.
- Ściągają mnie! - wrzasnąłem. - Znajdą mnie tam albo tu, prędzej czy później! Biorą za to forszę. To mordercy, mordercy, mordercy!
- Okay, okay, okay. - Wyprowadziłem go z równowagi, wprowadziłem w ruch jakieś energie. Był zły, ale już nie pamiętał, jak to okazać. - Mówiłeś, że mają psy?
- Całe sfory psów! Pędzą teraz z nochalami przy ziemi, wywęczując z niej moje jestestwo!
- Chyba nie policyjne psy...
- Mój zapach!
- Mam nadzieję, że to nie gliny. Zrobiłeś coś złego?
- Wiesz, Bill, były kiedyś takie czasy, gdy brat pomagał bratu bez zadawania pytań. Co się z nimi stało?

Znów staliśmy obok jego dżipa. Postawił puszkę z wodą na masce, położył mi ręce na ramionach i zajął głęboko w oczy. Oznaczało to, że w jego mniemaniu tamte czasy odeszły bezpowrotnie w przeszłość.

Zawsze zdumiewają mnie dłonie Billa. Mój brat wyhodował sobie na końcu rąk dłonie, których zawsze się baliśmy: z grubymi paluchami, pomarszczonymi knykciami, z mocnym uściskiem. Dokładnie takie, jak dłonie naszego ojca. Nasz ojciec jeszcze nie umarł, ale obaj odziedziczyliśmy po nim więcej niż trzeba. Weźmy na przykład dłonie: ważył nas nimi, rozdzielał podczas bójk, zakotwiczał nas nimi w sobie. Ale nie chodzi tylko o dłonie. Nie chodzi tylko o rzeczy przekazywane w chromosomach, ale też o wyuczone

ne nawyki i smutki, które pozwalały nam go zrozumieć i nie pozwalały nienawidzić tak mocno, jakbyśmy chcieli.

Matka opuściła ojca - wszyscyśmy opuścili ojca - gdy miałem pięć lat. Matka nigdy powtórnie nie wyszła za męża, przez resztę życia dochodziła do siebie po ojcu i wychowywała mnie i Billa w wynajętych domach po obu stronach Point Arena aż do mojego wyjazdu do szkoły średniej. Trwało to długo, prawie dwanaście lat, zanim zdołała się z nim rozwieść, i nigdy powtórnie nie wyszła za męża, nigdy - przez cały ten czas - nie spotykała się publicznie z mężczyznami. Pierwszy raz spotkała się z mężczyzną rok po rozwodzie. Przypadkowo zbiegło się to w czasie ze śmiercią współnika ojca, którego żonę ojciec pieprzył od lat. Kupił jej nawet dom - tej pani Willisowej Winslow - ale przez lata nic się nie zmieniło w ich układzie. Jeszcze całkiem niedawno mieszkali oddzielnie. Zarządzała jego motelami. Spotykali się od czasu do czasu w czystych, anonimowych pokojach. Wydaje mi się, że zdradzając pamięć i ducha Willisa Winslowa, odczuwali większe podniecenie, niż gdy zdradzali go, kiedy żył. A teraz ludzie dziwią się, że ja i mój brat jesteśmy czubkami! Może się jednak nie dziwią. Może ja jestem ostatni, który jeszcze się dziwi.

Bill trzyma mnie w uścisku ojcowych dłoni. Zamyka mnie w ramionach, przypominających ojcowe. Nie mogę oddychać. Boję się wciągnąć powietrze. Jeszcze okaże się, że pachnie jak nasz ojciec...

- Moje życie jest dziwne - mówię.
- Nie podoba mi się, kiedy płaczesz.
- Nie daję sobie rady, Bill.
- Wiem. Nikt nie daje sobie rady.
- I co mam teraz zrobić? Co mam zrobić? To dało mu do myślenia.

- Hej! Przemyślałem to wszystko, dokonałem oceny, zrobiłem to, siedząc tutaj i licząc palce u rąk i u nóg - mówił Bill. - Oszacowałem moje działania. Oddzieliłem prawdę od kłamstw, szaleństwa od rzeczywistości. Wezwałem na pomoc drzewa i duchy i wykalkulowałem sobie, że jedyną rzeczą, jaką zrobiłem dobrze przez całe swoje życie, był zakup dębowego parkietu do chaty, tego, który zrywali w kręgielni w Point Arena. To wszystko, rozumiesz? Dębowy parkiet...

- Jest bardzo ładny.
- Chodzi mi o to, że nie potrafisz ci doradzić.
- Rozumiem.
- Chodzi mi o to, że cała reszta mojego życia to porażki i szaleństwo.
- Ale masz przynajmniej parkiet. I to jaki!
- Mów dalej - powiedział.
- Parkiet, który niejednego skłoniłby do grzechu.
- Mów dalej, bądź taki jak teraz - powiedział.

Po odejściu matki ojciec bronił się jak wściekły przed wyrażeniem zgody na rozwód. Była to źle pojęta katolicka determinacja. Ale przegrał, bo matka niczego nie wzięła, niczego nie chciała oprócz tego, żeby dał jej spokój. Pomyślcie, co może się stać, gdy człowiek tego pokroju przegrywa. Rozwód staje się jego obsesją. Zaczyna zwalczać zło rozwodów w każdej postaci, przede wszystkim wśród swego potomstwa. Jeśli zatem rozwiodę się z Winoną, moja była żona dostanie od niego wszystko. Podobnie byłoby z Billem, gdyby się ożenił, czego - rzecz jasna - nie robi. Bill jest szurnięty, ale rozumie, że gdyby Winoną rozwiodła się ze mną, zostałbym żebrakiem. Po co miałby robić to samo - brać sobie żonę, która zgarnie całą pulę?

- Pytam po raz ostatni: pomożesz mi?
- Odwiozę cię do domu.
- Ale tam na mnie czekają! Uciekłem, bo przyjechali! Nie pojmujesz tego?
- Już ich nie będzie. A jak wrócą, zawsze możesz przybiec do mnie.
- W nocy? Co będzie, jak przyjadą nocą? Dlaczego nie mogę tu zostać?
- Najogólniej rzecz biorąc - dlatego, że to miejsce ci nie leży. Zupełnie nie...
- Tylko na dwa dni!
- Nie odpowiada ci duchowo.
- Czy musimy o tym mówić?
- W pewnym bardzo głębokim sensie nie chcę, żebyś tu był. W pewnym bardzo głębokim sensie oddziałujesz na mnie destrukcyjnie.
- Destrukcyjnie? O co ci chodzi?

- Po twoim pobycie przywrócić tutaj harmonii i równowagi trwałoby całe lata.

- Przypadkowo zgadzam się z tobą. Też tak uważam. Nie uważam jednak, że wiesz, o czym mówisz, że odczuwasz to, o czym mówisz, że jesteś w stanie poddać się jakiejś destrukcji. W twoich ustach brzmi to tak, jakbyś powiedział mi, że oddziałują na ciebie promienie gamma.

- Bo oddziałują na mnie promienie gamma.

Niepotrzebnie o tym wspomniałem. Tego rodzaju argumentów nie używa się w rozmowie z moim bratem. Posłużenie się nimi oznacza koniec dyskusji. Przywołanie w rozmowie nie dających się odczuć ruchów planet, promieniowania kosmicznego lub energii drzew jest równoznaczne z rzuceniem ręcznika na ring. Fakt, moje życie jest zupą zepsucia, emanującą chorymi prądami. Drzewa o tym wiedzą, Billy o tym wie, a ja wiem o tym najlepiej. Możemy udawać, że nie jesteśmy o tym przekonani do końca, że czekamy na naukowy werdykt, ale wiemy.

Mój brat Bill. Poświęcał mi rozkojarzoną uwagę lekko upośledzonego, jego pochylona postać wyrażała brak zainteresowania, a jego lewą stronę obmywało promieniowanie alternatywnego wszechświata. Leje wodę z puszki po kawie na samochód. Było to bardzo podniecające: pomieszanie smutków rozrywające mi płuca niczym cyklon, odbierające mi oddech. Mój brat - czułem wobec niego większą obcość niż, powiedzmy, wobec Harry'ego Lally, który życzył mi śmierci, a nawet wobec mojej trudnej do rozpoznania żony.

Brat odwiózł mnie do domu. Swoim totalnie zdezelowanym internationalem bez czwartego i wstecznego biegu. Zdumiewające, że potrafił go uruchomić albo że skończył budowę chaty - mój brat dawno temu przestał brać lekarstwa, jeśli w ogóle zaczął je przyjmować - albo że umiał jeździć autem, albo że wiedział, którą jeździ się stroną. Mój brat - ten sam, który pędził niczym wicher podczas burzy do rezerwatu, żeby go ukrzyżowali. Pewnego razu próbował także dostać się do buddyjskiego klasztoru, ale zaczepił się ubraniem o drut kolczasty na szczycie ogrodzenia. Mnisi - którzy wyglądają jak normalni ludzie, sam widziałem, w puchowych beżkawkach i luźnej sportowej odzieży - odcepili go od drutów

i posłali, skąd przyszedł. Niemal tak samo, jak on odsyła mnie ze swego sanktuarium. W tym samym duchu...

Bill znał wszystkie dziury w drodze i udało mu się wywieźć nas z jego świata, nie łamiąc przy tym osi. Znał wszystkie drzewa i smak wody, zabijał zwierzęta i zjadał je. Lasy były jego światem. Moim raczej nie. W tym świecie znacznie mu się polepszyło, tymczasem w tym, do którego jechaliśmy, mnie miało się znacznie pogorszyć.

Dwie mile przed domem Winony wyjechaliśmy z zakrętu na wprost bramy prowadzącej do tybetańskiego klasztoru. Jadąc tędy, zazwyczaj spodziewam się tego i wcale mnie to nie zaskakuje, ale dziś obaj mieliśmy co innego na głowie. Kiedy człowiek nie spodziewa się takich rzeczy, ich pojawienie się przypomina śmiertelny wypadek, a potem niebo.

Kalifornia!

W tej przedziwnej krainie często i niespodziewanie otwierają się przed śniącym Złote Wrota. W tym wypadku była to buddyjska świątynia - ze wściekle miedzianą kopułą i wysoka na pięć pięter oraz mająca ze sto stóp wysokości pagoda złożona prawdziwym złotem, wznosząca się we mgle nad zielonym obszarem, ponad milą kwadratową pastwiska otoczonego drucianym ogrodzeniem i zasiekami. To nie jest sen, złudzenie ani metafora. To jest Kalifornia. Naprawdę jest takie miejsce. To nie wytwór chorej wyobraźni, nie znika jak miraż i nie cofa się jak tęcza.

Wszystko, wszystko, wszystko - to właśnie daje nam Kalifornia.

Tego dnia, o którym myślę, gdy obudziłem się w domu Winony, kiedy ścigali mnie jacyś ludzie i złożyłem wizytę memu bratu, skończyła się także susza i spadły dwa cale deszczu.

Było sucho przez całą wiosnę i całe lato. Porosty na drzewach wysychały na wiór, odpadały od gałęzi i sypały się na drogi niczym popiół. Kurz unosił się nad światem jak dym z gigantycznego ogniska.

- Brązowy skwar - powiedział Bill, mając na myśli pył. Powiedział to tak, jakby widział go po raz pierwszy. Czego zresztą nie można wykluczyć, bo prawdopodobnie nie wyjeżdżał z mgły od miesięcy.

- Posłuchaj - poprosiłem go, gdy odstawił mnie do domu Winony. - Nie wspominaj o tym Clarence'owi.

Billy i Clarence byli kumplami - w pewnym sensie. Razem zajmowali się samochodami.

- Clarence'owi? - powtórzył. - Clarence nie jest taki, jak myślisz.

- No, to mamy różne zdania na jego temat, a tylko jeden z nas może mieć rację.

Nie rozwijaliśmy tego tematu i nie szukaliśmy zastępczego. Kiedy wysiadłem z dżipa i klepnąłem go w maskę na pożegnanie, Billy wrzucił bieg i ruszył z kopyta wąską drogą, by zniknąć za zakrętem. Słyszałem, jak zawraca w szerszym miejscu, i po chwili ujrzałem go znów: minął bramę, patrząc przed siebie nieustraszonym wzrokiem i pędząc Bóg wie gdzie. Zostałem sam ze swoimi kłopotami, nie mając nikogo, kto by mi pomógł. Nawet brat odwrócił się ode mnie.

Od razu zauważyłem, że fałszywi myśliwi przeciągnęli między słupami bramy na wysokości bioder dorosłego mężczyzny kawałek żyłki - stara sztuczka, za pomocą której chcieli sprawdzić, czy ktoś wjeżdżał do domu. Pochyliłem się i przeszedłem pod żyłką, która będzie mnie teraz chronić jak fosa.

Mimo to jeszcze tegoż wieczoru oszalałem ze strachu, ukrywałem się w domu, nie zapalając świateł, i chyba piłem. Nie bałem się myśliwych. Wiedziałem, że jeśli przyjadą, sprawdzą tylko pułapkę i nie będą się trudzić ponownym przeszukiwaniem domu. Nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł przypuszczać, że tu wrócę. Mówiąc szczerze, wróciłem dlatego, że nie mogłem wytrzymać ani minuty dłużej w samochodzie mojego brata, który cuchnął, który śmierdział gównem, a oprócz tego szaleństwem. Przesadą byłoby sądzić, że wyzdrowiał, uspokoił się tylko i trwa w stanie niebezpiecznej obcości. W każdym razie tego wieczoru bałem się ziemi i księżyca. Stanu zawieszenia w powietrzu, zapowiadającego nadciąganie burzy. Ciszy, srebrzystej poświaty, pajęczyn pogońców wyzierających nagle z łąki z kropelkami rosy zawieszonymi na każdej nici. Teraz nawet pajak był obcy swej sieci, przypominał strzyżyka otumanionego cudami. W tej doskonałości wszystkiego, co martwe, w tej stalowej, nieożywionej cudowności każde żywe stworzenie ja-

wiło się upiorem, niezdrowym wybrykiem natury. Życie jest złem; po angielsku słowo „żyć” brzmi jak „zło”, gdy czytać je na wspak*. Odczułem ulgę, kiedy podniósł się wiatr, podmuchy ciepłego powietrza niosły wiele głosów przez siatkowe drzwi i okna - słyszałem różne dźwięki, ale jeden był prawdziwy i pochodził z samochodowego silnika. Światła omiotły wąską drogę. Auto nie zwolniło.

Przypominam sobie teraz, że było już po północy, kiedy zaczęła się ulewa. Ale najpierw mieliśmy tylko księżyc i mgłę. Gęste, potężne mgły przychodzą z północy, znad oceanu, mijają nas i skręcają, by uderzyć od południa, wpychają naszą rodzimą mgiełkę daleko w głąb lądu. Ciepły front, ustępując przed oceanicznym chłodem, daje nam czyste niebo, a chmury pojawiają się dopiero przed samym deszczem. Mamy więc mgły tuż nad ziemią oraz pikantnie absurdalne, czyste niebo z księżycem i spadającymi gwiazdami.

Potem zaczęło padać. Wyszedłem na taras, żeby zdjąć hamak, gdy spadły pierwsze krople - olbrzymie, egzotyczne, lśniące i zimne. Czułem, jak rozpryskują mi pył na skórze. Wiatr miał zwierzęcy zapach. Pusty hamak zakołysał się. Rozpoczął się krótki, radosny wyścig, by zdjąć hamak na czas; czułem się niemal szczęśliwy, wiedząc, że jeszcze zdążę. Odczuwałem poetyckość tej chwili, mieszaninę Kalifornii i nostalgii - w powietrzu niedostępny, religijny zapach, przeczucie lata z życia innych ludzi (przejrzystego lata miłych ludzi o nieskomplikowanych żywotach), ziemi, z której byłem wygnańcem. Chwila rozczulenia: dojmujący zapach deszczu, gęsty i duszący jak dym i niemal sentymentalny - nie tylko przez ciężar i dojrzałość atmosfery, ale i przez fale smutku wzbierające gdzieś wewnątrz. Prostota pewnych przyjemności wybucha mi w sercu. Łkam i zadaję sobie absurdalne pytanie: czy dane mi będzie jeszcze tak żyć?

Przez kilka sekund wszystko omiatał pojedynczy, zwienny promień księżyca. Ogrodowe krzesła, okrągłe stoły i kaktusy w donicach wyglądały jak na negatywie. A później straciłem księżyc. Znad wzgórz kłębam nadciągnęła niejednoznaczność. Kiedyś kazałem zainstalować lampę uliczną na początku

* *Live - żyć, i evil - zio (przyp. tłum.).*

podjazdu - kosztuje to niecałe siedem dolarów miesięcznie i nic więcej cię nie obchodzi. Teraz jej oddalona o ćwierć mili poświata wydawała się niedosiężna, nierzeczywista. Duży ptak - prawdopodobnie sowa, która w tym świetle była cała bielusięka - spłynął ze szczytu wzgórza za moimi plecami i przeleciał mi nad głową. Słyszałem uderzenia skrzydeł, przypominające urywany oddech. Pobiegłem za ptakiem przed dom, patrzyłem, jak frunie ku bramie i lampie, przy której jego padający na mgłę cień otworzył się z tyłu jak tunel. Tunel zamknął się, gdy ptak przeleciał nad światłem, i teraz została tam jedynie opalizująca mgła. Wszystko wyglądało jak okładka komiksu science fiction, aż trudno było sobie wyobrazić, że można tkwić w czymś takim, że widok nie zmieni się wraz z odwróceniem strony. To niemożliwe, bym wdychał tę aurę, mieszaninę deszczu, kurzu i morskiej wilgoci, bym smakował swój własny pot splukiwany deszczem w kąciki ust.

I wtedy nagle pod lampą otworzył się inny tunel - tunel człowieka lub ducha wędrującego po księżycowej wodzie, płynącego przez szalejącą burzę.

Próbowałem wmówić sobie, że to wracająca sowa zatacza jeszcze jeden krąg. Nawet gdybym w to uwierzył, moja skóra nie dałaby się zwiesić: napięła się na całym ciele tak bardzo, że poczułem swędzenie włosów i dziwne skurcze w kroczu. Ale nie uciekłem, nie cofnąłem się nawet o krok, stałem, trzymając w rękach zwinięty hamak i czekałem moknąc na deszczu.

Postać zbliżająca się podjazdem była zanadto żalosna, by mogła być żywa. Wyglądała jak czarna nieobecność, jak popiół rozpaczy, straty i zranionej duszy. Zmierzała - zrównując się ze mną - prosto do stawu. Był to idący człowiek, mężczyzna. Dzielilo mnie od niego nie więcej niż dziesięć jardów. Widziałem niemal jego twarz. Mimo to wciąż wydawał mi się nie połączony z ziemią, w tej przedziwnej chwili nie miał nic wspólnego z naszymi tragediami ani nawet ze smakiem deszczu niesionego przez wiatr i zmieniającego się w napój, miotanego o ściany stajni i szopy, które mijał. W jego sposobie chodzenia było coś wyjątkowego - szedł, jakby badał miejsce, które kiedyś znał doskonale, ale całkiem zapomniał; szedł jak uczeń na pierwszych wagarach, dla którego zwykły

spacer podczas skradzionych wakacji jest czymś monstrualnym i egzotycznym, a wszystko - to znaczy wszystko związane z wagarami, lecz także z emanacją tej postaci - wydaje się oryginalne, ponieważ zostało wybrane. Tak, sprawiał wrażenie kogoś, kto odrzucił wpajaną mu rutynę i postanowił jedynie chodzić po powierzchni ziemi: jak pielgrzym. Widujemy ich na poboczach dróg - szczególnie tutaj, na wybrzeżu - samotnych podróżnych bez bagażu. Są najpewniej szaleni, ale z drugiej strony, skąd można to wiedzieć? Ludzie oświeceni mogą być wszędzie wśród nas i wyglądać jak funkcjonalne nieszczęścia. Ten mógł być duchem jednego z nich. Nie było niczego niepokojącego w tej zjawie. Upiór był w potrzebie, ale nie wyglądał na zrozpaczonego, nie śpieszył się, ale też nie ociągał. Wędrował przez obrzeża mojego życia i nie czułem strachu. Tylko pragnienie: ze wszystkich sił pragnałem odkryć, jaki otrzymał dar. Niewątpliwie niósł bowiem jakiś skarb w sercu, jakąś potężną moc z prawdziwego wszechświata. Nic mu nie przeszkadzało. Ani zmierzwione kępy paproci na pastwisku, ani kawałki drewna i metalu - jędzowate rzeźby mojej żony. Nie wykazywał najmniejszego zainteresowania tymi przedmiotami, jakby nie istniały w strefie czasowej właściwej jego celom. Nie rozglądał się ani w prawo, ani w lewo. Każdy jego krok miał niepokojąco ostateczny charakter, jakby zrywał taśmę na mecie wyścigu. Wszedł prosto do stawu. Na brzegu jedynie rozpostarł ramiona, niczym skrzydła, i wybił się potężnie w górę. Dziki ryk zagłuszył chłopot wody w momencie lądowania, przez co fakt ów wydawał się nie całkiem realny. I wtedy pojąłem, w czym rzecz: byłem oto świadkiem ostatnich chwil życia jakiegoś nieszczęśnika. Planeta i jej stawy jako takie zupełnie się dla niego nie liczyły. Głęboka myśl drążąca jestestwo tego człowieka czyniła go niepodatnym na żywioły. Był w stanie przebiec po dnie stawu całą jego dwustujardową szerokość i wytoczyć się na drugi brzeg niby czołg, był w stanie zmiażdżyć żalosne drzewa porastające tamten brzeg - święcie w to wierzyłem. Nie miałem pojęcia, że wstrzymałem oddech, póki nie zachłysnąłem się wilgotnym powietrzem. Upuściłem hamak, który dotąd trzymałem w rękach. Byłem przemoczony. Krople deszczu skapywały mi z palców. Deszcz smagał strumieniami powierzchnię stawu, zacierając

wszelki ślad po samobójcy. Ale widziałem go teraz znacznie lepiej - widziałem osobę, którą ja nie mogłem być. Widziałem tego, który maszeruje w głębinach, który przekuwa gówniane przemyślenia w miecz i siecze nim życiowe matnie, i staje się wolny... Za chwilę wynurzy się z wody jak ktoś po chrzcie...

Minęła minuta, a potem następna i zdałem sobie sprawę, że oszalałem, że facet się topi wskutek oddychania pod wodą, jak topiłby się każdy na jego miejscu. Krzyknąłem! Ale naturalną kolejną rzeczy nie mogłem mnie usłyszeć. Zniknął. Nie mogłem już nic zrobić, przeszedł do podwodnego świata topielców - kogo tam ocali?... Nie! Muszę stać się nim, muszę go uratować, muszę go wskrziesić spośród zmarłych. Muszę być tym, kim nie jestem. Przysięgam, że tak właśnie myślałem, tak czułem, zamieszkałem w królestwie bogów i herosów, ten człowiek prawdziwie mnie natchnął. Wbiegłem do domu, zapaliłem światło na tarasie, lampy rozjaśniły dziedziniec i wąską dróżkę, ich blask dotykał krawędzi stawu. Wybiegłem znów na dwór, gdzie iluminacja całkowicie zmieniła scenerię: deszcz padał na żarówki, szumiał i chłostał wodę, gdy pędziłem w stronę stawu - co za noc! - skrzydła, smutki, wszystkie kolory tęczy, rany, ucieczki, sowa, mgła, księżyc, emitujące światło diody rosy na pajęczynie - i wreszcie cios prosto w brzuch, gdy woda zamknęła się nade mną. Czułem, jak oczy wychodzą mi z orbit, miałem atak jakiejś elektrycznej siły, która mi wstrzykiwała moc aż po koniuszki palców, aż po same paznokcie. Rozbijałem w panice wodę, walcząc teraz o własne życie. Nie byłem już bogiem, nie byłem herosem czy choćby zwykłym człowiekiem - raczej bezrozumnym szopem ściągającym przez posokowce śmierci, chwytającym się byle czego. Nie mogłem utrzymać się na powierzchni. Skopałem buty ze stóp, zdarłem z siebie sweter zapadając się coraz głębiej, gdy przeciągałem go przez głowę. Wynurzyłem się. Czułem odrętwienie w całym ciele od chłodu wody i byłem zdumiony chyżością, z jaką następowały wypadki. Zapomniałem, po co tu byłem. Za sobą miałem lampy na tarasie, przed sobą cały akr wody i świata ciemności gotującego się od deszczu. Bałem się.

I wtedy wynurzył się przede mną, skromnie, nie jak czołg - całkiem inaczej niż ja, o wiele mądrzej, w ogóle nie walcząc:

był nieprzytomny i piękny. Chwyciłem go za rękaw i doholowałem bez trudu do płycizny. Wyciągnięcie go z wody okazało się jednak mordęgą. Świat stał się potworny i opieszały. Upadłem na plecy. Jedyne, co wydobyłem z wody, to jego ręka. Reszta ciała pływała jak pień. Wyglądało na to, że nic już go nie uratuje. Byłem wykończony, chciało mi się rzygać ze zmęczenia i przyszło mi do głowy, żeby się poddać, pozwolić mu odpłynąć. Ale ciągnąłem go na brzeg cal po calu, odpoczywając między całami, aż w końcu obaj leżeliśmy rozciągnięci w błocie. Ratuję człowieka! Ale jestem tak wypluty, że nie mam siły się podnieść, leżę więc obok niego bezradny tak samo jak on. Jedyna różnica między nami polega na tym, że ja oddycham, a on nie. Jedyna rzecz, jaka przychodzi mi do głowy, to obrócić go na bok i przyłożyć usta do jego warg. Jedyne, czego chcę, to wnieść oddech do jego śmierci. Nie mogę się jednak poruszyć. A jeśli tego nie zrobię, sam szczenę w potopie. Widzę, jak mnie ogarnia potwornymi, trzęsącymi się kroplami. Odwróciłem się na brzuch, wsunąłem pod siebie ręce i podczołgałem się, by spojrzeć mu w twarz - miał długie wąsy i okulary zawieszzone na lewym uchu. Błoto skapywało ze mnie wprost na jego twarz, ale nie widziałem żadnej reakcji, żadnego oddechu, oznaki bólu czy cierpienia. Był martwy! Nieodwołalnie! Na zawsze pozostanie tajemnicą! Słyszałem kiedyś o zaciskaniu palcami nosa, odchyłaniu głowy, oczyszczaniu dróg oddechowych i tym podobnych zabiegach, ale słyszałem -zda się - w obcym języku, który teraz musiałem na gorąco sobie tłumaczyć. Gdy przechyliłem mu głowę na bok z jego ust wypłynęła woda. Przewróciłem go na bok, do połowy i wymiotował w błoto - żył! Znów na plecy: przyłożyłem szeroko otwarte usta do jego ust. Strach znów mnie opuścił, wkroczyłem w kolejną jasną przestrzeń, w której obmywał nas deszcz, sprawiając, że pięknieliśmy. Oddychaliśmy. Smakował wymiocinami, ale dobrymi, jak moje własne, kiedy choruję po winie i wiem, że oczyszczenie jest jedynym lekarstwem.

9-10 sierpnia 1990

Koło północy odezwał się pager i policjant Navarro musiał opuścić plan filmu telewizyjnego, by pojechać na wezwanie do niechcianego męża wymachującego bronią. Żona była słodziutką lesbijką w średnim wieku - jak zdążył stwierdzić policjant Navarro - i wezwała go dlatego, że biorąc z przyjaciółką gorącą kąpiel, usłyszała dziwne odgłosy dobiegające z za domu. Mąż, weteran z lat sześćdziesiątych - mówiła -groził jej, chodził z bronią i handlował narkotykami. Przyjaciółką była śliczna wysoka blondynka o imieniu Yvonne. Navarro znał ją z widzenia, stawało mu na jej widok, tym bardziej w sytuacji takiej jak ta. Dom znajdował się na obrzeżach Point Arena, na końcu ślepego zaułka. Taras, na którym ulokowano basen z bąbelkami, wychodził na puste, pogrążone w mroku pastwisko, ciągnące się do Rancho - miejsca, które, jeśli dobrze zrozumiał, było indiańskim rezerwatem, ale nie federalnym. Dziewczyny nie uważały za stosowne wspomnieć o broni przez dobre pięć minut, w czasie których stali na odsłoniętym tarasie.

- Czy zechciałyby panie zgasić światła i położyć się gdzieś w domu? - zapytał. Dostały od tego gęsiej skórki.

Teraz chodził po dziedzińcu na tyłach domu, a długa latarka - której nie chciał zapalać - drżała mu w spoconej dłoni.

Miał wrażenie, że coś usłyszał. Może ryczące krowy? Na dole mgła przeredziła się, jakby się cofała ku wierzchołkom wzgórz. W świetle księżycy rozmazującym wszelkie kontury widział na trawie - choć niezbyt dobrze - tysiące kształtów, które nie były krowami. I nie mógł włączyć latarki! W żaden sposób nie powinien dać się namierzyć czającemu się w pobliżu facetowi, który miał dzisiaj ochotę wpakować cały magazynek w cokolwiek, co się porusza. A więc dzień jak co dzień. We wschodnim Los Angeles miałyby za sobą cztery wozy patrolowe, helikopter, robiący z nocy dzień, i dowódcę brygady antyterrorystycznej wiszącego na linii do porucznika i domagającego się uczestnictwa w zabawie. Takie myśli sprawiały, że czuł się jeszcze bardziej samotny i wystraszony. Tutejsze sukinsyny nie mają nic przeciwko strzelaniu do policjantów, strzelanie do policjanta może być ostatecznym ar-

gumentem wkurwionego męża użytym przeciw żonie, jak rozpieprzenie czegoś ze szkła: butelki albo okna. Czuł się jak coś ze szkła. I nie podobał mu się wiatr. Zazwyczaj nie było wiatru. Cholerny huragan, a nad wszystkim księżyc - nie można wykonywać tej pracy, gdy ma się wrażenie, że jest się zrobionym ze szkła! W Los Angeles byłyby już tutaj ekipy telewizyjne, zamknęłyby cały kwartał, a wszyscy z okolicy przepychaliby się z konnymi policjantami. A tak jest tylko wiatr i poczucie pustki, płynące gdzieś znad Ran-cheru, i wielka czerń aż do morza.

Policjant Navarro nie lubił się wycofywać, ale popełnił błąd, decydując się na tę eskapadę. Wrócił pod dom i wszedł do środka, pukając przedtem dwa razy w wychodzące na taras okna. Szedł, stąpając ciężko, przez cichy salon, w którym promienie księżycy układały się w równoległoboki na dębowej posadzce.

- Proszę pani! - zawołał. - Zajadę wozem od tyłu. Postaram się nie zniszczyć trawnika.

- Dobrze - odpowiedział mu cichy głos. Ukryły się gdzieś w głębi domu.

Wsiadł do samochodu, włączył silnik i objechał dom wokoło. Włączył szperacz i przednie światła, potem szybko wysiadł z wozu, nurkując w ciemność i czując się idiotycznie, bo w końcu była to powiatowa rozróżba i jeszcze tu do nikogo nie strzelano. W zasadzie miał tylko zeznanie żony, że ktoś wymachiwał bronią. Wyjętą z bagażnika. Mówiła, że on trzyma broń w bagażniku, a kiedy ktoś tak mówi, natychmiast widzi się arsenał zawodowego zabójcy: RPG i takie tam. No i jeszcze ta wietnamska aura. Wiadomo, wielu z tych kolesiów do tej pory czuje się jak w dżungli, bo nikt im nie powiedział, że tu jest inaczej.

W tym zapomnianym przez Boga miejscu rzeczywistość zewnętrzna policjanta Navarro odpowiadała jego rzeczywistości wewnętrznej. Skąd się tu w ogóle wziął i dlaczego tkwi tutaj od osiemnastu miesięcy? Co robi na wzgórzach, gdzie ocean i wiatr hałasują tak wściekle? Otóż to: po trzecim rozwodzie zaczęła mu doskwierać samotność. Czuł, że przyszłość przecieka mu przez palce, złożył więc wymówienie w Departamencie Policji Los Angeles, po czym przeniósł papiery do kalifornijskiej drogówki, idąc za głosem powołania i robiąc

wokół tego wielki szum. Nie przyjęli go - dlaczego? Czy kalifornijska drogówka wyobraża sobie, że w Departamencie Policji Los Angeles pracują trędowaci? Potem spróbował na prowincjonalnych posterunkach - ostatnim przystanku przed pracą w ochronie supermarketu. Wysłał życiorysy do kilku małych miasteczek z wybrzeża, dostał pracę we wszystkich i przeprowadził się do Point Arena ze wschodniego Los Angeles, gdzie - jak wspominał obecnie z lubością - życie było twarde, a nawet okrutne. We wschodnim Los Angeles zarabiał na chleb obracając się wśród przestępców, obcokrajowców i słabiej lub mocniej psychicznie okaleczonych mieszkańców slumsów szumiących na wolności, ludzi, którzy - gdy przywoływał ich do porządku - oskarżali go z pianą na ustach o deptanie praw „zwykłych obywateli”, po czym zamykali mordy na kłódki. Większość z nich na oczy nie widziała „zwykłego obywatela”, przynajmniej po tej stronie oblanego piwem ekranu telewizora. Prawdę mówiąc, policjant Navarro też niezbyt często miał z nimi do czynienia, bo sypiał w dzień, a patrolował swoją dzielnicę nocami. Tutaj, w Point Arena, codziennie zadawał się ze „zwykłymi obywatelami” i ci - niestety - zaczęli go przerażać. Nigdy nie wspominali o swoich prawach, siedzieli cicho, a nawet udawali sympatię, gdy wypisywał im mandaty, polecał trzymać psy na uwięzi na plażach, wymachiwał pałką na ich pijane latorośle lub rozkopywał owym latoroślom ogniska na wydmach. Lecz za tą pozorną przychylnością krył się prowincjonalny system zwykłych ludzi, zwykłych układów i zwykłych antypatii - sieć, praktycznie: pajęczyna zwykłości. Każdy, z kim miał do czynienia, był kuzynem innego. Młodzieńcy, którym w nocy wygrażał pałką, następnego dnia kasowali od niego forszę w sklepie, a każdy z nich był siostrzeńcem burmistrza albo wnukiem sędziego. W małym mieście inaczej załatwia się porachunki, a policjant Navarro nie miał pojęcia, jak to się robi. Wiedział tylko, że nie był tu lubiany.

Ten facet, za którym ugania się teraz po polu, okaże się zapewne jego kręgarzem. Navarro miał taką nadzieję, bo znów doskwierał mu dysk od grzmocenia kelnerek. Navarro czołgał się ostrożnie. Po pierwsze, bo nie chciał pobrudzić spodni trawą, a po drugie - nie chciał zarobić kulki. Nagle pojął, że naprawdę ktoś czai się w ciemności. Czuł, że ten ktoś

się porusza, zachodzi go z boku - bez złych zamiarów, miał nadzieję - i dopiero później coś usłyszał i zobaczył błysk podkoszulka w świetle reflektorów. Policjant Navarro zerwał się z ziemi.

- Stój! - ryknął i rzucił się w lewo. Facet nie zatrzymał się, nie strzelił do niego, biegł.

Navarro pędził za odgłosem kroków w ciemności, podskakując niezdarnie przy zapinaniu kabury. A potem pozwolił adrenalinie pokierować nogami, nie dbając o nic, biorąc głębokie oddechy, czując się wspaniale, nieważko i doganiając biały podkoszulek.

Gdy położył ściganemu rękę na ramieniu, od razu zrozumiał, że ma do czynienia z dzieciakiem. Opanował odruchową brutalność, zamortyzował upadek chłopaka własnymi łokciami i kolanami, które - jak wiedział - będą pokryte zielonymi smugami.

Dzieciak stracił oddech, czemu towarzyszył głuchy, przerażający odgłos. Dziwny, młody odgłos. Czyżby to była dziewczyna? Pomacał klatkę piersiową pojmanego. Dzięki Bogu, nie znalazł cycków!

Przebiegli szybko dwieście dwadzieścia jardów, ale policjanta Navarro energia nie opuszczała. Inaczej mówiąc, czuł się wspaniale. Założył dzieciakowi obezwładniający chwyt przez pachę i kark, po chwili odczuł jego drżenie, usłyszał sapanie i szloch.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Żadnej odpowiedzi, tylko płacz.

Navarro podniósł go do góry. W dalszym ciągu wykręcał mu rękę. Nie musiał świecić mu latarką w oczy. Widział całkiem dobrze.

- Ile masz lat, chłopcze?

Znów bez odpowiedzi. Teraz wyciągnął latarkę i zaświecił mu w twarz.

- Napatrzyłeś się na te gołe panie? Usta chłopca zadrżały spazmatycznie.

- Ktoś jest z tobą?

- Oni... nie, nikt.

- Twoi koleś mają lepsze nogi, co?

Chłopak był chudy. Navarro ciągle wykręcał mu rękę, którą łatwo mógłby złamać. Puścił go.

- Znikaj - powiedział.

Chłopiec postąpił parę kroków w ciemność.

- Przepraszam - mruknął.

- Nie przepraszaj. Popraw się - rzucił Navarro i chłopak zniknął.

Z powrotem w domu, w salonie, gdzie stał z dwiema kobietami w oślepiającym świetle. Powiedział im, że na polu nie ma nikogo, są tylko krowy.

- Być może, są panie podglądane przez dzieci. Chyba dobrze byłoby zasłonić się od strony pola jakimś parawanem.

Kobiety stały przytulone do siebie: jedna w japońskim kimonie, druga w czarnym płaszczu kąpielowym frotte.

- My tylko wchłaniałyśmy nieco z tej... rzadkiej tu energii - powiedziała wyższa... Yvonne.

- Pani wybaczy, ale nie bardzo rozumiem - uśmiechnął się po wojskowemu.

- Nadciąga burza.

- Naprawdę? Od siedmiu miesięcy nie spadła tu ani kropla deszczu.

- Nie czuje pan tego?

Coś tam czuł.

Zapisał sobie, jak wygląda samochód męża drugiej z kobiet, i obiecał, że przejedzie się po okolicy, by sprawdzić, czy auto nie stoi gdzieś w pobliżu. Zanotował też ostatni adres męża i zapewnił panie, że zwróci na niego uwagę.

- Nie wydaje mi się jednak, byśmy mogli mówić tu o jakikolwiek przestępstwie - czuł się w obowiązku wspomnieć o tym.

Właścicielka posiadłości, Barbara James, oficjalnie wciąż jeszcze pani Shank, zalała się łzami:

- Prawo nie dba o zwykłych ludzi. A tymczasem maniacy biegają po ulicach.

Odprowadziły go do samochodu. Wóz patrolowy wyglądał dziwnie nie na miejscu - z tyłu, za domem.

- Dobranoc, policjancie Navarro - powiedziała Barbara.

- John - zaproponował.

- Dobranoc, John.

- Niewykluczone, że któregoś dnia zwrócę się do ciebie o pomoc - dodała jeszcze Yvonne. - Ja też obawiam się

mojego byłego... niejakiego Frankheimera, człowieka, który przebywa w bardzo dziwnych rejonach...

- Nie znam go.
- Na pewno znasz. Z widzenia.
- Jak wygląda?
- Zobaczysz, gdy będzie się czaił za moim domem.
- Mówię poważnie. Potrzebny mi jego rysopis. Ile ma wzrostu?
- Jakież siedem stóp.
- Ile?
- Potrzebna ci będzie armata. Ze środkiem usypiającym dla słoni.
- Wiem. Widziałem go - roześmiał się.

Pożegnali się ponownie i Navarro wsiadł do wozu. Ale przedtem wyjął zza wycieraczki krótki i bezsensowny list, który - jak mniemał - mówił o Yvonne i pochodził od jednego z podglądających dzieciaków. Czy ja wyglądam jak biuro podawcze? - zastanawiał się. Dlaczego wszyscy przysyłają mi anonimy? Odjeżdżając z wezwania, doszedł do wniosku, że Yvonne była niczego sobie. Może nawet jedyna w swoim rodzaju. Z tym że nie wiedział jeszcze, na czym polega jej wyjątkowość. Gdy wszedł do domu Barbary, powiedziała: „Witaaam” - co wskazywało na silną projekcję osobowości, wychodzenie w pół drogi nieznanemu, dawanie mu do zrozumienia, że naprawdę coś znaczy. Opalona. Robi wrażenie. Ale z perspektywy cholernie sztuczna. Jej ciało mówi co innego niż słowa.

Raz po raz słyszał, jak o niej plotkowano. Otaczała ją aura niezdrowej niesamowitości. O co w tym chodziło?... O torturowanie małych zwierzątek... O jakieś okultystyczne parafernalia i księgi... Ależ tak, policjant Navarro sam widział, jak spacerowała drogą w późnych godzinach nocnych! Był jednak po służbie, bez odznaki, nawet więc nie przyhamował. Wyglądała jak... wdowa. Pograżona w żałobie. Ktoś mówił kiedyś, że widział ją w nocy, stojącą nago na skale nad oceanem. Pieprzenie! Dla naiwnych. Żeby zobaczyć ^{te}. lałę nago, trzeba nieźle zapłacić. Choć było ciemno i powinien pilnować drogi, jeszcze raz rzucił okiem na liścik skreślony dziecięcym pismem: *Ta lesbija to Wiedźma.*

Po czym wepchnął anonim do popielniczki. Powietrze w tej

okolicy wydawało się nadzwyczaj ciepłe, a wokół panowała dziwna cisza. Coś uderzyło w maskę, a potem parę razy w dach. Nim minął dwie przecznice, jechał w takiej nawałnicy, że nie widział niczego przed sobą.

Gdy zwolnił na głównej ulicy i parkował samochód pod oknami domu, burza rozszalała się na dobre. Wynajmował mieszkanie nad wypożyczalnią wideo i z początku miejsce wydawało mu się idealne - niedaleko od morza, z oknami wychodzącymi na krótki kawałek drogi numer 1, przebiegający przez Point Arena. Później jednak okazało się, że jest tu tak samo jak wszędzie, gdzie mieszkał: pusto i zimno. Zamiast moknąć w drodze na górę, postanowił przeczekać burzę w samochodzie. Siedział, wpatrując się w smaganą deszczem kalifornijską ulicę. Mijały godziny, a może tylko tak mu się wydawało? Odkręcił szybę o cal, położył latarke i pałkę blisko przedniej szyby, cofnął oparcie fotela i zasnął.

Znalazł się na polu bitwy, nad którym wisiały ciężkie, czarne chmury. Zdierał mundury z trupów wyrżniętych krów. Gdzieś na granicy jego widzenia majaczyła postać tej kobiety... Yvonne. Czuł jej zapach, bardzo erotyczny. Obudził się, ciągle widząc jej twarz.

Przed świtem trochę się wypogodziło, zwlókl się więc z rozłożonego fotela i stanął sztywno na chodniku. Miasto wyglądało teraz na świeże i pełne nadziei, jakby ktoś zwrócił mu utraconą cnotę. Od tego widoku poczuł głód. Śniadanie! Ale wszystko było jeszcze pozamykane. Nie mając wyboru, wspiął się na schody, by wrócić do mieszkania nad filmami.

Van Ness ocknął się z obolałym gardłem, obolałym językiem, obolałymi błonami śluzowymi i bólem w uszach.

Ktoś prowadził gdzieś niezrozumiałą rozmowę. Zdaje się, że z nim.

- Nic ci nie jest? Co za głupie pytanie! Mam twoje okulary, pozwól...

A więc słyszał. I prawie widział. Poza tym nie miał pojęcia, co się z nim dzieje.

- Jak się nazywasz?

Skąd mógł wiedzieć? Język rósł mu w gardle. Wydał z sie-

bie jakiś odgłos. To był błąd. Pociemniało mu w oczach. A może je zamknąłem? - pomyślał.

Gdy ocknął się po raz drugi, wszystko wydawało się białe - dzień, poranek?

Ten sam facet przyniósł mu coś w kubku. Van Ness wypił. Herbata.

Nie był nieprzytomny, ale nie zwracał na nic uwagi. Czuł przyjemne ciepło rozlanej herbaty na opuchniętych dłoniach.

Widział mężczyznę w zielonym szlafroku przy kuchennym stole; wystukiwał jakiś numer na aparacie telefonicznym. Robił to z ogromnym przejęciem, a gdy uzyskał połączenie, wykrzyknął niemal w ekstazie:

- Czy to biblioteka główna? Katalog? Ach nie... W takim razie poproszę z informacją. Informacja? - Dawał z siebie wszystko. Mężczyzna z telefonem. - Chciałbym się dowiedzieć - ciągnął - w jakiej odległości przed myśliwymi biega psy myśliwskie? W jakiej odległości zazwyczaj - zazwyczaj! - biegnie pies przed swoim panem? Na swobodzie, w terenie. Średnio. To sprawa życia i śmierci.

Na głowie miał baseballówkę z jakimiś insygniami, wolną ręką bez przerwy tarł dach, niczym trener na pierwszej bazie.

- Chciałbym także, jeśli to możliwe, uzyskać od pani bibliografię, tak, bibliografię literatury na temat węchu tych zwierząt... psów myśliwskich! To psów w ogólności! Tak, wszystko o węchu.

Van obudził się trochę później. Wciąż był dzień, mężczyzna wciąż siedział przy kuchennym stole, ale milczał. Wyglądał tak, jakby układał pasjansa.

Spojrzał w stronę Vana.

- Ile masz lat?

Był smukły, blady, miał szczupłe dłonie, oczy wielkie, kobiece, zbolące. Odstawały mu uszy, bo za głęboko wcisnął baseballówkę. Wyglądał na człowieka dobrze po trzydziestce. Może był młodszy, ale zmęczony życiem.

- Czterdzieści dwa - odpowiedział Van okropnie schrypniętym głosem.

- A więc urodziłeś się, niech zgadnę, w czterdziestym ósmym albo czterdziestym dziewiątym? Dziecię połowy wieku.

Pamiętasz taką piosenkę z lat sześćdziesiątych... chyba... Miała taki refren: *Czasami... myśliwy... wpada... we własne sidła...* Van nie odpowiedział.

Mniej więcej o zachodzie słońca Van Ness siedział przy kuchennym stole, w kocu narzuconym na ramiona, i za pomocą łyżki posiłkował się czystym bulionem z ciężkiej miseczki. Przez okno widział mężczyznę, który wedle wszystkich znaków na niebie i ziemi był teraz jego gospodarzem; człowiek ów - wciąż w zielonym szlafroku, obuty w drewniaki, z których wyzierały białe stopy - szedł przez pastwisko, wysoko unosząc nogi, jakby chronił stopy przed wieczorną rosą. Niósł czarne wiadro. Wysypał jego zawartość przed otyłym, starym koniem. Zdjął czapkę i zaczął odganiać nią muchy, a koń pochylił łeb ku ziemi. Na całe pastwisko majestatyczne cienie rzuciły, stworzone z wielkim rozmachem, konstrukcje ze zszarzałego drewna i porzewiałych części maszyn rolniczych. Van Ness pojął, że w zamierzeniu były dziełami sztuki.

Kuchnia wydała się Vanowi bardzo przyjemna. Dom zaprojektowano z myślą o nasłonecznieniu i teraz - mimo końca dnia - również docierało tu słońce, którego promienie dawały Vanowi ciepło. Dom nie był duży, choć miał zapewne wielki strych i dodatkowy pokój u szczytu schodów. Na dole była tylko kuchnia i salon, i jeszcze drzwi - jak sądził - do studia albo małej pracowni. Miał spać w salonie, na łóżku chowanym w ścianę.

A więc zrobił to. Zabił się. I wylądował w tym miejscu. Umarł w tamtym wszechświecie, ale w tym, sąsiednim, żył dalej; jego świadomość przeniosła się do innego, jednego z wielu prawdopodobnych światów, w których nie umarł. Tak to wygląda. Człowiek znika w jednej dziurze, a wyłania się w innej. Śmierć przenosi nas tylko na jakieś nowe pole szachownicy. Teraz miał pewność, że wszystkie byty są nieśmiertelne. Nie mógł zabić, nie mógł umrzeć. Wmawiają nam, że życie to sen, ale to nieprawda. Śmierć jest iluzją.

Gospodarz Vana stanął w drzwiach, zrzucił z nóg trepy i boso wszedł do kuchni. Wskazał głową pastwisko i konia. - Nasz kopytny amigo. Van pił bulion, który smakował jak rosół. Czuł się po

nim coraz bardziej głodny. Może oprócz bulionu stawi jeszcze płatki...

- Nazywam się Nelson Fairchild - przedstawił się mężczyzna.
- I mam zamiar nalać sobie wina. Powiesz mi, kim jesteś?

- Van Ness. Imię - Carl.

- Chyba nie dowiem się od ciebie niczego więcej - trafnie przewidział Fairchild, wnosząc z odgłosów, jakie wydobywały się z gardła Van Nessa. - Nic nie szkodzi - dodał. - Mam zamiar dać ci kieliszek i wznieść z tobą toast. Możesz pić albo nie pić, jak wolisz. - Nalewając wino, Fairchild trzymał butelkę oburącz. Wysoko unióś kielich: - Za zdrowie pierwszego człowieka, który spadł z gwiazd!

Usiadł przy stole. Van przyglądał mu się, gdy pił. Fairchild był młodszy, niż Van z początku sądził, miał raczej dwadzieścia pięć, a nie trzydzieści pięć lat. Młody koleś z oczyma, w których czai się strach starca; w jego przypadku strach był siłą napędową. Dobrze jest wiedzieć, czym kieruje się w życiu dany człowiek. Dłonie młodego mężczyzny uspokoiły się. Podniósł i rozłożył talię kart do pasjansa, delikatnie wysunął z wachlarza jedną kartę i rzucił ją na stół.

- Król Samobójców - stwierdził.

Zabawne, że obrazki są zawsze po właściwej stronie. Tak, miał rację: król kier przebijał sobie z jakiejś przyczyny głowę. Król Samobójców.

- Nic nie mówisz. Zdumiewa cię ten zbieg okoliczności? - zapytał Fairchild.

- Jestem zmęczony.

- Nie wierzysz w przeznaczenie?

Van przełknął nie bez trudu ślinę i odpowiedział z przyjemnością:

- To pojęcie jest niemal zawsze przeinaczane - zależało mu, żeby odpowiedzieć mimo bólu gardła.

- Jedyna prawdziwa droga... znaki na zakrętach?...

- Ja wytyczam drogę. Samodzielnie sporządzam mapy. Nic mi się nie przydarza ot tak sobie... - Przełknął, starając się nie krzywić. - Jestem swoim jedynym wydarzeniem.

- Czy aby na pewno? Możesz nie pamiętać, ale niedawno wskrzesiłem cię ze zmarłych. Przez dziesięć... dwanaście godzin nie byłeś żadnym wydarzeniem. Leżałeś jak trup całe

czternaście godzin! - Fairchild sprawdzał czas na zegarze elektrycznego ekspresu do kawy.

Van wstał i, nie namyślając się wiele, przewrócił stół.

- Reaguj! - mruknął wśród odgłosów rozbijanego szkła, wśród śpiewu szklanych odłamków na hiszpańskich kafelkach.

Fairchild nic nie powiedział. Podniósł stół i schylił się, zbierając - zupełnie bez sensu - dwa albo trzy kawałki porcelany. Van domyślił się, że nasiąka gniewem od zewnątrz, co było widać po jego skórze. Za dwadzieścia minut zaczną palić go trzewia, które schłodzi kieliszkiem wina.

- Nie zmienia to wiarygodności mojego argumentu - oznajmił w końcu Fairchild, odkładając na pusty blat jeden mokry odłamek.

- Teoretycznie. Ale życie nie jest teorią, przynajmniej nie moje. Muszę je przeżyć.

Fairchild doszedł chyba do wniosku, że nie chce mu się teraz sprzątać. Usiadł przy stole.

- Jesteś dokładnie taki, jak sobie wyobrażałem.

- Mając na myśli... kogo?

- Jesteś prawdziwym człowiekiem czynu.

- Nie jestem człowiekiem czynu - powiedział Van, przełykając z trudem niemal po każdym słowie, ale czując się zobligowany do mówienia, pijany koniecznością rozmowy. - Jestem człowiekiem woli. Ale nie wierzę swojej woli, nie czuję jej, dopóki nie przemienię w czyn.

- Robisz to bez względu na okoliczności.

- Bez względu na okoliczności.

- I nic się wtedy nie liczy.

- Zgadza się. Nic się nie liczy.

- Postępujesz więc zuchwale.

- Czy mogę dostać trochę płatków?

- Jak człowiek wielkiej odwagi.

- Nakarm mnie. Nie będę już psuł stołu.

Nie było jeszcze ciemno, lecz gdy Fairchild przechadzał się po pokojach perorując - jak mniemał Van: z jego powodu - pozapalał wszystkie światła, wszystkie co do jednego.

- Kiedy ujrzałem, jak zmierzasz do stawu! Niezapomniane wrażenie. Powiadam ci, rozgoniłeś burzę. Każdy z nas chciał-

by przeżyć choć jedną taką chwilę. Dzięki tobie przeżyłem ją __
W tym lub innym momencie włożył płytę do odtwarzacza, jakiegoś Sonny'ego Rollinsa. Van próbował poddać się kojącej muzyce, a szaleniec mówił dalej: - W zeszłym miesiącu pojechałem do głównej biblioteki w San Francisco. Znają mnie tam, cieszę się wśród nich sławą, mam obsesję na punkcie kwerend. Pojechałem tam... nie pamiętam już kiedy - przed trzema tygodniami... Już nigdy nie pojadę stąd na południe, w każdym razie nie Drogą Nadbrzeżną. Skały zapraszają... Jeśli naprawdę próbowałeś się zabić w naszym stawie, to powiem ci, że znam to pragnienie. Kiedy skręciłem w głąb łądu za Jenner, poczułem się bezpieczny. Przejeżdżasz przez dolinę Ruskiej rzeki i jesteś w innej Kalifornii... Słońce, winnice, wiatraki, małe motele... - kontynuował, nie wiedząc, że Van go nie słucha.

Potem skończyła się muzyka i Fairchild wdał się w dywagacje o jakimś filmie... Nie, nie opowiadał filmu, mówił o doświadczeniu bycia w kinie, zasiadania na widowni, w ciemności:

- Wielcy ludzie... Gargantuiczne biusty... chodzi mi o głowy i ramiona, a nie cycki. A może i o cycki. I słuchaj: wy darzyło się tam coś, czego wsześniejsz nie doświadczyłem. Tak, panie Van Ness. Ludzi w kinie ogarnęła panika.

Fairchild zbladł. Wysiłek mówienia i przypominania sobie wypłukał krew z jego ciała - być może, odprowadzając ją do mózgu. Wewnętrzna energia nie dodaje Fairchildowi żywotności - myślał Van - sprawia tylko, że staje się niesamowicie spięty, a wszystkie tworzące go włókna naprężają się do tego stopnia, iż w każdej chwili może zacząć lewi-tować. Potężna wibracja wstrząsała kubkami i podstawkami na stole.

- Podłoga - mówił - drżała. W przejściach rozległy się szybkie kroki wielu ludzi, poruszających się w tłumie ogarniętym jedną i tą samą myślą, nieważne jaką, a mnie się zda wało, że ktoś, jakaś grupa robi nam kawał. Wszystko sprawa wiało wrażenie, że to, co się dzieje, odbywa się według ustalonego planu, niczym w studenckim wygłupie, spodziewałem się, że za chwilę jakiś niczego nieświadomy student pierwszego roku zostanie uniesiony w górę i wyrzucony przez okno albo coś w tym rodzaju. Potem zdałem sobie sprawę, że są ich

tuziny! Rzędy pustoszały falami, począwszy od tyłu, a my -ci, którzy siedzieli z przodu - obracaliśmy się i naszym oczom ukazywał się tłum opuszczający szybko salę każdym możliwym wyjściem. - Fairchild także był w ruchu, szukając czegoś w kuchni. - Zwracam twoją uwagę na fakt... - ciągnął, grzebiąc obojętnie w lodówce, delektując się własnymi wspomnieniami - że nikt nie krzychał, nikt nie piszczał. Nikt nie wydał z siebie najmniejszego odgłosu, panie Van Ness. Słyszać było tylko ciche pomruki ludzi rozważających, co się dzieje, i decydujących się nie czekać na finał. Jedynym wyraźnym dźwiękiem był straszliwy tupot, któremu towarzyszyły głosy aktorów dalej prowadzących dialog na ekranie. Oniemiali, przerażeni ludzie wylewali się z kina! Wtedy my -ludzie siedzący z samego przodu - domyśliliśmy się już, o co chodzi, ale czuliśmy coś w rodzaju oddalenia, obojętności wobec tego, co wypłoszyło tych z tyłu... oszalałego mordercy, czegokolwiek... Ludzie zajmujący trzy pierwsze rzędy nie wstali z miejsc. Czekaliśmy. Bileterka, młoda kobieta, weszła z hallu i usłyszeliśmy, jak z kimś rozmawia. Niczego jednak nie ogłaszała, dopóki ktoś spośród nas nie wrzasnął: „Powiedz nam, co się dzieje!” Wtedy zaczęła krzyczeć: „To tylko pudło z butami! Pewien pan kupił buty! Nie ma żadnej bomby!” Przez cały czas olbrzymie... głowy aktorów rozmawiały ze sobą na ścianie... ruchome obrazy, gadające obrazy wyzute z resztek iluzji. I wiesz co? Usiedliśmy - ci, którzy zostali - i po paru minutach dramat pochłonął nas na nowo, całkowicie i nieodwołalnie, chociaż film, mówiąc między nami, nie był najwyższego lotu. Płatki, płatki, płatki - rzucił niespodziewanie - chyba nic więcej nie mamy. - Van przyglądał mu się, gdy wsypywał płatki do miseczki. - Później widziałem w hallu znanego człowieka, gwiazdora telewizyjnego. Jadł popcorn z czerwono-pomarań-czowej torby.

Van nie miał pojęcia, jak na to zareagować. Słońce chowało się za chmurami, kuchenne okno wypełniło się ciemnoróżo-wym światłem, a Nelson Fairchild spozierał na dwór. W jego oczach szklily się łzy. Huśtawka nastrojów, nie ma co... Emocjonalne koło fortuny. Van widział, jak zmusza twarz do przyjęcia normalnego wyrazu, jak zrzuca z niej pleśń smutku.

Dopiero wtedy odwrócił się od okna i zaczął przygotowywać nowe miejsca przy stole.

- I nic ci już nie dolega? - zapytał Fairchild. - Do tej pory jeszcze nigdy nie uratowałem nikomu życia. Nic ci nie jest?

- Dzięki - odparł Van tylko dlatego, że było mu żal człowieka.

- Doszedłeś tu piechotą.

- Mój samochód stoi zaparkowany gdzieś przy drodze. Chyba go stąd nie widać.

- Czy powinienem kogoś powiadomić?

- Nie.

- Nikogo?

Van poczuł, że jego również ogarnia panika.

- Słuchaj, chyba nie dzwoniłeś na pogotowie ani po gliny?

- Nie.

- Nikt nie wie, że tu jestem.

- Nie - powiedział Fairchild - i tak powinno zostać. Jesteś tu potajemnie i daję ci płatki. Wrócił ci apetyt. Lepiej wyglądasz.

- Powiedz tylko, że jesteś nieszkodliwy, i wszystko będzie dobrze.

- Wszyscy jesteśmy nieszkodliwi. Dopóki nie poczujemy za sobą ściany.

- Nie brzmi to kojąco.

- Wydawało mi się, że chcesz umrzeć.

- Może. Ale z własnej ręki.

Fairchild zamknął oczy, może - pomyślał Van - ze zniechęcenia.

- W tym, co opowiadałem wcześniej, chodzi o to, że każdy, kto był tego dnia w kinie, wierzył święcie, że inni są w stanie zabić nas wszystkich. I chyba tak było?

Fairchild znowu stał przy lodówce, od której po chwili odwrócił się z pompatyczną miną i kartonem mleka w rękę.

- Kto wie, jak wygląda morderca? - Stanął obok krzesła Vana. Pochylił się zbyt blisko. - Ostatnio wydaje mi się, że mógłbym zostać jednym z nich.

Van czuł w jego oddechu zgniliznę wina. Napis na baseballówce głosił: ZAPOMNIJ O STAREJ CZAPCE.

- Ach, pojmuje. Lecisz sobie ze mną w chuja - Van odprężył się.

- Hermann Goring - zaczął na nowo Fairchild, lejąc drżącą dłonią mleko do swojej miseczki z płatkami - został odnaleziony pod koniec wojny w japońskim kimonie. Był nieprzytomny od opium. Miał umalowane usta, umalowane oczy i bawił się w salonie cementowym modelem kolei żelaznej -oto jak trzeba być obłąkanym, by zabić tak wielu ludzi jak Hermann Goring. Oto jak trzeba być obłąkanym, by zabić choćby jednego człowieka. Wierz mi, Van Ness, w niczym nie różnię się od Hermanna Goringa. Pozwolisz... - przechylił kartonik i wypuścił z niego drżącą wstęgę mleka na płatki Van Nessa.

Polykając pierwszą łyżkę jedzenia, Van zdał sobie sprawę, jak bardzo był głodny. Płatki drażniły mu gardło. Czekał więc, aż rozmiękną w mleku.

- Oczywiście, upraszczam - powiedział Fairchild. - Być może, w przypadku Hermanna Goringa obłąd był wynikiem, a nie powodem ludobójstwa. Tak czy inaczej, trzeba być pomyłonym, żeby w ogóle zacząć.

- Wiem tyle, co ty.

- Pierwsze morderstwo prowadzi do następnych.

- Nie wiem.

- Przekonajmy się.

- Nie wiem, co masz na myśli?

- Nie chciałbyś się przekonać?

- O czym?

- Chciałbym, żebyś kogoś dla mnie zabił. Postarałbym się wynagrodzić ci ten trud.

- Postarałbyś się wynagrodzić mi ten trud? - wychrypiał Van.

- Czym, pytam, czym?!

- Pieniędźmi, czymkolwiek...

A więc stało się. Musiał się zabić. I trafił tutaj. W porządku. Kolejne wydarzenie, to wszystko.

- Pieniędźmi mi nie robią - powiedział.

- A co ci robi?

Van Ness nie tknął nawet wina, a ściany kuchni i tak zaczęły wirować.

- Zrobię to. Nie ma sprawy.

- Ale co ci robi?

Pieprzenie. Postanowił nie zwracać na nic uwagi.

- Powiedziałem, że to zrobię.

Fairchild wstał i powiedział: Louise. Podniósł obydwa kciuki i palce wskazujące do oczu i przetarł je. Widać było, że układa mowę, a kiedy ją zaczął, emocje odbierały mu głos.

- Tam, gdzie pracuje Louise, jest pewna pani, na którą mówią Dama z Singapuru. Dama z Singapuru była kiedyś szaloną dziewczyną, żyła w konkubinacie z jednym stolarzem z San Francisco. Oprócz tego była prawdziwym postrachem okolicy. Ale stolarz wcale się jej nie bał, wracał późno do domu i zadawał się z dziwkami. Nic sobie z tego nie robił, że konkubina o wszystkim wiedziała. Błąd! Pewnego dnia wbiła mu nóż w oko i pozwoliła wykrwawić się na śmierć. Potem jego własną piłą pocięła go na trzynaście kawałków. Włożyła wszystkie do wielkiego kufra, który wysłała na zmyślony adres w Singapurze. Podczas drogi pokawałkowany stolarz zaczął wydzielać straszliwy odór, ktoś otworzył kufer i znalazł zzieleniałe ręce i nogi, nadgniłe inne części ciała, a nawet jednooką głowę. Konkubina została aresztowana. Powstaje pytanie: dlaczego tak się stało? Otóż z tej prostej przyczyny, że umieściła na kufrze adres zwrotny. Louise mówi, że jest nazywana Damą z Singapuru, bo przez ostatnie dwadzieścia lat codziennie przygotowuje pustą paczkę, adresuje do Singapuru i prosi strażników lub wychowawców, żeby wysłali ją pod wskazany adres.

- Louise jest moją matką - kontynuował. - W dniu, w którym jechałem do San Francisco, zostały jej trzy miesiące do emerytury. Chciałem ją odwiedzić, gdy jeszcze pracowała, by uniknąć w ten sposób konieczności dłuższej wizyty.

Van zjadł płatki niemal do końca. Odsunął miseczkę i opadł na oparcie krzesła.

- Zapomnij o starej czapce, he?

- Mam zamiar cię poprosić - mówił dalej Fairchild - byś został moim współnikiem w zbrodni.

- Powiedziałem okay - rzekł Van.

- W zasadzie moim najemnikiem.

Van milczał.

- Czy jedno morderstwo prowadzi do kolejnego? Uważam, że tak, bo nagle i niespodziewanie myślę już o zabiciu dwóch

następnych osób. Może nawet trzech. W każdym razie z pewnością jedną: Harry'ego Lally.

Nadeszła noc i zamieniła okna w lustra. Fairchild miał zwyczaj przyglądania się swemu odbiciu, podchodzenia do okna i wpatrywania się prosto w mówiące usta.

- Popelnisz to morderstwo. Może powinieneś zabić wszystkich, którzy sprawiają mi kłopoty! Tak czy siak, popelnisz to morderstwo. Potem tu wrócisz... to znaczy nie, z pewnością nie tu... ale gdzieś... pojedziesz gdzieś. I dokończysz popelnianie samobójstwa.

Facet miał psychotyczny urok. Był zabawny.

- Leczyłeś się? - zapytał Van.

Fairchild milczał chwilę przed oknem, odwiązywał sznury żaluzji i spuszczał ratanowe maty na szyby.

- Nie znasz sytuacji. Każdy by oszalał - stwierdził w odpowiedzi.

- Nie, myślę, że nic ci nie jest. Byłem tylko ciekaw zdania profesjonalistów na ten temat.

- Zastanawiasz się, dlaczego chcę kogoś zabić. Mógłbym odpowiedzieć po prostu: „A dlaczego nie?”, ale nie zrobię tego. Twoje pytanie implikuje, że trzeba mieć jakiś powód, a to nieprawda. Owszem, są pewne wskazania. Ale nic, co mogłoby usprawiedliwić sam czyn.

Usiadł. Vanowi wydało się, że Fairchild zaraz ujmie go za rękę - było coś takiego w jego wahanii i powadze... Ale nie zrobił tego.

- Mam problemy ze swoimi przestępczymi współnikami. Jestem komuś winien ogromną sumę pieniędzy. Ubezpieczenie mojej żony pokryłoby wszystko, oczywiście pod warunkiem, że ona by zmarła. W żaden inny sposób nie uzyskam pieniędzy, nikt mi ich nie da, nawet ojciec, ba!, szczególnie ojciec. Słowa kierowanych do niego próśb przed bardzo wielu laty zamknąłem w pięści nienawiści. Rzecz jasna, łatwiej byłoby pozwolić im mnie zabić albo pójść do Clarence'a i powiedzieć: „Posłuchaj, mam taką prośbę: zrób dla mnie pasztet z Winony, poszatkuj sukę na tysiąc drobnych kawałków”. Lub coś w tym stylu, ale w subtelniejszej formie...

- Nie miałeś prawa przewracać mojego stołu! - rzucił nagle. - Potłukłeś mi naczynia. Rzeczy, które należą do mnie!

- Clarence - to kto?

- Jedyne człowiek, jakiego znam, który zabijał ludzi.
- Chodzi o pieniądze? Rozwiódź się z nią i sprzedaj dom.
- Jeśli wyjdiesz na dwór i spojrzysz na zachód - powiedział Fairchild - zobaczysz wszystko, co stracę, rozwodząc się z Winoną. Cała ta ziemia i cały ten las przepadnie... Stąd aż po ocean.
- To wszystko należy do niej?
- Do mojego ojca, który zapisał jej moją część spadku. Tak postąpił mój katolicki tato. Żebyśmy się, broń Boże, nie rozwiedli.
- Dlaczego nie znikniesz? Nie weźmiesz, co twoje, i nie pójdiesz w tango?
- Równie dobrze mógłbyś zapytać, dlaczego nie popełniłem jeszcze samobójstwa.
- Dlaczego?
- Bo byłoby to ostatnie zniknięcie i ostatnie pójście w tango. Van roześmiał się. Zabolało go i przestał. - Ile masz lat?
- Przed trzema tygodniami skończyłem dwadzieścia dziewięć.
- I kogo chcesz zabić?
- Moją żonę, Winonę Fairchild.
- Taa... już słyszałem.
- O Winonie?
- Chyba ją poznałem.
- Poznałeś ją!
- Tak, poznałem ją. W Shelter Cove.
- Tam się nie poznaje ludzi.
- Trudno. Poznałem ją i już.

Fairchild szarpnął kieszeń szlafroka. Wydobył talię kart. Ułożył z niej chyba... klondike, jeśli Van znał się na pasjansach. Wyglądało to bardzo dramatycznie, wręcz uderzająco -myślał Van. Walczy z bólem, chwytając się czegokolwiek, pierwszej w miarę interesującej rzeczy.

- *Bushido* - powiedział Fairchild. Van znał go ledwie od popołudnia, ale już wiedział, że będzie wykład. Wynurza się z odmetów jak wieloryb. - Znasz ten termin? *Bushido* oznacza „drogę wojownika”, a jest to w japońskim ujęciu wszystko, co może dotyczyć samuraja. Chodzi o to, że samuraj^{osi}aga całkowitą obojętność wobec rzeczy tego świata, uwa-

zając się za osobę zmarłą jeszcze przed śmiercią. Zachęcam niedoszłego samobójcę, by spojrział na siebie w ten sposób. Van znów się roześmiał i znów zabolalo go gardło.

- Zbiegi okoliczności doprowadzą nas do szaleństwa.
- Powinieneś siebie widzieć, jak szedłeś na dno!
- W porządku - powiedział Van. - To wszystko przemawia do mnie. To znaczy, że zaczynam o czymś myśleć, a po dwóch minutach, dwóch sekundach nawet, wypowiadasz moje myśli...
- Tworzy się między nami niebezpieczny związek.
- Nie jesteś zwykłym facetem, prawda? Zwykły facet odkłada na bok wszystko, co sprawia mu przykrość.

Fairchild strzelił kartami w stronę zlewu. Poszybowały łukiem spomiędzy jego palców jak zaczarowane. Miał jakiś talent.

- Często zamawiam nową talię. Ale nigdy nie zmieniłem gry.

Vanowi spodobało się, że jest górą:

- Powtarzam ci po raz trzeci: zabiję ją dla ciebie.

Thompson prowadził ciężarówkę, a Falls tokował:

- Pracowałem nad różnymi rzeczami, rzucałem nuty na papier i tak dalej, i tak dalej... różne takie pomysły, nad którymi chciałem posiedzieć przy pierwszej nadarzącej się okazji. To samo, człowieku, wyszło na jego płycie po osiemnastu miesiącach... - Falls mówił o Jerry'emu Jeff'emu Walkerze, kompozytorze country-western. - Nie chodzi mi o słowa, ale o pomysły i rytmy, które były dokładnie takie jak moje, człowieku. Dokładnie takie same jak to, co miałem zrobić i co z pewnością bym zrobił, gdyby... Musiał pracować nad tymi rzeczami dokładnie wtedy, kiedy i ja nad nimi pracowałem, wydał je po osiemnastu miesiącach. Mam dla niego dużo szacunku, człowieku. Czuję, że coś nas łączy...

To w ogóle nie interesowało Thompsona: łączność lub brak łączności między Bartem Fallsem - którego uważał za żalosego recydywistę - i Jerry'emu Jeff'em Walkerem, zataczającym się barowym minstrelem. Thompson słuchał kalifornijskiego jazzu. Cheta Bakera. Arta Peppera. Ludzi, którzy to naprawdę czuli. Albo Toma Waitsa, jeśli zależało mu na słowach i obrazach.

- Słuchaj no, chyba już go minęliśmy - powiedział.
- Nie, mam oko na wszystko. Nie było jeszcze sekwojowej bramy.

_ Brama jest szara.

- Szara sekwoja. Tak się dzieje, człowieku. Sekwoje szarzeją.
- Przejedziemy jeszcze milę.

Thompson wszedł w ostry zakręt. Wyjechali w zupełnie innym świecie.

W Disneylandzie, Shangri-la. Zatkano go. Zupełnie.

- Robisz mnie w chuja - powiedział do Fallsa.

- Dobra, zatrzymaj furę - musiał odpowiedzieć Falls.

Thompson wcisnął hamulec. Mieli przed sobą olbrzymi, bogato zdobiony i wyglądający z japońska budynek zwieńczony miedzianą kopułą. A za nim wieżę, pagodę kapiącą od złota.

Thompson patrzył. Poczul w kościach dreszcz wdzięczności. - Ha! - wykrzyknął, kiwając kilka razy głową. Wiedział, że gdy się podnieca, wygląda niekiedy głupawo. Ale do tej pory nic się nie udawało i obaj czuli się przegrani. A teraz... teraz czuł się jak odkrywca Egiptu.

- Popatrz na ogrodzenie - powiedział Falls. Była to wysoka na piętnaście stóp siatka z pętlami z drutu kolczastego na szczycie. Z tego, co widzieli, parkan ciągnął się przez całe mile, otaczając teren.

- Mają w środku coś absolutnie wyjątkowego, dam sobie głowę uciąć, coś absolutnie wyjątkowego - zawyrokował Falls.

Tego ranka Thompson i Falls obudzili się w ciszy obozowiska już w granicach okręgu Sonoma. Był to stanowy kemping, ale oprócz nich nie było tu nikogo - chyba z powodu wysokich opłat: czternaście dolarów za noc. Mgła wiła się w węzowym tańcu nad rzeką Gualala. Falls oparł się na łokciu i wolną ręką zaczął szukać przy sobie papierosów, ale w jednej chwili zamarł. Poczul lekki ucisk w gardle, wzbierało w nim jakieś dziwne uczucie. Położył się w wilgotnym śpiworze i nasłuchiwał odległego dudnienia, bardziej mechanicznego niż szum rzeki.

- Mógłbym się przyzwyczaić do odgłosu tego pociągu.

Spojrzał na Thompsona, który - ubrany i ogolony - szukał czegoś w plecaku.

- We Fresno też budziły mnie pociągi - powiedział Falls, wyjmując papierosa z kieszeni na piersi, przedtem zupełnie pustej. Zapalił go od żarzących się jeszcze węgla ogniska. - Linia biegła obok miejskiego basenu. Większe chłopaki umiały się na skoki do pociągów. A wszystkie matki ostrzegały nas, że stracimy ręce i giry. Mówiły też, że jak stanie się za blisko pociągu, powietrze wsysa cię pod koła.

Wyciągnął rękę i poruszył dzbankiem od kawy. - Wydaje mi się, że to było we Fresno. - Wstawił dzbanek do szczątek ogniska.

- To nie jest pociąg. To helikopter.

- Helikopter? - zdziwił się Falls.

Thompson rzucił plecak na ziemię.

- Skończył mi się papier toaletowy. Chyba...

- I co z tego? Mają tu przecież papier.

- Zachciało mi się i myślałem...

- Ich papier jest całkiem dobry.

- Jak w więzieniu. Każdy stanowy papier jest taki sam.

Rzeczywiście, brzmiało to jak helikopter. Gdy ucichł hałas wirnika, Falls usłyszał psy rzucające się i piszczące w wozie.

Zabrał się za robienie śniadania, co według Thompsona polegało na odgrzewaniu wczorajszych resztek.

- Ktoś nie zamknął wczoraj chili - powiedział. - Byliśmy w mieście. Trzeba było kupić jajka.

- Myślę, że pójde na ryby - stwierdził Thompson i Falls przestał go słuchać. Wyczołgał się ze śpiwora i w samych skarpetkach pobiegł jak baletnica po mokrej ziemi, żeby wypuścić psy. Gdy tylko otworzył drzwi, psy wypadły na dwór. Wszystkie trzy zbite w kulę jak jedno zwierzę. Cuchnęły wilgotną sierścią i obijały mu żebra ogonami.

Gdy znów rozpoczął nasłuch, Thompson właśnie mówił:

- Jest czystej krwi Norweżką. Urodziła się dzień po mnie. W Kenii w środkowowschodniej Afryce, ale potem przez cały czas mieszkała w Fargo, w Południowej Dakocie. Co powiesz na taką przeszłość?

- Jaka? - mruknął Falls. Kobiety nudziły go jeszcze bardziej niż ryby. Odlewał się długo pod jakimś krzakiem, a potem poszedł sprawdzić chili.

- Wszystko się skawaliło.
 - Szkoda.
 - Wyszło, bo nie było przykryte, myślę, że dlatego. I jeszcze coś: spadajmy stąd.
 - Stąd?
 - Nie chcę iść znowu do pudła.
- Thompson popatrzył na niego z miną zdziwionego dziecka.
- Mówiłeś, że nie będzie porwał - przypomniał mu Falls.
 - Nieprawda.
 - Prawda.
 - Nie mówiłem ani tak, ani siak.
 - Mówiłeś, że mamy tylko kogoś odwiedzić. A to nie są odwiedziny. Będziemy musieli zgarnąć go z ulicy.
 - Dlaczego?
 - To żadna tajemnica: facet robi nas w konia. Kryje się przed nami. Jesteśmy załatwieni. On nas załatwił.
 - Jesteśmy załatwieni? My? - Thompson zaczął nucić temat z Jamesa Bonda.
 - Za długo tu jesteśmy.
 - Nikt nas nie załatwił. Oprócz Boga.
 - Wszyscy nas widzieli. Znają nas.
- Thompson podzielił chili na dwie porcje i zaczął jeść z papierowego talerza. Po chwili odezwał się: - Sranie po ścianie, co?
- Coś w tym rodzaju.
 - Znaczy się cykoria. - Thompson był bardzo z siebie dumny.
 - Chciałbym coś postanowić, a nie bawić się w przedszkole.
 - Skąd te nagłe obawy? Czy jest coś wokół nas, co cię niepokoi?
 - Zaczniemy od tego, że całkiem niepotrzebnie ciągniemy ze sobą trzy cholerne psy. To nie był najlepszy pomysł. - Falls wyrzucił jedzenie z talerza w krzaki, z których natychmiast wysunęły się psie głowy i rozpoczęły wściekłą walkę o resztki niczym lby hydry.
 - Niewykluczone, że psy okażą się przydatne. Jeszcze nie wiem.
 - Każ im czegoś szukać. Obawiam się, że znajdziesz je po tygodniu. Jeśli w ogóle...

- Jesteśmy myśliwymi. Musimy mieć psy.
- Pieprzenie.
- Zaczekaj! - Thompson machnął ręką. - Wiem, o co ci chodzi. Już wiem!

Falls westchnął i pomaszerował brzegiem ku rzece. Przyklęknął nad przejrzystą wodą, wypłukał rondel i zaczął szorować go piaskiem do gołej stali.

Usłyszał trzask ogniska. Wrócił do obozu i zobaczył, jak Thompson wrzuca mokre, zielone witki do ognia, z którego snuje się bury dym.

- Chcę wysuszyć rondel - powiedział. - Ale nie mogę oddychać tym dymem. Muszę stanąć tam, gdzie ty, okay?

- Powiedziałem ci: wszystko rozumiem, wiem, jestem na bieżąco - rzucił Thompson, gdy Falls przykucnął obok niego i wyciągnął rękę z rondlem nad przygasającym ogniskiem.

- Myśliwi wynajmują przewodników. Myśliwi przywożą upolowaną zwierzynę do tego czy innego rzeźnika, żeby przechował im wszystko w chłodni. Ty i ja wałesamy się po okolicy, co rzuca się w oczy, człowieku.

- Więc jesteśmy turystami, Bart. To szczerza prawda. No dobra, może trzeba go będzie porwać. Zrobimy to. Może się nam poszczęści. Wszystko jest możliwe.

- A jeśli się nam nie poszczęści? Wtedy co? Pudło?

- Tak. Oczywiście. To zawsze wchodzi w rachubę. Ale niektóre rzeczy trzeba robić wbrew sobie.

Falls był zdruzgotany, przez psy, przez robotę, przez najróżniejsze troski.

- Człowieku, to powinno nam zabrać piętnaście minut! - orzekł.

- Lamenty! Narzekania! Wiesz, co mi robisz? Wiesz, jak na mnie działasz? Ranisz mnie! Wszystko mnie boli, strzyka mnie w dupie. Jesteśmy na szlaku, a kiedy patrzę na ciebie, człowieku, siedzisz i dłubiesz w nosie, myślisz o niebieskich migdałach. I wiesz co? Wycofujesz się. Wycofujesz się jak jasna cholera! Wiesz o tym?

- Nie. Myślałem, że możemy swobodnie wymieniać poglądy.

- Jeśli się wycofasz - powiedział Thompson - zrobisz to sam, beze mnie. Bierz furę, bierz pieprzone psy i żegnaj!

Zostawisz mnie bez środków do życia i z robotą. Bo ja się nie wycofam! Zostaję tu. Tak wygląda nasza wymiana poglądów.

- Nie... Chodzi mi o to, że obaj powinniśmy wyjechać.
- Nigdzie się stąd nie ruszam.
- Okay.
- Masz jakiś papier toaletowy? - zapytał Thompson.
- Używam ich papieru! - wrzasnął Falls. - Mam taką samą dupę jak w Chico i Folsom, i Quentin!
- Nie mów.
- Przemyślałem sobie to wszystko. Jesteśmy ugotowani - obstawał przy swoim Falls.
- Położył się, opierając głowę o plecak, i westchnął ciężko.
- Mam chandrę.
- O, kurwa.
- Nudzisz mnie.
- Czuję, że zbliża się przełom - powiedział Thompson. Falls usiadł.
- Lubię przełomy - dodał Thompson.
- Więc go porwijmy - rzucił Falls.
- Jest dzień.
- To mi się podoba.
- Jasne.
- Podnieca mnie. Seksualnie.
- Wiem.

Tego wieczoru - kiedy znów nic im nie wyszło, a zrobili z siebie żalonych durniów, zostali nawet rozpoznani i wyzwani przez faceta - Thompson świętował, upijając się Sea-gram's Seven, kopiąc jednego psa pod żebro i goniąc dwa pozostałe z kijem w rękę. Potem stał nad ogniskiem ze spodniami spuszczoneymi do kolan i szczał w płomienie.

- Gdyby to ognisko było elektrycznym podgrzewaczem mieszkań, byłbym już martwy - powiedział do Fallsa.

Zrobił mu wykład, którego celem było uratowanie Fallsa przed samym sobą.

- Wiesz, dlaczego jesteś taki twardy? Rozpracowałem cię. Chcesz zabić ojca, czego nie mogłeś zrobić w dzieciństwie.

Falls był zły. Nawet nie pijany.

- Kiedy byłem mały?

- Gdyby twój ojciec rósł równo z tobą, byłby teraz olbrzymem, ale ty masz dość siły, żeby go zabić. Jesteś wystarczająco twardy, rozumiesz, o co mi chodzi, chcesz go zabić, żeby cię nie wykorzystywał. Masz retroaktywną projekcję życia. W środku pustkę. A to wszystko jest gównie ważne.

- Może. Ale nie ma w tym nic złego.

- Ilu ludzi zabiłeś do tej pory?-

- Do tej pory? Dwóch.

- A licząc z pudłem?

- Czterech.

- I mówisz, że nie ma w tym nic złego?.

Falls dostał pierwszy wyrok za zabicie ojca.

- Rok w rok mówisz to samo - powiedział do Thompsona. - Jakbyś mnie w ogóle nie znał, jakbyś w ogóle o mnie nie myślał.

I nagle pstryk: słyszę głęboką analizę mojej osobowości.

- Przepraszam, ale kto kogo teraz analizuje?

Ostatecznie Thompson przeprosił psy i dał im skrawki kiełbasy z pizzy, którą przywiózł z miasta. - Uuuuups! - wykrzyknął, gdy połowa pizzy spadła mu do ogniska. Psy ukryły się w krzakach. Jeden z nich wydał cichy, przedziwnie brzmiący pisk. Falls domyślił się przyczyny dziwnego odgłosu dopiero po piętnastu minutach.

- Smutno mu czegoś - powiedział do Thompsona. - Może to przez pogodę? Coś wisi w powietrzu. Czujesz?

Thompson czuł już niewiele, ale zauważył deszcz, gdy zaczął padać. Bez słowa zatoczył się w stronę auta. Falls pierwszy wskoczył do kabiny, zostawiając część kempingową, a raczej psią wozu, swemu pijanemu psychoanalitykowi. Później, gdy zaczęła się prawdziwa ulewa, Falls wypadł z kabiny i przeskakując kałuże, stanął z tyłu auta. Deszcz wypełniał lasy afrykańską muzyką, samymi bębnami, i zimnym ogarniającym z wolna wszystko. Falls szarpnął drzwi. Thompson zamknął je od środka.

- Tommy - zawołał. - Tommy.

Samochód zakołysał się. Głos Thompsona był przytłumiony:

- Odejdź i przepadnij na zawsze.

- Brachu, mam jeszcze jedną! - zawołał Bart. Odczekał chwilę, a potem dodał: - Moknę na deszczu.

Wrócił do kabiny, czekał dobre czterdzieści pięć minut aż burza odejdzie na wschód. Siedział wyprostowany, z opadającymi powiekami i trzymał się kierownicy. Gdy w końcu zrobiło się cicho, doszedł do siebie. Szybko wyjął długopis, wstrząsnął nim parę razy i zapisał kolejną stronę w notatniku.

Zanim Thompson wyszedł, by zaspokoić pijackie pragnienie, Falls zdążył już rozpaść ognisko i siedział w migoczącym świetle z otwartym notatnikiem na kolanach.

- W porządku, facet?
- Chryste, daj mi trochę wody.
- Wytrzeźwiałeś już na tyle, żebyś mógł zacząć?
- Oby nie, oby nie... - Na trzydzieści sekund podłączył się do bulgoczącej manierki.

Falls pochylał głowę nad notesem.

- Ta nie będzie o mnie. Chyba raczej o tobie...

Przemierzasz drogi jak rzeki, Jak
nagi jeździec z przeszłości,
Rozbijasz obóz na prerii W
tajemnym miejscu dla gości. Bo
rzucasz drobne na ladę, A peta
gasisz obcasem, Znasz smutek
wszystkich kelnerek, Gdy budzą się
w nocy czasem. Gdy gapią się w
telewizor Na kule światła, na tłumy,
Nic im nie możesz powiedzieć
Oprócz zwykłego „Pał gumę”.
Deszcz tłucze o starąabinę,
Wgniecioną już tyle razy. Wstydzisz
się przed kelnerką, Choć ona nie
czuje odrazy. Nie wie, jaki desperat
Kochał ją dzisiaj nad ranem. Nie
wie, że każde wgniecenie Jest jak
otwarta rana.

- Coś ci powiem, Falls. To wcale nie jest takie złe...
- Znaczy się: całkiem niezłe.
- No. Powinieneś w końcu dołożyć jakąś muzykę do tych wypocin.

- Nooo... Tylko że muzyka jest najtrudniejsza.
- Fakt - mruknął Thompson. - Szczęście, że deszcz zrobił porządek z tą mgłą. Wbił ją z powrotem w rzekę.
Falls obracał dłonie nad ogniskiem, zamknął je, mając w środku cień, cały mrok nocy. Gdy na nie patrzył, wyglądały tak, jak powinny wyglądać dłonie mordercy.
Thompson usiadł i zapatrzył się w płomienie.
- Jakieś... ile tam ich było... z siedemdziesiąt sześć aut rozbiło się raz na międzystanówce numer 5 we mgle. Skur wysyńska mgła. Jak od tych gór do Sacramento, a nie taka jak tutaj, nad morzem. W takiej mgle dziwka mogłaby ci robić laskę na ulicy, bo i tak nikt by nie zobaczył. Matka wszystkich mgieł, mówię ci, facet. Mówię: zjedziemy na bok i prześpimy się do wschodu słońca... Nie wiem, po co ludzie jeżdżą w takiej mgle. Siedemdziesięciu sześciu straceńców goni nie wiadomo za czym.

28 sierpnia 1990

Van Ness nie miał żadnych oporów. Ale jak się okazało, coś zmusiło go do odłożenia projektu opracowanego przez psychologa Fairchilda na później. Zmarła matka Van Nessa.

Wiadomość o jej śmierci nie sprawiła mu bólu. Zdziwiła go tylko. Lekarze nie mówili, że jest z nią tak źle.

- Czy to Carl Van Ness, syn Elaine? - prawnik zadzwonił do motelu. Gdy rozmawiał z nim, matka leżała już w ziemi. Prawnik znalazł go dzięki pomocy ludzi z przystani w Seattle, którym Van Ness zostawił nowy adres, bo byli mu winni forszę, „...syn Elaine?” - słysząc te słowa, domyślił się, że został sierotą.

Był jedynakiem i musiał pojechać do okręgu Monterey, na południe od San Francisco, żeby zająć się jej sprawami. Zostawiła mu swój mały domek, ale Van Ness nie wiedział, co z nim zrobić. W końcu spędził tam blisko trzy tygodnie.

Popołudniami jeździł do Salinas, w Central Valley, żeby obejrzeć filmy, których tak naprawdę nie chciał widzieć; żeby posiedzieć chwilę przed skupieniem scen z życia innych ludzi, którzy nie byli jednak prawdziwi; żeby pochodzić po

wielkich ośrodkach handlowych, otoczonych olbrzymimi przedsiębiorstwami rolniczymi. Czasem jeździł drogą numer 1 przez Castroville - Światową Stolicę Karczocha - albo objeżdżał zatokę Monterey i zatrzymywał się w Santa Cruz, gdzie odwiedzał ulokowane nad morzem wesołe miasteczko, które go wcale nie bawiło. Nie miał nic do roboty oprócz takich bezsensownych wypadów. Jego matka zmarła od czegoś, czego nie rozumiał; czegoś, co w jakiś sposób wiązało się z elektrolitami i równowagą hormonalną, a z całą pewnością zamknęło ją raz na zawsze - nieszczęsną, żalostną kobietę. Dostał w spadku trochę pieniędzy i dom w Carmel--by-the-Sea. Carmel nie było jego miejscem. Chmury napływały tam zbyt szybko z nad Pacyfiku, tak że niebo miało jednocześnie szarą i purpurową barwę. Pola na wschodzie były wypalone na białą i bezustannie rozjeżdżane przez małe, sportowe samochody. W samym mieście dryfował bez celu wzdłuż sklepowych wystaw, popychany beztróską samotnością obok nadmorskich pamiątek, których nigdy by sobie nie kupił. Subtelne kadzidelka. Olejki do opalania. Rakiety tenisowe. Konie...

Bardziej odpowiadało mu północne wybrzeże zatoki - zapuszczone, piaszczyste Santa Cruz. Lubił jadać w tanich nadmorskich knajpkach i próbować szczęścia w grach zręcznościowych, choć wiedział, że ich jedynym celem jest oskubać go do czysta. Czuł się dobrze wśród emerytowanych bitników i jarmarcznych sprzedawców - ludzi o życiorysach, które sami sobie stworzyli, o fikcyjnych nazwiskach, napiętnowanych, zużytych ludzi. Przesiadywał w brudnych barach, w których pił tylko kawę, a kiedy go pytano, czemu, tłumaczył, że ma raka trzustki. Albo marskość wątroby. Albo syndrom Tangeru - schorzenie, które sam wymyślił. A gdy ktoś zaczynał mu współczuć, mówił:

- Niewykluczone, że cię przeżyję.

Godzinami wystawał na strzelnicach, które zawsze uwielbiał, rozstrzelując kaczki i egzotyczne zwierzęta. Pojawiały się radosne w jego polu widzenia, znikwały potem i wylaniały się na nowo w identycznych reinkarnacjach. Teraz już rozumiał, dlaczego w dzieciństwie pociągały go takie miejsca. Z rozbawieniem traktował mechaniczne urządzenia jako swoich nauczycieli, a cały ten zmechanizowany świat -jako miej-

sce narodzin swojej życiowej filozofii: wszystko dzieje się raz za razem, raz za razem, raz za razem...

Pewnego dnia przyłączył się do grupki turystów podziwiających z udawanym rozbawieniem małpę tańczącą na długim łańcuchu. Zwierzę miało na sobie zwykły uniform: mundur boja hotelowego, tyle że bez spodni. Wykonywało salta najzupełniej obojętnie, kręciło się w powietrzu niczym monety gapiów, które zbierało z szorstką wyniosłością profesjonalisty. Gdy nikt nie rzucał monet, podchodziło do wybranego turysty i wyciągało przed siebie dziwnie bladą, małpią dłoń.

Kiedy małpa spojrzała na Van Nessa, zawahała się, a potem zaatakowała go z wściekłością. Van widział, jak na jej twarzy maluje się zdumienie, niepokój, a wreszcie ślepy gniew. Cofnął się przezornie, żeby bestia - będąca teraz zwykłym dzikim mordercą - runęła na brzuch, powstrzymana szarpnięciem łańcucha. Potem odszedł szybko, kręcąc po drodze głową na pociechę gapiom, którzy jak jeden mąż wpatrywali się w niego. Po przejściu stu stóp obejrzał się: małpa wczepiona w kosz na śmieci piorunowała Vana wzrokiem, sycząc przy tym przeraźliwie, gdzieś z głębi gardła. Potem z siłą, jakiej trudno by się spodziewać po tak małym zwierzęciu, uniosła kosz i zaczęła nim tłuc o ziemię, nie spuszczać oczu - mimo odległości - z twarzy Vana. Tłum się cofnął. Właściciel małpy podszedł do niej ostrożnie, związując po drodze łańcuch. Był nie mniej zdumiony niż publiczność.

To przypadkowe spotkanie było idiotycznym figłem losu, jednym z wielu irytujących szczegółów, które składają się na ogólny plan. Zakończył jedno życie jako samobójca, w następnym miał zamiar być mordercą. Takie wydarzenia jednak, kłujące niegodziwości, pułapki - przypominał sobie o dziewczynie, którą podwoził samochodem, a ona o mało nie oskarżyła go o gwałt - takie wydarzenia wciąż dojmująco go raniły. Co się z nim dzieje?! Łkał. Schylił się, udając, że chwycił go atak kaszlu. Złośliwa małpa, złośliwa małpa doprowadziła go do łez! Nie, nie... to chodziło o Elaine Van Ness, jego matkę. Mieszkała sama, hodowała zioła w zachwaszczonym ogródku, kradła książki z miejscowej biblioteki, zbierała miniaturowe ceramiczne koty. I nagle coś się stało i to wszystko dobiegło końca. Jej samotność... Jak mogła ją znieść, gdy

sama myśl o czymś takim rozrywała Vanowi duszę? Jej syn... nie czuł się jej synem od najmłodszych lat. Czekał na powroty matki z pracy, oglądał programy telewizyjne dla młodszych dzieci, jedząc krakersy z masłem orzechowym, bo zostawiała mu je na talerzu, przykryte pastelową papierową serwetką. Mieli mieszkanie pod Baltimore, byli sami. Później uruchamiał jej samochód w podziemnym garażu i jeździł nim w kółko. Opony piszczały na gładkim betonie nawet przy żółtej prędkości. Kiedyś rozwalił przedni reflektor o cementowy słup. Matka mu wybaczyła. Dziś znów myślał o sobie jak o dziecku pozbawionym opieki, siedzącym za sterami skradzionej maszyny. Wierzchem dłoni starł szybko łzy z twarzy, wyprostował się i kilka razy odchrząknął.

Dochodząc do siebie po tym niewytłumaczalnym napadzie rozżalenia, zauważył przyglądającą się mu kobietę, małą blondynkę u wejścia do Nawiedzonego Domu. Przed chwilą wyrzuciła do kosza ledwo napoczętą porcję waty cukrowej, a teraz wycierała dłonie serwetką, trzymając ręce daleko przed sobą, jakby wyrzekała się ich na pewien czas. Przyglądała się mu, a potem odwróciła wzrok - złościło go, że stał się przejściowym elementem jej krajobrazu, złościła go własna przejściowość.

Van Ness był pewny, że gdzieś ją widział. Przeszła pod łukiem mola na piaszczystą Pacific Street, pełną sklepików i straganów. Szedł za nią przez chwilę, dzieląc zapewne jej wrażenie przebijania się przez gąszcz aromatów, wyczewów obcych ciał - słońce odbijało się od ścian, ciemny chłód krył się za wystawami - wszechobecnej esencji każdej mijanej osoby, która znajdowała się w centrum mijanych przez nią scen. Dzielił z nią poczucie przyzwolenia na cudzy dotyk - w końcu sam chodził tędy od wielu dni. Dotyk nieważnych skurwieli. Nikogo, kto byłby wart poznania. Takich ludzi jak on.

Widział tę osobę w podobnych okolicznościach. Shelter Cove, nadmorskie delikatesy - pani Fairchild. To była Winona Fairchild. Kobieta, którą miał zabić.

Zatrzymała się przed sklepem sprzedającym neonowe rurki i plastikowe popiersia klaunów z rozdziawionymi ustami -takie, do których się strzela ze śrutu na strzelnicy. Z nikim nie rozmawiała, wpatrując się w groteskowe twarze. Sama

robiła takie rzeczy. Van widział te rzeźby. Jej mąż wydawał się dumny z dzieł małżonki.

Fairchild chciał ją wykończyć tabletkami. Dla pewności Van miał ją udusić poduszką. U Fairchilda spał w łóżku, w którym ona ma umrzeć.

Fairchild chciał spędzić tych kilka potwornych godzin w miejscu publicznym, w jakiejś paskudnej tawernie, gdzie wszyscy go znają. Koroner stwierdzi zgon od barbituranów i alkoholu - bardzo nieprzewidywalnej mieszanki.

Van zastanawiał się nad nieprzewidywalnością Fairchilda, typowego deliryka. Jego szaleństwo było monstualne, podobnie jak wielkość nękających go zmór. Fairchild miał zamiar zamieszkać z kochanką - którą opisał Vanowi, a opis ten wzbudził jego radość - i prowadzić niemal pod każdym względem najwyczejniejsze życie pod słońcem. Inna rzecz, że Fairchild nie ma pojęcia, czym jest najwyczejniejsze życie - nie miałby nawet wówczas, gdyby ono podeszło do niego na ulicy i napluło mu w twarz.

Van obserwował żonę. Nie miał wątpliwości, że to ona. Początkowo nie rozpoznał jej twarzy, bo dzień był wietrzny i związała włosy w koński ogon. To wszystko. W wytartych dżinsach, podniszczonym sportowym swetrze i czarnych sportowych butach do kostki wyglądała jak każda inna, ale teraz Van poznałby ją na końcu świata. Dzień płonął chwalebnie, słońce wciskało się w mroczne zaułki; kobieta wydała mu się piękniejsza niż była w istocie, bardziej dziewicza i spokojna w swej roli ofiary, nieświadoma własnego przeznaczenia - martwego klauna. Wkurwiała go to. Nigdy nie była tak piękna. Nigdy nie był tak zły. Zdał sobie sprawę, że tak właśnie czuł się od wielu dni - odkąd rozłożono przed nim zwój z historią z założenia opowiedzianą w obrazach - od wielu dni wyczuwał dramat i wyjątkowość losu. Najpierw swojego. A teraz jej.

11 sierpnia-5 września 1990

Ostatnią rzeczą, którą zrobiłem jako sługa w domu Wi-nony, było podanie Redowi środka przeciw robakom. Od-

kładałem to na później, ale zadzwoniła Winona. Wracła do domu. Koniec odyssey. Choć jak się nad tym zastanowić, *Odyseja* - ta grecka, pełna potworów i bogów - zaczynała się właśnie od powrotu do domu, a kończyła wśród dojmującej obcości: pośród obcych, gapiących się oczu, tępych twarzy ukochanych osób wędrowca, rozlanych, pogrubiałych lub wydłużonych przez czas. Może i ciebie spotka taki los, Winono, może i ty nie znajdziesz ani jednego znanego ci oblicza u kresu podróży? Staniesz dokładnie w tym miejscu, wciągniesz w płuca resztki mgły parującej nad światem i może zadrzysz, zdając sobie sprawę, że nigdy nie odczułaś czegoś takiego, nigdy czegoś takiego nie dotykałaś, nigdy nie skonstruowałaś tych rzeźb, które zamieniają się w złom na skutek twoich błędów, chociaż większość z nich w niczym ci nie zawiniła; na skutek twoich błędów, uporu mojego ojca i pewnych nieszczęsnych zbiegów okoliczności, jak ten, że spotkałem Van Nessa - mordercę, którego wyczarowałem z burzy. Na skutek tego wszystkiego wkrótce możesz już nie żyć - poznać ostateczną obcość! Tymczasem wyleczę twojego konia. Nie mógłbym spojrzeć ci w twarz, gdybym tego zaniedbał.

Koń Winony był także podróżnikiem, którego losy warte były eposu. Pochodził z Vermont, skąd został przetransportowany do Oberlin w Ohio, gdzie Winona zaczynała naukę. Nudził się bez niej w Oberlin, gdy wyjechała na studia do Berkeley, gdzie ją poznałem na pierwszym - i jedynym - roku mojej naukowej kariery. Tamtego czerwca razem opuściliśmy uczelnię, z tym że Winona miała w kieszeni dyplom wydziału sztuk pięknych, a w sercu żal. Posłała po Reda do Ohio i koń zjawił się w Kalifornii. Gdzie robił się coraz grubszy i grubszy na polu krainy lotosów.

„Powinnością naszą jest błąkać się niczym zjawy i niepokoić radość” - mówią ludzie Ulissesa wśród zjadaczy lotosów w wierszu lorda Tennysona, jeśli dobrze pomnę. W taki sposób stanąłem tego ranka przed starym Redem, materializując się wolno z mgły, niosąc ze sobą złe wieści. Do tej pory bawiliśmy się z Redem w koegzystencję, dziś jednak musiałem interweniować. Byłem gotów na spotkanie z chorym koniem, wyszedłem z domu wprost z ostatniego snu dobrze przespanej nocy, snu o lataniu tak bardzo realistycznym, że obudziłem się stojąc obok łóżka, czując w ustach

smak zwycięstwa i myśląc o nowych zadaniach. We śnie pilotowałem jednoosobowy odrzutowiec, a później stałem się odrzutowcem, wzbijającym się pionowo w górę, ryczącym i niebezpiecznym, choć dla niektórych miłym. Czy piękne sny zdarzają się złym ludziom? Chyba tak, bo sen to nieświadomość, która niczego nie wie o złym ani dobrym. Ale Red jest także nieświadomością, a wie. Red nigdy mnie nie lubił. Tego ranka zbliżałem się do niego, trzymając w wyciągniętej ręce wielką marchew, jaskrawą jak płomień. Plastikową strzykawkę ukrywałem przezornie za plecami. Nie miałem zamiaru robić mu zastrzyku. Do odrobaczania nie trzeba żadnej igły. Wystarczy wprowadzić strzykawkę zwierzęciu do pyska i strzyknąć gęstą zawartością na koński język. Świństwo w strzykawce ma konsystencję masła orzechowego, ale końskie robale widać go nie lubią. Gdy lekarstwo przyczepi się do języka, koń nie może go wypluć, musi połknąć. Brzmi to całkiem prosto. W teorii. Owszem, Red jest koniem, ale nie jest idiotą. Nie jada trucizny, nawet przepisanej przez lekarza. Wystarczy, że wyniucha to świństwo, a zamknie pysk na kłódkę, będzie udawał, że się nie znamy. Gdy przed nim stoję, kładzie uszy po sobie i twierdzi beczelnie, że wcale nie jest koniem...

Panie Van Ness, co się panu śniło tam, pod wodą? Skurwiel, nie chciał powiedzieć. Nie należy do typów zaprzyjaźniających się z miejsca z ludźmi wrywającymi go z niesłychanie przyjemnych snów, z topieli. Przez dwa dni nie mógł się zdecydować, czy ma się obudzić. Gdy oprowadzałem go po posiadłości drugiego ranka, zaskoczyły go wysokie rzeźby wyłaniające się z mgły. Ale poprzedniego popołudnia bacznie im się przyglądał przez okno.

Zrobiłem nieszczęsnemu Redowi klasyczną podmianę, zastępując marchew strzykawką, gdy tylko rozsunął wargi. Wystrzeliłem lekarstwo wprost na jego język, wprawiając starą szkapę w osłupienie. Ma jeszcze jeden powód, by mnie nie nawidzić. Zwykłą smutną nudę na jego obliczu zastąpił starczy gniew, język Reda zaczął miotać się na wszystkie strony w najdziwniejszych akrobacjach. Nic z tego, doświadczenie podpowiadało mu, że jedynym sposobem pozbycia się paskutstwa jest połknięcie go. Jeśli chodzi o marchew... no cóż, o mało nie wyleciała za płot. Czasami bywam okrutny.

Wszystkie głupie zwierzęta domowe wzbudzają we mnie strach, wszechmocny i proroczy w swej omnipotencji: rodzą się, dojrzewają, starzeją i umierają w tak krótkim czasie, że ich nędzne żywoty stanowią zapowiedź naszego własnego nędznego losu. W końcu dałem marchew Redowi, wsunąłem mu ją między wargi jak pień do tartaku.

Podobna, klasyczna podmiana miała spotkać Winonę.

Carl Van Ness pojął mechanikę wydarzeń, chciałem jednak, żeby pojął wszystko.

Próbowałem mu wyjaśnić, dlaczego zakochałem się w Melissie. - Nie jest moim przeznaczeniem - mówiłem - płonąć i spalać się w ogniu ekstatycznej adoracji. Taki już jestem, problem w tym, że urodziłem się w niewłaściwym stuleciu. W czasach świętych istniały istoty niebiańskie: dziewicze... hę...? i nieskalane... Dzisiaj musi mi wystarczyć ktoś przejrzysty i nieskomplikowany. Ktoś, przez kogo widać wszystko na wylot.

Van Ness nie miał na ten temat wiele do powiedzenia, jak zresztą na żaden inny.

- Brzmi to jak gorączka od ciupciana - wydusił w końcu i była to jego jedyna uwaga.

Mimo to usiłowałem rozmawiać z nim na każdy temat. Zawsze marzyło mi się znalezienie kogoś zaufanego, kogoś, przed kim mógłbym się otworzyć. Clarence'? Clarence był moim współnikiem, a o reszcie należy zapomnieć. Melissa? Do Melissy można w pewnym sensie mówić, ale w żadnym wypadku nie można z nią rozmawiać.

Oprowadzałem go po posiadłości, próbując postawić na nogi w tym drugim dniu pośród żywych. Obeszliśmy zalane słońcem hektary i stanęliśmy nad krawędzią zalesionego stoku w kojącym, bursztynowym świetle, pośród szumu oceanicznych fal. Pokazałem mu święte miejsce - jak twierdził człowiek, od którego ojciec kupił tę ziemię: starożytny kurhan grzebalny Indian Porno. Nigdy nie kopałem w kurhanie, bo wokół - jak mówiono - obozowały duchy. Dalej, na łące otoczonej bardzo starymi *madrones*, przerośnięte krzewy czosnku wyznaczały miejsce, gdzie znajdował się ogródek warzywny pierwszych właścicieli; widzieliśmy bruzdy, w których ryły dziki nie dalej jak zeszej nocy - pod dębami, gdzie przez setki lat zatrzymywały się wędrujące plemiona

Porno, zbierające tu ciągle ten sam dar natury: żołądźcie. W czasach Porno nie było dzików. Dzikie są zdziczałymi świniami domowymi, przywiezionymi tu z Europy. Obeszliśmy posiadłość i stanęliśmy w końcu - zapatrzeni, ja przynajmniej patrzyłem - nad błotnistą kałużą, pośród traw porastających brzeg stawu: w miejscu, gdzie dwa dni wcześniej wyciągnąłem go z wody. Był wtedy martwy. Tutaj był wyłącznie trupem. A teraz przechadza się cały i zdrowy, wpatruje się w to miejsce wzrokiem z innego wszechświata, o ile dobrze pojąłem to, co mówił. W zasadzie nie przypatrywał się temu miejscu. Powiedziałem mu, że nazwę staw Loch Ness. Czy uważał, że to śmieszne? Nie miałem pojęcia.

- Wspomniałeś, że zapłacisz mi za zabicie żony - odezwał się.
- Niezupełnie. Nie powiedziałem, że zapłacę tobie. Ty musisz dokończyć to, co zacząłeś. Musisz iść i utopić się na amen. Tylko nie w moim stawie, błagam! Ale dam dziesięć kawałków temu, kogo wskażesz.

Siedzieliśmy bok w bok na dwóch dębowych pniakach. W zeszłym roku sprzedałem młode dęby - większość z nich, bo jakieś sto tysięcy kubików - pewnemu tartakowi. Porąbali je i opchnęli jako drewno do kominków. Wiem, wiem. Potrzebowałem, bardzo potrzebowałem gotówki.

Siedzący na pieńku Van Ness położył ręce na kolanach. Wyglądał na bardzo zmęczonego i bardzo zmieszanego. Miał wąsy jak dwa końskie ogony, do tego okrągłe okulary bez oprawki. Bardzo grube. Te akcesoria niemal dokładnie maskowały jego twarz.

- Chcę, żebyś zapłacił za odwyk Wilhelma Frankheimera - powiedział.

- Odwyk?

- Jest uzależniony od koki. Znasz go?

- Znam go.

- Będzie kosztować więcej niż dziesięć kawałków.

- Zaopiekuję się nim.

- Ale dopiero wtedy, gdy zechce.

Oczywiście, znałem Frankheimera. Instalował hydraulikę w domu i nawet kładł dach. Widziałem go kiedyś w przepięknym momencie: widziałem, jak odłożył młotek na stos cedrowych gontów, zszedł ostrożnie na samą krawędź dachu,

wyprostował się na dwa piętra swego gigantyzmu i wypuścił na dół lśniący w słońcu łuk moczu. Niewątpliwie Frankheimer i Van Ness byli przyjaciółmi, co mogło ulec zmianie. Zabrałem Vana (jak chciał, żeby go nazywać) z powrotem do domu, bo wyglądał bardzo niewyraźnie. Poza tym chciałem mu coś pokazać. Denerwowałem się tym i wynajdywałem tysiące powodów, by opóźnić show - taki już mam parszywy charakter. Pomyślałem sobie, że spodoba mu się Nietzsche, jeśli jeszcze o nim nie słyszał, wziąłem więc książkę z półki Winony i zacząłem mu czytać. Okazało się, że nie tylko słyszał o aroganckim Niemcu, ale znał go nieomal na pamięć, zaczęło się więc robić nudno. Pozwoliłem mu popisywać się Nietzschem - w końcu Van był moim gościem - ale po jakimś czasie miałem go dość. Powiedziałem:

- Pokażę ci, co przygotowałem.

Poszedłem do łazienki na górę, a on został w salonie na sofie. Z góry wyglądał niepozornie i samotnie. Istotnie, był zdolny do każdej zbrodni. Wydawało mi się, że ogarnęła go dziwna pasywność: gdy siedział na krawędzi sofy, cała jego postać wyrażała ostrożność i niedowierzanie światu, jaki miał przed sobą. W świecie, w który się nie wierzy, można zrobić wszystko.

Po minucie usiadłem obok niego, postawiłem plastikową, wypełnioną kapsułkami buteleczkę na stoliku do kawy.

- To jest nembital Winony - powiedziałem. - Mocna rzecz.

Z kieszeni wyjąłem drugą buteleczkę.

- Też nembital - powiedział, czytając z nalepki.

- Weź jedną. Jedna ci nie zaszkodzi.

- Raczej nie.

- A gdybym ci dał za to tysiąc dolarów?

- Nie wiem, chyba nie.

- Dwa tysiące.

- Więc to nie jest nembital.

- Dobrze kombinujesz. Jesteś urodzonym spiskowcem.

- Co to jest?

- Z zewnątrz nembital. W środku końskie relanium. Nazywa się zielene. Dwie tabletki nokautują zwierzę o wadze tysiąca funtów.

- To ją zabije?

- Nie. Uśpi. Uśpi tak dokładnie, że nic jej nie obudzi. Założysz jej na głowę plastikową torbę i wyjdiesz na pół godziny. Wrócisz i usuniesz dowody.

Położył dłonie na kolanach, jak to miał w zwyczaju -zupełnie niczym dziewięćdziesięcioletni starzec - spojrzął z nienawiścią przez grube szkła i wiszące wąsy na dwie buteleczki na stole.

- Wolałbym załatwić ją poduszką.

Najbardziej elektryzujące w tym wszystkim było to, że każdy z nas zmaterializował się przed drugim z powietrza. Nie otaczały nas żadne sprzeczności, nie było żadnych dowodów, że jesteśmy do czegoś zdolni: nie mieliśmy wspólnej przeszłości, pełnej razem pokonywanych przeszkód, nie łączyły nas żadne kłępujące historie z miejsca zamieszkania czy z dzieciństwa. Nikt nie jest prorokiem we własnym domu, a także - dodałbym - spiskowcem. W tej sytuacji nieznajomy staje się bogiem. Jeśli dalej tak będziemy ze sobą rozmawiać, musi do czegoś dojść.

- Później dokończysz swoje samobójstwo - powiedziałem.

- Nie musisz mi przypominać.

- Gdybyś miał z tym problemy, pomogę ci.

- Jest pan bardzo uprzejmy, panie Fairchild.

- Będę do tego zmuszony, rozumiesz? Nie mogę pozwolić ci żyć. W taki czy inny sposób pieczętujesz swój los. W pewnym sensie będziesz martwy, gdy tylko ją zabijesz.

Van Ness wydał usta, jakby całował wiszącą przed nim myśl.

- To bardzo poetyckie...

W Szkole Whartona w okręgu Monterey, jednej z najlepszych przygotowawczych szkół z internatem (w której strasznie się wynudziłem, nawet nie zaczawszy później college'u), czytałem *Demiana* Hermanna Hessego i marzyłem o takiej przyjaźni, jaka łączyła Maxa Demiana i Emila Sinclaire'a -o związku, który wyzwala z innych związków i prowadzi w zupełnie nowy wymiar.

Z tego, co usłyszałem od Van Nessa - a usłyszałem niewiele - wywnioskowałem, że marzył o czymś podobnym: o tym jednym jedynym przyjacielem, o życiu, które warto przeżyć, o jednej jedynej religii i wierze, jednej jedynej ko-

biecie i o profesji, która jest powołaniem. Wysoki hydraulik Frankheimer spełniał przez pewien czas ważną rolę w tym względzie. W swoim czasie na skutek bolesnych transformacji osiągnął stan lub raczej inkarnację, w której zdolny był do przyjaźni, po czym na skutek dalszych przemian znalazł się w stanie obecnym: zaćpany i niebezpieczny - o czym wszyscy wiedzieli - żaloszny i groźny zarazem. Swego czasu Van bardzo polegał na pokrewieństwie dusz z Frankheimerem - i na *Demianie* jako drogowskazu, twierdzeniu i wzorze. Obecnie wyrósł z tego w chłodny - jak utrzymywał - nietzscheański sposób. Przerósł wszystkie wzorce, wszystkie racje i samo życie.

Obecnie - jak twierdził - umarł już więcej niż raz w różnych innych wszechświatach. Czy można temu zaprzeczyć? Czy jest jakiś dowód, że tak nie było? Wyobraźcie sobie małą modyfikację w nietzscheańskim micie wiecznego powrotu: nie, że u kresu historii materia zapada się w siebie, kurczy, a potem znów wybucha i wszystko dzieje się tak samo, lecz zachodzi jedna mała zmiana w jednej małej cząsteczce - za każdym razem i nieskończoną ilość razy. Gdy człowiek umiera, jego świadomość znika, ale po całych eonach, gdy historia cząsteczki tworzy takie warunki, które wykluczają tę jedną konkretną śmierć w takich jak wcześniejsze okolicznościach, świadomość trwa nadal: w tym wszechświecie kula przewierca ci mózg, a w późniejszym - łaskocze cię tylko w ucho. W tym wszechświecie umierasz, a w innym idziesz na wódkę. Nie zdajesz sobie sprawy z miliardów lat, jakie upłynęły między dwoma wydarzeniami - subiektywnie nie doświadczasz niczego ponad to, że o mało nie umarłeś. Obiektywnie wkraczasz do innego królestwa, rządzącego się innymi prawami, stwarzającego zupełnie nowe możliwości.

Gdyby tak było naprawdę, osoba, która by to pojęła, pokonałaby śmierć. Byłaby niezniszczalna. Zostałaby Supermanem.

Jest coś oszałamiająco podniecającego w filozofii, którą można zweryfikować jedynie przez samobójstwo - które znów niczego nie udowadnia, gdyż kolejny sprawdzian wymaga następnej próby. Osoba przeprowadzająca takie testy, przeskakująca z jednego życia do następnego, niczym z ka-

mienia na kamień w strumieniu czasu - nie: w płonącym oceanie wieczności! - cóż to za mutant! Jakieś nowe genesis, niczym błada, trująca stokrotka.

Straszliwa susza wróciła bardzo szybko, ta jedna burzliwa noc skropiła nas tylko dwoma calami wody, ale wiatry zmieniły kierunek na lepszy, pędząc przed sobą wysokie, białe chmury wzdłuż samej krawędzi kosmosu i mieszając powietrze w taki sposób, że pogodę nad morzem mieliśmy słoneczną i przejrzystą. Ludzie mówią na to „wczesna jesień”.

Van Ness zniknął w tej samej chwili, w której opuścił ranczo Winony. Był zameldowany w motelu „Tides”, ale już nie jest. Nagle przestałem się spodziewać, że jeszcze kiedyś go zobaczę. Udało mu się przerazić mnie bardziej, niż ja przeraziłem jego, i może tylko o to mu chodziło. Przysłał mi kartkę z miasta Carmel, tłumacząc, że zmarła jego matka, i obiecując wrócić we wtorek 4 września. *Wtedy zobaczymy* -pisał - *zobaczymy, czy mamy otwarte oczy.*

Mimo tej obietnicy nadzieja na kontynuowanie spisku ulatniała się powoli. Może chodziło mu o to, żeby znów mnie nastraszyć powiedzeniem zwykłego „cześć”!?

Tymczasem dowiedziałem się, że myśliwi-oszuści podróżujący czarnym pikapem silverado rozbili obóz po drugiej stronie rzeki Gualala, ostatnio ich tam jednak nie widziano. Sprawy szły ku lepszemu. Winona wróciła do domu po objeździe wybrzeża i brzydki Red wypadł z mojego rozkładu zajęć. Gdy tylko Clarence wróci z Los Angeles, odpadnie mi jeszcze uprawa maryhy. Winona wspomniała też, że żona Harry'ego Lally oddała konia na przechowanie na ranczo „Powiedz Kiedy”, gdzie odbywały się zjazdy miłośników koni, i wyjechała na trzy tygodnie do Brazylii u boku męża gangstera. Wyglądało na to, że jesienne wiatry rozwiały czarne chmury wiszące mi nad głową, wypełniając moje dni słodyczą i nieróbstwem.

Miałem więcej czasu, który mogłem poświęcić Melissie, ale jej brakowało go dla mnie. Nigdy, ma się rozumieć, nie podejrzewałem jej o coś takiego jak wierność, ale odkąd zaczęliśmy się spotykać, przyjąłem, że jestem jej jeden jedyne, stały. Teraz nie byłem już tego taki pewny, wyczuwałem

czyjąś obecność w jej myślach, ale nie prosiłem o ujawnianie prawdy w obawie, że właśnie to od niej usłyszę.

Tydzień po wyprowadzce od Winony obudziłem się po raz pierwszy od wielu dni we własnym mieszkaniu - chwiejnym pudle, stojącym wśród trzech bliźniaczych pudeł, ale moim; śmietniku, które mieściło więcej odpadków niż mebli, ale cudownie własnym. Nikt mnie nie ścigał i mogłem wypić kawę z własnego kubka. Może to pogoda przyniosła mi tę radosną odmianę, to łażenie po śmieciach w chlewie, który miał być moim salonem, te ożywcze myśli, że chyba powinienem zmyć plastikową podłogę, zerwać przybite pluskiewkami prześcieradła z okien, wymieść to wszystko na dwór razem z resztą gówien, głównie butelek po winie i papierowych talerzy, i wreszcie zawiesić kojące zasłony.

Ale tak szeroko pojęte poczucie wolności nie trwa wiecznie. Każdy zamek z piasku podmywa jakaś fala. Tego ranka odwiedziłem Melissę i zastałem ją zdenerwowaną. Zachowywała się jeszcze bardziej obco - jeśli to w ogóle było możliwe - niż zazwyczaj. Jakby chciała coś przede mną ukryć. A gdy nie zechciałem przestać mówić z dętym, brytyjskim akcentem, wyrzuciła mnie z maleńkiej przyczepy. Którą, o dziwo, zamiotła, i w której chciałem zostać na dłużej.

Gdy kochaliśmy się na jej wąskiej koi - uderzając łokciami i kolanami o metalowe ściany - czułem obce wibracje, a podczas szczytowania wyrzuciłem z siebie paranoiczną esencję.

- Czy wspomniałem już, kochanie, że moja sdtasznie zapdtacowana żona wdtóciła do miasta?
- Powiedziałam ci, żebyś tak nie mówił.
- Dobrze już, dobrze.
- To wcale nie jest śmieszne. Przynajmniej dla mnie. Bo uczę się po amerykańsku. Wynos się.
- Wychodzę - powiedziałem.

Przez kilka minut leżałem nadąsany, pocąc się obok niej. Nasze ciała lepiły się w miejscach zetknięć.

Zazwyczaj pozwalała mi się otworzyć, udawać różnych ludzi. Jednym z nich był mój dziad Walijczyk, którego parodiowałem od dawna, głównie w czasie pobytu w szykownej szkole przygotowawczej, potem nieco rzadziej. Zazwyczaj doprowadzało ją to do śmiechu - mówiłem głosem dziadka,

chodziłem na zgiętych nogach, udawałem jego pychę i jego gburowatą ekscentryczność, podszyte wszechobecnym strachem. Nie znałem go zbyt długo, ale widując jako dziecko, zapamiętałem niektóre z jego manieryzmów - powielanych przez ojca i, niestety, również przeze mnie. Mój brat Billy przypomina z profilu dziadka - gdy patrzy się nań pod słońce i widzi błyski w jego błękitnych oczach - ba! wygląda jak sobowtór antenata. Uporczywa obecność przodka w nas samych jest zaiste zdumiewająca - jego dusza wciąż w nas pokutuje i odzwierciedla się nawet w naszych fizjonomiach. Tak czy inaczej, ostatnimi czasy często wypuszczałem Brytyjczyka, a gdy już to zrobiłem, przestawałem nad nim panować. Ostatnio wciąż widywałem go w snach, niedobrych snach, w których napadał - niekiedy bardzo brutalnie - na delikatne włoskie gwiazdki filmowe, białe włoskie posągi, a nawet na kościelne drzwi podobne do tych, które podziwiałem w Mediolanie. Nie trzeba być sownie wynagradzanym psychoanalitykiem, by pojąć, na czym polega konflikt dwóch pojawiających się we mnie oblicz: sprzeczności połączone węzłem małżeńskim przodków ze strony ojca wciąż gotują się w moich flakach, a trzeźwo myśląca angielska połowa nadal wini swą włoską odpowiedniczkę za wszystkie moje nieszczęścia, parodiowanie dziadka zaś nie jest czczym wyglupem, lecz świadectwem dominacji brytyjskiego mężczyzny, który zrobi wszystko, co trzeba, i posunie się nawet do ostateczności, byle okiełznać szaloną Włoszkę we mnie - żeński pierwiastek dezorganizujący mi życie.

- Zapomniałeś, jak się wkłada spodnie? Wiszą ci wokół kolan.

- Słusznie, przepraszam.

- Po co trzymasz je w garści?

- Wybacz. To przez ten chaos wokół mnie. Ścigali mnie pewni ludzie, ale na szczęście mamy to już za sobą. Ci drwale, których widziałas w silverado, to nie byli drwale...

- Ci z psami? Takimi wesołymi psiakami?

Ich samopoczucie naprawdę mnie nie interesuje, najdroższa.

- Byli u mnie wczoraj. Złożyli mi kurtuazyjną wizytę.

- Kto? Psy... drwale? Wczoraj!

- Psy i drwale. Przyszli mnie zapytać o ciebie, ale im powiedziałam, że nic nie wiem.

- O Chryste! Wczoraj?

- Tak, przecież wyraźnie mówię, że wczoraj. Pytają, czy masz uprawę marihuany.

- Mam atak! Zaraz się porzygam.

- Mówię, że nie wiem. Nic a nic.

- A oni co na to?

- Jeden mówi: dobrze, okay, no to cześć, będziemy w okolicy, znamy twój adres. A ja: to oczywiste!

- Naprawdę? Jak na to zareagował?

- Mówi: dzisiejsza wizyta jest kurtuazyjna, ale następnym razem już nie, nie będzie.

- Niestety, kochanie, nie będzie. Pamiętasz miejsce, w którym jest mój ogród?

- Jasne. Wcale nie byłam pijana.

Ukryłem twarz w dłoniach, spodziewając się - i wnioskując z tępego bólu w splocie słonecznym - że zaraz wybuchnę straszliwym płaczem. Zamiast tego zaświtała mi jednak w głowie pewna myśl:

- W zasadzie - powiedziałem - jeśli stracimy rośliny, zanim wróci Clarence, mój współnik nigdy się nie dowie, co zaszło. Nie będzie mógł obarczyć mnie winą. A Harry dostanie krzaczki i mi odpuści. Clarence wyjdzie na tym najgorzej, ale to i tak lepsze niż cała wieczność w grobie. Dla mnie...

- Clarence surfer? Widziałam go wczoraj.

- Obetnę ci język, kobieto!

- Widziałam go w „Safewayu”, jak kupował chleb i mielone, i pisma. Za to chcesz mi obciąć język?

- Wybacz - powiedziałem.

Cofam wszystko, życie - sądząc po wielu niepokojących oznakach - wróciło na zwykłe ślepe tory. Clarence! Będę z nim szczery, powiem mu całą prawdę, stawię czoło jego rozczarowaniu.

Wkładałem sportowe obuwie, gdy Melissa zapytała:

- Co myślisz?

Za każdym razem pochlebiało mi, gdy dopytywała o moje myśli. Zawsze mówiłem jej prawdę.

- Myślę, że byłoby dla nas wszystkich najlepiej, gdyby większość ludzi, których podobno kocham, padła trupem.

Wilhelm Frankheimer siedział na pieńku za owczarnią i, zgięty w pół niczym cyrkowy akrobata, atakował starą piłą zębatą sznur maleńkich, biegnących na oślep mrówek, podczas gdy Melissa jęczała, wzdychała, a czasami wybuchała śmiechem w przyczepie. Frankheimer wciąż był nagi.

Po pewnym czasie z przyczepy wyszedł Fairchild i odjechał.

Mała kupa złomu - rozklekotane porsche Fairchilda - brzmiała tak, jakby chciała, żeby się nią zająć. Zabrała jednak Fairchilda na wzgórze i z oczu, a tylko o to chodziło Frankheimerowi. Wrócił do środka.

Melissa siedziała, drżąc, na krawędzi łóżka. Wszystko to bardzo podnieciło Frankheimera.

Stał przed nią, póki nie wzięła go w usta. Spuścił się po kilku sekundach. Wcześniej pieprzył ją przez pół godziny i nie miał nawet połowy tego wzrodu; teraz zboczona brutalność chwili przyniosła mu ekstazę.

Odwróciła głowę, pochyliła się i ze smutkiem splunęła na podłogę. Czuł się, jakby wziął z nią ślub. Z tą anemiczną dziewczyną, którą brał, i wychodził. Kobiety - zapominał o tym często - tworzą sztylety z najdziwniejszych chwil. Nie wiadomo, kiedy trafią człowieka prosto w serce.

- Dlaczego kazałaś mi się schować?

- Kazałam ci wyjść! - rzuciła. - Nic nie mówiłam o chowaniu się!

- Gdzie niby miałem wyjść bez gaci?

- Nigdzie, to jasne. I wróciłeś tylko po to, żebym ci obciągnęła!

- Dlaczego kazałaś mi się schować?

- Bo - zaczęła - jest dla mnie ważny. Chcesz się ze mną położyć? Już nie wróci. Chcesz coś zimnego do picia?

Frankheimer wsunął rękę pod łóżko, macając pod samą ścianą.

- Wróciłem tylko po rzeczy.

Stał zapinając spodnie i przyglądając się białej jak śnieg twarzy Melissy, jej małym, kształtnym ustom, gdy zdał sobie sprawę ze zdumiewającej uporczywości, z jaką gnębi go prób-

lem Yvonne. Ta rana wciąż się otwierała. Spojrzał na swoje odbicie falujące w tandetnym lustrze i oznajmił głośno:

- Może potrzebuję tylko szczerości. Chyba o nic więcej mi nie chodzi...

Ni z tego, ni z owego przyszło mu do głowy, że musi sobie strzelić.

Tak się składało, że miał przy sobie trochę towaru - ćwierć uncji gruzłowatej amfetaminy, którą zgodził się dostarczyć Harry'emu Lally, ale nie Harry'emu Lally w Brazylii. Czuł zawiniątko w prawej kieszeni spodni. Nigdy nie przepadał specjalnie za tym świństwem, ale amfa miała to do siebie, że potrzeba jej objawiała się w najmniej spodziewanych momentach. Pocieszył się myślą, że takie było jej przeznaczenie. Nosił ten towar już od wielu dni.

Melissa przyglądała mu się nienawistnym wzrokiem.

- Gwałcisz mnie, podglądasz mojego chłopaka - powiedziała - a teraz będziesz jeszcze ćpał kokainę.

- Nie biorę kokainy. To amfa, a nie koka.

- Jedna i ta sama trucizna.

- Po amfie jestem łatwiejszy.

- No to cześć. Masz głowę z głowy.

- Pożyczysz mi trochę forsy?

- Żegnaj i życz wszystkiego dobrego swojej głowie.

- Przydałoby mi się trochę kasy.

- Czy ja wyglądam na taką, co ma? Albo miała kiedykolwiek?

- Tylko pytam.

Frank szperał w kuchennych szufladach, a potem wygiął łyżeczkę, żeby zmieszać towar. Igła była tępą. Musiał ją naostrzyć na drasce pudełka z zapalkami. Podobał mu się zafascynowany wyraz twarzy Melissy.

Siedział przez chwilę ze skrzyżowanymi nogami. Strzykawkę trzymał między dwoma palcami jak papierosa.

Była głupia i opowiadała mu o swoich głupich obawach:

- Nelson ma zamiar coś zrobić swojej żonie.

- Kim jest Nelson?

- Nim. Nelsonem Fairchildem. Nie pamiętasz go? Pracowałeś u nich.

- Kładłem dach na jego domu.

- No właśnie.

- Zakładałem też hydraulikę.
- Ma zamiar zrobić coś złego. Rozumiesz?
- Nie rozumiem. To chyba wina twojego angielskiego.
- Ma zamiar zamordować żonę.
- Nelson Fairchild?
- Nelson Fairchild! Właśnie.

Trafił w żyłę, wprowadził amfę do obiegu i przeszedł pół mili do wzgórz, potem cztery mile do Point Arena, czując elektryczne pulsowanie w ciele i przyjaźń wobec świata. Gdy wszedł do miasta, nogi nie przestały go nieść.

Jakieś dzieciaki jadące mikrobusem chevrolet zabrały go, gdy szedł na południe wzdłuż krawędzi klifów. W głośnikach dudniły sprzężenia Metalliki, ale czarny ocean zaprzeczał całemu rock-and-rollowi. Trochę dalej wzdłuż wybrzeża chmury rozstały się, wysiadł z mikrobusu na zalany słonecznym światłem chodnik Anchor Bay; dwa rzędy budynków, po obu stronach drogi, tworzyły główną ulicę miasta przez jedną przecznicę. Stawiał połowę tych domów. Pamiętał, jak mierzył i ciął drewno na bar w kawiarni „Pod Pełnymi Żaglami” -ładę, przy której teraz usiadł, rozkładając przed sobą ręce na blacie i czując ich siłę. Uśmiechnął się do kelnerki. Wyjął serwetkę z serwetnika i wytarł głośno nos, ukrywając tym samym swą konwulsyjną radość.

- Przeziębienie? - zapytała kelnerka.
- Hę... - mruknął, zastanawiając się nad pytaniem. - Niekoniecznie.

Przypomniawszy sobie, że nie jest głodny; wyszedł na dwór. Siatkowe drzwi zamknęły się za nim z podniecającą dokładnością. W głowie dudnił mu odgłos własnych kroków.

Po drugiej stronie była automatyczna pralnia i stacja benzynowa. Obok jednego z dystrybutorów stał chłopak. Miał włosy obcięte na jeża i rozdziawione usta. Trzymał ręce w kieszeniach. Frankowi wydało się, że go zna. Przeszedł przez jezdnię, poprawiając bez przerwy okulary przeciwsłoneczne. Podniósł rękę w powitalnym geście.

- Przykro mi z powodu twojego taty.
- Mojego taty? Dlaczego?
- No... słyszałem, że umarł, przyjacielu.
- Mój tata?!

- Dobrze go znałem - powiedział Frank. - Zawsze był wspaniale opalony.

- Mój tata tam stoi. Rozmawia i ma się dobrze. - Chłopak wskazał dwóch mężczyzn rozprawiających obok pojemnika na zużyty olej.

- Cholera, no... Kurwa, no... Ktoś umarł... Czyjś ojciec...

- Nie mój.

Nie podobała mu się ta sytuacja. Gryzło go sumienie, chmury zaczęły przypominać pięści, a cienie - głębokie szramy.

Przypominał sobie różne rzeczy, jakieś słowa, których nie dosłyszał, szczegóły, których wcześniej nie zauważył - wszystko to wyroliło się nagle w jego świadomości. Mnożyły się połączenia, zapalały światła, a całość kładła się na jego zdolności pojmowania niczym sieć. Strząsnął ją z siebie.

- Chodzisz do szkoły, chłopak?

Dzieciak nie chciał z nim rozmawiać, odszedł do ojca.

Frank zrobił kilka kroków i stanął samotnie na krawędzi jezdni. Dostrzegał wszystko, co go otaczało. Samochody, ludzi, każdą najdrobniejszą rzecz. Przypadkowe fakty ułożyły się w geometryczny wzór o porażającym znaczeniu. Uwagi, wydarzenia, z których większość była przypadkowa, stały się dowodami. Głosy, które słyszał, szepty. Słowom, które miał zapamiętać, wyrastały włókniste głowy, jak szparagom. Głowy z otwartymi ustami. Nie przemawiały do niego telepatycznie. Były znacznie subtelniejsze.

Odwrócił się i spojrzał przez szybę za sobą. Zobaczył glińiarza z Point Arena, który fatalnie poczynał sobie z pralką automatyczną w publicznej pralni, fatalnie - bo traktował ją jak własną, sprawiając, że rozpadała się na kawałki, rozpadała niczym wszechświat. Frankheimer pomyślał, że najwyższy czas ogłosić to wszystko publicznie, czas szukać sprawiedliwości przez system.

Zakładając, że w Japonii też używają pralek automatycznych, najbliższa znajdowała się w odległości siedmiu tysięcy mil morskich na zachód. Najbliższa w kierunku północnym znajdowała się w Fort Bragg, w odległości czterdziestu mil. W odległości pięćdziesięciu mil na południe było Jenner i trzecia pralka. Czwarta - o ile jeszcze działa - stoi w Ukiah, w głębi kontynentu. Do Ukiah było tylko dwadzieścia sześć

mil. Ale w linii prostej. Drogami znacznie dalej. Prawie dwa razy tyle. Do czystości prowadziła długa, niekiedy wyboista droga. Jakkolwiekby na to patrzeć. Policjanta Navarro irytowało niepomiarowo, że zawsze, gdy zaczynają śmierdzieć mu skarpetki, musi pokonywać dziewięćmiłową odległość z Point Arena do Anchor Bay. Gdyby jechał na stek, nie byłoby problemu. Do kina - też nie. Droga zajęłaby mu dwie minuty z każdą wystarczająco urodziwą dziewczyną. A tak... Wiózł tylko brudne gacie do miasta Anchor Bay. Jakiego miasta! Dwunastu budynków i efektownym widokiem na ocean. Nie było tu nic do roboty. Owszem, mógł usiąść w jakimś barze, wypić parę głębszych i wrócić do Point Arena z nielegalnie wysokim poziomem alkoholu we krwi. Nie wolno mu jednak było tego zrobić. Nie liczyło się, że był po służbie i w cywilnych ciuchach. Wszyscy przecież go znali!

Navarro nakarmił dziesiątkami automatyczną suszarkę i postanowił, że wypije piwo „Pod Pełnymi Żaglami”.

Gdy wychodził z pralni, rozważając wszystkie za i przeciw publicznego nadużywania alkoholu, podszedł do niego najwyższy mężczyzna w okręgu - Frankenmayer? - i podniósł do góry dłoń wielkości baseballowej rękawicy.

- Czy mogę zająć ci minutkę, przyjacielu?

Widował wcześniej tego gościa - rozpoznawało się go z odległości ćwierć mili - ale nie miał jeszcze okazji osobiście z nim rozmawiać. Facet rzucał cień. Był chodzącym zaćmieniem słońca.

- Jasna sprawa - mruknął Navarro i pamiętając o kryzysie swego publicznego wizerunku, zdobył się na uśmiech.

- Ludzie robią mi różne rzeczy.

- Nie bardzo rozumiem, o co chodzi.

- To najprostszy sposób wyrażenia bardzo złożonej sytuacji. Którejś nocy usłyszałem jakiś hałas za domem, a rano znalazłem pociętego węża.

- Węża?

- No, do polewania. Chyba wiem, kto mi to robi, ale nie mogę tego udowodnić.

- Nie przejmowałbym się tym za bardzo.

- To tylko jeden z wielu przykładów, całkiem świeży. Ludzie mnie obserwują, zakładają mi podsłuchy telefoniczne,

przestawiają różne rzeczy. Najgorsze jest to, że wpuszczają mi mgłę przez okno. Przerobili mój samochód, żeby puszczał mgłę. Posłuchaj... - wielkolud uśmiechnął się niemal jowialnie - wiem, jak to brzmi. Ale gdybyś zaczął się u mnie przez czterdzieści osiem godzin, aresztowałbyś największe grube ryby w swoim życiu. Zmieniłbyś historię! Nie zalewam! Historię świata...

- Ktoś popsuł panu samochód?

- Czy ty słuchasz, co mówię?

- Jeśli wyrządzono jakieś szkody, mówimy o wandalizmie, który jest karalny.

- Mają takie maleńkie urządzenia, które przyskają mgłą. Prosto na ciebie. Mgła jebie ci południki. Zakłóca fizyczny metabolizm w bardzo niebezpieczny sposób.

- Południki?

- Słyszałeś kiedyś o akupunkturze? O *1-cingl* Starożytnej chińskiej filozofii?

Są sposoby obchodzenia się z takimi przypadkami. Trzeba je traktować jak muzealne eksponaty.

- Zdaje się, że nie pamiętam pańskiego nazwiska - rzucił Navarro.

- Frankheimer.

- Doskonale, panie Frankheimer. Czy mógłby mi pan pokazać te urządzenia? Coś w pańskim aucie, co nie pochodzi z fabryki i rozpyła, jak pan mówi, mgłę.

- Człowieku, wyprułem wszystkie flaki z auta! Lusterka, tapicerkę, wszystko! Omijam to gównem z daleka. Jak myślisz, dlaczego przyszedłem tu piechotą?

Facet był potężny. Naprawdę potężny.

- Z tego, co pan mówi, nie wynika, że popełniono przestępstwo - oznajmił Navarro.

- Chcesz powiedzieć, że nie jest przestępstwem znęcanie się nad cudzym umysłem! Cięcie ogrodowych węży! Rozpylanie chemicznej mgły! Mówię ci, mam nerwy napięte jak postronki. To jest straszliwy stres... - stwierdził, pokazując mięś'nie przedramienia; obrócił głowę jak przy goleniu i wskazał ścięgna na szyi - ...straszliwe napięcie. - Całkiem rozsądnie Navarro przypomniał sobie kilka obojętnych chwytów, które mogły okazać się przydatne w tym szczególnym przypadku. Po chwili doszedł jednak do wniosku-

ku, że chwytły nie wystarczą. Kurwa - pomyślał - strzelę mu w kolano. Inaczej sobie nie poradzę.

- Czy mógłby mi pan jeszcze raz przypomnieć swoje nazwisko?

- Frankheimer. Wilhelm Frankheimer.

- Mogę ci mówić po imieniu, Wilhelm? Dobra, posłuchaj mnie. Czy masz jakieś fizyczne dowody? Czy coś uległo zniszczeniu? Bo wiesz... twoja historia brzmi trochę nierealnie.

- Wystarczy, że się u mnie zaczał - upierał się Frankheimer.

- Mówimy... pozwolisz, że ci przypomnę... tylko o twoich podejrzeniach. W dodatku niezbyt racjonalnych...

Frankheimer zmienił nagle ostrość spojrzenia.

- O... - wykrzyknął - to jest coś dla ciebie! - śledził wzrokiem jasny, sportowy kabriolet, który właśnie ich mijał.

- Zostanę przy General Motors - powiedział Navarro.

- To Nelson Fairchild! Właśnie dostałem wiadomość, że ten facet coś knuje. Wiesz, co teraz robi?

- Wchodzi do sklepu.

- Założę się, że kupuje tygodnik finansowy „Barron's" dla swojego tatusia.

- Czekają mnie podobne zadania, Wilhelmie. Sprawunki, sam rozumiesz. Jeśli pojawi się coś konkretnego, wiesz, gdzie nas szukać. Do zo...

- Czy to jego ojciec umarł? Stary Fairchild? Navarro uśmiechnął się z przymusem.

- Nie słyszałem, żeby ostatnio ktoś umarł. Olbrzym uniósł palec przed twarzą policjanta.

- Zamiast pożegnania powiem tylko: nie krzyw się na mnie. I nie deptaj mi po odciskach.

- Zapamiętam - odrzekł Navarro i ruszył na drugą stronę ulicy, myśląc po drodze, że każdy, kto pierze w publicznych automatach, zasługuje na taki los.

Dzieciak, którego przyłapał na podglądaniu, też tu był. Stał koło stacji benzynowej i udawał, że nie widzi Navarro i że facet za jego plecami nie jest jego ojcem. Navarro dał mu odetchnąć; nie oglądając się za siebie, wszedł do kawiarni.

Pomyślał, że lepiej nie zaczynać z Coorsesem. Zje po prostu kawałek ciasta, dowie się, co słychać u kruchej kelnerki,

i pojedzie do domu, unikając tym samym konieczności aresztowania siebie za jazdę po pijanemu. W środku było ciepło i pachniało apetycznie. Kelnerka była starsza, niż mu się wydawało. A może źle umalowana...

Rozmawiał z nią wcześniej i wyglądało na to - wtedy - że uda mu się coś wskórać. Mówiąc szczerze, kobitka zgodziła się wziąć udział w małej orgii.

- Jak tam ciasto? - zapytał.

- Nie będę kłamać - mruknęła. - Nie jestem właścicielką. Od tamtej rozmowy nie pojawił się w barze, więc - jak się domyślał - wrócili do punktu wyjścia. A może nie... Uśmiechnęła się lekko, stawiając przed nim ciasto i kawę.

Miała tatuaż na prawej ręce: maleńki symbol pokoju. I chyba przekłute nozdrze, choć nie nosiła kolczyka. Gliniarze w Los Angeles nie umawiają się z takimi paniami.

Tutaj tak. Tutaj policjant Navarro otwierał się na aberracje, zmieniał się pod nieustającym wpływem tych absurdalnych ludzi i ich nowoepokowego stylu życia, który teraz wydawał mu się całkiem normalny w porównaniu ze stuprocentowo porąbanym bełkotem tego... jak mu tam... Wilhelma, nieziemskim łomotem fal, piskiem mew, krzykiem wron i żywotnością tych wszystkich potwornych drzew. W Los Angeles ci ludzie i cała ta scena podpadaliby - wszyscy razem i każdy z osobna - pod kategorię bezrozumnych; pod kategorię marsjańskiej zarodki, będącej workiem, w którym mieściło się wszystko oprócz policjanta Navarro i kilku innych gliniarzy. W Los Angeles, żeby utrzymać się na powierzchni, trzeba odcinać się od każdego ścierwa wiszącego człowiekowi kamieniem u szyi. Tutaj nie ma jak się odciąć, bo większość istot żywych stanowią wielkie, nieruchome drzewa. Nieruchome to złe słowo: tego stanu nie da się oddać słowami; rzecz w tym, że trwanie tych milionów cedrów i sekwoi umyka zwykłej percepcji. Człowiek przestaje się więc bronić, otwiera się i wchłania tę atmosferę wraz z powietrzem.

Siedział przy barze, dręcząc widelcem szarlotkę. Gdy na jego horyzoncie zdarzeń pojawiła się kelnerka z dzbankiem kawy, uniósł rękę i zatrzymał ją bez słowa, wycierając jednocześnie usta serwetką i przelkując kęs. Była smukła. No, powiedzmy, koścista. Ale z całą pewnością ładna.

- Jak masz na imię?

- Mo. Ale wszyscy mówią na mnie Maureen - roześmiała się szaleńczo. - Przepraszam - powiedziała szybko. - De nerwuję się w obecności policjantów. Chodzi o to, że mam na imię Maureen, ale wszyscy mówią na mnie Mo.

Jej uśmiech trafił go prosto w serce. Była ładna i to nie ulegało kwestii. Zawsze największą uwagę poświęcał twarzy, choć do tej pory nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Mo - powtórzył.
- A ty jesteś policjantem Navarro.
- Ale wszyscy mówią na mnie Pol.
- Nie... - parsknęła śmiechem. - A naprawdę?
- John.
- W porządku, John. Robię się nerwowa przy glinach, John.

Odeszła. Musiała zająć się parą młodych ludzi siedzących pod oknem, jedynymi klientami poza Navarro.

Oczywiście przy każdym oddechu wchłaniasz coś z miejscowych ludzi, coś z ich wariackich wyziewów. W Los Angeles nikim się nie oddycha. Nikim? Czy można oddychać ludźmi? Chryste... Zaczynał myśleć tak jak oni. Co świadczyło jedynie o tym, że ich wdychał, podobnie jak wdychał samo pojęcie wdychania, które wciągnął w płuca przed chwilą. Wszystko to było bardzo dziwne, ale policjant Navarro czuł, że nie przestanie się zmieniać, nie przestanie się stawać jednym z nich, dopóki nie zabije tu kogoś na służbie, nie ustrzeli któregoś z tych typów.

A co z wielkoludem i jego niedorzecznymi oskarżeniami? Co on mówił? Chyba nic, co wiązałoby się z prawdą. Może chciał zwrócić na siebie uwagę, może próbował znaleźć jakąś pomoc, może wreszcie mówił: „Powstrzymaj mnie, zanim zrobię coś złego”. Porąbańcy często oskarżają świat o zbrodnie, które sami chcieliby popełnić. Idioci są jak dzieci w ciałach dorosłych - na tym głównie polega ich chorobliwy stan. Są jak półroczne niemowlęta o dużej sprawności manualnej, w dodatku uzbrojone w całe arsenały. Tak, Frankheimer szuka cycka i dostanie cycka. Tylko że ssąc, ściągnie sobie na kark oddziały specjalne i mnóstwo trupów. I nikt nie będzie wiedział, dlaczego.

- Mo...

Przyniosła dzbanek z kawą.

Zasłonił kubek dłonią i powiedział: _ Pamiętaj, jak ostatnio rozmawialiśmy? Nie odpowiedziała. Byli właściwie sami i chyba dlatego nie miała nastroju do flirtów.

- Chciałbym się kiedyś z tobą spotkać. Może nawet dzisiaj.

Nie patrzyła na niego, w każdym razie nie wprost.

- Co ty na to? - zapytał.

- Nie wiem - odpowiedziała i nagle jej samotność zaczęła cuchnąć w całym barze.

Pomyślał: bierz dupę w troki.

- Zatrzymaj mi miejsce - rzucił. - Muszę przełożyć pranie z pralki do suszarki po drugiej stronie.

Zostawił jej piątkę. Bo nie miał zamiaru wracać.

- Zaczekaj! - zawołała go, gdy trzymał już kłamkę. Poczł, że opadają mu ręce, i wiedział, że to zauważyła. Sprawiał wrażenie człowieka zatrzymywanego wbrew woli. - Za dużo zapłaciłeś.

- Nie... zatrzymaj resztę.

- Dałeś mi pięć dolarów.

- Zaraz wrócę.

- Coś mi na to nie wygląda. Musiał wrócić i skończyć z tym.

- Jeśli naprawdę chciałbyś się ze mną umówić... - zaczęła.

- Jasne! - Wpadł jej w słowo, brzydząc się sobą.

- Kończę o dziewiątej.

- Fajnie. Nie ma sprawy.

W jej oczach widać było dobroć. Wcale nie była głupia.

- Jesteś pewien, że tego chcesz?

- Przecież powiedziałem...

Ho wyglądasz, jakby cię aresztowano.

Navarro wrócił z praniem na wybrzeże przed piątą. Musiał zameldować się u Mertona - nominalnie swojego szefa, ale tak naprawdę niczyjego szefa ani przełożonego - zanim ten wyjdzie do domu czy tam, dokąd chodził codziennie o piątej. Jazda między Anchor Bay a Point Arena była nawet przyjemna: przemierzało się kawałek wybrzeża otwierającego się na wietrzne, szmaragdowe łąki, na których gdzieś stwały nieruchomo krowy albo konie - zamyślane, wnioskując z wyrazu malującego się na ich pyskach. Wybrzeże było wysunięte

na zachód - dalej na zachód, jak mu mówiono, niż gdziekolwiek w Kalifornii - i wbijało się w chmury i mgły oceanicznej pogody. W Point Arena nigdy nie świeciło słońce, było wilgotno i bardzo depresyjnie. Miasto tworzyła niewielka społeczność zamieszkała wokół portu rybackiego, którego falochron przed paru laty zniszczyła wielka fala, a który całkiem niedawno został odbudowany. Odrodzenie widoczne było wszędzie: wzdłuż głównej ulicy trwały roboty remontowe i Navarro miał cichą nadzieję, że z czasem prace te obejmą także i jego terytorium. Bo posterunek policji nie zasługiwał na swoją nazwę - mieścił się w ruchomej konstrukcji postawionej tymczasowo jako klasa zastępcza, przeznaczona dla dzieci z zatłoczonych szkół. Oczywiście miejsca było aż nadto dla dwóch ludzi, jednakże wszystko było nie tak. Na takiej przestrzeni potrzebne były przegrody, które mieli zresztą przez jakiś czas, ale potem zostały zawłaszczone przez - no właśnie - szkołę. Przegrody nadawały posterunkowi wygląd urzędowy, a teraz ruchoma klasa przypominała szopę pogrążoną w chaosie. Wszystko było wszędzie, a trzy biurka -jego, Mertona i zatrudnionej na pół etatu sekretarki - zdawały unosić się na fali oceanu papierów: broszur, obwieszczeń, akt sporządzanych przez prokuratorów stanowych i okręgowych, rzeczy, które powinno się wynieść i spalić.

Merton powitał go, unosząc oczy i pochylając głowę nad polistyrenowym kubkiem, do którego wypłuł nadmiar śliny i przeżutego tytoniu.

Sądząc po jego milczeniu, nie działo się nic godnego uwagi. Posterunek zamykano o piątej, po tej godzinie policjantów wzywało się pagerem; dzisiaj dyżur z pagerem przy pasie miał policjant Navarro.

Przyszło mu do głowy, żeby poprosić Mertona o zmianę, bo może poszczęści mu się z Mo, wysoką kelnerką. Doszedł jednak do wniosku, że gdyby mu się nie poszczęściło, pager zapewni mu godziwą rozrywkę i nie straci wieczoru na daremne rozdzieranie szat.

Zatrzymał się przy metalowej szafce, żeby sprawdzić pocztę leżącą cały dzień w drucianym koszyku i jeszcze nie otwartą. Jenny, zatrudniona na pół etatu sekretarka, nie otwierała poczty, by nie wprowadzać dodatkowego zamieszania. Merton także nie otwierał poczty, co dziś powinien był uczy-

nić, jako że wśród listów znajdowało się z pół tuzina brązowych kopert zaadresowanych znanym, niestarannym charakterem pisma. Merton uwielbiał czytać wiadomości zawarte w tych listach: pierwsza, jaką dzisiaj znalazł Navarro, brzmiała - *PS: Jestem teraz wkurwiony do granic wytrzymałości...* Autor listów pisywał je, wkładał do kopert i przyklejał znaczki w odstępie wielu dni, po czym całą zgromadzoną korespondencję wysyłał za jednym zamachem, dlatego przychodziła falami. Odkąd w Point Arena nastał policjant Na-varro, fal tych było już sporo, na pewno więcej niż trzy, a Merton zawsze rżał z radości, czytając listy na głos. Dzisiejsze mogły okazać się nie do odszyfrowania...

- Coś się dzieje?

- Neeee - mruknął policjant Merton. - Jeszcze jeden wspaniały dzień.

Merton był dużym, zniszczonym przez życie, acz przystojnym mężczyzną, na którym policyjny mundur prezentował się jak kombinezon do pracy w ogrodzie. Buty Mertona stały obok jego biurka. Policjant Merton miał zwyczaj pracować w skarpetkach. Czystych, białych skarpetkach. Nie było w tym więc niczego nieprzystojnego. Czyste, białe skarpetki Mertona dodawały mu nawet uroku i poprawiały jego wizerunek, nadwierzany pluciem do kubka i zuciem tytoniu. Kiedyś Merton przez rok pracował dla Biura Szeryfa w Ukiah: w okręgowym więzieniu. Potem długo był bez pracy i w końcu przeniósł się tutaj. Zdaniem policjanta Navarro policjant Merton miał talent do egzekwowania prawa, choć brakowało mu doświadczenia i znajomości podstawowych policyjnych procedur. Prawda natomiast była taka, że Merton żeglował po tutejszych wodach z wprawą, o jakiej Navarro mógł tylko marzyć. Zawdzięczał swój sukces szczególnemu punktowi widzenia: traktował Point Arena jak duże więzienie, w którym byli dobrzy i źli więźniowie; niektórzy z nich odsiadywali wyroki, inni wciąż czekali na proces. Merton nie miał wśród nich nic do roboty, chyba że doszłoby do buntu. Ale na to się nie zanosilo. „Co? - wydzierał się często do telefonu. - Do czegoś takiego nie jadę! Właśnie zdjąłem buty i zacząłem czytać gazetę. Psy mają szczekać!" A jeśli jutro zadzwoni pani sąsiad i powie, że pies został otruty -mógłby dodać - do niego też nie pojedę.

Teraz Merton bez słowa nałożył buty, wstał, zamrugał powiekami, dotknął paru rzeczy na biurku po kryjomu, w dziwnie przesądny sposób, wziął z blatu polistyrenowy kubek i wrzucił do kosza; zbierał się do wyjścia ze zwykłym pośpiechem i bardzo nieformalnie. Navarro podejrzewał go o jakiś wielki grzech lub uzależnienie. Wyobrażał sobie Mertona w nielegalnej jaskini hazardu grającego w pokera z Chińczykami.

Otwierając następną brązową kopertę, Navarro dostrzegł, że widniało na niej jego nazwisko. Na wszystkich kopertach -o czym przekonał się po chwili - było wypisane jego nazwisko!

W tym roku w maju napisała do niego druga z trzech byłych żon; jej list był niezrozumiale sentymentalny i Navarro zastanawiał się, czy przypadkiem nie zaczęła tyć albo się nie rozpiła. Poza tym jednym jedynym wyjątkiem wszystkie listy, jakie otrzymał, pochodziły od nawiedzonego szaj-busa. Oczywiście dostawał mnóstwo reklam, jak każdy, i często marzył o tym, żeby partycypować w zyskach ludzi sprzedających jego nazwisko kolejnym producentom, oferującym głównie nowoczesny sprzęt przydatny w policyjnej robocie. Teraz wszyscy gliniarze kupowali sobie automatyczne glocki z tworzywa. Navarro nie miał nic przeciwko własnej, prywatnej armacie o piętnastu nabojach, rażących z energią bliską stu kGm każdy - ale co z tego? W jakim celu miałby sobie ją kupić? Dla jaj? *Zwiększyłem moc mózgu...* tak zaczynał się drugi list. Nie było nagłówka ani powitania:

Zwiększyłem moc mózgu do 85% jego pojemności i wykorzystam każdy jego cal, każdą komórkę - tak mi dopomóż BOG - do odparowania wspomnianych promieni, ale o 16.14 musiałem przenieść się tutaj, za wzgórze, w którym jest cynk i związki cyrkonu oraz ich pochodne, których nie wolno mi ujawnić mimo starań CIA polegających m.in. na nakłonieniu tej dziewczyny do odbycia ze mną stosunku płciowego pod pseudonimem albo obcym przydomkiem Miran. 16.14 12 marca 1985 - to znacząca data, kiedy zrezygnowałem z walki, ale należy ją traktować - przynajmniej tymczasowo - jako zasłonę dymną albo element strategii, co na koniec i tak się okaże. Jeśli zechce pan skonfrontować moje słowa z tym, co piszą czołowe autorytety z dziedziny elektryczności, magnetyzmu, fizyki, termodynamiki w związku z ewolucją słońcem etc.

Przekona się pan, że plus i minus się nie znoszą. Nie tak jak mówią nam mistycy, nawet w Biblii jeśli tylko zwolnią jej oryginalne tłumaczenie przetrzymywane przez CIA w Bibliotece Kongresu i Muzeum Smithsonian, ale w wystarczający sposób, by zniszczyć ich bezwzględne, wspaniałe plany STWORZENIA FAŁSZYWEGO KOSMOSU. Zatem matematycznomistycznie okazuje się, że dwie kopuły NIE neutralizują się ani się nie znoszą i ta tragedia oraz jej wpływ na wszystkie metale, nawet pierwiastki śladowe, w naszym mózgu, naszym systemie wydzielania wewnętrznego, naszym wszystkim - naprawdę łamie mi serce. Ale to nie wszystko. Przekonacie się. Umysł jest ponad to. W dalekiej perspektywie jesteśmy bezpieczni. Ale jakież to absurdalne i jak mi ubliża, że jestem jedyny, który mówi: wyłączcie radar i przekonajcie się! Raj w dziesięć sekund! Gdy tylko przestanie promieniować i gdy paru z nas zwiększy moc mózgu do 85% jego pojemności, jak ja, nie mówiąc o wielu ponad to, niewielu, powiedzmy 1200 na planecie Ziemia. Jesteśmy zmęczeni! Ja w każdym razie. Pozwólcie nam uzdrowić chorych i nauczyć was jak uruchamiać i zwiększać do wyższych i jeszcze wyższych pojemności, żebyście to umieli. Wtedy zapanuje UNIWERSALNA HARMONIA i wystarczy tylko parę sekund! Nałóżcie na nie nakaz sądowy o 13.21 i po dziesięciu sekundach - Raj w dziesięć sekund. Trudno mi opisać ile dobrodziejstw się z tym wiąże. Nie przesadzam. I jestem zmęczony, moja głowa się przegrzewa i płonie, TERMOJĄDROWO można by powiedzieć z miłości do niej. A to głupie. Skręca się w lewo drogą ze wzgórz, tam gdzie kiedyś był obrazek łodzi. Mam nadzieję, że wpadnie pan na kawę. Dwie mile drogą gruntową w dół. To znaczy jeśli nie skończę z tym wstępując do wojska i oddając im moją pojemność i ucząc ich jak skakać po promieniach radaru w celu siania zniszczeń zamiast harmonii, w jakiej się chwala Bogu znajduję.

Z całym szacunkiem, ale wybrałem pana z powodów, których nie mogę wyjawiać w tym liście, który będzie czytany przez satelitę, analizowany w Pentagonie etc. Nic mi nie robią, ale chodzi mi o pana. Myślę, że to wszystko przez komputery i radary, ale nigdy nic nie wiadomo z tymi ludźmi bez skrupułów skrzywionymi przez własne PSYCHICZNIE-DESTRUKTYWNE MASZYNY, mogą wypuścić panu płyn hamulcowy albo coś takiego żeby spowodować wypadek. Promieniami albo zrzucić pana z drogi do morza - umrze pan w taki czy inny sposób, więc niech pan będzie ostrożny i wędruje z modlitwą na ustach i w zrozumieniu BOGA WSZECHMOGĄCEGO i miłości nieskończonej. Jest Mi przykro, że pana w to mieszam. Jest mi przykro, że pana w to mieszam, „ale"! Niech

pan pamięta, że dobro, które pan odczuwa nie jest dobrem Boga, ale samym Bogiem. Więc czuje pan Boga. I niech pan nie zapomina POWSTRZYMAĆ RADAR i wszystkiego najlepszego.

W. Fairchild

Navarro pochylał się, by schować koperty wśród akt oznaczonych napisem „Federalne”. Wszystkie listy Fairchilda dołączano do akt federalnych, ponieważ autor posuwał się w nich niekiedy do gróźb pod adresem własności federalnej, jaką była stacja radarowa sił powietrznych Stanów Zjednoczonych, wznosząca się na szczycie pasma Arena. Policjantowi Navarro nie podobało się, że Merton czytał na głos te listy i wyśmiewał się z nich. Navarro zgadzał się, że trzeba myśleć trzeźwo, ale szanował ludzi obłąkanych. Czasami sam czuł się jednym z nich.

Tylko raz odwiedził stację radarową, przejeżdżając akurat w pobliżu. Miejsce jak z filmu science-fiction - gorąca, bezwietrzna wyspa otoczona martwym morzem srebrzystych stratusów. Nikt go nie zatrzymywał, w zasadzie nie spotkał tam żywej duszy i zastanawiał się, czy stacja jest w ogóle czynna, lecz gdy dojechał do wysokich na czterdzieści stóp bliźniaczych kopuł, jego policyjne radio zaczęło reagować na zakłócenia, choć było wyłączone...

Akta federalne były dosyć cienkie i oprócz listów szaleńca zawierały jedynie kilka donosów na sąsiadów nie płacących podatków i wandalów niszczących obozowiska w lasach państwowych. Ich obecność w tym miejscu usprawiedliwiała tylko koszmary jakichś biurokratów wyobrażających sobie, co może ich spotkać, jeśli ten czy inny kongresman zażąda tych listów, a wtedy okaże się, że ich nie ma. *PS...*

PS jako dowód wspomnę tylko, że nie wiedzą, że ich mikrofalowe agregaty uczyniły mnie eunuchem przed 1985 (pojemność mózgu się nie liczy) i wciąż przysyłają mi Miran, co jest pseudonimem albo obcym przydomkiem implantowanego przez nich w najdziwniejszych przebraniach agenta (prawdziwe imię Yvonne), który mówi mi, że jestem zagubiony, proszę pomóż mi, i próbował odbyć ze mną stosunek płciowy (jak jej kazali mówiąc tylko go przyłap samego i zacznij nadawać psychicznie, jego pojemność mózgową umożliwi mu odbiór tego co nadajesz). Dosyć głupie, nie? To tak tylko, żeby pokazać panu, że nie chronią się przed własnymi psy-

chicznie destruktywnymi promieniami, nie będą myśleć normalnie dopóki nie zrobią analizy pierwiastków w tym i kilku innych wzgórzach, których położenia nie zdradzę. Nigdy, przenigdy!

Z poważaniem W. Fairchild

Policjanta Navarro rozbolały pośladki. Od kilku minut siedział w kucki przed otwartą szufladą metalowej szafki, trzymając listy w dłoni. Wyprostował się i sprawdził, czy samochód Mertona zniknął z parkingu przed zastępczą szkołą. Potem wyjął listy, położył je na biurku i usiadł.

9 SIERP

Odkąd wyszedłem zza i zszedłem ze wzgórza, które zawiera cynk, związki cyrkonu i inne cenne związki (lub pierwiastki, związki śladowe, których nazw nie zdradzę) o 16.14 12 marca 1985, gdzie można rozmawiać z duchami, Bóg jest królem, i operuję z 85% pojemności mózgu bez odparowywania promieni, z całą pewnością odpoczywam, przygotowuję się i moja ostateczna odpowiedź brzmi TAK. Połączę się w sieć z innymi o takiej pojemności, żeby psychicznie antyradarować dopóki trzeba będzie walczyć, DOPÓKI KOPUŁY NIE UMILKNA. Czy wówczas nie byłyby pięknymi wytworami ludzkiej ręki? Okrągłymi, białymi kolanami olbrzyma zażywającego słonecznej kąpieli - tak je widzę kiedy myślę o nich spokojnie.

Policjancie Navarro! Przepraszam, że musiałem wybrać pana do tej funkcji, „ale!” Myśli pan, że bardzo mnie podnieca bycie jedyną osobą antyradarującą na tej planecie aż mi się dosłownie z nosa kurzy? i czuję jak płoną mi włosy? i wyczerpywałem się jeszcze bardziej w innych zadaniach ponad to, przez co krzyczę w lasach od czego żywica dudni bum-bum-bum w drzewach, co można wyczuć, polegających na uporządkowaniu popieprzonych kwasowych nonsensów z tych lat kiedy dostępne mi były prawdziwe wizje po aktywacji do 85% pojemności mózgu w końcu lutego 1985.

Potem o 16.14 12 marca przenieśliem się za cynk-cyrkon-i-inne-pierwiastki-których-nie-mogę-wyjawić chroniące mnie na tym wzgórzu i Boże zlituj się ale walkę zamieniłem na inną, która wyczerpuje mnie jeszcze bardziej, jak już mówiłem, żeby oddzielić prawdę od fałszu. Obecnie mogę w końcu ogłosić tę wielką nowinę (proszę o jej przekazanie na wszystkich policyjnych częstotliwościach w określonym kodzie pamiętańca zawsze), że dziesięć dni i dwie godziny temu 29 lipca 1990 pokonałem w czerni mocy psychicznych WSZYSTKIE MYŚLI, WIZJE, PRZEKAZY, HALUCYNACJE, ja-

kie otrzymałem z każdego rodzaju o każdej porze przed 16.14 12 marca 1985 i będę teraz przechowywał je w nieużywanym promilu pojemności mózgu, gdzie już nie zrobią krzywdy naszym kruchym miłującym duchom na ziemi nigdy. Powiedziałbym Halleluja ale drodzy moi mieszkańcy planety lży kapią na ziemię jak deszcz, ta walka przykro mi to mówić była tylko przygrywką w porównaniu do strat energii, jakie nas czekają, chyba że połączę się w sieć z innymi o wysokiej pojemności mózgu. Czasami żałuję, że żyję. Czy to wzgórze zapobiega wydostawaniu się na zewnątrz wszystkiego i czegokolwiek, tak jak jego pierwiastki chronią mnie przed promieniami? Dlatego proszę do wspomnianego wcześniej przekazu w określonym kodzie na policyjnej częstotliwości dołączyć następującą wiadomość: **WSZYSCY O ZWIĘKSZONEJ POJEMNOŚCI ŁĄCZCIE SIĘ 15 STYCZNIA 1991 ROZPOCZNIE SIĘ STRASZLIWA WALKA, ALE BÓG JEST Z NAMI.** Powtarzać codziennie.

P.S/Nie bój się, idzie ku lepszemu.

8 SIERP PO POŁUD PS: Jestem teraz wkurwiony do granic wytrzymałości, kolego. Nie na ciebie, ale zapomniałem co się dzieje! W połączeniu w sieć chodzi o zantyradarowanie radarowych kopuł. Ale zapomniałem podkreślić, że musisz zdobyć nakaz sądowy, żeby wyłączyć źródło promieniowania, żeby ci z pojemnością mózgu 75% lub wyższą (celowo zmieniłem dane przez wzgląd na niewyobrażalne niebezpieczeństwo sytuacji grożącej ziemi jak olbrzymi asteroid wielkości planety...). Tych może być ze 2000. Jeśli uwolni się nas od anty-radarowych obowiązków i strasznego wypływu energii, będziemy mogli uleczyć chorych, nauczyć innych jak uruchomić wyższą pojemność - wszystko w przeciągu dziesięciu sekund od zamknięcia radarów. Błagam czytaj Biblię

Z poważaniem

P.S. Coś ważnego, kobieta w zaskakującym przebraniu została przysłana, by podjąć próbę odbycia ze mną psychicznego stosunku płciowego, pseudonim lub obcy przydomek Miran, kod nieznany, pochodzenie nieznane, terminu nie wolno mi wyjawić. Prawdziwe imię Yvonne. Może wciąż przebywać na wzmiankowanym obszarze. Obecny pseudonim lub obcy przydomek nieznane. W mojej samotności w efekcie obrony przed radarem, przeciwdziała moim połączeniom psychicznym, cynk i związki cyrkonu i inne, których nie mogę wyjawić to w zasadzie błogosławieństwo, ale i przekleństwo, nie wiem. Odbieram wibracje, że wciąż tu jest. Wciąż uprawia czary.

9 SIERP

Uważam, że obecnej sytuacji nie mogę wyjaśnić. Próbuję rozpracować ją psychicznie, ale to tortura, myślę, że wyczerpanie i cierpienie zbierają żniwo przepuszczając promienie laserowe i rzeczy, z którymi sobie nie radzę, więc tylko kładę się i pozwalam im się ciąć w AGONII, CAŁKOWITEJ AGONII. Te męczarnie sprawiły, że jestem już niemal gotów WSTĄPIĆ DO WOJSKA. Mój brat przyszedł za wzgórze. Implantowano go dawno temu, to nie jego wina. Mówi kodem. Błagam o NAJWYŻSZY PRIORYTET dla nagrania rozmowy z nim na urządzeniu nagrywającym i odtworzenia jej od tyłu na częstotliwości policyjnej o określonym kodzie. Biblia nie pomaga w odkodowaniu tegoż, ale nie ustawaj w czytaniu Pisma i w modlitwie. CO MOGĘ POWIEDZIEĆ. Żałujesz, że zostałeś wybrany? Wiem, wiem. Wszystko będzie dobrze i nie obawiaj się, to wszystko.

PS. Psychicznie pokonałem i umieściłem w czarnym pudle wszystkie przekazy, myśli, halucynacje sprzed 12 marca 1985. Ale informacja o implantowaniu mojego brata (Nelsona Fairchilda Jr.) pochodzi z obu epok czyli sprzed wspomnianej daty i PO wspomnianej dacie. Nie bądź więc zdziwiony.

Z poważaniem, W. Fairchild

10 SIERP PO POŁUD

Szanowny Panie,

Całkowicie wprowadza ich w błąd tutejsze organiczne otoczenie. Miarkują, że promienie muszą się przedostać. Zapominają o dwóch rzeczach: cynku, związkach cyrkonu i pewnych innych związkach, głównie pierwiastkach śladowych, których nie mogę wyjawić, nawet panu. (to nie pana wina, wszystko ma związek z psychiką, a pan nie jest jeszcze uaktywniony) Pozostaje zatem kwestia podłogi w moim domu, która w początkach swego istnienia była organiczna, ale została napromieniowana w Pt. Arena (obcy kod nieznan) w kręgielni, przez co jej struktura molekularna zmieniła się w nieorganiczny pierwiastek o nazwie radarium. Zapobiega to wydostawaniu się czegokolwiek od dołu. Nie dbam o to czy zainstalują panu psychiczny podsłuch i dowiedzą się o tym, nic mi nie mogą zrobić.

PS. Biblia celowo została źle przetłumaczona, ale wystarczy, że ją pan dotknie. Pismo wciąż tam jest, odkodowuje się po drodze do pańskiej głowy. Moc Boża. W dalekiej perspektywie nic nam nie grozi. Po prostu TRZYMAJ SIĘ, KOLEGO. Jesteś wszystkim, co mam, od twojej misji zależy los planety. Ale nie denerwuj się.

RS. Jeśli będzie źle wejdź do kina w Pt. Arena (obcy kod nieznan). Budynek od dawna pochłania promienie. Struktura molekularna materiałów organicznych wytworzyła radarium. Zabierz ze sobą innych, szczeg. kobiety i dzieci, jeśli na niebie pojawią się DIAMENTOWE SIATKI lub lasery.

PS. Radzę zebrać ocalałych przed 15 stycznia 1991 jak podano w zakodowanym przekazie iskrowym. Niektórzy słuchają jednym uchem, a wypuszczają drugim, ale ty zabierz kogo chcesz i ukryj się w kinie w Pt. Arena (obcy kod nieznan). Zapomniałem ci powiedzieć, że jeśli na niebie pojawią się DIAMENTOWE SIATKI lub lasery to będzie prawdopodobnie bardzo źle. Wasze się opieką. Więc zachowaj czujność i ukryj się tam 14.01.91. Jak ci się podoba nasza pogoda? Bardzo ładna. Pokój można osiągnąć w tej wiecznej terażniejszości.

Z poważaniem, W. Fairchild

PS. Odczytują to przez satelitę i analizują w Pentagonie razem z CIA, FBI eksc. Nie koduję, bo i tak przepuszczą to przez dekodery. Jeśli pozostaniemy ubodzy duchem i wytrwamy w prawdzie zginą od własnej broni. WYZUCI ZE SKRUPUŁÓW, DEMONICZNI, SZALENI, ŻLI. Trudno z tym walczyć. Pozostań ubogi w duchu i wytrwaj w prawdzie. Nie obawiaj się. Nie opieraj się złu. Wszystko będzie dobrze. Nieskończona miłość. Bóg tak mówi. POWSTRZYMAJ RADAR. Bóg tak każe.

W. Fairchild

11 SIERP

Szanowny Panie,

Do tej pory zbyt byłem zajęty antyradarowaniem, żeby wytłumaczyć panu kwestię implantów. To trudny do wyjaśnienia problem. W jaki sposób w ogóle dowiedzieli się o trzeciej formie życia? W jaki sposób odkryli procesy strukturalnej dezintegracji-reintegracji? Czyżby prowadzili badania nad RADARIUM po II w.ś. Pojawiły się wtedy duże ilości radarium. Mówiąc szczerze nie mogę wykorzystać moich mocy, by spojrzeć na tę sprawę zza chroniącego dzięki mnie ROZPALAJĄCEJ GWIAZDY ŁASCE BOŻEJ wzgórza wprost w ich bękarcie umysły i wyjawić panu odpowiedź. Tak czy inaczej...

Tak czy inaczej kontynuują to w pentagonie, CIA, FBI, etc. (niektórzy prezydenci o tym wiedzą, większość nie, a jeszcze innych po prostu mordują), a żeby kontynuować używają fortelu zagrożenia nuklearnego. Zrobili cię w konia, co?

PLEMNIKI trzeciej formy życia dezintegrują i reintegrują się

w macicy (nie martw się, to nie dzieje się co dnia, każda próba kosztuje jakies 17-19 trylionów amerykańskich pieniędzy, a powodzeniem kończy się jedna na milion. Dlatego mój brat może być jednym z niewielu i może wytłumaczyć dlaczego jestem w to zaplątany. A może po prostu nas wybrano? Jak Ciebie?) (Znów nie wiem.) Kiedy populacja implantów osiągnie masę krytyczną, UWAŻAJ. Ale spójrz na mnie. Czy wyglądam na zmartwionego? Niekiedy nie jestem pewien czy powinno się mnie nagrywać i odtwarzać od tyłu na policyjnych częstotliwościach o określonym kodzie. O Mój Boże w Niebiesiech mam nadzieję i modłę się o to, żeby NIE! Ale jeśli w twoich oczach jestem podejrzanym, musisz mnie podejrzewać w imieniu wszystkiego, co święte i wzniosłe i znajduje się między ludzkim sercem a całkowitą totalną ZAGŁADĄ KOSMOSU. Skręca się w lewo dr. ze wzgórz, tam gdzie kiedyś był obrazek łodzi. Na tablicy widać jeszcze napis HILD reszta jest ułamana. 2 mi dr. gruntową w dół do chaty z podłogą z RADARIUM. Pokój i pomyślność we wszystkich pańskich błogosławionych dniach.

11 SIERP (KONT. PÓŹNIEJ PÓŹNIEJ)

Wszystko będzie dobrze. Dobro, które pan odczuwa nie jest dobrem Boga, ale samym Bogiem. Więc czuje pan teraz samego Boga. Dziękując panu za nadanie komunikatów, których obecnie nie mogę odbierać psychicznie mieszkając obecnie od 1985 (12 marca, 16.14) za warstwą ochronną podziemnych związków chemicznych w tym wzgórzu, głównie cynku, związków cyrkonu i innych głównie pierwiastków śladowych (których nie mogę wyjawić). Odpoczywałem psychicznie. Pokój w dolinie. Duchy, jelenie, zabawne gryzonie o małej pojemności, ale telepatyczne i z poczuciem humoru, wiewiórki, bobry, wiewiórki ziemne - wszystko odpoczywa w słońcu. Na straszliwie żalną ironię zakrawa fakt, że moja warstwa ochronna jest moim więzieniem odcinającym mnie od świata w mojej samotności. Musi być tak, że zaczęło się już łączenie w sieć, cud jest w zasięgu ręki, żałuję, że nie będę mógł wskazać drogi. Ale taki jest już mój los. UWIĘZIONY, NIE ZROZUMIANY, ZAPOMNIANY, czasami krzyczę tak strasznym głosem, że przewracają się drzewa, a w innych razach płaczę aż ŁZY ZAMIENIAJĄ W BŁOTO ZIEMIĘ U MOICH STÓP. Teraz być może niedługo od szczęścia, samotnego szczęścia, ale szczęścia. Dziękuję za pańskie komunikaty radiowe, policjancie Navarro! Przepraszam, że pana wybrałem, ale sam pan już wie. Wszystko zawsze miało być dobrze.

Wszystko zawsze miało być dobrze.

Z poważaniem, W. Fairchild

„Nieuniknione"... „Wyczekiwane ze strachem"... „Mrozące krew w żyłach"... Czy są inne słowa, którymi można by opisać odwiedziny w domach naszych matek i ojców? Z jaką przyjemnością odwiedziłbym ich groby!

Co poniedziałek do sklepu w Anchor Bay przywożono tygodnik finansowy „Barron's". Czasami odkładałem to do wtorku, a nawet do środy, ale odkąd przed kilkoma miesiącami położył się do łóżka, nie dane mi było uniknąć odbierania pisma i związanej z tym konieczności składania ojcu straszliwych, regularnych wizyt.

Tego popołudnia, we wtorek 4 września, tydzień po opuszczeniu przeze mnie domu Winony i sześć dni po jej powrocie - w dniu, w którym Carl Van Ness miał pokazać nam wszystkim, z czego jest zrobiony - jechałem do ojca prosto ze sklepu. Zobaczymy, czy mamy otwarte oczy - pisał Van Ness. Może uwierzyłem jego słowom. Może szukałem wytłumaczenia, żeby popełnić morderstwo. Jeśli tak, to każdy z miejscowych zgodziłby się ze mną, że Nelson Fairchild senior jest wystarczającym powodem do popełnienia czegokolwiek.

Byłem po niezbyt fortunnej rozmowie z Clarencem -w tym przypadku określenie „niezbyt fortunna" nie równa się „gwałtowna". Owszem, Clarence wrócił do miasta, znalazł mnie i usłyszał o najemnikach Harry'ego Lally. Nie pobił mnie, przeciwnie, podniósł nawet na duchu, zaznaczając przy tym, że nie po to uprawiał marihuanę, żeby chronić mnie przed losem, jaki sam sobie zgotowałem, który - jak się wyraził - „był sprawiedliwą karą za ogólne dawanie dupy". Mimo to pozostała mi odrobina nadziei - a może odniosłem tylko takie wrażenie - że nie odda mnie w łapy zabójców. Potrzebował czasu, żeby wszystko przemyśleć, ale nie wiedział, jak to wyrazić. Clarence nie mówił nigdy: „Niech no pomyślę". Był człowiekiem czynu, a nie myślicielem.

No cóż, dzień był wyjątkowo długi - to wszystko. Najpierw Melissa reagowała dziwnie obco w łóżku, a potem przekazała mi okropną wiadomość, że moi prześladowcy wrócili. Zacząłem żałować, że mówiłem jej niemal wszystko. Spodziewając się powrotu Carla Van Nessa, który lada chwila mógł pojawić się na horyzoncie, a może nawet był już w mieście, pojechałem na rancho Winony podczas jej nieobecności i...

zrobiłem coś; małą rzecz, której prawdopodobnie będę żałował. Czy w tej sytuacji pół godziny z ojcem może mi zaszkodzić?

Stary mieszkał na północ od Gualali, na akrze ziemi po zachodniej stronie drogi, jeśli patrzeć od Pacyfiku. Jednopiętrowy dom, trzy sypialnie, garaż na dwa samochody i warsztat - normalna posiadłość każdego szesćdziesięciodwulatka w okręgu Mendocino.

Drzwi garażu były otwarte, zapukałem w nie i wszedłem od kuchni, gdzie Donna Winslow zapytała mnie, czy napiję się herbaty.

- Dziękuję, nie - odparłem. - Co powiesz na kieliszek wina?

Donnę spotykałem zazwyczaj tu, na obszarach należących do pani domu. Występowała najczęściej w spodniach z bi-storu i długich po łokcie, żółtych kuchennych rękawicach. Widząc ją, odnosiłem wrażenie, że Donna cierpi z powodu braku łączności - pod wieloma ważnymi względami - z otoczeniem. Była chodzącą porażką. Na dłuższą metę jest to znacznie tańsze od środków uspokajających. Wyglądała jednak dosyć przerażająco, nawet gdy była blada i uprzejma. Ewa Braun - gdyby żyła - mogłaby skończyć tak jak ona. -Mamy otwartą butelkę - powiedziała myśląc o winie. - Może być?

- Otwarte wino mi nie przeszkadza. Ale najbardziej lubię nalane.

Przed wylewem ojciec nie zgadzał się na mieszkanie z nią pod jednym dachem. Później nie miał już chyba siły, żeby jej przeszkodzić. Według mnie w jej obecności w tym domu nie było niczego złego. Podziwiałem Donnę - szczególnie za jej umiejętność obywatela się bez głupich rozmów. Nigdy nie niepokoila mnie pod tym względem.

Stałem w kuchni, sącząc czerwone wino stołowe z za małego kieliszka, a Donna poszła na górę, żeby powiedzieć ojcu, że pojawił się starszy syn i przyniósł „Barron'sa". Rzecz w tym, że nie tylko dostarczam pismo, ale również je czytam. Na głos. To najdziwniejsze zadanie, jakie przyszło mi wykonywać.

Usłyszałem dobiegający z góry głos Donny. Stary milczał. Może kopnął w kalendarz i będę zbawiony.

Jego wspólnik, Willis Winslow, miał serię wylewów i całymi miesiącami leżał w domu. Wtedy mój ojciec zaczął sypiać z jego żoną. W okolicy opowiada się teraz historię, że po wylewie wspólnika ojciec zarzucił sobie Donnę na ramię i zaniósł ją na górę do małżeńskiej sypialni, po czym posiadał ją na oczach bezradnego Winslowa. Od tamtej pory robił to co noc, każąc nieszczęśliwemu patrzeć i słuchać.

Teraz sam leży w łóżku, tak samo jak kiedyś Winslow. Opiekuje się nim nawet ta sama kobieta. Jest już za stara, jak sądzę, żeby go zdradzać. Mimo to mam nadzieję, że to robi.

Kobieta, którą zarzucał sobie na ramię, właśnie schodziła z góry.

- Chyba usnął, Nelsonie.
- Czy mam zniknąć?
- Nie, powiedział, żebyś wszedł. A potem usnął.
- Przyjadę później.
- Może wystarczy, żebyś poszedł na górę i dał mu pismo.
- Dobrze - rzuciłem niepocieszony.
- Dolać ci jeszcze?
- Wezmę całą butelkę.

Donna wykonała kawał świetnej roboty w domu, który wcześniej pełnił rolę biura skrzyżowanego z warsztatem. Wywaliła wszystkie niepotrzebne rzeczy, wszystkie narzędzia, sznury pokryte smarem, bezużyteczne części samochodowe, grube, ciągle rozwijające się rulony planów, zaginione dokumenty i korespondencję z okresu ostatnich czterdziestu lat. Znikły zardzewiałe metalowe szafki na akta - wszystkie oprócz jednej, której szuflady były teraz zawsze zamknięte i na której nic nie stało z wyjątkiem dwóch stokrotek w wazoniku. W salonie Donna powiesiła kwieciste zasłony, odpowiadające kolorem barwie oceanu i podtrzymywane przez ręcznie plecione sznury z Meksyku. Na ścianach wzdłuż schodów - po których wspinałem się teraz coraz wolniej i wolniej, czując, że kolana odmawiają mi posłuszeństwa, jakbym ciągnął za sobą kulę, którą obarczył mnie ojciec przed bardzo wielu laty specjalnie po to, żebym do niego nie wchodził - wisiały obrazki jaskrawe niczym okna.

Nie pytajcie mnie, dlaczego tu przyjechałem. Może z powodu niezdrowej fascynacji, choć była ona jednym z wielu

wrażen, jakie odczuwałem, znajdując go śpiącego w małej sypialni u szczytu schodów. Oto i on: leży całkiem bez zmysłów. Jestem jak zwykle wstrząśnięty.

Kiedyś zdarzyło mu się grozić publicznie śmiercią pewnemu Bogu ducha winnemu człowiekowi, jakiemuś turyście, który usiadł na jego stołku przy barze w hotelu „Gualala”. Stary okrył się sławą, gdy trzasnął w mordę komisarza okręgu w czasie posiedzenia rady miejskiej w Point Arena. Napadł także na ulicy na trenera szkolnej drużyny koszykówki, gdy ten porządny obywatel zaczął spotykać się z naszą matką. To starcie zakończyło się fatalnie dla ojca - wylądował tyłkiem na asfalcie - ale również dla matki: trener przestał dzwonić. Później już nigdy nie umówiła się z nikim z tej okolicy. Pewnego razu - dawno, dawno temu - zaczął się w nocy z fuzją i dwugalonową bańką benzyny w kabinie spychacza, czekając na złodzieja, który krałł mu materiały budowlane. Nie poruszył się, nawet kiedy facet zaparkował półciężarówkę wśród pobliskich drzew, siedział jak kamień, gdy złodziej wyrwał łomem kłódkę u wejścia do szopy na narzędzia, czekał, aż gość wejdzie do środka, i dopiero wtedy wyskoczył ze spychacza. Gdy objuczony narzędziami bandyta wystawił nos z szopy, ojciec wbił mu lufę w gardło, wylał na niego dwa galony benzyny, wyjął zapalniczkę i powiedział: „Dam ci dziesięć sekund forów”. Potem Nelson Fair-child senior ścigał półciężarówką złodzieja aż na przedmieścia Ukiah, gdzie bandyta nie wytrzymał nieznośnego pieczenia skóry i pojechał do szpitala. Później skarżył ojca o grube tysiące. Stary musiałby mu zapłacić, gdyby adwokaci złodzieja nie spieprzyli sprawy. Gdy chodziło o zemstę, mój tata nie był wybredny. W okolicy mówiło się, że zlecał zabójstwa, ale mocno w to wątpię. Jeśli musiałby już kogoś zabić, zrobiłby to sam, publicznie, na oczach wszystkich, a potem wyłgałby się od odpowiedzialności dzięki armii niepokonanych adwokatów.

Kiedy o nim myślę, zawsze przychodzą mi do głowy te same obrazy - twarz drgająca w granicznym wyrazie między ironią a obrzydzeniem - dlatego w moich oczach jest zawsze taki sam. Do niedawna nigdy nie widziałem go z zamkniętymi oczami. Teraz dużo sypiał. W jego twarzy nie było już ironii, tylko nijaka, ciastowata niewinność, podkreślona przy-

legającymi do czaszki włosami. Sprowadzili mu szpitalne łóżko - podnoszące się i rozkładające po naciśnięciu guzika - zrobili z niego kukłę, ale do pewnego stopnia pociągającą jeszcze za sznurki.

Nie chciałem go budzić. Może potrzebował snu. Wejście do jego sypialni dało mi się we znaki. Byłem wykończony, jakbym płynął tu przez morze krwi. Napelniłem kieliszek i uchyliłem okno na szerokość dłoni. Odetchnąłem świeżym powietrzem. Bez rozpraszającej promienie słoneczne mgły słońce prażyło niemilosierdzie, ale tu, w pobliżu oceanu, powietrze było chłodne, pachniało podróżami. Z dala dobiegł cichy grzmot: chrapanie Pacyfiku. Młócka fal przedostała się przez otwarte okno i obudziła ojca.

Otworzył oczy i od razu zaczął mówić:

- Najlepiej zdelegalizujemy wszystko i zamknijmy się w więzieniach.

- Hej, świetna myśl. Dlaczego nie?

- Żeby tylko dostał tych skurwiel... - oparł się na łokciach, zapominając o zrobotyzowanym łóżku - żeby tylko dostał tych skurwiel pod but chociaż na dziesięć minut. Wydusiłbym wyjaśnienia z ich żalonych mord. Pytam: dlaczego motel, ładna, estetycznie prezentująca się budowla zaprojektowana przez skurwiałego hipisa albo pedała, jak lubią, dlaczego nie może stać na krawędzi klifu? Bardzo potrzebny motel! Bardzo potrzebny w okolicy, w której pokoje kosztują po dwieście dolarów za dobę! Widok na ocean musi pozostać nietknięty! Tak mówią! Nietknięty, jeśli zamknie się oczy na wybudowane przez nich bary. Nietknięty, jeśli kogoś stać na dwieście dolarów za dobę i rezerwację z miesięcznym wyprzedzeniem. Czy oni w ogóle mają pojęcie, czym jest piękno? Czy ty masz pojęcie, czym ono jest?

- Oczekujesz chyba, bym powiedział, że piękno jest w banku. Na twarzach prezydentów uwidocznionych na banknotach.

To go zamknęło. Spisał mnie na straty. Widziałem to w jego oczach. Ale gdybym musiał, dostrzegłbym to również w jego uszach, dłoniach lub włosach. Wystarczyłoby mi spojrzeć na jego paznokcie, by domyślić się, że po raz kolejny zaprzepąściłem szansę na bycie jego synem. Zawsze dawał mi szansę i zawsze przyglądał się, jak ją zaprzepaszczam. Zwykle już

po kilku minutach. Przyzwyczałem się do tego procesu. Czerpałem z niego niezdrową radość, jeśli mam być szczerzy.

Jego milczenie wynikało po części z choroby. Bóg wie na co cierpiał. Budził się pełen energii, ale szybko popadał w otępienie. Nie chciał powiedzieć, na co jest chory. Lekarze wiedzieli. On też. Uważał jednak, że go okłamali - dla jaj, jeśli nie z poważniejszych przyczyn. Zawsze dokonywał projekcji swoich urojeń na innych. Jego niedowierzanie obcym i nieuczciwość wobec nich nie były słabościami, przeciwnie - ukształtowały jego wiarę, stały się jego credo. Głęboko wierzył w skuteczność kłamstw. Cenił fałsz jako narzędzie. Uważał, że prawdy nie da się kontrolować, gdy ostatecznie wyrzuci się ją z siebie. Wiedział jednak, na czym polega różnica między prawdą a kłamstwem.

- To Higgins i Tom Aiken...- mówił o prawnikach broniących przyrody - moja Scylla i Charybda. Gdyby ich zasrani koleś nie zasiadali w Komisji Wybrzeża, podzieliłbym wszystko do ostatniego metra kwadratowego i postawił drapacze chmur. Mają nadzieję, że uda im się opóźnić sprawę. Odwołać mecz z powodu zapadającego zmroku. Kombinują, że padnę trupem! Niedoczekanie! Daj mi ten telefon...

- Jest już prawie szósta po południu, ojcze. - Nie wiem na czym to polega, ale zawsze zwracam się do niego jak młodzi Cartwrightowie z Ponderosy do swego tatki Bena.

- Wykręć mi numer...

Włożyłem słuchawkę do jego dłoni, zacisnął ją, a ja wystukałem numer, który mi podał.

- Zostaw mnie samego na minutę - polecił, zakrywając słuchawkę.

Skazany na sześćdziesięciosekundowe wygnanie. Chyba pobiłem jakiś rekord. Zostawiłem go sam na sam ze szwindlami i przez korytarz poszedłem do łazienki. Jednoosobowa horda barbarzyńców właśnie wyruszała na wojnę. Każdy wie, że jest oszustem. I co z tego? Kogo to obchodzi? Oficjalnie mój ojciec nie tylko wie, na czym polega różnica między dobrem a złem, ale stara się żyć zgodnie z tymi zasadami, zostawiając innym wyciąganie wniosków na swój temat. Mnie już nie nabierze.

Ja jestem inny. Jestem kretem, który się kryje przed prawdą

w każdej dziurze, na przykład tutaj, w łazience na piętrze domu ojca; w łazience mieszczącej się po zacienionej stronie domu, pogrążonej w półmroku i chłodnej jak kafelki, którymi ją wyłożono. Stosunkowo niewielkiej, ale wystarczającej, by pomieścić wspałały naturalny wykwit: wielki, tłusty, funkcjonalny organizm moich oszustw. Poruszanie się wśród nich przypominało szaleńczą gonitwę między splątanymi gałęziami dachu dżungli - dżungli wyhodowanej na moich wcześniejszych kłamstwach i zakorzenionej w pierwszym kłamstwie mego życia, dawno już zapomnianym i nie do ujawnienia, kłamstwie, które wymyśliłem, by zatuszować swą pierwszą zbrodnię, także zapomnianą - nie, przysięgam, nie zjadłem tego ciasteczka! - lub, co bardziej prawdopodobne, zakorzenionej w całym dzieciństwie, pełnym unikania pytań o ciasteczka; każdy mój ruch, i to do dzisiaj, jest pochodną przekonania, że nie wolno dać się przyłapać; w tych miejscach w przeszłości, gdzie powinno się mnie aresztować, osądzić i ukarać, jest wielka pustka: nowa droga do szkoły wymyślona tylko po to, żeby nie spotkać chłopaka, któremu ukradło się ciasteczka, powód tłumaczący przyczynę, dlaczego się ją wybrało, i dowody świadczące, że przyczyna nie jest wymysłem - muszę ćwiczyć, pociąga mnie sport - a potem cała lekkoatletyczna kariera i długie doświadczenie sportowe całkiem obojętne, nowo ukształtowana osobowość, fałszywa postać żyjąca sportem, uwielbiająca biegi (Ależ ja kocham biegać. Jak to nie? Po co spędzałbym tyle czasu na treningach?), biorąca przeszkodę za przeszkodą, gnana skrzydłami fałszu aż do tego dnia, wtorku, 4 września, kiedy gotów jestem popełnić morderstwo, żeby uporać się z własnymi błędami, nie naprawiając ich, bo... bo nie chce mi się ich naprawiać. Nie zniósłbym tego. Chcę je po prostu wymazać.

Mój ojciec nigdy by tego nie zrozumiał. Nawet teraz, gdyby znalazł się na moim miejscu, wyczołgałby się z łóżka, wyjął z szafy swojego obrzyna i razem z winczesterem powlókł się na wzgórze nad Anchor Bay, żeby wywiercić Harry'emu Lally trzecie oko w głowie.

- Niech ktoś to ode mnie weźmie! - darł się z łóżka. - Niech ktoś odłoży tę pieprzoną słuchawkę, kurwa jego mać!

Donna stała na półpiętrze, gdy szedłem do sypialni.

- Tak? - zapytała. - Tak?
- Powiedz jej, żeby spadała - zażądał, gdy stanąłem przy łóżku. Donna musiała to usłyszeć, bo nie weszła za mną. Postawiłem telefon na stole.
- Cholera, nie chcę, żeby wygrali ostatnią wielką bitwę - mruknął.
- Przysunąłem sobie krzesło i rozpostarłem pismo „Barron's”.
- Zdaje się, że przywożą je w poniedziałki.
- Nie mam pojęcia, kiedy je przywożą. Dzisiaj je odebrałem.
- Wiesz, jak do mnie mówisz, ty mały szczyłu? Jak każdy inny szczył na tej ziemi. Jakbym był stary i miał nie po kolei w głowie.
- Nie uważam, że masz nie po kolei w głowie.
- Powtarzasz za mną jak za księdzem... Trudno to zrozumieć.

Czytaj.

Opadł na poduszkę i złapał oddech, a ja czytałem głośno o tym i owym, o wnioskach, jakie należy wyciągnąć z pewnych określonych przesłanek, i najkorzystniejszych wzorcach postępowania w dzisiejszych czasach (wszystko można było wyrzucić na śmietnik, bo pisali o tym, nie mając pojęcia o wydarzeniach w Kuwejcie, ponadto ich rady i tak nie były przydatne w sytuacji finansowej, w jakiej ja się znalazłem). Od czasu do czasu zerkałem na chorego ojca i jego wymi-zerowaną twarz. Miał otwarte oczy, ale nie wiedziałem, czy słucha tego, co czytam, czy podobnie jak ja - myśli o czymś innym.

- Co u Winony?
- Nie widziałem jej. Rozmawialiśmy przez telefon. Wiem, że wróciła.
- Dlaczego nie przyjechała mnie odwiedzić?
- Bo nie chce cię oglądać w takim stanie. Każdemu robi się niedobrze, jak cię widzi.
- Wniosła sprawę o rozwód?
- Owszem. Ale ja nie mam pieniędzy, żeby się z nią procesować.
- Napisałem do niej list.
- W jakiej sprawie?
- W takiej, że ktoś musi kopnąć ją w dupę.
- Co to znaczy?

- To znaczy, że wyjaśniłem jej parę spraw, to wszystko. Przekona się, co to znaczy nie liczyć się ze mną. A ty... Tymczasem ciebie widuje się pijanego w miejscach publicznych z tą cygańską zdzirą.

- Naprawdę?

- Z tą pokątną kurwą.

- Chodzi ci o Melisę?

- Masz coś przeciwko temu określeniu?

- Chodzi ci o „pokątną kurwę”? Nie. Jest bardzo barwne. - A jeśli już mówimy o pokątnych kurwach, ty, mój ojciec, znasz je najlepiej.

- Chryste, nie pozwolę, żeby moje wnuki przyszły na świat przez owrzodzoną szparę tej suki!

- Nie grozi im to.

- Jesteś pewien? Bo tak ci powiedziała? Ona tu jeszcze nie skończyła rozrabiać. Robi cię na szaro.

- Masz jakieś nowe wiadomości na ten temat? Czy to ta sama antyfeministyczna paranoja?

- Moje podejrzenia oparte są na doświadczeniu. Nie ma kobiet bez grzechu. Jak nie grzeszą w myślach, to mają grzech zapisany w kościach. Zachowujesz się jak wyrośnięte niemowlę! Wysłała ci mózg przez ptaka i krew przez tę ciasną szparę...

Zaczął bełkotać i umilkł. Odkąd anioł śmierci rozpostarł nad nim skrzydła, stracił zainteresowanie moimi romansami. Jego pasją obecnie stały się nie istniejące wnuki oraz sposób na manipulowanie z za grobu synami, pieniędzmi i ziemią. Myślę, że tak naprawdę nie robiło mu różnicy, która dziwka lub zdzira urodzi jego wnuki. Ważne, żeby urodziła.

- Ojciec, chciałbym jeszcze raz porozmawiać z tobą o lesie.

- Las zostaje. Zadbalem o to. Wszystko jest już zapisane. Nikt nie zetnie mi nawet gałęzi!

- Mówimy o dziesięciu tysiącach akrów! Chryste, pozwól nam chociaż przeciąć ten las. Zmniejszenie liczby drzew o czterdzieści procent nie wpłynie na jego stan.

- To, co przewróci wiatr, możecie se wywieźć końmi. Jest tam tego mnóstwo, same sekwoje, nic im nie jest od leżenia na ziemi. Ale przez las nie pójdzie żadna droga i nie będzie żadnej przecinki. Tego dnia, kiedy kupiłem pierwszy

kawałek lasu, złożyłem sobie przysięgę: że kiedyś będę miał dziesięć tysięcy akrów drzew, i te drzewa będą stały zawsze!

- Czy to... nie, nie przerywaj mi, chcę cię dobrze zrozumieć... jakiś przesąd? Chcesz to wszystko zabrać ze sobą? Może w głębi duszy wierzysz w te celtyckie bzdury, że trzeba dbać o ziemię, by mieć gdzie mieszkać na tamym świecie? Żeby mieć swój kawałek gruntu w Walhalli?

- W Walhalli? Walhalla nie jest celtycka, durniu, a ja jestem Walijszym. I nic ci nie będę tłumaczył, bo jesteś idiotą! Byłeś przyduszony, nie ulega kwestii, w macicy tej lafiryndy, która cię poczęła. Wiedz tylko, że sobie poprzysiągłem. A moje słowo się liczy.

- Wiem. - Stałem przy oknie, słuchając morza i mając nadzieję, że usnie i nigdy się nie obudzi. Nie mogłem pojąć, jak ktoś, kto chciał oszpecić najwspanialsze wybrzeże na świecie siecią niewyobrażalnie tandetnych moteli, może być tak uparty w sprawie kilku drzew. I bolało mnie, że tego nie pojmowałem, bo w końcu był to mój ojciec.

Nie chciałem wycinać lasu w pień. Ale moglibyśmy żyć wygodnie z okresowych przecinek, mój brat i ja - Winona też i Melissa - gdyby wybudować tam drogi.

- Znów dzwonił do mnie z hospicjum.

- Z hospicjum? Masz na myśli...

- Tak, tych cementarnych szczyli, podglądaczy śmierci, tych sukinsynów mam właśnie na myśli.

Nachodzili go już od jakiegoś czasu, próbując ulżyć mu w umieraniu. Źle trafili. Jeśli coś na tym świecie może być naprawdę ciężkie, to z pewnością śmierć tego starego człowieka.

- Zamknij okno, synu.

Zatrzasnąłem je.

- Przepraszam, że na ciebie krzychałem - powiedział.

- Kiedy? Nie pamiętam, kiedy na mnie nie krzychałeś.

- Wiesz, jak boli ojca, który widzi, że jego syn obala flaszkę przed zachodem słońca?

- To nie patrz.

- Masz czerwone wąsy od wina. Wyglądasz jak niemowlę. Tylko mi nie pyskuj! Czytaj, czytaj, czytaj!

Zacząłem mu czytać listy od czytelników i byłem zdumiony i przygnębiony, że pozwalałam temu staremu capowi

rządzić sobą. Mam wzrost po matce. Stary ma nie więcej niż pięć stóp i osiem cali. Teraz chyba połowę tego, co miał kiedyś. Wygląda jak miniatura olbrzyma, na którego widok drżałem w dzieciństwie. I jeszcze się zmniejsza. Kiedy na niego patrzę, przychodzą mi na myśl Ludzie Krety, których też bałem się w tamtych czasach. Ludzie Krety występowali w telewizyjnym filmie. Byli wielkimi, silnymi mutantami, a żyli pod ziemią w ciemności. Nie znosili słońca, bo ich zabijało. Kiedy wyciągnęło się któregoś z nich z podziemnego tunelu, kurczył się i zdychał - z Człowieka Kreta zamieniał się w Człowieka Suszoną Śliwkę. Myślę, że bałem się ich, bo ujawniali jakąś prawdę o naszym nieśmiałym, tajemnym ego. Teraz ojciec wyglądał jak Człowiek Kret, szukający czegoś wokół siebie po omacku, żywiący się straszliwym światłem nie z tego świata. Mówię wam. Gdziekolwiek idę, ludzie zaczynają się chwiać, jakby dotknęły ich śmiertelne promienie słońca. Moja dawka też już gdzieś na mnie czeka. Nie mogę ukrywać się w tunelach przez całe życie. Stary - niech mu Bóg wybaczy - był tego najlepszym dowodem. Był niegdyś dla mnie tym, który przesłaniał mi całe niebo, a teraz znalazł się w miejscu, z którego nie ma powrotu, w słonecznej plamie, która pomniejszy i wysuszy nawet takiego mocarza jak on. Zapada się w piasek - nagi i stary - przed wielkim, pustym morzem, nad którym zaczyna się olśniewający świt. Nic, co zbudował, nie uchroni go przed iluminacją. Chyba czytam, ale nie słyszę z tego ani słowa. Czuję tylko ojca i siebie; siebie, ojca i coś jeszcze. Czytałem? Czy przestałem?

- Tato?

Zmrok kładł cienie na strony pisma, które trzymałem w dłoniach.

- Tato, śpisz?

Ojciec, umarłeś?

Widziałem jak oddycha. Któregoś dnia ktoś - może kobieta, która go teraz kochała - będzie tu siedział jak obecnie ja, gdy ojciec wyda ku belkom sufitu swój ostatni oddech, po którym jego usta będą już ustami trupa.

Położyłem magazyn na nocnym stolyczku i wyszedłem.

Kobieta, która go kochała, czekała na dole, siedząc na stołku w kuchni obok kuchennego blatu. Unosiła i opusz-

czła do filiżanki torebkę z herbatą. Oddałem jej pustą butelkę, a ona zapytała:

- Jak ojciec?

A może któregoś dnia ktoś -jeden z jego synów? - zejdzie jak ja teraz na dół i, słysząc takie pytanie, powie: „Donna...”, a ona się domyśli.

Stary będzie na górze, wciąż udając, że żyje. Sprawą, którą rozpaczliwie ukrywa, jest ostateczny charakter jego schorzenia. Miłość do kłamstwa... Nie podzielam jej. Nienawidzę własnych kłamstw. Kłamstwa mnie prześladują. Odziedziczyłem jedną z zasad dziwnej wiary ojca: czelność. Wierzę, że czelność wprawia w ruch ten świat, powoduje, iż rzeczy niemożliwe stają się możliwe. Dlatego nie ma co chować się za płotem. Trzeba śmiało obstawiać. Nie tylko na białe; białe przegrywają. Wygrywa się, stawiając na białe i czarne.

- Śpi.

- To dobrze.

- Dobrze dla Komisji Wybrzeża - rzuciłem, a ona się uśmiechnęła.

Na dworze podniosłem dach nad moim porsche. Drżałem.

Wierzę w czelność. Generalnie brakuje mi jednak samej czelności.

Bo czelność nie jest tym samym, co odwaga. Przeraza mnie, zamiast dodawać animuszu. Czelnym odkrywca gubi się w równikowym lesie, czelny prorok zaczyna wygłaszać niezrozumiałe bluźnierstwa.

Oczywiście myślę o ryzyku, jakie podjąłem z Carlem Van Nessem. Ale w tym punkcie wszystko - tylko że znów: w tym punkcie - jest zaledwie hipotetyczne, to nie ulega kwestii. Gdy Van Ness wyjechał z miasta, rzeczywistość ryzyka jakby się zmniejszyła. Do tej pory nie przedsięwzięliśmy niczego poza rozmową. Włączyłem silnik, którego dudnienie zagłuszyło wypowiedane przeze mnie na głos słowa:

- Wciąż prawdopodobne jest, że to zrobimy, lecz prawdę podobieństwo to trzeba rozważać w kategoriach, jakby to powiedzieć, eterycznych...

Czy w moim przypadku można mówić o czelności, jeśli to Van podejmuje ryzyko?

Hm, owszem, ponieważ jestem kłamcą - jak wiemy -a moja obłuda polega na tym, iż wierzę jednocześnie w dwie

rzeczy, najczęściej wobec siebie przeciwstawne. Zachowuję się jak tchórz, wmawiając sobie zarazem, że posuwam się do granic czelności. Działa tutaj ten sam zagadkowy mechanizm, wskutek którego, wiedząc na przykład, że dziś jest wtorek, 4 września, dzień, w którym wyznaczono nam spotkanie, nie pojawia się na nim, wmawiając sobie, ba! nie rozumiejąc nawet, że spotkanie wyznaczono na dzisiaj.

Z drugiej strony, występowanie w roli siły sprawczej jest występowaniem w roli siły sprawczej. Czy jeśli strzelam do kogoś, należy uznać mnie za tchórza, dlatego że nie jestem pociskiem?

Van robi swoje i ja robię swoje. Tworzymy śmiertelny duet. Więc jeśli Van Ness wróci i dotrzyma słowa - to załatwia sprawę. Bo ja zrobiłem już co do mnie należy.

Tego popołudnia, gdy Winona pomagała przyjaciółce w ujeżdżaniu konia na ranczo „Powiedz Kiedy”, podmieniłem nembutal na uśmiercające kapsułki zielene.

Wróci zmęczona ze stajni, położy się wcześniej, biorąc dwie małe, czerwone kapsułki na sen. Wyloguję się. Ja też się wyloguję. Czelnie wystąpiłem z szeregu. Czelnie. Wprost w sny, które stają się rzeczywistością.

Każdy ruch, który wykonywałem, był przemyślany i przećwiczony w myślach po wielokroć już dawno temu. Rzeczywistość nie dorastała jednak do wyobrażeń. Mila jazdy do małych knajpek i sklepów w Gualali po prostu mnie zmęczyła. Światła i zapachy niosące się z pizzerii sąsiadującej z wielkim, starym, drewnianym hotelem nudziły mnie, a podczas parkowania obok hotelu zauważyłem pewien znany mi skądinąd neurotyczny symptom: miałem wrażenie - więcej, byłem przekonany - że jakaś oleista substancja oblepia mi kierownicę. Po wejściu do cuchnącego baru poszedłem wprost do toalety, wycierając bez przerwy ręce w spodnie. Przez długi, hałaśliwy kanion doczesnych radości wędrowało z pół tuzina ludzi podnoszących kufle, szkło, wszystko jedno. Hotel „Gualala” stał przy drodze do oceanu blisko przez stulecie, a w ciągu ostatnich dekad tego okresu stał tylko cudem, padając - jak to się mówi - na twarz. Całkiem niedawno został jednak wyremontowany i przeszedł do wyższej kategorii: nie był już miejscem, w którym ludzie plują na korytarzach. Z te-

go przykrego nawyku nie zrezygnowali natomiast goście odwiedzający bar. Przy wejściu do toalety doświadczyłem czegoś, co zdarza się przynajmniej raz każdej nocy spędzonej w barze: zderzyłem się z jakimś cielskim, z jakimś cholernym onanistą, który właśnie wychodził z kibla. Chciałem powiedzieć: „Przepraszam” i cofnąć się, ale szczęki mi zesztyniały, głos uwiązł w gardle i ruszyłem przed siebie z pochyloną głową. Czułem w ustach smak mordy, przepchnąłem się, patrząc wprost w oczy intruza. Ta sama wściekłość malowała się na jego twarzy, płonącej niewyobrażalnym ogniem. Miałem przed sobą twarz Carla Van Nessa. Odepchnął mnie ramieniem. Potknął się przy wyjściu. Nie mogliśmy oderwać od siebie oczu. Łapiąc równowagę, wciąż się na mnie gapił. Nie przestał się gapić, jeszcze gdy opuszczał bar. Oddychałem ciężko, czułem w piersiach moc ryku lwa. Zobaczymy, czyje oczy są otwarte. Jego były. Wszystko było w nich widać: był w domu Winony. Zrobił coś przerażającego.

Van Ness myślał o sobie jak o podróżniku w wieczności. Wszystko, co robił przeciw sobie - samobójstwo, morderstwo - było paliwem, które umożliwia podróż. Więc dlaczego nie? A czy na błędnie postawione pytanie: „Ale dlaczego akurat morderstwo?” nie wystarczy odpowiedź po prostu: „A dlaczego nie?”. Czy nie jest to tak samo dobra odpowiedź jak całe konstelacje innych? Miałem jednak pewną teorię, która wyjaśniała, dlaczego się zgodził: przeze mnie - otóż wydobywam z ludzi morderców, to wszystko. Wystarczy, że spędzisz ze mną trochę czasu, a podziałam na ciebie jak specyfik doktora Jekylla. Weźmy na przykład tego faceta z baru, z którym zetknąłem się przed paroma miesiącami wśród tych samych -jak mniemam - ochlapusów, człowieka, który robił mi całkiem spokojnie wykład o etapach kobiecości, progresji w małżeństwie i tak dalej. Po trzydziestu minutach spędzonych ze mną odbiła mu szajba. Jakby ktoś zgasił mu światło w głowie. Wokół ciemność, nic więcej. A w jego oczach - przysięgam - odbicia o rozmiarach główki szpilki: szafa grająca, obrazy z wielkiego ekranu telewizora. Nic z wewnątrz, tylko odbijające się światło. W mojej pamięci scena kończy się, gdy obezwładniają go jak dzikie

zwierzę, ja zaś opuszczam hotelowe podwoje z pełnym godności - jak mi się wydaje - pośpiechem. Ale jak można zachować godność, kiedy właśnie pokazało się sobie i wszystkim wokół tę zadziwiającą skłonność do budzenia przedświadomie bestii zalegającej w błocie na dnie duszy każdego przedstawiciela rodzaju ludzkiego, człowieka, którego nie widziało się wcześniej na oczy - cyk! - kogoś, z kim piło się brudzia przed chwilą?

I znów jestem w tym samym hotelu „Gualala” i to samo przydarzyło się innemu człowiekowi, Carlowi Van Nessowi. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że proces ten trwał od czasu, gdy przpatrywałem się, jak tonął w stawie.

Kontynuowałem plan, choć teraz - gdy już wszedł w fazę realizacji - kontynuowanie go wydawało się prawie niemożliwe. Wyszarpnąłem słuchawkę automatu telefonicznego wiszącego obok toalety, wrzuciłem mu do gardła monetę, wystukałem numer Winony... *Hallo*, powiedziała jej automatyczna sekretarka wypracowanym falsetem, który był skrzyżowaniem skrzeku papugi z odgłosem tuby antycznego gramofonu, *nie mogę, tłumaczyła, podejść do telefonu...*

- Winona? Mówi Nelson... Dzwonię we wtorek o ósmej wieczorem... Chciałem odebrać swoją wędkę. Wpadnę, wracając do domu. Nie będę ci przeszkadzał...

Miało to być wytłumaczenie mojej obecności w jej domu.

Odwiesiłem słuchawkę, przedarłem się przez prasę hydrauliczną idiotów i oparłem łokcie na barze. Oddech tawerny natychmiast przyniósł mi ukojenie. Zawsze czuję się tu jak dziecko. Zawsze odczuwam miłe zaskoczenie, że widzę wyżej niż sięga krawędź stołu. Spędziłem tu najurokliwsze chwile mojego synostwa, kiedy podpity tata opowiadał mi różne historie i rzucał ćwierćdolarówki. Wiedziałem przynajmniej, jak siedzieć prosto na krześle, żeby nie przynosić mu wstydu.

Zamówiłem kieliszek Carte Blanche, najtańszego na świecie sherry.

Zrobiło się już dobrze po pierwszej w nocy. Siedziałem przy małym stolczku przed czterdziestocalowym ekranem telewizora, sącząc to, co miałem do wysączenia, i oglądając baseball, stare komedie i wiadomości; okazało się, że świat się rozpada także wokół mnie, a nie tylko we mnie: prezydent

mówił z empatią, że chce wojny z Irakiem, choć nie bardzo umiał powiedzieć, dlaczego; uchodźcy kierowali się do Jordanii; a drużyna New York Mets zeszła z boiska z opuszczonymi głowami. Ponieważ jednak oszalałem, nie obchodziło mnie, kto wygrał, a kto przegrał - zarówno na wojnie, jak i na boisku.

Około wpół do drugiej wstałem - a jakże, nieprzyzwoicie trzeźwy - i pojechałem sprawdzić, czy popełniłem morderstwo.

Zdaje się, że mówią zawsze: „Nie pamiętam, co się ze mną działo, nic nie pamiętam” i tak dalej, i tym podobne. Gówno prawda. Nie wiedzą, o czym mówią.- Bo ja zapamiętałem każdy szczegół: długość moich paznokci, słodki smak sherry, banknot, którym płaciłem - o nominale pięciu dolarów; położyłem go naszym ukochanym Abrahamem Lincolnem do góry - parkiet uginający się pod ciężarem moich kroków, gdy wychodziłem, wilgotny zapach powietrza, lśniące krople rosy na masce samochodu, ideogram narysowany dwoma palcami w kurzu na tablicy rozdzielczej: nie dający się rozszyfrować i przerażający. Pamiętam też jazdę w bezksiężycową noc i przejazd pod lampą - niczym pod gąbczastą granicą wszechświata - u wylotu podjazdu Winony; pamiętam, że pomyślałem przy wysiadaniu przed domem, że z całą pewnością będzie padać tej nocy, pamiętam sznurowadło jednego z moich sportowych butów (marki Invader) objijające mi się o kostki, pamiętam, że stanąłem, żeby je zawiązać, i pamiętam, że zrezygnowałem z tego. W kuchni paliło się światło. Poza tym wszędzie było ciemno. Obok chodniczka stał zrobiony na zamówienie dżip, mój był dżip, japoński dżip marki Subaru. Gdzieś w ciemności Red miotał się w stajni i rżał. Poczułem, że moja lewa dłoń unosi się wnętrzem do góry w geście, którym często posługiwałem się w rozmowie. Teraz z nikim nie rozmawiałem: przyjechałem do domu i szukałem żony, nie wiedziałem, czego się spodziewać. Może, gdyby żyła, powinienem jej powiedzieć, że właśnie zostanie zamordowana. W zasadzie mam już tego wszystkiego dosyć. Oddam Harry'emu Lally wszystkie krzaki, Clarence połamie mi kości, ale to nic nie szkodzi, wylizę się i wszystko będzie okay. Nikt nie musi umierać...

- ■•Przez cały czas czując podniecenie w sercu, bo w końcu

znalazłem wyjaśnienie - poprawcie mnie, jeśli się mylę - pewnej charakterystycznej dla naszej rasy tendencji, którą jest dążenie do tragedii: otóż po to, by rozważać impon-derabilia - wojnę, morderstwo, naszą moc pustoszenia planety - po to, by skoncentrować myśli na takich sprawach, musimy je zaplanować. Musimy wytyczyć, a nie tylko kontemplować to, co jest nie do pomyślenia. Inaczej w ogóle nie potrafimy o tym myśleć. I doszedłem do wniosku, że wszelkie projekty prowadzą naturalną koleją rzeczy do (ich) egzekucji.

Wsunąłem głowę w szparę między framugą a skrzydłem drzwi, jak każdy wścibski sąsiad.

- Kochanie? - zawołałem.

Żadnej odpowiedzi.

Doprowadziłem do tego. Owszem. Ale nie jestem pewien, czy dlatego to się dzieje. Myślę, że doprowadziłem do tego, żeby się nad tym głębiej zastanowić. Nie jestem człowiekiem czynu, jestem marzycielem. Zapytajcie, kogo chcecie! To nie ja!

Czy Van Ness stał w tym pokoju?

Czy jakaś jego część trwała na sofie, gdzie powiedziałem mu o planie i czytałem wyimki z *Tako rzecze- Zaratustra!* W sprawie snów Nietzsche miał do powiedzenia mniej więcej coś takiego: żeby spać dobrze, trzeba nie zasypiać. Winona słusznie by postąpiła, powtarzając sobie tę modrość przed snem.

Kiedy pokazywałem Van Nessowi kapsułki zdelene i nem-butalu, przeczytałem mu z Nietzschego o śnie. „Unikaj tych wszystkich - ostrzega spazmatycznie Mę=drzec - unikaj tych wszystkich, którzy źle śpią i czuwają w nocy”.

- Mógłbym to odnieść do ciebie - powiedziałem mu.

- I vice versa - odparł.

Tak, tak, tak. Zgadzałem się z nim tej nocy — półgłosem - przesuując palcami po grzbietach książek... O, tak... Powinniśmy byli siebie unikać.

Mówiliśmy także o rzeczach innych niż sen - cytował przy tym obszernie z *Zaratustry* - ale co czytaliśmy, szukając książki na półce obok sofy, nie znajdując jej i w poirytowaniu zrzucając tomy na podłogę - nie bardzo pamiętam.

Gdzie był mój Nietzsche? Winona nie tknęłaby go nawet...

Czy Van Ness tu był, zastał moją żonę pogrążoną w nieprzytomnym śnie i przykrył poduszką jej twarz? I trzymał ją długo... bardzo długo... póki nie umarła... a potem zabrał się do... niszczenia czegoś - bądźcie rozsądni, to wcale nie jest absurdałne, poczujecie, proszę, zboczoną prawdę tej sytuacji - i zaspokoiwszy popęd zszedł na dół, by zniszczyć coś jeszcze cenniejszego i delikatniejszego, kradnąc mi mojego Nietzschego...

- Winono? - zawołałem.

Rozejrzałem się po salonie. Wszystko pozornie było na swoim miejscu. W kuchni filiżanka z nie dopitą kawą na stole i rozrzucona poczta, reklamy, a obok samotna koperta z wystającą z niej złożoną kartą - pocztówką, przedstawiającą portret dziewczynki tulącej psa. W środku, na karcie po lewej stronie, widniał wydrukowany kursywą napis „Myszę o Tobie”, a po przeciwnej stronie kilka linijek skreślonych słabą ręką mojego ojca:

Ponieważ nie zatroszczyłaś się ani nie zainteresowałaś złożeniem mi wizyty, oto moja wiadomość dla ciebie: mam zamiar usunąć twoje nazwisko z mojej ostatniej woli i testamentu. Wszystko przypadnie moim chłopcom, ale nie będą mogli wyciąć sekwoi. W przyszłym tygodniu spotykam się z prawnikami. Możesz zacząć wyprowadzać się z domu - należy do juniora. I nie przychodź do mnie skamleć, jest już za późno. Jak raz coś powiem, nie zmieniam zdania.

Nie ogarnąłem jeszcze sensu tej wiadomości, gdy mój wzrok przykuła druga pocztówka - taka sama, jaką wysłał mi Van Ness - „Pozdrowienia z Santa Cruz”: z oceanem i diabelskim młynem, który zdawał się sunąć wprost do niezmierzonego błękitu.

Odwrociłem kartkę. Wiadomość brzmiała: *Teraz zobaczmy*. Nie było znaczka. Przyniósł tę pocztówkę w kieszeni i położył ją tu własnoręcznie.

Targnął mną spazm, bo wiedziałem już, że wszedł do domu. W mojej głowie wybuchła feeria obrazów wirujących nad lasem - lasem snów: we śnie przechadzałem się po tym domu, ale jego ściany otwierały się, ukazując inne miejsca - jakąś rozpadającą się stodołę pełną obcych ludzi, którzy twier-

dzili, że powinienem ich znać, a ja skłamałem, mówiąc, że owszem, znam ich - a w stodole był jeszcze stół kuchenny, ten sam, przed którym teraz stałem, na nim leżała sterta owoców. Wrażenie było niewiarygodnie silne, przyprawiało o mdłości, w dodatku bardzo gwałtowne: wrażenie wspomnienia i doświadczania tej samej rzeczy jednocześnie, spotęgowane pewnością, że gdybym zechciał, gdybym zamarł i zebrał się w sobie, mógłbym przewidzieć, co zaraz stanie się w tej kuchni.

Według planu celem mojego pobytu w tym domu było znalezienie ciała. Nie przyszło mi jednak na myśl, że naprawdę będę musiał znaleźć ciało. To już nie była teoria. To było życie.

- Winono?

Ta cisza mnie dobijała. Mówiła mi, że Van Ness już przez to przeszedł, że to przeżył... A Winona poczuła jego ręce na szyi - albo nie, poduszkę na twarzy - i śniła, że z nieba zesła chmura i ogarnęła ją, topiąc... O czym śniłaś, Winono? Co czuł wtedy Van Ness? Jak to było? Kim my w końcu jesteśmy?

Czy wiedziała, że stoi nad nią ktoś, jakaś osoba, która jej to robi? Wydało mi się słuszne, by nawet we śnie, nawet w całkowitej ciemności, nawet w narkotycznym śnie wiedzieć prawdę o naszym umieraniu.

Pewien mężczyzna wchodzi do domu, w którym leży jego zamordowana żona. I zdaje sobie sprawę, że ma tak fatalnie pokręcone życie, że tylko to - najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił - może wszystko odkręcić.

- Winona! - wrzasnąłem. Echo poniosło mój głos - pisk liwy i zniekształcony - za okno, w dół jarów i na pełne morze. Nie mogę tego zmienić. Imię mojej żony rozpada się nad wodami, i to już wszystko. Nie da się tego cofnąć!

Przez ogarniającą mnie bezradność nagle przebiła się dojmująca nostalgia za utraconym światem dzieciństwa. Ten świat podszedł mi pod samo serce i wymierzył cios w twarz. Nie istniało ani „tam”, ani „tu”, wszystko nas dotyczyło, a dorośli górowali nad nami jak konstelacje. Czuję, jak wielka cisza na górze jeszcze się zagęszcza. Nikogo tam nie ma, ale ja nie pójde sprawdzić. Bo nie mogę się ruszyć. Jestem małeńki i mam za duże dłonie i stopy. Muzyką tej nocy były jęki

mnichów Gyuto i wibrujący dźwięk ich talerzy, i klekot ze-psutych instrumentów, i nieziemskie buczenie rogów. Najpierw szaleństwo, adrenalinowy koszmar, nic, czego można by się uchwycić, narastające szaleństwo, głosy, setki tysięcy uczuć, wśród nich żal i żalność. Rzuciłem się do wody i tonę, tonę. Wspomnienia zalewają mnie niczym fale. Włochy -Rzym, przede wszystkim Rzym - gołębie rozświetlone słońcem - widziałem domy w ich brudnej wielkości, ale myślałem bez przerwy, że Keats, Keats gdzieś tutaj umarł... We Włoszech Winona była mi najbliższa, szczególnie w kościołach, gdzie czułem się najdalszy niebiosom. W katedrze w Mediolanie zadzierałem głowę i, patrząc przez dwadzieścia mil porażek, podziwiałem przepiękną kopułę. Gdyby obok wybuchła bomba, nie zdołałaby zakłócić tej ciszy. Wszędzie kapła krew witrażowych świętych, jest ich za dużo, nigdy nie dojdziemy z nimi do ładu. Gdy przechadzaliśmy się po kryptach pod *duomo* - w rejonach starszych od tworzących je kamieni - coś zgasło w pachnących stuleciami i wilgocią podziemiach: nie światło, ale czas. Coś z tych kościstych grot, pełnych pokrytej pleśnią i rozpadającej się biżuterii, sprawiło, że cała katedra nad naszymi głowami wydała się kłamstwem, pompatycznym oszustwem nad mrocznym cudem dziejącym się na ulicach, w zaspermionych świątyniach mieszkań, w których kochankowie zaczynali szczytować lub rozlewać się ku Morzu Miłości z oczyma rozmiękłymi, ośleplonymi od spieprzonych okazji. Cudzie! - twój kadzidlany zapach ciągnął się za jasnawłosą Amerykanką aż na Sycylię, do miasta Monreale na wysokościach, a ja, jej mąż, ciągnąłem się za tobą. I czułem się wymazany przez katedrę... zanikałem obok kwiatów... Kościół w Monreale był mniejszy i bardziej sensowny. Na ścianach i sufitach wyłożony mozaiką z miliardów elementów: przedstawia dzieje - nie tylko chrześcijańskie - od stworzenia padole łez i szaleństwa do męczeństwa świętego Pawła... By oświetlić dzieje, należało wrzucić monetę do automatu: okazało się, że mimo całego rozmachu dzieje działają jak zwykła szafa grająca. Elektryczne światło zapala się i gaśnie w zależności od nominału drobnych, które wrzucają wierni. Pod kopułą świątyni jaśnieje wklęsła twarz Chrystusa - druga co do wielkości portretowa mozaika na świecie - spogląda przez chwilę na dół i znika

w czerni. Nieważne, że proboszcz ma węża w kieszeni. Do środka wchodzi tylko ci, których poraża piękno. W olbrzymich religijnych budowlach - tak jak teraz, tutaj, w najgłębszej życiowej otchłani - czujemy potężny, erotyczny zawrót głowy. Czy powinno zatem dziwić, że później, badając tajne przejścia pod kościelnym chórem i wychodząc na okalający dzwonnice ganek, i mając przed sobą połowę Sycylii, ocean i morze, poczułem nagle pragnienie kochania się z Winoną -właśnie tam, na górze, w świetle dnia? Powiedziała „nie”. Później przyznała się, że żałuje, że nie pozwoliła mi się wziąć na wysokiej wieży nad Palermo - wieży niczym ze snu - z olbrzymim mozaikowym Chrystusem, zapalającym się i gasnącym, rozkwitającym i więdnącym...

W porządku. W kieszeni na piersi fiołka z nembutalem. Zastąpi trujące zielene. Odwróciłem się, przeszedłem spokojnie przez dom, ruszyłem schodami na górę ku otwartym drzwiom sypialni Winony.

Pewien mężczyzna wspina się schodami na górę, gdzie leży nieruchomo jego żona. Jego stopy deptają puste miejsca po gwiazdach... Włączyłem światło u szczytu schodów.

Leżała na prawym boku, skulona, z prawym ramieniem wyrzuconym do tyłu, jakby do mnie. Nie Winona, ale trup, jakaś rzecz. Nic, na co warto by patrzeć. Wszedłem do sypialni i stanąłem obok ciała, ale wciąż byłem sam.

Pchnąłem podwójne okna i wyjrzałem na mroczne pastwisko. Nie było gwiazd ani księżyca, ani wiatru. Tylko niewiarygodny szum w głowie.

Coś - liść albo popiół - opada w dół przede mną. Nie. Może to nocny ptak umarł w locie i spadł prosto z nieba?

Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że ptaki umierają - muszą umierać - w locie. Nigdy o tym wcześniej nie myślałem - że czasami wkraczają do nieba, pokonując wcześniej połowę odległości. To taki drobiazg nietrudny do zrozumienia, ale zaczynam drżeć. Boję się, że jeśli czegoś dotknę, moja rozmigotana dłoń przebiję na wylot miraż tego życia.

Odsunąłem krzesło od biurka i usiadłem obok ciała, zamknąłem oczy i patrzyłem w ślepotę. Zrobiłbym wszystko, żeby to odwrócić.

Popełniłem błąd.

Co mogło być bardziej trywialnego i pozbawionego zna-

czenia niż ta prosta prawda? Kilka prostych słów - na które nałożyła się teraz jakaś fraza, jakiś tytuł ze sportowej gazety FLYNN RZUCA SIEDEMIEN RAZY POD RZĄD, obwieszczający koniec wiru: wieżyc i salonów, i utopionych szczeniąt, i małych lalek, całego życia odpływającego z widoku; potem tekst z wczorajszych wiadomości obracający się z prądem: *Popelnilem błąd*.

Przepraszam, co znaczy: chcę innego świata. Dajcie mi inny świat.

Pochyliłem się nad łóżkiem i zapatrzyłem w nią przez chwilę, niepojętą chwilę, wypełnioną drżeniem, pustką, szaleństwem. Nie przez chwilę, lecz przez życie. Nie w sensie wyroku, ale życia więźnia, i nie chwilę zniewolenia, ale życia niewolnika. Zapada ciemność, wzbiera jak czarne, kłębiaste chmury... Nie odebrałem życia Winonie, odebrałem je sobie.

Nigdy nie dokonałem niczego rzeczywistego. Nie mam do czego wracać. Wszystko, czym jestem, to gównno. Wszystko, co ma coś wspólnego ze mną. Wszystko, co zrobiłem. Wszystko, co mam.

Dotknąłem jej ręki. Jest materialna - patrzę na jej twarz z profilu. Nikt, kogo znam. Nigdy jej wcześniej nie widziałem. Nie może być pomyłki. Często wydawało mi się, że ta osoba, ta Winona, nie może być moją żoną. Teraz wiem.

Nie zrobię niczego złego. Nie mogłem zrobić niczego złego. Nie zrobiłem niczego złego.

Przed chwilą żyłem jako umysł. Ciało, serce, dusza, intelekt - a więc dzielimy się na części. Ale my jako całość, my cali - jacy w końcu jesteśmy? Nigdy nie znajdziemy dla tego nazwy. Przed chwilą polegałem na głowie, myślenie miało wyzwolić mnie z kłopotów, a kiedy wszystko zawiodło, polegałem na głowie dalej, na jej umiejętności przechylania się, obracania, zniekształcania wizji, i oto znalazłem nową, transcendentalną perspektywę albo tanią racjonalizację mojego wstydu - guzik mnie obchodzi, co właściwie znalazłem.

Intelektualna twierdza na krze, teraz rozbita i zamarznięta - idzie na dno prosto do serca w klatce pod Biegunem Północnym. Czy uwierzycie mi, uwierzcie, proszę, jeśli powiem, że nienazwany ja jako całość doprowadziłem do tego jedynie po to, żeby złamać sobie serce?

Pewien mężczyzna wchodzi do pokoju, w którym leży jego zamordowana żona. I zaczyna zdawać sobie sprawę, że tylko to mogło go zbawić. Że tylko to - najgorsza rzecz, jaką mógł zrobić - było jego nadzieją.

I nagle coś go ogłusza jak cios w szyję. Co to jest? Telefon. Dzwoni i dzwoni...

Nie odbierze. Nie dotknie go. Nie *dzyń*, nie *dzyń*, nie -jeszcze dwa razy i włączy się sekretarka.

Telefon odbiera kobieta! Odwraca się. Wyciąga ramię zza pleców. Sięga po aparat. Wypluwa śmierć z gardła, chrząkając.

- Halo? - mówi moja martwa żona. Potem wymawia moje imię:

- Nelson?

Potem kładzie się na poduszce, wypuszcza słuchawkę z ręki i woła:

- Kochanie...? - Wykrzykuje to słowo. Zaspana, niewiada - wykrzykuje, bo myśli, że jestem daleko. Mówi do mnie „kochanie”, bo pogrążona we śnie, zapomniała, że już tu nie mieszkam, że nie jesteśmy sobie bliscy.

Kochanie może znaczyć: drogi, ukochany, bliski. Może znaczyć kosztowny, wydarty z trudem.

Pewien mężczyzna załatwia zamordowanie żony. (Takie rzeczy zdarzają się naprawdę, czasami tragedia przekształca jedną noc życia w rozbitą kryształowy wazon - tym bardziej majestatyczny, im więcej woli wymagało jego rozbicie). Wchodzi do swego byłego domu, bo zaplanował, że odkryje ciało. Potem dzwoni telefon. Potem trup podnosi słuchawkę, oddaje ją mordercy i mówi do niego „kochanie”.

Potem on udaje, że wszystko gra, bierze słuchawkę i ściska w dłoni.

Znów pogrążyła się we śnie. Natychmiast. Zimna i nie-ruchoma, nie drgnie jej nawet nerw. Nie widać, jak oddycha. Z łatwością można by pomyśleć... no tak. Można by...

Podnosi słuchawkę do ucha.

- Mam straszne wieści - mówi głos mojego brata.

Zaczął padać przelotny, wściekły deszczyk i Van stwierdził, że stoi obok otwartych drzwi volvo, zaglądając do ciemnego, skórzanego wnętrza w całkowitym rozkojarzeniu i z ser-

cem łomoczącym jak w szoku. Spojrzał prosto w twarz tego człowieka: jego oczy były jak mroczne tunele, dzikie zwierzę czaiło się w nim, w smrodzie własnego strachu.

Żart miał kosmiczny wymiar. Ale kto był żartownisiem? Głupiec. Van przyrzekł sobie, że zdobędzie gdzieś talię kart do tarota, pamiętał, że wśród wielu symboli na którejś z nich był błazen albo ktoś w tym rodzaju, lecz po chwili o wszystkim zapomniał, wieszając się na otwartych drzwiach przygięty do ziemi falą mdłości i wesołości.

Strzępy, tylko strzępy, nic ponad strzępy - zasłona oddzielająca to życie od słodkiego mięszu, mógł się przez nią przecisnąć, cała była w strzępach.

Doznania fizyczne towarzyszące temu wszystkiemu - wybuchy, drżenie, skurcze - miały zupełnie nieprawdopodobne natężenie: wkrótce znów to zrobi.

Navarro był całkiem goły i Mo też. Ale ciągle uwierała go odznaka.

Mo mieszkała nad Anchor Bay, na wzgórzu i nad sklepami. Na dworze było wilgotno i chłodno, rozpalili więc w kominku i weszli do śpiwora.

Lubił ją, bo była szczęśliwa. Nawet „radosna”. Wciąż jeszcze nie wiedział jednak, kim była Mo. Czasami ludzie stają się całkiem inni po seksie. Doświadczył tego na sobie i miał wrażenie, że teraz też może się to przydarzyć. Czuł się tu jak na odwyku, był samotny i miał złaknione serce. W takim stanie ducha z łatwością mógł potraktować Mo jak kołderkę bezpieczeństwa. Najgorszą rzeczą, jaka mogła przytrafić się gliniarzowi, było zniesmaczenie bliskiej osoby zachowaniem przestraszonego dziecka. Człowiek rozbiera się do naga i dopiero wtedy zaczyna odczuwać ciężar policyjnej odznaki.

Przed chwilą skończyli się kochać i leżeli obok siebie, zerkając od czasu do czasu na film pornograficzny.

- Czarne mi nie robią... zazwyczaj - powiedział. - Ale ta jest okay.

- Masz coś przeciwko czarnym?

- Ja? Skądże! Prędzej przeciw Meksykanom, jeśli już chcesz znać prawdę.

- Czy Navarro to nie meksykańskie nazwisko?

- Wielu Amerykanów ma obco brzmiące nazwiska.
- Zastanawiam się... dlaczego zostałeś gliniarzem?
- Przez *Dragnet* - odrzekł. - Nie ma dnia, żeby w Los Angeles nie pokazywali tego filmu w jakimś kinie.

Przyglądali się dwóm parom baraszkującym w jednym łóżku i słuchali ich cichych, nieprzekonujących pojękiwań.

- Brunetki mnie podniecają.
- Miło mi to słyszeć.
- Za dużo pokazują kutasów.
- Kutasy nie są dla ciebie, kochanie. Są dla mnie.
- Wiem, gdzie jest jeden prawdziwy.
- Ja też.

Jej szczupła figura była znacznie ciekawsza, gdy miała na sobie ubranie, ale dziwnie mu to nie przeszkadzało. Śmiała się i była słodka jak prawdziwa grubaska.

- Podobają mi się twoje mięśnie - oznajmiła.
- Czasami się przydadają.
- Biłeś ludzi? Jesteś takim gliną?
- Nie tutaj - odparł.
- A w Los Angeles?

- Nigdy nie oskarżono mnie o nadużywanie środków przymusu.

- Co to znaczy?
- Parę razy dałem ludziom popalić, fakt.
- Ale to niezgodne z prawem.
- Nie, jeśli nie robisz tego częściej niż raz w tygodniu. Wiesz,

można kogoś walnąć, jak sobie drwi z munduru... Nie mówię o zabijaniu niewinnych ludzi... Mam na myśli krótki cios pałką. Dla podkreślenia wagi słów. Od razu lepiej cię rozumieją.

Przyciągnął ją bliżej i jakby na komendę postanowili otworzyć śpiwór i pozwolić, by ogień osuszył ich spocone ciała. Wbił oczy w ekran telewizora, by ukryć wzruszenie, jakie odczuwał.

- Każdy robi to, co musi robić. Czasami musisz dźgnąć siostrę nożem i dać się wysłać do Quentin, gdzie strażnicy skopią ci dupę, a chorzy wenerycznie faceci nie przepuszczą ci pod prysznicem, rozumiesz? Czasami musisz nawet dać się zamknąć w karczerze na sześćdziesiąt dni i nocy. A jeśli

ci tego nie zrobią, nie wyślą cię do Quentin, to pójdziesz zerznąć staruszkę, bo takim już jesteś skurwielem i musisz gdzieś dostać to, co ci się należy. Tak myślę. Każdy dostaje to, o co prosi, bo tego chce, bo tego potrzebuje...

- Tylko nie prosisz o to wprost, na głos... - powiedziała. -Tak?

- Większość z nas i tak nie dostanie połowy tego, na co zasłużyła. Jedno życie to za mało, żeby znieść cały ten horror... Tak czasami myślę.

- Po to są kolejne życia. I wcześniejsze.

Oparł się na łokciu i pogrzebaczem poprawił ogień.

- Myślę, że zaczynamy zagłębiać się w nonsensy.

- Więc po co o tym mówisz?

- Improvizuję - mruknął. - Przez grzecność.

- O!

- Nie lubię się pieprzyć, a potem leżeć jak nieżywy.

- O!

- Jakbym się dąsał albo cię nie lubił, albo coś w tym rodzaju.

- Przepraszam. Coś spieprzyłam?

- Nie, nie, nie!

- O!

- Nic się nie dzieje, jestem w twoim łóżku, bo cię lubię.

Znów atrakcyjnie otworzyła usta wokół samogłoski, której tym razem nie wypowiedziała, jakby wahając się czy coś takiego, wahając się co do uczuć. W końcu powiedziała jednak:

- Oo... ja też cię lubię - lubiąc go bardziej, niż chciała mu pokazać; widział to po niej.

Leżeli cicho na rozłożonym obok kominka śpiworze, pod którym znajdował się wielki, cuchnący kurzem dywan. Jeśli nawet czuł lekki smród stęchłych, wiekowych kocich szczyn, nie dbał o to. Polubił ją, owszem, i czuł błogość, wiedząc, że na dworze jest mgła, pokrywająca rosą drzewa i skapująca z gałęzi, a tu potrzaskuje cicho ogień, wtórują mu postękiwania z ekranu, po drugiej stronie drogi zaś, pod klifami, dyszy i bulgocze ocean. Czuł także smutne zadowolenie z zadymionego ciepła, wypływającego przez uchylone okno, które wraz z chłodem wpuszczało do środka zapachy niesione wilgotnym wiatrem, woń igliwia i dziwny, lekko zgniły smród

wiecznie wilgotnej kory. Była to tego rodzaju intymność, którą uznawał za zmysłową.

Wyłączyli dźwięk w telewizorze. Mo miała dobry sprzęt stereo i słuchali teraz czegoś na jedną akustyczną gitarę. Dźwięk był tak wyraźny, że policjant Navarro słyszał pracę kostki i palce gitarzysty przesuwane po strunach. Wtórzący temu syk ognia i wilgoć za oknem sprawiały, że można było wyobrazić sobie padający na dworze śnieg.

Przyglądał się jej, gdy się kochali. Wysoko podnosiła nogi po jego bokach. Wyglądało to pięknie, ale wszystko, co robiła i co bardzo mu się podobało - ciche jęki, obejmowanie go w pasie tak mocno, że aż bolało, przytulanie go do siebie, kiedy skończyli, żeby nie odszedł zbyt szybko - było już przećwiczone: robiła to z wieloma przed nim. Policjant Navarro za wiele widział. Seks nie sprawiał mu już takiej przyjemności jak kiedyś - mówiąc szczerze, większą przyjemność czerpał z oglądania pornosów i walenia sobie przy nich konia, niż z kochania się z kobietami. Dziś poruszyła go jednak jej skóra i to, że za oknem niemal padało.

Jeszcze bardziej podobał się mu jej brzuch, bardziej nawet - co dziwne - niż brzuchy dziewczyn i w szkole, i zaraz potem. Polubił też jej wciąż miękką, choć niewątpliwie starszą skórę w zgięciu ręki. Sprawa nie polegała na tym, że młodsze były mniej urodziwe, przeciwnie, wtedy jednak nie mógł tego w pełni docenić, nie mógł tego smakować i delektować się tym. Teraz miał obok siebie tę kobietę, a inne odeszły w przeszłość. Bardzo to było smutne - jak przyglądanie się z dziwnym bólem serca widokom uciekającym za oknem pociągu.

Mężczyzna na ekranie onanizował się nad biustem jakiejś Azjatki i gdy się spuścił, dziewczyna uniosła głowę z poduszki, a jej sztuczna, udawana namiętność ustąpiła miejsca prawdziwej ciekawości i zainteresowaniu. Potem wróciła na plan i uśmiechnęła się dziko, co było wyrazem jakichś nieokreślonych emocji. Orientalne kobiety podniecały policjanta Navarro.

Mo leżała w jego ramionach -jej głowa dusiła go nieco -i dotykała palcem strużki potu na jego piersi. Czuł zapach dymu i drewna w jej włosach.

Wrócili przez tysiąclecia do jaskiń, gdzie nie było nic do

powiedzenia. Sinawe cienie wokół nich nie wyglądały groźnie. Ekran telewizora lśnił jak pokrywa lodowa. Wszystko było na swoim miejscu.

- Nie musisz nic mówić - powiedziała. I to też było na miejscu.

- Czy nie masz wrażenia, że to wszystko działo się już kiedyś?

Obudził się i zupełnie bez powodu zapytał:

- Która godzina?

Słyszał, jak wygrzebuje się ze śpiwora, jak maca wokół siebie po dywanie, szukając zegarka.

- Gdzieś koło drugiej. Jakieś dziesięć po.

Potał szybko brodę. Brzęczał pager. To właśnie go obudziło.

- Na pewno z hotelu - powiedział.

Pijacy nie rzucali mu się na szyję z radości, gdy akurat siadali przed hotelem za kółkiem, żeby doczołgać się do domu. Często jednak rozrabiali po zamknięciu lokalu i wtedy, chcąc nie chcąc, musiał się im pokazać.

- Nad zlewem - powiedziała, widząc, że szuka kontaktu w kuchennej wnęce.

O tak późnej porze wszystkie wezwania przechodziły przez centralę biura szeryfa w Ukiah. Usiadł przy kuchennym stole i wystukał numer, trzymając słuchawkę między brodą a barkiem i wciągając skarpety.

- Jedziesz? - spytała, gdy skończył rozmawiać.

- Taa. Ktoś się przekreślił.

- Kto?

- Jakiś pan Nelson Fairchild.

- Nelson Fairchild?

- Taa, jakiś starszy gość.

- Nie, on jest młody!

- No cóż, był na tyle stary, żeby umrzeć. - Policjant Navarro wyprostował się w mundurze i kończył przypinanie kabury. Sięgnął po pager. - Przewiniesz mi taśmy, kochanie?

- Pornosy też się przewija?

- Wrzuć je do skrzynki przed wypożyczalnią. Najlepiej zaraz z rana.

- Wiesz...

- Wiem. Taśmy sanie przewinięte, a ja muszę już zniknąć - rzucił, idąc do drzwi i potykając się, bo nie włożył dobrze jednego z butów.

Otworzył drzwi i cofnął się.

- Hej, naprawdę pada!

- Wiem, należy mi się do środka, jeśli nie zamkniesz drzwi. - Klęczała przed kominkiem ze śpiworem narzuconym na ramiona.

- Leje jak z cebra!

Podeszła i stanęła obok niego w otwartych drzwiach, które nagle zamieniły się w ścianę wody. Wzięła oddech, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnowała i tylko wciągnęła w płuca mocny zapach deszczu.

30 października 1991

Niemal rok później, gdy wszystko dobiegło końca, załamała się pięcioletnia susza, Irakijczycy zostali zdziesiątkowani, a jego ostatni romans stał się tylko wspomnieniem -lecz jeszcze zanim, zdeprimowany, rzucił pracę na posterunku w Point Arena - policjant Navarro siedział o zmroku na drewnianej ławce przed pralką w Anchor Bay, jego odzież obracała się w bębnie, a on próbował dojść do ładu ze stertą papierów, które uważał za mocny materiał dowodowy w sprawie niedawnych wydarzeń - przypadek Fairchilda, cały ten tragiczny ciąg zdarzeń. Każdy, kto by miał do czynienia z tymi dokumentami, byłby się z nim zgodził - rzecz jasna, poza wymiarem sprawiedliwości. Nikogo to jednak - o ile orientował się policjant Navarro - nie interesowało.

Obok na ławce leżała koperta, w której znalazł papiery: biała urzędowa koperta o wymiarach dziesięć na trzynaście cali, wysłana przez Kalifornijski Urząd Koncesyjny - stanowych ludzi od podatków - do Nelsona Fairchilda juniora, którego nazwisko było teraz przekreślone i zastąpione dwoma innymi przez -jak przypuszczał Navarro - samego Fairchilda:

Do:

Winony Fairchild

Carla Van Nessa

Od wielu dni przeglądał te nie ponumerowane strony i w dalszym ciągu nie potrafił ułożyć ich we właściwej kolejności. Kierując się pierwszymi i ostatnimi słowami na każdej stronie, sporządził kilka odrębnych wątków, z których każdy - sam w sobie - wydawał się sensowny. W niektórych wypadkach kierował się nie tyle składnią, ile kształtem ciemnobrązowej plamy, ciągnącej się wzdłuż prawego marginesu. I wreszcie ostatnia strona... napisana krwią... jakby Fairchild maczał pióro w otwartej żyłę, by zanotować uciekające myśli. Mimo to Navarro nie był w stanie ułożyć oddzielnych wątków w jedną spójną całość... *miażdżąca siła dzięki której* -ta strona zaczynała się w połowie zdania:

miażdżąca siła dzięki której jestem teraz to. Dlaczego myślę o knajpach w których czarni faceci w futrach z norek mieszają de likatnie lód w drinkach? Filmach w których gnijący trup unosi rękę? Są bary pełne dziewcząt które nie chcą być kurwami, chcą podrywać i wybierać, zakochiwać się, odnajdywać płycizny miłości i dać się na nie nabierać. I kim ja jestem? Dziewczyny ze łzami w oczach i brudem z autobusowych stacji za paznokciami. Parę tygodni temu jechałem na południe do San Francisco, od czego uciekałem, z całą pewnością od niczego, od czego dałoby się uciec. Jechałem szybko, na klifach przy Jenner o mało nie pofrunąłem, nic samobójczego, raczej oddanie honoru mojemu potężnemu samochodowi. Potem zaraz...

Navarro nabrał zwyczaju przyjeżdżać tu z Point Arena prosto z pracy, dziewięć mil, niemal codziennie, i to przez pół roku, żeby zobaczyć się z Mo. Ale to już się skończyło.

I Mo nie pracowała już po drugiej stronie. Mimo to nie miał ochoty odwiedzać baru „Pod Pełnymi Żaglami” - miej sca pełnego okrutnych wspomnień.

Winił za to miejscowe duchy. Za wiele innych rzeczy także. Ale z pewnością za niepowodzenie z Mo, no i przede wszystkim za jakieś pęknięcie w duszy...

Siedział więc tutaj z odręcznie zapisanymi kartkami i przekładał je obsesyjnie, od chwili gdy je znalazł - już nie pamiętał jak dawno temu. Na tyle dawno, że był całkiem pewny, iż nigdy tego nie zgłosi. Leżały w silverado, przerobionym na wóz kempingowy, obok dwóch zdechłych psów.

*

Potem trochę dalej na południe okręg Marin, pierwsze pękate wieże, zwisające do ziemi linie wysokiego napięcia, jest w nich coś starczego, ostatnią wiejską rzeczą jaką widziałem był farmer przy drodze, ktoś, kto mógłby być moim dziadkiem, gdyby nie burooliwkowy kombinezon, choć w zasadzie Dziadek mógłby taki nosić, gdyby dożył do współczesnych, niepojętych czasów: ubrany jak seryjny morderca stoi w winnicy naprzeciwko Frosty Kinga pod Novato, a pola i ich obrzeża wtapiają się w chmury, tablica z napisem SZUKAJCIE PANA i smród szczytny i gówna z obory przez który anioły podpierające samoloty w świetle południa stają się bardziej samotne... W Marin wszystko robi się jakieś szmaragdowe, a potem już Golden Gate Bridge, a jeszcze później jestem tylko zmęczony. Frisco. Frisco. Frisco. Nie lubią, gdy mówi się o nim Frisco. Nie znoszę naszych pięknych miast, nawet naszych San Francisców - pląga zapachów - knajpy o tłustych kławkach -kaszlące i sapiące hamulce powietrzne - rzygacze i co tylko na wszystkich budynkach - każdym chodnikiem pełnie jakiś śmieć. Ale tego dnia powinienem czuć uniesienie. Na południe od Market Street wystawy sex-shopów lśniły jak katedralne witraże. W środku tandetna erotyka w jarzeniowym świetle, filmy o dniach chwały, z którymi coś się spieprzyło (Tak, grałem w nich, ale nie pamiętam ciebie, ani nikogo innego kim chciałbym żebyś była).

I potem Anny Street ze spłaszczonymi frontonami tajemniczych hoteli, żebracze technicznie ich korytarzy, śmierdzący starcy w parkach, niepokorni pijacy stojący na rogach jak postacie z przypowieści. Gdybym tylko mógł je odszyfrować. Nie, nie chcę. Zawsze okazuje się, że ci starcy są czyimiś ojcami. Jak przerażająco starzy stali się, każdy z nich. Zawsze okazuje się, że myśli starców kierując się ku mojemu bardzo choremu prawdopodobnie umierającemu ojcu (wtedy, bo teraz już nie, o czym wiecie aż za dobrze). I twarze, twarze, twarze: mordercze twarze dzieci i niewinne twarze starców, szczęśliwe twarze umarłych (Tak, i chcę wam o tym powiedzieć: tego dnia miałem zobaczyć trupa.) Planetarne mordy obżartuchów. Twarze bogatych zlepione i ostemplowane. Nie zapominajcie także o wczorajszych emigrantach w idiotycznych ubraniach i z nagle niepotrzebnymi nikomu życiorysami - ich twarze wyglądają jak połamane zabawki. Powinienem być dostrzec piękno ich spojrzeń. Religię. Zamiast tego zaparkowałem i od razu kupiłem gazetę, bo nigdzie nie można się przed nimi ukryć. Tylko w kinie.

Zmitrężyłem trochę czasu w restauracji, w której widzieliśmy saksofonistkę, tę wkurwioną z głębokim oddechem, której zapewne nie pamiętasz, i która zdumiała mnie - twarda dziwka - tenorem.

Wtedy gdy ją spotkaliśmy była Jazzowa Noc albo coś takiego -zebrane naprędce combo oferuje bezcelową muzykę wśród papierosów, nasze dusze lśniły zauważalnie w kłębach dymu: nasze dziwne sztuczne uśmiechy, nasze jaśniejące uniesienia - różni półtama-torzy próbowali sił, wielu utalentowanych, ale żaden tak jak ona. Pamiętasz jak przedłużała solo leniwymi, oddzielnymi długimi interwałami szczęknięciami i kwaknięciami, przez co wydawała się zde gustowana? Wyczułem w tym prawdziwe delectowanie się sztuką wyrażone pogardą dla własnych wysiłków. Byłem tam jeszcze raz z Meli s s s, bo tak mi się spodobało za pierwszym razem z tobą. Podobnie zachowałem się dając Melissie wiersze napisane dla ciebie i kupione dla ciebie prezenty. Rano to już nie jest zadymiony klub jazzowy, ale sterylna świetlica studentów pełna młodych i bezrobotnych jak sędzę Chińczyków ze Stockton Street i Clay Street. Zastanawiałem się czy spotkam saksofonistkę, znajduję ją wychodzącą na światło dnia z papierosem w zębach i z kawą, bardzo tego chciałem, dużą radość sprawiało mi wyobrażanie sobie z jakim niesmakiem - w stylu hollywoodzkiej gwiazdy z lat trzydziestych - wyciągnie jeszcze jedną i następną rozpaczliwą nutę z instrumentu. Ale oczywiście nie było jej tam, nie było też klarnetu krzyczącego o beznadziei, ani alkoholicznie pomrukującego kornetu...

Gdzie ja byłem? Ach tak: napadnięty przez San Francisco szukałem filmu w którym mógłbym się ukryć. Otworzyłem gazetę, zerknąłem do działu rozrywki i zacząłem studiować wielkie na dwie strony reklamy filmów wchodzących właśnie do kin. Poczulem radość w sercu: tyle wspaniałych filmów, krytycy byli zdumieni -wedle tego, co wyczytałem w ich zeznaniach. Poeci epoki! wyrwijcie sobie języki. Odniosłem wrażenie, że wkraczamy w nową, wielką erę - w tym tygodniu, w tym jednym jedynym tygodniu, który przejdzie do pamięci genetycznej rasy - i współuczestniczyłem w radości, byłem olśniony, wiesz jak reaguję na te reklamy i jak później czuję się oszukany, gdy zgaśnie światło. Ale to nie było istotne. Nic już nam nie pomoże. Nie można uciec od sprzeczności: ale tylko tutaj, w krainie filmów - której okno wychodzi na dom, z którego mnie wypędzono - gdzie ludzie patrzą sobie w oczy i czują to, co mówią. Tego właśnie chciałem w życiu, wciąż chcę, chcę błękitnego światła na ich piersiach, zapłakanych smutków, krańco-wości, krańcowości, śmierci po każdej radości...

(Nikt mi nie wystarczał. Nawet Melissa. W każdym razie nie na długo. A ty, Winono, nigdy. Ale wiedziałaś o tym. Chciałem tylko żyć tak długo jak się da przecięty elektrycznym odurzeniem).

Trudno opisać, jak zwyczajnie było w mieszczącym cztery sale

multikinie, a może pięć, nie wiem - ale to ważne. Wszyscy chodzili, czekali, przeglądali, rozmawiali - przy popcornie, kasie, reklamach albo w toaletach - tak samo jak zawsze, gdy płacę własnymi pieniędzmi za sądowy dramat, bo lubię dialogi w tych filmach, i przepycham się przez mały tłumek obok automatu z wodą. Wszedłem w tę grupkę i o mało nie potknąłem się o nogi kobiety leżącej na podłodze między ludźmi. Martwej kobiety. Takie niespodzianki czekają na nas, gdy rozstępuje się tłum! - nie wiedziałem, że ukrywają coś przede mną, skąd mogłem wiedzieć, że leży między nimi trup starszej kobiety z bluzką rozszarpaną na piersi i szaro-zieloną twarzą, że klęczą obok niej sanitariusze, że jeden trzyma kropłówkę nad głową zmarłej, a drugi pochyla się i przykłada takie dwa żelazka z uchwytami do jej piersi, i traktuje ją prądem z przenośnego defibrylatora. Kątem oka dostrzegłem zmartwione twarze córki w średnim wieku i chyba zięcia, a potem się odwróciłem. Wszyscy się odwrócili. W hallu nic się nie zmieniło. Z powodu ogólnej, głębokiej, aborygeńskiej niemal uprzejmości zajęliśmy się własnymi sprawami w bardziej zwykły niż zwyczajny sposób.

Kierowany stadnym instynktem, poszedłem do łazienki i umyłem ręce.

Po pięciu minutach wychodząc z toalety zauważyłem, że grupa wokół kobiety cofnęła się nieco. Jeden z sanitariuszy mówił coś do drugiego pokazując na zegarek, drugi przykucnął i oparłszy na kolanie notatnik zapisywał czas. - Jan? Jan? - wołał trzeci sanitariusz do ofiary, która usiadła wpatrując się w niego wyjątkowo zwierzęcym wzrokiem. - Słyszysz mnie, Jan? Słyszysz mnie? - Przywrócili ją do życia. Słyszysz mnie, Winono? Martwa kobieta ożyła.

To nie wszystko, co wydarzyło się w kinie tamtego dnia. Kilka minut później byłem świadkiem paniki w ciemności. Ale jestem zbyt zmęczony, by o tym mówić. Wystarczy, jeśli powiem, że zapewniono mi godziwą rozrywkę za cenę kinowego biletu. Później zadzwoniłem do Louise. Dokładnie tak, jak robiłem mając jedenaście lat; podnosiłem wtedy słuchawkę w budce i mówiłem: - Mamo, seans już się skończył. Przyjedź po mnie. - Wykręciłem numer. Umówiliśmy się w herbaciarni, gdzie przyglądałem się, jak je smażyły grzanki z serem po walijsku. Pracuje w więzieniu, jak wiesz. Wydaje mi się, że ciągle kocha ojca. A także, chyba nawet bardziej, wódec: na jej policzkach i nosie dostrzegłem poskręcane żyłki pękniętych naczyń (też je będę miał nim to wszystko dobiegnie końca), które z daleka wyglądały jak stare plamy po winogronach. Jest tak sobą znudzona, że często udaje jakąś postać z książki wygłaszając monologi prosto z Jane Austen, Dickensa, Jacka Londona... jak ja:

czytelnik i pijak. Szczególnie upodobała sobie pierwsze zdania bohaterów wprowadzanych przez autora. Prawdopodobnie tworzy sobie zupełnie nową tożsamość - bardziej prawdziwą? bardziej fałszywą? - idąc do pracy w pudle. Przez pięć dni w tygodniu rządzi przestępczyniami, z których większość to nimfomanki, wykorzystywane na setki sposobów od chwili przyjścia na świat, z których większość nie budzi się nawet na jawie. Nie mam pojęcia co może z nimi robić, ale wyczuwam nie będąc w stanie wytłumaczyć dlaczego, że przeżywa najszcześniejsze i najwartościowsze dni swojego żywota, wyczuwam, że pomaga ludziom. Jej niewidome dłonie szukają ich dłoni. A wszyscy zagubieni gdzieś razem za wielkimi, zimnymi murami.

Tak czy inaczej jest inna. Nie wiem w kogo się zmieniła. W radosnej obecności kobiety jaką była mój ojciec podrzucał mnie -lekkiego jak piórko dzieciaka - do góry, pod sufit, raz za razem, i zawsze za wysoko, poza punkt, do którego odczuwałem wesołość i podniecenie, i oczekując na zderzenie z sufitem przeżyłem całe ciało, tak jak teraz, tutaj, w herbaciarni, w porze herbaty... Tymczasowość, ucieczka, niewiarygodny pęd wszystkiego, co wydaje się tak nieruchome, zapiera mi dech w piersiach, krzesło, stare krzesło stoi jak krzesło w obszarze mojej percepcji, ale nic z czego zostało zrobione nie jest takie samo, gdy zerkam na nie po milisekundzie. Podobnie jest z tą kobietą. Dziwne, dziwne! Co dzieje się z ludźmi, co dzieje się z naszymi matkami - braćmi, zonami -co robi się ludziom, których na rany Chrystusa kochamy? - Nie, to nie jest ktoś, kogo znałem. Ta ma sześćdziesiąt pięć lat, choć pod wieloma względami jest wciąż tak samo energiczna jak wtedy, kiedy miała lat trzydzieści. Ale już to ma, a jakże!, ma w sobie ten smród porażki i zmieszania i różanej wody i aniołów nad głową. Kwiecistą atmosferę towarzyszącą starym kobietom. Przywodzą na myśl śmierć kwiatów jabłoni. Częściową i nieistotną śmierć w sadach - śmierć owoców i kwiatów, ale nie drzew - dziecka, które umiera dorastając - bezustanną śmierć wszystkiego co trwa w tej chwili, wszystkich rzeczy udających, że stoją nieruchomo, a które w istocie, w istocie są nam znane ze względu na niewyobrażalny zamęt, chaos mniejszych od atomu cząsteczek, które w ogóle nie są cząsteczkami, nie są materią, ale energią, procesem, myślą, pojęciem, dekretującą wyobraźnią grzmiącej inteligencji przekreślające Wielką Pustkę, Pustkę Wieczności...

Widziałem martwą kobietę na podłodze. Widziałem jak przywrócono jej życie. Dlaczego mordercy przyznano ten przywilej?

Ależ nie, wybaczcie, wcale nie mówię o niej! Mówię o tobie. O zdradzie. O fakcie - który ukryłem przed tobą - fakcie, znaczącym ukrytym

Navarro rozejrzał się po pralni. Suszarka przestała się obracać, domyślił się, że cisza wyrwała go z zamyślenia.

Trzymając kartki na kolanach - odczuwając dojmujący, fizyczny ból w sercu - pomyślał: któż może być bardziej samotny od człowieka próbującego powiedzieć coś innym ludziom?

Kartek było o wiele więcej. Navarro przeczytał je wszystkie, i to nie raz, i jeszcze będzie je czytał. Mógłby prawdopodobnie udowodnić, że pismo było pismem Fairchilda, ale bez samego Fairchilda nic by to nie dało. Fairchild zniknął. Przepadł jak kamień w wodę. Nie było go prawie od roku.

Navarro z trudem przypominał sobie jego twarz, pamiętał tylko, że facet był wysoki i bardzo roztrzęsiony. Widział go dwa razy: pierwszy raz w domu jego ojca w dniu śmierci starego. Lecz ani wtedy, ani za drugim razem nie rozmawiali wiele. Tej pierwszej nocy w domu starego Fairchilda był także brat Nelsona, William: patykowaty filozof z brodą i wyjątkowo jasnymi, niebieskimi oczyma. Gdyby policjantowi Navarro dane było wnioskować jedynie ze stylu pisma, nie domyśliłby się, który z nich jest którym. Młody Nelson wyglądał na bardziej szurniętego niż autor tego listu, a William, stuprocentowy czubek, wydawał się bardziej opanowany, niżby to wynikało z jego porąbanych komunikatów. Ale nikt nie zachowuje się we właściwy dla siebie sposób w wypadku śmierci. Wspomnienie tamtej nocy bolało trochę policjanta Navarro, bo odebrał wówczas wezwanie w niespełna dwie godziny po tym, jak pierwszy raz kochał się z Mo. Później była burza. Niezbyt długa, o ile dobrze pamiętał. Wiatr wyszarpał deszcz z chmur w ciągu kilku minut i zanim znalazł dom Fairchilda - stojący nad oceanem, pogrążony w ciepłym blasku bijącym z okien o drugiej nad ranem, co sygnalizowało tragedię - nawałnica straciła impet, a wiatr osuszył z wody wóz patrolowy. Zatrzasnął drzwi auta i stał przy nim chwilę, czując jak burzowe porywy zamieniają się w bryzę. Burzę zdmuchnęło nad ocean - słyszał ją jeszcze niczym odległą orkiestrę - i co dalej? Co to za hałas? Czyżby ktoś nadjeżdżał?

Na podjeździe pojawił się komiksowy, sportowy samochodzik, którego przednie światła drgały spazmatycznie, jak to

w porsche. Wsiadł z niego szczupły, zdyszany młody człowiek.

- Dzień dobry, jak się pan miewa? - rzucił i popędził dalej.

Navarro poszedł za nim, mijając po drodze kilka innych samochodów. Wszedł do domu drzwiami prowadzącymi, jak się okazało, do kuchni. Przy drewnianym stole siedział starszy mężczyzna w świeżo wypranym, jasnobłękitnym kombinezonie i zaciągając się papierosem, pisał coś w notatniku.

- Dlaczego mnie nie wezwano? - wrzasnął chudy facet, który wszedł do kuchni przed policjantem Navarro.

Mężczyzna, trzymając palec na otwartej stronie notatnika, popatrzył po twarzach nowo przybyłych, jakby nie mając pewności, który z nich krzyczał:

- Jak to - nie wezwano?

- Kiedy to się stało! To znaczy... kto tu był?

- Tylko Donna - odrzekł starszy facet i zawołał: - Donna!

A potem zaczął energicznie gasić papierosa.

Sięgnął do pomarańczowej torby z narzędziami, stojącej na podłodze, i wyjął z niej małą buteleczkę zamkniętą gumową membraną - taką, jakiej używa się do przechowywania wstrzykiwanych leków. Podniósł ją do oczu, sprawdził nazwę na nalepce i zapisał coś w notatniku.

Navarro wiedział, jak należy zachować się na miejscu przestępstwa czy wypadku. Tu jednak nie miał do czynienia zjedną z tych sytuacji. Odchrząknął i zdjął nakrycie głowy.

- Zaraz będę na pańskie usługi - powiedział stary, odstawił buteleczkę i skończył pisać.

- John Navarro, policja z Point Arena. Czy pan jest lekarzem?

- Doktor Henry Schooner. Wszyscy mówią na mnie Dok. To ja zażądałem pańskiej obecności - powiedział.

- Pan jest z rodziny? - Navarro zwrócił się do trzeciego z obecnych.

- Przepraszam, jak się pan miewa, policjancie Navarro. Nelson Fairchild - przedstawił się nieznajomy. Po czym wziął głęboki oddech i dodał: - Junior. - Spojrzał na doktora: -Mój ojciec... naprawdę nie żyje?

- Tak - odparł Schooner. - Donna znalazła go koło je-

denastej. Wydawało się jej, że ją wzywał. Ale był już od dawna martwy.

- Od dawna martwy? Co to znaczy?

Schooner podniósł głowę:

- To znaczy, że był zimny. Był zimny w dotyku. Donna! - zawołał ponownie.

- Od dawna martwy... - powtórzył Fairchild.

- Co jest w tej butelce? - zapytał policjant Navarro.

- Siarczan morfiny - odrzekł Schooner.

- Zmarły go używał?

- Zmarły, jak się pan wyraził, miał raka dwunastnicy i nie zgadzał się na operację. Morfina miała mu ulżyć w cierpieniach, podejrzewam, że dosyć ciężkich. Jednakże, o ile wiem, nie używał morfiny. To była jedyna butelka, jaką miał i proszę zwrócić uwagę: jest pełna. Donna twierdzi, że nie zgadzał się na zastrzyki. W ogóle ich nie chciał.

Navarro domyślił się, że schodząca z góry kobieta była ową Donną. Miała więcej niż pięćdziesiąt lat, przed chwilą musiała wyjść z łazienki, w której się przebierała. Trzymała w ręku szczotkę do włosów i przyglądała się im wzrokiem, który świadczył, że jej percepcja działa mniej więcej w dziesięciu procentach.

- Wybaczcie, panowie... - powiedziała. - Słucham, Dok? - zwróciła się do lekarza.

W tej samej chwili odkryła szczotkę w swojej dłoni i odłożyła ją na kuchenną ladę, po czym wbiła w nią wzrok. Navarro widział setki ludzi w takim stanie umysłu: w środku nocy, gdy kończyło się czyjeś życie.

- Pani Fairchild. Nazywam się John Navarro i jestem policjantem z Point Arena.

- Winslow - poprawiła go.

- Winslow?

- Donna Winslow - przedstawiła się. Schooner uznał, że powinien się wtrącić:

- Właśnie mówiłem, jak go znalazłaś, Donno.

- Usłyszałam Billa za drzwiami. Obudziłam się i poszłam na górę - powiedziała. - Myślałam, że Nelson mnie wzywa. Ale Nelson już nie żył.

- Od dawna nie żył - wtrącił Fairchild. - Można, szefie? - spytał częstując się jednym z cameli doktora.

Navarro dopiero teraz zdał sobie sprawę, że junior jest wstawiony, jeśli nie kompletnie pijany.

- Pani Winslow, wspomniała pani, że ktoś był za drzwiami, kiedy się pani obudziła, czy tak? - zapytał Navarro.

- Bill powinien gdzieś tutaj być - odrzekła.

- Bill - powtórzył Navarro.

- Mój brat - wyjaśnił Fairchild i zwrócił się do Donny - Gdzie on jest?

- Był na tyłach domu - powiedziała. - Cwiartował sarnę. - Spojrzała na nich, jakby szukając zrozumienia. - Inaczej by się zepsuła - dodała przepraszającym tonem.

Navarro oparł się o kuchenny zlew i wyrzwał za okno, gdzie w ciemności na stoku mężczyzna w przeciwdeszczowym płaszczu wchodził i wychodził z elipsy światła elektrycznej latarni, patrosząc jakiś okaz zwierzyny płowej. Martwe zwierzę leżało rozciągnięte na deskach między dwoma kozłami. Po jego lewej stronie piętrzyła się ściągnięta skóra, po prawej wnętrzności. Navarro usłyszał ciche odgłosy wydawane przez mężczyznę, jakieś pochrząkiwania w rodzaju „Hm, hm, jep!” Do przecinania stawów używał maczety.

Navarro poczuł teraz kwaśny odór wina - oddech Nelsona Fairchilda. Wysoki mężczyzna stanął za jego plecami i wrzasnął:

- Bill! Chodź tu natychmiast! Na rany Chrystusa, pośpiesz się!

- Panowie mi wybaczą - powiedziała Donna. Spojrzeli na nią pytająco, ale nie powiedziała nic więcej, nie wyszła też z kuchni. Odsunęła natomiast krzesło od stołu, wyciągnęła skądś papierową torbę, postawiła ją na podłodze między stopami, a potem sięgnęła do torby, wyjęła garść fasoli, którą zaczęła łuskać, wyrzucając łupiny do żółtego kosza na śmieci. Przypatrywali się jej przez dobre pół minuty, zanim przerwała łuskanie.

- Nie powinnam tego robić? - spytała.

Schooner wyciągnął rękę przez stół w przyjacielskim geście, który nie dotarł do celu.

- Jeśli to cię uspokaja...

- Jutro przyjadą tu różni ludzie i będą chcieli jeść... -wróciła do przerwanej czynności.

W kuchennych drzwiach stanął drugi z braci. Nie miał

na sobie płaszcz, który - jak było widać - nie uchronił jego podkoszulka przed poplamieniem krwią. Nacisnął klamkę łokciem i pchnął siatkowe drzwi czubkiem buta. Navarro przytrzymał je dla niego. Nelson postąpił krok do przodu, jakby chciał uściskać brata, ale zatrzymał się. William stał nieruchomo, z uniesionymi do góry i oblepionymi krwawą mazią rękoma. Nie chciał niczego pobrudzić. Zwrócił się do Nelsona:

- Jechałem tu. Czułem, że tak będzie. Spóźniłem się o kilka sekund.

Navarro kiwnął głową, ale William nie zareagował. A więc tak wyglądał W. Fairchild, którego listy ostatnio adresowane bezpośrednio do policjanta Navarro zajmowały trzy czwarte „federalnych” akt na posterunku w Point Arena. W. Fairchild podszedł do zlewu i odkręcił ostrożnie wodę różowymi palcami, po czym zaczął się myć.

Nelson Fairchild przysunął twarz do twarzy brata.

- Ktoś mówił o sarnie, czy tak? Wydawało mi się, że nie strzelasz do saren!

- Nie zabiłem jej. Leżała martwa przy drodze.

- Dlaczego nie powiadomiono mnie natychmiast o tym, co się stało?

Bill odwrócił się od zlewu. Na jego twarzy widać było zmieszanie.

- Dzwoniliśmy wszędzie... dopiero na końcu do Winony...

- Czy aby na pewno?

- O Winonie pomyśleliśmy na końcu.

- Na samym końcu! - Nelson chyba drażnił się z bratem.

Nagle roześmiał się szaleńczo i zaraz zaczerwienił, wiedząc o niestosowności swego zachowania, ale świadomość ta rozbawiła go jeszcze bardziej, bo chichotał jak najęty, w końcu zakrył usta dłonią, po czym posmarkał się od śmiechu. -Niech mnie! Bardzo, bardzo przepraszam - wycharczał, krztusząc się i wciągając smarki do nosa. Stał nad zlewem, szarpnął kurek i splukał twarz zimną wodą. Oblewał się chyba z minutę, stopniowo dochodząc do siebie i wybuchając od czasu do czasu histerycznymi powarkiwaniem. Reszcie obecnych nie pozostało nic innego, jak przyglądać się mu z niesmakiem.

Po jakimś czasie Nelson zwrócił się do brata:

- Czy ja dobrze rozumiem? Przyjechałeś tu, zobaczyłeś, że tata umarł, zadzwoniłeś po Schoonera i pojechałeś po jakąś padlinę? Zdechłą sarnę? Rozjechaną przez samochód?

William był wyraźnie rozdrażniony.

- Posłuchaj, kutasie: dzwoniliśmy wszędzie, nawet do Owczej Mamy, do barów i pizzerii, do każdej otwartej speluny. Byłem w twoim mieszkaniu, wtedy właśnie znalazłem sarnę. Dok widział ją pierwszy, powiedział mi o niej, a mięso to mięso, co nie?

- Jasne! Mięso to mięso! Nakrywajmy do stołu!

- Nelsonie - odezwał się Schooner. - To ja potrafiłem to zwierzę. Bill pojechał i przywiózł je. To wszystko. Uspokój się.

- Czy jesteś jednym z tych ludzi... - junior pochylił się nad doktorem - którym wydaje się, że wiedzą, co robią, ale tak naprawdę nie mają o niczym pojęcia?

Jego twarz znajdowała się w odległości trzech cali od twarzy Schoonera. Dok opuścił głowę, nie miał wyboru.

- Okaż trochę szacunku... jeśli nie mnie, to zmarłemu ojcu - mruknął, wyraźnie zażenowany. - Okaż trochę wrażliwości...

Navarro nie mógł już tego znieść.

- Rozejrzę się - oznajmił, zwracając się przede wszystkim do kobiety. Ale Donna go nie rozumiała. - Pani Winslow? Czy... za pani pozwoleniem... mogę się tu rozejrzeć?

- W porządku - odparła Donna.

- To normalne, jest taka procedura... czasami... gdy w grę wchodzi śmierć - uspokajał ją Schooner, który wstał zza stołu.

- Rozumiem, w porządku - powtórzyła.

Navarro wszedł za doktorem do salonu. Ruszyli na górę skręcającymi na półpiętrze schodami. Przeszli kilka kroków korytarzem i znaleźli się w pogrążonej w mroku sypialni, cuchnącej chorem, starym człowiekiem.

- Rak zaatakował najpierw dwunastnicę. Potem Fairchild miał wylew... - Schooner zapalił lampkę przy łóżku. Trup leżał na szpitalnym łóżku z głową przykrytą prześcieradłem. Dok uniósł brzeg prześcieradła, odkrywając na kilka sekund twarz - Navarro patrzył gdzie indziej, rozglądał się po pokoju - po czym przykrył ją na powrót.

- Dlaczego mnie wezwano? - zapytał Navarro.
 - No cóż... leżał na podłodze.
 - W chwili śmierci?
 - Owszem, leżał tuż obok łóżka, jak mnie poinformowano.
 - Kto położył go z powrotem na łóżku?
 - Syn... Bill. Donna mu chyba pomagała, o ile dobrze zrozumiałem.
 - Czy to wydało się panu podejrzané?
 - Nieee... Umiera się wszędzie. Fairchild wypróżnił się w łóżku, ale urna była też na podłodze. Często nie trzymał moczu - wyjaśniał Schooner - ale nie zgadzał się na cewnik.
- Gdy Navarro odezwał się, w jego głosie słychać było policyjną gburowatość, którą maskował zmieszanie i niepewność, jakich doświadczał.
- Nic z tego dla mnie nie wynika. Chodzi mi o urnę i tak dalej.
 - Fairchild szczał do łóżka, chciał iść do kibla, ale padł trupem na podłodze. I dokończył szczać.
 - Miał raka dwunastnicy, zgadza się? A jaka była konkretna przyczyna śmierci?
 - Coś z sercem... prawdopodobnie.
 - Atak?
 - Nieee... miał za mało serca na atak. Podejrzewam, że po prostu przestało bić. Zużycie materiału, pojmuje pan?
 - No cóż, w takim razie...
 - Miał jedenaście dziur w pikawie.
 - No dobrze, ale co z tym rakiem?
 - To też miał.
 - Znaczący się rak, wylew, serce... Czy nie powinien być hospitalizowany?
 - Powinien. Z całą pewnością. Od sześciu miesięcy powinien leżeć na onkologii. Żeby pozbyć się trzech jardów dolnej partii jelit. Powinien dostawać galon morfiny dziennie...
 - I pan mnie wzywał?
 - Owszem i będę to robił zawsze, gdy znajdę trupa poza łóżkiem.
 - W tym wypadku raczej nie jest pan pewny przyczyny zgonu?
 - W tym i każdym innym wypadku, dlatego że parę ład-

nych lat temu miałem masę kłopotów przez takich jak pan. Więc teraz, jeśli ktoś, kogo lecze, nie zejdzie w pościeli, sam pan wie...

- Nie wrzuci go pan do trumny i nie powie *adios*, dopóki się nie podpiszę?

- Zgadza się. I bez odbioru, jak to mówicie. Ale za pańskim pozwoleniem wyekspediuję go do domu pogrzebowego w czterdzieści pięć minut.

- Z drugiej strony, mogę polecić panu wysłanie go do Ukiah na sekcję zwłok, która zajmie?...

- Która zajmie tydzień albo więcej, co z pewnością nie ucieszy krewnych.

- Dobra. Biorę to na siebie.

- Myślę, że za to panu płacą.

- Ta... Przynajmniej ostatnio.

- Więc zasłużył pan na podwyżkę - rzucił Schooner.

- Fakt. Bez odbioru.

Navarro podszedł do okna. Było szeroko otwarte i na parapet nakapało deszczu. Słuchał szumu morza, wiedząc, że nie podjął jeszcze żadnej decyzji. Nie myślał nawet o niej, mówiąc prawdę.

- No cóż... - mruknął. - Posłuchajmy, co ma do powie dzenia żona.

Stał wpatrzony w łóżko, a Schooner wyszedł z sypialni i ze szczytu schodów zawołał Donnę Winslow. Wnioskując po małym, okrągłym wgłębieniu w prześcieradle, które przykrywało głowę nieboszczyka, Navarro domyślił się, że Nelson Fairchild ma w tej chwili otwarte usta. Poczul krótki, nieprzyjemny zawrót głowy. Nie z powodu trupa - widział ich już całe tony - ale przez kelnerkę i to, że niecałą godzinę temu baraszkował z nią w łóżku.

Zauważył kabel wiszący obok szpitalnego łóżka i guzik, który służył do zmiany pozycji chorego. Sięgnął po urządzenie, przytrzymał je w dłoni i kierowany nagłym impulsem, złożyłby łóżko, posadził denata, pozwolił prześcieradłu opaść z jego twarzy, gdyby nie to, że usłyszał kroki na schodach. Odsunął się od łóżka. Do sypialni wszedł Schooner, a za nim pani domu, Donna Winslow.

Donna zrobiła trzy kroki, spojrzała na sylwetkę ukochanego mężczyzny i westchnęła.

- Czy pan Fairchild sypiał przy otwartym oknie? - zapytał Navarro.

- Czasami.

- Nawet podczas burzy?

- Myślę, że burza zaczęła się, kiedy już... więc nikt nie zauważył.

- Doktor Schooner twierdzi, że pan Fairchild leżał na podłodze, kiedy go pani znalazła.

- Znaleźliśmy go z Billem. Coś kazało Billowi przyjechać - powiedziała - w środku nocy.

- Ta plama na podłodze to mocz pana Fairchilda, czy tak?

- Ach, przepraszam... - mruknęła chwytając z nocnej szafki pudełko z chusteczkami. Rzuciła się na kolana. - Zaraz, zaraz posprzątam... - Roztarła mocz po podłodze kilkoma chusteczkami, wyrzucając mokre do wiklinowego kosza. Dwaj mężczyźni spoglądali na nią w milczeniu.

- Kto położył go z powrotem do łóżka?

- My... To znaczy ja i Bill... Chyba...

- Może powinniśmy przejść do innego pokoju - zaproponował Schooner.

- Chwileczkę - Navarro przyklęknął obok łóżka i podniósł z podłogi poduszkę. Bez powłoczki. Zwrócił się do kobiety:

- Czy była pani sama w domu w czasie... - szukał sjo-wa, którym mógłby zastąpić „zgon”, i nie znalazł żadnego -...w czasie... gdy to się stało?

- Byłam sama na dole.

- Czy zdjęła pani poszewkę z poduszki?

- Nie... chyba nie - powiedziała.

- Gdzie może być ta poszewka, nie wie pani?

- Poszewka?

- Tak. Pytam z ciekawości.

- Kosz z brudami jest w łazience. Jak wszędzie... chyba...

- Czy pan Fairchild mógł zanieść poszewkę do łazienki? Chodzi mi o to, czy miał dość siły?

Donna podeszła do łóżka i jednym szybkim ruchem zdarła prześcieradło z trupa, ukazując oczom zebranych zdumioną maskę śmierci - szarosiwą, z rozwartymi jak do krzyku ustami i zapadniętymi, szeroko otwartymi, porcelanowymi oczyma.

- To jest Nelson Fairchild senior, mój panie! Człowiek,

który zawsze robił to, co chciał, o każdej porze. Podejrzewam, że gdyby miał na to ochotę, usiadłby teraz i plunął panu w oko. Niech pan nie oczekuje ode mnie lepszego epitafium.

Trzymała prześcieradło, dopóki Schooner nie odchrząknął:

- Dziękujemy ci, Donno.
- Pozwoli pani, że zajrzę do łazienki - powiedział Navarro.
- Niech pan robi, co do pana należy - odrzekła. Schooner poprowadził go korytarzem i policjant Navarro

wkroczył do łazienki, włączył światło, a później znalazł kosz z brudną bielizną. Wśród wilgotnych piżam i ręczników - teraz przypominały obiekty muzealne, bo tliły się w nich resztki życia, które już minęło - znalazł poszewkę. Podniósł ją do światła i przyjrzał się nie zaschniętej jeszcze plamie śliny i flegmy na środku białej tkaniny; plamie o wymiarach i kształcie - był gotów założyć się o półroczne pobory -odpowiadających otwartym ustom denata. Zwinął poszewkę i wrzucił ją z powrotem do kosza.

Kiedy wyszedł z łazienki, Donny Winslow nie było już na górze. Schooner natomiast trwał na posterunku.

- O co chodzi z tą poduszką? - spytał, schodząc za policjantem Navarro na dół.

Navarro wzruszył ramionami.

- Szczegóły, szczegóły.
- Chce pan, żeby go kroili?
- A pan?
- Ja pierwszy zadałem pytanie.

Wchodzili już do kuchni, gdzie wcześniej wróciła Donna. Stała teraz przy stole, nalewając kawę dwóm synom zmarłego.

- Nie widzę potrzeby w tym konkretnym wypadku - powiedział niespodziewanie Navarro.

Zdumiały go własne słowa, które stały w jawnej sprzeczności z jego obowiązkami i wyszkoleniem. Obowiązek i wyszkolenie wymagały od niego rozpoczęcia rutynowego postępowania. Navarro miał niemal stuprocentową pewność, że Fairchild został zamordowany.

Być może nie rozpoczął postępowania dlatego, że podejrzewał, iż zabójstwo było podyktowane względami humanitarnymi, jak eutanazja. Być może nie chciał do reszty pogłębiać tej biednej, zmęczonej kobiety.

- Spóźniłem się o kilka sekund - mówił młodszy z braci. - Do końca życia sobie tego nie wybaczę. U kresu czasu wszystko wyjdzie na jaw.

Policjant Navarro pomyślał, że zabójstwo mógł także popełnić młodszy z braci. Choć wiedza o ludziach podpowiadała mu, że William nie skrzywdziłby nikogo z własnej woli.

- Czy ktoś chciałby napić się kawy? - spytała Donna.

- Ja dziękuję. Pożegnaj się - powiedział Navarro.

Starszy z braci westchnął i wbił wzrok w kawę - jego dłonie zamknęły się na kubku trzymanym na odległość ramion. Navarro domyślił się, że dopiero teraz wszystko do niego dotarło, dopiero teraz pojął, że zmarł członek rodziny. Wina. Ulga. I biała zasłona nad przyszłością. Navarro spojrzął na Donnę i powiedział:

- Proszę mi wybaczyć to najście w tak bolesnej dla pani chwili. Stwierdzamy, że zgon nastąpił w wyniku naturalnych konsekwencji schorzeń pana Fairchilda.

- Za chwilę zadzwonię po karawan - powiedział Schooner. - Odprowadzę tylko policjanta Navarro.

Na dworze Schooner przytrzymał drzwi wozu patrolowego, gdy Navarro siadał za kierownicą. Zastukał kostkami palców w dach - nic nie znaczący gest, choć w tym przypadku dał mu chyba do zrozumienia, że zamykają sprawę; jednak nie, bo wciąż stał obok drzwi.

- Zatem już poznał pan tę ciekawą rodzinę.

Navarro nie odpowiedział. Miał nadzieję, że doktor nie powie niczego niestosownego.

Schooner odetchnął parę razy, jakby nagle rozboleł go żołądek.

- Posłuchaj pan - odezwał się wreszcie, a w jego głosie słychać było wzburzenie. - To mój podpis widnieje na akcie zgonu. Jeśli coś pójdzie nie tak, nie uporamy się z nimi do sądnego dnia, podobnie jak większość tutejszych urzędów.

Navarro zakaszał. Odchrząknął potem i powiedział:

- Założę się.

- Uważają się za ludzi ważnych i wpływowych. Stary był znaną postacią tu, na wybrzeżu, miał wiele nieruchomości, a przy tym był swego rodzaju socjopata. Znałem go dobrze i mogę panu powiedzieć, że większość plotek, jakie pan o nim usłyszy, odpowiada prawdzie.

- Kto po nim dziedziczy?
- Nie jestem do końca pewny. Z tego, co słyszałem, większość przechodzi na synów, dwóch młodych, zidiociałych Fairchildów. Donna nie zrobiłaby... to znaczy, chciałem powiedzieć, że Donna nie...

- Nie uczestniczy w spadku.
- Właśnie - powiedział doktor.

Nadchodził świt. Navarro nie miał pojęcia, że spędził tutaj aż tyle czasu. A może światło było iluzją, może fosforyzowały fale oceanu albo coś takiego... Oparł się o fotel, czując nieprzyjemne, chorobliwe zmęczenie. W zasadzie bez przyczyny. Widywał przecież gorsze morderstwa, po których krew lała się przez pół przecznicy od miejsca, w którym leżały zwłoki.

- No, tak - zerknął na doktora. - Pisz pan, co pańskie, i do wora z nim. Wszystkim nam przyda się trochę snu.

- W porządku.
- Z domu wyszedł jeden z braci.
- Muszę jechać - rzucił Navarro.

- Ma się rozumieć. Zaraz wyeksponuję ciało.

Navarro pożegnał się i pojechał na północ, oddalając się od Gualali i zbliżając do Anchor Bay i Point Arena. We wstecznym lusterku widział wyjeżdżające z posiadłości porsche, które skręciło na południe.

Nikt nie utyskiwał z powodu nieprzeprowadzenia sekcji zwłok. Navarro powinien był wtedy założyć się ze Schoone-rem, że nie usłyszą słowa od Donny Winslow... chociaż -jak wiedział teraz - całkowicie się mylił co do powodu.

Gdy obecnie rozważał tę sprawę, żałował, że nie znalazł wymówki, by wziąć udział w pogrzebie. Wtedy oczywiście nie mógł o niczym wiedzieć, lecz gdyby był wówczas na katolickim cmentarzu w Manchesterze, zobaczyłby całą drużynę w jednym miejscu - żywych i umarłych.

Przeglądał list Nelsona juniora, szukając fragmentu o pogrzebie -jeśli dobrze pamiętał, było to na stronie zaczynającej się od podsumowania jednego z nudnych i bezsensownych snów Fairchilda; snu, w którym junior chyba po raz pierwszy czuł się dobrze, a wszyscy byli weseli i zadowoleni...

...zadowoleni i weseli, a ja nikogo nie irytuję, jestem zabawny. Jest przyjemnie, radośnie - jakaś część mnie musi być właśnie taka. Ale nie chcę wyjść jej naprzeciw. Dlaczego człowiek, który planował morderstwo, miałby mieć radosne chwile w życiu?

Nie prześladują mnie sny. Nie miałem snów podpadających pod klasy opisane w Talmudzie, proroczych, wieszczych, terapeutycznych, spontanicznych, prowokujących i tak dalej, ani snów, w których pojawiają się oczekiwane z dawna odpowiedzi - odpowiedzi, które znikają o świcie. Moment! Właśnie sobie przypomniałem, że gdzieś na peryferiach snu pojawiła się matka. Widzę ją całą, choć bez twarzy, muszę pomyśleć, generalnie jest ubrana tak samo jak na pogrzebie, ha!, pojmuję teraz, że cały sen jest powtórzeniem lub poprawioną wersją pogrzebu ojca. Ciekawe jak cholera, że nigdy jej nie spotkałaś. Myślę, że nawet jej nie poznałaś, kiedy zjawiała się na uroczystości, nie mówiąc ani słowa. Zjawiała się? Owszem, była zjawą, mówiącą, że wszystkie prorocтва się spełniły, jej suknia była czarniejsza od zwykłej czerni, ba!, od zwykłej sukni.

Posłuchaj Winono albo posłuchajcie wy, którzy będziecie mnie chować: chcę spocząć na tym samym cmentarzu, katolickim cmentarzu na południe od Manchesteru - właśnie tam, nad oceanem na końcu świata. I nie dlatego, że leży tam moja rodzina, ale dlatego, że to ładne miejsce - porośnięte długą, miękką trawą i olbrzymimi kłęzącymi cyprysami, których modlitwy trwają dłużej niż wszystkie żale i zbrodnie zgromadzonych pod nimi ludzi; miejsce na wysokim nadmorskim klifie, z którego dusze skaczą po pogrzebie do oceanu, rozpoczynając wędrówkę bez końca. Przyjemnie jest wyobrazić sobie, że po śmierci spocznie się w miejscu, w którym chciałoby się mieszkać za życia.

Czy wiesz, że pogrzeb taty był pierwszy, w jakim uczestniczyłem? Nie dostaliśmy zaproszenia na pogrzeb dziadków. Zresztą co może robić na pogrzebie trzyletnie dziecko, czego może doświadczać? Widzi statyczny obraz nad otwartą mogiłą, niemal taki sam jak na Boże Narodzenie, tylko że zamiast żłóbka jest trumna, a zamiast słomy - kupa piachu. Pogrzeb jest przeciwieństwem żłóbka, przy którym stoją ludzie, których się generalnie nie zna, choć w przypadku ciebie i mamy rzecz mogła z pozoru wydawać się podobna. Mimo wszystko na pogrzebie był tylko jeden prawdziwy nieznajomy: sam ojciec. Zrobił coś takiego, co zupełnie nas zaskoczyło! Pojawił się jako ta rzecz w trumnie, doprowadził się do stanu, w którym był absolutnym zaprzeczeniem wszystkiego. Oczywiście wszyscy wiedzieliśmy, że przygotował tę ostatnią posługę, najtańszą z możliwych, ograniczoną praktycznie do minimum, w dodatku taką, na którą nikogo nie zapraszał.

A co z Williamem? Przypatrzyłaś się Williamowi? Wystrojonemu jak stróż w Boże Ciało, z samodzielnie wykonaną fryzurą? Przypominał Stalina w cerkwi, to znaczy wyglądał, jakby to on, a nie tata, był poddawany zabiegom jakiegoś pozbawionego gustu pomocnika grabarza. Był jednak spokojny. Trzeba mu to przyznać. Trzy dni wcześniej biegał jak szalony po domu, twierdząc, że telepatycznie wzywa go umierający ojciec. Był na krawędzi nawrotu schizofrenii, człowieku! - myślałem, że będzie z nim koniec. Wiele bym oddał, żeby go teraz zobaczyć, porozmawiać z nim, posłuchać bzdur rojących się w jego głowie. Chwyciłbym go za uszy i pocałował w usta... Teraz pojmuję, że nigdy nie dorósł. Podobnie jak wszyscy. Zawsze jesteśmy dziećmi i tylko sny, udawanie i zabawy się starzeją. Billy. Billy. Jak to boli...

No cóż, na pogrzebie byłem chyba tak samo zabalsamowany jak Billy. Rozpocząłem tamten tydzień blokując się jak zwykle winem, ale nic mi to nie pomogło z powodu nasilającej się potworności kaców. Trzeciego dnia, w Dniu Pogrzebu, obudziłem się z wydrążoną duszą.

Potem sam pogrzeb: przyjazd mamy, której nikt nie zapraszał, dwie żony patrzące na siebie przez przepaść, jaką był ich facet -czarna dziura w żywotach nas wszystkich, czarna dziura, z której poza horyzont nie wydobył się ani jeden promień światła. Donna nie rzuciła się matce na szyję, ale widziałaś tak samo jak ja, że każda z nich uszanowała prawo tej drugiej do uczestnictwa w pogrzebie. Dobrze świadczy o naszym ojcu, że wiązał się z kobietami zdolnymi do wzajemnego szacunku, no nie?

Ojciec Tomasz modlił się monotonnie. Ze stoickim spokojem i bezwstydnie. Księża! Kiedyś mieli kręgosłup. Kiedyś nie wpuściliby takich jak mój ojciec za próg kościoła, strzelaliby do nich z fuzji w niedzielne poranki. Czy wybacząca łaska każe im przyjmować na łono Kościoła nawet zatwardziały grzeszników, czy jest to może apatia albo hipokryzja? Donna nie wezwała księdza do udzielenia ojcu ostatniego namaszczenia. I co? Ksiądz z własnej woli pojawił się następnego dnia w kostnicy i namaścił nieboszczyka! Więc to tak! Ojciec Tomasz, o ptasiej twarzy i przestraszonych oczkach, szafuje modlitwami nad trumną ojca, podczas gdy nieco dalej, w oceanie, pływa Carla Frizelli, której nikt nie przebaczył i nikt nie wyspowiadał! Potem Nelson Fairchild senior odszedł od nas na zawsze, jego trumna kołysała się na parcianych pasach nad otchłanią, opuszczana chromowaną maszyną na tani, zielony filc przez dwóch pijaków w aluminiowych kaskach. Jednego z nich widziałem kiedyś przed lodziarnią w Point Arena, jak przygadywał

sobie w niewybrednych słowach pewne nieletnie dziewczę. Dzieściolatkę palącą papierosa. Gdy trumna zjechała do dołu, grabarze odstąpili od grobu, robiąc miejsce krewnym, którzy chcieli rzucić garstkę piachu na wieko.

Żaden złodziej nie był od niego lepszy, nie pokonał go żaden wróg ani rywal. Jego potomstwo stać będzie na równi ze złodziejami. Oszczercami, krwiopijcami, pijawkami i wieprzami. Nie dał nam niczego, bronił się przed nami ogniem, rzucał nam ochłapy. Oddajmy mu sprawiedliwość: nie miał łatwej śmierci. Nie odszedł z wysoko uniesionym czołem. Zostawił ślady szponów na swoim życiu.

Chyba wiesz, że mama nie rozmawiała z nikim na pogrzebie, nie zamieniła z nami ani słowa. Nie wiesz jednak, że po pogrzebie też z nikim nie rozmawiała, nawet ze mną. Stałem obok niej, patrząc na ocean. Widziałem, jak się kurczył. Skąd? Bo wiem, o ile może być większy. Matka mogła odetchnąć z ulgą - jej świat bez niego miał nieskończone wymiary. Kiedyś widziałem ją już w takim stanie, dawno temu w motelu „Błękitny Płetwal”, w którym mieszkaliśmy przez pewien czas, gdy miałem siedem, może osiem lat, wtedy -tak jak teraz - stała obok mnie dłuższą chwilę, a potem odeszła wzdłuż klifu. Jest coś niezapomnianego w widoku kobiety wędrującej w wietrze. Każdy pamięta swoją matkę w takiej niematerialnej chwili: z włosami rozwianymi niczym chmura. Gdy widzi się coś takiego po raz drugi, czujemy się sierotami. Wierzę w piękno. Szczególnie w takich chwilach, w których znów jesteśmy dziećmi.

Oczywiście, dni oddzielające śmierć od pogrzebu były jednym wielkim szaleństwem: tysiące telefonów do ludzi, drugie tyle odbierane od ludzi - sonata *Waldsteiniowska* Ludwika van Beethovena (Nr 21 w C-dur, opus 53), nerwowe, rozgorączkowane jak niemy film *allegro eon brio*; uwielbiam wyrażenie *eon brio*: kryje się w nim jakaś brutalność - dzwoniłem głównie do prawników, bo nie miałem zamiaru czekać na żadne oficjalne otwarcie testamentu, chciałem usłyszeć wszystko prosto z mostu: czy należą mi część spadku ojciec zapisał mojej żonie?! Ach, tak. I zmarł, nie zdążywszy tego zmienić? Znasz odpowiedź. A co z tymi cholernymi dziesięcioma tysiącami akrów? Umieścił w testamencie „leśną klauzulę”! Rozporządził, że po wszystkie czasy nasze dziesięć tysięcy akrów ma być zoologiem dla wielkich, starych drzew! Moja żona i brat dostali wszystko, wszystko! Oczywiście, miałem połowę z tego, co przypadło żonie, lecz pod warunkiem, że nie zechce się ze mną rozwieść. Chyba że... Chyba że, zanim mnie wydziedziczy... postaram się żeby umarła.

Nic nie rozumiesz, Winono. Nie chciałem cię zabić. Wtedy już

nie. Przeszło mi to w chwili, gdy stałem nad tobą, myśląc, że nie żyjesz. Pozwolisz, że zapytam: czy naprawdę wtedy spałaś? Tak czy inaczej, nie rozumiesz, że tamtej nocy w sypialni nie napawałem się własnym czynem, ale marzyłem o tym, by cię wskrzesić, marzyłem o tym, żebyś nigdy nie musiała cierpieć w chwili śmierci -wciąż życzę ci tego, naprawdę - co więcej, pojąłem, jak bardzo cię kocham. Całkowicie - to znaczy nie egoistycznie, bezinteresownie, tak jak można kochać tylko nieosiągalnych już zmarłych. Bo myślałem, że nie żyjesz. Śmierć ojca zbudziła we mnie podobne uczucia. Choć rany pozostają nie zabliźnione, choć wciąż pieką mnie pręgi - czuję je na całym ciele, widzę je na Billu, przemawiają do mnie słowami, tysiącami blizn - ojciec nie tylko nas zranił, ale ze swym zwykłym, beztroskim okrucieństwem nauczył nas, jak ranić się dalej samemu, gdy jego zabraknie. A ja go kocham.

Nie wiesz o ostatniej rzeczy, jaka wydarzyła się tamtej nocy -kiedy umarł ojciec - i nie uwierzysz mi, jak ci powiem, dlaczego miałabyś mi uwierzyć, zawsze byłem kłamcą, ale co mi tam: czy pamiętasz, Winonko, ten pas drogi na wzgórzach, gdzie robi się naprawdę wąsko, a w kwietniu kwitną fioletowe trąbki, nazywane gołymi damami? Rosną nad samą krawędzią klifu przez jakieś pół mili? Tamtej nocy zacząłem płakać, płakałem tak bardzo, że zjechałem z asfaltu. Rozjechałem setki gołych dam, nim zatrzymałem się przy drodze.

Po pewnym czasie zadałem sobie pytanie: co ja tu, do cholery, robię? Było tak ciemno, że nie widziałem tablicy rozdzielczej, nie mówiąc już o tym, co było na zewnątrz, jeśli cokolwiek tam było. A może wszystko cofnęło się do bezkształtnej, przedczasowej nie-geometrii wypełnionej jedynie niskim, zawodzącym dźwiękiem, cichym, dalekim, bolesnym, jakby coś umierało albo się rodziło? I skąd, do cholery, pochodzi ten dźwięk?

Za moimi plecami mgła robiła się coraz jaśniejsza, świeciła niczym jutrzeńka, by w końcu skurczyć się do rozmiarów dwóch reflektorów. Czekałem, aż samochód mnie wyminie i zostawi za sobą ciemność, ale nie zrobił tego. Bardzo blisko, jakieś sto stóp od tylnego zderzaka mojego wozu, zwolnił nagle i zatrzymał się na poboczu. Zgasły światła. I nic. Stał za mną w ciemności.

Upłynęła minuta, po której wydało mi się, że widzę w lusterku światło we wnętrzu tamtego auta. Nie słyszałem jednak ani otwierania, ani zamykania drzwi. Nie byłem pewny, czy słyszałem jakieś kroki. Nie odwracałem się, żeby sprawdzić. Wiesz, jak nieswojo się czuję na pustej drodze w środku nocy. Podobnie czułbym się nocą na cmentarzu. W okręgu Mendocino jest tyle istot, które nie śpią,

gdy każdy powinien spać, istot stwarzających siebie, poruszających się niespokojnie, wrzących i mamroczących modlitwy, seksualnych morderców, maniaków składających ofiary, poligamistów, którym wydaje się, że Jezus chce ich zabić i chrześcijańskich ludożerców... Pamiętasz Żabcię Jenny, tę, która kastrowała mężczyzn? Przez lata mieszkała przy drodze do Booiwille. A pamiętasz tę historię z West Point, gdzie znaleźli siedem szkieletów w jednym grobie? Ten, kto wykopał ów grób, pewno jeszcze żyje i mieszka gdzieś tu w okolicy i chyba nie sypia w nocy... Usłyszałem zbliżające się kroki. Weisnąłem sprzęgło, przekręciłem kluczyk i... zalałem świece; musiałem czekać, jak człowiek bez nóg. Z drugiej strony, czułem się idiotycznie. Mógł to przecież być jakiś automobilista-samarytanin, jeden z moich przyjaciół, ktoś, kto chciał pomóc bezradnemu. Albo wbić nóż w serce niemowie... Bo nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Jak we śnie, w którym nie można krzyżeć. Drżącymi palcami trzymałem kluczyk w stacyjce. Przekręciłem.

Samochód nie chciał zapalić, nie chciał zapalić i nie chciał zapalić. Ogarnięty jakąś radosną męką, zbyt długo włączałem zapłon, akumulator siadł i wtedy pękło mi serce z powodu każdej porażki, jakiej doświadczyłem, z powodu każdego nieudanego gówna i przede wszystkim z naszego powodu - z powodu ciebie i mnie. Wiesz, chciałem do ciebie wrócić. Chciałem ci wtedy powiedzieć, co właśnie odkryłem o miłości - że w zasadzie potrzebne nam jest inne słowo do jej wyrażenia, bo to zużyliśmy, okaleczyli, podeptali, wycieraliśmy nim usta po każdej taniej namiętności... W porządku, przyznaję, że namiętności nie są tanie, czasami wymagają od nas zdumiewających poświęceń, ale znikają, bledną - spójrz na nie w ten sposób: wybuchają niczym gejzery, by potem rozpląnąć się w błocie. Chciałem ci powiedzieć, przysiąc, że pożądlivość, jaką czułem do Melissy, moja zachłanność wobec ziemi, drewna, pieniędzy... nie była miłością. Cóż... siedziałem zupełnie załamany i lkałem w mojej gównianej maszynie, która zmiażdżyła kołami przyszloroczne kwiaty, bo nie mogłem do ciebie dojechać. Posłuchaj teraz. Tam daleko jest coś, czego pragnę. Myślę, że nie jesteś w stanie pojąć, jak bardzo zależy mi na tym, jak gorąco się o to modlę, czując ten jedyny w swoim rodzaju zapach niesiony wiatrem, gdy noc jest pełna słodkiej muzyki, słuchanej tylko przez nastolatków. Marzę o całym życiu, które nie może być moje, o nowej opowieści o mnie i o tobie: nie lubię szkoły, gram na gitarze, pracuję na stacji Texaco. Spotykam cię na werandzie w domu twojej mamy. Czekasz, aż odsłużę swoje w wojsku. Czasami czuję, jak to spływa po mnie niby moje własne wykrzywione odbicie w gabinecie luster, i do-

chodzę do wniosku, że to jest moje życie, a ja jestem tylko refleksem - zniekształconym w dodatku. Jest świat i jest lustro. Tutaj samochód nie chce zapalić, mój ojciec leży jak granit w swojej sypialni, wiatr szumi w trawie i zachodzi księżyc, zostawiając po sobie taką ciemność, że gdybym wysiadł, nie odnalazłbym drogi do auta. A drogą nadchodzi nieznajomy. Nad morzem wisi deszcz, który wszystko zmoczył... i jeszcze zimno, a gdzieś, wiele mil dalej, gra upiorna tuba i trąby przygrywające śmierci.

Kim był nieznajomy, który wyszedł z cienia? Kto podszedł do samochodu, wsunął przez okno rękę i dotknął mojej twarzy, pytając: *Co się dzieje!*

Zabójca. Twój zabójca. Tak jest, ten, który powinien był cię zabić.

- Nie wiedziałem nawet, że masz samochód - mruknąłem.

Przepraszam na sekundę...

To staruszek-właściciel zastukał do drzwi, przyniósł naręcz drewna do kominka i popsuł mi nastrój. Na pewno byś go poznała, kochanie. Mieszkam w tym samym przytulnym miejscu, w którym spędziliśmy ostatnie Święta - a może przedostatnie? - w tym samym pokoju z kominkiem i wyliniałą skórą niedźwiedzia na podłodze, i wypchanym pstrągiem na ścianie. Interes prowadzi ten sam starszy pan, który jeszcze żyje, oddycha i ma - jak podejrzewam - tego samego papierosa przyklejonego do warg. Wciąż krzywi się, widząc moją rosnącą bursztynową wieżę z pustych flaszek. Zramolały kretyn. Nie lubi mnie, bo mu powiedziałem, że sądząc z wyglądu futra, niedźwiedź został upolowany przez pluton piechoty morskiej. Pod tym względem jestem wyjątkowy, w jednej sekundzie potrafię zmienić w śmiertelnego wroga nieszkodliwego, anemicznego

Navarro wrzucił kilka monet do szczeliny w suszarce.

Na dworze robiło się ciemno i widział swoje odbicie w szybie. Wyglądał jak człowiek w pralni, lecz czuł się jak człowiek pogrążony w mroku, stojący w tropikalnej koszuli i brązowych spodniach na dnie dołu, identyfikujący się obecnie tylko z innym człowiekiem, który prawdopodobnie już nie żył i którego słowa wirowały wolno na luźnych kartkach papieru. Miał nadzieję, że Fairchild jednak żyje... Miał nadzieję... ale wiedział. Choć nie wiedział do końca, co wie. W ciemniejszej szybie pralni Navarro widział faceta, który nigdy nie dowie się, co tak naprawdę zaszło między początkiem sierpnia a końcem września zeszłego roku, w szcze-

gólności: co przydarzyło się w pierwszych dwóch tygodniach września 1990 grupie ludzi - grupie, której pełnego składu nie znał, lecz która wedle jego najlepszej wiedzy obejmowała braci Fairchildów, ich ojca, Winonę Fairchild i Carla Van Nessa, a także z pewnością wiedźmę i specjalistkę od ciał astralnych, niejaką Yvonne. Był jeszcze ktoś... osoba również od dawna zaginiona... współnik braci Fairchildów, może sprzymierzeniec lub współuczestnik spisku: miejscowy surfer znany jako Clarence Meadows.



KSIĘGA DRUGA

|||

A03 i ? >



2-5 września 1990

Okolo pierwszej po południu, jakieś dziesięć mil przed skretem do Bakersfield i tuż po długim zjeździe z Pasma Wheelera, Clarence Meadows skorzystał ze zjazdowej rampy drogi międzystanowej numer 5 i skierował się do restauracji „Coco's”, ukrytej w cieniu wzgórz, na prefabrykowany lunch. „Lunch z owcą” -jak mawiał. Wyjechał późno z Long Beach i nie było szans, by zdążyć do Gualali przed północą, dlatego kolejne stracone pół godziny nie robi mu różnicy. W samochodzie nie działało radio, a Clarence Meadows chciał usłyszeć złe wieści napływające z Kuwejtu.

W restauracji kupił gazetę i usiadł za barem, pijąc pepsi i robiąc przegląd sytuacji: zakładnicy opuszczali Irak, amerykańscy żołnierze lądowali w Arabii Saudyjskiej.

Gdyby ktoś zapytał go o zdanie, to pomysł prowadzenia wojny lądowej bardzo mu się nie podobał. Jeśli tamci nie chcą pokoju, niech poprobują bomby atomowej. Tak wygląda uczciwa wojna.

Odłożył gazetę i odsłonił twarz mrużącego oczy faceta o dwa stołki dalej. Gość robił sobie prasówkę za darmo. Clarence zmierzył go wzrokiem.

- Znów to samo - mruknął tamten.
- Kolejna niedziela w raju - zgodził się Meadows.
- Chodzi mi o to, co piszą w gazetach.
- Niestety, to wszystko nie dzieje się w gazetach - poprawił go Clarence - tylko gdzieś tam... naprawdę.
- Myśli pan, że pójdziemy na całość?
- No.
- I będzie prawdziwa wojna?

- No.
 - O ropę?
 - Jeśli chodzi o cenę benzyny, nasz kraj byłby gotów zbombardować Watykan, gdyby zaszła taka konieczność.
- Facet prowadził przedziwną firmę, zajmującą się złomowaniem sprzętu. Powiedział Clarence'owi, że kupuje hurtowo stare komputery, rozbiera na części i przywozi je do Południowej Kalifornii.
- Stary komputer jest głównie wart - mówił. - Ale w bechach ma dużo wchajstrów, na które jest spory rynek.
- Miał w Montanie trzy hangary pełne złomu.
- Powinien pan zobaczyć moją czapkę - powiedział ni w pięć, ni w dziesięć, nie tłumacząc, o co mu chodzi, ani nie pokazując żadnego nakrycia głowy. Clarence stwierdził, że facet z Montany działa na niego kojąco. Może dlatego, że jechało od niego gorzała.
 - Ja pracuję w odwrotnej branży - powiedział Clarence.
 - W komputerach? Buduje pan komputery?
 - Nie, kupuję złom w Los Angeles i składam do kupy na północy. Stare auta.
 - I gdzie je pan sprzedaje?
 - Tam, gdzie kupiłem. W Los Angeles. Ale to zwykłe hobby.
 - A jak pan zarabia na życie, jeśli mogę spytać?
 - Nie może pan - odparł Clarence Meadows.

Meadows jechał na północ z Los Angeles, gdzie sprzedał samochód wyremontowany przez Billa Fairchilda, kupił złom, którym się właśnie przemieszczał, i załatwił kupców na ma-rynę - jego i Nelsona Fairchilda - po zbiorach. Nominalnie sprzedają zajmował się Nelson, ale tak się złożyło, że Clarence znał w Long Beach parę osób z branży muzycznej, a jak się Fairchildowi to nie spodoba, to generalnie może mu naskoczyć.

Pięćdziesiąt lub nawet sześćdziesiąt mil na północ za skrzyżowaniem do Bakersfield zjechał na pobocze na tyle szerokie, że mógł się zająć autem. Za pomocą drutu z wieszaka zlikwidował wprawnymi rękami luzę w pedale hamulca, który klekotał niemiłosiernie. Nurkując pod tablicą rozdzielczą, zauważył dwa wiszące kabelki z końcówkami przeżartymi

rdzą - zetknął końcówki i usłyszał charkot radia. Kiedy skręcił kable, z głośników wydobył się obiecujący szum.

Gdy wygramolił się spod kierownicy i usiadł na fotelu, stwierdził ze zdumieniem, że nad ziemią zawisła mroczna chmura, a raczej ściana wybrzusząca się w samym środku kłębam kurzu. Wyglądała jak grzyb po wybuchu atomowym i zajmowała całą północno-wschodnią część horyzontu.

Dobrą chwilę zastanawiał się nad jej pochodzeniem, by na koniec dojść do wniosku, że gdzieś nad pustynią huragan uniósł na pół mili całe tony piasku, wirujące teraz w powietrzu. Burza piaskowa! Wyglądało na to, że stoi w miejscu. Ale to tylko złudzenie. Zbliżała się, i to szybko! Bez namysłu podkręcił szyby.

Do tej pory jego głównym zmartwieniem był stan samochodu - mercedesa 190SL - pięknego wozu źle traktowanego w przeszłości, z zapchanym gaźnikiem i tendencją do wyrzucania oleju przez pokrywę silnika. Teraz jednak to wszystko zeszło na plan dalszy, bo oto wichura uderzyła w drogę i samochód zanurkował w ścianę ciemności. Clarence od razu się zgubił. Nie widział jezdni! Mimo zamkniętych okien poczuł piach na języku. Kurz drapał go w nosie, z oczu pociekły mu łzy. Pokręcił gałką radia. Cisza. Gdzieś z oddali dobiegało ciche dudnienie silnika i przeraźliwy, głęboki szum wiatru. Dający do myślenia szum wiatru. Skręcił lekko w prawo, poczuł słaby wstrząs, gdy opony od strony pasażera za-buksowały w żwirze i potoczyły się dalej, podskakując na wybojach. Nie zatrzymał się. Jechał lewą stroną po jezdni, a prawą - poboczem. Doszedł do wniosku, że to jedyny sposób, by nie wypaść z drogi. Zwolnił, poruszał się w tak ślimaczym tempie, że strzałka szybkościomierza nie reagowała. W aucie zrobiło się gorąco. Kierownicę pokryło błoto, pot zmieszany z kurzem. Wirująca pustynna ziemia pachniała staro i dziewiczo zarazem.

Po lewej stronie mercedesa pojawił się biały cadillac i zaraz zniknął, jak przelotna myśl.

Clarence nie żałował teraz, że dogadał się z Billem w sprawie sportowego auta. Gdyby jechał sedanem, zabrałby ze sobą deskę surfingową, która w tej chwili wystawałaby z okna i stanowiła potencjalne zagrożenie dla mijających go kierowców, nie mówiąc już o kurzu, który sypałby się do środka.

A tak miał tylko czarną kulę z kręgielni, trąbkę i parę innych drobiazgów niezbędnych do rozwijania nowych zainteresowań. Clarence rozwijał nowe zainteresowania, bo czuł, że umyka mu życie. Wyruszył na południe w poprzednim tygodniu. Po dwóch dniach sprzedał hudsona rocznik 38, któremu z Billym przywrócili życie, zainwestował siedemset dolarów zysku w ten antyk na kółkach, doprowadził go do stanu, w jakim nie bał się wyjechać nim na drogę, i wziął kurs na północ. Z tym mercedesem będzie masa kłopotów, chyba że dostaną cynk w sprawie części. A nawet gdyby nie, to Billy i tak będzie szczęśliwy, mogąc podziwiać to cacko wśród swoich zdezelowanych potworów, z których żadnego nie uznał za pomyłkę.

Przez kilka ostatnich lat Billy Fairchild urósł w oczach Clarence'a, bo jeśli chodzi o samowystarczalność, mógł być przykładem dla innych. Miewał swoje napady, ale przez te wszystkie lata nauczył się oddzielać zdrowego ducha od schorowanej jaźni - od głowy, w której leży się bezsensowne myśli. Co pewien czas Billy przechodził na dietę kawową i wtedy pisał listy do prezydenta, wrzeszczał na całe gardło w lesie - no i co z tego? Szamani zachowywali się podobnie. Za to ich ceniono. Meadows żywił przeświadczenie, że gdyby doszło co do czego, wolałby, żeby w sądzie bronił go szaleniec z lasu niż adwokat nabijający kabzę firmom wydającym karty kredytowe. Chcąc znaleźć ludzi prawdziwie zdrowych na umyśle, trzeba szukać wśród tych, którzy przetrwali mimo szaleństwa. Reszta z nas - uważał Meadows - to bez-mózgie bydło.

Jadąc przed siebie na pierwszym biegu, Clarence doszedł do wniosku, że mógłby podróżować w ten sposób nieskończenie długo, niczym zakneblowany ślepiec. Nie miał nic przeciwko temu, może tylko to, że ów styl jazdy za bardzo przypominał życie jako takie.

Mijał z lewej strony dwa auta szczipione ze sobą w uścisku, którego intymność wprawiła go niemal w zażenowanie. Wypadek nie wyglądał groźnie. Właściciele samochodów stali na pasie oddzielającym jezdnię autostrady: jeden wpatrywał się w pogięty zderzak, drugi wyciągał szyję i rozglądał się po okolicy, jakby wypatrując... Meadows minął ich, całe zda-

rzenie pograżyło się w bursztynowym mroku, niby wessane przez gąbkę.

Z prawej strony pojawiały się od czasu do czasu różne rzeczy: falujący słupek milowy, zielony, niemożliwy do odszyfrowania drogowskaz, pas znikającego ogrodzenia. Fascynował go sposób, w jaki materializowały się nagle obok auta, trwały chwilę, a potem znikaly jak kółko z papierosowego dymu. Ich ciąg wydawał się mieć jakieś znaczenie, tworzył gramatykę pustki próbującej przekazać przejezdnym zaszyfowaną w ideogramy wiadomość.

O ile mógł się zorientować w swym położeniu, nawalnica, przecinając mu drogę, zmierzała na zachód, gdzieś w połowie burzy wyjechał z pustyni i znalazł się wśród nawadnianych pól kalifornijskiej Central Valley. Z mroku wyłaniał się nowoczesny sprzęt rolniczy: maszyny wielkości domów na gigantycznie przerośniętych kołach, ciągnące za sobą pazury i inne ostre narzędzia. Widoczność poprawiła się. Wnętrze chmury już nie wyglądało jak bezksiężycowa noc, ale jak mgła, przez którą tu i ówdzie zaczynało przeświecać słońce. Minął trzy stare, pomarańczowe dwupłatowce używane do oprysków; stały w rzędzie zaparkowane na skraju pola. Wiatr przestał już huczeć. Burza mijała. Upłynie jednak wiele czasu, nim opadnie to wszystko, co zabrała ze sobą.

Wrzucił drugi bieg i nabrał szybkości. Przez dwie godziny zrobił nie więcej niż dziesięć mil. Za dwadzieścia minut będzie mógł doświadczyć gościnności gospodarzy „Regis Ranch” - według tego, co napisano na tablicy reklamowej, przeświecającej przez pył neonowym światłem. Elektryczny znak nie tylko zapraszał pod strzechę, ale i dawał do zrozumienia, że „Regis Ranch” jest największą w Ameryce rodzinną przetwórną wołowiny. W zapyłonym powietrzu można było wyczuć pewien specyficzny zapach. Burza rozniosła po okolicy smród, który Clarence kojarzył z tym regionem, a sądząc po tablicy, musiał on pochodzić z rzeźni „Regis Ranch”. Czuł zapach krwi, który miał mu towarzyszyć przez wiele mil.

Ranczo musiało się tu znajdować od dziesięcioleci, ale dopiero ostatnio pojawiły się reklamujące je przydrożne tablice, a nawet gigantyczne żółte markizy, pulsujące światłem nad prowadzącym do rodzinnej przetwórni zjazdem z auto-

strady. Meadows skorzystał ze zjazdu i zatrzymał się na parkingu. Wiatr ustał, a pył i popołudniowe słońce wypalały w powietrzu egzotyczne, wielowarstwowe cocktaile, w których róże nakładały się na fiolety, a ciemny granat cieni rozbijały jaśniejsze pasma i wyrwy wzgórz.

Rodzina ranczerów Regis - jeśli istotnie tak brzmiało ich nazwisko - postanowiła stworzyć tu regularną oazę z hotelem, restauracją i kilkoma sklepami. Wpompowała w to mnóstwo pieniędzy, domyślił się Meadows. Budynki były wielkie, lecz kunsztowne, z ręcznie obrabianego drewna i wypalanej na słońcu cegły w cynamonowym kolorze. Wszędzie było dużo przestrzeni, jak to na zachodzie, w pomieszczeniach nie czuło się tłoku, miało się ponadto dziwnie kojące wrażenie, że tutaj nic się nigdy nie wydarzy. Handel detaliczny przeoczył „Regis Ranch”. Smród odległej rzeźni - słaby, ale dający się wyczuć nawet za zamkniętymi drzwiami - mógł być tego przyczyną.

Meadows zastanawiał się, czy nie narozrabiać w barze, ale w ogromnej knajpie było pusto i jeden jedyny barman wyglądał na bardziej samotnego niż którykolwiek z jego klientów.

Clarence poczuł nagle zmęczenie i brud na sobie. Ruszył korytarzem do miejsca, gdzie mógłby splukać kurz z twarzy, i trafił do męskiej toalety, która pod względem wielkości i ornamentyki wcale nie ustępowała dworcom kolejowym w kurortach Południowego Zachodu. Błękitne kafelki, ułożone we wzory i łuki, nasuwały porównanie ze sztuką prekolumbijską. Tam gdzie nie było kafelków, leżała cegła - rdzawa, dźwiękochłonna, kojąca.

Przed jednym z pisuarów - samych w sobie niezwykłych, wykładanych ceramiczną mozaiką i przypominających kształtem bidety, które Meadows widział kiedyś w hotelu w Libanie - stał wyprostowany na baczność facet od złomowania komputerów, ten z Montany.

- To znowu pan! - odezwał się starszy gość.

Clarence wzruszył ramionami na powitanie. Montażczyk zdjął koszulę. Sięgnął do torby podróżnej, stojącej obok umywalki, i wyjął z niej świeżą - zieloną, jedwabną, której kowbojski krój idealnie nadawał się do tego otoczenia. Po włożeniu koszuli zajął się włosami, czesząc je energicznie we

wszystkich kierunkach, jakby nie miał pojęcia, o co - do cholery - mu chodzi. W końcu odłożył z zadowoleniem grzebień.

- Niech mi pan przypomni, żebym postawił panu kiedyś drinka - zwrócił się do Clarence'a. - Aha, zapomniałem pokazać panu moją czapkę. Wywinie pan orła na jej widok, wie pan? - mruknął poufale. - Podoba mi się pański styl.

Clarence miał na sobie stare, płócienne żeglarskie tenisówki, włożone na bose stopy, powypychane spodnie z madrasu i sportowy sweter UCLA z oderwanymi rękawami -oderwanymi dlatego, że uwierały go pod pachami. Sweter w ogóle był przykrótki i w pewnych sytuacjach widać było pod nim kawałek brzucha Meadowsa. Całość uzupełniała zielona baseballówka koncernu naftowego BP. Trudno było orzec, co Montańczyk miał na myśli, mówiąc o stylu Clarence'a. Gdy za starszym gościem zamknęły się drzwi, Meadows rozważał tę kwestię, stojąc samotnie przed zwartym szeregiem pisuarów. Świętą ciszę zakłócał jedynie przeraźliwy plusk moczu na ceramicznej mozaice.

Przy umywalkach zdjął czapkę i zobaczył w lustrze brązową twarz, a nad nią oddzielone wyraźną linią białe czoło i przylegające do czaszki włosy. Clarence wyglądał jak oskałpowany. Stał i długo wytrzępywał nad umywalką kurz z czapki.

Parkując mercedesa, postawił go nie dalej jak dwie stopy od ściany budynku. Gdy wyszedł z toalety, stwierdził, że wyjazd blokuje mu wielkie, cytrynowe kombi. Kierowca tego potwora oparł się przy cofaniu o zderzak mercedesa -prawdopodobnie nawet go nie zauważając - i teraz stał przed autem, grzebiąc pod uniesioną, pordzewiałą maską.

Kierowcą była młoda kobieta w czarnej sukience. Clarence zobaczył, jak niezdarnie sięga przez uchylone okno w okolice kierownicy, próbując - bezskutecznie - przekręcić zapłon.

Gdy podszedł, wyprostowała się. Miała na sobie czarną wieczorową suknię w czerwone róże. Mimo to nadal wyglądała niezdarnie - widocznie była już taka od urodzenia. Kombi stało pochylone na jedną stronę. Prawe przednie koło było mniejsze od pozostałych.

- Słyszysz pan? - zapytała Clarence'a. - Nic tylko to bum-

bum-bum i kaput. Słodki Jezu! Wybacz, że nadużywam twojego imienia! Najpierw akumulator, potem rozdzielacz, a teraz to! - Kopnęła lekko w zderzak i roześmiała się.

- Pozwoli pani, że zerknę.
- O! Niebo mi pana zesłało!
- Sama się pani o to postarała. Nie wyjadę, dopóki pani nie ruszy.

Meadows zajął pod maskę i zlustrował silnik, szukając najbardziej oczywistych przyczyn jego braku chęci do współpracy. Potem zdjął palec rozdzielacza i przekonał się, czy akumulator daje iskrę. Kobieta zaglądała mu przez ramię.

- Nie mam pojęcia, dlaczego nie chce zapalić. Normalnie musi stać godzinę albo i dwie, zanim wycieknie cały olej. Może ten piach coś zapchał, jak pan uważa?

A Meadows widział kabel wiszący pod podwoziem z połączenia biegnącego do cewki zapłonowej. Z góry go nie dosięgnie, musiałby wleźć pod spód.

Rozglądając się za kawałkiem kartonu lub gazety, na które mógłby się położyć, zobaczył dzieciaka przyglądającego się mu uważnie z tylnego siedzenia. Czarnowłosy chłopak - może Meksykanin? - miał nie więcej niż cztery lata. Matka była blondynką, mówiła i zachowywała się jak paniusia z Północy. Chłopak siedział wśród sterty śmieci: zabawek, pościeli, jedzenia. Widać było, że razem z matką mieszka na tylnym siedzeniu. Meadowsowi to nie przeszkadzało, choć wyobrażał sobie, że można mieć szczęśliwsze dzieciństwo.

Do diabła - pomyślał - i tak jestem brudny. Przerwał poszukiwania i wsunął się na plecach pod maskę. Obejrzał wiszący kabel: wypadł z zatyczki, to wszystko. Wsunął go na miejsce i wyczołgał się spod samochodu. Przekręcił kluczyk, sięgając pod kierownicę przez okno - tak jak wcześniej robiła to kobieta. Samochód z miejsca zapalił.

- Wiedziałam, wiedziałam: niebo mi pana zesłało! - ucieszyła się kobieta.
- Jestem Carusem przerwanych połączeń - rzucił.
- Że co?
- Ma pani obluźwane kable - pokazał jej zwój przewodów. - Przydałoby się trochę izolacji.
- Chyba tego nie mam.
- A jakąś zwykłą taśmę klejącą?

- Niestety.
- No to znów wypadnie przy jakimś wstrząsie. Musi pani uważać.

Zjedli razem wczesną kolację w restauracji, w której kobieta chciała się zatrudnić. Meadows stawał. Było mu żal dzieciaka, a poza tym zastanawiał się, czy matka - po tak krótkiej znajomości - da się przekonać. Miała na imię Canie. Podobała mu się w tej szalonej sukience w kiczowate róże, w jasnoczerwonych pantoflach na dwucalowych szpilkach i cieniutkich, jakby ciut za luźnych rajstopach. Jej dłonie, mocno zniszczone, ale o szczupłych, delikatnych palcach zakończonych krótko przyciętymi, brudnymi paznokciami, przemawiały do niego. Miała też ładne oczy, zupełnie nie kobiece; wszystko zresztą było w niej trochę grubokościste i niezdarne. Ale nie brzydkie. Tylko silne i gotowe. Nad górną wargą miała włoski rozjaśnione przez słońce.

- Jeździsz za zbiorami? - zapytał, choć i tak znał odpowiedź.
- Przyjechałam tu na sałatę. Potem wracam do Waszyngtonu na jabłka. Ale chcę się postarać o tę robotę kelnerki.
- Masz zieloną kartę?
- Rozszyfrowałeś mnie, co? Ta, jestem z Północy. Urodziłam się i wychowałam w kanadyjskim Jukonie.
- Dadzą ci pracę w restauracji?
- Mam pozwolenie. Nie ma z tym problemu. Mój stary ma obywatelstwo amerykańskie.
- A stary... - Clarence zawahał się - ...gdzie?
- W drodze. Nikt nie wie, gdzie. Modlimy się za niego.

Canie nie poszczęściło się z pracą. Knajpa była duża, z czerwonymi obrusami i dobrym meksykańskim jedzeniem, ale nie miała klientów.

Meadows stracił poczucie czasu. Zdaje się, że tracił również poczucie kierunku, bo stwierdził, że nie ma nic przeciwko temu, żeby pojechać za Carrie międzystanówką do „Seven Flags”, garkuchni kierowców ciężarówek, i zaopiekować się dzieckiem, gdy Carrie będzie pytała o pracę. Stał razem z chłopcem oparty o żółte kombi i przyglądał się galerii przedziwnych amerykańskich typów, napełniających zbiorniki przed sklepem „Big Chief”. Clarence miał wrażenie, że patrzy na inny gatunek ludzi. Owce zostały w „Coco's”

i „Regis Ranch”, tu przy korycie stawali mieszkańcy chlewów. Widocznie okolica była tańsza, bo „Seven Flags” istniało, gdy nikt jeszcze nie myślał o przetwórni Regisów. Wszechwładnie panowała tu trzoda. Wieprze. Prosięta. I świńskie psy.

- Przypatrz się temu, chłopcze.

- Co? - zapytał mały.

- Pamiętaj, jak dorośniesz, nigdy tu nie przyjeżdżaj. Żeby nie wiem co!

- Wracam do samochodu.

- Masz rację. Siedź tam i nie wychodź.

Syn Carrie, jak się okazało, urządził sobie na tylnym siedzeniu twierdzą. Prowadził z niej skomplikowane operacje wojskowe. Wojny nie znające ograniczeń czasoprzestrzennych, toczące się raz w dalekiej przyszłości, raz w średniowiecznej Europie, a raz na Dzikim Zachodzie.

- Widziałeś burzę piaskową? - spytał Clarence'a.

- No. A ty?

- Robię szarego - oznajmił chłopiec. - Będzie umiał mówić.

- To dobrze.

- I strzelać.

Chłopiec miał pod paznokciami resztki modeliny, tak jak jego matka - brud. Prawdopodobnie ryła pazurami w okolicznych polach. W Central Valley wszędzie były pola - dzięki nawadnianiu - i tylko tu i ówdzie wyrastały z nich dziwne, martwe formacje, spękane, pustynne wzgórza, zupełnie jak te z Biblii, na które wpędzano kozła i zrzucano go w przepaść. Przerażające były też drogi międzystanowe. Oczywiście zbudowali je ludzie, ale autostrady miały w sobie coś z geologicznych struktur, odwiecznych prawd, jakby biegły ku nieskończoności i wyłoniły się z ziemi razem z wulkanami...

W drzwiach „Big Chiefa” pojawiła się nagle zielona, kowbojska koszula. Montażczyk wyszedł ze sklepu, trzymając dwoma palcami - jak w kleszczach - karton z sześcioma puszkami piwa.

- Hej - powitał Clarence'a, pstrykając wolną ręką w dąszek baseballówki. - Hej, kapuje pan?

Meadows miał ochotę zapytać go, czy nie jest pedałem.

- No... Niech pan zobaczy! - powiedział tamten niecierpliwie i wskazał palcem na własną czaszkę.

Clarence spojrział na czapkę. Tuż nad daszkiem widniał jakiś czarny hieroglif albo grecka litera. Montañczyk cofnął się o krok:

- Widzi pan?

Nie, Meadows niczego nie widział. Minęła długa chwila, nim pojął, w czym rzecz. Znaczek na czapce był optyczną sztuczką: gdy facet cofnął się jeszcze dalej, zniknęły zarysy hieroglifu, jego kształty rozplynęły się, a w tym samym miejscu pojawił się napis: LIZ CIPE.

Montañczyk wskoczył do swojego pikapa i odjechał, ciągnąc za sobą niedużą przyczepę, która wkrótce wypełni się -jak przypuszczał Meadows - bezcennym cyfrowym śmieciem.

Nie mając nic lepszego do roboty, Clarence odwiedził „Big Chiefa” i kupił sześć piw słodowych „Colt 45” i trzy małe, chłodzące bełty. Pomyślał, że rada Montañczyka była całkiem zabawna - w każdym razie nie do odrzucenia. Pojawiła się dokładnie wtedy, gdy zaczął już zapominać, co tu właściwie robi.

Mały wyszedł z auta i usiadł na tylnym zderzaku. Podzielili się ciszą, którą chłopiec wykorzystywał do celowania śliną w małego robaka.

- Masz nowe papcie - powiedział w końcu Clarence.

- Taa. Ktoś je wyrzucił.

- Pasują?

- Pasują, jak mam na nogach cztery pary skarpetek.

- Jak masz na imię, koleś?

- Clarence - odparł mały.

- Nie zalewasz? Ja też się tak nazywam.

- Wiem. Ale to moje imię.

Podzielił się „Coltem 45” z małym Clarencem. Zanim wypili pół butelki, chłopak powiedział, że kręci mu się w głowie, i położył się na tylnym siedzeniu, opierając głowę na ręce. Miał wielkie oczy o niezwykle, niemal fioletowych powiekach, wyglądał bardzo egzotycznie i bardzo samotnie w czystych, za dużych tenisówkach.

Wróciła Carrie. Oznajmiła, że nie lubi bełtów, ale ponieważ chciało się jej pić, wypła wszystkie trzy. O dziwo, nie zrobiła² sobie pośmiewiska. Meadows wpatrywał się w jej oczy,

czekając na to jedyne w swoim rodzaju spojrzenie, ale nie doczekał się. Ożywiła się tylko, stając się jeszcze bardziej atrakcyjna.

Obejrzała jego samochód i zauważyła rzeczy za siedzeniem kierowcy.

- Co tam masz?
- Głowę, kilka głów.
- Naprawdę?
- Mam zamiar ją wypreparować i nosić na szyi jak amulet.
- A mnie się wydaje, że to kula do gry w kręgle. To kula,

prawda?

- Cholera, pomyliłem się! Tej chyba nie wypreparuję.
- Nie wygłupiaj się.
- Chyba zacznę grać w kręgle.
- Jesteś zawodnikiem?
- Nie, dopiero się uczę.
- Wygłupiasz się.

- Poważnie. Dostałem tę kulę za darmo, więc pomyślałem sobie, co mi tam, nauczę się i wiesz...

- Pokaż mi ją.

Meadows rozpiął zamek błyskawiczny futerału.

- Masz, nie bój się.
- Muszę włożyć palce w te...
- W każdym mieście jest kręgielnia... mniej więcej...
- Cofnij się!
- Rzucaj, maleńka, śmiało.

Dopił piwo, a Carrie rzuciła kulę po asfalcie. Kula - zielono nakrapiany Brunswick - trafiła w śmietnik „Big Chiefa”, a później potoczyła się wzdłuż budynku między stare skrzynki, wśród których wyglądała bardzo godnie i oryginalnie. Meadows poszedł po nią.

Dziewczyna krzyknęła w jego stronę:

- A co my tu jeszcze mamy? Karabin maszynowy... Nie, kij bilardowy! Założę się!

- Przepraszam, pomyliłem się - powiedział, wróciwszy do samochodu. - To nie jest kula do gry w kręgle. Strasznie mi przykro. To piłka do gry w golfa. A to jest dyl, wybijak. Znaczy się kij. Trzeba to przykręcić w tym miejscu...

- Kij do golfa?
- Tak jest. Numer siedem. Owszem, proszę pani.

Wzięła zamach, celując kijem bilardowym w kulę.

- Masz jeszcze rakieta tenisową albo coś w tym rodzaju? - spytała i sięgnęła ręką do wnętrza mercedesa.
- Teraz to! O-o... Tego nie dotykaj - powiedział.

Próbowała otworzyć futerał trąbki, ale Clarence rzucił twardo:

- Mówię poważnie. Zostaw to, do cholery!
- O... - powiedziała.

Podobała mu się niepewność w jej oczach.

- Przepraszam, ja nie...
- Żartowałem - mruknął.
- O...
- W odpowiedniej chwili zagram ci coś ładnego.

Uśmiechnęła się i odwróciła wzrok. Popsuł nastrój.

- A co ze starym? - zapytał, nie wiedząc, co powiedzieć.
- Już ci mówiłam. To król autostrady. Nie słyszano o nim od roku.

Przyciągnął ją do siebie. Wpadła na niego z takim impetem, że musiał oprzeć się o samochód.

- No, no... - powiedziała, gdy oderwali się od siebie. - Jesteś taki napalony, że powinnam się chyba wypowiedzieć.

Lizała go językiem po zębach. Zdumiewająca pieszczota.

Clarence nie mógł się cofnąć, więc odsunął się w bok.

- Bóg mi cię zesłał.
- Wiesz, jak będziesz kiedyś chciała tego spróbować, jak będziemy trzeźwi... - powiedział - to jesteśmy umówieni.
- Teraz też jesteśmy umówieni. Nie czujesz tego? Nie czujesz naszej umowy?
- Nie, nie czuję - przyznał.

Nagle zmieniła temat. Zaczęła coś opowiadać, chyba o grzybobraniu gdzieś w Oregonie:

- Było tam... wiesz... tysiące ludzi. Głównie z Kamboży... mówili, że przywieźli ich z Seattle czy skądś tam...

I zawsze gdy znajdowałam grzybka, wyrastał obok mnie inny, w słomkowym kapeluszu, i porywał tamtego, wrzucał do worka, zanim się obejrzałam. Nie gardzili grzybami, które ledwo zdążyły wyrosnąć z podłoża. Na skupie wyrzucali im, że zbierają za małe. A oni żarli takie psiaki, świństwa, i po tych grzybkach byli jak piranie, mówię ci...

Złożyła dłonie i pokazała mu, jak wygląda żarłoczna pirania. Ten gest złamał mu serce mniej więcej na pół. Znow nurkowała w aucie.

- A to co, mój drogi?
- Skąd to się wzięło?
- Mój drogi, powiedz mi, co to jest?
- To...

Trzymała w ręku baseballówkę. Całkiem nową. Z hieroglifem nad daszkiem. Montażczyk musiał wrzucić mu zapasową czapkę przez okno. W prezencie.

- Co tu jest napisane?
- To w nieznanym języku.

Najsmutniejszą rzeczą związaną z tą osobą nie było to, że jeździła autem pełnym starych śmieci, ubierała siebie i dziecko na śmietnikach, była bez forsy i nie miała innej przyszłości oprócz tej, jaka czekała ją na polach sałaty, cebuli i orzechów. Najsmutniejszą rzeczą było to, że Ciarence był jedynym wydarzeniem, jakie spotkało ją na przestrzeni tysiąca mil i może od tysiąca lat.

Powiedział:

- Chuj z tym. Jedziemy do motelu.
- Też sobie tak pomyślałam.

Kule rozszarpywały mu ciało, a Liban z jego snów zapadł się pod ziemię. Obudził się w samym środku kalifornijskiej nocy. Żywy. Ale w powietrzu czuć było jatkę.

Odnalazł się w czasie i przestrzeni: była noc i leżał w łóżku obok kobiety, Carrie, niezbyt daleko od rancza i rzeźni rodziny Regis. Wiatr musiał zmienić kierunek. Czuł zapach krwi przez sen.

Śnił ten koszmar od lat. Wraz z upływem czasu sen stawał się coraz mniej realny i wracał bezkształtny niczym odległe echo. Nie śnił już o Libanie co noc, sen przywoływały drobne wydarzenia, jakaś rozmowa, wrażenie albo - tak jak dzisiaj - dotyk palców Carrie badającej blizny, śpiącej teraz obok niego z ręką na kolanie.

Przed paroma godzinami wyciągnęła się nad nim na łóżku i powiedziała cicho:

- Zamknij oczy, Ciarence.
- Dlaczego?

- Chcę zapalić lampkę.

Gdy zrobiło się jasno, usłyszał jej głos:

- Dobry Boże! Ktoś potraktował cię wiertarką!

- Byłem postrzelony.

- Przez kogo?

- W zasadzce. W Bejrucie. I jak chcesz wiedzieć, wykończyłem wszystkich sześciu skurwysynów, którzy do mnie strzelali. Nie żyją.

To już sześć... nie... prawie siedem lat i fakt, że ich zabił, sprawiał mu największą satysfakcję... ten fakt, że wszystkich innych faktów...

W koszmarze pojawiały się wszystkie uczucia - zwolnione jakby po to, żeby mógł się nimi delektować (choć przypuszczał, że to one delektowały się nim) - które podczas rzeczywistych wydarzeń zeszyły na dalszy plan, zepchnięte gdzieś w głąb ruchem zapewniającym cudowną głuchotę. Clarence śnił o jeździe otwartym dżipem przez Bejrut. Wschód słońca palił go w ramiona. Nie wiedział, dokąd jedzie, lecz zmierzał wprost ku temu. Było to coś w rodzaju ogólnego zamieszania o historycznie wielkich proporcjach i nagle coś dużego i ostrego wdzierало się w dzień, jak otwieracz do konserw, i w tym momencie przestawały obowiązywać jakiekolwiek reguły gry. Jechał za facetem, którego nazwisko - jako jedyne - pojawiało się we śnie. Na jawie pamiętał wszystkich innych, ale we śnie widział tylko tył głowy Toma Reguły i myślał: „Reguły nie obowiązują”, a po obu stronach waliły się czarne budynki. Tak było też w rzeczywistości. Towarzyszyło temu ogromne przerażenie - otaczające ich ze wszystkich stron, bo alarm, zamieszanie postawiło na nogi wszystkich: alarm bojowy, który w tych warunkach zawsze mógł oznaczać wybuch bomby atomowej - przerażenie podsycane faktem, że libańscy kowboje jak jeden mąż porzucili posterunki i we śnie dżip pędził obok nich, choć w rzeczywistości musieli się zatrzymywać, żeby usunąć koleczki rozciągane przez kowbojów w poprzek dróg, ale we śnie wciąż rwali przed siebie, szorując antenami o ledwo uniesione szlabany zapór. Ktoś rzucił błotem w głowę Toma Reguły. Tomowi odpadł tył głowy. Dżip zatrzymywał się, Clarence wysiadał z dżipa i stawał nad krawędzią Libanu, na olbrzymiej pustyni, i patrzył, jak Tom miota się i rzuca w dzi-

pie, który natychmiast odjeżdżał. W rzeczywistości wyrwał z samochodu wielki L-60. Kule dzwoniły o maskę. Wykrzykiwał rozkazy, że mają zostawić go z tyłu, i szedł przed siebie jak we śnie, strzelając krótkimi seriami w kierunku plujących pomarańczowym ogniem luf i kwiecistych rozpry-sków podpalonego kordytu, wybuchających pod żywoplotem na niewielkim pagórku przed rozwalonym budynkiem. We śnie szedł z pustymi rękoma ku niezliczonym płomyczkom i wykrzykiwał liczby i obce słowa - wściekły, bo myślał, że gdyby tylko go zrozumiano, mógłby zapobiec tej sytuacji -i czuł, podobnie jak w rzeczywistości, uderzające w niego kule. W Libanie, prawdziwym Libanie, okazało się, że kule nie mają znaczenia. We śnie był przerażony, czując, jak otwiera mu się ciało, a powietrze i kurz dotykają jego wnętrza, jestestwa, które zawsze powinno być zamknięte. W tym momencie, zarówno w życiu, jak i we śnie, wszystko ogarniała czerń: dochodził do granicy między dwoma światami. Otwierając oczy, często odnosił wrażenie, że odzyskuje przytomność po postrzale. Odczuwał to przez pierwszych kilka lat -zawsze, gdy zrywał się w nocy; wtedy też przez pierwszych kilka minut po przebudzeniu - biegając w panice po mieszkaniu, biorąc prysznic, by splukać z siebie pot - przypominał sobie po kolei wszystkie te drobniaki. Stał przy dziupie i widział, jak porusza się prawa ręka Toma Reguły. Był przekonany, że Tom coś poczuł i próbował podnieść rękę do czoła, którego już nie miał. Pamiętał ciężar L-60 - dwudziestu pięciu funtów niepojętego metalu: Gdzie był bezpiecznik? Gdzie spust? - któremu odpadł magazynek, gdy nacisnął nie tę wajchę, co trzeba. Amunicja rozsypała się jak perły z zerwanego naszyjnika. Od tej chwili poruszał się i doświadczał świata nie w kategoriach czasu, ale kul i cali. Nigdy nie zdołał przypomnieć sobie, co wydarzyło się przez następne dwadzieścia stóp. Musiało tam być wiele kul. Pamiętał, że potem przerzucił pas z amunicją na lewą stronę, żeby go wyprostować. Później leżał na ziemi, czołgał się i strzelał miarowo. Wtedy już na pewno był ranny, ale nie wiedział gdzie, i mało go to obchodziło - chciał mieć tylko karabin maszynowy u boku, wycelowany we wrogów, i siłę, żeby dać sobie radę z naciśnięciem spustu - to wszystko. Nim wystrzelał pięćdziesiąt naboju, trafili go po raz drugi, dostał

więcej niż jedną kulę. L-60 pokrył ogniem cały wzgórek i stojącą na nim ścianę, Clarence jednak nie był pewny, czy ktoś odpowiada mu strzałami. Przerzucił pas z amunicją przez lewe ramię, policzył do trzech i wstał. Stwierdził, że może iść i zrobić pierwszy krok. Pochylał się przed kulami jak przed gorącym wiatrem.

Lekarze powiedzieli, że pięć razy pod rząd grał o życie w ruletkę i pięć razy pod rząd wypadła jego liczba. Miał dużo szczęścia. Potem wyprowadzili mu odbył pod pachę i obiecali, że to tylko na pewien czas. Dotrzymali słowa.

Po tygodniu w Libanie pojawił się prezydent Reagan i płakał nad zabitymi. Przyjechał umocnić morale żołnierzy. Clarence miał odebrać odznaczenie - Krzyż Marynarki - od prezydenta na pokładzie „Nimitza”, ale stan jego zdrowia nie pozwolił na to. Był pewien, że prezydent to zrozumie. Sam kiedyś był ranny - Clarence nie pamiętał, iloma kulami. Clarence dostał cztery kule z kałasznikowa, z których trzy przeszły przez kamizelkę kuloodporną i zatrzymały się we wnętrznościach. Czwarta trafiła w siódme lewe żebro, przeleciała wokół serca, nawet go nie dotykając, przedarła się przez prawe płuco i wyszła przez bark - słyszał, jak szepnęła mu coś do ucha. Kamizelka zatrzymała kilka armalitowych naboju kalibru 0,223, ale jeden trafił go w podstawę szyi, ześlizgnął się w dół przelykiem, zatańczył w żołądku i zaklinował się w mięśniach pleców, liżąc po drodze wątrobę. W sumie pięć kul i jeszcze powierzchowna rana szarpana w miejscu, gdzie trafił go rykoszet kalibru 0,308, możliwe, że jego własny. Przedostał się przez kamizelkę i przeciął mu skórę. Stracił przytomność dopiero wtedy, gdy wystrzelał cały pas z amunicją i znalazł sześć nieruchomych ciał kowbojów w rowie za pagórkami. Były to chude dzieciaki w chustach w czerwoną kratkę na głowach. Takie chusty nosili wszyscy kowboje. Wyrwał jednemu kałasznikowa z zaciśniętych rąk i wpakował ubezpieczenie w lewe albo prawe oko każdego z nich.

Ludzie mówili: „Jest tylko jeden wybór - ty albo oni”, nie mając o niczym pojęcia. Gdy się zabija, nie ma żadnego wyboru, nie ma żadnych „tych ani onych”. Jest się każdym. I wszystkimi. Nie ma żadnej różnicy.

Teraz usiadł w łóżku, obrócił się i postawił stopy na pod-

łodze. Przyglądał się im jakiś czas. Zastanawiał się, czy nie włożyć spodni i nie wybrać się do sklepu „Big Chief czy jakiegoś innego. Mógłby napić się kawy i porozmawiać ze sprzedawcą. Czasami taka rozmowa ratuje człowiekowi życie.

Tylko ten odór z rzeźni... Unosił się w powietrzu i nie opuszczał go jeszcze od tamtych czasów. Był niemal fizyczny: mięso wypuszczające z wnętrza wszystkie duchy.

Canae leżała na boku odwrócona do niego plecami, z wyrzuconą za siebie ręką. Ujął delikatnie jej palce. Nie chciał jej obudzić.

Nie miał zamiaru pieprzyć się po raz drugi z tą kobietą. Dostarczyła mu aż za dużo rozrywki jak na jeden wieczór.

Ta gadanina o Bogu była tylko pustą frazą w jej ustach, zanim doszło co do czego. Potem było ciemno i leżeli obok siebie, a Clarence dotknął miejsca między jej udami. Zadrżała, odsunęła się i westchnęła jakby z rozpaczą. Chciał tylko położyć rękę na jej kroczu.

- Clarence, ja czytam Biblię. I to jest złe.
- Co?
- Pytam cię. Nie czujesz, że postępujesz źle? W zasadzie nie czuł niczego takiego.
- To wypala piętno - powiedziała. - Na całe życie.
- Naprawdę? No cóż...

No cóż, zastanawiał się, czy zdoła ją przekonać. I zdołał. Owszem, dała się przekonać, ale musiała z tego zrobić jakąś kosmiczną aferę. Gwałt, tragedię i tak dalej... W każdym razie nic, co choćby z daleka przypominało zwykłe pieprzenie się w łóżku. Co nie znaczy, że każde pieprzenie jest zwykłe. Nudne i głupie - owszem; dramatyczne i bolesne - tak. Oto jak wyglądały istniejące kategorie.

Wtedy właśnie wyciągnęła się nad nim, by zapalić lampkę, co przypomniało mu o tamtym poranku w Bejrucie. Znow zaczęła ją tarmosić, podniecony jej ciekawością, własnymi ranami, ciemnością, zapachem surowej krwi. Przez chwilę poddawała się temu, a później znow zaczęła bredzić:

- Clarence, Bóg mnie ostrzega. Nie wiem, o czym wczesniej myślałam. Posłuchaj: moje życie nie należy do mnie.

Usiadła bokiem, pochylając głowę. Włosy opadły jej między kolana. Prawdziwy obraz przygnębienia.

- Chyba zacznę znowu palić - powiedział. - Będę miał

czym zająć ręce, kiedy różnym ludziom z mojego otoczenia zaczyna odbijać szajba.

- Muszę stracić życie, żeby je odzyskać.
- Wybacz... ale nie nadążam.
- Posłuchaj - powiedziała żałośnie. - To nie jest mój świat.

Mój świat jest u stóp Zbawcy. W tym dziwnym, cielesnym świecie jestem tylko duchem.

- Szanuję to. Naprawdę, z całego serca.
- Wstań i pomódl się ze mną!

Oboje padli na kolana przed łóżkiem, oboje nadzy, jak ich Pan Bóg stworzył; tacy powinni być ludzie, myślał Meadows, zwracając się do Boga. Carrie wyciągnęła przed siebie ręce, złożyła je na pogniecionym prześcieradle i mocno spłótła palce. Clarence zrobił to samo. Czuł chłód wiejący po tyłku.

- Dobry Ojciec w Niebiesiach, Boże nas wszystkich -zaintonowała.

- Nie możemy tego robić po cichu? - spytał.
- Jasne - mruknęła.

Nim minęła minuta, cisza nabrzmiała erotyzmem i stała się piękna, a Meadows odchrząknął i powiedział nieśmiało:

- Słuchaj... może włożyłabyś szpilki? A

ona odparła:

- Okay.

I potem znów się kochali.

- Nie licz, że zrobię to jeszcze raz - powiedziała, gdy tylko skończyli, jeszcze nie mogąc złapać tchu.

- Jesteś nakreconą małpką - szepnął.
- Nie rozumiesz? To tylko cielesna uczta.

I znów: raz tak, raz siak. Ona i Bóg - to podniecali go, to deprymowali.

- Powiem ci coś jak przyjaciel, Carrie. Spodobałaś mi się, gdy tylko cię zobaczyłem. Ale nie sądzę, żebyś mnie jeszcze ujrzała. Masz nie po kolei w głowie.

- Rozumiem - odrzekła.

Potem usnęli i Meadows miał sen. A teraz obudził się i próbował się z niego otrząsnąć.

Poczuł się lepiej, gdy wstał. Przeszedł do frontowego pokoju. Wydał majątek na ten apartament, ale nie mógł pozwolić, żeby dzieciak Carrie spał w samochodzie; usnął przed

włączonym telewizorem. Na ekranie pani od pogody chodziła od jednego wybrzeża do drugiego, pokazywała coś wskaźnikiem i uśmiechała się sztucznie i odważnie, jakby pogoda była beznadziejna. Meadows usiadł nago na zimnym, winylowym krześle. Rozpoczęły się wiadomości. Nie było ich wiele. Prezydent miał zamiar wygłosić orędzie. Papież odwiedzał Tanzanię. A stu amerykańskich zakładników wróciło do domu z Bagdadu. Tymczasem Meadows sam czuł się jak zakładnik. Może powinien wrócić na autostradę? I tak już nie zaśnie. Jeśli oglądał „Wiadomości o jedenastej” i jeśli wyjdzie stąd przed ich końcem, powinien - zanim wstanie świt - dojechać do Gualali. Gdzie zaraz zacznie obmyślać powód, by móc wyjechać.

Kiedyś na pewno się za to wezmą, ale do tej pory nie wprowadzili jeszcze praw zakazujących przyjazdów i wyjazdów. Może posiedzieć dwa dni w Gualali, a potem wrócić na południe. Zostanie na miejscu tylko tak długo, by sprawdzić, czy Nelson nie zapuścił ogródka; posiedzi też parę dni z Billym w lasach. Z prostymi, mechanicznymi problemami i narzędziami do ich rozwiązywania. Billy miał na niego zbawienny wpływ, głównie dlatego, że żył dzięki własnej przedsiębiorczości. Samowystarczalność - to coś więcej niż zwykła niezależność. Samowystarczalność oznaczała według Clarence'a całkowitą i bezwzględną wolność od widzimisię każdego kutasa z osobna i wszystkich skurwysynów razem. Niektórzy mogli w to wątpić, ale Meadows czytywał eseje Emmersona. Podziwiał je, choć ostatnio do nich nie zaglądał. Na myśl o tym, ile stracił przez ostatnie lata, przewracała mu się wątroba.

Niekiedy jakiś drobiazg, jakaś mała fala przyplływała ku niemu z przeszłości. I wtedy zaczynała się rozpacz.

Książkę Emmersona dała mu Cath, jego żona, jego była żona. Kiedy się poznali, był nią zafascynowany, bo czytała takie rzeczy i żyła - chyba - w dwóch światach jednocześnie: w świecie swojego życia i w świecie książek, które to życie tłumaczyły. Później odkrył, że te dwa światy zbiegały się gdzieś w jej wnętrzu i dawały jej olbrzymią siłę, gdy musiała na przykład podjąć jakąś ważną decyzję, gdy musiała na przykład wypiąć się na męża.

Czasami tym, co przyplływało ku niemu z przeszłości, była

panika. Co, u diabła, robił ze swoim życiem? Dlaczego nie było z nim Cath? Siedem lat tłustych, dwa po każdej stronie trzydziestosześcioletniej przygody z marynarką. Wcześniej przerażające pół roku wyjęte z życiorysu w związku z problemami z wymiarem sprawiedliwości w San Luis Obispo, kiedy szlag trafił szklarniową hodowlę maryhy w dolinie na północ od miasta. Oskarżono go o zamordowanie dwóch współników i spalenie ciał wraz ze szklarniami w celu ukrycia zbrodni. Były to bezpodstawne zarzuty, wysunięte tylko po to, żeby go do reszty pogrążyć. Wycofano je zresztą, gdy tylko zbankrutował, wydając majątek na prawników. Cath wiedziała, że tego nie zrobił, ale i tak go zostawiła. Minęły już trzy lata od czasu, gdy rozmawiali ze sobą po raz ostatni. Teraz wstydził się sam przed sobą, że w ogóle o niej pomyślał. Pocieszał się, że w życiu każdego mężczyzny była przynajmniej jedna. Jedna niezapomniana żona. Jedna płonąca od wieków żagiew.

Wyłączył telewizor i odczekał kilka minut w ciemności przed powrotem do łóżka. Położył się obok Carrie tak cicho, jak tylko mógł.

Położył dłoń na jej udzie, żeby poczuć ciepło. Nie spała. Gdy tylko jej dotknął, powiedziała:

- Nie.

Leżał nieruchomo, jakby sparaliżowany własnym zażenowaniem. Jakoś nigdy nie wychodziło mu z ludźmi. Dlatego instynktownie unikał kontaktów z nimi lub ich uciszał. Dlatego podróżował ku obcym wodom, obcym plażom przywodzącym na myśl stuprocentową identyczność wszelkich wyobrażeń; spędzał zimy w nieznanym miejscach, w których mówiono nieznanymi językami.

Tak miało być: źle. Człowiek spodziewa się nie wiadomo czego po kontaktach z innymi, przeważnie oczekuje, że wyjdzie z nich coś dobrego. Ale co może być gorsze od tej nocy - tu i teraz?

Mimo to poczuł lekkość w sercu. Miał wrażenie, że oto przebrała się miara. Może - przez przypadek - dotyczyło to ich obojga. Może ona też doszła nieodwołalnie do wniosku, że ta absurdałna gra między płciami już ostatecznie wyczerpała wszystkie swoje możliwości.

Czy nie powinien całkiem z tego zrezygnować? Wstąpić

do klasztoru. Albo przyznać się do paru rzeczy glinom. Z całą pewnością zasłużył sobie na dłuższy pobyt pod ich opieką. Zarówno w klasztorze, jak i w więzieniu nauczyłyby się dyscypliny, a potem zrobiłby coś pożytecznego ze swoim życiem.

Zawsze nienawidził dyscypliny. Jej istotę poznał w czasie szkolenia wojskowego. Dyscyplina polegała na tym, by skutecznie odseparować się od każdej myśli, jaka przychodziła do głowy. Potrzebował teraz takiego muru, bo reagował smutkiem na własny wiek. Zbliżał się do trzydziestki i wciąż był zerem, które nawiedzały spazmy rui i przebłyki religijnego nawiedzenia. Przygotowywał się do przejścia magicznej granicy w nazbyt oczywisty sposób: spędzał samotnie długie dni na ciągnącej się w nieskończoność autostradzie, nie mając nic innego do roboty oprócz kierowania autem i nękania głowy zagadkami; przerywał podróż tylko po to, żeby zatrzymać się w dziwnych, pustych miejscach, gdzie siadał przy drodze i przyglądał się pustyni albo polom otaczającym go jak morze. Czasami zatrzymywał się na południe od Gilroy w „Holi-day Inn” - hotelu udającym hiszpańską misję, ba! wyposażonym w małą kaplicę, której atmosfera działała na niego -jak przewidział to dawno temu Karol Marks - narkotycznie. Podobnie rzecz się miała z surfowaniem. Coś, co zaczęło się jako szczeniackie popisy wśród bezustannie imprezujących rówieśników, przekształciło się w samotne czuwania pośród ogromnego błękitu, który niekiedy porywał go i unosił ku wszystkim ogniskom na plaży, ku dziewczętom o skórze koloru piasku, pachnącym, tak, marihuaną, a smakującym jak piwo i sól; ku radości wśród migoczących płomieni - tak, wszystkiemu, do czego w końcu nie dopływał. Początkowo było inaczej, niestrudzenie lądował na plaży raz za razem, spędzał całe dni na ściganiu się z oceanem, a nocami leżał pod rozgwieżdżonym niebem, uwodząc najpiękniejsze siedemnastolatki na świecie. Potem zaczął interpretować własne tryumfy jako porażki. Rzeczywistością stało się tylko czekanie, a nie fale. Teraz wydawało mu się, że to, co robił z rozpalonymi nastolatkami, było jedynie powtarzającą się żalną transakcją: wymianą ich udawanej pożyteczności na jego udawane przywiązanie.

Nie warto było przypuszczać, że leżąca obok niego kobieta była inna, że różniła się od tamtych pod jakimś istotnym

względem. Poza tym, że była bardziej dojrzała i wydawała się bardziej rzeczywista.

I może dlatego wpakował się w to wszystko. Był akurat odpowiedni dzień, wiatr sprawił, że zwykły piach stał się niebezpieczny i wypełnił powietrze bólem. I tak dalej, i tak dalej. Miało to posmak prawdziwej przygody. Bierze kobietę i dziecko - może na zawsze. A oni okradają go albo, jeszcze lepiej, oddaje im wszystkie pieniądze.

Gdy wyjeżdżali następnego ranka, powiedział do chłopca:

- Masz kartę ubezpieczenia socjalnego? Nie. Więc nie jesteś jeszcze niczym obywatelem. Nie masz pojęcia, jaką jesteś rzadkością.

Dzieciak pełzał po podłodze, szukając nowej tenisówki. Meadows widział but, leżący pod sofą, ale nie miał zamiaru mówić mu o tym. Carrie - już ubrana - siedziała na łóżku z podwiniętymi pod siebie nogami. Jej czerwone szpilki wystawały po bokach. Miała złożone przed sobą ręce, patrzyła wprost na Clarence'a i łkała. Nie dawała mu do zrozumienia, że musi jej zapłacić. Było jej szczerze przykro.

Stał w drzwiach między pokojami i był szczęśliwy, że nic go nie łączy z tą dwójką. Mógł zrobić wszystko, na co miałby ochotę. Mógł nalać na podłogę albo podpalić kosz na śmieci.

- No tak - powiedziała w końcu - naprawiłeś mi samochód.
- Urodziłem się po to, żeby naprawiać przerwane połączenia.
- Dziękuję. Uratowałeś nas.
- Skąd się wzięła twoja religia?
- Z drogi. Z radia. Z telewizji... czasami.
- Nie należysz do żadnego Kościoła?
- Droga jest Kościołem.
- Chyba tak - powiedział Meadows.

Tankując przed „Big Chiefem” kilka minut później, widział ją z odległości kilkuset jardów: wyszła z mieszczącego się na parterze pokoju, zapakowała małego Clarence'a do auta i wyjechała dogorywającym dodgem z parkingu przed motelem „Super 8”. Wzdłuż jezdni toczył się suchy pustylny krzew. Drogę przeciął im cień sępa. Tak to wyglądało.

Nie więcej niż pół godziny później, gdy na drodze mię-

dzystanowej zrobił się już dzień, wyprzedził ich na prowadzącej na północ jezdni. Nacisnął guzik na kierownicy. Ale klakson nie działał. Jakieś małe spięcie - z łatwością da się to naprawić.

Sięgnął ku fotelowi pasażera i wziął z siedzenia czapkę, którą dostał od Montańczyka. Naciągnął daszek nisko na czoło. Mijając ich, patrzył prosto przed siebie.

Skręcił na drogę 580, odchodzącą od międzystanówki, pojechał na zachód między wiatrakami Altamont. Były ich setki, większość się obracała, niczym dziecięce zabawki, po obu stronach drogi.

Cała ta sprawa... miał rację od samego początku. Czasami jej zarysy znikają nagle, rozmazane przez niesiony wiatrem pył. A potem ukazywał się prawdziwy obraz. Niezwykle prosty i wyraźny.

Mercedes nie przejedzie przez następną dziurę w drodze - było mnóstwo nowych, głębokich jak rowy. Clarence doszedł do wniosku, że niedawno musiało padać. Postawił samochód w pochylej zatoczce między drzewami i ruszył w dół lasem, przygrywając sobie na trąbce. Słyszał jelenie, jak umykają w krzaki, uciekają od dobiegającego z tyłu dźwięku trąbki i wpadają w panikę, gdy zwielokrotnione echo otacza je trąbieniem ze wszystkich stron. Miał nadzieję, że Billy usłyszy trąbkę i wyjdzie mu na spotkanie. Z pewnością będzie chciał zobaczyć samochód. Ale Billy się nie pokazał. Nie było go nigdzie w okolicach chaty.

Stał na ganku i, pochylony nad wiadrzem, chlapał sobie w twarz deszczówką. Tego ranka obudził się później niż zwykle i wciąż uśmiechał się do swoich snów.

- Facet! Senor Clarencio! Ilu dziewczicom odebrałeś wianek?
- Facet! Fajnie, że pytasz.
- Tysiącom, tysiącom, założę się! Kiedy przyjechałeś?
- Wczoraj po południu.
- Witaj w domu.
- Masz fatalny dojazd. Była burza?
- Półtora cała deszczu przez jedną noc w zeszłym tygodniu.
- Tam na górze mam sto dziewięćdziesiątkę es el.

- Jestem z tobą.
- Pojechali internationalem Billy'ego. Prowadził Clarence.
- Od tych kurewskich dziur można się nawrócić - mruknął, manewrując kołami w koleinach.
- Taa... Kiedyś się tym zajmę. - Billy mówił to samo od lat, a droga z każdym rokiem stawała się gorsza. - Słyszałeś o nalotach w Humboldt?
- Myślę, że już po wszystkim.
- Przez dwa tygodnie rozpieprzali ludziom ogródki.
- Ta? Mnie to nie chwyta.
- Nie mów!
- Nie mówię. Przyszedł rozkaz z Waszyngtonu. Żeby pokazać krajom produkującym kokainę, jak sobie z tym radzimy. Nie ma litości.
- Czuję to wszystko w sobie, człowieku! Czuję palenie w żołądku. Nie chcę, żeby tu weszli.
- Gdyby mieli zrobić nalot, zrobiliby go równocześnie z tantymi.
- Ci żołnierze... to jadowite, złe pizdy. - Dojeżdżali do mercedesa, Billy więc zmienił ton. - Nie wiedzą o tym, ale właśnie tacy są...
- Obchodząc samochód dookoła i oglądając go ze wszystkich stron, Billy był tak szczęśliwy, że nie mógł wydusić z siebie ani słowa.
- Dach działa? - zapytał w końcu. - Są jakieś dziury?
- Trzeba poczekać do następnego deszczu. Wiem tylko, że przepuszcza pył podczas burzy piaskowej.
- Był to rocznik pięćdziesiąty siódmy, pomalowany na biało na oryginalnym błękitnym lakierze. Farba miejscami wyblakła, ale nie było widać rdzy. Billy otworzył maskę i podtrzymując ją ręką, zajrzał do środka. Przez grzeczność nie wspomniał o czarnych plamach oleju w całej komorze silnika.
- Musi być mocno potrzaskany - powiedział Clarence.
- To nie uszczelka?
- Wymieniłem uszczelkę. Trzeba będzie wymienić cały korpus.
- No, tak - zgodził się Billy.
- Ale pomyślałem: co tam...
- Jasne, co tam, człowieku! - Billy uśmiechnął się i wrzasnął:
- Mamy STO DZIEWIĘĆDZIESIĄTKĘ ES EL!

Cała okolica zamarła, ucichła, a potem znów wróciła do normalności.

- Jedziemy - powiedział Billy, otwierając drzwi mercedesa.
- Ty jedź - odparł Clarence. - Ja, bracie, mam coś do załatwienia.

Twoja szajba doprowadza mnie do szaleństwa - myślał Clarence. Nelson Fairchild miał wspaniały umysł, który za pomocą tabletek i gorzały przekształcił w narzędzie tortur.

Niedługo będą bogaci dzięki temu ogródkowi - on i Fairchild. Meadows nie znał planów Nelsona, ale sam miał zamiar zakończyć ten rok w wielkim stylu. Fairchild pewnie zaszyje się w wykopanej przez siebie dziurze. Do tej pory Nelson nie nauczył się żyć bez... nie pojął żywotnej potrzeby obywatela się bez najcięższych kamieni u szyi: kobiet, pieniędzy, euforii...

Dlatego każde miejsce było złym miejscem.

- Wiesz, czego nie chciałbym robić? - zapytał Nelson. - Nie chciałbym się tu pałętać.

- Odpręż się. Zahipnotyzuj. Bądź jak one... - Sępy nad ich głowami fruwały z lekkością piórka.

- Próbuje się rozgrzać przed powiedzeniem ci, co się dzieje.

Wiatr nad kanionem podsycił mały ogieniek, na którym Meadows piekł na patelni pół tuzina pąków. Musieli przenieść się na drugą stronę pola, bliżej krawędzi kanionu i wielkiej przepaści nad strumieniem, od której kręciło się w głowie - korony drzew wyglądały z tego miejsca jak delikatny, puszysty mech - bo w samym ogródku zapach kwiatów marihuany był nie do zniesienia.

- Masz sprzęt czy nie masz sprzętu?

Fairchild podał mu małą, przenośną fajkę wodną, którą wyjął z kieszeni.

- Zajmijmy się sprawdzaniem jakości.
- Sprawdzaniem? Żałuję...
- Naprawdę wyglądasz na przelecanego.

Pąki schły za szybko. Meadows odpiął manierkę od pasa, zmoczył ręce wodą i spryskał nią węgle, z których buchnęła para. Jeden z pąków szerniał. Clarence wrzucił go szybko

do fajki i ciągnąc podał ją towarzyszowi, który jednak opuścił ramiona i cofnął się bokiem jak spłoszona sowa na gałęzi.

- Nie, dzięki. Nie mogę w obecnym stanie umysłu.
 - Czujesz się psychotycznie?
 - Miałem zły dzień.
 - Weź. Od trawy ci się polepszy.
 - Myślę, że mi się pogorszy. W życiu.
 - Na to trawa faktycznie nie pomaga. Musisz znaleźć sobie jakieś hobby.
 - Czy możemy mówić poważnie?
 - Sprawdzamy marychę, Nelson!
 - Wybacz.
 - Powąchajmy róże.
 - Kiedy byłem w szkole w Carmel, musiałem znosić chłopaków, którzy wpadali do toalety i zaczęli dusić każdego, kto akurat sikał...
 - Posłuchaj, muszę cię o coś zapytać...
 - Dobra, złap mnie za szyję. Duś mnie!
 - ...słyszałem, że w szkole byłeś przewodniczącym samorządu. To prawda?
 - Byłem przewodniczącym Młodych Demokratów. A w ostatniej klasie redaktorem naczelnym szkolnej gazety...
 - Potrzebujesz jakiegoś wciągającego zajęcia, to wszystko.
 - *Szkarlatnego onanisty* lub czegoś w tym rodzaju...
 - Mógłbyś kupić ode mnie deskę i zająć się surfowaniem.
 - Myślę, że powinniśmy stąd zniknąć.
 - Rzecz w tym, że jeśli zrozumiesz, o co chodzi w danej dyscyplinie sportu, to tak, jakbyś zrozumiał, o co chodzi w życiu.
 - Stadionowy filozof!
 - Nie musisz wcale uprawiać sportu. Wystarczy, że zrozumiesz zasady. Ja na przykład co czwartek oglądam w kablówce zapasy. O ile mogę.
 - Żartujesz? Przecież te zawody są ustawione.
 - A wszystko inne nie?
- Fairchild roześmiał się, po czym szybko spochmurniał.
- Dym z ogniska widoczny jest w promieniu wielu mil.
 - Masz na myśli naloty w okolicach Garberville.
 - Częściowo.
 - To nas nie dotyczy.

- Zgadzą się.
- Tam chodzi o politykę zagraniczną.
- Zgadzą się.
- Nelson, trochę mnie zaskakujesz. To znaczy, czyżbyś przegapił okazję na flirt z paranoją?

- Paranoja jest teraz tylko miłym wspomnieniem. Mam znacznie większe problemy na głowie niż parę tysięcy żandarmów z Gwardii Narodowej.

Meadows westchnął. Poczł zwykłe, skrzywione, nieco zagniewane współczucie dla Nelsona Fairchilda. - Dobra. Nie odkładajmy tego. Zeznawaj.

- Robię to tylko dlatego, że spanikowałem, musisz to zrozumieć, Clarence. Sram ze strachu w portki, bo chodzi o moje życie. Więc albo będę z tobą szczery, albo przyjdzie mi samotnie stawić im czoło. Ty wydajesz mi się bezpieczniejszą opcją.

- Kim są oni?
- Dokładnie nie wiem.
- O! To znaczy: tamci oni. Jedni z tamtych?
- Każdy, kto obserwowałby mnie przez dwanaście godzin, nie miałby cienia wątpliwości. Przekonaj się sam. Możesz mnie śledzić z ukrycia.

- Będę cię śledził, jeśli pojedziesz do Fort Bragg.
- Okay.
- Do Redwood Lanes, okay?
- Do kręgielni?
- Zabrałem się za to. To nowa rzecz.
- Przeciwnie, bardzo stara. Jeszcze z czasów egipskich, jak sądzę.

- Ja zaczynam w to grać.

Meadows otworzył manierkę i wlał odrobinę wody do pojemnika fajki.

- Błagam cię, bądź poważny. Mówię o prawdziwych zabójcach!

- Zabójcom ktoś płaci.
- Kurwa! Tak, Clarence. Ciało musi jeść.
- Więc kto im płaci?
- Jest w to zamieszany Harry Lally.
- Przeleciałeś mu żonę?

- Byliśmy współnikami w jednym kokainowym interesie.
Pojawiły się komplikacje.

- Normalne.
- Chodziło o kilka ładnych funtów.
- O-o! Na ile popłynąłeś, Nelson?
- Jestem mu winien sporo złej forsy.
- W przybliżeniu...
- Dziewięćdziesiąt dwa...
- Sprzedaj dom.
- Ten kurewski, w dupę jebany, skurwysyński dom NIE JEST

MÓJ!

- Więc go lepiej nie sprzedawaj.
- Jesteś niesłychanie pewny siebie i głęboko, powtarzam:
głęboko idiotyczny.

- Bo to nie ja siedzę w gównie.
- I promieniejesz z tego powodu! Rozkwitasz! Myślisz, że
mówiłbym ci o tym, jeśli widziałbym jakiegokolwiek inne wyjście z
sytuacji.

- O nie! Mam się rozplakać?
- Nie, to ja się rozplaczę! Więcej! Będę cię błagał! Będę cię
błagał, Clarence, o pomoc.

- Jeszcze nie mówię: nie.
- O pomoc, ale dopiero w drugiej kolejności. Przede
wszystkim błagam cię o wyrozumiałość. I przebaczenie. Naszemu
przedsięwzięciu grozi niebezpieczeństwo...

Clarence zerwał się na równe nogi. Trzymał w ręku drewnienko
z ogniska i przyłożył je, niczym nóż, do gardła Nelsona.

- Lepiej, żeby rośliny tu były, kiedy przyjdę je zbierać!
- Będą, będą. Rzecz w tym, że odgrywają pewną rolę w tej
absurdalnej sytuacji.

- W związku z tym uważasz, że i ja odegram w niej pewną
rolę?

- Ja tego nie zaplanowałem!
- Odmawiam jakiegokolwiek zobowiązań. Kurwa, jak będzie
trzeba, własnoręcznie wrzucę twojego trupa do basenu Lally'ego.

- Właśnie podjąłeś zobowiązanie.
- To będzie kara za dawanie dupy.

Clarence wypuścił broń z ręki i wrzucił do fajki następną

pączek. Zaciągnął się. Fairchild palił bez przekonania, jak automat, nie delektował się smakiem, wciągał dym tam, gdzie i tak nie mógł go utrzymać. Zakaszał, zakrztusił się i spojrzał zażawionymi oczyma na Meadowsa, ukazując mu swoją prawdziwą twarz: twarz gołego grzesznika.

- Aaa... Nelson, Nelson... Dlaczego po prostu stąd nie uciekniesz?

- Mieszkam tu.

- Może na tym polega twój problem. Czas się zwinąć.

- Nie dam sobie rady gdzie indziej. Nigdy nie mieszkałem gdzie indziej, tylko tu! Tutaj i w Carmel. Nigdy stąd nie wyjeżdżałem. Tylko do Carmel i do Włoch!

- Byłeś jeszcze w Los Angeles, nie?

- Owszem. Tak. I nigdy tam nie wrócę. Skończyłem na dobre z Południową Kalifornią.

Clarence zaciągnął się lekko, nie wypuścił dymu i poczuł chłód wzbierający w zatokach. Słyszał wszystko, ale miał wrażenie, że ogłuchł.

- Wiem, co masz na myśli - powiedział i postanowił, że już nie będzie palił, po czym pociągnął z fajki i, wypuszczając dym, stwierdził: - Przeznaczenie wędruje przez tę krainę. Musisz je dosiąść jak konia.

- Chciałbym wiedzieć, kto zrobił z ciebie stajennego bod-disatwę?

Meadows skomentował to jedną dziesiątą wzruszenia ramion.

- Chciałbym wiedzieć, kto sprzedał ci zasady?

- Jakie zasady?

- Wszelkie zasady. Jak się rodzić i jak mieć spokój...

Kto wie, co kłębiło mu się pod czaszką. Może miał raka mózgu, pulsującego jak tam-tamy. Nelson był bratem swojego brata.

- Clarence, chciałbym wiedzieć, co masz zamiar zrobić z tym wszystkim?

Jego głowa pływała w chmurze dymu. Usłyszał, jak powiedziała:

- Przyjąłem to do wiadomości. Wszystko, o czym mówisz. Pojadę pograć w kręgle. Posiedzę blisko morza. Wypiję mnóstwo tequili. To proste i jednoznaczne. Jak drut.

- Fajnie masz.

- _ Dzięki.
- Trzymaj tak dalej.
- Postaram się.
- Dzięki.

Za dużo palili. Towar był niesamowicie mocny - świeży, ledwo przesuszony, gorzki. Meadows pojął nagle, jak by się czuł, gdyby zamienił się w swój własny język. Czy leżał wyciągnięty na ziemi, czy - przeciwnie - zwisał głową na dół? Tylko zapierające dech w piersiach wyrzeczenie się własnej duszy pozwalało mu płynąć do góry i jednocześnie trzymać się ziemi, odwróconej do góry nogami. Drobną pomyłką w tym obrzydliwym, niechcianym ruchu i poszybuje w stronę nieba.

Myślał o czymś i zdał sobie sprawę, że coś kłębi mu się w głowie - bezwolnie - przez dobre kilka minut. Potem znalazło się w jego polu widzenia. Nie był jednością z własnymi myślami, nie tworzył ich nawet, był nienazwanym bytem, przez który przepływały.

Później - po upływie pół godziny albo tysiąca godzin - Nelson obudził go, grzebiąc w jego własnym plecaku, z którego wyjął niebieski, emaliowany dzbanek do kawy. Pochylił nad nim manierkę i przelał do dzbanka wodę.

Wrzucił do wrzątku zmieloną kawę, pozwolił jej się zaparzyć z dala od ognia, a potem przełożył przez ucho dzbanka pasek i ze zdumiewającą zręcznością i równowagą wstał i zaczął obracać dzbankiem nad ziemią, co było sposobem na sprowadzenie fusów na dno.

- MaSz w tym dużą wprawę, prawda?
- Wychowałem się na tej ziemi. Mógłbym z niej żyć. Umieję ciąć drewno, polować na sprzedajnych polityków, wszystko!

Nalał im obu kawy do blaszanego kubka Clarence'a. Meadows powąchał parę i wypił łyk. Dzień był bardzo gorący, a napój czynił go jeszcze gorętszym we właściwy, oczyszczający sposób.

- Ten pęk... - powiedział Fairchild, próbując przewlec pas przez szlufki.
- To gówno tutaj... - zgodził się Clarence - tłumaczy, dlaczego robią z nas przestępców.

- Nie chciałbym, żeby dostało się w plugawą rękę. Li-chwiarzy i zabójców.
- Lally nigdy nie wyglądał mi na aż tak zdesperowanego.
- Jestem mu winien prawie sto kawałków. Martwię się.
- Gdybyś powiedział mi, że to ja wiszę mu forszę, wcale bym się tym nie przejął.
- Clarence. Jeśli dałbyś się przekonać do podjęcia jakichś kroków, na czym by one polegały?
- Ja dałbym się przekonać? Mnie już nie ma na mapie. Jestem białą plamą.
- Czy mógłbyś... no wiesz... przetrześć tych sukinsynów?
- Nie mówmy o ekstremach.
- A może mógłbyś porozmawiać z Harrym? Porozmawiać z nim tak, żeby zaczął się bać...
- On już się boi. Sra na widok własnego cienia.
- Ja też jestem tchórzem.

Wysoki tchórz zaczął snuć długą i wyczerpującą opowieść, która w czasie sięgała lipca zeszłego roku, a w przestrzeni -wód Palermo. W pewnym momencie zerwał się na równe nogi i począł wić się jak szaman, a w jego ciele zagościła dusza dzika. Łapał gwałtownie powietrze, bódł wiatr i wykrzykiwał, że fałszywi myśliwi zagonili go do kryjówki w tajemnym ogrodzie, pełnym ekstatycznych ziół. Meadows był zdumiony tym napadem prymitywizmu, a jednocześnie czuł wobec niego szacunek. Czekał w ciszy, aż porywy totemicznych istot przestaną miotać gałkami ocznymi Nelsona.

Nieco później Meadows powiedział o Harrym Lally:

- Facet jest pieprznięty i handluje kokainą. Wszystko w nim jest bezsensowne. Za jakiś czas wsadzą go do pudła albo co...
- Kto go wsadzi! Jesteśmy w okręgu Mendocino. Tutaj nie wsadza się ludzi do więzień!
- Grunt zacnie palić się mu pod nogami. Przeczekaj go.

Przerwali rozmowę i obaj zapatrzyli się w niebo. Przypominali skąpane w słońcu posągi, trwające w otchłani, oczekujące tam na upadek wrogów.

- A ci dwaj... twoi kumple z Del Norte... - odezwał się Clarence - wiedzą o Billym?
- A co mają wiedzieć?
- No... gdzie mieści się jego rezydencja.

- Prędzej czy później dotrą do wszystkich - powiedział Fairchild.

Kawa wystygła. Meadows upił duży łyk i przekonał się, że ma pragnienie. Był zadowolony, że może je zaspokoić. Przyglądał się sępom krążącym w powietrzu.

- Pamiętasz... - spytał Fairchilda - pamiętasz, gdzie się poznaliśmy?

- Każdy, kogo znam, odwiedzał bar w hotelu „Gualala”.

- Ta, zgadza się. To było tam. Prowadziliśmy rozmowę, wyczuliśmy okazję, doszliśmy do porozumienia. Minęły trzy lata, a ono wciąż obowiązuje. To niezwykle, jak się nad tym zastanowić.

- Czy to mowa pożegnalna? Czyżby czekał mnie jeszcze jeden rozwód w najbliższej przyszłości?

- Nie, wcale nie, człowieku. Wręcz przeciwnie. Mówię o tym, co jest za nami, i mówię, że potrafię to docenić. Zrobię, co będę mógł, żeby utrzymać naszą spółkę.

- Clarence! Jesteś lepszy od psychoanalityka! Co ze świ-niopasami?

- Co ci mogą zrobić?

- Przybiją mi członka do drzewa. Albo coś w tym rodzaju.

- Odjadą. Jak długo mogą się tu kręcić? Mówiłeś, że już raz odjechali. Porozmawiam z nimi.

- Clarence! Powiem tylko tyle: jestem szczęśliwy!

Nocne niebo było przejrzyste aż po samą M-47 - galaktykę oddaloną od Ziemi o jakieś osiemdziesiąt miliardów lat świetlnych i przypominającą z tej niewyobrażalnej perspektywy niepokąźny asteroid. W rzeczywistości M-47 połączyłyby dwie Drogi Mleczne, a na dokładkę dwie inne galaktyki porównywalnej wielkości. Meadows nauczył się rozpoznawać położenie M-47 podczas służby na morzu. Teraz leżał z Bil-lym na karimacie przed chatą i śledził wzrokiem bladonie-bieski punkt idący kursem kolizyjnym ku M-47. Modlił się o zderzenie. Choć wiedział, że wędrujący punkt to zapewne zwykły satelita pogodowy.

- O Boże, o Boże, tak blisko! - podniecał się Billy, gdy maleńki wędrowiec minął galaktykę o włos.

Niedawno skończyli ucztę z cielecych parówek smażonych² jajkami i fasolą, zagryzanych sucharami przygotowanymi

na patelni. Meadows leżał na ziemi, czując głęboki basowy puls całego kosmosu. Miał wrażenie, że dopiero teraz wydostał się z wszechogarniającej amnezji.

...bez względu na to, jak niewiarygodne były jego doznania, interpretacje, wnioski, nie nazwany fakt pozostawał faktem. Nie można go było ogarnąć. Ale można było nim być. Nie wymagało to niczego więcej poza odrobiną odprężenia i uwagi. Nie trzeba pchać się ku następnym czeluściom. Tym bardziej, że już tu są...

Jak podczas drogi, która go tu przywiodła. Ruch, ciągle przed siebie, oślepiający, duszący, przez burzę...

- Nie myślałeś kiedyś - powiedział Billy - że można... jakby... słyszeć coś stamtąd, z daleka, z bardzo daleka, coś, co normalnie tu nie dociera, bo wszystko jest takie pokręcone i mściwe, więc kiedy się słyszy, to jest tak, jakby się tam było... widzi się... wszystko stamtąd - tutaj...

- Dwunasta - powiedział Meadows, mając na myśli spadającą gwiazdę w północno-zachodniej części nieba.

- ...i gdyby nie było granic tnących wszystko na kawałki, całość stałaby się oczywista... to znaczy: jakby ten nieznaną cel wszystkiego i nie dająca się ustalić tożsamość...

- Tajna misja.

- Może, ale nie śmieję się.

- Nie robię tego. Myślałem o tym samym, jadąc tu wczoraj. Widziałeś kiedyś takie czapki, baseballówki, z czymś jakby grecką literą, która z bliska wygląda jak napis? Na przykład: „Pierdolę cię”?

Billy wstrzymał oddech w ciemności, później powiedział:

- Nie...

Potem Billy zapytał o ogród, a Meadows odparł, że teraz wystarczy przejść się wśród rzędów roślin i wdychać ich wzywy, by mieć wizje.

- Mam parę okruchów. Chcesz spróbować?

- Chyba nie wolno mi dotykać niczego, co jest choćby odrobinę psychodeliczne.

- Tak mówi twój brat.

- Czasami zgadzamy się ze sobą. Nie zawsze.

- Mówi mi, że ma jakieś problemy.

- Przez tego kolesia, z którym zaczął robić lewe interesy.

- Lally'ego.
- Harry to cwaniak.
- Piskorz.
- Lally to jeszcze nic. Nelsona prześladowają demony nieporównanie gorsze niż Lally.
- Wierzę.
- Może powinien porozmawiać z glinami?
- Z glinami?
- Jest tu taki nowy facet. Instynkt podpowiada mi, że jest okay.
- Billy, musisz wiedzieć, że w świetle prawa jesteśmy przestępcami. Gliniarze nigdy nie będą dla nas okay.
- Są wśród nich źli i dobrzy. Jak w każdym zawodzie. Na świecie jest dużo zła. Trzeba dziękować fortunie za każdego, kto nie jest kutasem. Dziękować Bogu za każdego glinę, księdza - obojętne. Za burmistrza...
- Dziękuję Bogu.
- No właśnie. Pojąłeś.
- Czy to miejsce ogarnęło zbiorowe szaleństwo?
- Prawdopodobne, bardzo prawdopodobne. Chodzi ci o Północne Wybrzeże?
- Nie tylko, człowieku, nie tylko. Chodzi mi o całą zachodnią część Drogi Mlecznej.
- Billy milczał przez minutę, a w końcu powiedział:
- Zmienia się epoka.
- Tak mówią.
- Kiedy zanikają podziały, pojawia się Bóg. Bóg jest wszystkim.
- Nie planujesz teraz odlotu?
- Ja? Nie.
- Nie piłeś kawy?
- Nie. Ale no wiesz... Gwiazdy.
- Wspominałeś kiedyś, że masz kuchenkę turystyczną? - spytał Billy'ego. - Mógłbym ją pożyczyć? Wygląda na to, że będę musiał spać w ogrodzie.
- Mam ją w scoucie. Razem z butlą.
- W porządku. Przypomnij mi.
- O czym?
- Opowiedział Billy'emu o kobiecie noszącej imię Carrie,

o kobiecie, która miała syna Clarence'a; o tym, jak obserwował jej spokojny sen.

- ...i okazuje się, że nie śpi, że jest skruszona i nagle chce się oczyścić: całkiem pomyłona religijnie, totalny odlot.

- Boskość nie jest zła, Clarencio.

- Czy powiedziałem, że jest?

- Religia jest w porządku. Tylko te drogi. Niektórzy po prostu się toczą.

- A cała rzecz sprowadza się do poszukiwania kogoś, kto ich oboje zatrzyma. To dlatego waleśa się po parkingach w znoszonej przez inne kobiety wieczorowej sukni. Śmieje się i udaje, że jest normalna. - W głowie Clarence'a pojawiła się pewna myśl. Roześmiał się. - Sprawilem sobie czarną kulę, koleś. I mam dla ciebie czapkę.

- To prawdopodobnie było autostradowe szaleństwo - powiedział Billy w obronie świętej, której nie widział na oczy.

Te same konstelacje oświetlały polanę, gdy tej samej nocy obudził go hałas dobiegający z chaty, do której chyba wrócił Billy. Leżał obok wygasłego ogniska, przy którym usnął. Był przykryty śpiworem, spod którego wystawały mu stopy, zdrętwiałe "teraz od chłodu. Ściągnął buty i schował stopy w wypełnione pierzem fałdy śpiwora. W środku chaty błąkało się światło latarki. Księżyc był jeszcze bardzo nisko, nawet nie minęła jedenasta. Drzemał tylko przez chwilę.

Promień latarki wysunął się na dwór. Trzasnęły mocno drzwi.

- Coś jest nie tak!

- Źle się czujesz?

- Coś się dzieje.

- To tylko noc na ziemi, człowieku!

- Coś się dzieje, Clarence. Naprawdę... muszę iść.

- Chcesz zniknąć w lesie?

- Muszę pojechać do taty.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł.

Billy zbierał się do drogi.

- Coś się dzieje, bracie.

Promień latarki skręcił na zachód i Meadows widział przesłaniającą go sylwetkę Billy'ego. Szedł przed siebie pod mru-

gającymi galaktykami. Mijał drzewa i zmierzał do drogi przy Carter's Landing, gdzie zaczynało się wybrzeże.

Clarence nie wiedział, co robić. Doszedł jednak do wniosku, że Billy zna okolicę, a jeśli zablądzi, znajdzie drogę po wschodzie słońca. Usiadł w śpiworze i otoczył ramionami golenie, potem ujrzał księżyc w pełni, przedzierający się przez korony drzew; do świtu pozostało nie więcej niż pięć godzin.

Wyczołgał się ze śpiwora i szybko włożył buty, drżąc od chłodnego wiatru, który roznosił wokół słodką, mocną woń sekwoi, pachnących jak mistyczne drożdże. Wrzucił swoje rzeczy do scouta Billy'ego, upewnił się, czy ma dosyć paliwa, potrząsnął butlą z gazem, potrzebnym do kuchenki, i spróbował wydostać się drogą na wzgórze. Reflektory auta rzucały rozbieżne snopy światła na koleiny, na szczęście pamiętał, gdzie są duże wyrwy, i zanim księżyc przebył dziesięć stopni łuku, był już na górze i jechał na wschód Drogą Rozbitków, mijając i przebijając się przez poduchy powietrza, które sygnalizowały - choć niezbyt jasno - jakieś godne odnotowania zmiany pogodowe. Gdy dojechał do ogrodu i ukrył scouta w gąszczu manzanity, wiatr szarpał jodłami na północnym stoku kanionu i niósł zapach wilgoci. Zabrał ze sobą latarkę, ale nie włączał jej przy schodzeniu na dół. Sprawdzał grunt obcasem i zsuwał się, tuląc do siebie śpiwór, karimatę, tropik od namiotu i owiniętą nimi butlę z gazem. Szybko rozbił obóz na krawędzi ogrodu: przywiązał tropik do drzew i wsunął się pod dach. Przez mniej więcej pół minuty świat ogarnął dziwny spokój. Wciągał w płuca mocną woń roślin i niesiony schłodzonym powietrzem zapach krezotu nad doliną. Czuł niemal jego smak w gardle.

Gdy rozpętała się burza, prowizoryczne schronienie niewiele mu pomogło. Na szczęście więcej grzmiało niż lało, więc nie przemókł do cna. Siedział z kolanami podciągniętymi pod brodę, kołysał się, płynąc po swych własnych oceanach, trwał ogłuszony, a jego życie było olbrzymim, obracającym się kołem. Później podniósł głowę i wrzasnął ku niebu:

- Kto prowadzi ten burdel?

Słowa zagłuszyła wichura i był jej za to wdzięczny, bo nie wyrażały w pełni jego uprzywilejowanej pozycji. Pozycji

osoby, której duchowe rozterki znalazły tak wspaniały wyraz w szalejącej burzy, jakby wszystkie potęgi podpisywały, a nawet aranżowały partyturę jego podróży. Od lat pogoda nie była taka jak zwykle. Susza w miesiącach, kiedy powinno padać; ostatnie, bezprecedensowe ulewy w sierpniu i jeszcze ta burza, strzelająca małymi, kłującymi kropelkami, trwająca przez trzy czwarte godziny. W końcu ucichła, wyczerpała się, sprowadzając na świat spokój kostnicy i cienką, powlekającą wszystko mgłę. Przez niego też przewalała się cisza, opadł więc na plecy, by oddać się przyjemnemu zmęczeniu. Nie przywiózł niczego na śniadanie, ale zajmie się tym jutro, pojedzie do sklepu w Anchor Bay, kupi, co trzeba, i wróci za godzinę. Obudzi się jutro i kupi na dole fasolę i jajka, chleb i ser, kawę i mięso w puszcze - i choć jeszcze o tym nie wie, usłyszy o śmierci starego Fairchilda i o tym, jak wszystko się zmieniło, a synowie, bracia, stali się właścicielami dziesięciu tysięcy akrów Kalifornii; i nie wróci tu przez wiele dni...

i wtedy... - czytał po roku John Navarro z pokrytej krwią kartki, którą trzymał w dłoni...

i wtedy ujrzałem z całą masą szczegółów, jak wraz z ustaniem deszczu ogarnął cię, Van Ness, spokój i jak oparłeś się o bok volvo, a ręce położyłeś na dachu i wsparłeś głowę na ociekających wodą rękawach. To ciekawe, że nad czarnym morzem przetaczały się grzmoty, a wokół ciebie na nadmorskiej drodze wszystko wędło, nie wydając nawet westchnienia. Byłeś wyczerpany. Myślałeś o sobie jak o odbłasku. Co kilka minut mijały cię samochody, nadjeżdżały od tyłu, zalewając cię strumieniami światła, i przyszło ci znów do głowy, że ludzie w ogóle nie wiedzą, na co tak naprawdę patrzą.

A ja, gówniarz, Nelson Fairchild junior - on nic nie wiedział. Ale teraz jego oczy miały zostać otwarte.

Wsiadłeś do samochodu, przejechałeś przez rzekę Gualala do okręgu Sonoma i znów się zatrzymałeś - tym razem przy opuszczonej, wyblakłej od słońca oborze, której kształt, górujący nad tobą, wzywał do opamiętania w tej bezświatłej godzinie. Tej nocy czekał cię jeszcze jeden przystanek, ale nie teraz, było trochę czasu do zabicia - zacząłeś się więc

śmiać na głos i ocean odpowiadał ci śmiechem. Wytarłeś energicznie wąsy, odłożyłeś białą chustkę nad kierownicę, odwróciłeś się i brudnymi łapami otworzyłeś z trzaskiem należący do rodziny Fairchildów egzemplarz *Tako rzecze Zaratustra*, skradziony wcześniej z salonu Winony.

I czy to miejsce, nie dalej jak o rzut kamieniem od pustego rechotu morza, nie wydało ci się nadzwyczaj odpowiednie, nadzwyczaj zgodne z twoim nowym rozumieniem słów Fryderyka Wilhelma Nietzschego, z ich rozdzwonioną pustką, bo kimże on był, jak nie rozkapryszonym dzieckiem straszącym rodziców po to, by odegnać własne przerażenie, którego - między nami mówiąc - nie przeżył nigdy do końca, nie czując nigdy smrodu własnych trzewi... Czy nie myślałeś o jego słowach, zmieniając kierunek jazdy po upływie trzech godzin, kiedy wjechałeś na wzgórze po wschodniej stronie nadmorskiej drogi wpatrzony w zakapturzone, mało inteligentne wejście domu, w którym leżał martwy Nelson Fair-child senior, kiedy obserwowałaś wchodzące i wychodzące stamtąd osoby, które miały tu do załatwienia swój ponury interes, i gdy wreszcie jechałeś - w dużej odległości, ale bez trudu, bo o tak późnej porze nie było na drodze innych samochodów - za moim, Nelsona juniora, sportowym autem drogą prowadzącą na wzgórze i ku żelaznej, bezksiężycowej ciemności i omal go nie wyprzedziłeś. Czy nie myślałeś wciąż o Nietzschem, zatrzymując się na skraju szosy sto jardów za unieruchomionym porsche, czekając, nasłuchując, gdy daleki, daleki Pacyfik toczył kamień po labiryncie o nieskończonej liczbie zakrętów; nie myślałeś - mówiąc konkretnie - o słowach Nietzschego dotyczących zła i karmienia się nim; słowach, które - jak stwierdziłeś z bólem lub z ulgą? - udowodniły ci ostatecznie, że wielki filozof nigdy nie splamił sobie paluszków...

Pewien obraz sprawił, że ów błady człek był błady. Był równy swoim czynom, gdy je czynił - ale nie mógł znieść ich obrazu, gdy rzecz była skończona.

...myślałeś szczególnie o tym jednym zdaniu, które czytałeś po wielekroć, a jego treść - jak ci się wydawało - odgrywałeś dokładnie w tej chwili, w której całkiem na ślepo szedłeś do Nelsona, szedłeś, nie widząc go, ale czując go po strachu...

W niegodziwości spotyka się człek arogancki i człek słaby. Ale nie rozumieją się nawzajem.

...wyszydzaleś to zdanie z wielkim zadufaniem, udowodniwszy pierwiej eksperymentalnie, że jest błędne, udowodniwszy uczynkami... po prostu wiedziałeś, że jest błędne, bo my, ty i ja - człek arogancki i człek słaby - rozumieliśmy się dokładnie w niezbędnym stopniu?...

Słyszałeś, jak zmieniało się brzmienie twoich kroków w kontakcie z akustyczną masą samochodu, trafiłeś dłonią na lewy, tylny błotnik auta i przeciągnąłeś palcami po płóciennym dachu, trafiając w końcu w próżnię w otwartym oknie od strony kierowcy; słyszałeś przerażony oddech kierowcy, ale nie mogłeś go znaleźć w mętnej czerni, nie pozostało ci zatem nic innego, jak wyciągnąć rękę i poszukać, dotknąć jego twarzy. Mogłeś podnieść palce do warg i smakować jego łzy. Nasłuchiwałeś z dziwnie żalonym wstydem burczenia we własnym żołądku i pomyślałeś, że Nietzsche nie miał pojęcia o swoich sokach trawiennych, a jeśli - to nie do końca, nie w ten sposób; a ten drugi powiedział:

- Nie wiedziałem nawet, że masz samochód.
- Poznałeś mnie.
- Oczywiście, że tak.
- Wydaje ci się.
- Mój ojciec nie żyje.

Tylko czystość ciemności nie pozwoliła ci wybuchnąć głośnym śmiechem.

- Żyje natomiast moja żona. O czym zresztą doskonale wiesz.

Nie odezwałeś się, bo hałas słów zaczynał tworzyć to miejsce i zamieszkiwać je: blisko, daleko, przestrzeń... Tamten odkaslnął w ciemności i - jak ci się wydało - splunął przez drugie okno. Znowu przemówił:

- To najbardziej absurdalna noc, jaką do tej pory przeżyłem. Bardzo wyzwalająca.
- Nie zanudzaj mnie kłamstwami. Nie można się wyzwolić przez czyjeś życie lub śmierć.
- Chodzi mi o absurdalność. Absurdalność jest wyzwalająca, okay?
- Ze mną okay, Jack.

- Co się stało?
- _ Co się stało kiedy, przyjacielu?
- Nie wkurwiał mnie, Van Ness! Skąd wiesz, że nie mierzę do ciebie teraz z pistoletu?
- _ Z takiego kalibru trzy pięć siedem? Marki Smith and Wesson? Skąd wiesz, że to ja do ciebie nie mierzę?
- Co tam masz?
- Pożyczyłem sobie książkę do czytania.
- Cholerny Nietzsche! Jebany *Zaratustra!*
- Pożyczyłem ją od Winony.
- Co się stało?
- Nic się nie stało.
- Ale byłeś tam... w środku!
- Nikogo nie było w domu... chyba...
- Ona spała, ty sukinsynu, spała, tak jak było w planie!
- Wsiadam.
- Obszedłeś samochód. W środku pachniało skórą, benzyną i pleśnią. Tamten skurczył się i cofnął jak żmija, gdy usiadłeś obok niego.
- Czy dobrze rozumiem: śmierć mojego ojca w ogóle cię nie obchodzi?
- Słyszałem już o tym.
- Kto ci powiedział?
- Może jakiś kutas w barze...
- Jesteś kurewskim mutantem!
- Jestem o jedną stację dalej od ciebie. Zrzuciłem o jedną skórę więcej.
- Gówno! Jesteś pieprzony, to wszystko.
- Nie przejmuj się tym małym trzęsieniem ziemi. Zaczynasz wchodzić w nowe stadium. Gąsienica i motyl nie mają o sobie pojęcia. Rzecz jasna, ta metamorfoza przeraża do szpiku kości takiego intelektualistę jak ty. Tego procesu nie możesz objąć rozumem...
- Kim się stanę po zakończeniu tego procesu, profesorze?
- Lwem.
- Naprawdę? Którym?
- Wiesz. Słyszałeś o wielbłądzie, lwie i dziecku...
- *A! Zaratustra!*
- Najpierw duch jest wielbłądem, podejmuje się wielkich zadań i delektuje własną mocą.

- *Also sprach Van Ness*. Nudzisz mnie.
- Potem zamienia się w lwa, walczy ze smokiem konwenansu, zasad, praw, nawet moralności... i zabija wszystkie te gówna...
- A jak zmienia się w dziecko?
- Jak? Według Nietzschego to naturalna kolej rzeczy, nieunikniony proces. Duch łamie zasady i doświadcza powtórných narodzin. Dziecko... - zacząłeś cytować, jakbyś czytał na głos - ...to nowy początek, to radość z czynu, samonapędzające się koło, pierwszy ruch, święte TAK...
- Wystarczy! Okay, rozumiem to i stwierdzam, że mnie to nudzi. Nosisz ciężary jak wielbłąd, zrywasz okowy jak lew, odradzasz się jak dziecko.
- Tak. Ale Nietzsche się mylił.
- Oczywiście! Jakżeby inaczej! Człowiek z pięcioma następującymi po sobie spółgłoskami w nazwisku nie może mieć racji!
- Nie istnieje stadium dziecka. Dlaczego miałoby istnieć? Czyje dziecko? Przez kogo zrodzone i wychowane?
- Nie mam pojęcia, szefie.
- Nie ma stadium dziecka. Gdy stajesz się lwem - duchem kierującym się wolą i uzyskującym wolność - wszystko dobiega końca.
- Twoje przekonania odbierają ci rozum. A jeśli jesteś już lwem, twoje przekonania sprawiają, że dostajesz wścieklizny.
- Odpręż się. Czy nie jest ci łatwiej żyć z myślą, że twój ojciec nie żyje? Gdy tylko odejdzie od nas Winona, dostaniesz cały majątek.
- Nic, co mógłbym powiedzieć, nie miałoby żadnego sensu dla osoby tak obłąkanej jak ty.
- Spróbujmy jeszcze raz.
- Nic, czego dotknąłem, nie było dotknięte przez ciebie.
- Walnijmy tę małą. Sprawmy, żeby umarła.
- Żałuję, że nie mogę ci powiedzieć, a raczej, że jeśli ci powiem, to nie zrozumiesz tego, co następuje: nie mówiłbyś takich rzeczy w tej chwili, gdybyś nie był absolutnym uosobieniem zła.
- Zła? Wydawało mi się, że to nas nie dotyczy. Spróbujmy jeszcze raz.

- Świruj dalej.
- Znowu położy się spać.
- Doskonale, kurwa, celująco! Co wieczór kładzie się spać.
- Jeszcze raz.
- Posłuchaj... nembotal... Nie tak łatwo zrobić podmianę...

Kapsułki się rozpadają... peseta zostawia ślady... trzeba być bardzo ostrożnym, inaczej kapsułki są do niczego. Poza tym osiada na nich proszek, co może wzbudzić podejrzenia każdej trzeźwo myślącej osoby...

Wtedy już wiedziałeś...

Zapaliłeś zapałkę i oświetliłeś przekleństwo w jego oczach: zadaną własną ręką porażkę, przesądzoną z góry klęskę. Przeprowadzając o młodości buńczuczność rozlewała się po jego twarzy jak olej. I powiedziałeś:

- Masz. Twoja książka. Zatrzymaj ją.

(Carlu Van Ness: wyczuwam szóstym, telepatycznym zmysłem i jasnowidze to, co ujrzałeś w moich odstających uszach i poważnym spojrzeniu - wstrząsającą naiwność sarny schwytej światłem reflektorów. O tak, moje oczy zostały otwarte. Wszystko będzie tak, jak chciałeś - oto, co w nich zobaczyłeś. To stworzenie zaplanowało swój własny los, siedząc przy stole w otchłani i deliberując z niezwykłymi mocami. Widziałeś własne starania niczym łyżkę obracaną tajfunem; czy warto w tej sytuacji dodatkowo nią mieszać? Widziałeś mnie. A ja widziałem tylko Carla Van Nessa z jego niczyją twarzą za grubymi szklami okularów, przemierzającego nasze góry jak głodny wilk, preegzystującego i reeg-zystującego w nieskończoność. Tak jak widzę to teraz - bardzo wyraźnie i za późno - patrząc w górę studni, jaką jest własna śmierć: grałeś mną jak najczulszym instrumentem. Smarowałeś mi tryby, bylebym tylko nie wyrwał się z pasa transmisyjnego do glin. Boże, jakimże byłem idiotą! I wierzyłem, że to ja gram tobą, że to ja skazuję cię na powolną śmierć w ich rękach - kiedy złapią cię na gorącym uczynku, z zębami zatopionymi w jej gardle, i zawloką cię do ciemnicy, chłopie! Nigdy nie powinienem był próbować zamieniać się z tobą rolami. Mój błąd polegał na tym, że wziąłem cię za kusiciela. Którym byłem ja. Ty przez cały czas byłeś Adamem nagim w świetle księżyca, a ja byłem zbitym z tro-Pu węzem).

- Zakręćmy jeszcze raz - powiedziałeś.
- Jeśli już, to po pogrzebie. Pogrzebie mojego ojca. Zapalka oparzyła ci palce.

4-12 września 1990

Oparła się ramieniem o samochód i odskoczyła, sycząc i łapiąc się za oparzone miejsce.

Clare był zmęczony i marudny. Położyła go z komiksem na tylnym siedzeniu i ruszyła do drzwi, za którymi kierowcy ciężarówek grali w gry wideo.

To znaczy powinni grać, ale w środku stało jedenaście pustych krzeseł przed jedenastoma ekranami - przed dwunastym siedział jakiś wiejski szesnastolatek i karmił maszynę ćwierćdolarówkami, a na jego twarzy pulsowały kolorowe, świetliste plamy, które zmieniały się wraz z każdym nowym pokerowym rozdaniem; kelnerka poprawiała wiązanie fartucha, zaglądając chłopakowi przez ramię; kucharka przyciskała mięso do rozgrzanej płyty, a kotlet pluł wodą na wszystkie strony; jeden starszy pan i jedna starsza pani, siedzący w winylowej przegrodzie, zatopieni byli w małżeńskiej ciszy.

- Jest tu jakaś praca?

Kelnerka nie podniosła wzroku znad gry.

- Na stałe czy za posiłek? - spytała.

- Na stałe... chyba...

- Nie, przykro mi.

- Cholerny oszust! - wrzasnął pastuch i zdzielił maszynę otwartą dłonią^

- Więc może za posiłek... mówiła pani...

Kelnerka spojrzała na nią uważniej.

- Podróżuję z synkiem.

Zmieniła ubranie, żeby splukać puste skrzynki po kapuscie obok śmietnika, lała wodę na asfalt, żeby móc chodzić po nim boso. Zgarniała smutne oberwane liście pod ścianę i zbierała oburącz bezkształtną masę, żeby wrzucić ją do... Smród śmietnikowej zgnilizny... Przeplukała i wykręciła kowbojską chustę i wytarła się nią aż po brzegi obciętych szortów.

Przyszedł do niej Clarence, choć powinien spać w samochodzie. Wyglądał jak w transie i wściekł się, gdy poląła go wodą.

- Zmoczyłaś ją!
- Sam podszedłeś pod wąż.
- Gówno! Książeczka już do niczego! - krzyknął oskarżycielsko.
- Nie wyrażaj się przez jakiś cholerny komiks!
- Nie obchodzi mnie, co robię - powiedział.

Zaprowadziła go z powrotem do samochodu. Leżał i wpatrywał się w komiks, dopóki rysunki nie spadły mu na twarz, później - gdy jedli hamburgery, siedząc pod olbrzymim, wschodnim oknem baru - milczał, ale był zadowolony, wpatrywał się w kolory pustego nieba i dojrzałych pól ciemniejące szybko, w cień budynku sięgający rzędu zalanych cementem kasztanów i w cztery zaparkowane samochody. Nasłuchiwała, jak pastuch z kelnerką recytują powoli -jak gracze w bingo - listę niedawnych cięż i wypadków. Pan zabronił jej palić przed wieloma miesiącami, ale teraz, gdy kończył się dzień, gdy była najedzona i miała przed sobą kawę, czuła, jak stary demon łaskocze ją piórkami w gardle. Clare zgarnął palcami okruszki z talerza i wsypał je sobie do buzi.

- To najpiękniejsza pora dnia - powiedziała.

Położyła go spać z przodu, a sama wyciągnęła się z tyłu starego kombi i słuchała, jak wiatr gwiżdże w szparach.

- Hej - mruknęła - Clarence...? - Usnęła, nie kończąc.
- Tak? - zapytał.

Rano w szybę zastukała kucharka i podała jej przez okno dwa śniadania w kartonach.

- Na drogę.
- Bardzo pani dziękuję.
- Nie trzeba, żeby małemu burczało w brzuchu.
- Podziękuj pani, Clare.
- Dziękuję.

Kucharka była mała, miała krótkie ręce, płaską twarz i niedzisiejszy uśmiech.

- To numer trzeci bez sosu. Nie daje się sosu do kartonów - wyjaśniła.

- No właśnie.
- Dokąd jedziecie?
- Za zbiorami, jeśli się jakieś nadarzą.
- Jeżowce.
- Poczekaj, otworzę ci, Clare. Siedź prosto. Postaw to równo przed sobą, bo wszystko ci wypadnie na ubranie. Jeżowce, proszę pani?
- Ta... to coś jakby skrzyżowanie ogórka ze ślimakiem pomrowem. Japończycy płacą za to mnóstwo pieniędzy.
- Gdzie się je zbiera?
- No, nad morzem. To znaczy w morzu - z tego, co wiem.
- Nie umiem pływać. - Otworzyła swój karton i sięgnęła po biały plastikowy widelec.
- O tej porze roku najlepiej jest nad morzem. Tutaj lato jest straszne, sama zauważyłaś. Kobieto, gdybym tylko umiała gotować, tak jak gotują w prawdziwych knajpach, od razu bym się wyniosła do jakiegoś kurortu.
- Umie pani gotować. Śniadanie jest bardzo smaczne.
- Byłaś kiedyś w Pacific Grove albo w okolicy?
- Chyba nie.
- Nie szkodzi. Myślę, że to, czego szukasz, jest w morzu.
- Jest pani religijna?
- Gdzie tam! Co ci przyszło do głowy?
- Bo ja jestem.
- Twój synek ma piękne, wielkie oczy. Co nimi widzisz, małeńki?
- Nie wiem.
- Dziewczyny będą szaleć za tobą. Wiesz o tym?
- Nie.
- Przekonasz się.

Przejechała dodgem obok stacji Phillips 66 z porozbijanymi drzwiami do toalet i rzędem motelowych pokoi, których czerwone wejścia płonęły w porannym świetle, i zatankowała tak tanio, jak tylko się dało, w następnej - Star Store and Fuel - miarkując, że za cztery galony, czyli pięćdziesiąt dwie mile, dojedzie do jeszcze tańszego paliwa. Z powrotem na drodze między stan owej numer 5 - z regularnymi wstrząsami na spojeniach płyt, dudnieniem jak w podziemnym tunelu, z usypiającym szumem opon wdzierającym się w uszy,

z obrzmieniem, które czuła w brzuchu - modliła się o bezpieczną drogę i nieustające wsparcie, wycierała pot z kierownicy cuchnącą kwas'no myjką. Sępy badały świat wysoko nad ich głowami, pod nimi dwupłatowiec opryskujący uprawy przelatywał w tę i z powrotem nad autostradą, zostawiając za sobą gęstą, białą smugę. Matka i dziecko musieli przez nią przejechać. - Wstrzymaj oddech, Clare! - Samolot przeleciał we wstecznym lusterku. - Cholera, to on! Najwierniejszy wizerunek szatana, jaki dzisiaj zobaczysz. Pamiętasz, jak wszyscy pochorowali się w sadzie? - Kaszłała, kręciło się jej w głowie, ujrzała wielki kulaś na niebie, pomiędzy jego zakrzywionych pazurów skapywał jad. Potrzebowała łyku świeżego powietrza, ale bała się zatrzymać samochód. Wczoraj uważała, że pustynia zahartuje jej serce i podniesie na duchu, czuła obietnicę w nadciągającej burzy - cudownej, niezwyklej, pustynnej burzy - potem zepsuł się jej samochód i ona się zepsuła, otworzył ją ten typ z Los Angeles, który zaraz zniknął, zostawiając po sobie zapach na całym jej ciele... I burza dobiegła końca, tak że świat było widać aż po horyzont - gdzie akurat nie zrzucali chemikaliów.

Burza więc nie była tym, o co jej chodziło. Pustynia nie była jej miejscem. A mężczyzna z pewnością nie był dla niej.

Na drodze numer 5 Carrie mijają pulsujące gorącym miejsca, które ciągnęły się wzdłuż palonych na polach ognisk, trzaskających i skrzypiących jak dwa ostatnie wagony pociągu towarowego. A potem minęła całe spalone pole: wiatr rozpostarł przed nią czarny dywan okolony płomieniami, dymiący gęstym, musztardowym dymem, który niósł się ku miechom niebios... Ruszyła na wybrzeże - drogą numer 5 aż do miasta Williams, potem na zachód kalifornijską drogą stanową numer 20 do Ukiah, a za Ukiah drogą do Boonville, wzdłuż falujących wzniesień porośniętych dębami, i dalej w dolinę Anderson, gdzie rosły sekwoje, i przez Boonville do drogi Mountain View - wąskiej, pustej, wijącej się wśród wzgórz, lecz nie przyprawiającej o mdłości dzięki lasom ciągnącym się po obu jej stronach - a potem w dół długim zjazdem, w którego połowie ujrzała otwarte morze; musi się tam oczyścić, nawet utopić, jeśli tak jej pisane. Ruszyła na wybrzeże z czymś niewyobrażalnie wielkim, co działo się w jej

wnętrzu i na zewnątrz - na zachód od tego miejsca, ale i na wschód, z tyłu - z czymś, co było śmiercią i diabłem.

Na skrzyżowaniu z drogą nadmorską zatrzymała się przed znakiem „Stop”, czekała w bezcelowej ciszy, w której czuła zapach fal, ale nikt nie nadjeżdżał z północy ani z południa, więc skręciła w lewo jedynie dlatego, że miała niejasną potrzebę oglądania Pacyfiku z prawej strony. Pierwszym miastem było Manchester, ale nie znalazła tam restauracji, przejechali centrum, minęli nadmorski katolicki cmentarz w cyprysowym zagajniku i zatrzymali się na kolację w Point Arena, a potem na odpoczynek na parkingu z otwartą dla publiczności szopą. Kilka godzin po zmroku nie spodobał się jej panujący tam nastrój, więc usiadła za kółkiem i odjechała, decydując się na podróż do Anchor Bay.

- Osiem mil - powiedziała do Clarence'a, gdy minęli drogowskaz. O drugiej nad ranem byli na miejscu.

- Gdzie jesteście? - narzekał.

- Zazwyczaj nie pytasz.

Zasłonił twarz dłonią, którą powoli opuścił na kolana, patrząc, jak zjeżdżają wolno stromym zakrętem. Kiedy Carrie i Clarence wjechali do Anchor Bay, właśnie zaczynała się burza. - Z dużej chmury mały deszcz - powiedziała do syna.

Rano zamknęła cicho drzwi auta, żeby go nie budzić, i ruszyła wzdłuż rzędów mieszkalnych przyczep i domów na kółkach do szopy, w której mieściły się toalety. Niosła podręczną torbę i ubranie na zmianę. Pióra sekwoi zmył deszcz i oberwała burza - leżały teraz w plamach wilgoci na suchych łatach asfaltu, pozostałych tu od czasów jakichś robót drogowych sprzed bardzo wielu lat. Zegar, który trzymała na desce rozdzielczej auta, przestał chodzić. Domyśliła się, że jest koło ósmej. Kemping ukryty był w cieniu i tylko bliżej plaży odnalazło go słońce; stała w świetle, przyglądając się kilku chudym surferom w mokrych kombinezonach, w których wyglądali jak fokki. Siedzieli okrakiem na deskach i rozmawiali. Słyszała ich głosy - świadczyły o tym, że wciąż jeszcze byli dziećmi. Doznała dziwnego uczucia, że oto znaleźli się w miejscu, z którego nie da się pojechać dalej. Skręciła ku szopie i przeszła przez drzwi oznaczone napisem DLA PAN, przez kilka minut brała prysznic, wygniatając jedno-

cześnie stopami brudne rzeczy, które rzuciła na zapleśniałe deski nad odpływem.

Gdy wyszła i ruszyła ku plaży, by rozłożyć pranie, natknęła się na mężczyznę, brodatego blondyna, którego niebieskie oczy otwierały się jak okna na ocean za jego plecami, sprawiając, że jego głowa wyglądała jak pusty, cichy pokój.

Mężczyzna był suchy i ubrany, ale sprawiał wrażenie człowieka, który dopiero co wyszedł z wody, oczyszczony i odmieniony przez morze.

- Wiesz - zwrócił się do niej - coś dziwnego wydarzyło się tej nocy.

Coś nie tylko dziwnego, ale i złego. Widziała to po nim.

- O, nie...

- On nie żyje.

- O, nie... Tak mi przykro.

- Chodziłem brzegiem morza przez całą noc. Ani na chwilę nie odszedłem od brzegu. Wszedłem na skały i takie tam... Urwiska. Radar pomieszał mi w głowie.

Opuściła wzrok i w duchu modliła się za niego.

- Jak masz na imię?

- Carrie. A ty?

- Fairchild.

- To doskonale do ciebie pasuje¹. Ja nazwałabym cię Goodman² albo coś w tym rodzaju.

- Dziękuję.

- Proszę.

- Co tu robisz... w ogóle?

- Pan mnie tu przysłał.

- Ta... Wielu ludzi przysyła na wybrzeże.

- Powiem inaczej: szatan przestał mnie tu ścigać.

- Bylebyś nie skończyła na jeździe w górę i w dół. Wielu czuje się tu przysłanych, a potem... autostradowy szal! Jeżdżą w tę i z powrotem wzdłuż wybrzeża przez całą wieczność.

- Mój samochód mi na to nie pozwoli.

- Ta... ta... Pytałem tylko, co cię tu sprowadza.

¹ Fairchild może oznaczać w języku angielskim „Jasnowłose dziecko”, ale „czyste dziecko”, „dziecko bez skazy” lub „prawdziwe dziecko” (*Przyp. tłum.*).

² Goodman - „dobry człowiek” (*przyp. tłum.*).

Wsunęła dłonie do kieszeni i stała sztywno jak żołnierz. Uśmiechnęła się, gdy przyszło jej do głowy to porównanie.

- Powinien był umrzeć już dawno temu - powiedział Fairchild - ale i tak jest mi przykro.
- Wierzę ci. Będę się za ciebie modliła.
- Chodzisz do kościoła?
- Kiedy mogę.
- Byłaś kiedyś w West Point? Jest tam taki mały kościółek. Słynie wieloma cudami...
- Wierzę, bo ty mi to mówisz.
- Powiedz im, żeby pomodlili się za mojego ojca.
- Zrobię to.

Mo znalazła odpowiednie miejsce na skraju cmentarza. Navarro puścił ją i został sam, dotykając czubkami służbowych butów świeżej ziemi, która przykryła miejsce wiecznego spoczynku Nelsona Fairchilda seniora, który żył tu od 7 czerwca 1928 do ostatniego tygodnia. *Kalifornijczyk* - jak napisano na nagrobku.

Podczas pikniku towarzyszyło im wielu takich Kalifornijczyków. Navarro odkorkował butelkę czerwonego wina, a Mo otworzyła puszkę wędzonych ostryg i pokroiła ser. Nim doszli do kanapek, nie byli już głodni, zaczęli się więc całować i rozmawiać. Navarro był zadowolony z decyzji, którą podjął pierwszej nocy spędzonej z Mo, a raczej pozwolił podjąć ją sercu. Leżał obok niej, spoglądając na nagrobki i czując się uprzywilejowany towarzystwem tych szacownych rodów, z których większość była tu, zanim wybudowano drogi. Ich obecność pozwalała mu czerpać z odwagi płynącej z wiecznego spokoju. Byli tu nawet wcześniej od świń. W istocie, to oni przywieźli świnię. Świnie zdziczały i mnożyły się -szczute, wychudzone, tropione wśród tutejszych wzgórz. Podciągnął Mo sportową bluzę na piersi i polał jej winem brzuch, którego prawie nie było. Piersi też miała skromne, tułów chudy i kruchy, żebra przypominające klatkę, w której uwieziono serce, żeby nie odleciało ani nie uciekło. Zlizał wino z jej sutków.

- Tak. To wzbogaca bukiet wina.
- Masz... - Pocałowała go w usta, podając mu kroplę wina na wargach.

- Hej... jestem w niebie?
- O krok... biorąc pod uwagę okolice, w jakiej się znajdujemy.
Fakt. Przeczółgał się na słoneczną plamę na grobie i leżał w trawie niczym na puchowym pościeliu.

- To morze jest głośniejsze od miasta - powiedział. Nie miał pojęcia, czy go słuchała.

Przesunęła się bliżej.

- Indianie wierzyli, że morze zabija, jeśli wejdzie się do wody głębiej niż po kostki.

- Nie wiedziałem.

- Tak, to prawda. W ogóle nie wchodzili do morza.

Zamknął oczy nad czerwonym, pulsującym ciepłem i poczuł pod sobą i wokół siebie wszystkich Kalifornijczyków pływających w ziemi. W tak cichych, niemal archeologicznie spokojnych miejscach człowiek zaczyna myśleć o kontynentach dryfujących przez miliony lat ku swoim obecnym miejscom postoju. Nie dalej jak dziesięć mil stąd linię brzegu przecinała płaskodenna dolina rozszczepiająca wybrzeże i ciągnąca się dalej pod wodą. Był to słynny uskoki San Andreas. Na zachód od miejsca, w którym zarośnięta zielenią i omiatana wiatrami linia uskoku ginęła w morzu, stała farma - sad, biały domek, czerwona stodoła, szary silos - czekała niczym kostka do gry na dnie koryta na kolejny rzut, a ziemia wstrzymywała oddech.

- Posłuchaj - odezwał się - może nam się udać, już nam się udaje...

Mo leżała płasko na brzuchu, z brodą opartą na złożonych dłoniach, i wpatrywała się w źdźbła trawy.

- Nie zakochuję się i nie odkochuję na zawołanie...

- Ja też nie.

- Ale masz tupet. Szybki jesteś...

- Nieprawda.

- Szybki, mój mały.

- Mogę zwolnić.

- Ale wciąż dodajesz gazu - szepnęła i roześmiała się.

- Dla właściwej osoby jestem gotów stanąć w miejscu.

- Dla kogoś takiego jak ja?

- Odnoszę takie wrażenie.

- Jakie wrażenie?

- Wrażenie, że chciałbym zginąć pod tymi pięknymi cycami.

Śmiała się. Ale oczy miała martwe.

- Wiem, o co ci chodzi, człowieku. - Rozpięła mu rozporek, a on wsunął się w nogawkę jej szortów i dalej. Było w sam raz, a potem nawet jeszcze lepiej, gdy podniosła wzrok znad krawędzi jakiegoś olbrzymiego, spóźnionego smutku i powiedziała:

- Człowieku, tak nam dobrze razem... - Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście, nie mógł uwierzyć, że znów się do niego uśmiechnęło po tych wszystkich razach.

Zachód słońca stał cienie z nagrobków i wyrzucił obcych zmarłych z zielonych grobów.

Leżeli nieruchomo i cicho. Pomyślał, że chyba się spuści od samej obecności w jej wnętrzu, a raczej od wdzięku, z jakim go tam wpuściła. I w tym momencie usłyszeli niespokojny odgłos małego silnika pracującego w pobliżu.

Między nagrobki wjechał stary, kanciasty, czarny saab z nosem zadartym, jakby był tropiącym psem. Zatrzymał się równoległe do nich, nad krawędzią klifu. Z samochodu wysiadł mężczyzna i gdy tylko zamknął za sobą drzwi, zaczął żonglować, wyrzucając do góry jedną po drugiej chyba z pół tuzina piłeczek - może tenisowych? Stał na lekko ugiętych nogach, z odchyloną do tyłu głową, a jego dłonie, ramiona i korpus przesuwwały się tylko nieznacznie, jakby to wcale nie on odpowiadał za wprowadzenie w ruch tego skomplikowanego systemu, jakby piłeczki mogły wirować same, nawet wtedy, gdyby się od nich odwrócił. Jego twarz zataczała małe kółka o wspólnej osi z majestatycznymi orbitami flotyli, w którą tchnął życie. Żadna, najmniejsza dewiacja toru lotu nie uszła jego uwagi, jakby był słońcem i siłą napędową ruchów planet. Przestał kręcić głową. Światy opadły jeden po drugim, chwycił je i przyciskał do piersi.

- Chyba tu idzie - powiedziała Mo.

Navarro wysunął się z niej. Tego nie przewidział. Człowiek leży na cmentarzu i pieprzy się z kobietą, a tu nagle przyjeżdża żongler i zaczyna trening.

Zmienił pozycję i zaciągnął ukradkiem suwak u spodni, zastanawiając się, czy powinien aresztować intruza. Facet stał na krawędzi klifu, jego długi cień sięgał nagrobka i zniknął

jakby wchłaniany przez kamień, który z kolei rzucał własny cień na długość grobu.

- Pozdrowienia i prestidigataściski.

Navarro nie mógł pojąć, dlaczego tak wielu mieszkających nad oceanem ludzi robiło z siebie kuglarzy. Żongler wyglądał jak ktoś uzależniony od marihuany, chociaż z drugiej strony tylko wolne od uzależnień synapsy były w stanie przekazywać tak szybkie sygnały między jego oczyma a dłońmi.

Żongler miał na głowie jamajski beret. Rudą brodę podzielił na dwie części i splótł w warkocze. Był drobny wytreno-wana, wegetariańską kruchością. Grzbiet przykrywało mu coś w rodzaju derki z łątek, niekoniecznie kolorowych, ale pochodzących z różnych kawałków tkanin. Idąc w ich stronę na przykurczonych nogach, znów zaczął żonglować, przy czym ostrożnie sprawdzał stopą grunt przed każdym kolejnym krokiem.

- Lubię to miejsce o tej porze. Wiecie, dlaczego? Bo cienie sprawiają, że każdy grób wygląda jak otwarty. Jakby nasi przyjaciele opuścili podziemia i wyszli sobie na spacer. Nocą też zdarza się coś takiego, ale tylko przy pełni.

- Patrzcie na moje oczy. Na oczy! W.C. Fields umiał przeczytać tytuły piosenek z płyty puszczanej z szybkością siedemdziesięciu ośmiu obrotów na minutę. Mówili na niego Największy Żongler Świata. Był także najlepszym komikiem na świecie i jednym z najwierniejszych zwolenników martini. Nie pił wiele, ale tylko z dużych kielichów. Ja jestem najbardziej prestidigitarskim dygitatorem w całym cipowiecie...

Piłki, którymi żonglował, były gąbczastymi, wielokolorowymi kulami. Było ich przynajmniej sześć - Navarro nie mógł się doliczyć. Dygitator zebrał je z powietrza, złożył w zgięciu ramienia i odwrócił się, żeby ukraść kwiat z grobu - świeżego grobu Nelsona Fairchilda; była to czarnooka lilia w białej doniczce.

Tymczasem czerwone słońce zawisło na krótko nad krawędzią klifu, a potem zaczęło staczać się wolno w przepaść. Przez cmentarz przebiegła wiewiórka, zatrzymała się i klnąc pod nosem, wskoczyła na gałąź. Cały cmentarny zagajnik zmienił położenie i przystanął w cienistej ciszy.

Dygitator stał nad nimi i milczał, a potem przyklęknął, Podał Mo lilię i odszedł, by wsiąść do saaba i odjechać.

*

Clarence spotkał Carrie, gdy po przepłynięciu się na drugi brzeg rzeki Guaiala wjechał do Sonomy i odwiedził stanowy kemping, gdzie szukał dwóch najemników Lally'ego. Wcześniej natknął się na małego Clarence'a.

Chłopiec leżał na trawie, w słońcu, obok rudego psa -suki rozciągniętej na boku i dyszącej z upału. Obejmował jej brzuch ramieniem i wsparł brodę o jej bok, tak że głowa huśtała mu się z każdym oddechem zwierzęcia. Suka miała szeroko otwarte oczy i wpatrywała się w myśli. Rzeka toczyła mało wody, pluskała na kamkach i szorowała po dnie.

Meadows zapytał:

- Czyja jest ta skóra, tatuś? - Ale chłopak chyba go nie poznał.

Trzasnęły drzwi na sprężynie. Z drewnianego przybytku dla pań wyszła Carrie z mokrą głową w czystej, białej koszuli Arrow i szortach obciętych z dzinsów. Poły koszuli związała pod stanikiem, a brudne rzeczy ukryła w wilgotnym ręczniku.

- Czyj jest pies?

- Jaki pies?

- To twój pies?

- Ten... - powiedziała. - Mam nadzieję, że nie.

- Więc czyj jest?

- Najpierw wolałabym usłyszeć „Cześć, Carrie. Nie spodziewałem się, że cię jeszcze zobaczę”.

- Okay. To chyba rozumie się samo przez się.

- Dziwne.

- Jasne. I niespodziewane. Do kogo należy ten pies?

- Do takich dwóch. Tylko oni tu są. I powiem ci, dlaczego. Bo tu cholernie drogo. Czternaście dolców za dobę.

- Spróbuj Anchor Bay. Pozwolą ci powaletować przez parę dni, jeśli podasz im dobry powód. Nie przyjmują tylko białego śmiecia - dorzucił i zmienił ton na łagodniejszy - którym nie jesteś.

- Dzięki.

- To myśliwi?

- Kto? Tamci?

- Ci faceci.

- Nie wiem.

- Jest ich tylko dwóch?
- Ta... i milion psów, a przynajmniej tak mi się wydaje.
Hałasują jak w zoo.

- Mają broń?
- To dziwne pytanie, nie sądzisz?
- Wystarczy, że mi odpowiesz.
- Chyba tak. Ale wyglądają na miłych gości.
- Widziałas, jak nosili broń przy sobie?

Opuściła wzrok na własny brzuch, w jej oczach kryło się za-
kłopotanie. Odwiązała poły koszuli i schowała je w szortach.

- Byłam w Anchor Bay dwie... trzy noce temu...
- W kaburach albo w czymś takim?
- Nie przypominam sobie.

Młodszy zakręcił dzbankiem do kawy i wylał jego zawartość
na kamienie.

- Rozgość się - zaprosił chłopca.
Clarence powiedział:
- Wiecie chyba, że wasz pies biega luzem.
- No. Suka jest w porządku. Nikomu nie zrobi krzywdy.
- To dobrze. To dobrze. Bo krzywda jest bardzo bolesna.
- Bezsprzecznie.
- Dobrze. Doskonale.

Wymienili spojrzenia i starszy powiedział:

- Z pewnością.
- Facet - odezwał się młodszy - dlaczego wyczuwam chłód?

Straszliwy chłód?

- Kurwa, nie wiem, co mówię. Czasem mi odbija. Zachowuję się jak świr. Zdaje się, że znacie mojego kumpla.
- Ja nie - młodszy pokręcił przecząco głową.
- Harry'ego.
- Harry'ego... Nie. Nic mi to nie mówi.
- Powiem wam coś o nim, okay? Powiem wam, co o nim sądzę. Harry jest do niczego. Krzywdzi ludzi. Takie jest moje zdanie.

Starszy podniósł wzrok.

- Rozumiem.
- Ale go nie znamy - powiedział młodszy.
- Ma wokół siebie różnych ludzi i prędzej czy później dzieje im się krzywda.

Starszy uśmiechnął się i spytał:

- Czy mam się zacząć bać? Meadows

odwzajemnił uśmiech.

- Powinieneś zacząć myśleć racjonalnie.

Młodszy także się uśmiechnął wystudiowanym uśmiechem.

- Wiesz co, lubię sztuki walki. Lubię łykać takie czerwone pigułki, popić je jakimś gównem i wpaść w szal. Kapujesz, o co mi chodzi?

- Życzę miłego pobytu nad naszym pięknym morzem.

Wszyscy byli uśmiechnięci.

Opuścił ich, unosząc rękę na pożegnanie, i powłókł się wzdłuż łąchy piasku, mijając po drodze drzewa i nie decydując się na skorzystanie z drogi. Potem zawrócił do toalet. W środku stał z rozpiętymi spodniami i trzymał penis w dłoni. Nasłuchiwał brzęczenia much. Nie mógł oddać moczu wskutek emocji.

- Hej, Ciarence - powiedział po wyjściu na zewnątrz. - Pamiętajsz mnie?

- Nie, proszę pana - odparł chłopiec.

- Nikt cię nie pamięta - dodała jego matka.

Meadows zdjął baseballówkę reklamującą BP i przeczesał włosy do tyłu.

- Czy możecie mi pożyczyć nóż?

- Mamy parę rzeczy, chyba tak...

- Pokażcie, co tam macie... Wezmę tę maczetę. Chodź, koleś - zagwizdał na psa.

Zaprowadził psa do wjazdu na kemping i pogłaskał po głowie, spoglądając na zachód, w stronę pustej drogi. Pies wyglądał jak wyżeł rodezyjski, był cały rudy oprócz nastroszonej sierści na grzbiecie, która miała głębszy, brązowy odcień. Meadows poderznął mu gardło jednym ruchem przez krtań i główne arterie, potem zaciągnął zwierzę - broczące krwią przez wielką ranę na szyi - otaczającą kemping drogą na skraj obozowiska jego właścicieli, położonego po przeciwnej stronie w stosunku do miejsca, w którym zatrzymała się Carrie. Rzucił ścierwo w cieniu cisów i otworzył mu brzuch, najpierw maczetą, a potem szerzej - dłońmi. Nikogo nie było w pobliżu. Psy w samochodzie oszalały, gdy przeszedł obok i dwa razy kopnął w blachę. Z tyłu wozu trzasnęły otwierane drzwi, wyskoczyli dwaj domniemani myśliwi,

żeby sprawdzić, co się dzieje. Meadows był nie dalej niż dwadzieścia stóp za ich plecami, szedł, trzymając psa za przednie łapy i ciągnąc jego łeb po piachu. Maszerował ku dwóm niebieskim śpiworom. Wrzucił trupa do jednego z posłań i odszedł, ciągnąc za sobą wnętrzności, rozrzucając je po kamiennym kręgu ogniska, w którym syczały i cuchnęły. Z odległości dwudziestu jardów, ukryty w niskich zaroślach, obserwował płynną pantomimę: młodszy zatrzymał się najpierw przy ognisku i zamarł, wpatrując się w nie z chorą fascynacją. Potem obiegił kamienie, ruszył do ciężarówki i odwrócił się, żeby z otwartymi ustami, kołysząc się z wrażenia, patrzeć na ścierwo psa leżące w śpiworze. Potrząsał z niedowierzaniem głową, a potem wskazał oskarżycielsko na swojego kumpla, oparł ręce na biodrach i, odzyskując oddech, wrzasnął:

- Kurwa!

Jego przyjaciel przyglądał się temu wszystkiemu z niechęcią. Młody szperał pod siedzeniem kierowcy w samochodzie i wyciągnął stamtąd pistolet: długolufy, stalowy rewolwer z zamontowanym u góry celownikiem optycznym. Meadows zniknął.

Splukał krew z ostrza w rzece i oddał maczetę Carrie. Siedziała na ręczniku obok samochodu, czesząc mokre włosy.

- To naprawdę dziwne, że tu jesteś.

- Jeszcze dziwniejsze niż myślisz.

- Myślę, że zostałeś przysłany po raz wtóry - powiedziała - przez Pana.

- Nie wiem. Myślisz, że Pan ma czas na takie drobiazgi?

- Nie jestem teologiem.

Po drugiej stronie kempingu rozległy się wrzaski.

- To ci dwaj. Nie mów im, że mnie znasz.

- Nie powiem.

Będą mu deptać po piętach. A powinien być za rzeką, gdy znaleźli psa. Powstrzymywało go dobrze mu znane wewnętrzne napięcie. Nie pożądanie, a w każdym razie niezupełnie. Raczej ciekawość.

Czas i alkohol. Gdy ma się obydwie te rzeczy, można zrobić wszystko z każdą kobietą.

- Może odwiedzę cię i przyniosę wino.

- Może powinieneś spróbować gdzieś przy drodze.

- Myślałem, że Pan mnie przysłał.
- Odsyłam cię pod właściwy adres.

- Idziemy. Daj mi tego casulla. Chodź do tatusia, maleńki.
- Hej, hej. Przecież dokładnie o to mu chodzi.
- Sprzątnę go tym z odległości pięćdziesięciu jardów.
- Mówię, że o to mu chodzi. Chce, żebyśmy wpadli w szal, zaczęli biegać po lesie i strzelać. A później porozmawiamy sobie z policjantem i... słuchaj mnie do cholery!... już po nas. Jesteśmy załatwieni.
- Pierdołę to!
- Jeśli masz zamiar wyrzucić do rzeki casulla, wartego tysiąc trzysta dolarów, to proszę bardzo. To jest casull, tam jest rzeka. Bo tak zrobisz, jak pokażą się gliny.
- Ukryję go!
- Wyrzucisz go, człowieku! Bo jak pan policjant prze-trząśnie prześcieradła i wypadnie z nich to... Faceet...
- Ten skurwiel. Ten skurwiel! Ten skurwiel, człowieku!
- Thompson walił o ścianę wozu otwartą dłonią i kolbą pistoletu. Dwa pozostałe przy życiu psy szalały pod drzwiami i wyły jak cała sfera.
- Chcę, żeby stał przede mną, jak go sprzątnę. Chcę mu wsadzić język do gardła! CISZA! - wrzasnął na psy.
- Mówiłem ci, żeby nie brać pistoletu. I psów, i tak dalej. Mówiłem ci od samego początku, że ta sprawa cuchnie. Więc jakbyś chciał wyjechać...
- Casull cztery-pięćdziesiąt-cztery... Najpotężniejszy pistolet na świecie. Broń na całe życie, człowieku! Niech mnie chuj zastrzeli, jak go kiedyś wyrzucę!
- Falls siedział na piętach przed trupem nieszczęsnej suki, wyjął gałązkę z ogniska i zapalił papierosa.
- Pójdę tam i rozpierdołę cały las.
- Ukryj ten pistolet gdziekolwiek. Nie będą przecież ryli między drzewami.
- Sukinsyn zdążył już uciec. Przechytrzył nas.
- Kto to był?
- Nie mam pojęcia. Ale znał się na robocie. Kurwa. Popatrz na nią.
- Co powie stary Busk?
- Falls wstał.

- Zakopmy ją.
 - Przysięgam, że go zabiję. Klnę się na Boga.
 - Wsadź jej z powrotem te flaki.
 - Chryste. To tragedia...
 - I idź, zachlaj się za dwóch.
 - To tragedia, bracie. Tylko ona była z nich coś warta.
 - Powiemy mu, że rozpruł ją dzik. Będzie z niej dumny.
- Pochylili się nad psem.

Wyczuł między kolidującymi ze sobą uderzeniami wiatru i fal o brzeg jakiś cichszy, samotny rytm - ktoś rąbał drzewo za domem. Puścił przed sobą Mo i wszedł za nią do środka. Mo odwróciła się i uśmiechnęła do niego, a potem ścisnęła mu dłoń, co wyglądało jak uścisk między nieznanymi. Kiedy go puściła, odgłos fal znów znalazł się na swoim miejscu, ale nie wszedł za nimi do wysokiego jak katedra salonu, w którym stała samotna, niezbyt wysoka kobieta wpatrująca się w ceramiczną popielniczkę na półce. Navarro usłyszał gwizd czajnika dobiegający z kuchni. Mo zapytała: -Czy mogę pomóc? - i poszła w tamtą stronę.

- Nie będzie przeszkadzać, jeśli spuszczę żaluzje? - za pytała kobieta. Nie mówiła do niego. Usiadł na podnóżku z szeroko rozstawionymi stopami i oparł łokcie o nienaturalnie uniesione kolana, a pokój wypełniło niemal poziome światło. Słońce padało na ledwo widoczne drogi kurzu ciągnące się wzdłuż paneli parkietu. Na jego służbowe buty od Searsa i spodnie z poliestru. Kobieta stała z dłonią na sznurze żaluzji, była blondynką, miała na sobie dżinsy i pulower z kapturem. Nosila okulary, które powiększały jej oczy i wydłużały rzęsy. Gdy odwróciła się w jego stronę, dostrzegł na grubych szklach małe kropki farby. Była mała, dobrze zbudowana i na tyle młoda, by jej krągłości mogły wydawać się atrakcyjne. Włosy miała spięte w koński ogon, a tego Navarro nie lubił. - Nie chcę zamknąć jej na balkonie - powiedziała. Yvonne, medium albo specjalistka od ciał astralnych, albo lesbijska wiedźma, stała tam z rękoma złożonymi na balustradzie. Dom wznosił się na stoku wzgórza i za Yvonne było tylko morze i zachód słońca, a ona sama wyglądała jak szyper na dziobie statku oddalonego o setki mil od najbliższego lądu; znikająca niemal w ognistej iluminacji. Słońce

wtoczyło się w pustą przestrzeń między horyzontem a chmurami i rozsypało po Pacyfiku mnóstwo dezorientujących kolorów. Gdy Yvonne weszła z balkonu, światło wypełniało jej luźną suknię, rysowało szczupłą sylwetkę, iskrzyło się u zbiegu ud. Navarro poczuł w sercu jakieś kwaśne pragnienie.

- Wi-taj... wszędzie dobrze - powiedziała, co zrozumiał jako aluzję do siedzenia na niewygodnym podnóżku. Zresztą i tak czekał na okazję, żeby się podnieść, bo czuł się niezręcznie, jakby ktoś go poniżył. Wstał więc. - Czy zostaliście sobie przedstawieni? Winono Fairchild, to jest John Navarro.

- Cześć, John.

- Przyszedłem z Mo - chciał, żeby dobrze go zrozumiąły.

Winona oderwała się od żaluzji, a wokół nich otwarła się pastelowa cisza.

W wejściu do kuchni widział dziewczynę o miłej twarzy, ubraną w nakrapiany kombinezon, rozstawiającą filiżanki na orientalnej tacy. Przez drzwi prowadzące na tyły domu wpadł jakiś facet i przeszedł przez kuchnię, niosąc w zgięciu ręki drewno na opał, stos sięgający mu aż pod brodę. Nie pochylając się, zdjął z nóg tenisówki i wszedł do salonu w grubych pomarańczowych skarpetach, w których wyglądał jak kaczką. Navarro nie został mu przedstawiony, ale widywał go niemal codziennie w pobliżu dużego domu w stylu wiktoriańskim, stojącego naprzeciw jego mieszkania w Point Arena. Był cieślą i pracował przy remoncie starego domu. Wraz z Yvonne i Winoną Navarro wpatrywał się z zaciekawieniem w faceta, który rozpałił w kominku drzazgami i zapchał palenisko kawałkami porąbanego dębu.

Yvonne zapytała:

- Co ja słyszę? - Wszyscy nadstawili ucha. - Nelson.

Wiatr przyniósł odgłos silnika, który zatrzymał się w połowie obrotu - jakby umarł nie dokończywszy myśli - jak każda dobra niemiecka maszyna, gdy każe jej się stanąć.

Winona powiedziała:

- No cóż... - a w jej głosie kryło się zmęczenie tym światem.

W oknie wychodzącym na podjazd widzieli dwie osoby wysiadające ze starego porsche Fairchilda, które potem szły w czerwonym świetle obok jodeł i cyprysów przyjmujących ludzkie kształty.

Nelson Fairchild wszedł do domu w towarzystwie wyglądającej na hipiszkę dziewczyny, która okazała się jednak kobietą - bladą, chudą kobietą o pięknej twarzy, twarzy porcelanowej lalki. Zdarła z głowy kapelusz w kształcie opakowań na lekarstwa i odkryła gruby, czarny warkocz spięty w kok nie ustępujący wielkością temu, co przed chwilą miała na głowie. Lśniące niebieskie oczy. Uśmiechała się nimi, ale nie ustami, co sprawiało, że wyglądała na przerażoną lub smutną. Oczy Fairchilda wyglądały natomiast tak, jakby ktoś przyczernił je kijem baseballowym. Facet nie był całkiem zdrowy. Nosił się na biało, aż po wytłaczane podeszwy butów. Wyglądał jak lemur podróżujący jachtem.

Navarro usiadł. Miał już pełny obraz sytuacji. Z własnej nieprzymuszonej woli znalazł się na deskach teatru, by wziąć udział w przedstawieniu, w którym wszyscy oprócz niego znali na pamięć swoje role. Mieli swoje paszporty i plemienne blizny. Co się stało z Mo? Słyszał jej śmiech w kuchni. Był z nią ktoś jeszcze, przysadzista kobieta, której wcześniej nie widział. Towarzyszył im cieśla, który przyciszonym głosem żartował z dziewczyny ubranej w kolejowy kombinezon. Ładniutkiego stworzenia, które nie miało więcej niż dwadzieścia lat. A może cieśla ją podszczypywał? - zastanawiał się Navarro. Może podszczypywał wszystkie jednocześnie? Albo tylko tę grubą, która sama się o to prosiła?

Nikt się nie odzywał. Po chwili weszła dziewczyna z japońskim serwisem na tacy. Zatrzymała się przed nim i podała filiżankę z takim wdziękiem, że uśmiechnął się, wyciągając rękę. - Dzięki - powiedział. Zakrył filiżanką usta i wdychał parę pachnącą przyjemnie miętą. Obrócił się w stronę półki z książkami i z przechyloną głową udawał, że czyta tytuły, a potem odstał filiżankę obok *Rób to, co lubisz najbardziej, a będziesz bogaty* i zapomniał o niej.

Dziewczyna znów pojawiła się w salonie, uśmiechając się przepraszająco i kręcąc przy tym głową. Przy każdym ruchu jej długi, brązowy warkocz omiatał okolice krzyża. Uśmiechała się do Navarro. Chciała, żeby podniósł tyłek. Wszyscy obecni pałętali się po obrzeżach pokoju, a ona ustawiała krzesła w półkole.

Zaczęło się zajmowanie miejsc. Navarro wrócił na siedzisko, z którego został przegnany, a Yvonne usadowiła się na

wysokim stolku kuchennym, z oparciem zwróconym w stronę pozostałych krzeseł, które nie stanowiły kompletu. Krzesło, na którym od jakiegoś czasu siedział Navarro, było wygodne, miało głęboko zapadnięte siedzisko, pomyślał więc, że wkrótce zdrzemnie się na nim mimo czujności wywołanej okolicznościami. Odgłos, który początkowo brał za daleki dźwięk wietrznych dzwonek, okazał się muzyką New Age, płynącą z głośników umieszczonych wysoko w rogach pokoju.

Yvonne zamknęła oczy na dziesięć sekund, po czym otworzyła je szeroko i uśmiechnęła się do każdego z gości po kolei.

- Proszę wszystkich o uwagę. Przedstawmy się sobie.
- Mo. Maureen.
- John Navarro.
- Melissa. Ale chcę zmienić imię.
- Na...?
- Jeszcze nie wiem. Ale to powinno być jakieś słowo.
- Winona Fairchild.

Cieśla zapytał:

- Nie będzie za gorąco?
- Mam na imię Ocean - przedstawiła się dziewczyna w kombinezonie.
- Ocean tu mieszka - powiedziała Yvonne.
- Zmniejszą cug - powiedział cieśla, klękając przed kominem.

Nelson junior siedział bez słowa i wpatrywał się w żonę. Yvonne zajęła się nim:

- To jest Nelson Fairchild.

Pani Fairchild nawet nie spojrzała na niego. Navarro postanowił, że ją na tym przyłapie, ale nie dała mu okazji, choćby jednej. Stwarzała w ten sposób wrażenie obsesyjnego skrepowania jego obecnością, jakby był plamką wypaloną na jej siatkówce. Fairchild nabierał przez to znaczenia, jak bolące miejsce albo zaćmienie słońca.

Pojawił się jeszcze jeden gość, kobieta, którą widział wcześniej w kuchni razem z Mo, osoba wielce podekscytowana o silnych, zniszczonych dłoniach, pomalowanych paznokciach u nóg, na których miała sandały, i w cygańskiej chuście owiniętej wokół mięsistej szyi.

- Siadaj. Siadaj. Wszyscy cię znają oprócz Johna.

Navarro skinął głową i zauważył - gdy usiadła naprzeciw niego - że nie gołiła nóg. Gdy je skrzyżowała, stwierdził, że nosi żółtą bieliznę.

- Hillary Lally.
- Jak w wyliczance.
- Jakiej wyliczance?
- Żartowałem tylko.

Sporunowała go wzrokiem, uśmiechnęła się i nadała. Chodziło mu o wyliczankę *Hickory Dickory Dock*.

Nagle Melissa roześmiała się perliście, co zabrzmiało, jakby ktoś upuścił drobne na trotuar. W jej ustach zalsnił złoty mostek. Wzruszyła ramionami i pomachała do wszystkich dłońmi. Zaczęła obgryzać paznokcie. Zamknęła wargi w krzywym uśmiechu i znów wyglądała jak skrzywdzone, niepełnosprawne dziecko.

Cieśla nie przedstawił się z imienia.

- Gdzie jest Billy?
- Nie liczyłbym na Billy'ego.

Yvonne uśmiechnęła się.

- Mówiąc szczerze, jestem nieco zdziwiona twoją obecnością, Nelson.

- Cały świat, najdroższa, został odarty z pozorów. Jeśli chcesz znać moje zdanie, wszystko się może wydarzyć.

- To wspaniały zbieg okoliczności. Czy wiesz, że chiński ideogram oznaczający nasze słowo *kryzys* jest połączeniem znaków *niebezpieczeństwo* i *szansa*, niebezpieczeństwo plus szansa - wiedziałeś o tym?

- Wiem tylko, że chciałbym zapalić.
- Nie wiedziałam, że palisz.
- Tylko po to, żeby cię wkurwić.

Uśmiechnęła się czarująco, a potem rozejrzała po twarzach obecnych, co wprowadziło nastrój pewnej powagi. Zamknęła oczy i zaczęła głęboko oddychać, wciągając powietrze szeroko rozwartymi nozdrzami, a wypuszczając je przez usta. Większość poszła w jej ślady, z wyjątkiem Navarro i - jak widział Navarro - Fairchilda. Yvonne otworzyła oczy i uśmiechnęła się do nich obu, jakby uznając - bez potępienia - ich opór, a potem zwróciła się do wszystkich:

- Jedną ze spraw, które nas tutaj przywiodły, jest uroczystość poświęcona ostatniemu i następnemu życiu Nelsona

Fairchilda seniora. Nelson Fairchild senior znajduje się teraz między dwoma światami. Jesteśmy tu po to, żeby podziękować mu za ostatnie życie i życzyć wszystkiego najlepszego w następnym. Ogromnie ważną rzeczą, jakiej możemy wspólnie dokonać, jest oczyszczenie naszego pojmowania Nelsona Fairchilda seniora. Niechaj jego uczynki i osobowość, tak jak je pojmujemy, zanurzą się na powrót w niezmaconej tafli czasu. Gdzie Nelson jest pozbawiony doczesnej indywidualności. Gdzie jest poza wszelkim doświadczeniem i poza wszelkim pojmowaniem. Gdzie nie jest nikczemnikiem. Ani złym człowiekiem. My też w swej drodze przez czas uczynimy wszystko, co i on uczynił, i doświadczymy wszystkiego, czego on doświadczył, a przyjdzie nam, być może, dopuścić się nawet okropieństw, jakich dopuścił się Hitler, zanim dobiegnie końca nasza wędrówka przez miliardy wcieleń. Nie zostawiajcie niczego za sobą. Pozwólmy mu teraz odejść. To, co wydawało się nam, że widzieliśmy, odeszło. Nic z tego nie było rzeczywiste. To, co pozostaje, jest czyste. To, co pozostaje, jest prawdziwe. Mówimy do widzenia... mówimy witaj...

Czekali w swoistym zamyśleniu, dopóki Yvonne nie wydała z siebie długiego, przesyconego zadowoleniem i nieco sztucznego westchnienia. Potem znów wszyscy skupili na niej uwagę. A Yvonne zwróciła się do Hillary Lally:

- Jak było w Południowej Ameryce?
- Byliśmy tam tylko trzy dni i wyjechaliśmy.
- O...
- Był wypadek.
- Słyszałam.
- Zginęła młoda dziewczyna.
- Czy wtedy, kiedy uderzył was samochód? Zderzył się z waszym samochodem?
- Nie. Później. To było... Ona była przechodniem...
- Zabił ją samochód?
- Nie wiem. Potem wyjechaliśmy i... nigdy się nie dowiemy.
- Myślę, że nadszedł czas, żeby wezwać Randalla.

Po tych słowach w całym domu zapadła cisza. Yvonne oparła brodę o piersi. Nie minęło pięć sekund, gdy znów ujrzeni jej twarz.

- Witajcie. Dobry wieczór. Nazywam się Randall Mac-Nammara.

Nie przewracała oczyma, głos pozostał jej głosem, w ogóle nic się w niej nie zmieniło. Nikt nie puścił dramatycznej muzyki ani sztucznej mgły. Yvonne miała smak i styl - pomyślał Navarro - pozwalając na rozgrywanie tej sztuki w teatrze wyobraźni.

Mo położyła dłoń na jego dłoni i coś dziwnego stało się w jego głowie, ale nikt tego nie zauważył, nie był więc do końca przekonany. Prawdopodobnie właśnie się zakochał.

Wiedźma miała prawdziwy talent. To, w czym uczestniczył, musiało być jednym z większych i bardziej eleganckich szwindli regionu. Ale przecież sam tu przyszedł i coś na niego działało.

Yvonne była niezrównana. Niczego nie wymuszała, nie wpychała się tam, gdzie jej nie proszono. Zrzuciła sandały, odkrywając stopy, wygładziła suknię na udach. Miała wspaniałe nogi. Navarro widział oczyma wyobraźni, jak leje na nie tanią wódkę, a potem zlizuje ją ze smakiem.

- Cofnijmy się... - zaczęła, a raczej Randall zaczął - do naszych poprzednich wcieleń... Odprężmy się całkowicie... Zacznijmy od samego czubka głowy... Niech napięcie od płynie w pustkę... Odprężmy mięśnie szyi... Odprężajmy je... niech wszystko odpłynie... Ramiona... teraz plecy... tułów... biodra... uda... łydki... Niech resztki napięcia spłyną z pode szew naszych stóp wprost do grawitacyjnego centrum ziemi pod nami... Pozwólmy tej energii odpłynąć: energii, którą wchłaniamy na co dzień wraz z zewnętrznymi wpływami... to, co zostaje w nas, jest jak delikatnie pulsujący punkt w naszym wnętrzu... to, co zostaje, jest naszą prawdziwą energią... rzeczywistą, odwieczną, niezmienną, niepokonaną, spokojną i nieodpartą prawdą, którą jesteśmy... Zatrzymajmy się teraz i bądźmy nią...

Przez chwilę nic się nie działo. Na palenisku opadały płonące drwa. Navarro robił, co mógł - a przynajmniej tak mu się wydawało - żeby wyobrazić sobie ten ogieniek św. Elma, płonący gdzieś w jego wnętrzu: w klatce piersiowej lub w głowie, nie wiedział dokładnie, gdzie, i co pewien czas zmieniał jego umiejscowienie...

- A teraz niech nasze prawdziwe ja rozpocznie podróż.

Ono chce nam coś pokazać, chce się z nami podzielić widokami i odgłosami wcieleń, o których zapomnieliśmy... Nie otwierając oczu, uświadommy sobie obecność oczu w naszych oczach. Nie otwierając oczu, otwórzmy oczy w naszych oczach. Nie otwierając oczu, rozejrzyjmy się wokół siebie oczyma wewnętrznymi...

Navarro włączył się do gry i wyobraził sobie miejsce, coś w rodzaju mrówkowca, najniższe piętro plastra miodu o niezniszczalnych, lekkich komórkach, i zamieszkał w nim. Zamieszkał jako pionek, nic więcej, miał dobry garnitur i broń i nie myślał już o niczym, nie miał nawet innych pragnień. W następnej chwili znów usłyszał głos Yvonne i zdał sobie sprawę, że musiał się zdrzemnąć.

- ...nie po to, by wyjawiać nasze sekrety, lecz podzielić się tym, czym byliśmy, jeśli zdołamy... Czy ktoś chciałby zacząć jako pierwszy? Okay, Ocean. Co widziałaś? Gdzie byłaś?

Przemówiła dziewczyna: - Byłam nad morzem, jestem niemal pewna, że to było tutaj, to znaczy w Mendocino albo gdzieś w okolicy.

- Coś nad wyraz pięknego utrudniało jej oddychanie.
- I co robiłaś?
- Prałam ubrania.
- Jakie? Jakiego rodzaju ubrania?
- Myślę, że chyba indiańskie. Nie wiem. Wydaje mi się, że byłam Indianką.
- Miwok... - przerwała jej Mo. - Albo należałaś do którejś z rodzin Porno. Tak mogło być.
- Jakie ubrania nosili Indianie Miwok? - zapytała Yvonne.
- Nie wiem - odparła Mo. - Skóry... może... dopóki nie zaczęli handlować z białymi.
- Skór się nie pierze, prawda?

Dziewczyna ze smutkiem musiała to potwierdzić.

- Rzeczywiście, skór się nie pierze. - Świadomość tego faktu całkowicie ją przytłoczyła.

Navarro doszedł do wniosku, że byłaby oszczędniejsza w okazywaniu emocji, gdyby należała do spisku. Żadnych kumpi, żadnych obietnic, żadnych podstępów. Wszyscy jesteście znakami.

Cieśla odchrząknął.

- Ja...
- Przepraszam - przerwał mu Navarro.
- Tak?
- Jak masz na imię? _ Ja?
- No, Phil... Phil.
- Cześć, Phil...
- Wyczuł szttywność obok siebie. Spojrzał na Mo i właśnie miał zamiar jej powiedzieć: „Pieprz się”, gdy Yvonne przerwała mu znaczącym chrząknięciem.
- Podzielimy się wizją Phila.
- Ta... Tym razem nie byłem człowiekiem.
- O?
- No, biegłem po lodzie, miałem pazury, wielkie pazury, wiem chociaż tyle. I wydaje mi się, że było ciemno. Nie było drzew ani niczego, żadnych roślin. Nie wiał wiatr. Tylko pustkowie. Zaczekaj... osiem pazurów na każdej... były jak palce. I miałem grube, naprawdę grube, pokryte sierścią ramiona. To znaczy nogi, bo biegłem na czworakach...
- Yvonne-Randall czekali.
- Co to było za zwierzę? Byłem jakąś mityczną bestią?
- Byłeś na innej planecie. Nie znam jej. Może powinienem zapytać... - Yvonne zamknęła oczy. - Hmm... Byłeś daleko. Niczego nie odbieram. Niektóre z planet uległy zniszczeniu, mówi się, że część z nich spłonęła, gdy gwiazdy zamieniły się w supernowe we wczesnych stadiach ewolucji mieszkańców planet. Większość z nich narodziła się ponownie w odległych miejscach i pod różnymi postaciami, ale nie osiągnęli jeszcze zaświatów...
- Nie ma więc kogo zapytać.
- Tak, dokładnie to chciałem powiedzieć. Nie dostaję stamtąd żadnych informacji.
- Navarro spodziewał się duchów, a zamiast nich Yvonne zaserwowała mu science fiction.
- Pytanie?
- Co? - chodziło jej o Winonę Fairchild.
- Twój wygląd świadczy o tym, że chcesz zadać mi pytanie.
- Rzeczywiście - odparła Winona. - Chciałam... Skąd wiesz, że chciałam o coś zapytać?
- Nie ma w tym nic niezwykłego. Poznałem to po wyrazie

twojej twarzy. W tym wypadku nie musiałem uciekać się do telepatii.

- No tak... Zastanawiałam się, czy ktoś z tu obecnych... Czy znaleźliśmy się w przeszłości? W poprzednich wcieleniach?

- Zapytam o to... - Znow przymknęła oczy; milczała długo, wreszcie spojrzała na nich. - Ci dwoje... - złożyła dwa palce i cięła nimi jak nożyczkami, wskazując Mo i Navarro - czterokrotnie byli małżeństwem.

Mo roześmiała się z zażenowaniem. Navarro odebrał to jako komplement. Następnym razem, kiedy cię zatrzymam -pomyślał - nie dam ci mandatu. Swoją drogą Yvonne wiedziała, jak oczarować glinę.

- Trzy razy ty byłeś żoną - oznajmili Yvonne-Randall.

- Szkoda, że nie pamiętam, jak się gotuje - powiedział bez złośliwości, której się zapewne spodziewano, biorąc pod uwagę jego skłonność do traktowania z przymrużeniem oka i wyśmiewania tej bandy narwańców. Wszyscy zachichotali, a w głowie Navarro pojawiła się znana mu skądinąd fantazja, polegająca zazwyczaj na tym, że wyobrażał sobie, jak z obecnych spadają nagle ubrania i każdy zostaje nago albo w samych tylko gatkach. Tym razem, ponieważ miał broń - kompaktowego, służbowego ACP kalibru 0,45, ukrytego pod obszernym swetrem w kaburze przy pasie - z którą na ogół starał się nie rozstawać, fantazja przyjęła formę wielokrotnego morderstwa: wyciągał broń z kabury i otwierał ogień do zgromadzonych.

Odchrząknął. Tamto minęło.

- Coś tworzy bardzo niskie wibracje. Niepokojący szum. Czy masz przy sobie broń?

- Co? No... oczywiście.

Dlaczego nie? - pomyślał. Ale co ja, do cholery, robię? - dokończył, wychodząc z pokoju.

- Teraz ty - Yvonne wskazała brodą Hillary, gdy Navarro sięgał po klamkę frontowych drzwi - masz mi coś do powiedzenia. Chciałbym to usłyszeć.

Szedł cicho po zbitym, martwym igliwiu i, spoglądając przez ramię na dom koloru sekwoi, zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodzi. W porządku, w porządku. Od północnej strony skały tworzyły małą zatoczkę i kawałek skalistej plaży, nie szerszej od leśnego duktu, potem brzeg wy-

piętrzał się aż do samej posiadłości zarośniętej skarłalymi od wiatru drzewami iglastymi, które kurczyły się jeszcze, dochodząc do krawędzi przepaści. Przyjechali autem Mo, jej słodziutkim cadetem. Zdjął kaburę z pasa, wepchnął colta pod fotel kierowcy, przekręcił kluczyk w zamku i sprawdził drzwi. W porządku. Wrobiłaś mnie.

Nikt na niego nie spojrział, gdy powtórnie usiadł na swoim miejscu, między Melissą a Mo. W środku było ciemno. Ktoś zapalił świece porozstawiane na półkach z książkami. Płomyki rzucały kształty i cienie w półmroku. Hillary Lally siedziała z opuszczoną głową i lkała, a lzy kapąły jej na kolana.

- Myślę, że chciał... on nie jest mi wierny, to znaczy bawi się. Przyzwyczaiałam się do tego. To znaczy, nie... ale sam wiesz... Bawi się. Myślę, że chciał zorganizować coś, w czym brałabym udział. Mogłabym to zrobić. Zna mnie. Jestem otwarta na nowe rzeczy. Więc on... więc my... w każdym razie wylądowała z nami na noc. W hotelu. Był to apartament. Ale nic się nie wydarzyło. To znaczy - umarła. Tylko to się wydarzyło! Była w innym pokoju... leżała... Nie było tam nikogo. I zanim ktokolwiek się zorientował, już nie żyła...

- Mów dalej. Wszystko w porządku. Mów.

- Weszłam tam i ją znalazłam. W kablówce wszystko jest po angielsku. Nie, chyba w satelicie... Zresztą to nie ma znaczenia. Nie wiem, po co o tym mówię? W każdym razie oglądaliśmy telewizję i Harry... braliśmy, no wiesz... kokaina to zwykła rzecz w Rio. Harry powiedział: „Przejdźmy się”, więc poszłam obudzić dziewczynę; Esperanza, mówili na nią Perry i tak nam się przedstawiła. Była martwa jak bryła czegoś tam... Jak wielka, ogromna ryba... wiedziałam, choć tam było ciemno. To przez brak wibracji, jak sądzę, prawda? W środku panowała jakaś mistyczna aura, w zasadzie wydaje mi się, że właśnie wtedy opuściłam swoje ciało... i wszedł we mnie ktoś inny. Wierzysz mi?

ICIK.

- Jakaś inna dusza.

- Wierzę ci.

- Wniknęła do mojego ciała. - Hillary oddychała szybko, wciągając łapczywie powietrze. - Dusza wędrująca od lat • szukająca...

- Zemsty na twoim mężu.
- O Boże! - Wstrząsnęło nią łkanie. Wytarła twarz. -Kto... kto... kto to był?

- Ktoś, kto narodził się, by żyć w słabości. Słabe wcielenia wiodą długie życie, bo często przebywają w próżni, między jednym światem a drugim. Przed powtórными narodzinami wiele wędrują, tworząc tym samym duże zamieszanie. Za życia na ziemi dusza ta... ze słabości... oddawała się przyjemnościom i narkotykom. Winiała innych za swoją słabość - także twojego męża.

- Czulałam tę nienawiść. Chciałam zabić Harry'ego.

- Ciii... To nie byłeś ty - powiedzieli Yvonne-Randall. -Być może, czułaś to co ona, ale uczucia należały do niej. Nie były twoje. Ten, który zamieszkał w twoim ciele, stanął nad twoim mężem i trwał tak przez długi czas. Zabił go niemal... Potem znalazł przebaczenie. Zrozumiał, że to życie jest karą dla twojego męża, przynajmniej w kategoriach wojny i trybunałów, w jakich patrzy na sprawy.

- Ciągłe go nienawidzę - powiedziała Hillary. - A teraz we mnie nie ma nikogo oprócz mnie.

Czy ta kobieta utrzymywała, że nawiedził ją zły duch, który kazał jej zabić męża? Bardzo niewygodna sytuacja... Navarro wolał tego o sobie nie wiedzieć, ale opowieści o nawiedzeniu przez złe moce, o ludziach znajdujących się we władaniu wrogów wydawały mu się całkiem prawdopodobne. We wschodnim Los Angeles aresztował wielu zapadniętych w siebie, zdumionych sobą ojców i synów, którzy przed chwilą rozpieprzyli własne, rodzinne domy, przy okazji demolując połowę okolicy, jakby rzeczywiście w ich duszach kłębiły się demony. Wielekroć widział pijaną rozkosz w oczach aresztowanych za czyny wprost niewyobrażalne, jakby demony wciąż trwały na posterunku.

- Cholera, Harry - powiedziała Hillary i rozplakała się jak dziecko. - O Harry... jak ja cię nienawidzę...

- Ciii... Ciii... Uspokój się. Ty i ja uczynimy wszystko, będziemy rozkoszować się smakiem każdego owocu, dobrego czy złego... Nie będzie kary ani czyśćca, ani piekła... Tylko nauka płynąca z błędu... Nie ma wygnania, jest tylko wędrówka. Nie ma tortur, zemsty za nasze uczynki, nie trzeba

nam przebaczenia oprócz tego, które mamy dla innych. I dla nas samych.

Hillary łkała, oddychając spazmatycznie i wyładowując swój żal w krótkich, brzęczych pytających sylabach, a Yvon-ne - zwracając się nie tylko do niej, ale i do wszystkich -powiedziała:

- Ciiii... To Eurus...

- Ciii. To Eurus: ciii - jej uciszanie brzmiało jak syk oceanu spływającego ze skał. - To Eurus. Bóg wschodniego wiatru. - Za oknem byczo przysadziste sosny i węzłaste cyprysy w ogóle się nie poruszały; wyrosły jakby na przekór takim bogom. Drzewne kaleki zakłete w agonii bezruchu. Wystrzyżone podobizny, ale podobizny czego? Groteskowej, chociaż urodziwej wewnętrznej kipieli...

W leniwej ciszy - mimo wiejącego wiatru i postękiwań starej Hillary, przypominających odgłosy cielącej się krowy -Fairchild znowu usłyszał Oczywistą Elektronikę Yvonne. Maskującą swoją prawdziwą muzykę tamtą inną...

Tylko trzy dni? Kolejne odwieszenie wyroku niby parodia Wielkanocy. Po trzech dniach na drugiej półkuli Lally wyskakuje w jednym kawałku. Lally na powrót oddaje się machinacjom po uroczym podzwrotnikowym tajfunie. Gliniarz Navarro gapił się na Hillary. Skrzyżował ręce na piersi. A potem przeniósł wzrok na Fairchilda. Świetnie. W tych zapra-sowanych na kant spodniach i akrylowym golfie, na którym miał czarną, strzelecką kamizelkę, wyglądał jak tajniak na politycznym pikniku. Nie głosujący. Przywłókł ze sobą swoją flama. Kelnerka była kanciasta, jakby wycięta z kartonu, tym bardziej że nosiła się jedwabście - lub zgoła syntetycznie, bo skąd można to wiedzieć? - mając na sobie coś w rodzaju podrabianego hinduskiego spodniomu, udrapowanego w taki sposób, jak gdyby wisiał na drucie kolczastym. Fairchild zerkał na nią raz po raz. Poza tym była całkiem ładna, przód jej głowy wydawał się miejscem tylko dla dwojga olbrzymich oczu, całkiem niebieskich i nieszkodliwych. Kolejne spojrzenia pozwoliły mu odkryć również inne szczegóły: wargi pełne, choć nieduże, nos prosty, delikatnie skrzywiony i zniekształcony maleńkim kolczykiem. Miała też szerokie, spokojne czoło. Krótkie włosy zawijały się do przodu za uszami,

które - co trzeba przyznać - były urocze jak muszle, pozbawione niemal płatków, nie przekłute, a ich kanały - tunele prowadzące, jak sobie wmawiał, do mózgu - wcale nie miały skomplikowanego rysunku. Wspaniałe dłonie, trochę kościste i poznaczone - przy bliższym badaniu można by rzec: wytatuowane - ale przez to ładniejsze, ukształtowane przez dni ludzkiego życia i obiecujące przedsmak całej historii. Chciałby je polizać. I całować jej oczy. Jakimś cudem pobłogosławiono ją powiekami na tyle dużymi, że mogły ukryć jej wielkie oczy. Gdy je zamykała, nasuwały się na ogromny, mroczny spokój.

Nie widział twarzy Winony. Trzymała ją pod trudnym do spenetrowania kątem, jakby jedno spojrzenie mogło jej zaszkodzić albo ją osądzić. Ale przyszedł tu po miłość, a nie po to, żeby wydawać sądy... Tymczasem sesja zamieniła się w żenujące widowisko. Hillary padła na kolana i ryła - tak to wyglądało w migotliwym, przytłumionym świetle świec -między wspaniałymi udami Yvonne. Między głęboko bursztynowymi kształtami i zielonymi cieniami.

- Ciii. To ciebie nie dotyczy - pocieszała ją Yvonne.

- Ale...

- To ciebie nie dotyczy, chyba że przez przypadek. Byłaś tam i skorzystał z twojego ciała, wszedł w ciebie w tym traumatycznym momencie, gdy byłaś bezbronna. Był w stanie wykorzystać cię do zabicia męża... Był w stanie wykorzystać twoją nienawiść i twój gniew. Nam wszystkim zdarza się nienawidzić tych, których najbardziej kochamy. Ale znalazłaś własne przebaczenie. W ten sposób pokonałaś demona.

Przerwa na herbatę: znów zapalone światła, kolejne sześć funtów dębu trafia do obojętnej gęby kominka.

- Zbiórka na tacę - oznajmia Yvonne, wskazując wiklinową miseczkę na półce. Mimo jej braku skrępowania - ma to na celu rozbrojenie klientów - wszyscy podają sobie miseczkę jak kawałek psiego gówna. Fairchild przekazał ją następnej osobie, nie sięgając do kieszeni. Pozostali się zrzucili. Hillary zapłaciła czekiem.

- Co to za herbata, Yvonne?

- Nie poznajesz, Nelsonie? Dobra Ziemia. Winona ją przyniosła.

- Wydawało mi się, że poznaję przyprawę, ale zapomniałem o jej istnieniu. Gdzie ona jest?

- Winona? Musiała wyjść.

Odstawił filiżankę i wybiegł na dwór kuchennymi drzwiami.

- Winono! Winono! - krzyczał w ciemności.

Stary dodge. Zapala dopiero za szóstym albo siódmym razem. Zaparkowała obok podjazdu, wepchnęła się między krzaki, gdzie nikt nie mógł jej zablokować. Chwytał klamkę i spojrzał na nią, ukrytą w ciemnej kabinie.

- Kocham cię, Winono. Kocham cię.

Spróbowała jeszcze raz i silnik ruszył. Przednia oś stęknęła, gdy włączyła automatyczną przekładnię.

- Chciałem ci to powiedzieć: wygląda na to, że puszcza cięgło z przodu - mówił - ale to teraz nieważne.

- Ruszaj!

- Ruszam - powiedział. - Patrz, już się poruszyłem, ale pozwól mi mówić. Kocham cię.

Wjechała na podjazd, skrzypiąc amortyzatorami. Była już na drodze, prując zasolone powietrze. Mógłby za nią pojechać, ale Hillary postawiła dżipa tuż za jego porsche.

Kierując się światłem padającym z okien, znalazł drogę do domu. Wszedł i usiadł obok Melissy wśród pozostałych idiotów z ich Idiotyczną Szefową.

- Na jakie chcesz zmienić imię? - zapytał Melissę.

- Może na Muzyka. Bardzo lubię folk.

- Czy w czymś przeszkadzam? - zapytał pozostałych.

- Właśnie siadaliśmy - odparła Yvonne.

- Co powiesz na coś bardziej konkretnego... może na Polkę?

Melissa roześmiała się.

- Mam wspaniałe wieści - zwrócił się do reszty obecnych. - Melissa właśnie zmieniła imię na Polka.

- Nieprawda. On jest pijany. Ja nie jestem pijana - powiedziała Melissa.

- Czy widziałeś, żebym wypił dzisiaj choćby jednego drinka?

- No cóż... - przerwała im Yvonne - usiądźmy i weźmy...

- Bądź łaskawa zapewnić zgromadzonych o mojej trzeźwości!

- ...kilka głębokich wdechów, żeby zająć się...

- Trzeźwości! Zapomniałeś, co znaczy to słowo.

Słyszac to, gliniarz usmiechnal sie od ucha do ucha, a Mo przejechała paznokciem po jego rękawie. Skrzyżował ręce i zamknął oczy, a wszyscy się uciszeli.

Yvonne trzymała w lewej ręce okulary.

- Chcę przeczytać wam fragment tej książki, krótki paragraf z *Kamienia filozoficznego* F. Davida Peata. - Włożyła okulary i pochyliła głowę nad tomem leżącym na jej kolanach okrytych spódnicą, z której w przerwie - Fairchild nie miał co do tego wątpliwości - wyjęła litry leżące pani Hillary Lally.

„Nawet najmniejszy rejon przestrzeni jest wypełniony promieniowaniem: od niezwykle niskich częstotliwości, pozostałości po Wielkim Wybuchu, przez zakres fal radiowych, od światła widzialnego przez ultrafiolet do promieniowania gamma o najwyższej energii. Promieniowanie to pochodzi z gwiazd, z supernowych, kwazarów, z horyzontu zdarzeń czarnych dziur i z poskręcanych pól magnetycznych, ciągnących się przez olbrzymie połacie pustej przestrzeni. Promieniowanie to niesie ze sobą informacje; przekazuje wiadomości o swoim pochodzeniu z nuklearnych głębin w sercach gwiazd lub z fragmentu materii wciąganej w głąb czarnej dziury. Każdy ułamek przestrzeni pulsuje promieniowaniem elektromagnetycznym...”

Zamknęła książkę, zdjęła okulary i podała Ocean, która podniosła się z krzesła i odłożyła tom na półkę.

- To piękne - powiedział Phil.

- Czy to wam coś przypomina? Może coś z naszego otoczenia?

- Kopuły radarów - wyrwała się Ocean.

- Dokładnie.

- I tybetańską kopułę - dodała Melissa.

- Tak, ją również. Ale mówimy o dwóch różnych rzeczach. Jeśli wszystko jest ze swej natury promieniowaniem elektromagnetycznym, to znajdujący się w tej okolicy radar stanowi poważne zagrożenie dla środowiska. Zagroza nam również na poziomie mistycznym...

- A tybetańska kopuła? - przerwała jej Melissa. - Jest wielka, gruba i lśniaca. Jak jasna cholera!

- Ta kopuła przemawia do duszy - obstawała przy swoim Yvonne. - Wypełniają ją modlitwy i medytacje. Przejrzystość,

a nie promieniowanie. Pustka. Nie stanowi zagrożenia. A białe kopuły wysyłają w przestrzeń pewien przekaz. Wzywają ludzi, mieszają im w głowach. Ta okolica powinna nieść ukojenie, tymczasem przeznacza się tu olbrzymie ilości energii na wypatrywanie, wyczekiwanie, wyszukiwanie niszczących pocisków międzykontynentalnych.

- Rosja jest teraz po naszej stronie. Jeszcze to do nich nie dotarło? - Phil wtrącił swoje trzy grosze.

- Myślę, że radary pomagają też kierować ruchem lotniczym.

- Szkoda, że wieloryby nie potrafią fruwać - powiedział Phil. - Dopiero mieliby się z pyszna.

- Powinniśmy zawiesić w każdym domu mnóstwo kryształów - powiedziała Melissa.

- Kryształy to za mało.

- Kryształy to wszystko! Wczoraj wyleczyłam sobie nimi wyrostek! Za pomocą kryształu!

- Nie nadają się do tego.

- A co się nadaje? - zapytała Mo.

- Prawdziwy efekt można by osiągnąć, paląc ciało dowódcy radarów i wypijając jego prochy w naparze. Ale gdy człowiek raz podda się takiej negatywnej energii, nie wiadomo, gdzie może skończyć.

- Nie jego prochy - powiedziała Hillary.

- Słucham?

- Jej prochy. To kobieta... dowodzi radarami.

- Miałoby to naprawdę zbawienny efekt. - Yvonne zniechęciła.

- Udałoby się... - zaczęła Hillary - bez negatywnej energii?

- Tak. Ten rodzaj ofiary z kobiety, na pewno tak.

- Chciałbym zapytać o coś tego policjanta - powiedział Fairchild. - Czy nie jest tak, że składanie ofiar z ludzi, obojętne jakiej płci, jest jakoś zabronione? To znaczy obecnie...

- Podobnie jak jazda po pijanemu.

Zdrójcy, wszędzie zdrójcy! - W porządku, panie posterunkowy. Wyzywam pana na pojedynek na alkomy. Natychmiast, jeśli łaska!

- Nelsonie - powiedziała Yvonne. Zapaliła świecę i odwróciła się do niej plecami. - Co to jest?

- Pudełko zapalek.

- Nie. To, to... - Rzuciła w niego zapalkami, a on odbił je pod krzesło Melissy. Yvonne wskazała na płomień świecy. - I cóż widzimy? To? Nie.

Usiadła, spojrzała na wszystkich i uśmiechnęła się.

- Wiecie oczywiście, że to, na co patrzymy, jest światłem - mówiła. - Światło uderza w oko i tworzy następny impuls... który, nawiasem mówiąc, jest także promieniowaniem elektrycznym... wzdłuż nerwu. Komórki odbierające ów impuls wysyłają kolejne impulsy świetlne... A teraz wiemy, że ja... pole życiowe, na którym to wszystko się odciska... jest również światłem... Kopuły radarów wszystko psują. Dla tego powodują raka. Rak jest wynikiem ich wpływu na pole życiowe. W naszym rozumieniu wzbudza negatywną energię, którą odbieramy jako chorobę. Choroba jest gniewem, wyrażającym się w naszym pojmowaniu własnego ciała.

Fairchild poczuł, że opada mu twarz, podniósł więc dłonie, by ją uchwycić. Pachniały Melissą i tapicerką porsche. Oczywiście, był trzeźwy! Miał tylko zawroty głowy. Klujące pulsowanie krwi i oszołomienie nie wynikało - był tego pewien - z absurdalności tych kosmologicznych założeń, lecz z tego, że wszyscy zgromadzeni w salonie przyjmowali je za prawdę objawioną. Jednocześnie doznawał intensywnego i wzmagającego się wrażenia *deja vu*: wiedział, że już przeżył tę właśnie chwilę, pamięta każdy ułamek sekundy jej przemijania - a wszystko to zawężyło całą jego percepcję i bezwzględnie kierowało ją ku uciekającym milisekundom. Trudny do zrozumienia głos Yvonne brzmiał czysto w jego duszy, bardzo czysto: mydliła oczy tym ludziom całą swoją gadaniną o świetle, polach i snach, ale jej głos był głosem wiedzy, narzędziem zła.

Po kilku sekundach poczuł, że omdlewa. Pokój zapadł się w pustkę wokół poświaty świec i Fairchild odniósł wrażenie, że nie pozbyli się do końca tego Randalla. Znów nim była. Wskazywało na to nie tyle jej zachowanie, co jej mowa.

- Pozornie świat może sprawiać wam ból. A mimo to świat, który istnieje bez przyczyny, nie może być przyczyną niczego. Jako wynik, nie może tworzyć wyników. Jako iluzja, jest tym, czego sobie życycie. Wasze próżne pragnienia sprawiają wam ból. Wasza dziwna żądza sprowadza złe sny.

-, Zbawienie nie polega na wyprasaniu łaski wykonywa-

nia sprzecznych z naturą czynności, zupełnie nie przystających do tego, co rzeczywiste. Zbawienie nakłania nas do zachowań stosownych wobec tego, co nierzeczywiste, do niepojmowania tego, co się nie wydarzyło.

- Yvonne!
- Randall.
- Randall!
- Słucham, Nelsonie?
- Czy mógłbyś to przedstawić nam w przystępniejszej formie?
- Oczywiście. Życie jest snem i traktowanie go jako czegoś innego jest formą szaleństwa. To, co nazywacie normalnością, jest zwykłym szaleństwem w mniej zauważalnej postaci.
- Dostrzegam wiele szaleństwa w moim życiu.
- W twoim śnie na jawie.
- Ono mi się nie śni.
- Powtórzę raz jeszcze: wszystko jest iluzją, wszystko zatem jest takie, jak sobie życzyście.
- Czy to znaczy, że wymyślam ten świat? To stara hipoteza.
- Odwieczny fakt. A kiedy pojmiesz jego sens, możesz zareagować na dwa sposoby: po pierwsze, możesz stwierdzić, że wymyślając świat, masz prawo do wymyślenia czegoś, co ci się podoba; po drugie, możesz pozwolić Bogu wymyślać ten świat za ciebie, pozwolić, by nadał mu tylko jeden sens, swój sens, i potem możesz trzymać się tego sensu...
- Który polega na...
- Pokoju i miłości.
- To dwa sensory, jeśli dobrze liczę.
- Pokój i miłość to przeciwieństwa wojny i strachu.
- Posłuchaj: jeśli śnię, to po co mi kontrola nad percepcją? Nie mogę kontrolować tego, co wydarzy się we śnie, prawda? W przeciwnym razie sny byłyby prawdziwym odzwierciedleniem mojego zepsucia, a nie są, bo są arbitralne. Dlaczego zły człowiek miałby mieć dobre sny?
- Pewnego dnia ujrzą te wibracje na różnych monitorach. Lekarze poprawią nam aurę i wyślą nas z powrotem do domu. Wszystko będzie jak trzeba, przystaną na to nawet chrześcijańscy fundamentaliści.
- Posłuchaj Yvonne...

- Nie jestem Yvonne.
- Masz głos Yvonne.
- To zrozumiałe. Używam jej strun głosowych.
- Mimo wszystko coś mi mówi, że... no wiesz...
- Wolałbyś, żebym przewracał oczami i puszczał dym z nosa?
- Uważam, że puszczasz mi dym do dupy, najdroższa.
- Mam spełnić twoje trzy życzenia - powiedziała to basem, który wywołał ogólny śmiech. - Duchowi Przewodnicy, pomoc z wyższych regionów... Nie wierzysz w to, prawda? -spytali Yvonne-Randall.
- Może wierzę. Ale nie musi mi się to podobać.
- Co za różnica, jeśli wszystko polega na prawdzie?
- Mówimy o innym świecie, kochanie. Mam dość kłopotów na tym.
- A zatem wierzysz w byt duchowy, z którym możemy się porozumiewać?
- Istotnie, stwierdzam, że wierzę... czasami... w bardzo ogólny sposób, ale ignorując to, mogę żyć w sposób kompleksowy - i to na kilku poziomach. Jeśli zgodzę się przyjąć twoją kosmologię, co mi zostanie? Reguły, formułki, wyjaśnienia...
- W każdym razie sugestie. A może nawet kilka odpowiedzi.
- Recepty na magiczne antidota. I ściągę do odszyfrowania kosmicznych kodów.
- Nie jest ważne, co zrobisz. Mamy czas na doświadczenie wszystkiego: wiary, niewiary i tego, co pomiędzy nimi.
- Świetnie.
- Nelsonie Fairchild, chciałbym, żebyś spoważniał. Mam dla ciebie wiadomość, Nelsonie.
- Bał się, że może ona dotyczyć Winony. - Słucham.
- Ważne jest, żebyś potraktował poważnie to, co powiem.
- Dobrze, spróbuję.
- Niedawno zmarł twój ojciec.
- Czy to jest ta ważna wiadomość?
- Nie. Oto ona: śmierć twojego ojca jest elementem czegoś, co bardzo cię pochłania, co pochłania twoją duszę. W twoim świecie używa się teraz, w pewnym ograniczonym sensie, terminu *holocenoza*. Oznacza on, że każda rzecz we

wszechświecie i wszystko, co się tam znajduje, zależy od każdego, nawet pojedynczego działania - jest to swoiste przewodnictwo przyczynowo-skutkowe w całej rozciągłości.

- Nigdy o tym nie słyszałem.

- A może znane ci jest pojęcie bifurkacji w strukturach rozproszonych?

- Z całą pewnością nie. Gdybym musiał znać takie pojęcia, wolałbym się zabić.

- Masz swoją paralełę. Duszę, której droga jest równoległa do twojej. Kogoś w rodzaju sobowtóra.

- Święte dymy i kadzidła! Kogoś w rodzaju sobowtóra, powiadasz?

Siedzący obok Navarro roześmiał się i poprosił oczyma o wybaczenie.

- On chce cię pożreć. Jest nienasycony...

Nikt się nie roześmiał. Fairchildowi z pewnością nie było do śmiechu.

- Duchowy bliźniak. Wielu z nas ma takich. W naszych spokojniejszych wcieleniach wcale ich nie spotykamy. W tych wcieleniach, w których dochodzi do spotkania, wybuchają kosmiczne fajerwerki. Pojawiają się przechodzące do legendy romanse albo nieporównywalne z niczym, osobliwe spory...

- Na rany Chrystusa, wykrztuś to wreszcie, duchu!

- Nelsonie, Nelsonie. Słuchaj.

Jej muzyka uległa zmianie. Podobnie jak pozostałych.

- Dziwka.

- Czy mnie słuchasz?

- Co zrobiłaś z moją żoną!

Mówiła spokojnie, nie emanując żadnymi wibracjami:

- Uważam, że powinniśmy porozmawiać na osobności, Nelsonie.

Zrobiło mu się słabo z przerażenia, ale chciał tego przecież, odrzekł więc natychmiast:

- Może jeszcze w tym wcieleniu. Zapiszę sobie termin.

Później stał z kluczykami w dłoni, czekając aż Hillary wycofa swój pojazd. Obok stał gliniarz, obejmując szczuplutkie ramiona kelnerki. Melissa czekała w porsche.

- Nie jestem pijany - powiedział do gliniarza.

- Wiem o tym, człowieku! Żartowałem tylko.
- Wstrząsnęła mną. Nienawidzę jej.
- Ona ma rzadki dar, Nelsonie - powiedziała kelnerka.
- Takiego czy innego rodzaju - dodał policjant.
- Chyba tak... Sam nie wiem. Ale wiem, że rozmawia ze zmarłymi.

- I co z tego? - spytał gliniarz. - Co z tego? Dlaczego mam wierzyć jakiemuś kutasowi tylko dlatego, że umarł?

- Oto... Oto mężczyzna z kręgosłupem - powiedział do Melissy, gdy rozjechali się w przeciwnych kierunkach. - Reszta z nas nosi na twarzach wystrzępione woale z gazy, przez które bez przerwy przedostaje się gówno...

- Możesz mnie podrzucić do hotelu?
- Gdyby nie to, że jesteśmy naturalnymi wrogami, zaprzyjaźniłbym się z nim i trzymał się go blisko.
- Przypomina mi obraz - powiedziała Melissa.
- Jaki obraz?
- Obraz. Bo jest nieruchomy.
- Ma wewnętrzny spokój. Ale myli się co do Yvonne. Ona nie jest oszustką. Naprawdę rozmawia z demonami. Zadaje się ze złym. Potrafi paktować.

Po drodze do siebie, gdy odstawił Melissę do hotelu, Fair-child skręcił na stację benzynową. Nic innego nie było czynne w Gualali, nic oprócz hotelowego baru, który zresztą nie rzucał się w oczy, wciśnięty w północną fasadę budynku. A Phillipps 66 promieniał, jaśniał i stał samotnie jak scena przed widownią, na której zgaszono światła. Fairchild nie musiał tankować, ale kusił go widok stacji i obraz jej pracownika wylewającego akurat z wiadra wodę do mycia szyb, wodę, która rozpryskiwała się gwiazdźście po zatłuszczonej jezdni. Pracownik znieruchomiał i przyglądał się z niepewną miną zajeżdżającemu przed stację porsche.

- Czynne?
- Jasne, taa, zapraszam.

Fairchild wysiadł z auta.

- Mam sobie sam nalać?
- Nie, z przyjemnością to zrobię.
- Za późno na mycie przedniej szyby, he?

- Wcale nie! Mam jeszcze windex.
- Otworzę wlew. Potem wystarczy go zatrzasać. Stanął obok faceta, patrząc wprost na czubek jego gołej głowy. Niewysoki młody mężczyzna nalewający mu benzynę pracował na stacji tylko w dni robocze, w szabat głosił nauki w małej świątyni w West Point. Kiedyś był żalonym nie-dojdą, w dodatku pijakiem i, jak przypuszczano, nieuleczalnym kretynem. Teraz wypłynął jako pasterz małej trzódki jeżdżącej pikapami i szafarz olejów pędnych. Dzierżył w dłoni wytwór firmy Pierwszorzędne Dysze i Dystrybutory.
- Powiedz mi o demonach.
- Wolałbym raczej porozmawiać o Zbawicielu.
- Co o nich wiesz?
- Wiem tylko tyle, ile wyczytałem w Biblii. Może pan przeczytać to samo, wie pan o tym?
- A co wiesz o przewodnikach duchowych? Słyszałeś o nich. Wierzysz w ich istnienie?
- Cóż, według Pisma są tylko dwaj: Duch Święty i Szatan.
- Ciała astralne...?
- To sprawa Szatana. Lepiej tego nie robić.
- A więc z całym przekonaniem wierzysz w diabła.
- Z całym przekonaniem. Myjemy windexem? Jest pan cały w robakach...
- Pozwól, że zacytuję ci coś z Nietzschego: „Każdy, kto ma w żyłach teologiczną krew, jest zmienny i niehonorowy we wszystkim”.
- Nie będę tego komentował.
- Słyszałem, że wygłosiłeś piękne kazanie w niedzielę.
- Słyszał pan kazanie, czy słyszał pan o nim?
- Billy powiedział mi, że spoczywa w tobie Duch.
- Pamięta pan, jaki byłem wcześniej.
- Pamiętam, że piliśmy razem rum i kolę pewnego Czwartego Lipca. Kokainową kolę, a nie coca-colę.
- Nie pamiętam, więc jakże bym mógł zaprzeczyć.
- Mało tego, pamiętam, że pytałeś, czy możesz mi obciągnąć.
- To możliwe. Nie ma alkoholika w pełni zasługującego "a to miano, który przy takiej czy innej okazji nie ssałby czyjegoś prącia. - Kaznodzieja uśmiechnął się. - Otwarte

jest nadal pytanie: w jaki sposób przebyłem drogę z dna do tego miejsca.

- Nie wiem. W jaki?
- Ktoś się za mnie modlił.
- Jasne... Wyświadczysz mi pewną przysługę?
- Nie będę panu obciążał.
- Chciałem cię prosić, żebyś się za mnie modlił.
- Już to robię. Każdego dnia.
- Dziękuję.
- Zapraszam do kaplicy jutro wieczorem. Mamy spotkania modlitewne w czwartki, zazwyczaj w czyimś domu. Ale ostatnio zaczęły przychodzić tłumy, więc przenosimy się do świątyni.
- Dziękuję.
- Zapraszam cię, Nelsonie. Może zobaczymy cię jutro.
- Chyba jednak nie.
- Istotnie, nie liczyłbym na to.

Skręcił na północ, ale minął bliźniaki, w których mieszkał, i wyjechał z miasta ze stałą szybkością i nie wchodząc ostro w zakręty. Opuścił niema obojętność Anchor Bay i zjechał do wąwozu, gdzie nad wodą spał kemping, potem minął Drogę Rozbitków i Skalę Rozbitków i wciąż jechał na północ, podwójne żółte linie wylaniały się z ciemności, zdążając ku światu wytyczonemu przez reflektory. Krajobraz rozłożył przed nim ramiona, gdy znalazł się za Point Arena, skorzystał więc z zaproszenia i jechał ogólnie w kierunku Manchesteru, dopóki po lewej stronie nie skończyły się srebrzyste pastwiska, za którymi wyrósł kilkudziesięcioakrowy zagajnik. Nawet o tej godzinie - godzinie duchów - wyglądał jak przyjaciel. W ciemności nie mógł dostrzec płotu, jedynie masywne cyprysy, eukaliptusy i dęby - poskręcane, asymetryczne odmiany... Długie światła porsche wydobyły z cienia biały łuk i krzywy, złożony czcionką stosowaną przy urodzinowych okazjach napis u szczytu, identyfikujący to miejsce jako katolicki cmentarz. Drzewa i nagrobki odskoczyły na bok i uciekły do tyłu, gdy przesunęło się po nich światło. Wjechał daleko w głąb, tak by iluminacja nie przyciągnęła uwagi jakiegoś spóźnionego wędrowca. Wysiadł, nie wyłączając świateł, i ruszył przed siebie.

Zszedł z asfaltowej dróżki i wędrował między grobami.

Czy jestem prochem? Czy przyszedłem się tu rozrzucić? Nagrobki jak ruiny, odchody. Minał starą część i rozmazane napisy. Wśród białych krzyży... *Kalifornijczyk*. A więc tu jesteśmy. Jest środa - czy tam, w dolnej Kalifornii, mówią wam o tym? Zapomniałem przynieść świeży numer „Bar-ron'sa”. Poza tym jest noc, więc i tak nie mógłby czytać, bo jest tu tak samo ciemno jak tam... Czy ktoś się za mnie modli?

Chyba nie.

Ale powiedział, że tak.

Pompuje benzynę. Tobie też pompował.

Chyba wiesz już wszystko.

Ja wiem więcej, niż wiedziałem.

Wiesz...

Wiem, że rozpląszczyłeś nos na ścianie i nie chcesz zrobić tego, co należy.

To znaczy - czego?

Odwróć się.

Przepraszam - powiedział, idąc po ojcu.

Przyklęknął przed donicą z kwiatami stojącą obok kamienia i wyjął z niej gąbczastą zabawkę - piłeczkę. Wyprostował się i podniósł ją do góry, gdzie było trochę światła. Miała nieodgadniony kolor, podobnie jak przeznaczenie. Zamknął ją w dłoni i wepchnął do tylnej kieszeni. Dotknął palcami nagrobka ojca.

- Kocham cię - powiedział głośno.

13 września 1990

Fairchild obudził się po południu w pokoju na górze hotelu „Gualala”. Melissa spała obok: z drżącymi skrzydłami... Wokół niego obracały się okna, rozpalone do białości okna. Był nieprzytomny i wszystko nabierało cech starych filmów, w których statyka szumi miarowo, a wewnątrz niej poruszają się ciche, niemal niesłyszalne głosy.

- Co ci się śniło?

- Śniło mi się, że byłam smutna - roześmiała się. - To śmieszne, bo nie jestem! Jestem szczęśliwa.

- Naprawdę?
- A ty... nie jesteś. Nelsonie, dlaczego płaczesz?
- Mój brat. Mój brat nie żyje.
- O mój Boże, chyba nie mówisz poważnie! To był tylko sen.
- Mój brat nie żyje i mój ojciec nie żyje.
- Wiem, to boli, wiem...
- Powiedz mi, kochanie, dlaczego byłaś smutna we śnie?
- Byłam smutna, bo nie mogłam być lodem. A kiedy się obudziłam, ujrzałam, że zaczynam się topić.
- Och, Melisso... och, tak bym chciał!
- Nie płacz, nie płacz, to tylko taki dzień.

Widział rzeczy we wzorach, których nie potrafił rozszyfrować, lecz które pojmował i mógł ocenić - jak płatki śniegu...

Van Ness zostawił samochód nad Pacyfikiem, na klifie wychodzącym na małą zatoczkę, która kiedyś - zakładał -nie bez przyczyny nosiła nazwę Carter's Landing, i przeciął Drogę Nadbrzeżną, by wspiać się ku zalesionemu krańcowi Carter's Landing Road. Przeszedł przez zapuszczone złomowisko za zapuszczoną szopą z desek - norą jakiegoś motocyklisty, ostatnim schronieniem ostatniego fana „Grateful Dead” - i wszedł do lasu poniżej chaty Williama Fairchilda, chociaż nie wiedział, jak było do niej daleko. W poszewce na poduszkę przerzuconej przez ramię niósł magnum kalibru 0,357, należące do Nelsona Fairchilda juniora. Zawrócił, zboczył ze ścieżki i z ukrycia wśród listowia zobaczył, że szopa istotnie była nie zamieszкана, po czym ruszył dalej. Stok stawał się coraz bardziej stromy, ścieżka coraz węższa. Prawdopodobnie chadzał tędy tylko William Fairchild i dzika zwierzyna.

Głębiej w lesie Van Ness natknął się na żelaza na niedźwiedzia, przerdzewiałe na wskroś i pokryte suchym mchem wzdłuż krawędzi szczęki wymierzonej w kierunku północnym. Szczęki były rozwarte i choć sprężyna musiała pęknąć już dawno, poczuł w kroczu dreszcz emocji, gdy położył dłoń na mechanizmie pułapki i nacisnął.

Las ustępował miejsca wężowowi z prawej strony, a wąż zniknął w nawiewanej od wschodu mgłę; w jej kłębach

ujrzał istotę powstałą z pary: anioła z olbrzymimi, białymi skrzydłami, niemal wyprostowanymi nad ramionami; anioł był zepsuty do cna i do cna kobiecy, pił krew swoich młodych, zaczepiał nieznajomych. Mamo, mam twoje diamenty. Modlitwy inkwizytorów. Ciągących się w anielskich splotach jak rosa.

Obszedł złamany cedr i stracił anioła z oczu; anioł rozpułnął się wraz ze skłębioną mgłą.

Dalej wszedł do gęstego matecznika. Czuł jego ciszę z daleka, zanim znalazł się w chłodnej martwocie i przytłumionym świetle padającym skądś między drzewami. Miały dziwny słodko-wilgotny zapach. Ziemia z kolei sprawiała wrażenie wyczesanej, żyznej jednorodności, jaką spotyka się na jeździeckim parcourze. Niewiele rośło między oddalonymi od siebie pniami o obwodzie domów: tylko paprocie i grzyby; starym drzewom nie towarzyszyło młodsze pokolenie. Niektóre drzewa leżały zwalone, zajmując zdumiewająco duże obszary, jak strącone z nieba latające kolosy. Ścieżka dzieliła się i wila dwiema odnogami wokół podstawy jednego z nich, który padając, wyszarpnął z ziemi koło o średnicy trzydziestu stóp. Obszedł wypiętrzone korzenie i ruszył wzdłuż zwięzającego się pnia - naliczył po drodze dwieście kroków. Wszedł w matecznik głębiej, niżli było trzeba - miał co do tego absolutną pewność. Przed sobą widział kolumny światła, tam gdzie zaczynał się młodszy las.

Skrecił w prawo, odnalazł skraj matecznika i ruszył granicą między dwiema epokami, idąc aż do strumienia. Skrecił w górę potoku i wzdłuż niego dotarł do chaty. Za domem rozciągał się bezgraniczny półmrok matecznika, choć Van Ness stał w słonecznej gęstwinie młodych akacji, mając za sobą niebo otwierające się nad oceanem.

Przez wychodzące na północ okno chaty widział Williama Fairchilda, siedzącego z nogami złożonymi na stole i rękoma skrzyżowanymi z tyłu głowy.

Położył poszewkę na ziemi, rozchylił ją i wyjął pistolet, a potem wcisnął poszewkę za pas, żeby o niej nie zapomnieć. Brakowało mu siły do wykonania tych najprostszych czynności. Adrenalina pompująca cukry w jego ciele przyprawiała go o zawroty głowy. Drżały mu ręce, dzwoniło w uszach. By zmniejszyć pobór tlenu, otworzył usta i zaczął gwałtownie

dyszeć. Gdy wreszcie znalazł w sobie dość siły, ruszył do drzwi i pchnął je. Choć Fairchild wydawał się odpoczywać, miał przekrzywione w jedną stronę usta i przymrużone oczy, co nadawało jego twarzy wyraz bolesnego zamyślenia. W ustach trzymał ołówek. Wyjął go, opuścił ręce i postawił nogi na ziemi, ale powrót do rzeczywistości sprawiał mu wyraźny kłopot.

- Mogę w czymś pomóc? Przepraszam, co się stało? -Gdy zobaczył pistolet, odwrócił się z obrzydzeniem, jakby Van Ness pokazał mu pornograficzne zdjęcie albo wulgarny gest.

Podszedł bliżej, przyłożył lufę Smitha and Wessona do tyłu głowy Fairchilda i pociągnął za spust: Fairchild zapadł się w sobie, skrzywił, z ust wypadły mu jak plwocina kawałki kości i krew, a Van Ness witał go fanfarami i fajerwerkami w sąsiedniej rzeczywistości.

Przez kilka sekund trzymał broń w takiej pozycji, w jakiej pozostawił ją odrzut. Przyłożył ją do własnej głowy. Raz.

Dwa.

Trzy.

Kurek spadł na słonkę. Nabój szeptał, nie mogąc podjąć ostatecznej decyzji. Ledwo słyszał ten szept, bo ogłuchł po pierwszym strzale. Rzucił broń ku pustym rękóm trupa. Syk trwał nadal...

Pistolek wystrzelił po dwudziestu sekundach, podskoczył na blacie stołu i obrócił się, celując w niego z dymiącej lufy.

Wyszedł - zdawało mu się, że nad Pacyfikiem świat wstrzymał oddech, a ponieważ stał na wzniesieniu, powierzchnia morza przechylała się ku horyzontowi. Ruszył w kierunku drogi do Carter's Landing, śmiejąc się na głos w zupełnie innym wszechświecie.

Taylor Merton zauważył, że dzisiaj nawet nad wodą panuje tropikalna pogoda pod błękitnym niebem. Pogoda, którą można wymacać palcami. Jedna wielka chmura zawisła nad wzgórzami na północny wschód od parkingu Safeway a, gdzie odbywała się demonstracja. Wybrali fatalny moment, by ściągać tu umundurowanego policjanta. W zasadzie mógł jedynie przyjechać jako tajniak: w szortach i luźnym podkoszulku.

Wszyscy ci ludzie ukrywali się od 1975, kiedy ostatecznie

udało im się doprowadzić do fiaska Ameryki w Wietnamie. Nie było ich zbyt wielu, może ze trzydziestu hipisowskich dinozaurów, pragnących zaprotestować przeciw polityce prezydenta, o której w ogóle nie mieli pojęcia; towarzyszyła im grupka gapiów, głównie ciekawskich klientów Safeway, i banda dzieciaków, palących papierosy i jeżdżących na deskach. Mówcy chrypieli jak żaby, gardlując przeciwko wszystkiemu, gdy zdołali dorwać się do megafonu. Każdy miał jakąś teorię, ale żaden nie miał planu. W tej chwili wrzeszczeli o możliwości wybuchów na platformach wiertniczych, co -jak przypuszczał - miało pewien daleki związek z wojną w Zatoce, dotyczącą ropy.

Facet w szmatach i rastafariańskim berecie, z tuzinem długich na jard warkoczy zakończonych dzwoneczkami, w ciżmach z zadartymi noskami, z pustym i błękitnym jak kosmos spojrzaniem, wirował wokół własnej osi z rozpostartymi ramionami, tańczył jak jakiś hinduski bożek. Po chwili znieruchomiał, uśmiechnął się i wywinął salto do tyłu, uderzając głową o asfalt z dziwnym, perkusyjnym łomotem. Mertonowi bardzo się to spodobało.

Dwie nastolatki zaintonowały stary przebój Lennona: „Mówimy tylko: dajcie szansę pokojowi...”, powtórzyły to ze trzy razy, a potem przestały.

Wokół jasnowłosego rastamana zbił się tłum. Merton zauważył tam Kimberley, swoją żonę.

Podnieśli go do pionu jak maszt. Twoja katatonia - pomyślał Merton - jest teraz faktem publicznie znanym. Facet nie przestawał się uśmiechać - to było coś!

- Nic mu nie jest - powiedziała Kimberley, stając przed mężem.

- Wątpię. A co ty tu robisz?

- Robię?

Wkurzył ją ot tak sobie! Odwrócił wzrok.

Śmietnik był pełen i wypuszczał na wiatr małe obłoczki dymu. Dzieciak - przyjaciela jego matki musiał kiedyś aresztować - przejechał obok na desce, uśmiechając się do Mertona ¹ drapiąc po nosie środkowym palcem.

Stanął ramię w ramię z żoną.

- Więc tu przyszłaś.

- Chcą doprowadzić do wojny o ropę.

- Taa. Cóż, wszyscy mają niewyparzone gęby, ale głosują na stacjach benzynowych. Za pomocą kart do głosowania w formie zielonych banknotów.

- Gadasz jak glina. Przykro mi to powiedzieć, kochanie, ale to prawda.

- Co masz na myśli.

- Jesteś ponad to. Jesteś wyniosły. Wszystko widziałeś, zjadłeś wszystkie rozумы, nie masz w sobie za grosz namiętności. A ludzie są małpami.

- Marsjanami.

- Właśnie.

- Właśnie. Są. Chodźmy za krzaki i zrobmy to.

- Jesteś na służbie!

- Jak Marsjanin z Marsjaninem. Potraktuję to jako obowiązek i zaszczyt. Jestem tu po to, by służyć szerokim rzeszom obywateli.

Facet, którego aresztował w zeszłym miesiącu za czynną napaść z dzbankiem do piwa w rękę, stał na pace pikapa z megafonem przy biodrze i wypowiadał się, nie korzystając ze zdobyczy nowoczesnej techniki:

- Prezydent ma tylko jedno zadanie. Kłamać. Kłamać, jak jasna cholera. Połączone Kolegium Szefów Sztabów ma też jedno zadanie. Zabijać. Zabijać wszystkich. Służyłem w pie chocie morskiej i wiem, o czym mówię. Ludzie, tylko o to im chodzi, o nic innego. O zabijanie. Jeśli pozwolimy tym kutasom rozwiązywać za nas nasze problemy, pozostała część historii tego kraju zamknie się w dwóch słowach: kłamstwie i zabijaniu, zabijaniu i kłamstwie. Precz z rządem! - Pod niósł megafon do gęstej brody. - A-NAR-CHIA! A-NAR-CHIA! A-NAR-CHIA! A-NAR-CHIA!

Nikt jednak nie podjął hasła, facet uśmiechnął się i podał urządzenie komuś innemu... Kimberley.

Wspięła się na pakę i zajęła miejsce mówcy. Zrobiła się przyciężka, nie miała już wdzięku, przytyła w biodrach i udach. Mertonowi to nie przeszkadzało, przynajmniej na co dzień, ale teraz - tak. Kimberley podniosła megafon i odezwała się piskliwie, spojrzała na urządzenie, przestawiła jakiś guzik i zaczęła mówić: CHCĘ DODAC MOJ GŁOS - zaczęła. - NIE POZWÓLMY NA TĘ WOJNĘ. - Opuściła megafon i rozejrzała się po twarzach o pytającym wyrazie, a po-

tern znów podniosła tubę do ust. - NIE WIEM, CO POWIEDZIEĆ OPRÓCZ TEGO. DZIĘKUJĘ.

Paru starych kwasobiorców zaczęło klaskać. Wyszli chyba z grobów, żeby wziąć udział w demonstracji. Wokół nich orbitowało dwu chłopaków na rowerach. Popisywali się: jeździli z nogami na kierownicy, wystawionymi jak rzygacze albo bukszpryty, skakali po krawężnikach. Zmroził ich spojrzeniem, pogroził palcem i pokręcił głową. I w tej samej chwili postanowił raz na zawsze rzucić policję i ubiegać się w najbliższych wyborach o fotel burmistrza. Kimberley zacznie pracować. Była dyplomowaną pielęgniarką.

Fairchild kręcił się po hotelowym pokoiku, trzymając w rękach białe spodnie. - Gdzie jest mój pasek? Gdzie jest mój pasek?

- Miotasz się jak małpa w klatce - powiedziała Melissa.

- Miło mi, że cię bawię.

- Szympan.

- Twoja rozkosz jest moją rozkoszą. - Postanowił włożyć koszulę, porwał ją z podłogi i znalazł pod nią pasek. Jeszcze białe skarpetki, płócienne buty, sznurówki, jeszcze tylko męki czyszcowe. - Myślę, że już dawno powinniśmy się stąd wymeldować - rzucił.

Naciągnęła prześcieradło na głowę.

Bliskość jej kształtów, ślepotą i niewinnością zarysu jej twarzy... nagle nie był już przerażony.

- Wszystko wiem.

- O mój Boże! Znowu zaczynasz?

- Chcę tylko, żebyś wiedziała, że wiem.

- Więc cudownie. Może nie zdajesz sobie sprawy, że zdajesz sobie sprawę, że nie zdajesz sobie sprawy.

Opierając się o framugę drzwi, ukrył twarz w zgięciu ramienia i roześmiał się.

- Wynos się!

- Odsuń ten woal i spójrz na mnie.

- Wynos się!

Na dole szukał w recepcji kogoś, komu mógłby powiedzieć, że nie płaci za następną dobę. Ale wszyscy byli gdzieś "a tyłach i grali w pokera albo pozamykali się w kiblu i wachali farbę. Rachunki, skargi i wnioski załatwiano także w sa-

li barowej, ale nie chciał przekraczać jej granic. Wylądował tam zeszłej nocy i do tej pory słyszał jakby z oddalenia -tu, pod wazonem z wielobarwnymi kwiatami - wybuchy własnego śmiechu, które odbijały się od ścian. Gdzieś na zewnątrz przetworzony elektronicznie głos robota powtarzał: *Anarchia! Anarchia! Anarchia!* - wczoraj Yvonne w połowie tego dętego seansu otworzyła się ziemia. Ujrzałem głębię zagrożenia. Wykrzyczałem swoje ostatnie słowa, wykrzyczałem miłość do żony. Poszedłem do kaznodziei. Poszedłem na grób ojca. A potem do hotelowego baru, katedry dusz wysuszonych na wiór, z wielkim ekranem niebios, z papierosem w każdej dłoni, dymiącym jak nocna, kopcząca żalem kadzielnica. Zanurzyłem się głęboko w kobiecie, której już nie kocham. I zawsze smakowało to i brzmiało jak kolejny zwykły dzień, zasypiałem przerażony i budziłem się, spadając przez wieczność, i jedynie jej widok pod prześcieradłem, pod którym leżała jak połowa myśli, jak nieczytelne pismo, ratował mnie...

Lecz tylko - miał wrażenie - na chwilę. Drewniany parkiet dudnił pod jego stopami; wyszedł na zewnątrz, stanął pod gorącą błękitną stratosferą, mrużąc oczy i próbując rozpoznać swój samochód. Coś się działo w rejonie, który uchodzi za centrum handlowe Gualali. Sprzedawczyni owoców robiła kokosowe interesy. Ktoś przemawiał przez megafon, stojąc na półciężarówce. Zebrało się kilkadziesiąt osób. Ludzie: chochoły gotowe stanąć w płomieniach, rozpaść się w popiół. Widział za dużo. Na jego oczach dzieciak na rowerze rozjechał ćwiartkę arbuza, zamieniając go w krwisty... Oto i samochód.

Jak wspaniała jest ta skórzana tapicerka, jak cudowny jego ryk. Przez całą drogę na wzgórze - na drugim biegu.

Zjeżdżał potem ostrożnie, mijając dwa albo trzy ciche, zanedbane domostwa, nim dotarł do ziemi brata. Wjechał między drzewa, dalej były już tylko koleiny i głębokie kałuże, wysiadł z porsche i ruszył spacerowym krokiem, szło mu się lekko, z górki. Pobrudził błotem kolana przy źródle w połowie drogi i szedł dalej, ścierając wodę z ust i pot z oczu. Gdy usłyszał za sobą odgłos silnika, pomyślał, że nie zdąży się ukryć, puścił się więc biegiem na dół, zeskoczył z drogi i schował za kłującą byczą sosnę. Droga jechał dżip

marki International Scout, należący do Billy'ego. Za kółkiem siedział chyba Clarence Meadows.

Samochód zniknął za zakrętem, Fairchild wyszedł na drogę i udał się za nim w chmurze spalin. Słodczyz tego zesłania, ochrona, jaką dają drzewa i otaczający je wytrwale idiotyzm -brał sobie te rzeczy do serca i wiedział, o co chodziło Bil-]y'emu, gdy mówił, że radary tu go nie osiągną. Odda porsche Clarence'owi, odda mu za darmo. Jeśli Billy nie wpuści go do chaty, rozbije sobie obóz przed nią, na całe życie, blisko przejrzystego źródelka.

Przy ostatnim zakręcie zatrzymał się, by popatrzeć na Clarence^ stojącego niżej, w miejscu, gdzie ścieżka wiodąca do chaty łączyła się z drogą. Clarence cofał się, wychodził tyłem z lasu, nieruchomiał i przyglądał się własnym dłoniom. Potem zatoczył się tanecznie i wykonał serię gestów, przypominających opędzanie się od natrętnych owadów. Krzyknął:

- O nie... Ty nie... - i odwrócił się do wylotu ścieżki, wrzeszcząc - Kur-waaaa! - i znów zatoczył się w lewo, potem w prawo. Zrobił zwrot na pięcie, spojrział na Fairchilda i za czął machać dłońmi, jakby przed chwilą wyjął je z ukropu.

Fairchild szedł wolno drogą.

- Nie idź tam! - Clarence wybiegł mu na spotkanie.

- Nie mam zamiaru wchodzić z powrotem na górę. Chcę, żeby mnie podwiózł.

- Nelson! Jego... nie ma. Nie żyje! Leży twarzą na stole z przestrzeloną głową. Nie idź tam.

- Billy?

- Próbuję coś wymyślić.

- Zaczekaj.

- Nie, z tym nie można czekać. On nie żyje.

- Tylko sekundę.

- W porządku, dobrze, wiem.

- Cholera, niech mnie...

- Oswój się z tą myślą. Oswój się...

- Cholera, Billy! Billy się zabił!

- Nie zabił się! Nie zrobiłby tego. Walczył z tymi skur-wysynami, ze szczurami w głowie.

- Walczył? Jednostrzałową trzydzieści zero sześć?

- Leży z trzy pięć siedem w dłoni.

- Chryste.

- A może z trzydziestką ósemką, rewolwerem mniej więcej tej wielkości, z czterocalową lufą. Tylko tyle widziałem. Może lufa ma pięć cali...
 - Może... jesteś pewny, że nie żyje? Może...
 - Nie żyje.
 - O mój Boże. Co za dzień na tym świecie... Na całym świecie...
 - Chodź ze mną.
 - Nie mogę. Muszę... - Wskazał ręką na dół, ku dróżce wijącej się przez cichy las i prowadzącej do jego nieżyjącego brata.
 - Chyba musisz.
 - Tak, z całą pewnością.
- Zszedł do chaty i otworzył drzwi.

Fairchild biegł zgarbiony przez krzaki, niosąc w sobie wielki front burzowy, wielką, czarną pustkę, w której nowi bogowie wyczyniają najpotworniejsze okropności, ciemność, w której powinno być życie jego brata. Musiał zamykać bez przerwy otwierające się usta. Nie oddychał. Zatrzymała go wielka niemota drzewa. Olbrzymi włochaty cedr ze zgnilizną w sercu. Upadł, a potem usiadł u jego stóp i modlił się, by żyć wiecznie w tym anonimowo zaludnionym, oniemiałym miejscu. Przewrócił się na twarz i oparł ją o korzeń, chciał powybić sobie zęby. Leżał nisko, a krew odpływała w dół i opuszczała jego myśli, które stawały się białe, kostne i na-krapiane, płonęły przed jego wewnętrznym okiem jak promień słońca na śniegu. Wyłaniała się z nich niezwykła, gorąca jak wnętrze gwiazdy czystość śmierci i brata, i ojca, wypalała każdą miałość na popiół, a potem wypalała popiół. Oddech wiatru w koronach drzew, poruszającego cieniami chmur, i odległy, zębaty grzmot oceanu działały jak szybka metastaza obejmująca całą ziemię, a Fairchild stwierdził nagle, że piach jest miejscem, w którym żyje, świat zewnętrzny natomiast zamienia się w instytucję, którą odwiedza się za okazaniem biletu. Że jego kłopoty stały się samowystarczalne i nie miał już w nich żadnego współudziału.

Odnalazł pod sobą nogi i przyglądał się ich ruchom, słuchał oddechu synkopującego krokom. Złamał na kolanie suchą olchową gałąź, ruszył marszowym krokiem ku drodze

na wzgórzach i czuł się tak, jakby obracał stopami ziemię, popychał ją i zostawiał za sobą, by zacząć od nowa z każdym wymachem kija. Im bardziej brakowało mu oddechu podczas wspinaczki, im dziwniej się czuł, tym większa była jego radość. Świadomie sobie życzył, żeby oczy wyskoczyły mu z orbit z wysiłku. Chciał, żeby pękły mu płuca. Gdy stanął na drodze na wzgórzach, odrzucił kij i zaczął biec. Słyszając odgłos zbliżającego się auta zmienił kierunek, zbiegł z drogi, wdarł się sprintem w krzak manzanity, który włókł się za nim, dopóki nie upadł, a potem drapał i ciął jego ciało i nie pozwalał mu wstać. Leżał w jego bolesnym uścisku z lewym policzkiem na ziemi, wciągając i wypuszczając powietrze.

- Ten pistolet.

Po chwili, która trwała prawie pół godziny, odwrócił się na plecy i ze zdumieniem rozpoznał własne myśli jako myśli, a siebie jako osobę, którą był zawsze.

- Och, pistoleciku. Znam cię.

Usiadł. Odnalazł połę koszuli i wytarł nią twarz i szyję. Wstał chwiejnie i znieruchomiał, odzyskując równowagę.

- To był mój pistolet.

Wracając po własnych śladach, przedarł się przez gęstwinę i stanął z powrotem na drodze.

Jakieś dwie mile dalej, przy skrzyżowaniu z Drogą Rozbitków, skręcił w lewo i rozpoczął wędrówkę w dół łagodnym, sfalowanym stokiem ku zachodzącemu słońcu. Szedł równoległe do drogi, którą pokonał w panice, gdy biegł do góry. Po dwudziestu minutach dotarł do podjazdu Wilhelma Frankheimera.

Przeszedł podwórze, minął starą furgonetkę volkswagena, którą jeździła chyba Owcza Mama - z fioletowym znakiem pokoju, yin i yang - ręcznie pomalowaną na wściekle żółty kolor. Minął złomowisko, na którym stały dwa zardzewiałe sportowe MG, rozbity ford econoline, leżała sterta półnarzędzi, góra prętów, kabli i łańcuchów. Zastukałby do drzwi, gdyby nie usłyszał Melissy, dyszącej w charakterystyczny dla niej sposób gdzieś w głębi domu. Odszedł od progu i zajrzał przez okno do salonu, i dalej przez otwarte drzwi do pracowni Frankheimera, gdzie widział, jak się kochali. Widział też własne odbicie w szybie nakładające się na nich.

Spojrzał na siebie uważniej: półprzezroczysty podglądacz,

duch nocy poślubnej swojej owdowiałej żony. Rzecz usunięta do królestwa czystości.

W salonie ktoś mówił: włączony telewizor, w którym dwóch starannie ubranych mężczyzn prowadziło rozmowę, a każdy z nich, zabierając głos, skręcał tułów w kierunku kamery, co wyglądało tak, jakby podglądał parę złączoną w pracowni. On był cudownie wielki, a ona cudownie mała. Kołysali się i przetaczali przez siebie w grobowej poświacie. Robili to na sofie. Frankheimer oparł się lewą ręką o drzwi, żeby podtrzymać swój ciężar, prawą zaś chwycił się parapetu i wbijał biodra w jej biodra z taką mocą, że kruche nogi dziewczyny fruwały jak sznurki, a dłonie dotykały jego żeber, jakby szukając zagubionego świata. Fairchild nie widział jej twarzy. Głowa i ramiona Frankheimera wystawały daleko za krawędź mebla, Melissa była gdzieś pod nim, dysząc i łkając. Za nimi, za sofą i fantastycznie wielkimi stopami Frankheimera, stały półki, a na nich zobaczył coś w rodzaju małego silniczka, żebrowanego i naoliwionego. Bliżej Fairchilda trwał w salonie chyba remont, ściany były rozebrane do połowy, podobnie jak podłoga, zauważył też okopcony, wysoki kominek przy wejściu do jadalni, w której na stole stał gruby, zadowolony z siebie słój masła orzechowego, a obok leżał nóż, jak zgubione ptasie piórko, za nim stała torba z krojonym fabrycznie chlebem, rozpakowana, tak że kromki wypadały w nieładzie na stół - Fairchild znał ten gatunek, nazywał się bodaj „Ezechiel 4,9”, od wersetu z Biblii, w którym znajdowała się receptura: pszenica, jęczmień, proso, soczewica - skład, z którego, jak uważała Melissa, pochodziła najlepsza siła odżywcza. Najbardziej do przekonania przemawiała jej egzotyczna starożytność przepisu, który wołał do jej dwudziestowiecznego, wychudzonego jestestwa z głębi dziejów. Nie miało sensu wykazywać jej, że wiara w biblijną książkę kucharską otwierała worek pełen pytań o wiarygodność innych biblijnych przepisów; nie miało sensu jej pytać, czy ówcześni mieszkańcy Palestyny wiedzieli czy też nie wiedzieli, co jest dla nas dobre? Czy za ich przykładem powinniśmy kamienować cudzołżnice? Czy mam rozejrzeć się za jakimś wielkim kamieniem na podwórku Frankheimera? Opinie Melissy na ten temat były równie krótkowzroczne, jak opinie większości ludzi - na tym polega błąd całej filo-

zofującej Ameryki, która nie dostrzega żadnych niespójności w swym spojrzeniu na świat, nie widzi w nim żadnych uskoków ani dziur, od zagładania w które robi się niedobrze -a facet, który ją wali: widział go nie dawniej niż onegdaj, był górującą nad wszystkim zjawą, gdy zwolnił (on, Fairchild) na zakręcie przed stacją benzynową w Anchor Bay, nie wyglądał najlepiej, sprawiał wrażenie osoby, której należy unikać, osoby, której wszystko jedno, gdzie tak naprawdę stoi, bo nie przejmuje się pięknem okolicy, słońcem odmalowującym tę chwilę, kutrami rybackimi, które podskakują w oślepiąco żółtej poświacie; nawet jego muzyka trzymała się w tyle, doganiała go niechętnie, gdy truchtał obok pomp i gapił się, żując obie wargi, na morze: grała *The Violent Femmes - Wydrążoną Ziemią* - perwersyjną muzykę Ameryki, o, i jeszcze te obrzydliwe teksty o patriarchalnej ofierze, z krwi baranka, tygodniach psychotycznego oczyszczania na pustyni, teksty przywodzące na myśl samotnych morderców na parkingach obok zjazdów z autostrady: *Nic nie wiesz? Nikomu nie powiesz, nic nie wiesz? Nikomu nie powiesz—*

Frankheimer podniósł się i okrył swoje unikatowe ciało wystrzępionym szlafrokiem z brązowej tkaniny, ruszył do jadalni, zamykając za sobą drzwi do pracowni i ukrywając w połach szlafroka łuk swego przydługiego penisa. Teraz byli związani, Fairchild i ten olbrzym, Melissa była księdzem, który udzielił im ślubu, i w pewnym sensie owocem tego związku. Ich płyny przemieszały się w tej kobiecie. Fairchild znał go jako hydraulika z rodzaju tych, po których wynajęciu płacze się gorzkimi łzami; rzemieślnika, którego trzeba było wykurzać z jego własnego domu, bo zamiast iść do roboty, zasiadał w fotelu otoczony chorymi książkami i teoriami, puszczał sobie *Kyrie elejson* w stereo i myślał o kokainie i ciałach astralnych oraz ludziach, którzy zalegli się pod podłogą. Z kimś takim wziął ślub.

- Jestem przekonany, że w środku są same trupy. Drgające, wydrążone zwłoki. Ich dusze zgasły jak światła.

Zastukał do drzwi. Widział przez okno, jak Frankheimer zabiera się do rozpalania kominka. Zastukał ponownie. Cofnął się o krok, żeby kopnąć w drzwi, ale potem stracił zapał i zapukał w okno. Frankheimer musiał go rozpoznać jakimś

cudem za szybą. Podniósł palec i podszedł do drzwi, a nawet je otworzył.

- Ha, oto ktoś, komu nie wiszę z pieniędzmi.
- Mogę wejść?
- To może być interesujące. Jasne.

Zostawił Fairchildowi zadanie zamknięcia drzwi za sobą i wyciągnął rękę do sznurka przy oknie. Spuścił zasłony. W środku zrobiło się prawie ciemno. Frankheimer przycupnął na kamiennej podmurówce kominka i unióś z podłogi lampę sztormową, po czym zajął się robieniem światła.

- Trochę za wcześnie na zasłony - powiedział Fairchild. - Albo za późno.

Usiadł w pewnej odległości na fotelu i złożył ręce na udach.

Frankheimer odstawił lampę na parapet kominka, nie wstając w tym celu. W salonie nie odbywał się remont. Toczyły się tu raczej apokaliptyczne bitwy.

- Taa, elektrownia mnie nie lubi. Odcieł mi prąd. Nie funkcjonuję od jakiegoś czasu.
- Wydawało mi się, że słyszałem telewizor... między innymi?
- Wyłączyli prąd przed dwiema minutami. Zawsze to robią w połowie programu.
- Zdaje się, że i tak nie oglądałeś.

Z pracowni nie dochodził żaden dźwięk. Mógłby doprowadzić do konfrontacji: tu i teraz. Ale wcale nie był ciekaw, jak ona się zachowa.

- To zabawne! - powiedział Frankheimer.

Uśmiechając się, zmierzył Fairchilda wzrokiem i odsunął się od ognia, jakby ten właśnie zaczął go parzyć.

Fairchild dokonał w głowie pewnej sztuczki: wyobraził sobie, że kominek jest niepotrzebny, usunął go więc i widział teraz przed sobą faceta, który siedział obok rozpalonego ognia. Mężczyzna miał łukowato wygięte brwi, co nadawało jego twarzy wyraz zaciekawienia; gdy odchylił się i wrócił do cienia, jego gałki oczne wypełnił mrok, który sprawiał, że twarz wyglądała jak w masce wyrażającej wyniosłe zainteresowanie szopa.

- Czy twój ojciec żyje? - Fairchild poczuł, że musi go o to zapytać.

Olbrzym podniósł rękę i posługując się kciukiem i palcem wskazującym, wyjął z ust dwa szeroko rozstawione sztuczne zęby, przymocowane do plastikowego mostka. Po chwili umieścił je na powrót w ustach i zamknął przed nimi wargi.

- Mój ojciec żyje. Mieszka w Południowej Kalifornii. Jestem mu winien pieniądze.

- Mój ojciec nie żyje. Przed trzema dniami byłem na jego pogrzebie.

- Pogrzebie węża.

- Na rany Chrystusa! Mówisz o moim ojcu!

- Był wężem, zanim został twoim ojcem.

- Powiem ci coś innego.

- Powiedz.

- Billy odstrzelił sobie głowę. Widziałem go przed chwilą z mózgiem wypływającym z potylicy. Siedział przy swoim stole. Nie rozumiem tego. - Rozległo się łkanie. - Tyle mogę ci powiedzieć na pewno.

Frankheimer spojrzał na niego krzywo i zakaszłał, ale nie odezwał się. Za pomocą sekwojowej drzazgi wyciągnął coś z ognia. Niedopałek. Wyprostował go i końcem dotknął płomienia.

- Chcę znaleźć tego twojego kumpla. I wiem cholernie dobrze, że to twój kumpel, a przynajmniej ktoś dobrze ci znany, więc nie pierdol, że go nie znasz, oszczędź sobie fatygi.

- Okay. Oszczędzę.

- Carl Van Ness. Gdzie jest teraz?

- Nie wiem.

- Pluń na niego. Jest już trupem. Albo będzie, prędzej czy później.

- Wolałbym prędzej.

- Myślisz, że jestem aż tak łatwowerny? - spytał Fair-child, a potem krzyknął w kierunku zamkniętych drzwi: -Cześć, Melisso!

- Spojrzał na Frankheimera. - Wiem, że tam jest.

- Nie wyjdzie.

- Nie zależy mi na tym.

Frank włożył niedopałek do ust, zaciągnął się. - Billy naprawdę się zabił?

- Billy... Naprawdę, naprawdę to zrobił.

- Widziałeś go.
- Całego we krwi i całkiem nieżywego, poważnie.
- Strzał?
- Tak.
- Powiedzieli, że to samobójstwo?
- Kto? Władze, które nad niczym nie mają władzy? Nie wiedzą nawet, że nie żyje.
- Może to nie Billy pociągnął za spust.
- Może zrobił to Carl Van Ness.
- Jeśli tak uważasz, nie przejmuj się. Nic mnie to nie obchodzi, koleś. Nasrałbym na niego, jakbym mógł, ale nie wiem, gdzie jest.
- Czy twoim zdaniem byłby do tego zdolny?
- O, tak. Wylądował w Quentin. W komorze gazowej.
- Poważnie?
- Najzupełniej. Jest pokręcony. Sam się o tym przekona. Dawno temu przeprowadził na sobie taki eksperyment... Powiem ci, jak to zrozumieć. Nie jest psycholem, nie jest zbrojnym, nie był źle wychowany, wcale nie... Nie jest zepsuty przez to czy tamto, jak polityk albo ksiądz. W jego przypadku wygląda to tak... Miałeś kiedyś coś takiego z sobą, że -powiedzmy - sznurując but, pomyślałeś, że stanie się coś złego, bo zacząłeś od lewego buta. zostawiasz więc lewy w cholerę i sznurujesz najpierw prawy? A potem chcesz chwycić klamkę prawą ręką, ale myślisz sobie: nie, wpierdolę się przez to po uszy, więc... - zrobił niecierpliwy gest -zmieniasz rękę i chwytasz klamkę lewą? Albo w sklepie: ten dolar mi się nie podoba, muszę zapłacić tym... Albo: nie podrapię się w głowę, póki nie doliczę do pięciu... I tak przez cały dzień.
- Przez dzień, miesiąc, rok...
- Więc co byś zrobił, żeby nie zmienić się w jedno wielkie, neurotyczne gówno?
- Ja? Walczyłbym z tym.
- Właśnie, człowieku. Powiedziałbyś: „Pierdolę to!”. Nie poddałbyś się impulsom i zrobiłbyś z tego receptę na życie. Van jest dokładnie w takim punkcie, ale na innym poziomie, na przeciwnym poziomie. Odwrócił całą tę sytuację, co jest genialne. Van nie poddaje się hamulcom, kapujesz, chłopie? Urzeczywistnia każdy impuls. Zaczął wiele lat temu... znałem

go... byliśmy kumplami... znam tę sprawę od podszewki. Człowieku. Zrobił z siebie nóż. Tnie przez wszystko. Jak leci. Robi swoje i nie zastanawia się ani przedtem, ani potem. Na tym polega jego ujęcie wolności.

- Masz absolutną rację. Poznaję go w tym. Masz rację.
- Nie pochwalam tego. Może na papierze. Na papierze nie dochodzi do tragedii. Ale życie to nie papier.

- Fakt.

- Taa. Nie jest złoczyńcą... jest demonem. W ludzkim ciele.

- Jest poza dobrem i złem.

- Właśnie, poza dobrem i złem... ile tego jest? Cztery słowa? Przeczytał cztery słowa z Nietzschego i zbudował na nich życie...

- Frankheimer roześmiał się. - To ja popełniłem błąd, wprowadzając go w filozofię Nietzschego.

- Nietzsche! Sram na niego! Próbowales kiedyś przeliterować to nazwisko? Powodzenia!

Otworzyły się drzwi pracowni. Weszła Melissa i nie patrząc na rozmawiających, usiadła przy kominku i wbiła wzrok w ogień. Fairchild pochylał się. Wyciągnął rękę tak, żeby ją widziała:

- Byłem nieautentyczny. To nie ja.

Spojrzała w sufit i zaśpiewała: - Teraz to niemożliwe!

- Nie ukryję już tego przed sobą... - Fairchild płakał. - Kochałem ojca... Kocham żonę... Wiem, czym jest miłość. Widzę to... - Brudną ręką otarł, jakby na przeproszenie, usta i nos.

Melissa i Frank przypominali dwa wyjątkowo niedopasowane, kominkowe wilki: jeden oparty o podstawę paleniska, drugi o podłogę.

- Nie masz pojęcia, jaka jesteś maleńka - powiedział Fairchild.

Frankheimer roześmiał się. Melissa spojrzała na swoje kolana i była bliska śmiechu.

- Pomyślmy... - zaczął Frankheimer. - Jesteś gotów?

- Na myślenie?

- O Van Nessie. Chcesz go? Naprawdę go chcesz? Przez całe życie pracował na wodzie. Woda to jego żywioł.

O wpół do siódmej, prawie o zachodzie słońca, Navarro skręcił na drogę do Arena Pier. Burczało mu w brzuchu, Mo

czekała u siebie z dwiema porcjami żeberek, ale on miał do załatwienia jeszcze jedną sprawę, bo Merton, który odebrał wezwanie, zmierzył sobie ciśnienie i stwierdził, że ma migrenę, tak że głodny Navarro znowu znalazł się na służbie. Głodny i wkurwiony. Ale gdy minął oczyszczalnię ścieków, zostawił za sobą skażoną atmosferę i poczuł, że traci z oczu miasto, zjeżdżając ku mrokom i ciszy prawdziwie jesiennej przedwieczornej godziny, gniew go opuścił i Navarro - jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki - stwierdził z chorą fascynacją, że płynie w wielkiej maszynie obok ścian rozpadających się domów. Tam, gdzie wzgórza po obu stronach drogi otwierały się na port, gdzie stały chaotyczne rzędy pozbawionych fundamentów domostw, gdzie na żuźlowych ceglach i krzywych pieńkach wspierały się mieszkalne przyczepy, gdzie zagrody dla psów miały wybrzuszone i porozrywane ogrodzenia, gdzie rozpadały się ciężarówki bez przednich szyb i kół, gdzie osie, silniki, domowe urządzenia osłaniano postrzępionym plastikiem, gdzie pachniało palonym drewnem i wiatr niósł mgłę, gdzie wszystko mówiło do niego, przyciągało, jakby mieszkał tutaj przed laty i tęsknił za tym miejscem przez całe dorosłe życie. Z takiego punktu widzenia okolica wyglądała jak dzieło sztuki, i to stworzone specjalnie dla niego. Wszystko tu było na swoim miejscu - przygnębiające, acz wyjątkowe - i wszystko poza zasięgiem. Na końcu drogi z purpurowej wody wychodziło nowe moło, o czystej barwie impregnowanego drewna. Dojechał na miejsce i stanął obok otwartych drzwi krążownika, wpatrując się w powierzchnię morza w porcie. Na wodzie nie było niczego oprócz pół tuzina ciemnych, cichych łodzi. Wsiadł z powrotem do auta.

Przyczepy nie miały numerów, ale zgodnie z wytycznymi powinien zlokalizować tę, przed którą leżała aluminiowa łódź. Znalazł ją i wysiadł z wozu, by nasłuchiwać cichych odgłosów, które ze względu na oddalenie w czasie sprawiały, że cisza była jeszcze bardziej dojmująca. Słyszał głos ludzki, wodę lejącą się z kranu, kolejny ludzki głos, skrzypiące drzwi lodówki, telewizor czkający w biegu przez kanały. Pod łodzią mieszkał pies, mały husky, który nie czekał na niego, a tylko szarpał za łańcuch i dyszał. Przewrócone psie wiadro leżało poza jego zasięgiem. Navarro postawił je i podsunął

szczeniakowi, który wsadził łeb do środka i zaczął chleptać resztki wody.

Zastukał do drzwi, spodziewając się dobrze znanego widoku: kilku złych, smutnych kobiet, stadka przerażonych dzieciaków, paru wyczerpanych pijaków w porwanych koszulach, z odcisniętym spłotem dywanu na twarzach. Tylko że tym razem jeden z nich miał być mokry od morskiej wody.

Drzwi otworzyła kobieta w długiej pikowanej podomce, przestrzeń za jej plecami emanowała spokojem, nawet powagą, a Navarro odniósł wrażenie, że przerwał gospodyni drzemkę.

- Pani Katrina Wells?

- Mamuśka.

- W porządku, pani Mamuśko. Kto się bije?

- Mamuśka was wzywała.

- Czy ktoś w domu potrzebuje pomocy?

- Poszukam kapci. - Odwróciła się przytrzymując drzwi ręką, po chwili wyłoniła się zza nich w czarnych gumowcach na nogach. - Jest tam.

Zrobił jej miejsce i poszedł za nią przez podwórko do sąsiedniej przyczepy, do której załomotała otwartą dłonią.

- Mamuśka! Przyjechała twoja policja! - sama otworzyła sobie drzwi i weszła do środka.

Navarro stanął w progu i rozejrzał się; nigdzie ani śladu dochodzących do siebie awanturników, na kuchennym stołku siedział nastolatek, a obok gazowego piecyka stała kobieta powtarzająca w kółko: „Ha! Ha! Ha!”.

- Pani Katrina Wells?

- Ha! - Wskazała na młodzieńca; wskazała papierosem, który trzymała ogniem na zewnątrz między kciukiem a palcem serdecznym, jak esesmani w monoklach na filmach wojennych.

- Mówię mu, zrób coś z włosami, masz idiotyczną fryzurę. A ten wkłada czapkę! Czapka też idiotyczna! Rozumiesz!

- Nie jesteś moją matką - powiedział spokojnie chłopiec.

- O co chodzi? - zapytał Navarro.

- Nie śpieszyło się im, ha!

- Wezwanie odebrała wcześniejsza zmiana.

- Poszedł se dawno temu. Poszedł. Nie ma.

- Wygląda głupiej ode mnie - stwierdził chłopiec.

Jego babka -jeśli istotnie łączyło ich takie pokrewieństwo - miała na sobie wypchane dzinsy, prawdopodobnie meksykańską kamizelkę i buty na koturnach. Wyglądała jak każda inna. A czapka chłopca wyglądała jak każda inna czapka.

- Zgłosiła pani bójkę.
 - Bójkę. Dwóch mężczyzn.
 - Ludzi - poprawiła ją córka. - Nie wiadomo, czy to mężczyźni.
 - Ludzi! Mężczyźni też są ludźmi!
 - Chwileczkę! Kto był świadkiem bójki?
 - Ja byłam świadkiem. Ja!
 - Tylko ona - zgodziła się córka.
 - Zna ich pani?
 - Stali na molo. Bili się.
 - Pani też była w tym czasie na molo?
 - Nie. Tutaj. W kuchni. Jeden miał kij, rurę, coś takiego.
 - Okay, mówi pani, że było tam dwóch mężczyzn. Prawdopodobnie.
 - Walił w niego jak w piłkę baseballową.
 - A potem?
 - Tamten wpadł! Pierwszy stał, czekał, czy wypłynie, czy się utopi. - Wetknęła papierosa do ust, pochyliła się i przyłożyła lewą dłoń prostopadle do czoła. - Wypłynie! Brzuchem do góry!
 - Czy mogę zapytać o pani narodowość, pani Wells?
- Zbliżyła się do niego o krok i wbiła weń mroczne spojrzenie.
- Ja jestem tu! Stany Zjednoczone!
- Navarro musiał otworzyć usta i udawać, że głęboko oddycha, by nie wybuchnąć śmiechem. Uczyli tego w szkole policyjnej.
- Jest pani kibicem baseballu?
- Pani Wells kiwnęła zamasyżycie głową, zaciągnęła się i mówiła przez dym:
- Bardzo. Osiemdziesiąty ósmy widziałam, jak Oakland leje Boston. Byłam na stadionie Candlestick. Mecz numer cztery.
 - Jest pani może Włoszką?
 - Ona nie jest Włoszką - powiedział chłopiec. - To Słowianka i w dodatku szurnięta.

- Mój ojciec - powiedziała kobieta w podomce - przywiózł ją z Jugosławii. Pięć lat temu. Wziął z nią ślub.

- Z Jugosławii, z Jugosławii! I co z tego? - krzyknęła pani Wells.

- Dobrze. Więc widziała pani, jak jeden mężczyzna strącił drugiego z mola do wody, używając w tym celu rurki albo kija, a potem czekał, czy tamten wypłynie. Wypłynął?

- Kto? Co?

- Czy mężczyzna wepchnięty do wody wypłynął?

- Co ja mu mówię? Nie! Niech zrozumie... opisuję poważne przestępstwo. Widziałam morderstwo!

- A mężczyzna z kijem?

- On? No, wyrzuca kij. A później nie wiem. Zadzwoiłam telefonem, żeby powiadomić o odkryciu.

- Widziała pani, jak opuszczał tę okolicę?

- Nie patrzyłam, nie. Ale opuścił, tak. Słyszałam samochód.

- Ale nie widziała pani, jak wsiadał do samochodu, ani nie widziała pani, kto był w samochodzie, który pani słyszała, czy tak?

- Boże! Trzymajcie mnie! Jak mu dali te robotę na policji? Co ja mu mówię? Leży tam, w wodzie! Utopiony! Wyciągnijcie go!

- Rozejrzałem się już. W pobliżu mola nie pływa żadne ciało.

- Ha! A jak odpłynął dalej?

- Właśnie. O to chodzi. Proszę mnie posłuchać, pani Wells. Muszę wiedzieć dokładnie, co, kiedy i jak się stało, bo jeśli istotnie w morzu znajduje się człowiek, którego da się jeszcze uratować, moim obowiązkiem jest rozpoczęcie operacji, która zajmie wielu ludziom całą noc i będzie kosztować okręg i stan około piętnastu tysięcy dolarów. Jak dawno odbyła się ta bójka?

- Pół godziny temu. Trzydzieści minut nikt nie przyjeżdżał!

- Nie więcej niż pół godziny?

- Może czterdzieści pięć minut. Nie przyjechał nikt! A potem przyjeżdża i prowadzi ze mną dyskusje. O Jugosławii! O baseballu!

- Proszę nie opuszczać tego miejsca. Rozejrzę się jeszcze raz.

Przejechał sto metrów dzielące go od brzegu morza i włączył szperacz, posyłając snop światła pod konstrukcję mola. Woda odbijała jasność. Nie wyłączając szperacza, sięgnął po mikrofon. Odchrząknął. Jak się do nich zwrócić? „Łodzie w porcie?” Wcisnął kciukiem guzik. *Łodzie w porcie. Osoby znajdujące się na łodziach. Czy jest ktoś na jakiejś łodzi?* A potem dodał, jakby zawstydzony: *Tu policja.*

Wśród przyczep po prawej stronie zauważył światła zapalające się w drzwiach i jedną czy dwie sylwetki mieszkańców. Łodzie kołysały się w ciemności. Wyjął latarkę, wysiadł z auta i ruszył do budki telefonicznej przed Cove Re-staurant - dużej budowli zamkniętej przed paroma tygodniami w oczekiwaniu na rozbiórkę. Zmrużonymi oczami wpatrywał się w wodę, gdy wybierał numer Mertona.

- Pani Merton?

- Nie. To ja. Kto mówi? Navarro?

- Taa, posłuchaj...

- Czy ja mam kobiecy głos?

- Nie, nie wiedziałem...

- Dobra, co się dzieje? Jesteś na molo?

- Jestem właśnie na molo. Potrzebowałbym łódź z mocnym reflektorem. Może być prywatna, tylko nie wiem, do kogo zadzwonić? Przed godziną ktoś widział tu bójkę albo coś w tym rodzaju. Jeden z gości mógł wpaść do zupy, prawdopodobnie niezbyt świadom tego, co się z nim dzieje.

- Myślałem, że mówimy o rąbance w przyczepie.

- W pewnym sensie.

- Człowiek za burtą, co?

- Nie chciałbym wzywać Straży Wybrzeża ani nikogo z góry. Facet, jeśli żyje, jest już dawno na brzegu, a jeśli nie, to się utopił. Jedno z dwojga, nie?

- Mógł też dojść do siebie na pełnym morzu. I teraz sobie pływa po okolicy.

- Kurwa.

- Fakt.

- Cholera.

- Sprawdziłeś brzeg?

- Stoję na brzegu. Omiotam brzeg latarką w trakcie naszej rozmowy. Widzę tylko kamienie.

- Postaraj się o trupa, albo będziemy tu mieli wysoko-budżetową produkcję.

- Mógł przeżyć godzinę? Znaczą się - w tej wodzie?

- Woda jest zimna, fakt.

- Mógł przeżyć?

- Nie stawiałbym na to.

Zanim wrócił pomiędzy przyczepy, wszedł na molo, mocną, kosztowną konstrukcję, długą na jakieś dwieście jardów, z nadbudówką w połowie. Omiótł wodę światłem latarki, ale nie dostrzegł niczego pod powierzchnią. Żadnej zielonej ręki. Skały wyglądały jak skały. Przyływ sięgał nie dalej niż do nadbudówki.

Katrina Wells stała w progu, gdy podjechał w okolicę przyczepy. Opuścił szybę i przywołał ją gestem.

- Muszę tam wrócić - powiedział - ale najpierw chciałem o coś zapytać. Bili się dwaj faceci. Musieli być po tej stronie nadbudówki, zgadza się?

- Nadbudówki?

- No, szopy czy co tam jest. Pomieszczenia kapitana portu?

- Byli z tej strony.

- Nie mogło być inaczej, bo by ich pani nie widziała. Mniej niż w połowie długości mola.

- Blisko szopy, po tej stronie.

- W porządku. Niech mi pani nie znika. Wrócę tu. - Nie podnosząc szyby, odjechał znów w stronę mola. Przez otwarte okno wpadały i torturowały go rozmaite obiadowe zapachy. Zadzwoił do Mertona.

- Naprawdę masz kobiecy głos.

- Kto mówi?

- To znowu ja.

- Czego?

- Co to znaczy „czego”? Tego samego.

- Uwielbiasz to robić, John?

- Posłuchaj: jest przyływ czy odpływ?

- Jest odpływ, jak zawsze.

- Mówię poważnie. Jeśli jest odpływ, to nic nie wiem. Ale jeśli jest przyływ, to facet nie mógł wpaść do wody,

bo pod spodem nie ma wody. A jeśli nie wpadł do wody, to pożeglował o własnych siłach, bo nie leży pod mołem.

- John, najdroższy, nic z tego nie rozumiem. Wezwij po prostu kawalerię, dobrze?

- To twoja decyzja?

- Wezwij ich wszystkich. Nurków, lotników, narciarzy wodnych. Chcę tam widzieć ochotniczą straż pożarną w galowych mundurach!

- Ile to będzie kosztować miasto?

- Dobra, nie wzywaj straży. Strażakom musimy oddawać prawdziwą forszę. Zadzwoń do mnie przez centralę. Podśluchają nas na skanerze i staną u twego boku w niecałe pół godziny. Aha, zadzwoń jeszcze do kawiarni.

- Jest zamknięta.

- Mówisz o restauracji, najdroższy. A ja mam na myśli kawiarnię przy Main. Powiedz im, że mają nie zamykać przez całą noc.

- Chryste, człowieku!

- Trzeba nakarmić ludzi. I zacznij prowadzić pamiętnik, zapisuj każdą myśl, słowo i uczynek, bo ratusz usmaży cię na wolnym ogniu.

- Mnie?

- Taa. Aż skruszejesz i będziesz akurat do schrupania.

- A ty nie?

- Ja nie. Bo mnie ratusz kocha. A ciebie nienawidzi.

- Stwierdziłem, że nie wpadł do wody.

- Nie wpadł do wody.

- Nikt nie wpadł do wody. Nie trzeba wzywać wodniaków.

- Doskonale. Mogę ci tylko pogratulować, że nie zadzwoniłeś do mnie przez centralę.

- Może jestem głupi, ale nie szalony.

- John, lubisz to?

- Spuszczam się hektolitrami.

- Zadzwoń do mnie przez centralę. Zabawimy się z trawkarzami.

Merton uwielbiał omawiać na policyjnych częstotliwościach - skanowanych, jak sądził, przez hodowców marihuany - fikcyjne naloty i przeszukania prowadzone przez siły federalne na okolicznych poletkach.

Sprawa była zamknięta. Navarro chciał zjeść obiad u ko-

chanki. Stwierdził, że nie pozostaje mu nic innego, jak zadzwonić do Mo i poprosić ją o podgrzanie żeberek. Podziękował pani Wells i zapewnił ją, że policja zajęła się sprawą.

- Znalazł coś? Mówiłam!

- Nikogo nie znalazłem. Jeśli ktoś wpadł do wody, zniosło go na morze. Powiadomiliśmy Straż Wybrzeża.

- Ale musi coś zrobić, szukać!

- Pani Wells - stwierdził spokojnie - mój wóz nie jest amfibią. Straż Wybrzeża została powiadomiona.

Koło ósmej, gdy zasiadali do żeberek oddzieleni od siebie dwiema świecami, musiał znów nałożyć mundur i zostawić Mo, gdyż został wezwany do zakłócania spokoju. W domu oddalonym nie więcej niż sto jardów od posterunku znalazł bandę nastolatków rozrabiających radośnie wśród dymu haszyszu i oparów rozlanego alkoholu. Rodzice dwóch braci, którzy wydali przyjęcie, byli na pogrzebie w Missouri. Jest na tym świecie sprawiedliwość - pomyślał Navarro. - Zepsuli mi wieczór, a ja zepsuję im zabawę. I zabrał się do wygłaszania mów i spisywania nazwisk, co dziewczęta doprowadziło do łez. Zanim dodzwonił się do wszystkich domów i wyekspediował w cholere rozrabiaczy, zajmujących z pochylonymi głowami miejsca w samochodach swoich ponurych, milczących ojców, było już po jedenastej. Okazja do rozdania paru kuksańców młodym idiotom ubarwiła szarość dnia. Wrócił do Mo w doskonałym nastroju. Był tak głodny, że postanowił przebrać się dopiero po posiłku. Mo wstawiła żeberka do mikrofalówki i nalała mu kieliszek wina, lecz nie zdążył nawet umoczyć warg, gdy odezwał się pager. Musiał pojechać na Drogę Nadbrzeżną, gdzie kilka mil na północ od Drogi Rozbitków samochód potracił pieszego.

Drogówka opanowała sytuację, zanim dotarł na miejsce; w wilgotnym powietrzu, skrzącym się w szkarłatnej poświacie drogowych flar, ujrzał dwóch gliniarzy i czterech techników medycznych, którzy podnosili z jezdni wielkiego faceta i układali go ostrożnie na noszach.

Navarro zjechał na pobocze - stały tam auta zatrzymanych podróżnych - przepuścił ambulans, a potem włączył koguta i mrugnął światłami. Jeden z gliniarzy z drogówki machnął "7ką, drugi przemierzał w tym czasie jezdnię, pozostawiając

za sobą wstęgę taśmy mierniczej. Navarro postanowił odebrać te gesty jako zwolnienie od obowiązków. Zawrócił krążownik i pojechał z powrotem do Mo. Wracając, miał niemal pewność, że ofiarą wypadku był niejaki Wilhelm Frankheimer.

We śnie Fairchild odwrócił się na bok i woda zalała mu usta. Czasami miewał takie okropne sny. Ale ten ludzko przypominał jawę i nie sen, lecz odrętwienie. Rozkołysany płyn chlupotał mu wokół głowy i szarpał za prawy rękaw, obracając go na bok i dusząc raz za razem. Wrzasnął, żeby się obudzić: usłyszał daleki dźwięk dobiegający w zwolnionym tempie, usłyszał jakby zwolniony głos, który nagle stał się wyraźny, kiedy jego głowa znalazła się na powierzchni.

Gdy otworzył oczy, ujrzał odległą o ćwierć mili jaskrawą linię brzegową okręgu Mendocino, jaskrawą w porównaniu z ciemnością pod powiekami, a w rzeczywistości zalaną promieniami zachodzącego słońca. Łyse głowy klifów i płaskie skałki drzew pochylały się nad oceanem, później, gdy prądy obróciły go ponownie i wypuściły z objęć, zobaczył niebo bez planet i gwiazd, a księżyc nie większy niż obwarzanek -wszystko zbyt białe w świetle, by mogło być snem. Teraz miał przed sobą pusty horyzont. Opuszczały go resztki sił. Z prawej strony rozległo się echo wody syczącej na skałach. Chciał popłynąć w tamtą stronę, do dźwięku, ale ręce dryfowały bezradnie wzdłuż bioder, unosiły się tylko dlatego, że podtrzymywała je wodna kipiela. Poczul przejmujący ból w uchu, gwałtownie chwycił się za nie lewą dłonią. Trafił ramieniem na skałę, mógł oddychać, mając głowę powyżej fal. Pozwolił im się wypchnąć. Poruszał się, jak sądził, jedynie siłą wewnętrznego pragnienia. Sam z siebie nie mógłby unieść nawet stopy. Powoli wspinał się coraz wyżej. Oparł się w zagłębieniu skały, w cieniu pod nawisem. W pianie bijącej z boku ujrzał tęczę. Z wolna odnalazło go słońce. Położył się na skałę, jego ciało szukało odrobiny ciepła w każdym promieniu przedwieczornego światła. Nie czuł nic oprócz tego.

Lewa strona głowy była cieplejsza od reszty ciała i wkrótce zaczęła pulsować rytmem, który stał się nieznośnym, ponurym dudnieniem pod czaszką. Rozbolały go plecy i nogi - wziął to za sygnał, że wróciło weń takie czy inne życie. Odwrócił

się na lewy bok i chwycił wystającego kamienia, po czym podniósł się wolno i złapał równowagę, boleśnie świadom, że słońce już zachodzi i wkrótce uwięzi go ciemność. Skała wystawała z wody nieopodal Schooner Beach, na południe od Point Arena - przepłynął więc dobre pół mili, w ogóle nie mając w tym udziału. Na brzegu stał konik palomino, nie osiodłany i wolny, na przemian zerkający na zachód słońca i kiwający łbem nad kępkami trawy. Od konia dzieliły go trzy skały usytuowane wzdłuż linii ciągnącej się najogólniej w kierunku południowo-wschodnim. Mógłby przepłynąć od jednej do drugiej i znaleźć się na płyciźnie. Co dalej -tego nie wiedział. Nogi mogą zanieść go na ląd, choć równie dobrze znów może znaleźć się bez sił w kipieli.

Położył głowę na płaskim, lśniącym kamieniu i wciągał powietrze, dopóki nie zdrętwiały mu usta, potem wyprostował się i zwymiotował tym, co jeszcze miał w żołądku, i zaczął wspinać się na niezbyt strome wzniesienie wzdłuż potoku Schooner Creek do Drogi Nadbrzeżnej. Wysiłek rozgrzał go, ale zmęczenie całym nieprawdopodobnym dniem dało o sobie znać w sposób ostateczny, gdy dotarł do małej zatoczki przy drodze i zamknął się w wysokiej szpie służb drogowych, usiadł na drewnianej skrzyni, wcisnął się w kąt, podciągając nogi pod siebie, chroniąc je od przeciągu szalejącego na wysokości podłogi; spał, a chłód przenikał go na wskroś. Obudził się zdumiony, przerażony wnętrzem, które przypominało stojącą na sztorc, otwartą trumnę. Zerwał się na równe nogi i wypadł w cmentarną ciemność, powoli zdając sobie sprawę, gdzie się znajduje. Nie skorzystał z państwowej toalety, stanął obok szopy i rozpiął rozporek białych, mokrych spodni. Długo oddawał mocz, po czym ruszył na południe Kalifornijską Drogą Stanową Numer 1. Gdy usłyszał nadjeżdżający samochód, przystanął z uniesionym kciukiem, ale gdy światła wyloniły się zza wzniesienia, ukrył się między drzewami i przeczekał. Pół mili dalej nadciągnęła od morza deszczowa chmura. Rozpadało się po kilku minutach.

Na północ od posiadłości trafił na miejsce niedawnego wypadku, długie, białe linie przecinały ślady po hamowaniu, plamy krwi na jezdni, rozrzucone niedopałki drogowych flar.

Tajemnicze wydarzenie. W nocy trudno było dociec, co zaszło. Pogaszono światła, uczestnicy przyjęcia trafili do pudła. Przyjęcia, na którym umarło dziecko. Urodziny, śmierciody-ni, rzymskie świece rozwiewane wiatrem i kapiące siarką.

Skręcił ze ścieżki do frontowych drzwi i, zaglądając do środka, stanął w słabym świetle padającym z okna salonu. Było mu ciepło po kilkumilowym spacerze, aż nazbyt ciepło, wskutek czego dyszał ciężko. Wciąż był mokry i śmierdział morzem. Cuchnął ściekiem i rozlanym mazutem. Jego odbicie w zamglonej ciemności szyby - jestem teraz morskim Puszkiem. Przyłożył policzek do pozbawionego twarzy policzka tamtego. Nikogo nie dostrzegł w pogrążonym w półmroku salonie.

Usłyszał jej głos, mówiła cicho, a ton wskazywał na obecność złego. Potem zobaczył, jak przechodzi obok okna, jej sylwetka otoczona była poświatą z zapalanej świecy. Jak cień. To było najprawdziwsze teraz ze wszystkich teraz. - Stworzyłem świat, w którym mężczyźni są źli, a kobiety całkiem nieprzeniknione. W falującym w mroku teraz poruszają się niespokojne cienie.

Zastukał palcami w szybę.

- Yvonne.

Jeśli nie była sama, odejdzie. Zastukał jeszcze raz i kształt zbliżył się.

- Yvonne. To ja, Nelson.

- Nelson?

- Nelson Fairchild. Muszę z tobą porozmawiać. Jesteś sama?

Odwróciła się i ruszyła w stronę frontowych drzwi. Westchnął i po raz trzeci zastukał w szybę, ale już nie słyszała.

Gdy podszedł, stała w progu i rozglądała się na prawo i lewo w ciemności.

- Nelson...

- Kto jest z tobą?

Cofnęła się w głąb domu, jakby bojąc się, że zrobi jej krzywdę. Stała pośrodku owalnego perskiego dywanu, leżącego na środku pokoju, widział jej nogi w szerokich panta-lonach, jej nagi brzuch. Wyglądała jak mieszkanka, w zasadzie jak pierwsza żona z jakiegoś przedszkolnego seraju. Była

spięta, oszołomiona, co prawdopodobnie uniemożliwiło jej skomentowanie jego obecnego stanu.

Aa, twoja prawdziwa muzyka: atonalne bieganie po lesie.

Wszedł za nią.

- Kto tu jest?

Zamknął noc za drzwiami, a Yvonne usiadła na pufie obok kominka, objęła się ramionami i z westchnieniem odwróciła głowę.

- Gdzie jest Ocean?

- Ocean.

- Twoja młoda przyjaciółka. Myślałem, że tu mieszka.

- Był odpływ.

- Coś tu jest nie tak.

- To nie dotyczy ciebie.

- Może dotyczy.

...

- Nie.

- Myślę, że tak.

Westchnęła ponownie, opuściła ręce i wystawiła dłonie do ognia. Oderwała wzrok od płomieni i w końcu na niego spojrzała.

- Jesteś mokry.

- Szedłem... szedłem tu... od miejsca, gdzie wpadłem... to znaczy, gdzie wyszedłem na brzeg.

Wstała i gestem zaprosiła go bliżej.

- Usiądź tu.

Przycupnął na pufie, niczego nie rozumiejąc. Dotknął powiek wnętrzem dłoni i oparł łokcie na kolanach. W ten sposób podtrzymywał głowę. W pokoju pachniało cedrem, cedrowym kadzidłem. A może sandałowym...

Słyszał, jak wychodzi. Słyszał odsuwane szuflady w kuchni. Wydało mu się, że płacze, i podniósł głowę.

Przyniosła białą ścierkę w kwieciste wzory, położyła mu ją delikatnie na szyi i podniosła za rogi, żeby wytrzeć mu głowę.

- Krwawisz albo krwawiłeś.

- Chryste, to boli.

- Ścieram z ciebie krew. Masz strasznie spuchnięte ucho.

- Leżałem nieprzytomny w wodzie. Powinienem być się utopić.

Usiadła obok niego i delikatnie osuszała zranione miejsca. -
Widziałeś może glonkę?

- Jaką glonkę?

- Glonkę. Morskiego duszka. Często pojawia się pod postacią konia. Ukazuje się tonącym marynarzom.

- Widziałem konia, ale to nie był duch. Zwykły koń. Zimno mi.

- Przysuń się do ognia. - Dołożyła drewno do paleniska, w kominku zaczęło huczeć. Pomogła mu przesunąć siedzisko bliżej kominka, pochylił się w narastającym cieple, a Yvonne narzuciła mu na plecy fikuśną derkę - niebiesko-fioletowo-czerwoną - i przytrzymała ją, obejmując go ramieniem i kładąc mu dłoń na barku.

- Ogień umie mówić - powiedziała.

Oddychał głęboko przez rozchylone, drżące usta.

- Zaraz się rozplącę. - Przyzywał płacz, ale jego uczucia wyraziły się w napadzie kaszlu i ataku febry.

- Nie, Nelsonie. To nie był zwykły koń.

Czerpał przyjemność z jej bliskości. Miętowe prądy jej oddechu.

- Byłem dziś zaproszony na spotkanie modlitewne.

- Może właśnie tam powinieneś pójść.

- Chcesz powiedzieć, że nikt mnie tu nie zapraszał. Zbyła to gestem ręki obok jego twarzy.

- Yvonne... co się stało?

Odwróciła się z wdziękiem i opuściła siedzisko, przenosząc się na fotel tworzący komplet z pufem. Wbiła paznokcie w oparcie z taką mocą, że zbieleły jej kostki, a dłonie zaczęły przypominać szpony.

- A tobie? Czy nie powinnam zapytać, co tobie się stało?

- Więcej, niż jestem w stanie wyznać. Dlatego tu przyszedłem.

- Nie rozumiem. Więc dlaczego w końcu tu jesteś?

- Żeby zawrzeć układ. Pakt, jak wolisz. Musisz mi w tym pomóc.

- Z kim chcesz się układać?

- Z twoimi duchowymi towarzyszami. Z aniołami, demonami - wszystko mi jedno.

Przymknęła powieki - najpewniej ze zmęczenia, a może z poirytowania. Dopiero teraz objął wszystko wzrokiem: trzy

świece w narożnych niszach, dające jedyne światło - obok każdej mosiężna miseczka - pełne książek półki pod ścianami, szerokie żaluzje, a na przeciwnej ścianie - jagnięca skóra ufarbowana na czerwono.

Zapytała, jakby mówiąc przez sen:

- W jaki sposób tak się zmoczyłeś? Aż tak bardzo pada?
- Byłem mokry, zanim zaczęło.
- Jak się tu dostałeś? Gdzie masz samochód?
- Nikt nie wie, że tu jestem. Nikt nie może się dowiedzieć, że tu byłem.

Otworzyła szeroko oczy.

- W porządku. Jak sobie życzysz.
- Jestem ofiarą, celem nie jednego, lecz dwóch spisków na moje życie.

- I myślisz, że możesz... Co właściwie chcesz zrobić?
- To, co będzie trzeba.
- Jest coś takiego, jak karma, wiesz? Nie oszukasz przeszłości.

- Chcesz powiedzieć, że przyszłość jest zdeterminowana? Ja tak nie uważam.

- Nie przyszłość, ale los.
- Einstein też tak nie uważał.
- Einstein! Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się nad tym, ile jest w tobie sprzeczności? Rzeczy sprzecznych ze sobą w całym twoim systemie?

- Jestem skonsternowany, zrozpaczony i skonsternowany. Nie będę za to przepraszał.

- Żyjemy w czasoprzestrzennym wszechświecie. Einstein sporządził jego mapę ku własnej, częściowej satysfakcji. Ale jak reszta z nas, on też doświadczył swego losu. Znamy przeznaczenie. Na pewnym poziomie doskonale je znamy. Nie potrafimy jedynie przewidzieć, w jaki sposób nasz los połączy się z innymi.

- Nasz los jest straszny.
- O nie, przeciwnie, jest piękny. Straszne są tylko nasze iluzje. Które załamują się jedna po drugiej, nieodwołalnie. Ale najpierw trzeba je przekłuć. I zostać przez nie przekłutym... - Jej głos drżał, podobnie jak ręce. - Dlaczego nie przyszedłeś do mnie wcześniej?
- Bo cię nie lubię.

- Ty nie lubisz nikogo - złożyła dłonie. - Wokół jest chaos. Nie ty jeden jesteś skazany...

- Boisz się. Zabawiałś się z Bogiem, Szatanem czy z kimś tego rodzaju...

- Ty się z nimi bawiłeś.

- Co mam zrobić?

- Czy wezwać Randalla?

- Spójrz na mnie. Ja chcę... jestem zrozpaczony, mówiłem już.

Oparła się wygodniej, zamknęła oczy i zaraz je otworzyła.

- Witaj, Nelsonie Fairchild. Nazywam się Randall Mac-Nammara.

- Tak szybko?

Twarz Yvonne rozjaśnił uśmiech.

- To łatwe, gdy się wie jak. - Nie była już niespokojna. Jej dłonie na oparciach fotela znów były piękne.

Rozpoczął dialog z pustką:

- Mówiłeś, że musimy porozmawiać na osobności.

- I oto rozmawiamy.

- Co zrobiłeś mojej żonie?

- Już nie jest twoją żoną.

- Co zrobiłeś z Winoną? Kimkolwiek dla mnie jest.

- Jest dla ciebie nikim. Nikim, kogo znałeś.

- To kim jest?

- Czy znasz termin „dybuk”? Wiesz, co to jest dybuk?

- Nie czytuję Singera. Nie wygłupiaj się z łaski swojej.

- Twoja żona - powiedział Randall - nie żyje.

- Moja żona nie żyje.

- Osoba, z którą miałeś do czynienia, nie jest twoją żoną.

Zapomnij o niej.

- Niemożliwe. Wydaje mi się, że próbuje mnie zabić.

- Może próbować, ale w tym wcieleniu nie będzie jej dane zostać morderczynią.

- Nie tylko o nią chodzi. Mam prawdziwych zabójców na karku, Panie Duchu. I chciałbym, żebyś pojął, że nie marzę o przeniesieniu się do miejsc, w których przebywasz. Dzisiaj pływałem, choć mogłem się utopić. Piłem wodę, gdy byłem spragniony. Spałem, gdy byłem zmęczony. Oprócz tego odlałem się wielkim strumieniem. Chciałbym robić takie rzeczy przez wieczność.

- Powołaniem zabójców jest odebranie ci prawa do takich życzeń.
- Możesz mi pomóc? Możesz jakoś wpłynąć na te... typy... byty...
- Skąd mam wiedzieć.
- Posłuchaj, możesz czy nie możesz dokonywać zmian w naszym małym świecie?
- Nie mam pojęcia, Nelsonie Fairchild. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Czy przyszło ci kiedyś do głowy, by zmieniać wczorajszy sen?
- Cholera, znowu sny! Wspaniale!
- Gdy przebywasz w świecie zmysłów, jesteś pogrążony we śnie. To proste.
- Wczoraj mówiłeś coś o sobowtórach.
- O duchowym bliźniaku. Twój bliźniak żyje w błędzie. Błąd ten sprowadził na niego bardzo osobliwe niebezpieczeństwa.
- Kto to jest? Carl Van Ness.
- Twój bliźniak popełnia podstawowy błąd, biorąc siebie za wszechświat. Wszyscy używamy siebie jako najprostszego punktu odniesienia. On jednak nie używa żadnego innego.
- Chcesz powiedzieć, że jest egotyczny.
- W pewnym sensie, choć obawiam się, że chodzi ci raczej o samolubstwo. W jego przypadku mamy do czynienia z błędem pojmowania, który sięga rozmiarów całkowitej duchowej ślepoty i choroby duszy. Człowiek ten utwierdza się w swoim błędzie, wierząc, że wszechświat narodził się wraz z jego przyjściem na świat i że zginie wraz z jego śmiercią. Jeśli wierzy w reinkarnację, wierzy w reinkarnację całego wszechświata. To eliminuje karmę, powtórne uczenie się i prawo kompensacji, ponieważ w jego mniemaniu każdy wszechświat jest zamkniętym systemem, którego granice wytycza długość jego życia. We wszystkich tych wszechświatach istnieje tylko jeden wspólny wątek, jedyna ciągłość, a jest nią jego tożsamość. Którą bierze za nieskończoną. W ten sposób człowiek ów nie ma przeznaczenia.
- A czy to wszystko prawda?
- Tak, dla niego. Skazał się na niewyobrażalne zawieszenie w płaszczyźnie, w jakiej istnieje.

- Więc kij mu w oko! Ale jest jeszcze dwóch innych, dwóch mężczyzn, którzy chcą mnie zabić.
- I tak zrobią. Ale to nie jest ważne.
- Że, kurwa, co?
- Ich zadaniem jest tylko dokończenie planu, którego realizację rozpocząłeś... sam rozpocząłeś... we wcześniejszym życiu. Zabijałeś we wcześniejszych wcieleniach, w tym - doświadczysz zabijania na sobie. Lekcja rozpoczęta we wcześniejszym życiu, kończy się w innym.
- To po prostu... okropne! Sprawiedliwość powinna być wymierzana w jednym życiu, jeśli w ogóle można o niej mówić. To nie jest fair, nie ma w tym za grosz... poezji!
- To gra, Nelsonie Fairchild. Najpierw uczysz się ataku, potem obrony.
- Nie jestem sportowcem. Biorę wszystko poważnie.
- Cóż, nie wszystko musi być poważne. Choć w twoim przypadku poważnym zagrożeniem jest Pożeracz.
- Van Ness.
- Pożeracz posiadał umierające ciało, a ty zabrałeś go ze sobą do domu. Zaprosiłeś go do siebie. Teraz je.
- A ja jestem lunchem.
- Zachowałeś przynajmniej poczucie humoru.
- Jasne, nie ma co.
- Pożeracza należy traktować poważnie. Inni to cienie w twoim śnie na jawie.
- Traktuję moje doświadczenia na jawie jako fakty. W każdym razie jest w nich pewna logika. Tymczasem sny - to chaos. Widzę różnicę.
- Świat, w którym się budzisz, jest tylko inną formą świata, w którym śnisz. A śnisz przez cały czas. Twoje sny we śnie i na jawie mają różne formy, to wszystko... Nelsonie Fairchild, czy wierzysz w Boga?
- Najzupełniej szczerze? Tak, bo jestem szalony.
- Postawię ci zatem następujące pytanie: Czy Bóg zostawiłby interpretację znaczenia świata twojemu widzimi się?
- Tak przypuszczam. Oczywiście, że tak. Poza tym - to głupie pytanie.
- Jeśli tak, to świat nie ma znaczenia. Znaczenia nie mogą ulegać zmianie wraz z perspektywą patrzącego lub zgoła wraz z patrzącymi, a jednocześnie być prawdziwe. To wykluczone.

Jeśli Bóg nadaje jakiś sens temu wszystkiemu, istnieje tylko jedna interpretacja jego znaczenia. Bóg patrzy na świat tylko w jednym celu: by ustanowić jego niezmiennosc. Żadna sytuacja nie ma na to wpływu. Wszystko odbywa się w zgodzie z tym założeniem. Wszystko.

- Czy w takim razie Bóg naprawdę istnieje?
- No cóż, w zasadzie nie wiem. Ale wierzę w niego mocniej niż ci, którzy doświadczają chaosu w cyrku percepcji.
- Który ja nazywam rzeczywistością. W którym tkwię po uszy.
- Czy naprawdę jest rzeczywisty? I czy naprawdę w nim tkwisz?
- Randallu MacNammario, Panie Duchu, jestem gotów zawrzeć z tobą układ... dać ci coś. Powiedz mi tylko - co.
- Użyję jeszcze raz wcześniejszej analogii: co może ci dać bohater wczorajszego snu? Bogactwa i złoto? Bogactwa i złoto we śnie są niczym. Są snem. A ludzie, miejsca i rzeczy, których się boisz, też są snami. Nie bój się ich.
- Łatwo ci mówić. Nie mógłbyś ich powstrzymać?
- Nie mógłbyś stawić im czoła?
- Nie! Możesz ich zatrzymać czy nie?
- Może coś dałoby się zrobić.
- Więc zrób to. Choćby dla jaj...
- Jestem pewien, że zdołasz zlokalizować błędny, zgorzkniały byt gdzieś między światami. One lubią podstępny. Podstępny i krzywdy.
- Zrobię to. Sprowadzę sobie duchowego wandala.
- Nie chcę ci w tym pomagać.
- Dlaczego? Dla ciebie to bez znaczenia, nie? Przecież możesz, prawda? Jesteś tylko sztuczką, wymysłem. Yvonne! - wrzasnęła.
- Zamknęła oczy. W pokoju było cicho przez dobrą minutę - cicho i nieznośnie gorąco. Fairchild zrzucił z pleców derkę i zastawił palenisko metalowym parawanem.
- Jestem zmęczona - powiedziała Yvonne.
- Nie znikaj jeszcze! O czym to mówiliśmy... o podstępnych bytach!
- Są takie.
- Załatw mi jednego, co ty na to? Nieważne, czy w to

wierzę, czy nie. Mam zamiar załatwić tych sukinsynów, okay?
Nie mam wyboru.

- Nie wiemy, na jakie układy poszli ci dwaj. Ich obietnice zostaną dotrzymane. Ich błędy zostaną naprawione. To, co mają tu do spełnienia, zostanie spełnione.

- Rzuć na nich kurewskie zaklęcie, dobrze?

- Nie rzucam zaklęć. Mogę otworzyć kanał prowadzący do ich przewodników. Mogę ułożyć się z ich przewodnikami...
Sprawić, żeby poszli na skróty.

- A to oznacza...

- To oznacza, że ich przeznaczenie szybciej się spełni.

- Przeznaczenie?

- Ich los, to, co ich czeka. Prawdopodobnie smutny los w tym wcieleniu.

- Możesz wynająć kosmicznego zabójcę?

- Nic nie rozumiesz. To, co mają do zrobienia na tej ziemi, zostanie zrobione. Jeśli boisz się tego, nie musimy się tym zajmować.

- Zawrzyj ten układ. Dowolny układ.

Przyłożyła rękę do czoła, a potem opuściła ją i dotknęła złocone, stojącej lampy; przesuwała palce po zagłębieniach rowków, między kapitelami, kwiatami. Odnalazła włącznik i spazmatycznym ruchem zapaliła światło, biały snop zalał jej twarz. Poruszała w przerażeniu wargami. A potem obdarzyła go złym, krzywym uśmiechem.

Zapytał:

- Randall?

- Nie rozmawiasz z Randallem.

- A porozmawiamy z nim?

- Nie.

- Nie?

Ten, którego czuł od początku, gość, którego obecność przykuła jego uwagę, gdy tylko tu wszedł, pojawił się znów w pokoju.

- Nazywam się Miran.

- Kim jest Miran? - pytanie zawisło w eterze bez odpowiedzi.

30 października 1991

Niewidomi w więzieniach. Nagle przyszło mi to do głowy, nagle po całym tym życiu - więźniowie, którzy nie widzą. Ilu ich jest? I jak to wygląda? Czy matka zna jakieś niewidome więźniarki? W zakładzie, w którym pracuje, mówią na to „zakład”, a dla zabawy „miejsce odosobnienia”, na oddziale kobiecym kilkadziesiąt mil za San Francisco, na północnym krańcu okręgu Marin - w ich więzieniu wieże strażnicze nie są najwyższymi punktami w okolicy. Widzą sosny wspinające się na góry przez następne dwa tysiące stóp, dochodzące do szczytów, zawracające i spoglądające na nich z wysoka. Nie jestem pewien, o co mi chodzi, ale to chyba ważne, skoro wyszedłem z łóżka, choć już prawie zasypiałem, wyszedłem, żeby o tym napisać, Winono.

Jest jeszcze coś. Wiem, że kochałaś się z Glenem Bolgerem, Johnem Marksem i przynajmniej jeszcze jedną osobą, nie wiem z kim, po naszym ślubie. Uważasz, że jestem słaby, lecz jeśli ty w swojej głupocie określasz się jako zdolność do znoszenia niepotrzebnego bólu, to mogę ci tylko powiedzieć... no, chuj z tobą. Nie widzę potrzeby kończenia zdań ani udawania elokwencji. To wyłącznie kolejny list. Zaczynasz robić coś normalnego, a w następnej chwili grozisz śmiercią burmistrzowi albo bierzesz zakładników w supermarkecie.

Czasami podczas takich szarych dni przeszłość przetacza się jak wojska po polach ku mojemu nagiemu sercu. Była pewna osoba, konkretnie - pewien mężczyzna. Ja nim byłem. Teraz już nie jestem. Piszę do ciebie po to, żeby poczuć jeszcze straszniej się

Policjant Navarro odłożył kartki na bok i spojrzął na zegarek: omegę, wodoszczelną do głębokości kilku sążni, choć nie był nurkiem i nie brakowało mu czasu - miał, gdyby ktoś liczył, jakieś szesnaście godzin do stracenia, nim rozpocznie jutro pracę - był jedynie ciekaw, jak długo może działać suszarka. Następne trzy minuty. Albo cztery.

Zniecierpliwiony całym procesem - generalnie nie lubił powtórek - otworzył drzwiczki maszyny w połowie cyklu i przyglądał się kolapsowi galopującej karuzeli. Wyjął chusteczki i białe spodenki gimnastyczne. Były suche, ale mundur i dzinsy - jeszcze nie. Wrzucił następną dziesięciocent-tówkę i włączył suszarkę, przyglądając się, jak jego wierzchnia odzież zaczyna wirować w całkowitym absurdzie.

Pomyślał: pójde tam. Jeden z nich siedzi w odległości dwustu jardów od tego miejsca.

Schował kartki do koperty i poszedł do samochodu, muskularnego pontiaka rocznik 76, z którego maski starł gangsterski tatuaż Ptaka Ognia. Tego rodzaju ozdoby uważał za zbyt nachalne, zbyt meksykańskie, jak na jego gust. Ale lubił moc i podobało mu się prowadzenie. Rzucił białą kopertę na tylne siedzenie wielkości fotelika dla dziecka i usiadł za kierownicą, odkrywając na desce od strony pasażera małą, zieloną torbę na śmieci, w której - o czym wiedział - znajdowały się trzy ręczniki kąpielowe i dwie ścierki. Szarpnął torbę, przerzucił ją sobie przez ramię i zmagając się ze sobą, odnosząc wrażenie, że powtórzenia zdominowały go całkowicie, wrócił na słabych nogach do pralni, żeby włączyć kolejną pralkę, zanim przejedzie w neutralnym zmroku niewielką odległość od wzgórza z domem olbrzyma.

Wilhelm Frankheimer niedawno się przeprowadził, wynajął mały dom, chatę z cedrowych bali, doskonale znaną policjantowi Navarro, stojącą przy jedynej ulicy w Anchor Bay, która prowadzi ze wschodu na zachód. Dom prawie się nie zmienił, chociaż w sposób uchwytny chylił się ku upadkowi. Nikt nie strzygł trawnika, nikt nie zamiatał podjazdu. Ktoś rozwalił krawężnik przy rąbaniu drewna przed frontem domu.

Navarro podniósł z ziemi stylisko siekiery i uderzył nim w stary dzwon okrętowy, ustawiony obok dróżki. Podszedł do frontowych drzwi i zastukał kilka razy, ale Frankheimer nie reagował. Musiał być w domu, bo z komina sączył się dym, ponadto rzadko wychodził, a kiedy już wyszedł, nie wędrował dalej niż do sklepu czy baru.

- Wjeżdżaj - rozległ się jakiś głos z wnętrza domu.

Navarro znalazł gospodarza na plastikowym leżaku obok kominka, ubranego w stary, bury szlafrok i koc narzucony na ramiona.

- Siadaj. Nie przyniósłbyś mi przedtem szklanki wody? Jest w lodówce.

Navarro spełnił prośbę. Na drzwiach lodówki zobaczył zdjęcie przymocowane magnesami: szkolne zdjęcie dwójki dzieci, których wzrok wyszedł mu na spotkanie - małej jasnowłosej dziewczynki i uśmiechniętego, też jasnowłosego

chłopca, na którego twarzy malowało się- mimo uśmiechu - napięcie.

- Nie zwracaj uwagi na magiczne grzybki.
- Nawet nie wiem, jak wyglądają.
- Jak grzybki.

Przyniósł Frankheimerowi dzbanek z wodą, ale Frankheimer nie pił, chwycił tylko dzbanek wielkimi dłońmi. Nogi miał wyciągnięte daleko poza leżak, odstrasające gołonie, pokryte bliznami i guzami, lśniły jak wypolerowane drewno, a żółte stopy spoczywały na ziemi pod lekko rozwartym kątem. Metalowe kule inwalidzkie leżały po obu jego stronach.

Navarro usiadł w wykuszu okna i zupełnie bez powodu delektował się swą absurdalną obecnością w pokoju, w którym przeżył ważne i piękne chwile. A także te najgorsze, gdy nie panował nad sobą. W czasach Mo było tu cudownie, teraz pokój wydał mu się tandetny i mały, cuchnęło w nim niedopałkami i brudną bielizną, cuchnęło podobnie jak u niego w mieszkaniu. Guzik go obchodziły cholerne psychodeliczne grzyby, a nawet - jeśli już o tym mowa - wszystkie zbrodnie tego faceta.

- Przyszedłeś w sprawie śmieci, które zostawiłem w starej chacie?

- Niezupełnie - powiedział Navarro. - Ale powiadomiono mnie o nich.

- Zabiorę się za to. Przeprowadzka była raczej niespodziewana. Straciłem dom.

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Ma się ku lepszemu. Dbają o mnie.

Wrzucił białą, sportową skarpetę do kominka. Zaczęła dyć, a potem spłonęła.

- Jutro będę tańczył, przekonasz się - powiedział.

- Na wielkim, radosnym weselu? Skąd wiesz, że na nie idę?

- Nie mówiłem konkretnie o tobie. Miałem na myśli cały świat.

- Rozumiem. Ale będę tam. Służbowo.

- Taniec na aluminiowych nogach. Nie wyłączaj odbiornika.

- Co ci się stało?

- Jak to, nie wiesz? Przejechały po mnie koła.

- Wiem. Chodzi mi o przyczynę wypadku.

- Tego też nie wiesz? Przecież pisałeś raport.
- Drogówka. Zajmowała się tym drogówka.
- Przyczyna była taka, że byłem napierdolony. Mniej więcej spałem, kiedy powinienem czuwać. Nie wolno tego robić, człowieku. Kończy się to na drodze. Jeżdżą po tobie samochodami. Leżysz dziewięć miesięcy w gipsie. Robią ci sześć operacji.

- Chodzi o narkotyki? To miałeś...

- Czym byłem napierdolony? Cóż, początkiem i końcem tego wszystkiego była Yvonne. Chodziło głównie o nią, choć niewątpliwie przejechał mnie samochód. Znasz Yvonne? Głównie chodziło o nią.

Wstyd i nagle poty oblały Navarro, poruszył się niespokojnie na swym siedzisku.

- Byłeś więc nawalony. Nie rozglądałeś się wokół siebie.

- Jesteś teraz na służbie?

- Nie.

- Odwiedzasz mnie w sprawach służbowych?

- Nie wiem. Frankheimer skrzywił się jak małpa i wsadził palec do ust.

- Mam pypeć na języku - powiedział.

- Dobra. Nie jestem tu chyba w sprawach służbowych.

- Okay. Więc w jakich? Towarzyskich?

- Może porozmawiamy poza protokołem.

- Ty jesteś gliną, a ja złoczyńcą. Navarro westchnął i położył dłonie na kolanach:

- Myślę, że pierwszego złożę wymówienie. Jestem nawet pewien.

- Zostaniesz tu? Może jako ktoś inny?

Navarro zdał sobie sprawę, że jeszcze o tym nie myślał.

W ogóle.

- Więc jaki był temat tego przesłuchania? - spytał Frankheimer.

- Carl Van Ness.

- To nazwisko.

- Jesteście dobrymi kumplami.

- Kumplami? W żadnym razie.

- Więc co was łączy?

- Mistyka.

- Nie mów.

- To sprawa energii.
- Cholera. A poza tym?
- Nic nas nie łączy na tym poziomie.
- Na jakim poziomie?
- Na poziomie, który nazywasz rzeczywistością.
- Nie mów - powtórzył Navarro. - Ostatnio niczego już nie nazywam rzeczywistością.

- Nie znam go.

Navarro uniósł brwi, słysząc to kłamstwo.

- Mówię ci prawdę, ale językiem, którego nie rozumiesz.
- Spróbuję. Kiedy go poznałeś?
- Człowieku! Niech pomyślę... jakieś dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata temu... Pływaliśmy razem parę lat -trzy albo cztery. Potem dawał znać, że żyje, przysyłał może jeden list albo pocztówkę na rok... Pocztówkę zaadresowaną do Frankensteinia. A potem przyjechał... to wszystko. To nie był ten sam facet.

- Rozstaliście się.

- To nie był ten sam człowiek. To był dybuk.

- Dybuk?

- Czasami, kiedy człowiek umiera i jego dusza uwalnia się od ciała, pojawia się inna dusza, która zamieszkuje w tym ciele jak żarówka w kloszu. Wędrowna dusza. Chora dusza, dusza zbyt słaba, by pokonać drogę między światami. Dusza psychotyczna, którą większość mitologii nazywa demonem. Całkowicie wypełnia ciało, jak światło żarówki klosz. Wysysa z niego energię. Ciało należy do Van Nessa, mózg należy do Van Nessa, nawet myśli należą do Van Nessa. Ale to nie jest Van Ness. Kiedy ludzie wciąż robią złe rzeczy i nie mają przy tym skrępowań, to nie ludzie, człowieku, to demony.

Navarro, który skrzyżował ręce na piersi podczas wykładu, pozwolił im teraz opaść. Opuścił głowę.

- Wierzysz w to?

Navarro nie mógł spojrzeć mu w oczy, ale stwierdził, że zdoła powiedzieć prawdę.

- Tak - odrzekł.

Październik tego roku był bardzo mokry - od pierwszego spadło już kilkadziesiąt cali deszczu. A teraz będzie ich jesz-

cze więcej na nadbrzeżnych pastwiskach i na drodze, niesionych strugami w porywach wiatru. Włączył wycieraczki pontiaka, nastawiając je na najdłuższy interwał. Mijał rozległe pole, na którym jednoroczny źrebak pinto zagalopował się w podskokach o ćwierć mili od reszty stada, które stało zbite w gromadę pod drzewami, na gołej ziemi, z której przez wszystkie letnie miesiące wybijało kopytami resztki życia. Konie ocierały się o siebie, mordując przy okazji małe so-senki. Wiedział, że źrebak ma jeden rok, bo widział go rozbrykanego po przyjsciu na świat w tamtym wrześniu. Zwierzę znieruchomiło zapatrzone w morze, a potem opuściło łeb, gdy otworzyły się niebiosa i woda zaczęła spływać mu po wygiętej szyi. Mijając go, Navarro zwiększył szybkość wycieraczek.

Nie lubił koni, podobnie jak wszystkich zwierząt, o których mówiło się, że „wyczuwają strach”.

Przed pięcioma dniami, gdy znalazł rękopis Fairchilda, słońce prażyło tak mocno, że kałuże wysychały z sykiem. Możliwe, że był to ostatni słoneczny dzień babiego lata, ostatni ładny dzień, gdy Navarro przemierzał samotnie tę drogę z sercem otwartym na dobroć świata. Bardzo gorący dzień. Miał do końca podciągnięte szyby. I włączoną klimatyzację, która chroniła go jak kołdra - chłodne powietrze, cienka warstewka ciepłego słońca i ocean, rozbijający się w milczeniu o skały. Oficjalnie był na patrolu, ale najzwyczajniej jechał przed siebie za miasto, na południe, przez Anchor Bay i Gualalę, obok zielonego drogowskazu SAN FRANCISCO 114 - po drugiej stronie rzeki - aż za granice okręgu. Wystarczy mieć luz i spokój i prawidłowo oddychać. Trzymać się z daleka od krawędzi spirali. W Los Angeles trzyma! ich za szybą, tu nie potrafił. Staczał się wraz z nimi po równi pochyłej, nie wiedział nawet, że tonie, póki nie zabrakło mu powietrza. Jechać wzdłuż wybrzeża. Nie otwierać okien.

Przy sklepie Stewart Point zwolnił. Jego uwagę zwrócił automat z zimnymi napojami na parking. Zaparkował obok wozu patrolowego drogówki i wszedł do środka, by rozmienić pięć dolarów. Klienci cichego sklepu mieli aż nadto stróżów prawa, wystarczyła im aktywna obecność całej brygady drogówki: policjantka w białym hełmie z nasuniętą na oczy osłoną przeciwsłoneczną - kobieta, którą Navarro wzięłyby

za oszustkę, gdyby nie widział wozu patrolowego przed sklepem - przyglądała się podejrzliwie kupującemu, a jednego nawet obsztorcowywała za złe parkowanie czy brak ubezpieczenia albo jakiś inny drobiazg; nie słyszał tego, nie chciał. Znał natomiast oszustów, jednego nawet aresztował w En-glewood, nauczyciela muzyki w mundurze policyjnym, kierującego ruchem z wycuciem, ale bez przekonania... Myślał: „Kobietę, wcale nie chcę cię znać”, gdy podeszła do niego, dotykając końcem pałki krawędzi hełmu, i myślał dalej: „Ty nadęta, męska lesbo”. Był zażenowany, jednakże lojalny wobec kolegów po fachu. Na początku wszyscy byliśmy okay. Obywatele nam to zrobili.

- Jesteś z okręgu Mendocino? - zapytała.
- Z Point Arena. Muszę napić się coli - tłumaczył.
- Mam meldunek o porzuconym pojeździe po zachodniej stronie drogi z West Point do Gualali. Pięćdziesiąt jardów na północ od Pepperwood Creek, jakieś sto jardów w głębi krzaków.
- Chcesz to sprawdzić?
- Stoi po twojej stronie granicy.
- Nigdy nie wiem, gdzie dokładnie przebiega.
- Że co?
- Nie potrafię odróżnić jednego okręgu od drugiego, policjantko, chyba że granica jest na rzece. Możesz mi to pokazać na mapie?
- Chodźmy na zewnątrz, bo tu jej nie rozłożę - powiedziała.

Rzeka Gualala stanowiła granicę okręgu na przestrzeni jakichś czterech mil. Potem płynęła na południe wzdłuż uskoku San Andreas, a granica skręcała prosto na wschód, przecinała Big Pepperwood Creek i biegła dalej wzgórzami. Z leżącego na linii północ-południe pasma wypływało kilka strumieni, z których żaden nie był oznaczony według nazwy. Navarro liczył mostki i przepływy pod drogą i dojechał prosto na miejsce, w którym znalazł zgodnie z meldunkiem porzucone siWerado; nie tyle porzucone, ile specjalnie ukryte, wprowadzone głęboko w gęste, suche krzewy, z których wystawał tylko aluminiowy dach kempingowej nadbudówki. Krzaki, przez które przebiło się auto do miejsca postoju, zarosły na nowo tunel. Zatrzymał się na poboczu i ruszył ledwo wi-

docznym śladem wzdłuż potoku Pepperwood, a przejście nie należało do łatwych. Miejsce było spokojne, gorące, oddalone kilka mil od oceanu i położone przynajmniej pół mili nad poziomem morza. Strumień wypełniała przejrzysta woda. Już sama jej bliskość przynosiła ulgę.

Jakiś rybak, który natknął się na pojazd, oznaczył drogę strzępkami czerwonej chusty; ostatni taki znak umieścił niepotrzebnie na klamce wozu. Półciężarówka nie była zdemolowana, ale stała tu bezpańska od dosyć dawna - zaglądając przez szybę kierowcy do środka, Navarro ujrzał kłębek gałązek i traw zniesionych przez jakiegoś gryzonia i ułożonych między pedałami.

W kempingowej nadbudówce pełno było takich gniazd, pajęczyn i mysich zapasów ziarna, ponadto znalazł tam wojskowy plecak i torbę, sprzęt obozowy i trupy dwu psów. Zwierzęta padły z pragnienia lub przegrzania. Upał spiekł je i wysuszył. W ich trzewiach zalęgły się robaki. Psy z pa-pier-mache, niedokończone i porzucone, ze skurczonymi pyskami, w których widać było wszystkie zęby aż do ostatniego brązowego siekacza.

Zatrzasnął drzwi i zamknął zasuwę. Żeby dostać się do drzwi w kabinie, musiał połamać nogami mnóstwo wspartych o nie gałęzi.

W środku, po stronie pasażera, znalazł białą kopertę Kalifornijskiego Urzędu Koncesyjnego. Myszy dobrały się do jednego jej rogu. Zdał sobie sprawę, że nie powinien się tym zajmować. Stojąc obok otwartych drzwi, użył strzępków czerwonej chusty do wytarcia własnych odcisków palców z deski rozdzielczej. Oparł się przedramieniem o kierownicę i długopisem otworzył schowek. Wszystkie znajdujące się tam dokumenty chwycił za róg, ostrożnie i pojedynczo, kciukiem i palcem wskazującym, a potem zamknął długopisem klapkę i wrócił między krzakami do drogi.

Początkowo chciał tylko przenieść papiery - rejestrację auta i coś w rodzaju kalkulacji zużytego paliwa - na przednie siedzenie krążownika, a potem wrócić do silverado i dokończyć oględzin. Nagle doszedł do wniosku, że nie jest służbą leśną, a konieczne stało się zbadanie całej okolicy. Pojazd został ukryty celowo. Jego właściciele nie przewidzieli jednak, że do niego nie wrócą prawdopodobnie już nigdy. Psy,

żywe psy, będą musiały zająć się tropieniem śladów, a jego obecność na pewno wprowadzi je w błąd. Być może, uda im się mimo wszystko odnaleźć jakieś ślady krwi, łuski po nabojach albo płytki grób wykopany w suchej ziemi. A więc nie wrócił.

Silverado stał w ukryciu od wielu miesięcy, sądząc po odrostach manzanity - przynajmniej od zeszłej zimy. Na niewiele zda się poszukiwanie jakichś świadków, było za długo po fakcie, czymkolwiek był ów fakt. Wedle wiedzy policjanta Navarro jedyną niewielką populację w okolicy stanowili mieszkańcy buddyjskiego klasztoru, mieszczącego się nieco dalej przy drodze, ludzie, którzy raczej nie interesowali się światem zewnętrznym. Lecz musiał z nimi porozmawiać, choćby po to, żeby chronić własny tyłek.

Jadąc w tamtą stronę, zostawił otwarte okno i wdychał upalne powietrze, stojące nawet wtedy, gdy uderzało w jego twarz. Zastanawiał się, czy jedzie we właściwym kierunku -minął kwadrans, a nigdzie nie było widać siedzib ludzkich. I wtedy za następnym zakrętem otworzyły się przed nim -jakby bramy dziejów - nieskazitelne ziemie klasztoru. Po lewej stronie miał złotą pagodę, lśniącą w oddaleniu na łące, rozedrganą w gorącym powietrzu. Nieco dalej od zakrętu zobaczył bramę wjazdową, a tuż za nią świątynię zwieńczoną olbrzymią miedzianą kopułą, przedstawiającą niezmiernie widok, który zwał z nóg. Z wrażenia zatrzymał auto. Drut kolczasty, stalowa brama, wysoka na dwadzieścia stóp, cisza głęboka jak studnia, którą widział w dzieciństwie. Dotknął kluczyka, ale silnika nie wyłączył.

Przed laty też tak stał: przed nowym domem swojej byłej żony. W policyjnym krążowniku, z automatyczną, dwunastonabojową śrutówką, ze złotą policyjną odznaką.

Podobnie jak wtedy, teraz również czuł smutek nawet w dłoniach. Nie wyłączył silnika, wcisnął do końca pedał gazu i zniknął we własnych spalinach.

Od tamtej pory minęło pięć dni. Nikomu jeszcze o tym nie mówił.

Pontiac Navarro miał podwójną rurę wydechową. Gdy jechał nim wolno Main Street, samochód dudnił jak kuter i jak kuter rozgarniał wodę, zostawiając za sobą trzy fale na zalanej

jezdni, gdy wbrew przepisom drogowym stanu Kalifornia policjant Navarro skręcił na prostej o sto osiemdziesiąt stopni i zatrzymał się przed swoim domem. Zostawił pranie w samochodzie. Przemókł do nitki, gdy biegł chodnikiem wśród małych, białych eksplozji, celując stopami w kałuże i odbijający się w nich roztrzaskany, cukierkowy neon kawiarni, jak też światło padające z jej okien, wypełnionych wyciętymi z dyni, żółtymi, uśmiechniętymi twarzami i czarnymi sylwetkami czarownic na miotłach. Kapało z niego, gdy wbiegł na schody. Ale koperta była sucha pod jego jaskrawą sportową koszulą. Rzucił ją na stół w kuchni, a potem ściągnął z siebie rzeczy, drżąc z chłodu. Powiesił koszulę i spodnie na jedynym kuchennym krześle i choć było mu zimno, otworzył okno, bo lubił szum deszczu. Położył się na sofie i przykrył ściągniętym z podłogi kocem... Musiał zasnąć. Gdy znów odnalazł myśli, było już cicho. Przez otwarte okno wpadał świeży oddech świata po burzy i zepsuty oddech oceanu. Mo spała tu raz czy dwa. I od tamtej pory zawsze czuł w tym miejscu jej zapach.

Staął nagi obok zlewu i, unosząc butelkę delikatnie za szyjkę, wypił parę łyków cuervo, poprawił jeszcze jednym i zamknął okno. Włożył szlafrok, zapalił gaz pod zimną kawą. Miał wolny dzień, ale niewiele mu z niego przyjdzie, gdy będzie leczył kaca. Jutro podwójna służba - jutro będzie wielki dzień w kalendarzu każdego policjanta. Zaaresztuje parę pijanych bab w hawajskich spódnicach, przywoła do porządku bijących się mężczyzn poprzebieranych w najróżniejsze kostiumy i pojedzie na wezwanie do duchów tańczących na cmentarzu, tylko po to, żeby nikogo nie znaleźć. Pojutrze też będzie niemało roboty: drzewa poobwieszane serpentynami z papieru toaletowego, brzydkie słowa na ścianach szkoły. Ślady po dyni ma masce nissana należącego do burmistrza: suche korkowe nasiona i resztki miazgi. Wszystko to trzeba będzie opisać. Poszkodowani zawsze domagają się zdjęmowania odcisków palców, a wtedy trzeba im uświadamić różnicę między kradzieżą z włamaniem a świętem Halloween.

Wejdzie w tłum ze służbowym uśmiechem, w mundurze prosto z pralni. I z nową odznaką, bo stara zużyła się niespodziewanie. Używał jej przy strzelaniu do celu i nawet

w nią trafił. Za nową, którą nosił od trzech miesięcy, zapłacił z własnej kieszeni.

A jutro po południu będzie pracował jako ochroniarz -co z tego, że w mundurze - biorąc udział w ślubie (dostanie za nadgodziny), na który nikt go nie zaprosił: w uroczystości, podczas której pani Winona Andrews, dawniej Winona Fairchild, zostanie żoną pana Carla Van Nessa.

Usiadł przy stole i zważył w dłoni białą kopertę. Może im ją wkrótce pokaże. W końcu była przecież do nich adresowana. Da każdemu po jednej kopii i będzie przyglądał się ich twarzom, by ujrzeć - co ujrzeć? Żadna reakcja z ich strony nie zmieni faktu, że wierzy w tę historię. Nic jej nie zdoła jeszcze bardziej uwiarygodnić. A z drugiej strony nic nie zapewni mu namacalnych dowodów - zajrzał do koperty i wyjął pogniecione kartki - poza tym miał to wszystko gdzieś. Zmienił się. Przedtem wszystko wydawało mu się bardzo proste: były rzeczy dobre i rzeczy złe. Chodziło o to, żeby wybierać te pierwsze. W chwilach wahań kierować się zdrowym instynktem. I generalnie radykalizować wybory, co pozwalało sterować we właściwym kierunku.

Teraz domena wahań rozrosła się poza horyzont. Cały układ słoneczny był jedną wielką szarą strefą.

Mógłby prawdopodobnie postarać się o próbki pisma Nelsona Fairchilda i wezwać grafologa, by potwierdził autentyczność listu. Mógłby prawdopodobnie pobrać próbki ziemi ze środka silverado i spędzić resztę roku na przekonywaniu techników - po uszy zawalonych pilną robotą - że trzeba poddać je analizie, co wiązało się z podróżami do San Francisco w godzinach wolnych od pracy i włożeniem w dupę różnym nieprzyjemnym ludziom. Potem przez resztę stulecia odwiedzały każde miejsce, w którym przebywał samochód, w tym prawdopodobnie Zagubione Wybrzeże - obszar o powierzchni trzydziestu mil kwadratowych, jeśli wierzyć mapie - szukając bez czyjejkolwiek pomocy kości Nelsona Fairchilda lub śladu po nim. List był wystarczającą poszlaką. Dla niego zaś dowodem.

Nie wspominał o liście nikomu, bo przebywanie z nim w samotności wydało mu się jedynym słusznym i rozsądnym wyjściem. Najuczciwszym wyjściem. Chyba że chciałby teraz

i natychmiast wnieść przeciw komuś oskarżenie - a znalazłby kilka osób, którym można by zarzucić parę rzeczy, w tym morderstwo - oskarżenie, które prędzej czy później musiałyby upaść. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Ale jemu nie ma prawa się wydawać. Jego obowiązkiem jest podzielić się przemyśleniami z prokuratorem okręgowym, facetem o nazwisku Ronniger - a może to była kobieta? Navarro naprawdę niewiele wiedział o sprawach na poziomie okręgu - i pozwolić panu lub pani Ronniger martwić się o sądowy wynik sprawy.

Ale Navarro nie chciał, żeby Marsjanie z Ukiah zajmowali się tą sprawą. Był przekonany, że ich postępowanie nie obejmie najważniejszych związanych z nią elementów - rzeczy, o których zazwyczaj się nie mówi, o których się nie myśli i które dotyczą głównie wielkiego milczenia w samym środku wszyściego...

Faktycznie słyszałem samochód przed motelem, pracujący na jałowym biegu przez jakiś czas podczas tamtych Świąt -byliśmy tu, w Trinities, w poszukiwaniu śniegu. Później drzwi tego auta otworzyły się i zamknęły dosyć głośno. Twoje kroki na oblodzonym chodniku, klucz w drzwiach. - Och, kochanie, spałeś? Nie? Wiesz co? Wróciłam piechotą (byłaś na filmie albo w bibliotece) - potem kilka przekonujących detali o spacerze: sople spadający z gałęzi, zimno, zsiniały mi usta? dwa razy się poślizgnęłam i tak dalej, a na dokładkę enigmatyczny powód niezwykle późnego powrotu do przeładowanego buduaru. Okłamałaś mnie. Te dowody nie utrzymałyby się w sądzie, ale ty wiesz i ja wiem, a teraz wiesz, że ja wiem. To jest ta niezidentyfikowana osoba. Jeśli chodzi o Johna Marksa, to sam głupio się przyznał z poczucia wstydu i prosił mnie o wybaczenie. Pracuję nad tym. Glena Bolgera po prostu widziałem. Wstyd powiedzieć, ale oszalały z zazdrości jeździłem za tobą przez dwa dni. Weszłaś do domu Glena Bolgera, ty weszłaś do środka, a ja chodziłem w tę i z powrotem w pięciominutowych interwałach, między oknem sypialni i słupem telefonicznym na rogu, i przez dwadzieścia pięć minut widziałem, jak tarzałaś się z nim po łóżku w oceanie namiętności (hawajskim nadruku na jedwabnej pościeli). Pojechałem do domu z uczuciem, że sam sprowoko-

wałem twoją zdradę moim brakiem wiary - pamiętasz, jak odwiedziłem kilku terapeutów i próbowałem zrzucić za to odpowiedzialność na ciebie? To było zaraz potem, zaraz po Glen Bolger Show.

(Tak, prosiłem się o zdradę, prawdopodobnie stworzyłem ją dla siebie, ale to rzecz marginalna, bo twoja niewierność była niczym, nawet nie wstępem, nawet nie pobieżnym szkicem do twoich gigantycznych osiągnięć. A jeśli zaplanowałaś to wszystko, nigdy nie zdołałabyś wprowadzić tego w życie - nie, to ja byłem tym, który wszystko zaplanował!).

Na dwie albo trzy minuty przerwałem pisanie, przyglądając się własnej twarzy w szybie okna motelowego pokoju (naszego starego pokoju w Weaverville, mogę ci to powiedzieć, bo nigdy tego nie przeczytasz), przyglądając się twarzy, która zawsze wydawała mi się za długa, jak twarz smutnego łgarza. I myślałem o śnie, który miałem zeszłej nocy, przypomniałem sobie sen, który mnie obudził. Poprawiałem go, żeby był mniej przyjemny. Przecież nie był radosny, był potworny, prawda? W tym śnie powinienem był czuć się niechciany, odrzucony, jak zbity pies. Powinienem był mieć to straszliwe poczucie, które miewam czasami na jawie, że za chwilę wejdzie tu ktoś ważny i zdemaskuje mnie. W tym śnie byłem kelnerem w bardzo zatłoczonym barze szybkiej obsługi i zupełnie nie dawałem sobie rady z zamówieniami. Ale jakoś nikt nie wpadał z tego powodu w gniew. Jesteśmy przyjaciółmi, nie ma pośpiechu, jesteśmy wszyscy

Drodzy Win i Van

„Win i Van” -jak to ładnie brzmi. W pierwszych słowach mego listu gratuluję wam zabicia wszystkich trzech Fairchildów, czym doprowadziliście do wymarcia całej linii. Billy i Tata już leżą, został wam tylko jeden. Moje serce wciąż bije, ale jestem już żywym trupem. Nie przeszkadza mi to. Naprawdę. Teraz otworzę sobie litr gęstego, jadącego siarką Sonoma Blanc i usiądę (teraz stoję), by wyłożyć wam, co leży mi na sercu. - Wino, wino, wino - jeszcze nie umarłem!

Nawiasem mówiąc, to jest jedyny list, jaki wyślę - nie myślcie sobie, że was wydam, nie myślcie ani przez chwilę, że powiadomię władze, to znaczy: pierdolę je, podobnie jak w sposób nieunikniony pierdolę was, ale przede wszystkim władze! Zawsze stałem na takim stanowisku. Na ogół niczego więcej nie popierałem.

Ach, Win, piję za Kalifornię, to nektar wycisnięty z jej piersi, toast, który wznosi człowiek wykarmiony jej winnym szczepem *-in vino veritas* -

Prawda! Jest w istocie dość odprężająca. Gdy już raz rzuci się ją na matę. Gdy samemu doświadczy się jej razów. Poza tym nie nasuwa na myśl wina, lecz wodę - przejrzystą i pustą. Wodę, powietrze, ogień. Można porównywać ją do żywiołów, koniecznie do czegoś konkretnego - nigdy do jakiegoś innego abstraktu, którego nie przypomina - bez względu na to, co mówił Keats, który musiał zmagać się z metrum, a metrum sprawia, że mówi się cokolwiek. „Prawda jest pięknem, piękno prawdą” - to pasuje, ale nie ma sensu. Czuję się dobrze, czuję się całkiem dobrze. Chciałbym płynąć w nieskończoność na tej nucie pijanej wdzięczności, ale czasami wpadam w szal. Mój mały sterowiec uderza w klif nienawiści.

Jestem potworny, okay. Podobnie jak wasze uczynki. Mam na myśli to, że dopiero ktoś taki jak wy mi unaocznili, że w świecie nie ma ani krzty dobroci.

Mój ojciec! Dobra, był to w zasadzie akt łaski, można go sobie zracjonalizować, grając w tenisa. I może go nie zabiłaś, Winono. Co prawda, otrzymałaś od niego list, w którym groził ci wydziedziczeniem - widziałem go w twojej kuchni - miałaś więc, jak mówią detektywi, motyw. Ale wszyscy mamy motywy, prawda? Brakuje nam tylko woli i ślepoty. Może jego śmierć przydarzyła się i postawiła przed tobą następującą kwestię: stary nie żyje, dziedziczysz po nim połowę, która zgodnie z prawem stanu Kalifornia należy także do twojego męża, z którym się rozwodzisz. Jeśli twój mąż umrze przed rozwodem, dostajesz całą połowę. A jeśli i jego brat umrze - dostajesz wszystko.

Czy demon powiedział ci, że planował zabójstwo mojego brata? Wątpię, wtedy jeszcze nie. Ale przekonał cię w końcu - a może to ty go przekonałaś? W każdym razie wiedziałaś. Kogo innego mógłby zapytać, jak dojść do chaty Billy'ego? Ja, Van Ness, byłem tam zaraz po tobie - godzinę, może dwie później, ale z pewnością nie więcej. Pojechałem tam, bo mi powiedziano, że nie żyje, i chciałem się upewnić, ale... Mój brat... Na filmach potrząsa się bratem, bo trudno w jego śmierć uwierzyć, krzyczy się: Billy! Billy! Ale nie w życiu. Nie wtedy, gdy widzi się krew, która skrzepła nad jego otwartymi oczyma. Nie wtedy, gdy widzi się mózg w jego ustach, jakby się nim zakrztusił. Nie, w takim wypadku nie ma potrząsania ani krzyków. Nie było czego sprawdzać. Rozumiesz to? Nie było czego sprawdzać, miejsca do sprawdzenia, nikogo, z kim można by to sprawdzić. Nic. Nic. Nic. To właśnie tam znalazłem. To właśnie stworzyłeś.

Mogę ci coś powiedzieć? Tylko raz w życiu strzelałem z magnum 0,357 i nie mogłem w nic wcelować.

Ach, Van: zbój, nożownik, niewiarygodnie, zdumiewająco jasnowidzący zdrajca...

Często myślę, bez przerwy myślę, bezustannie śnię o tobie w moich ramionach, moje usta na twoich ustach, podświetlone lampą krople deszczu rozbijają się na skórze stawu, błoto skapuje z wąsów, okulary przekrzywione na policzku, rzęsy mokre jak od płaczu. I rozmyślając nad tym, wystawiam się na pokuszenie każdemu intelektualnemu szaleństwu - chciałbym sprowadzić do bezpiecznych portów myśli, które są uczuciami, zamknąć w ramy obrazy, które są, tak właśnie, strachem: jak bardzo chciałbym wyciągnąć za włosy coś utopionego, coś klasycznego i odległego, jak Stary Człowiek z morza, którego każdy może zmusić do odczytania przyszłości, każdy, kto go trzyma, gdy zmienia kształty, unosząc się nad falami w południe; potem zostaje tylko beznadziejne porównanie z tym człowiekiem. Ty jesteś sprytniejszy od Starego Człowieka z morza. Ty wszystko wprowadziłeś w ruch. Nie tylko przewidziałeś moją przyszłość, ty ją uruchomiłeś. A teraz wierzysz w przeznaczenie. Teraz wszyscy wierzymy w przeznaczenie.

Wiem, co kieruje takim człowiekiem jak ja, czuję to, choć nie potrafię tego nazwać, ale co tworzy Van Nessa, człowieka psychotycznie oddanego każdej swojej fantazji, zaklinacza rzeczywistości i tego, który przenosi ją do snów? Ona nie pozwoliłaby ci urzeczywistnić swoich, gdybym ja wcześniej nie zaprosił cię do realizacji moich snów. Nie sądzę, żebyś był diabłem. Frankheimer tak na ciebie powiedział, ale to nieprawda. My jesteśmy diabłami, ona i ja, kusząc się fantastycznymi spiskami, a ty, ty jesteś podejmującym próby Adamem, jesteś człowiekiem.

Jak wszyscy ludzie masz swoją religię - a przynajmniej sposób oglądu siebie i wszechświata jednocześnie, co jest wszystkim, czego bym wymagał od religii, gdyby dane mi było ją mieć, gdybym był tylko człowiekiem... Według mnie jesteś zoroastrianinem.

Ale... no wiesz, to ja jestem jak Nietzsche, prawda? Żywię głęboką podejrzliwość do menscha, człowieka kierującego się rozumem i obowiązkiem. On wie, co robi, bo robi to samo, co ten drugi facet - ten, który nie wie, co robi. Mensch maszeruje równym krokiem z robotami, na rzeźnickich hakach jego dusza wisi na haku obok ich dusz. Ale mój ojciec!

Ale mój ojciec nie był menschem. Nienawidził ludzi kierujących się rozumem i obowiązkiem. Mój ojciec był wrogiem twojego wroga - nie rozumiesz, że był twoim przyjacielem?

Posłuchajcie teraz oboje. Człowiek postanawia zabić żonę. Co w tym niezwykłego? $E = mc^2$ - to jest niezwykła myśl, podobnie jak rozważania Newtona i tak dalej, rzeczy, którym Szekspir nie poświęcił wcześniej choćby linijki. Chęć zabicia żony jest niemal tak pierwotna, jak sama myśl: „Chcę, żeby nie żyła, więc jestem” -i dlatego wynaleziono instytucję rozwodu. Ale ten człowiek, nasz człowiek - ja - nie może się rozwieść. Zaczyna więc z upodobaniem spiskować. Znajdzie Umierającą Osobę, przyjmie ją na służbę, pozwoli jej wziąć winę na siebie - po fakcie zabójca i tak jest już trupem. To fantazja, a fantazje są nieszkodliwe u ludzi bez woli, u ludzi nie zaślepionych. Ale oto pojawia się człowiek z wolą, człowiek ślepy na tyle, że nie dostrzega granicy między myślą a uczynkiem. Układ zostaje przypieczętowany, ale Umierający nie ma zamiaru umrzeć. Postanawia zabić ojca spiskowca, zabić brata spiskowca i przyznać zwycięstwo żonie.

Zostawiłeś moją żonę żywą, pogrążoną we śnie. Odwróciłeś się od jej domu plecami i odszedłeś w noc. Nawiedziłeś dom mojego ojca. Wszedłeś wprost do kuchni, wspiąłeś się po schodach w ciemności, przystawiałeś ucho do kolejnych drzwi w hallu i za którymiś usłyszałeś ciężki oddech ojca. Przekreśliłeś gałkę i wszedłeś do środka... Żałuję, że mnie tam nie było, chciałbym zobaczyć was dwóch: tego, którego stworzyłem, i tego, który stworzył mnie.

Tata jest w czyścicu i, jak sobie wyobrażam, przebija zapalonym cygarem baloniki małych dziewczynek: gdybyś był tutaj, Tato, wiedziałbyś, jak sobie poradzić z szeryfem, gliniarzami, sędziami, Har-rym Lally. Chwyliłbyś świniopasów za najczulsze miejsca i powiedział im parę rzeczy do słuchu. Nadziałbyś prawników na ruszt, jak shish kebab, a Winonę zapędziłbyś do morza. Uwielbiałeś takie typy, wśród nich czuleś się w swoim żywiole. Dałbyś sobie radę z nimi wszystkimi.

Ze wszystkimi, oprócz Van Nessa. Który zakradł się pod twoje łóżko.

Czy ojciec walczył? Wątpię, bo odgryzłby ci połowę twarzy. Znaleźliby go z palcami w twojej tchawicy.

Nie. Wstał, żeby stawić ci czoło, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Stracił przytomność, zmoczył spodnie i śnił. W tym śnie las trwał nieruchomo. Niebo przybrało czarną barwę. Oderwała się od niego chmura jak trąba powietrzna i otoczyła go aż po same korzenie. Powoli wyrwała z ziemi wielkie drzewo. Korzenie traciły z wolna oparcie i ojciec, po którym mam imię, jeden z kolosów żyjących na ziemi - umarł.

Potem otworzyłeś okno. Potem wyrzuciło cię w ciemność. Potem

wisiałeś na parapecie, przytrzymując się tylko palcami. I rozważałeś, dokąd rzuci cię upadek. A potem, Van Ness, spadłeś, widzę to w każdym, najdrobniejszym szczególe...

...Trzymałeś zapałkę, póki nie oparzyłeś się w palce.

No i co, ptaszęta! Jestem pewien, że myślicie, iż udało się wam mnie zabić. Ale przetrwałem. Chyba tylko po to, żeby jeszcze pogłębić wygnanie. Może po to, żeby zginąć z rąk innych - nic nie wiecie o świniopasach. Świniopasów sam sprowadziłem sobie na kark.

A jeśli już jesteśmy przy świniach: łowczy z bajki przyniósł złej macosze serce dzika na dowód, że zamordował Królową Śnieżkę. Serce świni.

Ciągle budzę się w środku nocy, gdzieś koło trzeciej. Wygląda to tak, jakby tę chwilę przykryto folią, żeby ją chronić. Sąsiadka uprzejmość w godzinie księżycy... Jeśli kiedykolwiek do ciebie wrócę, dotknę twojej skóry... posłucham w świętości twoich różowych słów... Wy trę nogi, już nigdy nie będę wrzeszczał do ciebie: *Jestem geniuszem!* Nie sądzę, żebym naprawdę cię zabił, że leżałeś martwy i zmartwychwstałeś żywy, zabierając ze sobą dodatkową, zbląkaną duszę. Metoda naukowa bardzo mnie niepokoi, głównie ze względu na jej pewność siebie i krótkowzroczność, ze względu na to, że zapomina wyniośle, że jest tylko metodą, a nie modelem świata, że odwraca nos od kół, póki nie staną się kwadratami, ale co to ja chciałem powiedzieć...? Aha, że nie powinienem wierzyć w duchy ani tym bardziej w dybuki. Ty jesteś ty. A ja to ja. My wszyscy jesteśmy nami - a nie garniturami narzuconymi na manekiny dusz. A jednak widziałem cię przecież i wyglądałeś jak trup. Potem widziałem cię żywego. Widziałem twoją twarz. Należała do ciebie, ale nie ty byłeś w nią przyobleczony.

Sprytne! Okay! Założę się! Zaczekaj...

Muszę zwolnić, muszę wziąć się w garść. „Ma miara bierze nade mną górę” -jak mówi Whitman. W porządku. Van Ness nie zabił cię, jak planowaliśmy. Ale był w domu, prawda?

Zawsze przygarniałaś zagubione zwierzątka - Winono, mówi do ciebie. Wiem, że zaprosiłaś go do środka - tajemniczego mężczyznę...

A ty, bardziej tajemnico niż mężczyzno, czy była dla ciebie Ta? Czy przedstawiłeś swoją sprawę w milczeniu, nie czyniąc żadnego, choćby najmniejszego gestu? Śledziłeś i odnalazłeś ją i popłynąłeś ku pastwiskom, i postawiłeś stopę na tarasie?

- Wynoś się.
- Najpierw pokaż mi tabletki. Żółte tabletki.
- Co?
- Nembutal. Pokaż mi go.

Przyniosłaś mu buteleczkę. Wysypał ci je na dłoń. Dotknęłaś kapsułek, poczułaś na palcach pył końskiego relanium.

...Opowiedziałeś jej o naszym planie, osuszyłeś jej łzy i kochałeś się z nią na swój przedziwny sposób i odczekałeś aż będzie dość ciemno, by mogła powiedzieć:

- Powinnam go zabić.
- Więc zrób to.
- Zrobię.
- Nie musisz. Pozwól mi.

Wydanie mu pozwolenia na zabicie mnie nie zatrułoby twojego sumienia. Przecież to ja wszystko zacząłem, zasłużyłem sobie na to, w zasadzie działałaś w samoobronie. Po mojej śmierci umiera ojciec i dostajesz mój kawałek Kalifornii, ziemi snów i światła, wzgórz i grzmiących gór, ziemię złota.

Ale stało się tak, nieprawdaż, że ojciec musiał umrzeć pierwszy, inaczej zdołałby wykreślić cię z jednoosobowej listy dziedziców. I umarł.

Doskonale teraz wiem, gdzie trafił mój Nietzsche tamtej nocy. Leżał tuż obok twojego łóżka, na podłodze, prawda? A potem Van Ness podał mi ją w ciemności.

Mam go ze sobą. Widzę fragmenty, które zaznaczył. Nienawidzę ludzi, którzy piszą po książkach:

Nie chcemy, by oszczędzili nas nasi najwięksi wrogowie, ani ci, których kochamy z całego serca.

Nie jesteś dosyć wielki, by nie znać nienawiści i zazdrości. Bądź więc na tyle wielki, by się ich wstydzić!

Powiadasz, że słuszna sprawa sankcjonuje nawet wojnę? A ja powiadam ci: słuszna wojna sankcjonuje każdą sprawę.

Wy dwoje! Czytaliście *Zaratustra* w łóżku i pękaliście ze śmiechu.

Mogę sobie pozwolić na kilka przypuszczeń. Po pierwsze: był tam o zachodzie słońca. Przyjechał tym swoim autem, które widziałem tylko w ciemności na podjeździe, gdy w wieczornym świetle sekwoje zaczynają przybierać tę głęboko czerwoną barwę, której zawdzięczają nazwę¹. Bezwietrzna cisza, skrzypią deski stajni oddającej ciepło, stary Red rozkopuje pył, zataczając z wolna krąg i w ogóle. Słońce schodzi w morze chmur i zmienia ich stalową barwę na winną, a później krwistą.

Ten człowiek, Jan, który napisał ostatnią księgę Biblii... On widział dokładnie to samo na wyspie Patmos, dym unoszący się nad boską kadzielnicą i trzecią część księżyca i słońca, i gwiazd pociemniała, widział, jak płonąca góra, wpadając do morza, zamienia trzecią część wody w krew: oglądał wieczór na kalifornijskim wybrzeżu... I ty pojawiaasz się w polu widzenia. Wypelzłeś zza rogu domu, postawiłeś stopę na tarasie.

- To nie twój dom.
- Mój.
- Jak mnie znalazłeś?
- Nietrudno było cię tu znaleźć. Sztuką było odnalezienie cię wtedy, na molo.

Nie sztuką, ale zrzędzeniem losu. Losu, który kierował sprawami na spieczonym nabrzeżu. Schodziłaś z plaży w zapiaszczonych tenisówkach, wytrzępywałaś piach o ławkę i wkładałaś je z powrotem, a on przyglądał się twoim małym, brązowym, małpim stopkom z jasnymi włoskami na kostkach palców. Z jego oczu snuł się gwiazdny dym.

Naciągasz kaptur kurtki na głowę i płyniesz jak arka w potopie słońca, a wokół rozciąga się Kalifornia z uciekinierami i wiatrakami, i karczochami, i chmurami jak rajstopy. Z wolnymi miejscami w różowych motelach. Modesto pogrążone w pyle. Orzechy przedwcześnie spadłe z drzew po trzęsieniu ziemi. Hiszpańskie żyłki. I ty w to wchodzisz, ze swoją cygańską krwią i tajemnicami, i czujesz się jak chuj w og-

¹ Sekwoja w języku angielskim nosi nazwę *redwood* - czerwone drzewo (*pnyp. tum.*).

nisku. Prosto z Carmel. Nic ci nie mogli tam zrobić. Nie z taką skórą w koszulach jak skóra. Z dłońmi w rękawiczkach jak dłonie. A ci inni w Santa Cruz - też nic ci nie mogą zrobić. Nie w Santa Cruz, nie tego dnia. W poszarpanym, kuloodpornym, przepoconym ubraniu albo w domowych, plażowych łachach maszerujesz po zapiaszczonym asfalcie i mijasz stragany; śledzą cię przez jakiś czas, a potem zostawiają, nie słyszysz ich rozmów, ich jazzu, ich maszyn, szaf grających, komputerowego rocka z lat dziewięćdziesiątych, piosenek zmarłych nastolatków z lat pięćdziesiątych. Wiem, jak się poruszasz. Wiem, jak spoglądałeś. Jak się uśmiechałeś i nie mogłeś uśmiechać - uśmiechałeś się nieostojnie, nie potrafiłeś się uśmiechać, gdy powinieś. Przesunąłeś palce po kryształach rozsypanego cukru na brudnej ladzie, nie mogłeś się powstrzymać, żeby ich nie oblizać, zamówiłeś kawę wśród skrzypiących robotów z pozbawionymi twarzą owalnymi głowami. Wiem, co do ciebie mówili...

- Hej, wyglądasz jak ten facet, którego wczoraj zastrzelili.
- Co?
- Pokazywali jego zdjęcie w telewizji.
- Nie, to był ten, który go zastrzelił.
- No.
- No właśnie. Wyglądasz jak facet, który zastrzelił tamtego faceta.

...wiem generalnie, jak ci się wiedzie w takich miejscach, gdzie obmacują cię czujnikami, robią ci rentgenowskie zdjęcia i przekopują tony listów gończych nagromadzonych w głowach. Cuchniesz im. Ty chuju. Mordujesz z zimną krwią. Każdy chciałby nadziać cię na widły. Potrzebują tylko powodu. Nie ciebie. Wyciągasz rękę i przełączasz jakiś guzik. Palisz im trzewia. Robisz to bez wahania, bez zastanowienia.

Czuła cię z odległości stu mil. Czuła, jak wpadasz w przełęcz. Wiedziała, że wprawiliś to w ruch. Złapałaś ją za pizdę. Nie powiedziała ci nawet „cześć”. Ty nawet na nią nie spojrzeliś. Motel był różowy.

Uklęła obok muszli klozetowej i przytrzymała ci członka, gdy lałeś.

*

Ach, Winono... Długie wąsy, blade oczy za szklami okularów, olbrzymie wentylatory w śmierdzącej kawiarni, mieszające powietrze jak oddech - naturalnie wypijaś kawę w jego oczach, w jego dłoniach w parku, w jego pokoju, w którym lustro było tak małe, że widziałas w nim tylko swoje piersi. Twoje piersi widziały twoją twarz.

Zmęczony. Zmęczony. O czym to ja...? Wy dwoje... wykończeni, spoceni i smród Pacyfiku w różowym motelu. Ale co potem?

Nic nie przychodzi mi do głowy, bo cierpię. W oblesny, egzotyczny, kalifornijski sposób.

Deflatorzy, schowaliście się przed deszczem?

Sen nadchodzi, dudniąc jak pociąg. Gdy pojawia się, jest leniwy, leniwy, a dudnienie nie jest już dźwiękiem, tylko jakimś brązowym cieniem, w którym właśnie ma się odnaleźć pewną myśl... A potem człowiek się budzi. Leży w łóżku jak kartka wyrwana w połowie słowa. Czeką, aż poruszy się ryba, ryba na ścianie. Czeką jak pies na rozpoczęcie kolejnego dnia z programu telewizyjnego.

Dobra, Winono, podeszłaś pod klimatyzator, który schłodził, a potem osuszył twój pot. I gdy pot parował z twojej skóry, skóra zaczęła parować razem z nim. Stałaś tam niematerialna i nieświadoma. Rozsunęłaś zasłony i w zapadającym zmroku to wciąż tam było: szumiące, głaszczące i oddające pokłon piaskom na plaży. Błagam, jeśli spotkacie mojego przyjaciela Clarence'a. Powiedzcie mu coś ode mnie. Powiedzcie, że rozumiem surfing. Morze chce nabrać kształtu. Fala obiecuje wielkie narodziny, monstrialne wyłonienie się, ale tylko płynie, tylko płynie pośród wielu i umiera na zawsze. Zmieniająca się niezmiennosc, niezmienna zmiana. Nasze oczekiwania wychodzą jej naprzeciw i, o dziwo, nie trzeba ich porzucać - są w niewyjaśniony sposób spełnione. To takie piękne, takie piękne...

Spacerowałaś sobie w tenisówkach wciągniętych na boscie stopy, naga pod kurtką i dzinsami. Przyglądałaś się brudnym falom, odnajdującym i gubiącym brzeg. Nie: niematerialna i nieświadoma, spacerowałaś bez ubrania. Stałaś na szkarłatnej plaży całkiem naga i niewidzialna, drewniany chodnik skrzypi i trzeszczy, i drze się, a łagodna muzyka niesie się Wżej i dalej z wiatrem. Płacą dziwną monetą za jazdę pod-

niebną kolejką, za toczenie się pod niebiosą na diabelskim młynie, chłopcy i dziewczęta uwolnieni od życia i ściągnięci z powrotem na dół, siła ciężenia spłaszcza im pomarańczowe i fioletowe irokezy, usta jak rany - to straszne, kiedy ktoś się śmieje, jest to bardziej obsceniczne i obnażające niż jakiegokolwiek słowa...

Za mołem na ulicy - skupisko sklepów i żyjących plażą ludzi, deptakowiczów, nie kończący się nigdy trotuar w ich oczach i zawsze ta muzyka: gotycki rock. I idziesz dalej, poza nadbrzeżną część miasta. W popielatym zmroku rysują się domy zdobione sztukaterią, ulice nie są już zapiaszczone. Za obręb miasta, daleko, daleko za jego granice, do tego wielkiego miejsca na wschodzie, na które mówią Ameryka. Przez zbezczeszczone ziemie przemycasz niczym głos.

Cały świat śpi. Morze śpi. Piasek śpi. Ostatnia postać oprócz ciebie trwająca na jawie. Gruba czarna kobieta na stołku opartym o ścianę siedzi w cieniu, ma akordeon na piersi i sterczące ostro kępki włosów. Jej spódnica układa się pusto pod jej udami.

- Nie prosz mnie, żebym zagrała. To nie gra.

- Nie mam nóg.

- Wiesz gdzie jesteś, prawda?

- W Kalifornii.

- Podoba ci się tu?

- Przebyłaś długą drogę do Kalifornii.

- Jesteś już w Kalifornii.

Dlaczego nie mogłaś się odezwać? Co tak naprawdę stało się z twoim gardłem? Dlaczego nie miałaś rąk? Jak to możliwe, że widziałaś wszystko z prawej i lewej strony i wszystko z tyłu - nie odwracając głowy? Zabił cię? Zabił cię. Zatrzymał ci oddech, serce? Zatrzymał. Ale mi nie uwierzysz, bo tej, do której piszę, już nie ma. A ty, która ją zastąpiłaś: ty mnie nie kochasz.

*

W porządku, Van Ness, zamordowałeś ją. Dusiłes ją przez trzy minuty w chłodnym, mrocznym, bursztynowym pokoju, a jej twarz czerwieniała, purpurowiała i zbieiała jak kreda, zdumienie uleciało z jej oczu, źrenice powędrowały do góry, jak u kapłana, jak u derwisza. Oderwałeś zaciśnięte palce od jej szyi, kciukami podniosłeś powieki i zaświeciłeś jej w oczy kieszonkową latarką - żadnej reakcji; przystawiłeś lusterko do jej ust - żadnej kondensacji pary; ukłułeś ją igłą, a rana nie zamknęła się; nie stwierdziłeś pulsu pod nadgarstkiem ani podbródkiem...

I siedziałes w fotelu przy łóżku, dopóki inny obudzony przez ciebie demon nie wszedł do nagiego trupa Winony Fairchild.

I KSIĘGA
TRZECIA

13 września 1990

- Billy, Billy, Billy - powiedział Billy kilka minut przed śmiercią z rąk Carla Van Nessa. - Billy, człowieku mój, jesteś prawdopodobnie geniuszem.

- Nie, nie jestem - zaprzeczył.

- Ależ tak, jesteś - odparł.

- Nie - sprzeciwił się - to tylko intuicja.

Przeciął zakręt parowu i popędził na szczyt gołego pagórka, stanął wciąż nie wyżej aniżeli w połowie okolicznych dębów i popatrzył na ich chorobliwie powykręcane gałęzie i na kuszącą mgłę, która przypominała confetti w prześwitach między drzewami; jego ciężki oddech był jedynym słyszalnym dźwiękiem, a gdy się uspokoił, znów usłyszał las i ptaki, i prądy, i liście - czuł te odgłosy niemal na skórze. Może naprawdę dotykały go niewidzialnymi palcami. W końcu dźwięk jest wibracją. Śmiech duszy tego miejsca. Może dzięki wibracjom mercedes szepnął mu wprost do ucha - poza wszelkim pojmowaniem - że olej wycieka nie spod uszczelki, a przez otwór, w którym tkwi pręt wskaźnika jego poziomu. Wskaźnik nie był firmowy. Tania podmiana, tandeta, nędzne oszustwo - korek był za wąski w stosunku do otworu i przy dużych obrotach przeciekał, wypuszczając olej na zewnątrz; a olej sikał pod maskę i kapał na głowę, gdy podniosło się ją do góry.

- Rozwiązałem problem.

Wrócił do chaty, zamierzając wstawić herbatę. Czarną herbatę, jeśli jeszcze została. A nawet kawę. Gdzieś miał trochę kawy. Prawdziwej, kenijskiej, nie zmielonej kawy w woreczku w szopie. Będzie musiał potraktować ją młotkiem. Myśląc

o tym, wyjął ołówek z dziury po sęku w kuchennym kredensie i sięgnął po drewniane pudełko, w którym powinien być papier albo choćby stary „San Francisco Examiner” z dużymi marginesami. Usiadł przy stole i zapomniał o kawie, drąc gazetę na ćwiartki i układając list do Clarence’a. Napisał pierwsze zdanie na górnym marginesie: dobra wiadomość. Zdjął z głowy nową czapkę z tajemną wiadomością, szczeniacką, wulgarną i nawet śmieszna, odłożył ją i otarł dłonią pot z czoła. Oparł się wygodniej na krzesło i wsadził ołówek do ust, położył nogi na stole, splótł dłonie z tyłu głowy i zaczął zastanawiać się nad listą części potrzebnych do uszczelnienia mercedesa, krótką listą niedrogich części, bo najważniejszy problem mieli już z głowy. Usłyszał skrzypnięcie drzwi za plecami.

Meadows zastanawiał się: Co chcesz mi zrobić? Myśląc o tym, pognął rozkołysanego scouta na górę obok wysypiska śmieci w Gualali i dalej, na nie wyasfaltowaną część Drogi Rozbitków, po chwili skręcił w prawo, na trakt drwali z Men-docino Redwood Company, i bezprawnie przejechał ziemie tej kompanii wzdłuż północnej odnogi rzeki Gualala, wjeżdżając na teren uskoku San Andreas; przeprawiał się przez potok kilka razy i na koniec zatrzymał się w cieniu, w kłębach kurzu, tam gdzie kończyły się posiadłości drwali, a wraz z nimi droga. Od wybrzeża dzieliły go dwie mile. Podciągnął scouta pod górę i ustawił tyłem do spadu - co było konieczne ze względu na brak wstecznego biegu - i sprawdził sprzęt: notatnik i coś do pisania. Państwowy „Kemping Gualala” był tak blisko, że czuł zapach obiadu niesiony południowym wiatrem. Wysiadł z dżipa i ruszył zachodnim brzegiem rzeki. Zatrzymał się, gdy zobaczył dym z obozowiska jakieś dwieście metrów przed sobą po drugiej stronie wody - dokładnie tam, gdzie po raz ostatni widział silverado i rozmawiał z delegacją Harry’ego Lally, dwoma świniopasami z okręgu Del Norte. Przeszedł w dół strumienia prawie do mostu, kilkaset metrów od miejsca, w którym rzeka skręcała z powrotem na zachód i rozlewała się na przestrzeni mili, tworząc bagniste ujście do Pacyfiku. Przeprawił się na drugi brzeg przez ostatni wąski przesmyk, mocząc nogi ledwie do kostek. Z rzeką za plecami, przykucnął i czekał kilka minut, wyteżając słuch,

ale niczego nie usłyszał. Zmęczony rozpoczął rekonesans na krawędzi nadrzecznego wzniesienia. Dym snuł się między gałęziami, nigdzie jednak nie było widać silverado ani jego właścicieli. Wspiął się na skarpe i wyszedł na drogę, odnalazł wzrokiem obozowisko Carrie; nie dostrzegł jej żółtego kombi, ale domyślił się - po styropianowej chłodziarce i jaskrawym plastikowym krześle - że nie wyjechała z synem na dobre.

Gdy przykucnął i rozłożył notatnik na prawym kolanie, usłyszał głosy innych obozowiczów. Rozpisał długopis i choć miał wszystkie myśli poukładane i posortowane w głowie -robił to przez całą drogę - a przed oczami coś w rodzaju pełnego oświadczenia, niedaleki płacz dziecka i wybuchy śmiechu dorosłych rozproszyły go, gdy walczył z pisaniem listu. *Co chcesz mi zrobić. (Podpisano) Twój Kumpel Z Drogi. PS. Mam nadzieję, że to samo, co ja chcę zrobić Tobie.* Wydarł kartkę, położył ją na krześle i przycisnął białym, gładkim kamieniem.

Nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić, ociągał się z odejściem pogrążony w myślach nad rozmiarami swej porażki. Chciał jej powiedzieć coś o swojej duszy i o jej duszy, o przeznaczeniu, które wiedziało, co robi, stawiając ich sobie na drodze. Gdzieś w zakamarkach pamięci świtał mu tekst jednej z piosenek „Grateful Dead”... gdyby zdołał zacytować te słowa, wiedziałaby, o co mu chodzi: *Póki nie upadniemy /Będzie ci z tym dobrze /Nie myśl, że nie wiem/Od czego musiałaś odejść/ Droga, którą przysłaś/ I ta, którą odejdiesz/Zostaną po tobie zgliszczą/Przysypane śniegiem...* Słowa te zapadły mu w serce chyba wtedy, gdy mieszkał z Cathy. Na pewno wtedy. Ale teraz... nie, chyba nie weźmie jej echo. Wyczuje każde zapożyczenie w jego programie. Nadjechała, gdy stał nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Przednie, prawe koło kombi pisknęło i wymachiwało kawałkami gumy, a mały wpatrywał się w niego zza szyby. Wysiadła i podniosła dłoń na powitanie. Pochylił się i mrugnął do chłopaka, a potem z uśmiechem skrzyżował ręce na piersi.

- Masz zapas?
- Nie uwierzysz, ale mam - powiedziała.
- A podnośnik?
- Nie.
- A klucz?

- Mam. Chyba gdzieś pod rzeczami...
- Ktoś tu przyjechał. Może pożyczycie nam podnośnik.
- Po prostu pękło - powiedziała, siadając na zderzaku i wystawiając twarz ku słońcu.
- Hej, Clarence - zawołał. - Co tam robisz?
- Nie wiem - odparł chłopiec, chwytając za klamkę i wysiadając z auta.
- Chodź ze mną, koleś - mruknął Meadows. - Pomożesz mi.
- Kiedy wrócili z podnośnikiem, trzymała w ręku list.
- Kto przyjechał? - spytała.
- Facet i dwie kobiety. I dziecko, mała dziewczynka.
- Przywitałeś się z dziewczynką, Clarence?
- Przywitał się. Ale mu nie odpowiedziała.
- Kto powiedział, że chce coś zrobić?
- A to... To jakieś bzdury - mruknął. - Chciałem napisać coś głębszego, ale bałem się, że nie starczy mi atramentu. Więc wyszły bzdury. Przepraszam.
- Sama nie wiem, człowieku... - Miała łzy w oczach. -W tej sytuacji... w takim stanie rzeczy... nietrudno byłoby mi dać się porwać emocjom...
- Rozumiem.
- Próbuję trzymać się z daleka od tego gówna, to chyba jasne?
- Najzupełniej, jeśli chodzi o ciebie.
- Więc sam rozumiesz.
- Nie, nie rozumiem. Powiedziałem, że list to bzdura, ale to, co czuję - nie. Napisałem nieszczerze i wstydzę się tego, bo jestem szczerzy.
- W czym mniej więcej?
- Odchrząknął i pokręcił głową.
- Jest taka piosenka „Grateful Dead”...
- Jest parę takich piosenek.
- *Spróbuj jeszcze raz*-
- Próbowałam wiele razy.
- No... - roześmiał się - więc ten jeden raz nie zaszko dzi, nie?
- Wytarła oczy. - Czarodzieje... czarodzieje... Wspomniałeś, że chcesz zmienić mi koło?
- Owszem.

- Zapasowe jest pod pościelą. Służyło mi jako zagłówek.
- Pożycz mi parę kamieni - powiedział do małego Clarence'a, zajętego rozrzucaniem kamiennego kręgu ogniska. - Musimy zablokować koła.

Otworzyła tylne drzwi kombi, wyciągnęła zapasowe koło spod kołder i przetoczyła je przed auto.

- Moja religia? - zapytała.

Wsunął podnośnik pod przedni zderzak i dopasował do szczeliny w podwoziu.

- Okay, posłuchaj - powiedział jej - rozumiem to lepiej, niż ci się wydaje. W każdym razie współczuję z tobą, bo wydaje mi się, że sam jestem na religijnym rozdrożu.

- Odnalazłeś Pana?

- To za mocno powiedziane.

- Nic nie dzieje się bez woli Pana.

Mały Clarence przyniósł mu z tyłu czteropalczasty klucz do kół i stanął, trzymając go w dłoniach niczym ster statku.

- Gdy dwoje ludzi staje oko w oko z Panem, wtedy wszystko gra - powiedziała Carrie.

- Posłuchaj, kobieto. Nie będę z tobą prowadził negocjacji. Zostawiłem ci list, naprawiam koło i daję ci do zrozumienia, że mam poważne zamiary. Odsuń się trochę, koleś - poluzował śruby, a potem szybkimi ruchami korby podniósł samochód. - To dobry podnośnik - powiedział - zębatkowy.

- Rób, co masz robić. Dobrze ci idzie - mruknęła Carrie.

- Mam nadzieję, że robię to we właściwym duchu.

Przyniosła chłopcu coś zimnego do picia z chłodziarki.

Sobie też wzięła puszkę. - Chcesz trochę?

- Za chwilę.

- Jak tylko to auto zacznie się toczyć, jedziemy do West Point - powiedziała. - Kościół nam pomaga. Dostaniemy własną chatę. Dziś jest studium biblijne, jakbyś chciał wpaść.

- Mało prawdopodobne, ale możliwe.

Usiadła na krześle.

- Jest pewien temat, który należałoby poruszyć.

- Strzelaj.

- A może nie. Sama nie wiem.

- W porządku. Tylko nie mów mi, że jesteś w ciąży.

Westchnęła, wstała i wrzuciła puszkę po pepsi do zimnego ogniska.

- Posłuchaj... - zaczął.

Ale nie chciała słuchać. Ani rozmawiać.

Przeciągał sprawę, dziękując Bogu, że ma w rękach klucz, a przed oczami pięciokąt śrub. Odkręcał je, postępując i wstydząc się tych cichych dźwięków, sygnalizujących chęć podjęcia rozmowy.

- Chyba nie muszę pytać, czy jesteś przeciwniczką aborcji.

- To nie ma znaczenia. Bóg jest temu przeciwny i tylko to się liczy.

Zdjął przebite koło, podważył oponę łyżką i zrzucił ją z obręczy. Na bęben włożył zapas. Przykręcił śruby palcami i dokręcił kluczem. Odłożył narzędzie, potem opuścił samochód ośmioma ruchami korby. Prawą ręką sięgnął po klucz -zawsze lepiej dokręcić, a teraz jest najlepsza chwila - ale śruby nie poszły dalej. Oto - myślał, trzymając bezradnie klucz w dłoni - ręce tchórza. Rzucił klucz i oparł się o samochód.

- To ładnie, że nie pytasz, kto jest ojcem.

- Ładnie? Czy chcesz mi wbić nóż w plecy?

- Nie. To znaczy, traktuję jako komplement to, że nie pytasz.

- Myślę, że powiesz mi, kiedy będziesz gotowa.

- Czy ty jesteś gotowy?

- Po tym, co mi powiedziałaś, powinienem wiedzieć, czy jestem gotowy, czy nie.

- Myślałam, że czegoś używałeś.

- Za drugim razem nie... Chciałem.

- Więc używałeś czy nie?

- Chyba nie. Nie za drugim razem.

- Wiesz przynajmniej tyle. Może jeszcze powiedziałbyś mi, co ja mam zrobić?

Podszedł do chłopca, który siedział zgarbiony na polanie z ogniska i grzebał patykiem w ziemi, wydając przy tym odgłosy statku wchodzącego do portu. Człowiek bez numerów. Mały Clarence. Ładne buty.

Meadows wyprostował się i westchnął.

- Czy nie uważasz, że to sprawa przeznaczenia?

- Człowieku! Jeśli to nie jest przeznaczenie, to nie wiem, co nim jest!

Słońce właśnie zaczęło chylić się ku zachodowi, rozświetlając puste miejsca między drzewami, gdy wjechał na drogę prowadzącą do chaty Billy'ego. Przyszło mu do głowy, że leśne chaszczki prezentują się nadzwyczaj zasobnie i bogato, gdy spojrzy się na nie przez pryzmat klasycznego mercedesa - przykrytego czystą, beżową plandeką i zaparkowanego u wjazdu do lasu - czy nie mniej klasycznego porsche Nelsona Fairchilda, blokującego kawałek drogi. Jadący scou-tem Meadows ostrożnie mijał kolekcję niemieckich aut, wjeżdżał lewymi kołami w krzaki i toczył prawe w koleinach, co mogło go kosztować utratę dyferencjału, który ciągle uderzał o wystające kamienie.

Patrzył przed siebie, biorąc ostry zakręt na strumień przecinający trakt pół mili od jego początku; nie chciał przejechać Nelsona Fairchilda, gdyby pił wodę. Ale nigdzie nie dostrzegł starszego z braci.

Na końcu drogi zaparkował scouta jak zwykle nosem do góry, by posłużyć się grawitacją przy wycofywaniu. Krzyknął parę razy na Billy'ego, bo Billy nie lubił niespodzianek, i wyszedł zza zakrętu strumienia, stając przed północną ścianą chaty. Tył domu wychodził na morze - o tej porze dnia był nasłoneczniony; na mały taras, dwa stojące tam krzesła z prostymi oparciami i hantle, których Billy nigdy nie używał, padały dwa cienie starych drzew madrone. W ciepłym powietrzu nad polaną cykały i wywijają salta koniki polne, wąż mokasyn opuścił wilgotną plamę pod rurą ściekową i zniknął w krzakach. Na tarasie Meadows zatrzymał się, żeby zdjąć z gwoździa czarny emaliowany kubek i nabrać wody z plastikowego wiadra - pił do dna, a potem jeszcze raz nabrał wody ze strumienia. Przeszedł z pełnym kubkiem przez taras i zastukał do drzwi, stał później przez chwilę pijąc, a wreszcie pchnął drzwi i znalazł za nimi dwa cienie madrone wpadające przez okno i Billy'ego, który spał z twarzą na stole. Wypił resztkę wody i odstawiając kubek, zobaczył, że Billy jest ranny, a potem, że jest gorzej niż myślał. Wziął głęboki oddech i zakrzuszył się wodą, wciągnął ją tak głęboko w płuca, że o mało się nie utopił; przesłoniło mu to przez kilkadziesiąt sekund naturę dokonanego odkrycia. Chwiejąc się na nogach, kaszląc tak bardzo, że obawiał się

o całość żyłek w oczach, wypuścił kubek z rąk i szukał po omacku czegoś, o co mógłby się oprzeć.

To, że Nelson Fairchild i Melissa opuścili razem jego dom, wcale nie zaskoczyło Wilhelma Frankheimera. Ludzie przestali go zdumiewać przed bardzo wielu laty. Prąd także wyłączała mu już wcześniej.

Parę kabli, dwanaście voltów i wola odnalezienia radości w niesprzyjających okolicznościach - to wszystko, czego było mu trzeba. LAMPY naftowe były jakimś rozwiązaniem, ale dom śmierdział przy nich jak międzystanówka. Zdawało mu się, że w szopie powinien mieć akumulator, lecz gdy przekopał to miejsce, okazało się, że wrażenie było mylne. W pracowni włożył dzinsy i sportową koszulę, a nim zdążył się pozapinać, przypomniał sobie nagle, gdzie stał akumulator i poszedł po niego, ale też go nie znalazł.

Kiedy wrócił do salonu, ujrzał Carla Van Nessa siedzącego przed kominkiem w bardzo niepokojący sposób.

Podszedł do okna i zaciągnął zasłony. Volvo stało na podjeździe.

- Zabrakło ci paliwa? Nie słyszałem silnika.

Van Ness wyglądał dokładnie tak samo jak przed sześcioma tygodniami, a nawet przed dwudziestu laty, kiedy po raz pierwszy zapuścił swoje intrygujące wąsy.

- Jestem prawdziwy - powiedział.

Frank zastanawiał się nad tym oświadczeniem, klepiąc się po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów.

- Możesz wierzyć, w co chcesz - odpowiedział.

- Gdyby ktoś o to pytał, nie było mnie tu.

- Czy to te same okulary, które miałeś na nosie w dniu, w którym się poznaliśmy?

- Poznajesz mnie. - Van Ness wyciągnął rękę jak do powitania, ale wskazywał tylko na trzy paczki cameli leżące nad kominkiem. - Zapalki są tam, gdzie drewno.

- Wiedziałeś, że byłem z tyłu domu?

- Myślałem, że coś ci się stało. Że możesz potrzebować pomocy. Dlatego wszedłem.

- Nie chcę tych papierosów. Wszystkie prezenty od ciebie są naznaczone.

- Nie - powiedział Van Ness, a w jego głosie, ku zasko-

czeniu Franka, pobrzmiwał prawdziwy ból. - To nie dotyczy moich prezentów.

Frankheimer otworzył paczkę, urywając całą jej górę. -Równie dobrze mogę wypalić wszystkie naraz. Brakowało mi tego.

- Nadchodzi taka chwila - powiedział Van Ness - że po prostu nie chce się rzucić.

- Carl. Co cię tu sprowadza?

- Chciałem cię zobaczyć.

Frank wyprostował się, rozchylił ramiona, żeby tamten lepiej go widział.

- Nie. Chciałem, żebyś ty mi się przyjrzał. Popatrzył na mnie akurat dzisiaj, przede wszystkim dzisiaj. Czy wyglądam inaczej?

- Nie wydaje mi się - mruknął Frank.

- Nie?

- Znam cię. Jesteś tym, który posiadał Carla Van Nessa.

Przybysz usiadł wygodniej, jakby ta rozmowa bardzo go nudziła.

Frankheimer zapytał:

- Co zrobiłeś?

Gość pochylił się w fotelu, wyciągnął rękę ku polanom i rzucił zapalki na palenisko.

- To i tamto.

Frank usiadł przed paleniskiem, przygarbił się i wyprostował, niezwykle poruszony tym wszystkim.

- To dziwne, że łączy cię ze mną jakaś energia, a mimo to twoje działania nie mają na mnie wpływu. Prawda karmy jest druzgocąca, człowieku. Twoja karma jest wszystkim, co masz.

- Kolesi?

Frankheimer wyjął papierosa.

- Co?

- Spraw sobie mózg.

Frank zapalił.

- Ty swój już straciłeś. Potraktuj to jako radę. Zaciągnął się kilka razy, kiwając głową i wydychając dym, kiwając głową i przytupując.

- Coś jeszcze?

- Obawiam się, że tak. Brałeś coś ostatnio?

- Bez względu na to czy brałem, czy nie, zawsze jest we mnie jakaś zdrowa, czysta i normalna część.

- Nieprawda. Nigdy nie będziesz normalny. Nigdy.

- Nie odchodź w złości - powiedział Frank, gdy Van rzucił się do drzwi.

Ale zaraz wrócił: purpurowy na twarzy, zdyszany, jakby biegł z kilometr.

- W co według ciebie graliśmy? Z czym według ciebie graliśmy?

- Twoja obecność tu... bez świadków... jest dla mnie dosyć krepująca.

- Uważasz, że tylko rozmyślaliśmy? Myśleliśmy zakazanymi myślami? Wyobrażaliśmy sobie herezję? Udawaliśmy, że uznajemy systemy moralne za instrumenty kontroli i represji?

- Nie, człowieku.

- „Nie, człowieku!” Nie, nie ma żadnego myślenia. Jest tylko ruch... albo śmierć. Ty umierałeś, ja byłem w ruchu.

- Na szczęście jestem dwa razy większy i dwa razy silniejszy od ciebie.

Chciał uświadomić tamtemu, iż jego słowa nie robią na nim wrażenia. Ale zabrzmiało to, jak przyznanie się do strachu.

- Słyszałem, że zadajesz się z kobietą o imieniu Melissa.

- A jeśli, to co?

- Szukam Nelsona Fairchilda.

- A on szuka ciebie. Stara, dobra Melissa zabrała go tam, gdzie zabito jego brata. Zabrała go tam po to, żeby wsiadł w swoje porsche i odnalazł cię, bo myśli, że to ty jesteś mordercą. Wyjechali pół godziny temu.

- Gdzie mnie szuka?

- Nad wodą. Powiedziałem mu, że tam będziesz. Powiedziałem, że będziesz nad wodą i blisko gorzały. W hotelu w Gualali, w Cove, w takich miejscach

- Knajpa w Cove jest zamknięta.

- Więc zacznij od hotelu, wpadnij do knajp nad wodą, objedź moło w Arena - i nie wracaj do tego domu, bo zatruwasz go swoim absurdalnym, wpływającym z niskich pobudek, złym gównem.

- Jesteś przerażony. Wstydę się za ciebie.

- Jesteś demonem.

- Byliśmy przyjaciółmi.
- Jesteś demonem. Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi.

Gdy ucichł silnik volvo, jadącego nie wiadomo w jakim kierunku, Frank wyszedł z domu do szopy, bo było w niej coś, co zauważył, a mimo to przeoczył.

Zarysy domu i szopy rozmazywały się w załamującej światło wilgoci - zwykłej, lśniącej, osadzającej się na wszystkim mgłę, która tego wieczoru nadciągała od południa, a nie jak zazwyczaj od morza. Zatrzymał się w progu. Po drugiej stronie niskiego pomieszczenia na półce: szalik ze sztucznego jedwabiu złożony na trzy, a potem - o ile dobrze pamiętał - na sześć części. Ruszył ku niemu przez wirujący pył, który nadawał światłu cynamonową barwę. Otworzył pudełko z celofanowym okienkiem, odłożył je na półkę. Oto i on. Jak fotografia. Wydziedziczony i piękny.

Gdy tylko okręcił nim szyję, zdał sobie sprawę z rozmiarów błędu. Z tkaniny wylewała się rozpacz i wypełniała mu gardło i piersi.

Z daleka dobiegał głos wypowiadający jedno słowo - jego imię. Wzmagał się wraz z zapadającą nad oceanem ciemnością.

Frank...

Wyszedł z szopy, przekroczył wyznaczoną kiedyś żywoplotem granicę między jego i sąsiednim podwórkiem i stanął przed sosnowym domem sąsiadów, ale niczego nie słyszał. Podeszedł do tylnych drzwi i zajrzał przez siatkowy ekran; zobaczył patio zamienione w szpitalny pokój, zajęty przez sąsiadkę, wysoką, starą kobietę, która leżała w łóżku i oglądała telewizję, trzymając w rękach termoфор. W nogach łóżka stała taca z drobiazgami. Lekarstwami, szklanką wody, przyborami do szycia.

- Hm... - chrząknął Frank. - Dobry wieczór. - Cień na rozsuwanych, siatkowych drzwiach.

- Czy ktoś... - zaczerpnęła powietrza. - Kto tam?

- To tylko ja. Wyszedłem na spacer. Jak się pani miewa dziś wieczorem?

- Ty nie jesteś Hank!

- Niezupełnie. Nazywam się Frank.

- O, Frank! Prawie cię nie poznałam. Co słyhać, Frank?

- Jest cudownie.
- U mnie też. Przyszedłeś posłuchać o mojej mastektomii?
- Nie, proszę pani.
- To dobrze. Bo jej nie miałam.
- Cieszę się.
- Ja też. Jest już za późno na operację.
- Przykro mi.
- Mnie też.
- Dobra i zła wiadomość - powiedział Frank.
- O, tak - odetchnęła dwa razy. - Do tego wszystko się sprowadza, prawda?
- Dba pani o siebie?
- Hank martwi się o wszystko.
- Hank to pani mąż?
- Nie, to pielęgniarz. Nie jest moim mężem. - Wzięła oddech.
- Mój mąż jest skończonym idiotą. - Odetchnęła. - Hazarduje się w Las Vegas. - Odetchnęła. - Przepraszam, w Lakę Tahoe. - Odetchnęła. - Ma pięciodniowe ciągi. - Odetchnęła. - A potem śpi. Prawdopodobnie do góry nogami. - Odetchnęła. - W kubie na śmieci. Hank dba o wszystko.
- Frank z fascynacją wpatrywał się w jej falujące piersi.
- Wie pani co? - powiedział, otwierając drzwi i wchodząc na patio. - Chyba do pani wejść.
- Cóż... - odrzekła.
- Usiadł na krześle obok łóżka.
- Mogę?
- No... - zaczęła - chyba tak. Co tam masz... - urwała, dysząc ciężko.
- Dotknął dłonią szyi.
- Krucyfiks?
- Zapiął koszulę, starając się nie dotykać zielonego Chrystusa, chorego, pokonanego Chrystusa na szyi.
- Zaśniedział - powiedziała.
- Jest słynny. I ma cudowną moc. To krucyfiks Carli Fri-zelli. Może coś jej to mówiło, a może chciała sobie przypomnieć, ostatecznie dała jednak za wygraną.
- O czym mówią ci ludzie? - spytał Frank.
- Jacy ludzie? W telewizji?
- Co, na Boga, próbują powiedzieć?

- Nie mam pojęcia. Zrobię głośniejsze.
 - Nie. Nie trzeba.
- Uniosła pilota z miną władczyni.
- Nie. Nie trzeba. Nie jestem gotów.
- Odłożyła pilota i spojrzała na sąsiada.
- Czy ma pani może jakieś leki... leki przeciwbólowe?
 - Z kroplówki - powiedziała. - Tylko tyle, ile mi trzeba. Ale mogę... - przerwała i zaczerpnęła powietrza - naciskać guzik tak często, jak chcę.
- Z dużą wprawą odszukała palcami wtyczkę, chwyciła przełącznik i nacisnęła. Cyfrowy odczyt dozownika mrugnął i pisnął radośnie.
- Wszyscy potrzebujemy leki - powiedział Frank.
- Daleki głos znów nawoływał: Frank! - słyszał niosącą się w powietrzu sylabę, obcą jego uszom.
- Nikt... - chciała podnieść głowę i spojrzeć mu w oczy, ale opadła na poduszki z opuchniętą twarzą i zaciśniętymi ustami. - Nikt go nie dostaje!
 - Ja tak. Dostanę! - obiecał jej.

Harry Lally sięga do lustrzanych drzwiczek apteczki i otwiera je na zestawie leków, wcześniej jednak przez dwie sekundy przygląda się swemu odbiciu w lustrze. Ma zaczesane do tyłu włosy, jak bikiniarz z lat pięćdziesiątych. Swego czasu chciał być bikiniarzem. Dostrzega, że jasny kolor włosów ustępuje miejsca siwiźnie. Tak, w apteczce jest gówno, chuj i pizda, a gdy zatrzaskuje drzwiczki, lustro nadaje program z telewizyjnym kaznodzieją po odwyku i dyrygentem orkiestry swingowej po wyroku, cierpiącym na bóle głowy -jako gwiazdami. Ktoś w okolicy jest sto tysięcy do tyłu. A Harry Lally jest jedyną osobą w pobliżu.

Z rozchylonymi połamami szlafroka i papierosem w dłoni (w drugiej trzyma pilota) siada na sofie w studiu. Lampy są wyłączone, zasłony zaciągnięte. Uważa to za symptomatyczne. Ciemność w południe. Cholera, jestem pieprzonym wampirem.

Harry Lally widzi w telewizji wielkiego dilerę z kajdankami na rękach i nogach, jak człapie korytarzem posterunku policji w Oakland. Dostrzega zmęczenie w jego oczach, gdy

próbuję zasłonić się przed kamerą i ukryć twarz, po czym zapomina o wszystkim i rozgląda się, nie bardzo wiedząc, co się z nim dzieje. Od dawna nosił w sobie obraz dnia, w którym go aresztują, tego nieznośnego dnia, a teraz ostatecznie zrzucił go z barków, pozwolił mu eksplodować u swoich stóp i otoczyć się dziesiątkami nienawistnych twarzy i cudownie trzaskającymi światłami fleszy. Długowłosy Meksykanin, Jose Esperanza albo Beznadziejny Joe, facet w średnim wieku, z opuszczonymi rękoma, zapadniętą klatką piersiową, chory od tego wszystkiego i nie żalowany przez nikogo oprócz Harry'ego Lally.

Lally powlókł się ociężale w stronę basenu, mając widmo takiego dnia nad głową. Od wschodu widok na manzanity ciągnął się aż do grzbietu wzgórza. Na tyłach domu był ostry spad, a krajobraz - skomponowany głównie z krzewów - otwierał się na nierzeczywisty widok za basenem, który powinien być wychodzić na odległy ocean. Powinien był, bo ktoś źle go zaprojektował, umieszczając w najlepszym punkcie widokowym przebieralnię z prysznicem i okalającą wszystko siatkę. Tym projektantem był on sam. Zrzucił szlafrok i położył się nagi na krawędzi basenu, zamknął oczy i pozwolił słońcu przypiekać swoje ciało. Niemal natychmiast dosięgnął go cień domu.

- Mam gęsią skórkę.
- Co to znaczy? - spytał Harry.
- To znaczy: gęsią skórkę.
- Jak mam to zinterpretować? - zapytał.

Nie otwierał oczu, czekając aż osoba, z którą rozmawiał, odejdzie. Jakaś młoda osoba.

Słyszał o Beznadziejnym Joe - stworzeniu ze szczytów łańcucha pokarmowego. Joe zapomniał zapłacić albo ktoś zapłacił więcej niż on. Niepokojący zbieg okoliczności sprawił, że młoda osoba z Rio też nazywała się Esperanza. Esperanza była kurwą, którą zatrudnili, ale potracił ją samochód. Nic poważnego - uśmiechnęła się, skrzywiła, wzruszyła ramionami i od razu o wszystkim zapomniała. Tylko że następnego ranka znaleźli ją martwą. Jej trup był jedynym trupem, jakiego dotykał. - I poczułem, że naprawdę zrobieni jesteśmy z gliny... - Lally nigdy wcześniej nie widział martwego człowieka, ale od razu poznał, choć w zasadzie na

początku wydawało mu się, że spieprzyła makijaż po pijanemu i zrobiła sobie twarz na biało.

- Lally!

Odwrócił się na bok, żeby lepiej widzieć.

- Harry Lally! - Jego nazwisko na ustach całego świata - kogoś przy furtce - na ustach starego Parkera, emerytowanego działacza związkowego, człowieka o ociężałym, tęgim korpusie, z niewiarygodnie krótkimi rączkami i wąskimi barkami. Na ustach zmęczonego życiem robotnika portowego o okrągłej, pobitej, szparkookiej twarzy Eskimosa. Hillary zostawiła otwartą furtkę i ta osoba najzwyczajniej w świecie wchodzi na ich teren.

Lally usiadł, opuścił nogi do basenu. Naciągnął szlafrok na krocze.

- Przyszedłem po Sandy.

- Przeszkodziłeś mi w drzemce.

- Jest tutaj?

- Sandy?

- Ta... Moja córka.

- Nie wiem.

- Nie wiesz.

- Leżę i drzemię. Nie wiem, kto jest w domu.

- Sandy! - wrzasnął Parker.

- Może jest w środku?

- Ma dopiero czternaście lat!

- Może przyszła do Hillary.

- To moja najmłodsza córka! - Parker rozejrzał się. - Sandy Parker! - wrzasnął. Dyszał i nadymał się. - Dwie starsze są już dorosłe. Matka Sandy nie żyje. Zostaliśmy tylko we dwoje.

Dziewczyna wyszła z domu w bikini.

- Idziemy - rzucił jej ojciec.

- Nie.

- Powiedziałem - idziemy!

Pomaszerowała na koniec basenu i usiadła okrakiem na trampolinie.

Parker przykucnął na piętach i przysunął twarz do twarzy Lally'ego, zbyt blisko jak na jego gust.

- Lally. Jeśli za trzydzieści sekund nie wyjdę z nią z tego domu, wezmę za telefon i wezwę policję.

- Nic jej nie zrobiłem. Naprawdę.
- Nie wezwę policji do ciebie. Poproszę, żeby przyjechali po mnie. Bo wrócę tu, wsadzę ci łeb do basenu i przytrzymam, przytrzymam, przytrzymam...

Wyciągnął ręce na wysokość barków Lally'ego. Miał niezwykle mocne, jakby nabrzmiące nadgarstki. Palce zdawały się wyrastać mu z przedramion, jakby w ogóle nie miał dłoni.

- Poczekaj... hej, dziewczyno... Sandy?
- Machała nogami, rozchlapując wodę.
- Odwiedziny skończone.

Harry Lally w szlafroku leżał na biodrze nad samym basenem. Zauważył kogoś w zaroślach z północnej strony ogrodzenia pod napięciem, dostrzegł białą postać wyrastającą nad manzanity, przedzierającą się z wysiłkiem przez gałęzie, wreszcie zatrzymującą się w złachmanionym ubraniu po drugiej stronie wody.

- Nie dotykaj drutów. Są pod napięciem.
- Frankheimer podniósł dłoń.
- Co to dla konia, człowieku.

Jego twarz zbladła i spochmurniała, gdy przycisnął druty do ziemi i przekroczył ogrodzenie, wysoko unosząc nogi.

- Sto dziesięć voltów - mruknął Lally.
- Myślałem, że dwanaście.
- Nie, proszę pana.

Frankheimer odbił się od krawędzi basenu i wskoczył w ubraniu do wody. Płynął pod powierzchnią, a Lally śledził jego ruchy, jakby spodziewał się ujrzeć ponad wodą rekinia płetwę grzbietową. Olbrzym wypłynął tuż pod jego nosem, oddychając ciężko i przygryzając wargi. Lally trwał nieruchomo.

- Leżymy sobie nad wodą? - zapytał Frankheimer.
- Owszem, do cholery.
- Dmuchając na zimne. Sącząc drinki przez słomkę. Lally nie zdołał powstrzymać uśmiechu.
- Potrzebuję trochę kokainy - rzucił Frankheimer. Odwrócił się na plecy, rozłożył ramiona i pozwolił głowie odpłynąć. Wyciągnął nogi, jego stopy wynurzyły się prawie w połowie szerokości basenu.

- Mógłbym ci pomóc - odparł Lally, wyczuwając niebezpieczeństwo sytuacji - w rozsądnych granicach.

Gdzieś na obrzeżach rzeczywistości pojawia się Hillary w jaskrawym hawajskim *mumu* i zaczyna coś robić. Bóg jeden wie, co. Ciągłe to samo.

- Zostawiłaś otwartą furtkę - zwrócił się do niej.

- Nie mam zamiaru wystąpić w telewizji w więziennych dzinsach.

- Harry do Hillary - powiedział.

- Moja szpara w dupie w telewizji. A cały świat patrzy.

- Nie skończę w więzieniu studiów teologicznych. Potem będzie ciąg dalszy.

- Ona nie mówi? - spytał Frankheimer. Zanurzył głowę, nabrał do ust wody i wypluł ją po chwili jak fontannę.

Hillary musiało się to nie spodobać, bo znikła im z oczu. Opanowała sztukę bycia niewidzialną.

- Wie, o co mi chodzi - mruknął Lally.

- Przestała mówić?

- Nie mówi, kiedy w pobliżu są moi ludzie. Ma własnych ludzi.

Nagle Frankheimer wynurzył się, rozpryskując lśniąca wodę, jak deska do surfowania przyciśnięta do dna i uwolniona. - Muszę lecieć...

- Przyniosę ci towar - rzucił Harry.

Wyprowadzali się z samochodu i wprowadzali do nowego domu, dawnej knajpy, a obecnie czegoś w rodzaju probostwa kościoła Świętego Krzyża w West Point; kościoła, który stał na sąsiedniej działce. Carrie wyjmowała rzeczy - głównie ubrania - z zielonych plastikowych worków na śmieci i układała je w sterty, uwalniając przy tym chmury kurzu i pleśni.

- Co to jest? O Boże... A niech mnie... - powtarzała często, odkrywając rzeczy, o których zapomniała.

Mały Clarence przyglądał się jej spokojnym, niemal sennym wzrokiem i toczył szarą golfową piłeczkę z dłoni do dłoni po drewnianej podłodze. Czasami trafiała do wgłębień

wyżłobionych nogami pianina. Z domu usunięto bar, usunięto wszystko, tak że ich nowa kwatery nie różniła się specjalnie od tej, jaką mieli w Dodge'u, pomijając rzecz jasną rozmiar.

- Nie odchodź daleko - powiedziała.

Nic na to nie odrzekł. Na dworze otoczyły go - jak wszędzie ostatnimi czasy - wielkie iglaste drzewa. Powędrował na skraj działki, do wąskiej drogi, by odbijać piłkę o asfalt. Jeśli dobrze rozumiał, mieli już nie mieszkać w Dodge'u, a wieczorem powinni pójść czytać Biblię. Piłka odbiła się w złą stronę i potoczyła z górki, gładząc po drodze jak kura. Coś buczało w lesie za jednoizbowym kościołem: zwierzę, ptak albo urodzinowa trąbka. Zza rogu wybiegł pies o stożkowatej głowie, lekko cętkowany, z mocną szczęką i mięśniami, podobny do boksera, ale mniejszy, z zakrwawionym pyskiem. Opuścił łeb i zaczął się zbliżać, zarzucając tyłem. Ale z lasu odezwał się ten sam głos i pies odwrócił się i pobiegł w tamtą stronę. Clarence ruszył za nim. Pies przywłókł na skraj lasu nakrapianą sarenkę i zjadł już część lewej szynki, a teraz pochylał się, zadowolony, przyjazny nawet, nad jej udem. Sarenka leżała oparta o pień i spoglądała gdzieś w niebo z niemym oburzeniem, obrzydzeniem wobec okoliczności, w jakich się znalazła. Pies zerknął na Clarence'a i powiedział: jah, jah, jah. Sarenka wyciągnęła szyję, wydeła wargi i zabezpieczała. Clarence pochylał się, podniósł grudkę ziemi i rzucił nią od dołu, trafiając psa w płaskie czoło. Pies prychnął i odsunął się. Clarence podniósł tym razem kilka grudek, z których część trafiła psa w żebra. Cofał się bokiem, a potem przystanął i czekał, zarzucając tyłem pozbawionym ogona.

Clarence wrócił do nowego domu.

- Tam jest ranny jelonek - powiedział mamie.

- Czy to ten, co tak beczy? - zapytała.

- Pies zjada mu nogę.

- Poczekaj - powiedziała. Przez kilka chwil szukała maczety. Znalazła ją w końcu pod przednim siedzeniem auta.

- Za tamtym domem - powiedział Clarence i zaprowadził ją za kościół.

- Och, biedactwo... - powiedziała do sarenki. - Ciebie też powinnam zabić - ostrzegła psa.

Clarence i pies obserwowali ją, gdy stanęła nad sarenką i opuściła na nią ostrze z wysoka, zza głowy.

- Dziś wieczorem czeka cię niespodzianka - powiedziała do psa. - Będziesz miał sraczkę.

- Nie martw się - spojrzała na syna - dostanie dzisiaj w skórę. Zanieczyści panu cały dom i podwórko, a pan... -pochyliła się nad psem - skopie cię jak psa. - Pies jej odpowiedział: jah, jah, jah.

- Kiedy jelonek umrze?

- Nie martw się. One nic nie czują, kiedy ugryzie je pies. Spójrz w jego oczy. Widzisz, już są zamglone. Już umarł.

Clarence wędrował jakiś czas, okrążył posiadłość, uderzając krótkim kijem rzeczy leżące na ziemi. Pies włókł się za nim - na początku tylko ciekawy, a potem zafascynowany. Kąsał delikatnie pięty chłopca, chwycił je coraz mocniej i mocniej, jakby nie chciał poprzestać na ciele, jakby chciał gryźć, radosny i przyjazny, coraz głębiej, przez skórę i nigdy nie poniechać aprobaty dla niej, póki nie wgrzyzie się w mięso, tak jak w szynkę upolowanego jelonka. Clarence rzucił patyk i pies pobiegł za nim. Wtedy uciekł do domu. Matka siedziała na podłodze pod oknem i płakała ze szczęścia, trzymając na podolku zwinięte ubrania.

- Wreszcie odnaleźliśmy swoje miejsce - wyjaśniła i zaczęła rozkładać drobiazgi, z których robiła mu posłanie.

Wydało mu się, że jest gdzieś na środkowym zachodzie Stanów Zjednoczonych. Szedł drogą międzystanową, która biegła przez pola.

Niebieskie MG zatrzymało się dla niego, więc wsiadł do środka. Jechali ku plamie słońca, oddalonej o jakieś sześć mil.

Frank widział przed sobą dwie odległe kopuły. A naprawdę swoje kolana, podciągnięte na wysokość oczu. Kierowca niebieskiego MG palił śmierdzącego potwornie francuskiego papierosa.

- Jak ci leci? - zapytał kierowca. - Kiedyś mieszkaliśmy razem, ale wszystko, co z tego pamiętam, to, że wstawałeś co rano i mówiłeś do swojego psa: „Nie umieraj mi, koleś, nie umieraj”.

- Nie poznaję cię - powiedział Frank. - Niczego takiego nie pamiętam.

- Naprawdę. - Wziął ostry zakręt i przemknął wzdłuż krawędzi klifu wysoko nad orkiestrowym grzmiotem fal i białą pianą wiszącą z pełnym napięciem wdziękiem nad czarnymi szczelinami: dotarli do Kalifornii.

- Chyba inaczej się wtedy nazywałaś - powiedział kierowca.
- Muszę wysiąść" - rzucił Frank.
- Lubisz świeże powietrze. Chcesz spać pod gwiazdami.
- To i jeszcze więcej - odparł, wyskakując z małego, niebieskiego, sportowego auta, gdy jeszcze się toczyło.

Szedł przez gorącą krainę, pełną długiej, białej trawy i płaskich cieni dębów. Przez płataninę krzaków widział wypukły deseń wszystkiego, co martwe. Psychiczna radiologia.

Kobieta wpuściła go do jedyne domostwa, jakie napotkał po drodze. Była hipiską, z włosami ukrytymi pod turbanem, i w spódnicy tak długiej, że ciągnęła się po podłodze. Prawie w ogóle się nie odzywała, pozwoliła mu wejść do swego domu i usiąść przy stole obok zlewu. Mieszkała w przyczepie o podwójnej szerokości, ustawionej w szczelinie czasu. Na suficie miała ładne kasetony, a poza tym wszędzie pełno było starych, zbieranych na wyprzedazach mebli i idiotycznych bibelotów niewiadomego przeznaczenia. Makatka z wyhaftowanym napisem NIE MA JAK W DOMU sąsiadowała z nalepką na zderzak TRZYMAJ KURS, wszędzie stały chore rośliny, sztuczne kwiaty, pluszowe króliczki, wałały się pióra i wyschnięte kości, wisiały zdjęcia wycięte z kolorowych magazynów. Na zewnątrz było całkiem puste niebo zawieszane nad wyludnioną ziemią.

- Frank. To ja, Carleen.
- Stara Carleen. - Przyszła mu do głowy pewna myśl. -Czy Yvonne może używać twojego ciała?

Carleen próbowała się uśmiechnąć.
- Wiem, że chce się ze mną skontaktować, ja też chciałbym z nią pomówić.

- Kurwa, Frank.
Zapytał, czy może dostać wody. Powiedziała, że tak. Stał nad zlewem, wyglądając przez okno na zachwaszczony

ogródek z kilkoma szarymi czaszkami bydła. Nieopodal stało niebieskie MG.

- Nie mogę sobie pozwolić na następną myśl, dopóki ta chwila się nie rozwiąże - powiedział zachrypniętym głosem.

Na lodówce ktoś napisał:

*Elektryczne
Dziecko Bawi
się Żle*

- Gdzie się w tej chwili znajduję? - zapytał.

- Szukasz oceanu czy drogi jeden-zero-jeden? Czego szukasz?

- To zależy.

- Frank. Nic ci nie jest?

- Może.

- Wiesz, kim jestem?

- Czy my... jesteście starymi, złymi przyjaciółmi?

- Kurwa - powiedziała - przestań filozofować. Lepiej zaprowadzę cię naprzeciwno.

Prowadziła go na drugą stronę drogi. Idąc, oboje wzbijali wielkie chmury pyłu, unoszące się w jaskrawym świetle cichego dnia. Przeszli przez jakieś drzwi, za którymi odezwały się głosy:

- To Frank - a on usiadł na sofie.

- Frank zaczyna cholernie filozofować - wytłumaczyła jego przewodniczka. - Dajcie mu piwo albo coś...

Truman zaczyna się martwić - Frank miał zamiar powiedzieć to na głos, ale chyba nic nie powiedział.

W kuchni ktoś ciągnął Cranky'ego za włosy, a Cranky starał się nie uronić ani kropli z butelki.

- Rozwalę komuś łeb - stwierdził Cranky. Wpadli na lodówkę.

- Klóć się - powiedziała kobieta siedząca obok niego.

Był z nią już w jakiejś epoce i prawdopodobnie umarła, ale teraz znów tu jest - trochę inna... pewnie nie można jej zabić. W każdym razie jeszcze nie teraz, gdy nie narodziła się jej najprawdziwsza część.

Tak, zupełnie inna na skutek oddziaływania jakichś tajemnych procedur.

Nigdy nie pamiętał, nie był w stanie wyobrazić sobie dnia, w którym poznał Yvonne. A to dlatego, że fakt ten nie miał jeszcze miejsca. Miał miejsce teraz.

- Hej.

- Hej, kurwa, co?

- Nie znam tego auta.

- Kurwa! - zawył jakiś głos, jakby jego właściciel wsadził rękę w płomień.

- To on! To on! To on! To on!

Ktoś podszedł do drzwi i stanął przy nich, ale odepchnęli go na bok. Tamci wyglądali jak sprzedawcy encyklopedii, samotni, sycący się w podróży wyłącznie dobrymi myślami.

- Kogo my tutaj mamy?

- Masz nakaz?

- Mam kilka do załatwienia, owszem. Michael Edwards!

- Nakaz - na co?

Mężczyzna westchnął.

- Zgadnij!

- Na przeszukanie?

- Aresztowanie. Za niestawiennictwo. Znaczą się tak, mamy tu Edwardsa, Sally Annę Kent. A... i mój osobisty faworyt: Cranky Sław. Pan Maxwell Sław... Maxwell? Odstaw to piwo i pozwól tu na chwilę.

- Nie kumam.

- Może skumasz, jeśli zapytam, czy przypominasz sobie, kto prowadził fabrykę amfetaminy przy Faro Road? Kogo aresztowali, kogo postawili przed sędzią i komu ten wyznaczył datę? Chyba zgubiłeś kalendarzyk, koleś. I mapę. Miałeś nie wystawiać nosa za Ukiah. A teraz posłuchajcie mnie uważnie... wy wszyscy! Nie będę powtarzał tego każdemu po kolei. Ty! Nazywasz się Thomas James Anderson?

- Nie.

- Założysz się? Słuchajcie, wy czworo... Macie prawo milczeć i tak dalej... Dajcie im papiery. Podpisujcie się!

- Po co?

Ten drugi przystawił komuś pistolet do głowy. - Niech was szlag, wy skurwysyny!

- Znacie swoje prawa? Więc podpisujcie się. Dobra, od-

wróć się, dawaj ręce. Jak tam, Jim? Stawiają się? Nie chcę, żeby któryś mnie podrapał, ugryzł czy coś takiego. Wszyscy macie AIDS! Nie myśl, że ciebie nie widzę - powiedział do Franka.

Ustawili ich w rzędzie, z rękoma skutymi na plecach. Wszystkich oprócz Franka.

- Jak się wabi ten kundel?

- Co... - zapytał Frank. - A... Truman.

- Nie mów! Truman? Nie masz bandany na szyi, Truman? Dlaczego nie nazwali cię Kilo albo Pet, jak inne psy? Dobra, Truman, powiedz mi, kto siedzi obok ciebie? Znasz tego bosego gościa z wielkimi stopami? Ty! Jak się nazywasz? Do ciebie mówię, wielki palancie! Masz jakiś dowód?

Frank wytarł dłonie w kolana. Odchrząknął i przesunął językiem po wargach, a potem podniósł rękę i wyjął z ust mostek z dwoma zębami i przyjrzał mu się uważnie. - Nazywam się Frank - powiedział. Od tragicznej brzydoty oddzielała go najcieńsza z możliwych zasłon.

- Posłuchaj, Frank... - Mężczyzna zastanawiał się nad na stępnym zdaniem przez wyjątkowo długi, prawdziwie długi moment.

O-o - pomyślał Frank - wpadłem do szczeliny czasu.

Na dworze trzasnęły drzwi samochodu. Mężczyzna wyjrzał przez drzwi, przestąpił próg, jakby chciał się czemuś przypatrzeć, i wpadł do jednej z licznych w tej okolicy szczelin czasowych lub zgoła do przypadkowej grawitacyjnej studni.

Godzinę po wyjściu od Franka, jadąc w kierunku Point Arena, Van Ness zauważył jakąś postać na trawiastym stoku nad drogą. Jakiegoś pastucha z gołą głową, odchodzącego od cienia, w którym konie zabijały powoli drzewa.

Pastuchem był Frankenstein, a szedł na skos przez łąkę w kierunku północno-wschodnim, pod górę. Pan Natura we własnej osobie. Maszerował zdecydowanym krokiem. Van zdjął stopę z gazu. A potem natychmiast przyśpieszył. Frankenstein zniknął mu z oczu.

Przyglądał się samochodom jadącym z przeciwka. Jego własna czujność intrygowała go. Wjeżdżając do Point Arena dwie mile dalej, przestraszył się echa pracującego silnika

własnego samochodu, które odbijało się od budynków i trochę przypominało dudnienie porsche Fairchilda.

Zawiodła go obrona wcześniej strategia. Rozpoczął objazd od południowej granicy okręgu i miał zamiar dotrzeć do Manchesteru na północy, a potem wrócić z przeciwnej strony. Jeśli Fairchild znajduje się między tymi dwiema liniami, muszą się spotkać. Ale objazd Arena Cove - gdzie mógł się pojawić Nelson - wymagał oddalenia się od Drogi Nadbrzeżnej prawie o milę, trzeba więc było wybierać.

Skręcił w lewo, w kierunku portu.

Jechał powoli. Nigdzie nie zauważył samochodu Fairchilda, ale gdy dotarł do mola, zatrzymał się, wrzucił wsteczny bieg i zaczął cofać, pojawił się sam Fairchild: biegł ku niemu od przodu, z dłonią uniesioną na wysokość wielkiego ucha i ściskającą kamień, duży kamień, który po chwili poszybował w kierunku Vana i uderzył w maskę jego volvo. Szarpnęło do tyłu, gdy Ness nadepnął na gaz. Teraz Fairchild „wrzucił wsteczny bieg”, bo Van Ness zahamował, przesunął dźwignię na jedynkę i ruszył w stronę napastnika. Fairchild skręcił w lewo, potem w prawo, w końcu odwrócił się do niego plecami i puścił sprintem przez dwadzieścia stóp, jakie dzieliły go od mola; wbiegł na nie, a samochód, ślizgający się na pokrytym piaskiem asfalcie, chwycił teraz oponami drewno i wystrzelił do przodu, o mało nie wgniatając Fairchilda w balustradę. Van nie mógł jechać dalej, zatrzymał się z poślizgiem. Idiota - pomyślał - znalazł się w ślepych zaułku. Chciał mu dać szansę i wycofał się z wejścia na molo. Fairchild mógł teraz uciec, ale czekał, dysząc ciężko przez otwarte usta, wreszcie przykucnął z dłońmi na kolanach. Van Ness czuł, że gdzieś z podstawy kręgosłupa przez pulsujące skronie, opuszki palców i oczodoły wypływa zeń coś szkarłatnego, złotego i obrzydliwego. Podjechał do wejścia na drewnianą konstrukcję, stanął w poprzek i otworzył drzwi, mając zamiar napawać się przez jakiś czas nienawiścią do tego osobnika. Ale gdy tylko poczuł klamkę, wypadł z samochodu, wyskoczył na deski i puścił się biegiem za Fairchildem tylko w jednym celu: by chwycić go za gardło, wciągnąć do wody i, jeśli będzie trzeba, utonąć wraz z nim. Fairchild potknął się i spojrzał za siebie, utrzymując dzielący ich kilkujardowy dystans. Nagle stanął jak wryty, porwał leżącą na molo deskę

i zaczął nią wymachiwać, zataczając przed sobą łuk. Van przystanął poza zasięgiem tej nowej broni. Zaczął podchodzić Fairchilda z lewej strony, by po chwili stanąć z nim twarzą w twarz. Każdy z nich znajdował się teraz po przeciwnej stronie mola i miał za plecami wodę.

Fairchild wyciągnął ręce i pogroził deską Van Nessowi.

- Chcę ci zadać jedno pytanie, maestro. Jeśli umierając w tym wszechświecie, wracasz do życia w innym, dlaczego jest to ciągle ten sam wszechświat? Ten, który znasz, który niczym się nie różni od poprzedniego, jeśli pominąć fakt, że nie umarłeś?

- Myślisz o śmierci? To dobrze. Najwyższy czas! - Van Ness przykucnął. Z lewej strony, poza zasięgiem ramion, dostrzegł metalową rurę o średnicy jednego cala, wystającą ze sterty cum i olinowania. Był tylko jeden problem: jeśli przesunie się o jard lub dwa w stronę rury, nie będzie mógł zablokować Fairchildowi drogi ucieczki z mola.

Fairchild opuścił deskę, jak kij do golfa.

- Czuję głód, patrząc na ciebie - powiedział Van. - Chciałbym rozerwać cię zębami i pożreć. Naprawdę.

- Niektórzy tak na mnie reagują. Taki już mój los.

- Jesteś zerem. Los natomiast istnieje. Jest jak nić snująca się przez kolejne wszechświaty. Uderz mnie, przekonaj się!

- Wiesz, co powiedział mi dzisiaj o tobie Wilhelm Frankheimer? Niecałą godzinę temu? Powiedział, że jesteś niezależny.

- Nie zwracaj głowy.

- A kiedy cię poznałem, bez przerwy gadałeś, używając wielkich słów, że jesteś człowiekiem czynu.

Van zrobił krok w lewo, a Fairchild uniósł deskę i wziął lekki zamach.

- Człowiekiem czynu - powtórzył. - A teraz mówisz wciąż o losie. Jakby cię uwięził...

- Potraktuj los jako wzór na tkaninie, a czyn jako nóż, ostrze, rzecz, która ją tnie. Jeśli wzór mi się podoba, mogę iść jego śladem, ciąć według wątku i osnowy, a kiedy mi nie odpowiada, mogę umrzeć.

- Nie wpadłeś na to wszystko w procesie socjalizacji.

- Chcesz powiedzieć, że nie chodziłem do prywatnej szkoły?

Van skoczył na stertę lin i wyrwał z niej rurę. Fairchild - zamiast atakować - stał w miejscu, ale uniósł broń na wroga i zakręcił nią, idąc za jej ruchem.

Miał przed sobą Vana i jego metalową rurę, mocną rzecz, krótszą od deski, ale cięższą i bardziej zwrotną.

Westchnął. Drżały mu usta.

- I co teraz? - zapytał.

- Walka na śmierć i życie. Jeden z nas wyśle drugiego do innego królestwa.

Van poszukał stopami oparcia wśród lin i śmieci. Pochylił się i wysunął szczękę jak przy goleniu.

- Pokaż, co umiesz.

- Jeszcze nie. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Jeśli jest inny wszechświat, w którym nie umierasz, dlaczego niczym się nie różni od tego? Dlaczego jest taki sam? Dlaczego nie ma w nim innego prezydenta, innych ludzi, całkiem odmiennej historii? Dlaczego nie rządzą tam słonie, a drzewa nie są fioletowe?

- Mylisz się. Jest inny. Rzeczywistości różnią się od siebie diametralnie. Tylko że ty o tym nie wiesz. Ta, w której podejmujesz rozumowanie, jest tą, w której się urodziłeś. Jedyna, jaką znasz, jedyna, jaką rozpoznajesz.

- Więc ta, w której umarłeś, znikła?

- Jasne.

- Zatem wszechświat umiera wraz z tobą?

- Zostawia po sobie nic tożsamą ze swoim pierwotnym stanem, zmienioną tylko o tyle, by wytłumaczyć moje ciągle istnienie, i nic oprócz tego. Z czasem doświadczą się wszystkich wyobraźalnych wszechświatów i wszystkich wyobraźalnych wersji każdego z nich, włącznie z tą, która różni się jedynie ruchem jakiejś maleńkiej cząsteczki. Mówimy, koleś, o bardzo wielu wszechświatach, a w każdym z nich TY pozostajesz niezmiennie żaloszny!

Fairchild zaatakował. Miał okulary, wymierzył w tułów, gdy lewe pole widzenia eksplodowało jaskrawym błyskiem. Stopy wytoczyły się spod niego jak koła, morze zbliżało się, dotknęło go, pochłonęło. Oślepl. Powiedział: „To wszystko gówno”, ale całkiem nie swoim głosem.

Ludzie chcieli być blisko. Najpierw zajmowali pierwszy rząd ławek w kościele Świętego Krzyża, a dopiero później pozostałe, co według Carrie było znakiem ich entuzjastycznej wiary. Carrie siedziała w drugim rzędzie po lewej stronie z małym Clarencem wcisniętym w jej zębra. Na długo przed wyznaczoną godziną kościół zappełnił się współwyznawcami różnego autoramentu: w podkoszulkach, flanelowych koszulach i długich, dzinsowych spódnicach -jak jej własna; z dużymi Bibliami - nabożnie podniszczonymi i spuchniętymi od zakładek - jak jej własna. Były starsze panie i młode dziewczyny, byli duzi, grubi, brodaci mężczyźni w kombinezonach i mężczyźni w kowbojskich kapeluszach, którym do kompletu brakowało tylko ostróg przy butach; ludzie, którzy śmierdzeli potem, a nawet whisky, niektórzy pogrążeni w smutku, inni zdumieni, jeszcze inni pełni wdzięczności, wieszający sobie, a na końcu pijani od łaski. Mężczyźni wnosili składane krzesła i rozstawiali je z tyłu, mężczyźni w kaloszach i grubych skarpetach, zostawiający u wejścia leśne błoto.

Kaznodzieja, Mike, był młody, niezdarny i niski, ale wydawał się wiedzieć - w przeciwieństwie do Carrie - jak tu się znaleźć, dlaczego stoi przed tym tłumem z zadaniem pokierowania nim i uczynienia z niego jedności. Powitał ich i poprowadził przez modlitwę dziękczynną ze splecionymi mocno dłońmi, mrugając powiekami.

- Psalm dwudziesty drugi, szesnaście - powiedział, a Biblię zaszeptaly, gdy przekładano strony. - Oto psy otoczyły mnie... Dwudziesty drugi, dwadzieścia. Ocal... Widzicie? Ocal moją duszę... - czytał, a jego głos sięgał najwyższych rejsów - z psich łap wybaw mnie!

Odłożył Biblię na podwyższenie, które miał za plecami, i stanął w przejściu, prawie między pierwszymi rzędami ławek.

- Rodzina, która miała dużego, olbrzymiego psa... - po wiedział i przerwał, przyłożył lewą dłoń do ust i odkaslnął, a potem odchrząknął - mieszańca świętego Bernarda i hu sky... nie dobermana... nie chcę podsycać uprzedzeń. Nie pit bulla. Wielkiego, głupiego, przyjaznego psa. Psa, który był członkiem rodziny, bawił się z dziećmi, miał swoje własne posłanie obok kuchennych drzwi, pod wieszakami, na których

widniały imiona wszystkich członków rodziny. Sally i Sama, i Mamy, i Taty, i małego Joe. Widzicie to? Dobrego, przyjaznego psa? Ale stało się tak, że w tej wielkiej, pustej, szczęśliwej psiej głowie wyrósł guz, guz, o którym nikt nie wiedział, dopóki nie zaczął uciskać na nerwy i dawać o sobie znać wszem i wobec, przez co nagle pies zrobił się zły. I stało się tak, że pewnego dnia zagonił całą rodzinę - która go wychowała, która go kochała, która mu ufała - do sypialni i nie pozwolił jej wyjść stamtąd przez całą godzinę, dopóki nie pojawił się szeryf i nie położył go trupem. Zastrzelił go na miejscu, w domu. W przeciwnym razie ten ukochany członek rodziny rozerwałby wszystkich na strzępy! A wszystko dlatego, że kilka komórek zbuntowało się, rozrosło - UCI-SKało na NERWy i sprawiło, że POWSTAŁ JAKO WRÓG. Tak to wygląda, widzicie, tak to wygląda w ostateczności. Pies, którego boi się psalmista, jest tym samym psem, który na co dzień był mu przyjacielem. Wielu z was znało mnie przed trzema laty. Wielu z was widziało mnie śpiącego na plaży, z piachem na twarzy, w uszach, we włosach, wędrującego przez cały czas w jednym bucie w poszukiwaniu drugiego. Ludzie, jak ja lubiłem tę gorzałę! Butelka była mi jedyną przyjaciółką. Gdy w niedzielny poranek moi sąsiedzi szli rodzinami do kościoła, ja siedziałem samotnie w pokoju, szukając butelki, czołgałem się po podłodze na kolanach, a gdy ją znalazłem, podnosiłem do góry, całowałem i mówiłem: kocham cię! W mieście w ten sam niedzielny poranek, gdy biją dzwony, byli inni, wciąż są inni, których świątynią jest pornograficzne kino, gdzie w milczeniu i z pokorą zasiadają w ławkach. I gdy rozjaśnia się ekran znajdują na nim jedyne pocieszenie! O tak, wiecie - wiecie, o co mi chodzi - widzę to po waszych twarzach. Jim wie, prawda Jim? Jim, czy gdy czasami rozglądałeś się wokół siebie, nie zdarzyło ci się stwierdzić, że wszyscy są o trzy stopy wyżsi niż ty? Bo żyłeś na kolanach? Błagałeś? Na kolanach błagałeś o dawkę heroiny? Tak, Jim wie. Wie na pewno. Mój dobry kumpel James wie. Wie aż nazbyt dobrze, że kiedy dostał tę dawkę, gdy ją dostał, czuł się, jakby mamusia wzięła go w swoje ramiona. Czuł się tak, jakby miał u swego boku starego, dobrego kumpla, tego poczciwego psa z dzieciństwa, który był zawsze i wszystko rozumiał.

A gdy ten pies skoczył mi do gardła, była to najlepsza rzecz, jaka mogła mnie spotkać. Bo strach kazał mi zwrócić się ku jedynemu prawdziwemu przyjacielowi, który schronił mnie w swych ramionach, ku naszemu Panu Jezusowi Chrystusowi, który oddał za mnie swoje życie. Tego było mi trzeba, bo byłem zagubiony, człowieku! Ja! Byłem! ZAGUBIONY!

Kaznodzieja wyglądał teraz na zmartwionego, jakby zapomniał, co dalej chciał powiedzieć, albo stwierdził, że nikt go nie lubi. Jego twarz zaczęła błyszczeć, lśniła jak słońce, język zgrubiał mu w ustach i zaczął zaciągać jak mieszkaniec Oklahomy: „Jesteśmy głusi, niemi, ślepi, opóźnieni w rozwoju i skretyniali!” Kongregacja roześmiała się i zaczęła krzyczeć: Tak! Tak! Tak! lub łkać w milczeniu albo zamykać oczy i unosić prawe dłonie, którymi ludzie zdawali się dotykać czegoś nierzeczywistego i delikatnego, co wisiało nad ich głowami. „Myślmy, że góra to dół, czarne to białe, a prawda to fałsz! Nic dziwnego, że umieramy! Narasta w nas coś, co zabija nas prędzej czy później!”.

- I nawet, gdy chcemy mówić prawdę - ciągnął kaznodzieja - z naszych ust wypływa jad. I dzieje się to nawet teraz, jeśli Bóg nie zlitował się nade mną i nie nappełnił mnie -o co się modłę - Duchem Świętym. Nic z mojej woli! - Jego twarz zadrgała, jakby rażona prądem. Wykrzyknął: - Chwała niech będzie Bogu! - a potem znieruchomiał ze wzrokiem wbitym w podłogę i oddychając ciężko. Podniósł głowę:

- Myślicie, że uczynki was zbawią? Naprawdę wydaje się wam, że możecie coś zrobić?

Filozofia? Uważacie, że wspomagając się rozumem, znajdziecie drogę wyjścia? Znaleźliśmy się w takiej matni, z której tym razem tylko Bóg zdoła nas uwolnić.

Sprawy mają się tak, że ten świat podrasowano jak wyścigowy samochód, byśmy wygrywali. Ale wyścig jest ustawiony! Ponad naszymi głowami. I zawsze, zawsze przegrywamy. Zawsze jesteśmy splukani! I zawsze bankrutujemy!

- Amen! A-men! - rozległ się jakiś głos.

Ogarnął go wielki smutek, opuścił głowę i zakołysał się jak żałobnik.

- Tak, ja też jestem głupcem, zwracam się do Jezusa ze skorupami w dłoniach...

- Amen! Dobry Boże...

- Miłość Boża! Miłość Boża! - Mikę mrugnął, zacisnął powieki, jakby nasłuchiwał jakiegoś odległego głosu. - Stary Testament ukazuje Go niemal jako smoka, a my jesteśmy jak mleczko wypuszczające nasiona i jedyne, co może zrobić z miłości dla nas, to nie obdarzać nas swym tchnieniem. Pozwolić nam być! I to jest twarda miłość...

- Chwała niech będzie Bogu! Chwała! - krzyknęła Carrie.

I dalej kaznodzieja: - Pozwala nam - pozwala nam - pozwala brać na siebie ciężary, których nie udźwigniemy, a jeśli już, to po to, żeby przejść z nimi dwa-trzy kroki i upaść! I jęczymy pod ich jarzmem! Jęczyymyyy... Teraz *Do Rzymian* - powiedział z uśmiechem - *Do Rzymian*, osiem, od dwadzieścia sześć do dwadzieścia siedem: „Nie wiemy bowiem, o co się modlić... w niewysłowionych westchnieniach”. Widzicie? Modlimy się w westchnieniach i jękaaach! Jęczymy pod jarzmem grzechu. Bóg każe nam jęczeeeeć! -Pochylił się tak nisko, jakby zarzucono mu na plecy stufun-towy worek, jakby ciężar ten miażdżył go i łamał w pół...

W tylnych rzędach rozległ się grzmot odpowiedzi, a z ławek poderwały się dwie kobiety o zatroskanych twarzach i, potykając się o siebie, zaczęły przedzierać się ku przejściu, w którym stał, a teraz padał bokiem na ziemię wielki mężczyzna. Rzęził, póki starczyło mu powietrza w płucach, potem upadł z niewyraźnym jękiem. Kobiety - energiczne i zadbane panie, pochodzące prawdopodobnie z Los Angeles -ukłękły w przejściu obok nieruchomego drwa. Jedna z nich uniosła w dłoniach jego głowę.

Mały Clarence próbował stanąć w ławce, trzymając się oparcia i podskakując jak małpka. Carrie posadziła go z powrotem na miejscu i poczuła, że unosi się, wstaje, prostuje, by stłumić nagły palący ból gdzieś w okolicach splotu słonecznego.

- Bóg rozumie! Bóg rozumie! - krzyczał Mikę. - Bóg wie! - Pochylił się, chwycił za brzuch i zaczął boleśnie jęczeć, prostując się, a potem odchylając niemal do poziomu i płacząc przy tym jak dziecko.

Na ten znak wszyscy zaczęli jęczeć. Carrie nigdy wcześniej tego nie robiła, ale zapomniała się, wypuściła z siebie wszystko. Jeśli istniał Duch Święty, to musiał być on, a przynaj-

mniej jego głos, głos Ducha wyrywającego Szatana z jej serca, muzykę jego kłamstw i ulatujące z niej koszmary. I nie dbała wcale o to, co się z nimi stanie.

W szczelinie czasowej minęła godzina. Drzwi - otwarte więcej niż w połowie - kołysały się i skrzypiały w zawiasach. Frank zdał sobie sprawę także z innych zmian fizycznych, ciszy, chmury, która przesłoniła światło. Wreszcie zrozumiał i byłby się uśmieł, gdyby nie obolała szyja i wyczerpane, zeszywniałe szczęki; nie mógł się śmiać:

Niestawiennictwo.

- Winny - powiedział.

Potaął policzki i wstał, z trudem utrzymując równowagę, podszedł szybko do framugi drzwi i jej kątów prostych. Jej pionów i roztropności. Włożył na powrót zęby do ust. Stał, masując krocze przez spodnie. Nikogo nie było.

Jego ciało było workiem wypełnionym kośćmi. Zaniósł je z powrotem na sofę i usiadł, wziął głęboki oddech, od którego o mało nie pękł, i wypuścił powietrze z westchnieniem. Torba skrętów tuż przed nim na podłodze, czerwony, skórzany woreczek otwarty obok na sofie. Chmury zabrały światło gdzieś dalej.

Ściany wokół trzeszczały i drżały, siedział wśród wzoru z ciemnych plam, na których widział porozrzucane hieroglify. Jestem najgłębszą szczeliną czasową, i to od zawsze - pomyślał. Pragnienie przeorywało mu przelyk w górę i w dół, a może chęć na coś innego? Może na papierosa - nie pamiętał, czy w ogóle palił.

Przez to wszystko przedarł się pies, pies czynu, stojący na pierwszym planie, stojący tam z niemą godnością i komunikujący światu chęć na zupę z puszki.

Truman!

Frank wstał i przeszedł do kuchni, świata zupy, ale usłyszał szum tamujący oddech wszędzie wokół niego, wypadł więc na dwór, nie oglądając się za siebie.

Nowy wszechświat. Tlen i mgła. Wyszedł z grobowca i znalazł się w świecie zwierzęcym. Rzeczy wyczutej z myśli, acz drgających. Głów, w których -jak w orzechu - było zamknięte mięso, nie sprawiające im nigdy kłopotów.

- Wasze prawa? Nie martwcie się, przeczytam je wam

dziesięć razy w samochodzie, okay? Idziemy, ten tu nie może doczekać się kolacji

- te słowa nie padły teraz, ale wisiały w karmicznym eterze, by zderzać się z nimi jak z soczystą mgłą. Nie wiedział, gdzie się znajduje, ale słyszał skrzypienie kół starych taczek sunących wzdłuż plaży, jak też buczenie dziurawych kutrów próbujących odnaleźć się w czas fajrantu.

Yvonne zaraz go zawoła. Wciągnęła w płuca resztki dnia, opuszczając ciemności wieczoru. Tchnie słowo jego imienia. Słyszał je, nim do niego dobiegło.

Po tej stronie drogi obecność wiśniowego, metalicznego harleya poruszyła i ukołysa Clarence'a Meadowsa, który wchodził „Pod Pełne Żagle”.

Kiwnął głową odzianemu w skórę motocyklicście i jego żonie. Para siedziała przy stole i piła piwo, obok leżały lśniące, czarne kaski.

- Ta piękna maszyna z przodu jest twoja?
- Tak jest - odpowiedział mężczyzna.
- To najlepsza rzecz, jaką dzisiaj widziałem.
- Dzięki.

Meadows uznał, że powinien wprowadzić poprawkę do ostatniego stwierdzenia, ale zobaczył kelnerkę - prawdziwy dar tego popołudnia, niemal tak oszałamiający jak harley w słońcu. Usiadł przy barze i spojrzał jej w oczy.

- Dlaczegoż?
- Co? - zapytała.
- To z Szekspira. Jedyna rzecz, jaką pamiętam z *Romea i Julii*.

Nie uśmiechnęła się. Spoglądała na niego z taką troską, że poczuł się w obowiązku powiedzieć:

- O tak, to fatalny dzień.
- Źle się pan czuje?
- Najgorzej od dawna.
- Potrzebny jest panu przyjaciel.
- Straciłem przyjaciela.
- Musi pan mieć innego.
- Może moglibyśmy... - westchnął i wzruszył ramionami - pojechać na kemping albo coś.

Kobieta spojrzała na niego z żalem.

- Raczej nie mogłabym.
- Dlaczego?
- Jestem zakochana.
- No tak. Ja chyba też... Na dworze otworzył drzwi

kierowcy - należącego do Bily'ego - scouta. Należącego kiedyś, bo teraz dzip był chyba jego własnością. Zwolnił hamulec ręczny i wyjechał tyłem na drogę.

Minął stację Phillipps 66, centrum handlowe, zbite w jedną całość biura rywalizujących ze sobą pośredników w handlu nieruchomościami, sklepy z pamiątkami, z których każdy miał własną filozofię, i długą, przeszkloną witrynę Safewaya. Obywatele Imperium zatrzymywali się i odjeżdżali, ślepi niewolnicy, piękni niewolnicy, poruszający się wzdłuż laserowych linii dostrojonych do każdego elektronicznego przekazu. Z wytatuowanymi emeryturami. Z łańcuchami i członkostwami. Na prostej, będącej mostem przez rzekę Gualala, przyglądał się maniakom w monstualnych wehikułach, którzy szarżowali na niego z prędkością przekraczającą milę na minutę: w olbrzymich, podobnych do kielbas, zmotoryzowanych domach i w innych, przypominających te, które parkowały nad morzem, wciśnięte w naniesione falami drewno zebrane przez przeczesywaczy plaż. Miał w sobie moc wydłużania zmysłu dotyku i sięgania nim przez ściany wprost do ich głów i umysłów, gdzie leżeli rozwaleni przed telewizorami, które zamieniały ich w duchy. Clarence'a Meadowsa można było oskarżyć o wiele rzeczy, ale na pewno nie o to, że stał się częścią ich świata. W żadnym razie nie można było nań wskazać jako na prawdziwego mieszkańca tej planety.

Przy sklepie w Stewart Point skręcił w lewo i ruszył krętą asfaltową drogą do góry. Pogoda utrzymywała się, a na piórach sekwoi osadzał się kurz. W nasłonecznionych miejscach między drzewami kwitły rododendrony. Przejechał przez mostek nad jarem, w którym trzydzieści stóp niżej pieniał się i kłaniał kaskadami wciśnięty w skały dopływ Gualali. Tam, w dole, było już ciemno. Cień krzywizny planety ścigał go coraz wyżej, gdy zachodziło słońce.

Droga biegnąca grzbietem skręcała na południe, ku klifom i rozległemu widokowi, a potem znów na północ, wzdłuż jakichś posiadłości i budynków. Nazwa tej miejscowości,

West Point, nie odnosiła się do nadmorskiego cypla, ale do wzgórza dobre kilka mil w głębi lądu.

Clarence minął kościół, zaparkował pod górę na czyimś zamkniętym bramą podjeździe i wysiadł z auta, by posłuchać dobiegających z kaplicy lamentów, które uznał za fałszywy chóralny śpiew. Niosący się w dół stoku przez całe mile. Aż do morza. A drzewa słuchały tego w całkowitej zadumie.

Dopał go zmrok. Szedł między zaparkowanymi samochodami i ciężarówkami, mijając budowle, których nie rozpoznawał w ciemności, chaty albo szopy, a może warsztaty lub garaże. Kaplica wydawała się wyc i pluć muzyką, może niezupełnie podobną do pieśni, bliższą raczej męce kurnika w porze znoszenia jajek; dwa okna po obu stronach drzwi czyniły z frontu twarz - zdumioną twarz.

Wspiął się po schodach i stanął w wejściu pełnym jęków i zapachu starego drewna. W przedsionku zderzył się z chmurą ludzkiego ciepła. Potknął się o pozostawione obuwie. Czy mam zdjąć buty? Każdy wydawał głos w przerażający sposób. Widział rybaków i drwali, i zawodowych kłusowników; zagubionych bitników, babcie, ludzi, którzy mogli pracować w nieruchomościach. Kołysali się w przód i w tył w ławkach, nie śpiewali, cierpieli straszliwe katusze... Mike Rose, który pracował na stacji Phillippsa w Gualali i znany był wcześniej Clarence'owi jako Mikey Drzączka, facet - obecnie po odwyku - który oprócz gorzały miał w życiorysie romans z kokainą, ba, był kimś w rodzaju kokainowego demona, stał teraz u szczytu kaplicy i przekrzykując jazgot wołał:

- I pies! Wstanie jako człowiek! I pocałunek! Ustami! Jego pana...

- Módlmy się za tych, którzy wciąż w tym tkwią. Módlmy się za tych, którzy szukają, ale... o, Panie!... sami nie wiedzą, czego. Nie wiedzą, że szukają Ciebie, Boże, więc pomóż im, pomóż im, pomóż.

W zatłoczonej kaplicy potężny głos tłumu brzmiał płasko, spazmatycznie. Uderzył Clarence'a w twarz i Clarence odebrał raczej, niż usłyszał rozpaczliwą instrukcję kaznodziei:

- Psalm pięćdziesiąty pierwszy! Psalm pięćdziesiąty pierwszy! „Ofiarą Bogu miłą jest duch skruszony! Sercem skruszonym i zgnębionym nie wzgardzisz, Boże!”

Huragan żalu wypłynął z ich trzewi i wzniosł się nad gło-

wami. Owiewał go gęstymi, duszącymi waporami ich intymności i zatrzymał go, wyssał z niego przekleństwa i zostawił jedynie niemoc, milczenie i znak zapytania.

Nie zauważył między nimi Carrie, dopóki nie wyskoczyła z ławki, drąc się: Jezu! Jezu! Chłopiec trzymał się poły jej swetra, ale odepchnęła jego dłoń. Ryk zgromadzonych ucichł i zamienił się w rozrzucone po kościele, gwałtowne modły.

- Jezu, zbaw mnie! Boże, wybacz mi! Proszę! Proszę! -błagała. Chwiała się na nogach, stawiała je przed sobą niepewnie jak ślepiec.

Clarence podszedł do niej. Inni wysypali się z rzędów i zebrali wokół niej. Mikę znów rozpoczął jęki i wszyscy podjęli ton wraz z histerycznie łkającą Carrie.

Widział blask Yvonne na zachodzie.

Drzewa niższe od niego - pochylone, podniecone drzewa - pomrukujące jak mnisi, gdy zbliżał się do domu. Zajrzał przez okno do cichej kuchni. Przez okno salonu dostrzegł ją nieruchomą, siedzącą w skórzanym fotelu. Martwą...

Nie martwą, ale pustą. Dokąd poszła, zostawiając tu ciało? Podejrzanie - to samo straszne uczucie, jakby pływał na mydlanej bańce nad trującą kąpielą: tak, zaszła go od tyłu. Czuł na włoskach na karku jej ogniste, astralne tchnienie. Okrążyła go astralnie, wielka jak kometa, grzmiąca jak silnik odrzutowca, jej światło zalewało i topiło korony drzew. Zgięty ze strachu w pół, spojrział za siebie. Lśniła za drzewami, orbitowała nad oceanem, który wyrósł za nim w tym samym kataklizmie zamiany stron świata. Ruszył przed siebie ku klifom i falom. Wychodząc spod drzew, padł na kolana nad jej brzegiem i uniósł oczy do wschodzącego za nią słońca. Rozpostarła skrzydła i ujrzał rozdzierające serce piękno jej twarzy i czerwoną jak krew ciemność jej czaszki, gdy rozwarła usta. Nie chciał jej dotknąć. Chciał tylko spojrzeć na jej stopy. Chciał pojąć tę wizję w każdym, najdrobniejszym nawet szczególe, chciał pławić się w jej chwale, kosztując każdego detalu. Przesunął się o cal na kolanach...

Przetoczyły się po nim koła.

*

- Niechaj to miejsce będzie tym miejscem, Panie! Po czątkiem. Lub końcem. Czymkolwiek. Ale niechaj będzie tym miejscem - modlił się Mikę.

Inni szli na pomoc. Widziała twarze pełne miłości i radości, twarze otwarte, gotowe ją powitać, a za nimi twarz mężczyzny, którego dziecko poczęła w grzechu, zaskoczona, zmieszana, gwałtowną twarz człowieka, który cofał się przed nią.

- Jezu, ocal mnie! Boże, wybacz mi! Proszę! Proszę! - błagała.

Gdy Mikę modlił się, płakała, zupełnie nad sobą nie panując. Purpurowa zasłona spadła na cały świat. Opadła w szaty Chrystusa.

Kaznodzieja stał nad nią, rozsuwając ramionami dżungłę twarzy, jego usta poruszały się:

- Bóg złamał jej serce. Cofnijcie się. Zróbcie jej miejsce. To piękne. Bóg złamał jej serce. Niechaj wyleje się z niego cała rozpacz. To piękne. To piękne.

Meadows wyciągał szyję, by nad głowami tłumu zajrzeć w środek zamieszania. Carrie stała nieruchomo, drżała lekko i patrzyła wprost na niego. Potem jej oczy uciekły w tył głowy. Spazm rzucił ją do tyłu, na falujące delikatnie morze wiernych. Chciał podejść bliżej, ale potworna siła, gorące tchnienie równe wybuchowi wulkanu wyrzuciło go na zewnątrz i stwierdził, że stoi wśród aut na parkingu. W pobliżu widział chatę o bardzo neutralnym wyglądzie. Wiatr opluwał jej boki deszczem.

Cofnął się, stanął na ganku i ukrył pod daszkiem.

Burza zaczęła się od mżawki, lecz z każdą chwilą nabierała mocy. Usiadł na ganku, opierając się plecami o drzwi, i objął kolana rękoma. Marzył w zimnym deszczu. W środku jeden głos górował nad innymi, był dzikszy od pozostałych.

Woda kapiała na twarz Franka. A potem przestał czuć wilgoć, przestał ją smakować.

Wyplął przez ciemną własną czaszkę, ale nie odleciał dalej od ciała niż tyle tylko, ile mierzył. Postacie w potarganych strojach klękały wokół niego. Wyglądało na to, że zginają mu nogi w tajemniczy sposób.

Widział przepływające obok twarzy. Policjantów machających jaskrawymi światłami. Człowieka, który uderzał się w piersi. Nie wsadzajcie mnie na powrót w tę rzecz. Błagam! Nie w tę! Jest zepsuta.

Lecz nagle znowu znalazł się za swoimi oczyma, w ogólnej ciemności, i czuł, że jego serce łączywie chwyta życie niczym wyciągnięta pięść, wciąga je do środka i zamyka się nad nim zgłodniałe i obsceniczne.

Wtedy znów poczuł deszcz. Odzyskał wzrok.

Twarze przepływały obok, patrząc na niego z wysokości okien. Policjanci machali, nakazując im ruch... Chwała w całym powietrzu. Grzmiące, wielokolorowe błyski.

14 września 1990

Rozpoczął dzień u Mo, budząc się w łóżku, z którego już wyszła, i wyruszył na jej poszukiwanie. Rano dom znajdował się w cieniu; rozpałała ogień. Usiadł przy stole, obejmując dłońmi kubek z kawą, i przyglądał się jej. Szarpnęła rączkę przy palenisku pieca i rzuciła polano na węgle, a potem zatrasnęła drzwiczki wnętrzem dłoni. Gdy tak pochylała się przed ogniem, jej rozwiązany szlafrok przypominał hiszpański mech, zwisający z gałęzi jej ramion.

- Hej - powiedział Navarro - muszę ci coś powiedzieć.
- Co?

Miała niemal czarne oczy. Zupełnie inne od twarzy... czasami jej skóra promieniała światłem.

- Lubię twój dom.

Wyprostowała się, rozłożyła szeroko poły szlafroka, jak skrzydła. Miała smutne, słodkie ciało, jakby nigdy nie urosła.

- Wczoraj w nocy - powiedział - uderzyła mnie pewna myśl. Po tym, jak byliśmy w łóżku.

- Tak?

- Tak, w samym środku nocy uderzyło mnie, nie wiem... Samotność.

- Dam sobie radę z tym gównem - powiedziała.

- Samotność, wiesz, naprawdę ją czułem. Nikt sobie nie da z tym rady.

- Ty możesz... - urwała. Usiadła po przeciwnej stronie stołu.
- Nie chodzi o to, że się jej boję - upierał się i wiedział, że się upiera. - Bo kiedy raz się ją poczuje, to wystarczy na całe życie.
- Możesz się wprowadzić, jeśli chcesz.
- W zasadzie już tu mieszkam.
- Tak, w zasadzie tak.
- Wiesz, wolę mieć własne mieszkanie, żeby zniknąć, kiedy przyjdzie na to czas.

Sięgnęła po jego dłoń przez stół.

- Powiem ci w ten sposób: możesz tu przychodzić, kiedy zechcesz, i być tak długo, jak ci się podoba.

Spojrzał na jej dłoń i swoją splecione w uścisku, czuł się trochę niepewnie, bo o takich rzeczach wołał mówić w ciemności.

- Jak długo to już trwa?
- To nasza dziesiąta rocznica.
- Dziesięć dni? Myślałem, że dłużej. I krócej zarazem.
- Mówiłam ci, że jesteś szybki.

Gdy Mo wyszła odbębnić swoją zmianę od południa do dziewiątej „Pod Pełnymi Żaglami”, ubrał się po cywilnemu i zaprezentował rezydencjalnej części Anchor Bay - kilkunastu domom rozrzuconym na wzgórzu za sklepami, wśród wysokich sosen i sekwoi. Biało-niebieski krążownik caprice zebrał kolekcję brązowych igieł na masce.

Navarro odbierał wezwania przez dwie ostatnie noce. Merton pracował za dnia. Navarro miał sporo szczęścia - ostatniej nocy spał spokojnie jak dziecko, a Merton już od rana musiał pilnować porządku podczas wczorajszej minidemonstracji przed centrum handlowym w Gualali. To zaś wiązało się z pisaniem raportu: nazwiska, numery - nigdy nie wiadomo, kiedy coś może się przydać: federalni, federalni...

Dopóki jeździł krążownikiem, musiał odbierać wezwania, pojechał więc do Point Arena i zaparkował wóz patrolowy przed posterunkiem między swoim firebirdem a przypominającą torpedę RX-7 Jenny. Merton najwyraźniej pojechał gdzieś należącym do okręgu vanem, innymi słowy - policyjną

suką. Zapewne stoi gdzieś na cichych wzgórzach i zażywa zasłużonej drzemki.

Gdy wszedł na posterunek, Jenny z podciągniętą zalotnie spódnicą klęczała na jednym kolanie przed metalową szafką na akta; po obu jej stronach stały na podłodze wyciągnięte szuflady.

- Dzisiaj dzień archiwizacji - powiedziała.

Usiadł przy biurku, patrząc na jej uda. Nosiła niemal niewidoczne rajstopy. Jenny była punktualna i bardziej kompetentna niż na to zasługiwali. Miała dwadzieścia parę lat, ubierała się ładnie i miała ładne ciało, zwieńczone gęstą, rudą fryzurą nad całkiem miłą buzią. Uwielbiała swoje małe, sportowe mazdy i prowadziła z Mertonem uczone dysputy na temat przywiązania do tych wozów. Navarro pojął, że mazda jest napędzana silnikiem Wankia, który był szybki, ale nie za szybki. Zgodnie z wiedzą Navarro ładne kobiety o zgrabnych figurach umawiały się częściej na randki od innych, ale wyglądało na to, że Jenny nie interesuje się niczym innym poza pracą i autem. Lubił ją, ale uważał, że byłaby szczęśliwsza w jakimś innym zakątku świata. Poza tym nie wiedział do końca, jak działa silnik Wankia.

- Do pieca? - zapytał.

- Wywalam wszystko, co ma więcej niż siedem lat - powiedziała. - Normalnie powinny być tu przez trzy lata, ale Taylor mówi, że siedem. Twój przełożony, zza tamtego biurka, ma osobowość biurokraty.

- Biurokraty? Merton?

- Uwielbia gromadzić śmieci. Daj mu kawałek podłogi o wymiarach osiem i pół cala na jedenaście, a przez tydzień zapełni go po sufit. Wszystko zaczęło się wtedy, gdy przeprowadziliśmy się do tego modułu. Ujawnił swoją prawdziwą twarz.

- Od kiedy parzy się kawa? - zapytał, dając do zrozumienia, że nie włączyła ekspresu.

- O, przepraszam - powiedziała.

- Nie szkodzi. Będę zaszczycony, mogąc tu wypić pierwszą dzisiaj filizankę.

- Zazwyczaj czekam na Taylora. Nagle

Navarro wszystko zrozumiał.

- Jesteś w nim zakochana.

- Jest przystojny, ale...
- Platonicznie.
- Nie mogłabym... O czym ty w ogóle mówisz! - krzyknęła. Trzasnęła aktami o podłogę i wstała, wygładzając spódnicę.
- Jakież listy?
- Listy?
- Listy do mnie.
- Nie.

Zostawił jej kluczyki do caprice i odjechał firebirdem na północ. Zaraz za Point Arena zjechał z drogi i nie redukując biegu wspiął się na Buckridge Road, wjechał na szczyt i wybrał zakręt na południe. Pędził bardzo szybko, minął Drogę Rozbitków, która zaprowadziłaby go do Anchor Bay, a potem zwolnił i - kierowany impulsem, jak chciał przypuszczać, choć w istocie planował tę wyprawę już od jakiegoś czasu - zaczął rozglądać się za skrzynkami pocztowymi po prawej stronie.

Znalazł ułamany znak HILD. Skręcił w prawo i ruszył senną drogą gruntową do szczytu wzniesienia i zjazdu, gdzie zaczynał się znacznie mniej senny szlak o głębokich koleinach, poprzecinanych bruzdami; przyhamował, ale jechał dalej, minął samochód przykryty plandeką, a potem wiele innych aut, reliktyw wciągniętych na pobocze i rdzewiejących samotnie; zjeżdżając przez niemy las, doszedł do wniosku, że wprowadzenie nisko zawieszono pontiaka na tę drogę było jednym z jego głębszych pomysłów. Ktoś jednak tędy jeździł, widział świeże ślady opon; na krawędzi któregoś z kolejnych wypłukanych w koleinach urwisk wysiadł z auta i sprawdził głębokość rowu, a potem wytyczył w myślach możliwą do zaaprobowania trajektorię wozu, któremu - miał nadzieję - nie pęknie oś przy kontakcie z ziemią. Następną milę pokonywał bardzo długo. Spojrzał na zegarek, zaniepokojony, że zbyt długo zwlekał z wyprawą i nie odnajdzie drogi powrotnej w ciemności. Ale nie było jeszcze drugiej; to samotność i tęsknota za Mo sprawiały, że gotów był przysiąc, iż jest później.

Merton nieraz ostrzegał go - nie przed drogą biegnącą przez posiadłość Fairchildów, ale przed samymi braćmi Fair-childami. Młodszy był istną ciekawostką przyrodniczą -

o czym najlepiej świadczyły teczki z listami - w którą zamienił się po latach, a nawet całych dekadach eksperymentów ze środkami psychodelicznymi i podobnymi bzdurami. Obecnie nawet filiżanka kawy doprowadzała go do szaleństwa. Jak zobaczysz go z papierosem - mówił Merton - przygotuj się na najgorsze. To znaczy do aresztowania. Starszy z Fair-childów prowadził - według Mertona - niefrasobliwy żywot w tutejszej społeczności i będzie prowadził do czasu, aż się go przyszpili. Młodszy natomiast skrył się w lesie ojca, gdzie stworzył sobie własny świat wśród odpadów cywilizacji i martwych drzew. Kupowanych przez jego szwagierkę, która przekształca je - zdaniem niektórych - w dzieła sztuki.

Szlak urwał się, rozpetł między drzewami - a gdzie było domostwo? Pomyślał, że minął je wcześniej, ale w tej samej chwili zauważył ścieżkę z lewej strony, wysiadł z auta i ruszył nią aż do polany zamkniętej strumieniem i wychodzącej na całkiem porządną chatę, podczas gdy on spodziewał się lepianki eremity. Wyobrażał sobie, że W. Fairchild żyje w epoce kamiennej, a noce i dnie spędza w duchowym nieładzie i wśród nękających go wizji. Navarro szanował pomyleńców zaszywających się w mysie dziury i tam hołubiących swoje szaleńcze pomysły, słowem: żyjących zgodnie z nakazami i wymogami ludowych baśni.

- Hej! - krzyknął, idąc w stronę domu, ale nie usłyszał odpowiedzi. Domyślił się, że do środka można wejść przez taras. Drzwi były otwarte.

W środku na czarnym stole drzemał twarzą do dołu mężczyzna. Przysnął w nadzwyczaj niewygodnej pozycji. Zemdlął? Farba wyglądała... - nie, to krew. Drgania podłogi wywołane krokami Navarro spłoszyły kilka much, które zerwały się ze czarnego koagulatu i wzbity w powietrze, zataczając obłędne orbity. Po drugiej stronie, niemal w zasięgu ręki, leżał stary rewolwer o wgłębieniach wytartych od polerowania.

Krzesło przechyliło się, jego tylne nogi wisały dwa cale nad podłogą. Ciało w *rigor mortis* przyjęło pozycję płodową. Trzeba będzie pozrywać mu ścięgna, żeby wysunąć blat stołu pomiędzy piersi i kolan. Rana była duża i nie wskazywała na samobójstwo. Jeśli otwór, który widział, był wylotem, kula weszła w czaszkę tuż nad skronią. Navarro pochylił

się, jakby chciał szepnąć coś do ucha nieboszczykowi, i przekonał się, że nie miał racji - to nie był wylot, facet wyglądał, jakby ktoś zdzielił go w twarz motyką.

Nie dalej jak sześć cali od broni leżała do góry dnem baseballowa czapka. Gdyby miał ją na głowie w chwili śmierci, leżałaby zupełnie gdzie indziej i pasłyby się w niej muchy. Samobójcy zazwyczaj zdejmują czapki.

Navarro wsunął długopis pod osłonę spustu i podniósł rewolwer, który zawisł przed nim jak wózek na diabelskim młynie. Ktoś zabrał kogoś na przejażdżkę... W trzech z czterech widocznych komór spoczywały łyse, miedziane główki; komora na lewo od kurka była pusta, podobnie jak ta -mógł założyć - która znajdowała się pod lufą. Wystrzelono zatem dwa pociski. Albo więc W. Fairchild - bo to on musiał być ofiarą - ćwiczył się w strzelaniu przed śmiercią, albo ktoś inny wpakował mu dwie kule w tył głowy.

Pozostawała kwestia czapki. W pobliżu leżał też ołówek. Pod rozwaloną czaszką zobaczył ćwiartkę gazety nasączonej krwią; w jednym jej rogu, który jakimś cudem pozostał czysty, widać było dwa słowa skreślone ołówkiem. Nie mógł ich odczytać, ale wyglądały jak zakończenie jednozdaniowego komunikatu.

Navarro nigdy przedtem nie był jako pierwszy na miejscu zabójstwa, samobójstwa ani czymkolwiek to było, nigdy nie znajdował się w awangardzie śmierci, czekał na swoją własną.

Przekazał sprawę Mertonowi i teraz był już prawie w domu. W oknie wypożyczalni wideo pod jego mieszkaniem powitało go własne odbicie, odbicie człowieka bez funkcji, prawdopodobnie bez pracy; zdał sobie sprawę, że musi przebrać się w mundur i ogolić; za godzinę albo dwie spotka się na posterunku z paroma ludźmi z Biura Szeryfa Okręgowego, a potem wszyscy razem pojedą po ciemku do lasu. Wcześniej kolacja. Nie był głodny, ale wiedział, że ludzie szeryfa nie przywiozą na miejsce zbrodni dodatkowych porcji, toteż wołał się najeść we własnej kuchni, pochłonąć coś szybkiego, najlepiej płatki.

W korytarzu, gdy otworzył drzwi, w końcu go dopadło - sumienie. Jego prawa stopa zawisła w próżni i wtoczył się

w otchłań wstydu. Te wszystkie listy od W. Fairchilda... Może mogłem mu pomóc...

Stał nieruchomo i czekał...

Może mogłem nakarmić każdego straceńca z Los Angeles własną piersią.

Wytyczył kurs do góry i wszedł na schody.

21-23 września 1990

Meadows zatrzymał się przy Seaside Foreign Motors, żeby pogadać z Frankiem Vinellim o uszczelce. Vinelli nie był skory do pomocy.

- W dzisiejszych czasach nie tak wiele mercedesów spoczywa na cmentarzach.

- A może byś tak odpalił ten komputer i sprawdził?

- Jak się da, to się zrobi.

Jeśli chodzi o zagraniczne marki, Vinelli uważał się za największego specja i stawiał się każdemu, kto za jego plecami kombinował z importowanym towarem. Był - według Clarence'a - symbolem panoszenia się i ekspertów zniewalających wolną przedsiębiorczość.

- Tylko sprawdź tę uszczelkę, dobrze?

- Najszybsze i najpewniejsze rozwiązanie to sprowadzenie nowej. Gdyby to był jakiś stary cadillac, powiedziałbym: Słuchaj, masz śmiecia, więc wrzuc w niego to, co wygrze-biesz na szrocie, i krzyżyk na drogę. Ale oczekiwania wobec sto dziewięćdziesiątki są inne. Chcesz się poruszać nią po drogach i za dwadzieścia lat od dzisiaj.

Marszcząc czoło, spoglądając ku niebu i biorąc głęboki oddech, Clarence wyciszył się wewnątrz. Nigdy nie lubił tego faceta. Vinelli zawsze trzymał dystans, każdą rozmowę traktował jak mapę, szukał w niej ostrych zakrętów i znaków prowadzących do tematu tabu: kredytu za jego usługi.

- Chyba słyszałeś, co stało się z Billym Fairchildem?

- Słyszałem. Słyszałem, że został zabity w zeszłym tygodniu i że w tym samym czasie zniknął jego brat.

- Ten samochód jest mój i Billy'ego. To projekt, który

muszę doprowadzić; do końca. Czy mam wyrażać się jeszcze jaśniej?

- Tym bardziej powinieneś wziąć pod uwagę moje słowa. Jeszcze raz proponuję rozwiązanie długoterminowe. Mówię ci: zrób to dobrze. Nowa uszczelka, uszczelnienie silnika, lśniące, nowe pokrywy zaworów.

- Chcesz mi powiedzieć, że Hans z Fritzem właśnie czekają w warsztacie na moje skinienie? Dopiero co wrócili z Bawarii i brak im roboty?

Vinelli nie miał nic do powiedzenia. Położył ręce na blacie biurka i oparł na nich swój ciężar.

- Dobra, zainwestowałeś kupę pieniędzy w tę elektronikę. Może byś ją wykorzystał?

- Mam wysłać list gończy - dorzucił ponuro - za jedną sparciałą uszczelką.

Clarence milczał przez dobrą minutę.

- Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić? - spytał Vinelli.

- Ustaliliśmy już co. Nie chcę cię naciskać, ale czas ma dla mnie duże znaczenie.

Vinelli wystukał coś na klawiaturze. Jego maszyna zakomunikowała innym maszynom, że interesuje się uszczelką wydechu do mercedesa 190SL, a Clarence wyszedł z biura.

Na dworze podniósł maskę scouta i sprawdził poziom oleju. Przezroczysty, bursztynowy płyn na wskaźniku sięgał górnej linii. Billy musiał niedawno zmieniać olej, mimo to Clarence podjechał do sklepu Haymaker's Hardware w Gualali i poprosił o dwa kanistry castrolu. Sprzedawca wyszedł zza lady, by poszukać towaru, w tym czasie Clarence wsunął się za kontuar i porwał z półki pudełko z pięćdziesięcioma nabojami do magnum 0,44, wsunął je za pasek i przykrył flanelową koszulą. Wędrował po sklepie z castrolem pod pachą, udając, że chce coś jeszcze kupić. Czekał na następnego klienta. Gdy ten się pojawił, Clarence zwędził jeszcze zestaw do czyszczenia broni i wyszedł. Nie był złodziejem - na półce, na której stały naboje, zostawił dwudziestodolarowy banknot. Nie chciał tylko, żeby ktoś zapisał w papierach tę transakcję.

Minęło osiem dni od zabójstwa. Nie wiedział, czy przy chacie nie będą się kręcić jacyś ludzie, zostawił więc scouta

na granicy posiadłości, obok przykrytego plandeką mercedesa, i przeszedł resztę drogi piechotą, by wyjść po cichu za domem po przeciwnej stronie od prowadzącej do niego ścieżki. Nikogo tu jednak nie było oprócz wiatru, duchów i zjaw... Przynajmniej przekonał się, że policja skończyła robotę. Od morderstwa chata Billy'ego zaczęła cieszyć się ponurą sławą wśród miejscowych nastolatków, ale tego popołudnia żaden dzieciak nie odważył się na mrozącą krew w żyłach wyprawę do lasu. Stojące na tarasie wiadro z wodą było prawie puste, dwa cale wody na dnie przykrywał dywan z igieł. Dzieciaki porwały policyjną taśmę przy wejściu do chaty i uciekły z nią do domów. Na drzwiach wisiały tylko mikroskopijne szczątki oznakowania. Meadows pchnął drzwi i w czerwonej poświacie zachodzącego słońca dostrzegł zbrązowiałe plamy krwi, przecięte naszkicowanym kredą zarysem sylwetki Billy'ego na stole, obok krzesło odsunięte od blatu, kredowe półkole na siedzisku rozmazane i zdeformowane przez obce tyłki. Billy utrzymywał kontakt ze światem za pomocą dwunastowoltowego samochodowego radia: samo to urządzenie i zasilający je akumulator zniknęły. Gliny albo dzieciaki zainteresowały się też myśliwską strzelbą Billy'ego. Kubeł na śmieci i palenisko straszły zgniecionymi pudłami po pizzy. Pod piecem leżało też porzucone szurcze gniazdo, sklecone z dębowych liści i różowego włókna szklanego, służącego do izolacji.

Meadows zapłakał, potem wytarł oczy, gdy chodził między plamami krwi. Słyszał oczywiście o takim czy innym rytuale, jakim miano pożegnać tego zmarłego. Słyszał też o czymś innym, a to, co zapadło mu w pamięć, doprowadzało krew do wrzenia. To krew sprowadziła go w to miejsce: w artykule o zwojach znad Morza Martwego przeczytał, że znaleźli je trzech bracia, którzy ukryli się w jaskini z wydartym sercem wroga - mordercy czwartego z nich. Zabili i wypatroszyli tego człowieka, szykowali się do zjedzenia jego najżywniejszego organu w rytuale zemsty i wtedy przypadkowo odkryli święte zwoje. Clarence znał sukinsynów, którzy zabili Billy'ego. W tej chwili postanowił, że będzie głodny, kiedy skrzyżują się ich drogi, i że nie weźmie niczego do ust, póki wszystko się nie dopełni.

Wyszedł rozsowanymi, przeszkłonymi drzwiami na taras,

zszedł po schodach i znalazł się w jarze na tyłach domu, a podjęte przed chwilą postanowienie z każdym krokiem wydawało mu się coraz głębsze. Szopa Billy'ego była zamknięta na kłódkę, wsunął więc palce między drzwi a próg, szukając w kurzu klucza. Z jednej strony chciał ukoić ból zemstą. Z drugiej - czuł, że jego ból zmienia się w pogardę dla pecha Billy'ego. Zaciągnęli suwak nad jego twarzą, pozbawiając go tym samym prawa do współczucia. Pragnienie zabicia tych sukinsynów stanowiło mieszaninę zwykłej trzeźwości właściwej interesom i ludzkiego dążenia do sprawiedliwości, co w sumie wydało się Meadowsowi szczytem arogancji. Ale teraz działał i właśnie znalazł klucz.

Wszedł do środka, między półki i beczki pełne motocyklowych części, głównie do BMW - śrub, nakrętek, przekładni i wałów - kiedyś zakonserwowanych, teraz pokrytych kurzem. Jego własna deska surfingowa była położona niewłaściwie, całą długością na podłodze, pod rozpostartą na ścianie pianką do pływania w kształcie orła. Odnalazł starego, ładowanego ręcznie winczestera Billy'ego - broń tę ciągle produkowano, tak jak zaprojektował ją Robert Moses Browning sześć lat przed nadejściem stulecia najgorszego ze wszystkich. Wytwarzano ją w różnych kalibrach, ta strzelba była zardzewiałym magnum kaliber 0,44. Stojąc w drzwiach, otworzył komorę i ustawił lufę pod światło. Była czymś zapchana.

Niosąc broń to w jednej ręce, to w drugiej, oddalił się od chaty. Przy mercedesie odwiązał plandekę po stronie kierowcy, otworzył drzwi auta i zabrał z niego cały życiowy dobytek: kulę Brunswicka do gry w kręgle, bilardowy kij i trąbkę, na której nigdy nie grał.

W tej najbardziej absurdalnej ze wszystkich chwil - ze strzelbą i kijem pod pachą, z torbą na kulę między stopami i trąbką zwisającą z palca - jego ból stał się oczyszczeniem i zapłakał, tuląc wszystko, co miał w ramionach.

Zostawił scouta na wyjedzonej przez owce łące, porośniętej tu i ówdzie zakurzonymi paprociami. Kiedy zbliżył się do zagrody, owce zbiły się w gromadę po drugiej stronie. Było późne popołudnie i ta właśnie pora zagnała je do domu po żalonym wypasie.

Osobiście nie jadał baraniny. Nad ogniem śmierdziała tak samo jak za życia owiec. Kilkumiesięczne jagnięta darły się wniebogłosy wśród stada.

Bramę posiadłości ryglowała połówka szyny, nie otwierał jej, bał się, że wypuści inne zwierzęta pałętające się gdzieś na tyłach. Oparł rękę na słupku i nożycami przeskoczył ogrodzenie; ruszył przed klepisko, gdzie rozrzucone tu i ówdzie leżały długie pawie pióra. Wokół panowała cisza. A potem usłyszał krzyk pawia, przypominający dźwięk odpustowej trąbki. Gdy przechodził obok, ptak rozpostarł nagle swój drżący wachlarz. Oka na piórach wpatrywały się w jego oczy. Przy furtce, za którą stał dom, pojawił się kudłaty biały pies, który podniósł się ciężko z cienia pod poobijanym mikrobusem Owczej Mamy. Podszedł na sztywnych łapach, by powąchać jego rękę i krocze, a później oparł się o biodro przybysza.

Potem zza domu wyszła Owcza Mama we własnej osobie, okryta długą, marszczoną, lnianą spódnicą i niebieską roboczą koszulą z zapiętymi na nadgarstkach mankietami. Na nogach miała zakurzone, sznurowane buty. Jej oczy obracały się jak wypolerowane kule; oskarżały go o to, że był jednym z nich - ludzi z okręgu.

Znał ją od lat, a pewnego odległego roku znał ją nawet dosyć dobrze, i zawsze tak wyglądała. Miała białe jak albinos włosy, rozchodzące się promieniście po jej czaszce, i spaloną słońcem cerę. Nie potrafiła się skupić i w czasie rozmowy z nią odnosiło się wrażenie, że to, co najważniejsze, dzieje się gdzieś za plecami. W Haight-Ashbury była królową: Królową Meskaliny. Od tamtej pory Haight-Ashbury oczyściło się - stopniowo acz skutecznie - z psychotropowej anarchii, czego nie można było powiedzieć o synapsach tej kobiety. -Nie jestem urzędnikiem - powiedział do niej na powitanie.

- Myśleliśmy, że pracujesz dla nadzoru budowlanego. Jest tam taki nowy inspektor. Odwiedza różne miejsca, jesteśmy więc poinformowani.

- Nie, ja jestem Clarence, pamiętasz?

- Taa... spotkaliśmy się raz czy dwa.

- Co się stało z pawiem? Był tu przed chwilą.

- Szwenda się po okolicy. Myślimy, że mieszka na drzewie.

Nie wiemy, do kogo należy.

- Ten inspektor z nadzoru jeszcze tu nie był?
- Nie. Chyba że ty nim jesteś.
- Policja?
- Nie zdarza się.
- Chciałem wpaść na chwilę do przyczepy. Dziewczyna w domu?
- O ile wiemy.
- Jak się wabi twój pies.
- Wabi się Matkojebca.

Skąd Owca Mama miała pieniądze, pozostawało zagadką, miała ich jednak dosyć, żeby się utrzymać i kupić siWer streama zaparkowanego obok strumienia za zagrodami. Owce były jej zwierzątkami domowymi, przyjaciółkami, a nie hodowlą. Trzymała kilka odmian, każdą w oddzielnej zagrodzie, a gdy któraś z owiec zachorowała, zabierała ją do domu. Utrzymywała też Melissę, choć ta psuła wszystko. Wszyscy utrzymywali Melissę, mimo że wszystko psuła.

Aluminiowej skorupy tego pojazdu nie da się zniszczyć, ale żaluzje w oknach silver streama były w strzępach, podobnie jak przebite opony. Oparł się dłonią o bok przyczepy, gdy wchodził na cegły służące za schodki, i pchnął drzwi, nie czekając na zaproszenie.

W środku było ciemno. Życie toczyło się tylko w telewizorze. Na ekranie płonął ogień podsycany serią głośnych eksplozji: trzaskał i błyskał, wirował niby cyklon. Melissa siedziała niedaleko i prawie patrzyła w ekran; słodkie maleństwo z chorym serduszkiem i znękaną twarzą. Domostwo wyglądało niespodziewanie smutno i czysto.

- Musiałaś posprzątać.
 - Dlaczego?
 - Nelson mówi, że jesteś prosię.
- Wstała i ujęła go za rękę. Miała na sobie obcięty w połowie podkoszulek i białe majtki.
- Wejdz. Wejdz i przeleć mnie.
 - Są dwie rzeczy, których prawdopodobnie nie zrobię - powiedział. - Jedną z nich jest pierdolenie się z tobą.
 - A druga?
 - Nie wiem. Mam nadzieję, że znajdzie się jakaś druga.
- Wszedł do środka, trzymając ją na odległość ramienia.

Panowała tu jakaś dziwna atmosfera. Jej twarz była pusta, jakby pozbawiona siebie.

- Co ci jest? - spytał
 - O... co mi jest? Martwię się o Franka. Frank jest w szpitalu w Santa Rosa.
 - Frankheimer? Ma szczęście, że w ogóle żyje.
 - Kiedy się ustabilizuje, przewiozą go do San Francisco. Skręca go śrubami. I takimi tam...
 - Zadajesz się z nim? Nie wiedziałem.
 - Niezbyt często. Ale łączy nas wiele, bardzo wiele.
 - No a co z Nelsonem?
 - Nelson ma paranoję i schizofrenię. Zniknął z obrazu.
 - Gdzie jest teraz?
 - W czwartek odwiozłam go pod las, do drogi Billy'ego, gdzie zostawił samochód.
 - To był zły dzień. Czwartek. Bardzo zły dzień.
 - Mówił, że ucieka przed jakimiś dwoma. Ale ja ich znam, nie są wcale tacy źli.
 - Dwaj faceci jakby znikąd? Z kempingowym silverado?
 - Taa. I szczekającymi psami. Potraktowali mnie uprzejmie za każdym razem, jak tu byli, a byli dwa razy.
 - Kiedy to było, Melisso? Niedawno?
 - O... jakiś czas temu, pierwszy raz. A potem zaraz po śmierci Billy'ego. Dzień albo dwa po tym wszystkim.
 - Kurwa. Więc na pewno wiedzieli o Billym?
 - Znaczy się, że nie żyje?
 - Znaczy się o nim, że istnieje!
 - Wszystkim zdarzają się wypadki. Coś nie tak?
 - Słuchaj, moglibyśmy to ściszyć?
- Wyłączyła telewizor i stanęła obok niego z opuszczonymi ramionami i zaciśniętymi mocno dłońmi. Przebierała palcami u nóg po brudnej, przemysłowej wykładzinie. Z owczej zagrody niosły się lamenty. Widział przez drzwi, jak stado zbiło się ciasno wokół zardzewiałej skorupy jakiegoś sedana.
- Chciałbym cię teraz zdecydowanie przed czymś przestrzec - powiedział - na wypadek, gdyby przyszły tu gliny.
 - Nie przyszły.
 - Ale przyjdą. A kiedy przyjdą, pamiętaj, żeby nie powiedzieć im ani słowa o facetach, o których mi wspomniałaś.

To poważne ostrzeżenie. Bardzo poważne, pamiętaj. Kumas, co mówię?

- Tak. Mam nie mówić o mężczyznach z psami.

- Powtarzam: wyrzuć tych dwóch chujów z pamięci i do świadczenia.

Usiadła na chowanym w ścianę łóżku i załamała rękę, a potem opuściła je martwo dłońmi do góry na gołe uda.

- To miejsce miało przynieść ukojenie. Nie wiem, co się stało. Ktoś zrobił coś bardzo ponurego.

Na końcu Acorn Road Merton dostrzegł będącego własnością Billy'ego Fairchilda scouta bez dachu. Samochód wjechał przed nim na drogę. Prawie przez milę trzymał się kilka długości za nim i nie spuszczał go z oczu. Wyjechał z mgły. Zamknął okna krążownika i włączył klimatyzację. Na prostej wcisnął gaz. Wciąż ma niezłe przyśpieszenie. Ten caprice miał cztery lata, ale tylko osiemnaście tysięcy mil na liczniku.

Włączając i wyłączając syrenę, zmusił go do zatrzymania.

Stanął za starym wehikułem i, nie gasząc silnika, odpiął kaburę, a potem uchylił drzwi i czekał. Nieruchome kontynentalne powietrze uderzyło go w twarz. Zgasił silnik.

Po chwili kierowca pokazywał mu ręce - w taki sposób, jakby się przeciągał i ziewał. Później chwycił dłońmi obramowanie przedniej szyby.

Merton wysiadł i podszedł do scouta. - Hej, Surf.

- Witam. I gratuluję władzy dzisiejszych szczytowych osiągnięć. - Zdjął przeciwsłoneczne okulary i położył je na zakurzonej desce.

- Jesteś na mojej liście wezwań, Clarence - powiedział Merton. Meadows odpowiadał profilowi Wątpiących: dzinsy, motocyklowe buty, podkoszulek z obciętymi rękawami. Był partnerem brata niedawnej ofiary. Prowadzili razem nielegalne uprawy. Z niedawną ofiarą współpracował przy renowacji gruchotów. Był partnerem surferów, ganiał za nastolatkami, sprzedając gówna na ulicach Los Angeles. Ganiał za opalonymi, zidiociałymi cipami, które nie miały pojęcia, że dobija trzydziestki.

- Byłeś u Owczej Mamy?

- Mniej więcej. Dlaczego?

- Możemy stanąć w cieniu? Nie zatrzymałem cię za łamanie przepisów.

Meadows podciągnął nogi na fotel pasażera i wyskoczył z auta. Stanęli pod drzewem. Merton zapiał kaburę. Odpiął kieszeń na piersi i wyjął pudełeczko z tytoniem. Otworzył wieczko. Poczęstował Meadowsa.

Clarence odmówił, kręcąc głową, a Merton wsunął dwie szczypty tytoniu do ust - po jednej z każdej strony. Zgniół je językiem.

- Właśnie się tam wybierałem.

- Przykro mi, że zabieram ci czas - powiedział Meadows.

- Melissa dzisiaj w domu?

- Możliwe.

- Zadajesz się z hipisami, Clarence? Myślałem, że jesteś surferem.

Meadows skrzyżował dwa palce i podniósł je do góry.

- Hipisi i surferzy zawsze trzymali się tak... To wiekowe przymierze.

- Skąd jesteś, Clarence?

- Wychowałem się w Bolinas.

- Aha.

- No. Nie byłem tam od nie pamiętam kiedy. Chyba od 1980...

- Bolinas.

- No. Hipisi i surferzy. To byłem ja. To było Bolinas. Teraz wszyscy się zestarzelili, mają po pięćdziesiąt albo i więcej lat. I ciągle mówią „kapujesz” i „jasna sprawa” - kapujesz?

- Nie jesteś trochę za stary na surfera? Ile masz lat?

- To jest sport, policjancie Merton. Jest granica sprawności fizycznej, ale nie ma granicy wieku. W każdym razie nic o niej nie słyszałem.

Merton kiwnął głową i splunął na ziemię między nimi.

- Clarence, gdzie jest Nelson Fairchild?

- *No se, Señor*. Sam się zastanawiam.

- Moje źródła donoszą, że ty i Nelson prowadzicie pewien interes. Hodujecie egzotyczne rośliny.

- Kiedyś, dawno temu, mieliśmy jeden układ. Ale to zamknięta sprawa.

- Mówimy o teraźniejszości. I przyszłości.

- To jest to samo, o ile wiem.
- Czy mogę ufać, że dasz mi znać, kiedy się z tobą skontaktuje?
- Czy ty możesz mi ufać?
- Taa.
- Nie.
- Nie? Więc się zdecyduj, jak bardzo mnie nie lubisz, Clarence. Bo mogę sprawić, że mnie znienawidzisz.
- Mówię tylko, że nie możesz mi ufać. Nie powiedziałem, że nie dam ci znać.
- Ładnie to ująłeś. W porządku.
- Zrozum, chciałbym ci pomóc w tej sprawie. Ale ty reprezentujesz władzę, a ja jestem banitą. Obaj jesteśmy w kłopotliwej sytuacji.
- Zawsze tak mówiłem. Od urodzenia. Kto zabił Billy'ego, Clarence?
- Meadows wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.
- Masz jakiś pomysł?
- Nie. A ty? Masz jakiś pomysł?
- Nie bardzo. Nie teraz. Nie dzisiaj. Szeryf oddziela ziarna od plew. Mój współpracownik był tam, na miejscu, i mówi, że nie uznają tego za samobójstwo... mówi, że rana nie wygląda na taką, którą mógłby zadać sobie denat. Wszyscy więc jesteśmy podejrzani. Przynajmniej do czasu pierwszego aresztowania.
- Myślę, że do tego nie dojdzie.
- Nelson jest podejrzany. Ty też.
- Surfer skrzywił się i zamyślił.
- Byłeś już kiedyś zamieszany w sprawę o zabójstwo. Trochę poszperałem, jak widzisz.
- Szperaj dalej. To głównie prawda.
- Zadarłeś z paroma facetami, a potem spaliłeś ich ciała.
- To głównie prawda. Od góry do dołu. Nie trafiło nawet na biurko prokuratora okręgowego.
- Clarence, mam cię w swoim notesie. Mam cię zapisanego w kolumnie Wątpiących. Ludzi, którzy nie urodzili się z darem odróżniania dobra od zła. Zdarza się, że ludzie z tej kategorii doznają łaski i wychodzą na prostą. Sam wiesz. Męczy ich wydeptywanie krętych ścieżek.
- Wiem - mruknął Clarence. - Coś ci powiem, panie wła-

dzo. Ja jestem trochę jak kocur, który przeleciał skunksa. Nie dostałem wszystkiego, czego chciałem. Ale więcej nie mogłem już znieść.

Dotarł aż do drzwi kościoła. Przystąpił próg i poczuł koniec łańcucha - właśnie tam. Będzie musiała odebrać go z miejsca, w którym stoi. Dalej nie mógł iść.

Sprawdźmy, czy to działa, czy nadaje się tylko na śmietnik.

Clarence siedział przy ognisku jak Indianin, był bez koszuli, pił kawę i przeglądał wytłuszczone stronicę wydanego w formacie A4 *Składania broni*. Było późne przedpołudnie. Winczester leżał na jego udach. Amerykanie używali takich strzelb na Kubie w 1898, co nie znaczy, że broń ta nie była doskonała. Żeby przeczyścić wyciorem lufę, musiał rozłożyć całą rzecz. Po rozłożeniu czegoś jej brakowało, zapodziała się gdzieś śruba mocująca zawleczkę rygła zamka. Nie miał pojęcia, że tak się nazywa, myślał, że śruba to śruba. Używając śrubokręcika, który miał przy łańcuszku do kluczy, odkręcił śrubę trzpieniową i oddzielił łożę z kolbą od reszty, by odłożyć je na bok. Długim gwoździem wybił zawleczkę rygła i zawleczkę przegubu, używając płaskiego kamienia jako młotka, a potem wsunął pozbawioną kolby strzelbę między kolana i uwolnił zawleczki z czopów. Maszyneria skrzypiała i szeptała, oddając mu swe zardzewiałe wnętrze. Odkręcił śruby po obu stronach komory i wyjął cały trzon.

Właśnie teraz ktoś postępował podobnie z Billym w kostnicy w Ukiah. Bzyczały piły tarczowe używane do cięcia kości. Cichy głos mówił coś do podwieszonoego u sufitu mikrofonu. A może nie? Może nie pracowali dzisiaj, w sobotę? Może zdążyli już go rozebrać i powkładali kawałki do torby, którą wrzucił się do dziury. Meadows chyba nie pójdzie na pogrzeb. Nelson był też gdzieś w innym wymiarze. Wszystko spadnie na głowę Donny Winslow. Ta przynajmniej ma wprawę.

Rozłożył zamek i oczyścił go wodą z mydłem, czerpaną z puszek po kawie; odkładał rygle, łożyska, zawleczki i śruby na bandanę rozłożoną na gorących kamieniach, w słońcu. Dokończył kawę i umył wszystkie części w benzynie ekstrakcyjnej, używając do tego drucianej szczotki. Potem wypłukał wszystko jeszcze raz w benzynie i odłożył, czekając aż wy-

schnie. W marynarce zabraniali im czyszczenia broni benzyną.

Części wyschły w niecałą minutę, nasmarował je więc oliwą z przybownika, który ukradł w sklepie. Nałożył pakuły na koniec wycioru i wprowadził go do lufy. Usunął z niej mnóstwo martwej materii. Panczerze żuków, o ile znał się na biologii.

Billy uważał, że zabija go radar. Jeśli to sprowadzić do czysto duchowego poziomu, miał rację. Wiara nigdy nie była łatwa.

Wiara nie czyniła cudów także dla Carrie. Co z tego, że miała dach nad głową i cztery kółka? Została sama i teraz tylko Jezus Chrystus mógł ją pocieszyć. Cóż, była silna. Jak każda wędrowna, spalona słońcem kobieta. Od początku coś do niej czuł. Ale te nieznośne wibracje... Nie powinien był jej dotykać! Dajesz palec, chcą mieć rękę, dajesz rękę, ściągają ci na kark kongregację.

Zabrał się do odwrotnej procedury, zaglądając często do podręcznika. Po pewnym czasie trzymał w rękę cały karabin. Położył go na nogach, docisnął kurek palcem wskazującym, a kciukiem zwolnił ostrożnie spust. Kurek opadł. Z kieszeni leżącej nieopodal koszuli wyjął nabój, załadował go do magazynka i podniósł szybko broń do ramienia, wprowadził nabój do komory i wypalił w ziemię jakieś dwadzieścia stóp dalej. Wszystko działało. Dzwoniło mu w uszach, ale głowę miał wciąż na swoim miejscu. Wyciągnął z plecaka pudełko z nabojami, załadował dziewięć do magazynka i rozpoczął ogłuszający proceder przestrzeliwania.

Przed wieloma dniami deszcz przeciągnął ogon nad wybrzeżem. W głębi lądu utrzymywała się susza. Pożary w okręgu Humboldt, oddalonym o jakieś sto mil, dymiły burą mgłą nad całą środkową częścią Północnej Kalifornii, a wiatr niósł swoisty zapach, który według Mo miał także brązową barwę. John mówił, że pożary w Humboldt wzniecili hipi-sowscy hodowcy jako odpowiedź na niedawne naloty albo po to, żeby zająć helikoptery i ich załogi czymś innym niż przewożenie inspektorów KPM - stanowej Kampanii Przeciwko Marihuanie - niszczących resztki herboriów, które ocalały po rajdach Gwardii Narodowej.

Jeśli chodzi o zdanie Navarro, mgła wisiała tylko w Gu-alali, a dym tutaj, w Boonville. Oboje mieli wolny dzień. Navarro wolałby spędzić niedzielne popołudnie w łóżku z tą kobietą, niż jeździć na Święto Jabłek do Mendocino - jak nazywał się ten odpust. Jadąc tu, trzymali się z dala od Mountain View Road, przemieszczali się wzdłuż wybrzeża przez 120 mil i dopiero pod koniec skręcili w głąb łądu, na płaską dolinę pełną sadów i szkótek. Żeby dostać się na miejsce, musieli się przeprawić przez rzekę. Przez rzekę Navarro. Zapytała i odpowiedział, że nie nazwano jej na cześć żadnego z jego krewnych, a potem szybko zmienił zdanie i dodał, że przypomniał sobie, iż rzekę w istocie nazwano tak na cześć jego pradziada. Dlaczego skłamał? Kłamstwa oddalały ich tylko od siebie. No więc właśnie dlatego. Szarozielone wzgórza i dęby niczym pochodnie, blade zygzyki wrzynające się w strome stoki - ścieżki dla owiec. Może przepaście jego serca tak właśnie wyglądały. Boonville zazwyczaj było pewnie całkiem ładnym miastem, ale w zadymieniu wyglądało w oczach Navarro jak pozbawione perspektyw i pracy, skazane na zagładę królestwo rozpaczliwego dzieciństwa. Gdy zaparkowali na pastwisku obok jarmarku, Navarro zamocował na kierownicy firebirda antywłamaniową sztangę.

Nie było płotu ani innej granicy wartej wspomnienia. Po wyjściu z samochodu trafiało się na jarmark. Podkoszulki, zmywalne tatuaże, astrologia, tarot, czytanie z aury, chiromancja. I jabłka, jabłka, jabłka. Olbrzymie marchewki, olbrzymie jabłka, melony i dynie nierzeczywistych rozmiarów w halogenowym świetle dużego, głównego budynku. Stary sprzęt do ścinania drzew i dagerotypy kościstych mężczyzn zgromadzonych wokół korzeni powalonych, gigantycznych sekwoi. Przemierzyli antykwaryczny i warzywny lunapark i wyszli na dwór. Ludzie, którzy zapłacili za to doświadczenie, przyśpieszali obok nich i przycinali z piskiem powietrze. Mo śpiewała tekst piosenki nadawanej przez huczące głośniki: *Piece of My Heart* w wykonaniu Janis i Big Brother. W kiblach: muzyka organowa z puszki z pobliskiej karuzeli. Potem Hank Williams. Potem Beach Boys.

Na podwyższeniu wzniesionym na boisku do koszykówki M. zobaczyła kogoś, kogo znała, z całą pewnością znała, nawet z długimi włosami ukrytymi pod wysokim na metr

cyndrem. Faceta w czarnym jak węgiel fraku, pelerynie z czerwonymi wypustkami i z różem na policzkach. Boso szedł ścieżką z tłuczonego szkła. Do sztuczki „uwolnienie się z kaftana bezpieczeństwa” zdjął frak. W całej dolinie dudniła muzyka country. Kowboje i drwale spacerowali sobie z małymi, jakby pośledniejszego gatunku kobietami u boku. Zatrzymywali się zdumieni, widząc prestidigitatora. Puścił w obieg tacę. Nikt nie żałował pieniędzy.

Zapachy dzieliły dzień na pokoje - tłuste mięso, perfumy gorącego karmelu, dieslowski oddech karuzeli, pewna ilość rozlanego alkoholu i mdlące powiewy z kubłów na śmieci. Konie, końskie gówna, smród kurników i mnóstwo innych duszących zapachów zwierzęcych. Oprócz jesieni. Mo czuła jej oddech we własnym oddechu. Całkiem wyraźnie - jako odrobinę chłodu.

Navarro czuł we własnym oddechu miętę, gdy przyglądał się grom sprawnościowym, strzelaniu, zgaduj-zgaduli i pokonywaniu mostu sznurowego, na którym chwila nieuwagi kosztowała zwis głową do dołu - wszystko to było jednym wielkim oszustwem, cofnął się więc, żując gumę. W dusznych oborach rzędy klatek pełnych królików i innych gryzoni o przeróżnych rozmiarach i umaszczeniu. Przerażone kurczaki - ich strach był tak namacalny, że miał ochotę wyszarpnąć broń i odstrzelić im głowy; świnie, olbrzymie konie, ale także w miniaturowym wydaniu - wielkości mniej więcej chartów. Nie widział żadnych psów na wystawie. Miejscowe schronisko dla zwierząt prezentowało wyleczonego jastrzębia, orła i dwa sokoły, stojące ze stoickim spokojem na stole i patrzące prosto w oczy zwiedzających najpierw jednym, potem drugim okiem, co wymagało odwrócenia głowy. Dwóch starszych gości w powypychanych kombinezonach przytrzymywało sobie na zmianę drabinę, dekorując boisko do koszykówki lampionami na wieczorne tańce.

Mo nie podnosiła oczu, mijając prawdziwych macho -w skórzanych kamizelkach, z papierosami w ustach, okularami przeciwsłonecznymi na nosach i skomplikowanymi, przejmującymi tatuażami w różnych miejscach. Niedaleko, w małej chmurce dymu z grilla, prestidigitator zdjął z głowy czarny cylinder i uwolnił trio białych gołębic. Wzgórza na

zachodzie zaczynały sinieć. Przestała być kimkolwiek i tylko obserwowała. Nie była niczym więcej, jedynie wzrokiem.

Zatrzymywała go przy każdym okazie dłużej niż było trzeba, by pojąć głębię cierpienia i nudę wszystkich małych więźniów. Chciała dotrzeć tu do tańców i spróbować two-steps -ona: w długiej do kostek chłopskiej sukience; i on: facet o wyglądzie agenta ochrony.

- Jestem najbardziej prestidigitarskim dygitatorem w całym cipowiecie... Jak on to robi? - Zaczął się kolejny pokaz żonglerki. Kuglarz wcale nie wyglądał na zrozpaczonego czy nękanego wątpliwościami, zachowywał się jak zahipnotyzowany, uśpiony pięknem wirujących orbit. - Patrzcie na oczy. Nie ma w tym żadnego oszustwa, tylko psychotycznie obsesyjne treningi i nadludzka koncentracja. Każdy ruch jest wyćwiczony... wytrenowany... wydoskonalony z czasem. Odłóżmy na bok piłeczki i zajmijmy się tym workiem. Napełnijmy go butelkami... Ta się stłukła? Nic wielkiego. Zamierzam stłuc je wszystkie. Potrzebuję tylko młota. O! A ten skąd się wziął? Dobra, rozwalmy worek z butelkami i zróbmy z niego worek pełen potłuczonego... szkła... ostrego... ostrego... kłującego... śmiertelnie niebezpiecznego... tnącego... jak brzytwa! Zwróćcie uwagę: nie zaśmiecam okolicy. Układam sobie tylko autostradę cierpienia...

Przeciągnął worek przez scenę, wysypując potłuczone szkło:

- Cofnijcie się, błagam! Jeśli otworzę sobie tętnicę, zbankrutujecie z powodu rachunków z pralni. Ludzka stopa pełna jest grubych, pompujących krew żył. Cisza! Proszę o ciszę!

Powoli opuścił prawą stopę na szkło i zatrzymał się, uniósł profil do góry i wpatrywał się w niebo tak długo, że niektórzy z widzów powędrowali za jego wzrokiem, ale nie znaleźli nic godnego uwagi. Opierając stopę na stłuczce, zdjął cylinder i wytrząsnął z gęstej, brązowej grzywy - niepokojącej, a nawet nieco przerażającej policjanta Navarro - trzy gołębicę. Po czym zwrócił się do zgromadzonych:

- Wczoraj było zrównanie dnia z nocą. Słońce prostopadle nad równikiem. Zdarza się to każdego dwudziestego pierwszego lub drugiego września.

- Wiesz, czym jest selenografia? - spojrzał prosto na Navarro.
- Księżycową kartografią.

- Selenografia.
- Kartografią tej starej planety, na którą nigdy się nie dostaniemy... - Szkło zachrząściło na deskach podwyższenia, gdy szedł po nim z zaciśniętymi ustami i wbitym w dal spojrzeniem.

Navarro liczył dni. Minęło osiem dni, odkąd znalazł sztywne ciało W. Fairchilda, a okręg jeszcze się z nim nie skontaktował.

Mo obiecała, że nie będzie naciskać - nie będzie naciskać, prowadząc - ale chyba to zrobi, przynajmniej tak wyglądało. Są sposoby na to, żeby być, i sposoby na to, by nie być definitywnie. Dała mu jasno do zrozumienia. Znał jej stanowisko. Ale teraz znów nie mogła się opanować, jakby specjalnie chciała postawić na wszystkim krzyżyk:

- Żeby było wiadomo: masz kobietę.
- Ba - pokręcił głową.
- Jeśli chcesz.
- Tak, jeśli to ty.
- A masz inny wybór - powiedziała to, udając, że jest zajęta prowadzeniem.

Przeżywała to już wcześniej, jak każdy. Jechał setką i nie siedział za kółkiem. W końcu się obudzi... a mury będą zwalone. Kolejny zakochany po uszy wariat. Nie wprowadzi się do niej. Im częściej będzie się wkurwiać, tym rzadziej zacznie się u niej pokazywać, aż w końcu jego uwagę zajmą inne sprawy, przyjdzie pijany i zawstydzony późno w nocy, zostanie pół godziny w jej łóżku - aż nie będzie go wpuszczać, aż odeśle go o ten jeden raz za dużo z przekonaniem, że dała mu nauczkę, i nigdy się już nie ugnie. Bo niby co ma zrobić? Wszystko jeszcze przed nimi, nawet gdzieś daleko, ale pierwsze zarysy już widać. Układ nie kończy się, dopóki kobieta ma ochotę iść z mężczyzną do łóżka...

Patrzyła przed siebie na drogę, rozmowa się nie kleiła, pomyślała więc, że nie zostaną na tańce.

Navarro gapił się na pięćdziesięciogalonową beczkę wypełnioną po brzegi czerwono-białymi plastikowymi nakryciami, zgniecionymi serwetkami i muchami wirującymi niczym różowy kłębek cukrowej waty - co szczególnie go irytowało, bo przypominało mu o głowie zamordowanego W. Fairchilda. W sprawie śmierci W. Fairchilda nie działo się

nic. Departament Szeryfa nikogo nie przesłuchał - spuścił się, jeśli można tak rzec, na techników policyjnych. Merton ruszył tropem Nelsona Fairchilda juniora i poszukiwania zajęły mu całą godzinę. Rozmawiał z surferem, który trzymał się z młodszym, zamordowanym bratem Fairchilda, i przeprowadził wywiad z hipisowską przyjaciółką Nelsona, z tą o bardzo bladej twarzy lalki, Melissą. Gawędził też krótko przez telefon z Donną Winslow. I automatyczną sekretarką Winony Fairchild, łudząc się, że ta ostatnia oddzwoni. Na-varro wziął na siebie ostatnie nazwisko z listy nie bez satysfakcji. Z osobą tą na pewno należało porozmawiać.... Takie snuł myśli, gdy towarzysząca mu nowa dziewczyna przewidywała koniec.

Zapytał, czy mogliby podarować sobie tańce. Powiedziała, że owszem. Dodał, że jutro odwiedzi jej przyjaciółkę Yvonne.

- Mógłbyś się wiele od niej nauczyć - odrzekła. - W ogóle jej nie znasz. Powinieneś porozmawiać z nią w cztery oczy. -Odniosł wrażenie, że specjalnie jej na tym nie zależy. - Nie wiesz, co to za uczucie.

- No to mi powiedz - rzucił, co wyraźnie ją zezłościło, bo przestała się odzywać.

To jest jak parkowanie auta gdzieś przy drodze. Wysiadanie z niego. Auto jest, należy do ciebie, ale zamykasz drzwi i odchodzisz. Idziesz ścieżką do tego domu. Kobieta otwiera drzwi. Wchodzisz do środka, wchodzisz sam, niczego nie niesiesz, nie masz na sobie munduru i zamykasz za sobą drzwi. Przyszedłeś tu sam, jesteś sam z tą kobietą.

„Wejść”. To była Yvonne. Mówi: „Wejść tu”. Myślał, że był w środku, myślał, że był tutaj, ale ona dopiero go wprowadza, powoli, przyciemnia światła nie wiadomo skąd, zawęża pole widzenia, zaczernia wszystko i zostaje tylko ich dwoje. Tworzy między nimi aure, między nimi dwojgiem, i stają się bardzo wyraźni, i nic już nie jest.

„Jesteś świętym Synem Boga we własnej osobie. Powiedz to”.

Bzdury i kadzidła.

- Usiądź, John. - Zaczęła obracać się w stronę kuchni, ale zrezygnowała i spojrzała na niego stalowymi oczyma.

- Czy to wizyta Johna? - zapytała erotycznym głosem. -
Czy policjanta Navarro?

Domyślił się, że robi sobie z niego jaja.

- Jeszcze nie wiem - wzruszył ramionami.

- Nie masz na sobie munduru. Traktuję to jako dowód przyjaznych zamiarów.

Weszła do kuchni, a on usiadł w największym fotelu w salonie i obserwował przez próg, jak przygotowuje tacę z herbatą.

- Dlaczego chciałaś, żebym to powiedział? - zapytał.

- Sekundę - odchrząknęła. Czekał w milczeniu, czując się dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy była tu cała grupa i nikt nie wiedział, jak zacząć. Wróciła i podała mu filiżankę i krakersy. Na tacy stała jeszcze miseczka z szarawą substancją, przypominającą dżem. Gdy odebrał herbatę, odstawiła tacę na miękkie siedzisko w pobliżu jego kolan, a sama usiadła na podłodze po drugiej stronie.

- Pytałeś o coś - powiedziała.

- Trochę dziwne to powitanie, kiedy ktoś puka do twoich drzwi.

Małym srebrnym nożykiem do masła rozsmarowała szarą breję na krakersie i poczęstowała go.

- Gość staje u drzwi - powiedziała. - Wiem kim jest. Jest każdym. I każdy jest Świętym Synem Boga. Chciałam tyl ko, byśmy oboje uznali ten fakt, gdy witam cię u moich drzwi.

Navarro zanurzył drugiego krakersa w mazi. Chyba nie wegetariańskiej, raczej czymś z ryb. Ostrej. Może z drobiu. Był głodny. Odezwał się z pełnymi ustami:

- Mówi się, że jesteś wiedźmą.

- Mówi się?

- Taa.

- Kto tak mówi?

- Pytanie brzmi: czy ty też tak mówisz?

- Że jestem wiedźmą?

- Taa.

- Taa.

- Taa?

- Praktykuję wicca. To forma pracy. Pracy z rzeczami, których nie widzimy z powodu konstrukcji umysłu. Świat wewnętrzny jest z reguły niewidzialny.

- Każdy ma swój. Niewidzialny dla innych, prawda?
- Mówisz o myślach. A ja mówię o segmentach w naszym wnętrzu; segmentach, na które nigdy nie patrzymy, bo nie chcemy ich widzieć. Choć w ostatecznym rozrachunku byłoby lepiej, gdybyśmy chcieli. W ostatecznym rozrachunku chcemy je zobaczyć, bo nic z tego, co jest na zewnątrz nas, nie działa na naszą korzyść. To proste, naprawdę. Jeśli nie chcesz dowiedzieć się, co jest pod maską, wkrótce twój samochód przestanie jeździć. Taka postawa prowadzi donikąd.
 - Jesteś kimś w rodzaju mechanika ciemnej strony.
 - Ujmując to w ten sposób, upierasz się, by trywializować to, co robię. Ale masz poniekąd rację. To, co robię, jest formą pracy. Wymachuję kluczem i mówię: „Ma pani zepsuty gaźnik. Zapycha się w upale. Musi pani zmienić filtr paliwa, przedmuchać, co trzeba, i wtedy zapali”. - Uśmiechnęła się do niego.
 - Więc zmieniasz, przedmuchujesz i zapalasz... - Sinusoidalna stróżka dymu snującego się z kadzidelka na półce z książkami przywodziła mu na myśl jej ciało. Pomyślał, że gdyby chwycił ją w pasie i ścisnął, coś musiałyby pęknąć.
 - Może jestem nazbyt cyniczny - powiedział.
 - Zachowujesz się typowo. Ludzie obojętni na Ducha wyobrażają sobie, że to wszystko jest jednym wielkim oszustwem. Nie robię tego dla pieniędzy. Gdybym chciała zarabiać na pozbawianiu ludzi nadziei, wymyśliłabym coś bardziej intratnego. Lewe nieruchomości... Dom gry... Miałam rację? Z gaźnikiem?
 - Tak. Musiałaś zatankować z dna - stwierdził.
 - To samo powiedział mi mechanik.
- Pomyślał, że Yvonne wie dokładnie, co czuje policjant Navarro, pomyślał, że ona też to czuje i to, o czym mówią, nie ma żadnego znaczenia.
 - Mogę cię o coś zapytać?
 - Jasne.
- Rozmawiamy, czy praktykujesz te swoje gówna?
Dotknęła wierzchu jego lewej dłoni długim, nie pomalowanym paznokciem.
 - Chyba wiesz, co robimy.
To go cofnęło. Chrząknął nerwowo.
 - Co jest na krakersach?

- Trucizna.
- Smakuje jak łosoś.
- To pasztet z pstrąga.
- Smaczny.
- Herbata ci wystygła.

Nie wstając z miejsca, otworzyła palenisko żeliwnego piecyka. Odchyliła się, przyjmując pozycję tancerki z jedną nogą wyciągniętą przed siebie, a drugą opartą stopą o udo. Widział jej plecy i kręgi rysujące się pod napiętą tkaniną. Wylała herbatę z filiżanki na węgle. Rozległ się syk. Nalała mu świeżej herbaty z czajniczka. Postawiła tacę na podłodze, wstała i usiadła na pufie, pochylając się ku niemu z trzymaną oburącz filiżanką.

- Chcesz spróbować zaczarowanego naparu?

Navarro odprężył się i podniósł filiżankę do ust. Nie było w niej herbaty. Płyn był ciepły, ale nie gorący. Pił już kiedyś coś takiego.

- Zupa miso.
- Zaczarowany napar.
- Mów, co chcesz. Lubię miso, ale bez tofu.
- A bufo?
- Podobno tofu jest zdrowe.
- Pytam poważnie. Wiesz, co to jest bufo?

Ta gadka irytowała go. Spód jej stopy, wnętrze jej kolana, jej napięte udo. Palce stopy spoczywające pod udem. Siadając tak blisko, rozbiła w pył zdawkowość tej rozmowy. Niewinny łuk szyi, uniesiona broda, kołysząca się druga stopa, coraz wolniej, jak zamierające wahadło.

- Bufo jest w pasztecie - powiedziała - nie w zupie.
- Mówisz o pstrągu? Jest wyborny. Wędzony?
- Nie. Świeży. To reszta składników nadaje taki smak.
- Mam nadzieję, że nie dodałaś do tego marihuany.
- Nie, tylko lulka, bielunia... parę innych alkaloidów.
- Co jeszcze? Chyba zaczyna kręcić mi się w głowie.
- Mandragorę, żeń-szeń, grzybki amanita... tylko odrobine, dla smaku, i mnóstwo zdrowych witamin. Nasiona patatów z Meksyku. I jeszcze coś z ropuchy. Chcesz zobaczyć?
- Jeśli karmisz mnie żabami, wolę o tym nie wiedzieć.

Przesunęła się i uniosła kolano nieco wyżej. Przez jedną krótką chwilę wydawało mu się, że rozkłada przed nim nogi

we wstrząsającym akcie oddania, ale postawiła stopę na podłodze i wstała.

Navarro także wstał. Bardzo mu się to podobało. Nim zupełnie się wyprostował, zaczął rozpamiętywać rozkosz, jaką mu sprawiało uwodzenie przez kobiety z wyższych, artystowskich sfer, bo ostatecznie to on deptał ich maski, a one -niepomne na nic - odstawiały te swoje gierki do końca. Z wyjątkiem bogatych. Ale ta nie była naprawdę bogata. Pozwolił zaprowadzić się za rękę do kuchni wyłożonej impregnowanym drewnem i pełnej powabnych zapachów. Z kosza stojącego na lodówce wyjęła białą główkę.

- Czosnek.

- Nie czułem - powiedział.

- Nie było go w naporze. Poszedł za nią na zabudowany taras, właściwie graciarnię,

chłodne pomieszczenie, w którym całą ścianę zajmowało porąbane na opał drewno. Zadrżał z zimna. Zerknęła na niego.

- Musimy trzymać je w chłodzie. Wtedy lepiej się pocą.

Powtórzył sobie te słowa. Tak, nie ulegało wątpliwości, że wyraziła się właśnie tak.

- Spójrz tutaj, John.

Na polakierowanym na biało stole - do którego się zbliżył i na który zerkał przez jej ramię, napierając na nią ostrożnie od tyłu - stał marmurowy móżdżek i tłuczek, leżało kilka grzybów z białymi kropkami i kartonowe pudełko z trzema, przykucniętymi ze stoickim spokojem żabami. Nie były to wielkie, stare płazy. Na oko nie były większe niż pięść. Dwie brudne, białe sznurówki, metalowa nakrętka na butelkę, ostrze do cięcia tapet, zapalki. Wszystko to było więcej niż dziwne. Widok tych małych, przypadkowych przedmiotów zniewalał go i kusił, żeby przetrząsnąć cały ten dom, przekopać od piwnic po strych, skonfiskować, obłożyć grzywną i anatema. „Uzasadnione podejrzenie" było w końcu terminem z kodeksu postępowania karnego.

Podążyła mu czosnek nad ramieniem i bez najmniejszych oznak obrzydzenia podniosła jedną z żab i zajrzała jej w oczy; jednocześnie wzięła zza pudełka kawałek poplamionej tasiemki, prawdopodobnie brzegu prześcieradła. Żaba szarpnęła się i zaczęła płynąć donikąd, rozczapierzając błoniaste palce.

- Chcesz czosnku - powiedziała do niej. Włożyła tasiemkę do ust i dwoma palcami rozwarła żabi pysk. - Wsadzaj, John. Do samego gardła, tak...

Wepchnął ząbek między żabie szczęki. Wnętrze pyska było chłodne, suche i gładkie w dotyku. Yvonne owinęła głowę płaz kilka razy tasiemką. Żaba opuściła powieki.

- Jaka jest różnica między żabą a ropuchą? - zapytał, gdy odstawiała żabę do pudła. Pozostałe odsunęły się od męczennicy i zajęły miejsca w rogach, odwrócone do niej plecami. Ta z zawiązaną gębą i czosnkiem w pysku nie otwierała oczu.

- Wiesz? Bo ja nigdy o to nie pytałam. I chyba nie usłyszałabym odpowiedzi. Teraz zaczniesz się pocić. A w pocie są magiczne ingredencje.

- To znaczy co, mniej więcej?

- Bufotenina. Pięciohydrooksydimetylotryptamina.

- Kurwa. Tu chyba wszyscy to biorą. - Wyjrzał przez przeszklone drzwi. Koniuszki wiecznie zielonych gałązek. Psychodeliczny napar. - Co ja tu w ogóle robię? - zapytał żałośnie, bo czuł, że nie dała mu pozwolenia na okazywanie złości. Odchrząknął, próbując zebrać myśli.

- Mają jakieś imiona? - spytał.

- Tak. Wszystkie nazywają się Jeremiasz. Znasz tę piosenkę?

- Nie znam żadnej piosenki.

Na framudze drzwi wisiał sznur zielonkawych paciorków przypiętych do drewna pinezką. Jakiś amulet czy coś w tym rodzaju. Krzyż. Krucyfiks.

- To należało do pewnej dziewczyny, Carli Frizelli - powiedziała. - Ma swoją historię.

Nie odważył się dotknąć krzyża.

Żaba nie poruszyła się, ale po obu stronach wytrzeszczonych oczu pojawiły się pulsujące żyły.

- Dobrze, Yvonne. Jaka część twojego pasztetu podpada pod kodeks karny?

- Żadna. Wszystko jest legalne, policjancie Navarro.

- Nie sądzisz, że powinnaś mi o tym powiedzieć?

- John, John, czy ja pracuję dla federalów? Spojrzał

jej w oczy. Nie odwróciła wzroku.

- Chcesz, żebym zaniósł broń do samochodu?

Spowaźniała.

- Nie musisz. Ale jesteśmy tylko we dwoje.

- Nie wziąłem jej.

Pierwszy odwrócił głowę. Na pokrytym brodawkami zadzie żaby pojawiły się krople gęstego śluzu. Yvonne zebrała wydzielinę zapałką, odstawiła żabę, przeniosła śluz z zapałki do metalowej nakrętki.

- Chcesz powiedzieć, że podałaś mi to na podwieczorek?

- Po to tu przyszedłeś.

- Nie sądzę. Raczej nie.

- Tak. I po informacje. I po to, żeby być ze mną. Spojrzała na niego szyderczo, nie spuszczała go z oczu

i w końcu znów poczuł wyładowanie, a cisza między nimi szumiała elektrycznością. Coś ścisnęło go w gardle, męciło mu w głowie, pomyślał, że chwyci polano i stłucze ją nim do nieprzytomności.

- Stosunki między mężczyzną a kobietą zawsze mają coś z sadomasochizmu - powiedziała niedorzecznie, a może nie całkiem.

Chciał ją chwycić w ramiona i zmiążyć jej usta własnymi, ale ręce wisiały mu bezwładnie po bokach. Jak obciążone. Poczł ciepł jej oddechu na szyi, odwróciła się do niego plecami, chwyciła go za rękę i puściła ją, gdy tylko za nią ruszył. W salonie usiadł szybko na pufie obok pieca i oparł łokcie na kolanach, a głowę złożył w dłoniach. Wpatrywał się w niepojęty wzór tkaniny na bieżniku. Czł pod skórą pulsowanie krwi, która parła na zewnątrz. Po chwili wrażenie minęło i zdał sobie sprawę, że łapie gwałtownie powietrze otwartymi ustami. Uspokoił oddech. Wiedział, że stoi obok okna, opuszcza żaluzje, odwraca się i siada naprzeciw w fotelu. Wszystko wróciło do normy oprócz oczu -załawionych, piekących.

- Co chcesz powiedzieć?- szepnął, bo nie mógł już znieść oczekiwania na jej głos.

- Człeś falę ciepła? Pulsowanie krwi?

Próbował kiwnąć głową.

- To tylko witamina B-dwanaście. Minie. Minęło?

- Teraz zdrapiesz ze mnie pot?

- Nic ci nie jest - stwierdziła. Kiwnął

głową.

- To był błąd.
- To nie był błąd - ujęła jego dłonie. - Ty i ta kobieta macie sprawę do załatwienia.
- Jaka kobieta?
- Kobieta o imieniu Yvonne.
- To znaczy ty.
- Nie. Ja jestem Randallem MacNammarą. Pamiętasz?
- Pamiętam. - Oczy przestały go piec. Czuł pewien dystans do spraw, a poza tym wszystko było normalne. Nie było sensu walczyć z lekkim otępieniem. Wyszłoby na to samo, gdyby wypił mocne martini.
- John, każda chwila w życiu uczy nas czegoś. Ale większość z nas przechodzi obok tego obojętnie.
- No tak... Napary - westchnął. - Wiedzmy i demony. Zdarzało mi się nakładać im kajdanki. Chyba niczego się nie nauczę.
- To nie jest szkoła, John. To życie. Życie uczy nas odpowiedzialności.
- Jestem za, pomyślał, ale nie chciało mu się mówić tego na głos. Powiedział tylko:
- Snafu i tofu - i usłyszał albo zapamiętał, że wybucha śmiechem.
- Prędzej czy później bierzemy na siebie odpowiedzialność - mówiła - za świat, który sobie stworzyliśmy. - Jasne. Demony były tylko w jego głowie. Dropsy we śnie nie są dropsami, ale snem. Ale póki się śni, pozostają cukierkami. Można je jeść. Jeśli są trujące, zabijają. A potem człowiek się budzi, wciąż żywy. Ale we śnie jest martwy.
- Mam tu coś do zrobienia - przypomniał im obojgu albo wszystkim trzem obecnym.
- Co masz do zrobienia?
- Szukam Nelsona Fairchilda.
- On nie żyje.
- Ja... dlaczego tak mówisz?
- Zmarł dziś rano.
- Hm... - Navarro rozejrzał się, nie patrząc na nic konkretnego. - Podawali to w wiadomościach?
- Jesteś jednym z niewielu ludzi na ziemi, którzy o tym wiedzą.
- No tak... ale gdzie jest ciało?

- To bez znaczenia. Pytanie brzmi: gdzie jest jego dusza?
- W porządku... Czy zatem istnieje możliwość porozmawiania z nim?

- Nie w tej chwili. Później... w dalszej perspektywie... z pewnością.

- Uau! Kupuję bilet na ten seans. Jak umarł?

- Nie dysponuję wiedzą na ten temat. Ale wygląda na to, że został zamordowany. Od kilku wcieleń bierze udział w dramacie, który kończy się w ten sposób. Ale to już koniec. Teraz jest wolny.

Dotyka dłonią jego brody, przesuwa po niej palcami. Jej wargi drżą, oddycha przez otwarte usta. Był twardy. Ale skóra jest w dotyku zmęczona. Podobnie jak wargi i palce.

- Lubisz ją?

- Kogo?

- Yvonne. Tę kobietę.

- Taa - powiedział.

- Szczególnie dlatego, że lubisz niebezpieczeństwo, kłopoty i chodzenie własnymi drogami. Ona też cię lubi. Właśnie za to. I za to, że lubisz się bronić.

- No tak.

- Na tym polega odpowiedzialność, którą na siebie bierzesz.

- Taa.

- Ale jest ktoś, kto chce z tobą porozmawiać, jeśli tylko przestaniesz się bronić. Odrzucisz od siebie swoje ruchy, programy, swojego Johna Navarro. Wszystko jest tam, na zewnątrz, czeka, by zacząć się na nowo. Tutaj tego nie ma, nie ma tego w tym domu. Twoje prawdy, twoje nagromadzone riposty. To jak parkowanie auta gdzieś przy drodze. Wsiadanie z niego. Auto jest, należy do ciebie, ale zamykasz drzwi i odchodzisz. Idziesz ścieżką do tego domu. Kobieta otwiera drzwi. Wchodzisz do środka, wchodzisz sam, niczego nie niesiesz i zamykasz za sobą drzwi. Przyszedłeś tu sam, jesteś sam z tą kobietą.

„Wejdz”. To była znowu Yvonne. Mówi: „Wejdz tutaj”.

Myślał, że był w środku, myślał, że był tutaj, ale ona dopiero go wprowadza.

„Jesteś Świętym Synem Boga we własnej osobie. Powiedz to”.

Powoli przyciemnia światła nie wiadomo skąd, zawęża pole widzenia, zaczernia wszystko i zostaje tylko ich dwoje.

„Jesteś Świętym Synem Boga we własnej osobie”.

Tworzy między nimi aureę, między nimi dwojgiem, i stają się bardzo wyraźni, i nic już nie ma.

- Jestem Świętym Synem Boga we własnej osobie.

Wypuściła powietrze i odetchnęła głęboko. Emanowało z niej wielkie ciepło, prosta, zniewalająca, zmysłowa radość. A potem przeniknął ją ból, jej twarz podpływała ku niemu i złe myśli psuły jej piękno. Zasłoniła oczy dłonią i powiedziała: - *Och?* - i coś w nim pękło, jakby słuchał starej miłosnej piosenki. Skurczyła się w fotelu, jej dłoń opadła. Przypomniał sobie: „Jeremiasz był żabą rogatą”. Wypowiadał słowa. Nie umiał śpiewać.

- Nazywam się Miran.

- A kim jest Miran?

- Istnieją głębsze albo, jak wolisz, wyższe poziomy. Lub niższe, zależy, jak na to patrzysz.

- Prowadzisz nas do jakiegoś mrocznego Babilonu. Czuję to. Nie jest mi najlepiej - powiedział. I tak było, zalała go fala kłujących mdłości, przenosząca się po całym ciele wraz z krwiobiegiem.

- Nigdy nie było ci dobrze. Cierpienie jest twoją tarczą. Ból jest grzywną, którą z własnej woli płacisz po to, by nie być wolnym.

Nie patrzyła na niego ani nigdzie indziej. Ale poruszała lekko rękoma, zdając sobie sprawę z jego obecności, z jego aury.

- Wykorzystaj ją!

Oburącz uniosła ostrożnie brzeg spódnicy nad udami. Pod spodem była naga.

- Wsuń jej dłoń między nogi.

Czuł się tak, jakby wkładał rękę do płynnego żelaza tylko dlatego, by stwierdzić, że sprawia mu to przyjemność.

- Czyż nie jest wilgotna? Weź ją!

Wokół nich była ciemność, szczególnie za nią, ciemność jak światło, na którego tle była szarą sylwetką.

- Kim ty jesteś?

- Jestem Miran.

- Jesteś kobietą czy mężczyzną?

- I tym, i tamtym. Żadnym. Wszystkim naraz... Weź ją. Nie widział, czy poruszała ustami.

- Weź ją. Zrób z nią, co chcesz. Jest twoja.

Uwolnił palce ze śliskiej kępki rudych włosów między jej udami. Chwycił ją za przedramiona, opadł na kolana, ciągnął ją do przodu.

- Rzuć ją na podłogę.

Jest na górze. Widzi niemal jej oczy.

- Rozedrzyj ją.

Był w niej, ale nie odczuwał żadnej przyjemności. Podwinął jej sukienkę i przykrył spódnicą głowę, uniósł się na sztywnych ramionach i spojrzał na własne białe ciało. Nagle zrobiło się widno. Zalało go światło. Gorętsze niż fizyczna przyjemność, bardziej rozedrgane, obezwładniające. Podniósł głowę, ściany zapadły się w mrok, ukazując coś w rodzaju ekranu, na którym widział jej twarz, twarz katedralnego rzygacza, ale i jej własną - twarz anioła, okrutnego, uwznioślonego potwora o stalowych oczach Yvonne, oczach patrzących gdzieś w dal. A wokół spowijająca ją mgła. Wielkie, białe, potężne skrzydła z łuskami zamiast piór. Oczy patrzące w dal, mówiące komuś o jej zadowoleniu, pewnej siebie, sytej sobą rozkoszy. Dzielące się nią z kimś, kogo nie chciał widzieć.

Chcesz, powiedział Miran, chcesz tego, to należy do niej, weź to sobie, weź w ręce. Zdarł tkaninę z jej twarzy. Objął palcami szyję. Zetknął kciuki poniżej tchawicy i poczuł jej drzenie. Mocniej, zgaś ją, zgaś ją. Nacisnął kciukami na puls. Cudowna twarz zaczęła grubieć i puchnąć, zmieniła kolor na śliwkowy, zamknięte oczy zrobiły się skośne, jak u zadowolonego niemowlęcia, gaworzącego, gulgoczącego, posapującego. Był wypełniony po brzegi życiem: wylewało się z niego przez pory w skórze, przez uszy, przez nos, rozrywało mu czaszkę. Rozpalało powietrze na nieznośnie biały kolor, spalało się gwałtownie i gasło. Teraz tylko poświata świec, jakby za zasłoną, jakby zapamiętana. Rozluźnił ucisk na jej szyi, twarz natychmiast poblądła i zniknęła niemal, zostawiając tylko cień na dywanie. Daj kobiecie oddech, oddaj go, zatrzymaj. Dotknął palcami jej brody, rozluźnił ją delikatnie. Pocałował otwarte usta. To teraz twoje, weź sobie, oddaj - coś powtarzało.

*

Leżąc w ogrodzie, przyglądał się gwiazdom. Pływał w straceńczej panice i zmieszaniu. Meadows znał to uczucie z dzieciństwa, z czasów dziecięcych chorób. Rozumiał prawdziwe znaczenie tej sceny: żadnego lekarza, żadnego lekarstwa, żadnej mamy, żadnego taty - nikogo, kto mógłby pomóc.

Próbował dostroić się do własnych wrażeń, próbował zniechęcić we wnętrzu i czekać, aż wszystko tam samo się uspokoi. Cała rzecz, jak zwykle, sprowadzała się do dyscypliny. Bądź z tym. To sztuka. Jak surfowanie. Spajanie umysłu z ciałem.

Skoncentrował się na niebiosach. Widział potrójny pas Oriona i sztywny, wiszący miecz. Z dala od elektrycznych świateł krawędź Drogi Mlecznej była widoczna jak na dłoni, wiła się pośród słońc. Pewnego dnia ujrzy tam wybuch supernowej. Wystarczy, że będzie żył odpowiednio długo i patrzył. Starożytni wierzyli, że supernowa, nawet najbardziej odległa, oznacza, że Bóg Smok podpala skrzydła historii. Pewien szaman o imieniu Takinsata, Leczący Wąż, widział coś takiego na niebie przed dwoma tysiącami lat - tu, na tym wybrzeżu, widział tę samą gwiazdę, która zwiastowała przyjście Chrystusa na niewyobrażalnie odległym wschodzie. Obdarzyła go taką mocą, że topił skały oddechem, a pazurami rozdzierał wody jezior. Wędrował po nadmorskich wzgórzach i wrywał sobie rude włosy z głowy, rozrzucał je, a one wyrastały sekwojami. Tam gdzie rozlewał urynek, rosły rododendrony. Miał tak potężne i piękne oczy, że morskie ryby wpływały w strumienie, by je ujrzeć, i robią to do dziś, jak łososie, i patrząc w nie, znajdują narodziny, tarło i śmierć. Takinsata dał nadmorskim ludom ich język, ich sztukę, ich legendy. Potem wyłonił się z Białej Ciemności inny bóg, jeden z atabaskiego potomstwa, pochodzącego z pięciu łańcuchów górskich na północy. Dał Takinsacie czerwonego grzyba w białe plamy i Takinsata odleciał.

Ale na samym początku widział narodziny supernowej. Z niej czerpał siłę.

Meadows wpatrywał się w wirujące konstelacje. Gdzieś na krawędzi jego pola widzenia rozbłysła nieśmiała iluminacja: cichy piorun, który wydobyl się z takich głębin, że

nie mógł być słyszalny; wzgórza wokół zamigotały i zgasły, nie mogąc się zapalić w pustej ciemności. Zapłakał. Zasnął.

Później obudziło go coś strasznego. Potężny głos. Wycie bólu u fundamentów rzeczywistości, przenikające w głąb ciała. Nie, to inny piorun, wcale nie taki donośny. Przewalił się i ucichł. Usiadł. Włosy opadły mu na czoło. Wiatr robił swoje. Czuł w ustach smak ziemi. Na wschodzie zalśniły białe żyłki prawdziwych błyskawic, w powietrzu jednak nie wyczuwało się deszczu. Przyglądał się suchej burzy. Uderzyła w kanion raz, dwa razy, jakby chciała chwycić go niezdarnymi pazurami - błysk, czarna zdobycz i grzmot przesywający czaszkę; najpierw trudny do pojęcia fakt, potem dźwięk, potem głos, zachrypnięty, stary, zanikający aż do ciszy. Od pioruna zajęły się wzgórza. Przez wiele godzin wydawało się to nieprawdopodobne, ukryte, dym wznosił się jak z indiańskiego ogniska, przy którym rzadko kto czuł. Wiatr poniósł ogień w krzewy, pożar obudził się, popędził gnany podmuchem, aż na zarośniętym stoku wybuchł kłębowiskiem płomieni.

Przykucnął obok śpiwora i zapalił lampę, włożył buty, ściągnął pałatkę i leżącą na ziemi obciążył we wszystkich czterech rogach - torbą, strzelbą, kamieniem, kawałkiem drewna. Odstawił lampę i wyszedł z kręgu światła - nie mógł jej nieść, potrzebne mu były obie ręce. Szedł przez ogród, wrywał każdą roślinę i tłukł nią wściekle o ziemię, oczyszczając korzenie z grud. Odkładał wszystkie na pałatkę. Tropik - dziesięć na dwadzieścia stóp - ledwo mieścił te przedwczesne zbiory. Zwinał go z jednej strony tak ciasno, jak tylko mógł, stwierdzając ze smutkiem, że skręcił właśnie jednego, gigantycznego dzointa. Skręta o długości dziesięciu stóp i średnicy dwóch jardów, ważącego ponad sto funtów, przewiązanego żółtym nylonowym sznurkiem. Ukrył go za zbiornikiem na wodę, a całość przysypał manzanitą i rododendronami. Było już dobrze po wschodzie słońca, powietrze od tamtej strony wypełniał brunatny dym, niosący ze sobą odgłos dalekiej lokomotywy. Dwa samoloty zwiadowcze, małe cessny, przecięły niebo jak ryby wodę w akwarium.

22-24 września 1990

Krótko po dziesiątej z rana Meadows stał na cmentarzu za luterzańskim kościołem w Gualali i kończył puszkę Colta 45. Kaplica i probostwo powstały w latach pięćdziesiątych i wychodziły na stromą skarpe - pod którą stał Safeway - oddzielone od urwiska małym, ogrodzonym cmentarzem, który nie wiadomo skąd się tu wziął już na początku stulecia. Według Meadowsa było to najsmutniejsze i najpiękniejsze miejsce, jakie znał.

Ziemia należała do kościoła, doskonale o tym wiedział. Był tu wcześniej, wdrapał się od dołu, żeby oglądać... fajerwerki? Jakiś pokaz nad morzem. Nie pamiętał, co. Teraz znów je widział: siedem drewnianych znaków - nie krzyży -zbitych na ukos cedrowych desek z zatartymi już napisami.

Dziś jednak nie miał czasu na zadumę nad przeszłością, spoglądał w górę stoku, ku dwóm luterzańskim budynkom. Córka była w szkole. Ale pani Connor prowadziła księgarnię, którą otwierała o jedenastej lub coś koło tego. Stał pośród grobów, póki nie usłyszał silnika odjeżdżającego auta, a potem obszedł kościół z lewej strony, przeciwnej do probostwa.

Żaden kościół w tych stronach nie wyróżniał się rozmiarami. Ten nie był większy od tamtego, przy którym pałętał się w West Point. Nacisnął klamkę u drzwi. Zamknięte. Doszedł do węgła i wyjrzał. W otwartym garażu nie było samochodów.

Otworzyły się drzwi probostwa, zza których zawołał wielebny:

- Jestem tutaj! Chodź!

Przemierzając długi ganek, Clarence podniósł dłoń w nieśmiałym powitaniu.

- Dzień dobry.

- Nazywam się Clarence Meadows.

- Oczywiście, oczywiście... Clarence, wejdz. - Wielebny Connor, choć siedział w domu, ubrany był jak na paradę -w kowbojską koszulę z kołnierzykiem przewiazanym tasiemką i czarne spodnie. Jego wydatny brzuch był przecięty w połowie pasem z niegarbowanej skóry, spiętym ciasno kłamrą stetsona. Meadows słyszał, że Connor pochodzi z Buffalo czy Albany.

- Mówią, że mamy pożar w okręgu - powiedział pastor.
- Coś w tym rodzaju.
- Tyle strat... - przez kilka sekund przyglądał się twarzy Clarence'a. - To ziemia LP? Nie, chyba bardziej na wschodzie?

- Georgia Pacific.
Pastor zamknął za nimi drzwi i wskazał drogę do salonu.
- Tyle strat, tyle strat. I zdaje się, że wieje na wschód?
- Nie słyszałem.
- A ja tak. Nam nic nie grozi, ale straty... straszne straty... Podobno od pioruna. Co ty na to? Siadaj, siadaj. Napij się herbaty?

Clarence usiadł na sofie.

- Zna mnie pan. Słyszał pan o mnie.

Wielebny Connor usadowił się na skórzanym fotelu i nie przestawał mierzyć Clarence'a wzrokiem, w którym kryło się zdziwienie.

- No oczywiście, że cię znam, jakże mógłbym zapomnieć? Pomogłeś Cassandrze, kiedy przejechała tę nieszczęsną owcę. - Pastor miał nastoletnią córkę, pechową za kółkiem więcej niż ten jeden raz, i piękną, ciemnowłosą żonę, przemiłą kobietę, którą Meadows - kierując się tylko nosem - czynił odpowiedzialną za potajemną apostazję wielebnego.

- Myślę, że wie pan również, jakim jestem grzesznikiem.

- Hola, hola, Clarence. Nie wiem, jakim jesteś grzesznikiem. Skąd mam wiedzieć? To są sprawy między tobą a twoim sumieniem. Jedyne, co mogę powiedzieć... a nie powinienem, bo w seminarium mówili nam, że człowiek nie zna dnia ani godziny... więc jedyne, co mogę powiedzieć, to to, że się zdziwiłem, widząc cię blisko świątyni. No cóż... -uśmiechnął się i rozłożył ręce - niezbadane są wyroki boskie. Wszystko może się zdarzyć.

- Ma pan do czynienia z takimi grzesznikami jak ja?
Wielebny kiwnął głową i wzruszył ramionami, uśmiechając się i próbując uśmiechnąć się szerzej.

Meadows niczego więcej nie dodał.

- Pytałem, czy napijesz się herbaty? - spytał wielebny, wstając.

Clarence pokręcił głową. Pastor usiadł.

- Jeśli mówimy już o grzesznikach - zaczął wielebny

z wystudiowanym marsem na czole. - Nikt nie jest tak zagubiony, tak... zagubiony...

- Mówimy o mnie.

- Cóż... - pastor przerwał i myślał nad tym przez chwilę. - Nic z tego nie rozumiem.

- Fakt. Może pan istotnie nie rozumie.

I znów niczego więcej nie dodał. Pastor zdawał się traktować tę ciszę jako znaczącą. Złączył dłonie palcami. Położył je na brzuchu, a potem uniósł i dotknął nimi lekko podwójnego podbródka. Miał delikatne dłonie, bardzo jasną twarz, wydatne czerwone usta i był - wedle Clarence'a - mężczyzną stworzonym na podobieństwo dziecka: dobrego chłopca, pyzatego chłopca.

- Nikt nie lubi, kiedy krążą o nim takie plotki.

Clarence pochylił się. Nie widział całego napisu wytłoczonego na pasie Connora, ale widział dosyć, by domyślić się, że inskrypcja głosiła: DOSTANĄ MÓJ REWOLWER, KIEDY WYRWA MI GO Z ZIMNEJ, MARTWEJ DŁONI.

- Krążą jakieś plotki? - zapytał wielebny.

- Nie tu. Ale na przykład w Long Beach. U, na przykład, niejakiego Hermmana Hayesa.

- Kurwa - wyrwało się wielebnemu.

- I jeszcze, na przykład, u takiego gościa, co ma na imię Tony... nie pomnę nazwiska... Facet był kiedyś technicznym u The Byrds. Tony chyba pana zna. Podobnie jak paru innych gości z południa.

Connor bębnił palcami po oparciu fotela i głośno odetchnął. - Mamy więc wspólnych znajomych. Może przeszedłbyś od razu do rzeczy.

- To coś w rodzaju misji ratunkowej.

- Po to tutaj jesteśmy - wielebny roześmiał się i natychmiast posmutniał. - Mam nadzieję, że nie chodzi ci o pożyczkę. Bo naprawdę...

- Nie, proszę pana.

- Po prostu nie mogę. To całkowicie wykluczone.

- Mam siedem funtów żeńskich kwiatów zerwanych nieco za wcześnie. Puszczę je tanio.

Connor uniósł brwi i odprężył się.

- Tanio niech lepiej znaczy „bardzo tanio”.

- Równe dziesięć.

- Co moi ludzie zrobią z tym śmieciem?
- Wysuszą, aż skruszeje, sproszkują na drobny pył w mikserach. A potem skleja w wafelki, jakieś dwa na trzy cale.
- Skleja?
- Skleja odrobiną pokostu. Jak brykiety. Albo, jak kto woli, kief. Małe, zielone kwadraciki o grubości pół cala.
- Jaki przynoszą zysk?
- W detalu? Siedemdziesiąt za jeden, minimalnie. Wydusi pan cztery kilo z tych roślin. Pójdą po dziewięćdziesiąt, jeśli się pan postara. Egzotyczne przyprawy. Wystarczy powiedzieć: „Och, mam coś przypadkowo...” bardziej nadzianym klientom.
- Ale pokost...
- Cokolwiek. Byle działało.
- Ale mówisz, że pokost działa...
- Gdyby chciał się pan tego pozbyć, można żądać po pięć kawałków za kilo. Kłopot z głowy i podwaja pan własny wkład.
- A jak ktoś się przyczepi do... no... pokostu.
- Jeśli nawet, to co? Jebać Arabów. To ich pomysł. Kleją hasz pokostem. Przynajmniej część.
- Connor pochylił się, prawie wstał i wyjrzał przez okno ku świątyni. - Zastanawiam się, gdzie masz pojazd?
- Przy Safewayu. Wspiąłem się stokiem.
- Więc nikt nas razem nie widział.
- Nie jestem głupi. Może pan sprawdzić w Long Beach.
- A dlaczego ja?
- Bo ma pan pole manewru. Może pan pogadać z bankiem, jeśli będzie trzeba. Problem w tym... - Clarence pochylił się, wiedząc, że przesadza - problem w tym, że mamy pożar. Rośliny są w okolicy i nie mam dla nich domu. Muszę coś z nimi zrobić.
- Jesteś kolejną ofiarą suszy?
- Miałem złe miejsce. Zróbmy tak: ma pan noc na prze-myślenie całej sprawy. Może pan sprawdzić mnie u kolesiów z Long Beach. Powiedzą panu, że na interesach ze mną korzystają obydwie strony.
- Robiłeś już kiedyś te kiefy?
- Widziałem, jak to się robi. Miałem kumpla w wojsku, w marynarce, parę lat temu. Wrócił z Libanu splukany,

a miał kilka poważnych zobowiązań. Po krótkim namyśle wziął się za te wafle. Później wszyscy żyli długo i szczęśliwie.

- No tak... Ale... Clarence... - Connor machnął ręką i po kręcił głową. Opadł na fotel i zmierzył Meadowsa od stóp do głów długim, świdrującym spojrzeniem, po którym po winien poczuć się nieswojo.

Byli blisko morza i Meadows miał na sobie rozpiętą flanelową koszulę, a pod nią podkoszulek. Teraz podciągał go aż po szyję, obnażał tors, i ku zaskoczeniu wielebnego zaczął rozpinać rozporek.

- Żadnych kabli, żadnych mikrofonów. Nikogo tu nie parzy, nie zszedłem z drzewa. I jesteśmy na poświęconej ziemi, więc każde najście byłoby napaścią.

- Nie interesują mnie kruczki prawne. Wystarczy, że ktoś pokaże mnie palcem: wali mi się życiowy program. Nie, nie, nie...

- powiedział wielebny, a Clarence domyślił się z jego tonu, że instynkt go nie zawiódł. - Proponujesz mi rzecz zgoła nieortodoksyjną. Sposób, w jaki to zorganizowałeś... Cóż, mogę czuć się tylko upokorzony. Uważam, że to absolutnie nie do przyjęcia.

- Piorun z jasnego nieba, co? - zgodził się Clarence, poprawiając ubranie. - Ale okoliczności zmuszają mnie do improwizacji.

- Więc biorąc je pod uwagę, spodziewam się pewnych upustów cenowych.

- Opuściłem już wszystko, co mogłem opuścić. To zabójczy towar. Jedyny mankament to gorzki smak. Ale wystarczy zmienić strategię marketingową i uczynić z wady zaletę. Pójdzie jak woda.

- Mogę potraktować to jako najście.

- Traktuj pan, jak chcesz. Jeśli pan pasujesz, mnie tu nigdy nie było.

- Pasuję.

- Zerknij pan chociaż na towar. Zawsze można się rozmyślić.

- Pasuję.

- Osiem i pół.

- Pasuję.

Clarence wstał. - Więcej nie opuszczę. Zejdę urwiskiem. Nie musisz się pocić, facet. Nigdy mnie tu nie było.

Pastor nie wstał. Machnął ręką, jakby chciał zatrzeć w pamięci nieprzyjemną część rozmowy. - W takim razie rzucę okiem. Osiem i pół to dobra cena. Chciałem tylko wiedzieć, na czym stoję.

- Jasna sprawa.
- Zobaczymy... - powiedział Connor - zobaczymy, czy zdołamy ci pomóc w taki bądź inny sposób. Lubię pomagać.
- Niech pan sprawdzi w Long Beach.
- Zadzwoń tu i tam. Jeśli Herman cię lubi, ja też cię polubię.
- Uspokoi pana.
- Jeśli towar jest taki, jak mówisz, wchodzimy w to. Jeśli nie, bez obrazy?
- Mowa! Teraz pana ruch.
- Tak, Clarence, owszem.
- Dam panu rano parę godzin na zrobienie tego, co trzeba. Pokażę się po lunchu. Zastanę pana w domu?
- Oczywiście - wielebny Connor kiwnął głową. - Tu wykonujemy naszą pracę.

Późnym popołudniem Clarence zatrzymał się na szczycie Drogi Rozbitków, w miejscu wychodzącym na odległy wschód, i przyglądał się zmodyfikowanemu DC-3, który krążył nad ogniem. Samolot skręcił i obniżył lot nad górą dymu. Był za daleko, by Clarence mógł słyszeć silniki. Wypuścił z brzucha pomarańczową chmurę chemikaliów. Środków gaśniczych. W następnej chwili Meadows musiał otrzeć bok scouta o skały. Z przeciwka nadjeżdżał szybko jakiś pikap. Wypadł na niego prosto zza zakrętu. Minęli się w kłębach pyłu. Czarny silverado z kempingową paką.

Gdy tylko znalazł się za zakrętem i zniknął im z oczu, przekręcił kierownicę o pół obrotu w lewo, wcisnął sprzęgło i szarpnął ręczny hamulec. Pędził prosto ku krawędzi urwiska, puścił hamulec, wyprostował kierownicę, zdjął nogę ze sprzęgła i wdepnął gaz. Zarzuciło go jak na filmach. O sto osiemdziesiąt stopni. Ruszył w pościg.

Falls często śni o tym, jak zamordował ojca, wpakował mu kulę prosto w serce podczas jednej z kłótni. Czyn ten był zupełnie niespodziewany i wstrząsnął wszystkimi, choć od dawna było wiadomo, że któryś z nich wkrótce zastrzeli drugiego. Tylko że ojciec - i Falls, im dłużej żył na ziemi, tym bardziej był o tym przekonany - tylko że ojciec nie wiedział o tym, póki kula nie strzaskała mu żeber. Oczy zaszyły mu mgłą, zamieniły się w dwa jasne kamienie pod powiekami. Falls przypomina sobie to wszystko, gdy budzi się ze snu, obraca to starannie w głowie, dotykając palcami skroni, wpatrując się w twarz, którą przed chwilą wyśnił z nadzieją, że znajdzie w tych oczach odrobinę światła -a światło, kurwa, powie: wiedziałem... od samego początku igraliśmy ze śmiercią. Mijały lata i dziesiątki lat, a sen stawał się coraz mniej wyraźny. Budził się, pamiętając - choć kto wie, może sen się zużył? Sygnalizował swą obecność rozrzuconymi półobrazami, niewyraźnymi jak stacje oglądane z pędzącego pociągu.

Tymczasem Tommy poddał się i wyłączył radio. Falls powiedział:

- Dobrze. Ten odbiór doprowadza mnie, kurwa, do wrzenia.
- Nic nie słyhać.
- W Garberville jest radiostacja.
- Nie na tym sprzęcie.

Thompson przez jakiś czas zadawał sobie, wyglądając na sto jedynek i tory biegnące w wąwozie równoległym do drogi.

Falls próbował go rozerwać wspomnieniami o meksykańskiej dziewczynie:

- A pamiętasz tę meksykańską dziewczynę?
- Bo co?
- Nie była taka zła. Co powiesz?

Tommy wydał z siebie coś, co było skrzyżowaniem westchnienia i śmiechu. Spotkali ją przed dwoma dniami i obaj od razu się zgodzili, że była brzydsza od własnych majtek.

- W porządku, Bart. Wracając do sprawy. Bez owijania w bawełnę, bez kitu. *Mano a mano*.
- *Mano a mano?* Chyba *hombre a hombre*.
- Cholera! Niech ci będzie!
- Więc...

- Nie. Daleka droga, człowieku.
- W porządku...
- Daleka droga.
- Jak brzmi pytanie?
- No...
- Potraktuj to jak wojnę.
- Byłeś na wojnie?
- Nie, ale mogę się domyślać.
- Okay.
- Łatwiej będzie uporać się z tym później. Zrzucasz mundur i porządkujesz sprawy.
- No tak - powiedział Tommy. - Muszę to uporządkować.
- Tak brzmi przekaz.
- Nie wiedziałem tylko, jak będę się potem czuł. Teraz jest już po wszystkim, a ja wciąż nie wiem.
- Człowieku, nigdy cię nie zrozumiem.
- Nie musisz - Thompson przyglądał się mijanym elementom rzeczywistości. - Nawet bym nie chciał. - Zmarszczył nos. - Coś tu śmierdzi. - Brązowa, atmosferyczna mgła ciągnęła się za nimi od pożarów w okręgu Humboldt.

Zjedli kanapki na parkingu z drewnianymi stołami na północ od skrzyżowania do Leggett.

- Może któregoś dnia pójdziemy do restauracji?
- To nie byłoby mądre. Nie chcę nikomu wpaść w oko - mruknął Falls.

Thompson wstał. Spróbował rzutu za dwa punkty do kubła a śmieci.

- Dwa punkty - oznajmił, choć jego zwinięte serwetki dbiły się od krawędzi i wylądowały na ziemi. Usiadł plecami o stołu, sięgnął po *Micheloba* i powiedział Fallsowi:
- Powinniśmy wziąć ze sobą ucho albo palec.
- Ma własny basen wychodzący wprost na ocean. Nie usi oglądać niczyich uszu.
- Kurwa, facet. Po co to trzymasz? Falls znów wyjął kartki i zaczął przekładać je na kolanach.
- Jest tego ze sto stron - powiedział z podziwem.
- Po cholere ci to?
- Nie można tego wyrzucić jak ulotek z samolotu. Człowieku!

- Ale masz nastrój - powiedział Thompson.
- Wiedziałem o tym, zanim mi powiedziałaś.
- Ja nic nie czuję.
- Słuchaj, nie o to chodzi... - Falls pochylił się nad kartkami. - To chyba w obcym języku. Albo i szyfrem...
- Rozpalę ognisko.
- Rób, co chcesz.
- Daj trochę tego papieru na podpałkę. Proszę...
- Tam leży... kurewsko sucha kora - mruknął Falls.

Właśnie chował kartki do koperty, gdy obudził się Thompson. Było rano.

- Nie ma śniadania, jak można się domyślić - powiedział.
- Rzecz w tym - stwierdził Falls - że to tak samo dobre, jak palec albo nawet lepsze.
- Myślę, że rozmowa zaczęła się, zanim się przyłączyłem - powiedział Thompson.
- Ucho można dostać gdziekolwiek.
- Że co? Czy znów powiedziałaś coś głupiego? Powiedziałaś, że ucho można dostać gdziekolwiek?
- Ja pisałbym coś takiego przez rok - powiedział Falls.
- Nie umiesz nawet tego przeczytać, człowieku.
- I dobrze. Bo patrzyłem na to i mógłbym przeczytać...
- Przeczytasz?
- Nie chcę tego widzieć, nie chcę nawet wiedzieć o tym. Nie, nie przeczytam.
- Tylko nie dawaj tego Lally'emu. Musimy mieć stuprocentowy dowód zakończenia roboty.
- Będziemy mieli dowód, jak przekopimy ogród.
- Jak go znajdziemy - powiedział Tommy. - Ten facet miał delirę. Szedł na przemiał i wiedział o tym. Mógł podać nam pierwsze lepsze miejsce.
- Nie kłamał. Nie zrobiłby tego.
- Mógł to zrobić dla jaj.
- Właśnie dlatego powiedział prawdę. Dla jaj.

Gdy skończyli robotę w ogrodzie Fairchilda, umyli się na stacji benzynowej. Dwaj mężczyźni i psy świętowali przy pizzy, konserwie mięsnej Alpo i importowanym piwie Dos Equis. Dobrze już po porze kolacji zaparkowali w zatoczce

przed domem klienta i zgasili silnik. W domu nie paliły się żadne światła. Wiatr przesuwiał dmuchane zabawki po powierzchni basenu. Tommy zaczął obgryzać paznokcie. Wyglądało, jakby ssał kciuk.

- Cholera, że też nie pozwolił zadzwonić. Moglibyśmy powiedzieć coś obojętnego: „Pańskie zamówienie gotowe” czy co...

- Ma paranoję. Dzięki niej nie trafił do pułdła. Nam też by się przydała odrobina paranoi.

W kempingowej nadbudówce wybuchła kłótnia. Samochód zakotłosał się lekko.

- Kurwa ich mać!

Thompson uderzył pięścią w tylną szybę: SPOKÓJ!

- Jak dobrać się do tej trawy, będziemy mieli niezły cyrk.

- Myślisz, że psy ćpają?

- Jasne. Jak wszystkie zwierzęta. Wszystkie zwierzęta ćpają.

- Kraby? Łososie?

- Czy mogę coś powiedzieć? Napawam się naszym zwycięstwem, a ty zdaje się masz ochotę mnie wkurwić. To nie jest zabawne. Psujesz mi humor.

- Podpuszczam cię, facet. Powinieneś być akuraciejszy w stwierdzeniach.

- Pytałeś, więc ci odpowiedziałem.

- Próbuję pomyśleć. Mam wrażenie, że w oddali zaczyna majaczyć plan B.

- To kurewsko dużo towaru - powiedział Falls.

- Wiem. Wielkie umysły pracują na podobnych częstotliwościach.

- W dodatku źle wysycha.

- Nie ulega kwestii. Były za wcześnie zerwane. Mimo to...

- To może nie być tak راحتی. Trzeba będzie pójść w detal.

A tymczasem Lally wynajmie kogoś, kto pójdzie naszym tropem!

- Mieliliśmy już jedno auto na karku.

- Tego dżipa. Sam widzisz.

- I gównem z tego wyszło.

- Może i gównem, ale. Lally mógł kazać nas śledzić. Żeby się przekonać, czy trzymamy się planu.

- Ta cała cholerna rzecz... - powiedział Tommy.

Drzemali przez pewien czas, budząc się za każdym razem, gdy światła przejeżdżających aut omiatały kabinę. Lally nie pokazał się do północy.

Nie pokazał się także do pierwszej. Spali dłużej niż można było oczekiwać w takich okolicznościach. Psy wyglądały się z tyłu, ale w podstępny sposób. Niedługo ktoś będzie musiał je wypuścić albo zasrają wóz. Falls zastanawiał się, czy tęskniły za Sarą, zabiłą suką. Niczego nie było po nich widać.

- Dobra - powiedział w końcu. - Otwórz skrytkę. Nie to, człowieku, nie to. Notatnik. Podaj mi go, proszę. - Otworzył notatnik na kolanach. - Mam dla ciebie ciąg dalszy. Część drugą *Ballady o Tommym Thompsonie*.

- Brachu - powiedział Tommy.
- Pamiętasz to o kelnerce i w ogóle...
- Desperado na parkingu, no... Tak powinien brzmieć tytuł, a nie jakaś tam ballada.

- Ten kawałek będzie naprawdę o tobie. Cały ty - powiedział Falls.

- Słyszałeś, co mówiłem?
- Jasne.
- Chcę pozostać anonimowy.
- *Desperado na parkingu* - zgodził się Falls. - Druga zwrotka.

Północ już, nad drogą gwiazdy,
Ludzie kładą się do łóżek. Ty
podchodzisz na paluszkach, Kula w
łeb, sen się wydłuża. Schodzisz na
dół po kanapkę, Pijesz piwo,
słuchasz niusów, Dzwonisz do niej i
powiadasz: „Czy ty, mała, czujesz
bluesa?” Życie zaszło mi za skórę,
Przyjedź mała, siedzę w domu
Podpalimy im albumy Ogrzejemy
się w ich ogniu.

Thompson westchnął, odchrząknął, szarpnął kłamkę i splunął na ziemię.

- Coś ci powiem - mruknął. - To jest chore.
- To nie jest chore, bo płynie z serca.

- Ale to nie o mnie. Nigdy nie załatwiłem żadnej cholernej rodziny, człowieku, żeby skorzystać z telefonu.

- No wiesz, tak się zaczęło, a potem samo poszło.

- Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale poszło za daleko jak na mój gust. Nic nie mam do zwykłych ludzi. Tylko do kutasów. Wiem, o kim to jest. I o czym. Wiem.

Falls zamknął notes.

- Ha! - powiedział.

- Co?

- Nie mogę z tobą gadać, bo gadasz jak na filmie.

- Chciałeś znać moją reakcję, człowieku - powiedział Tommy.

- Powtarzasz tylko zasłyszane gówna.

- Udzielam ci uczciwej odpowiedzi.

- Nie - powiedział Falls. - Gadasz jak na filmie.

Tommy oparł głowę o fotel i wbił kolana pod deskę. Przejechał samochód i omiótł ich światłami. Znow nie ten.

- Słuchaj - odezwał się Falls, przerywając ciszę. - Czuję się odpowiedzialny, człowieku, za różne gówna. Może nie za wszystkie, ale za wiele, zbyt wiele.

- Taa. Było ciężko. Za dużo zmiennych.

- Jesteśmy wyczerpani po tym interesie, to zrozumiałe. Szarpaliśmy się od niedzieli na wszystkie strony i nic z tego nie wychodziło. Fakt, obstawałeś przy swoim, człowieku. Obstawałeś i ci się udało. Chwała ci za to.

- No, no. Musiałem mieć cię na oku. Bo zgarnęliby nas po dwóch dniach.

- Taa. Fakt. Zgadzam się z tym.

- Musiałem przykręcić ci śrubę, ściągnąć wodze i wepchnąć wędzidło do pyska.

- Fakt. Dobrze zrobiłeś.

- Przyjmuję przeprosiny.

Potem Tommy wybuchnął śmiechem, Bart także się roześmiał i wykrzyknęli jednocześnie: To dorastanie!

- Ach, człowieku. O, kurwa - powiedział Tommy. - Powiniennem ją przelecieć.

- Mówiłeś, że ją przeleciałeś. Wszystkim mówiłeś.

- A ty mi uwierzyłeś? Wykształcona zdzira w okularach i na płaskich obcasach! Z nas wszystkich tylko Yates mógł ją przelecieć. I zrobił to.

- Yates? Yates to mięczak bez jaj.
- Jest głęboko wrażliwym seryjnym mordercą.
- Taa. To może się podobać kobietom. Z jej punktu widzenia... Z jej prawie klinicznego, ale ograniczonego do pizdy punktu widzenia...
- No więc ja jej nawet nie tknąłem. A kiedy się przeniosła, Yates stracił głowę i wypłakiwał się paru ludziom. W tej sytuacji nie można mu było nie wierzyć.
- Dlaczego mnie to ominęło?
- Nie było cię.
- Wyjęła go z grupy. Rozmawiała z nim w cztery oczy. Pamiętam to.
- Już cię nie było, kiedy się przeniosła.
- „Możecie do mnie mówić pani doktor"... Mogłeś ją przelecieć, jakbyś chciał. Zabrakło ci wiary we własne siły - powiedział Falls. - Nie rozumiesz takich jak ty... sam wiesz. A co z tą Meksykanką?
- Z kim?
- No wiesz.
- Z tym dzieckiem?
- Dlaczego zawsze noszą podkoszulki z amerykańskimi napisami? To żalosne.
- Ciekawe, czy jeszcze spotkam jej synka - zastanawiał się Tommy - to znaczy później... jak dorośnie.
Milczeli, aż w końcu odezwał się Bart:
- Iak czy maczei...
Tommy powiedział:
- No...
Thompson zmienił pozycję, wziął głęboki oddech, pochylił się i przesunął ręką po włosach. Sięgnął pod siedzenie po casulla.
- Wchodzę!
- Co chcesz zrobić?
- Przejść przez furtkę, usiąść nad basenem na leżaku i odprężyć się. - Wysiadł.
- Może się nawet wykąpię! - Trzasnęła drzwiami.
Falls widział w ciemności, jak potrząsa furtką niczym bramą do własnej klatki.
- Nie jest zamknięte. Chodź! - zawołał Thompson.

Falls wyskoczył z pikapa i poszedł za nim. Stanęli nad basenem.

- Gdzie są leżaki? - zapytał Thompson. - Facet nie ma leżaków!

- Nie wiem - mruknął Falls.

- Popływam sobie przy księżycu, tylko że nie ma księżycy.

Zrzucił podkoszulek, spodnie i slipy. Ściągnął buty. Obciążył ubranie casullem. Wszedł na trampolinę, rozłożył ręce i zawołał: Aa!

- Trochę wieje, jak na taki numer.

- Aa!

- Gówno - powiedział Falls.

Ale Tommy odbił się i wskoczył zgrabnie do wody, nie robiąc przy tym hałasu.

Falls patrzy, jak pływa, prawie niewidoczny w ciemnej toni, przedziera się pod powierzchnią ku płytszemu krańcowi basenu i staje z pluskiem, pytając na bezdechu:

- Wchodzisz?

- Dobra.

Drżącymi rękoma rozbiera się do naga. Z trudem rozpina koszulę.

- Szczękasz zębami, człowieku - mówi Thompson.

- No.

- Ja też, ha!

- No, chyba tak.

- Właż. Woda jest podgrzewana, człowieku.

Falls siada nagi na krawędzi basenu i zanurza lewą nogę po kolano:

- Podgrzewana! Niech cię chuj strzeli!

Thompson odwraca się i rzuca pływackim saltem na plecy. Jego słowa dobiegają do uszu Falisa, gdy tamten ma już głowę pod wodą:

- Chuj z tobą!

Falls opuszcza obie nogi do wody, czuje pulsowanie w gardle. Zsuwa się i otrząsa. Woda sięga mu po pas.

- Lepiej niż w górskim strumieniu! - wrzeszczy i rzuca się w ciemność, płynąc do przyjaciela.

Gdy mijają Thompsona, ten łapie go za kostkę. Falls odwraca się i chwytając krocze Tommy'ego. Thompson rzuca się w bok

na głęboką wodę i, trzymając się jedną ręką drabinki, rechoce i wrzeszczy:

- Hej! - Falls przesuwa palcami po jego kroczu, tym razem delikatnie. - Hej! Nie rób tego, człowieku!

- Czego? - Falls chwyta go za udo i ściska.

- Zaczekaj, zaczekaj, zaczekaj. Chwila. Co to za historia z tym Lallym?

- Nie ma go. Koniec historii.

- Więc jeśli go nie ma, to ma pecha, bo był w złym miejscu. Właśnie podjąłem decyzję w sprawie całego kure-wskiego ładunku cuchnącej, zielonej *sinsemilli*!

- Weźmiemy ją.

- Może wysłać za nami kogo chce.

- Jak kogoś wyśle, odeślemy mu jego kutasa pocztą kurierską.

- Zabiliśmy ostatnio paru gości!

- O tak - Falls przesuwa ręką po brzuchu i kroczu Tommy'ego, ale Tommy odpływa, zostawiając go samego w wodzie po szyję. Rozbijając wodę, Falls płynie ku płyciźnie. Nie ma pojęcia, co tu się dzieje. Czy powinien być wściekły, czy zadowolony?

Thompson patrzy na niego, ale Falls nie widzi jego twarzy.

- Spadamy, człowieku! Trochę zamieszaliśmy. Mam dreszcze z podniecenia.

- Musimy spotkać się z paroma ludźmi.

- Czemu nie?

- Czemu nie?

- Zróbmy to!

- Olej to - mówi, gdy Thompson sięga po ubranie. Odchodzi w stronę bramy, nie dotykając własnych rzeczy. -Zrywam się. Chcę poczuć to wszystko!

- Hej! Zróbmy to.

- Chcę poczuć wszystko na sobie. Pieprzę nawet buty -słyszysz własne słowa. - Tego wieczoru stroje nie są modne.

- No, no. To mi się podoba. To znaczy...

- To znaczy, że mówię całemu światu: Chuj z tobą!

- Ale balanga! - mówi Tommy. - Ubiorę się tylko w to - pokazuje casulla. - Co za rozkosz!

- Co za rozkosz! - powtórzył Tommy. Splunął przez otwarte okno i powiedział: - Ciekawe, co się dzieje ze śliną na takim wietrze? Znika?

- Nie wiem. Nikt nie wie.
 - Powiniem zamarzać, a wcale mi nie jest zimno.
 - Od pewnego momentu zimno równa się gorąco.
 - Podoba mi się to.
 - Jak byśmy płynęli z wiatrem, nie? Jak stoimy?
 - Jedna para świateł tysiąc mil za nami. Poza tym świat należy do nas. Chyba że wpakujemy się na uzbrojoną ochronę.
 - Gdyby mieli ochronę, ustawiliby ją przy bramie.
- Falls zgasił silnik i spojrzeli na kopułę świątyni - ogromną jak chmura burzowa przesłaniająca konstelacje.
- Masz obcęgi? - zapytał Tommy.
 - Ale nie do tej siatki, człowieku! Za gruba.
 - Więc musimy się wspiąć i przeciąć drut kolczasty.
 - Nie trzeba. Wystarczy wspiąć się na bramę.
 - Jeden błędny ruch i jesteś wykastrowany.
 - Kto wie, czy tak nie byłoby najlepiej - powiedział Falls.

Dostanie się do samego budynku od frontu było niemożliwe. Buddyści od środka zaryglowali drzwi, wielkie jak w średniowiecznym zamku. Thompson pochylił się i łapał oddech, zmęczony po przejściu przez bramę. Jedną rękę położył na kolanie, a w drugiej trzymał casuila. - W prawo czy w lewo? - zapytał.

- Po linii najmniejszego oporu - powiedział Falls, schodząc łagodnym spadem z obszernego ganku i stukając w drewniane ściany.
- Przydałby się księżyc - powiedział Thompson.
- To tu - stwierdził Falls.
- Co tu?
- Stoimy na tym. Zsyp do piwnicy. Może jest połączona...
- Nie chce się otworzyć.
- Zejdź z niego!

Właz otworzył się do góry. Obmacywali jego krawędzie kawałek po kawałku i unieśli drugą część.

- Pytanie: czy są tu schody? I jak głęboka jest ta piwnica. I inne takie gówna... - mówił Tommy.

Falls tymczasem już zniknął we włazie, zsuwał się prosto

w ciemność, czując wokół setki nieprzyjemnych w dotyku kul, które - jak się domyślił - były ziemniakami.

- Bart, Bart - zawołał Tom my.
- Pływam w żarciu.

Thompson wskoczył do dziury, odbił się od Fallsa i zachichotał niepewnie.

- Weź mi tę lufę sprzed oczu - powiedział Falls. - I zdejmij palec ze spustu.

- Nie jest odbezpieczony.
- Co z tego?
- Nie odbezpieczam, póki nie widzę celu.
- Znalazłem schody - powiedział Falls.
- Uwważaj... Niski sufit. Zejdziemy? - zapytał Thompson.

Zeszli jakieś osiem stóp poniżej poziomu piwnicy i znaleźli się w małej komórce.

- Poczekaj, zmierzę dłonią... jakieś dziesięć stóp od ściany do ściany... - Thompson wpadł na coś i zaklął - ...znowu siedzę na tyłku.

- To ciągnie się dalej - powiedział Falls.

Tylko dokąd? Byli prawdopodobnie w tunelu, na dodatek pogrążonym w całkowitej ciemności. Falls jedną ręką wymacał drewnianą ścianę, a drugą wyciągnął przed siebie. Czuł się tak, jakby nie miał ciała.

Tommy szurał za nim nogami - śpieszył się, żeby nie zginąć - i położył dłoń na plecach Fallsa.

- Nie masz wrażenia, że trochę przesadziliśmy? - Falls miał już dosyć.

- Trochę! - parsknął Tommy. - Mocno przesadziliśmy!
- Chcesz się wycofać?
- Sram ze strachu, jeśli ty srasz.

Słowa te zmusiły Fallsa do postawienia dwóch kolejnych kroków.

Thompson szedł za nim, trzymając się jego pleców.

- Po co to robisz? Powiedziałem ci, że się boję, a ty masz to najwyraźniej gdzieś!

- Przynajmniej byłeś szczery.

Chwytał w ciemności szyję Fallsa, chwycił go za ramiona i obrócił twarzą do siebie:

- Nie, człowieku, nie wykręcaj się. Odkryłem się przed tobą. Teraz twoja kolej!

Falls przyciągnął go. Krocze do krocza.

- Słuchaj, siedzimy w tym od dawna - powiedział Tom-my. - I teraz to się dzieje! Dzieje się tak, jak chciałeś.

- Powiesz mi, że mnie kochasz? Tommy kocha Barta... Czy Tommy kocha Barta?

- Starczy! - Thompson odepchnął go i ruszył przed siebie, mimo że nic nie widział. - Teraz nic ode mnie nie usłyszysz.

Uderzył o coś lufą. Falls nadszedł z tyłu, a w głębokiej czerni otworzyła się jakaś szczelina. Thompson cofnął się, ciągnąc za sobą drzwi.

Wspinali się drewnianymi schodami, aż weszli nadzy do pomieszczenia przypominającego rozmiarami salę gimnastyczną. W nieruchomym powietrzu snuły się słodkie dymy kadzidel. Światła było mało, ale dosyć dla ich oczu. Całe ściany zajmowały małe figurki - setki figurek - i ikony, a wszystko kapowało od złota. Cisza była potworna i otuliła szczelnie głowę Fallsa. Oddychając w niej, czuł jakąś beznadziejność. Gdy się poruszył, dym poruszył się razem z nim. Przenikał przez niego. Chciał powiedzieć, że uległ dematerializacji, ale nie potrafił przewyciężyć ciszy.

Thompson rozglądał się, odgadując po kolei kolory: złocisty, błękitny, migoczące odpryski czerwieni. Światło pochodziło z tysięcy świec palących się przy posążkach Buddy ukrytych w zagłębieniach, które nadawały ścianom wygląd plastrów miodu.

- Mamy tu mały pożar, od którego robi mi się zimno.

- Nie musisz szeptać, człowieku!

- Co?

- To śmieszne. Nie rób tego.

Thompson odchrząknął.

- Fakt. Tracę autorytet.

Falls rozglądał się po zakamarkach tego świata, którego horyzonty ginęły w mirażach powielających go ikon. Ruszył przed siebie, czuł w żołądku młyńskie kamienie żalu.

- Co to jest? - zapytał Thompson.

- Wszystko drewno. Drewno pociągnięte złotem.

- Oszustwo. Jak cała religia.

- Ale musi gdzieś być złoto.

- Może farba jest ze złota. Z prawdziwych złotych płatków.

- Nie bądź dupkiem.

- Jezu! - powiedział poirytowany Thompson, wchodząc za Fallsa do małej izdebki, w której na poduszce siedział pogrążony w medytacji człowiek. Na ramionach miał szary wojskowy koc. Wyglądał młodo, kępki włosów na głowie sterczały mu na wszystkie strony. Jak u niemowlaka. Miał - zdaje się - splecione w węzeł nogi.

Spojrzał na nich, jakby byli ludźmi, których znał, o których zapomniał i których teraz musiał sobie przypomnieć, gdy Thompson oparł łufę o jego biodro i szturchnął go w kroczce.

- Przepraszam - powiedział mężczyzna.
- Cudownie. Jesz pająki na obiad?
- Czym mogę służyć?
- Chuj w dupę świata, sir. Żyły na zębach. Nie jestem niczym niewolnikiem - odparł Falls.
- Zapytam więc: co tu robicie?
- Nie wiem - odpowiedział Thompson. - Co chcesz, żebyśmy zrobili?

- On żartuje - wtrącił się Falls. - Jesteśmy tu po to, żeby obrobić wam tyłki, jeśli nie macie nic przeciwko temu. A nie macie, prawda?

Facet popatrzył pytająco, choć w jego lśniących oczach oprócz zdziwienia była także radość.

- Owszem, mamy.
- Aaa... - westchnął Falls. - Tracimy czas.

Rozejrzał się po izbie. Nic w niej nie było oprócz nieszczęsnej ofiary i zapalanej świecy, nad którą przesunął dłonią, by wprawić płomień w ruch.

- Zapaliłbym. Nie masz jakiegoś marlboro?
- Palenie zabronione.
- To po cholere palicie kadzidła. Kadzidła powodują raka.
- Dopuszciliście się najścia prywatnej własności.
- Psujesz mi scenariusz - odezwał się Thompson. - Wyczuwam złe wibracje. Powinieneś umrzeć. - Podniósł łufę casulla na wysokość oczu i wziął głęboki oddech. - Hej! - mruknął. Zerknął ponad broń na oświeconego o niemowlęcych włosach.

- Pan nie żyje, sir - zapewnił go Falls.
Mnich okrył się starannie kocem i zapatrzył w jakiś punkt między nimi, próbując się uśmiechnąć lub śmiejąc się wbrew własnej woli.

- Mały mniszek! - zadrwił Falls.
- Człowiek-małpa. - Thompson podszedł bliżej, jego skurczony organ wisiał nie dalej jak dwanaście cali od twarzy siedzącego. - Jak ja wyglądam?
- Wyglądacie jak... japońskie demony.
- Potrzeba nam będzie kurewsko dużo klejnotów, żeby zmasać tę zniewagę - powiedział Falls. - I jakaś torba, że byśmy mogli je zabrać do domu.
- Tutaj nic nie jest moje. I nic nie należy do was.
- Dlatego mówimy o rabunku, sir. Dlatego używam tego słowa, mając na myśli naszą transakcję.
- Więc gdzie to jest, małpo?
- Co?
- Złoto, kamienie, mityczne skarby.
- To jest złoto - powiedział mnich, wskazując oczyma zacienioną niszę.

Falls zajrzał do niej i wyjął posążek. Podobny do innych, może mniejszy. Figurkę grubego, brzuchatego, cygańskiego Buddy z kolczykami w uszach, w trójkątnym kapeluszu na głowie pokrytej loczkami. Budda miał zaciśnięte, radośnie świńskie oczka i był dosyć ciężki jak na swoje wymiary.

- Wygląda na złoto - powiedział Falls.

Thompson usiadł przed mnichem, krzyżując nogi. Położył broń na udach.

- Więc... skąd się tu wzięłeś? Mnich nie odpowiedział.

- Pytam: skąd jesteś?

- Z Connecticut.

- Gówniany stan - mruknął Thompson.

I - Nie - zaprzeczył mnich. - Żadne miejsce nie jest lepsze od innych. Falls odstawił Buddę na podłogę. Pierwsze koty za płoty. - Nikogo tu nie ma? - Jest parę osób. W istocie niewiele - powiedział mnich. - Wciąż się rozbudowujemy. - Potrzebny mi jest ten koc.

Mężczyzna wyprostował rękę, zsuwając koc z ramion. Odłożył go obok siebie. Pod spodem miał szary dres.

- A ta wieża? Pokryta jest prawdziwym złotem?

- Płatkami złota, tak.

- Mówiłem ci, kurwa! - krzyknął Thompson. - Na marginesie: właśnie postanowiłem darować ci życie. Za tę odpowiedź.

- Na ścianach wyryte są święte teksty. Chcecie złota, ale prawda zawarta w tekstach dałaby wam o wiele więcej. Chyba... - mężczyzna westchnął, jakby własne słowa sprawiały mu ból - chyba że już ją znacie.

- Zmieniłem zdanie. Zabiję cię. Masz prawo do ostatniego słowa przed kamerą.

Mnich nie był żadnym mnichem. Był jakimś zwykłym, chudym, pieprzonym wegetarianinem, zdumionym, że jego życie przybrało taki obrót. Obok niego na podłodze stały sportowe buty. Za białe, za czyste. I choćby tylko za to należała mu się kula w łeb. Thompson przystawił mu lufę do czoła.

- Wiesz, co robię? - zapytał i był naprawdę ciekaw, czy facet pojmuje.

- Nie.

- Mam w ręku wielki kawał broni. Ta broń zada ci ranę, na którą współczesna medycyna nie zna lekarstwa. Patrz, zasłaniam się ręką, żeby odłamki kości nie trafiły w moją twarz.

- Nie - powiedział mężczyzna.

- Nie - co? Mam się nie zasłaniać?

- Nie zadawaj mi rany - odparł mężczyzna.

- Tommy... Klejnoty - wtrącił się Falls. - Może najpierw dowiemy się, gdzie są?

- Nic tu nie należy do mnie - powtórzył mnich, patrząc na broń i na strzelca osłaniającego się wolną ręką. - Jeśli wydaje się wam, że możecie stąd coś ukraść, ulegacie iluzji. Posłuchajcie mnie. Jest kara, którą płaci się za nieumiejętność oddzielenia prawdy od złudzeń. Tą karą jest iluzja.

- Kit - powiedział Falls.

- Tak. To nawet lepsze słowo. Karą za kit jest kit.

Tommy opuścił dłoń.

- Zmieniłem zdanie. Jeśli zgarniemy trochę staromodnych łupów, nie zabiję cię. To moja ostateczna decyzja.

- Nic z tego nie należy do mnie ani do was. Nikt nie jest w stanie tego zmienić. Zastrzel mnie.

- Uau! - krzyknął Tommy. - Odbiło ci! Oszalałeś.

- Wszyscy jesteście szaleni - zgodził się mężczyzna. -
Niektórzy bardziej od innych.

- Dobra, walnę cię trochę później, po wszystkim - powiedział Tommy. - Jak do tego doszło, że tak cię pojebało?

- Czy mogę dostać twój wielki kawał broni? - Falls zaczął się niecierpliwić.

Tommy podał mu casulla, a Falls stanął nad nim.

- Więc gdzie jest reszta?

- Modli się w sanktuarium.

Tommy zwrócił się do Fallsa:

- Myślisz, że wiedzą, że tu jesteśmy?

- Oczywiście, że wiedzą - odpowiedział mężczyzna. -

Modlą się za was.

- Nie gadaj! Jak masz na imię? - zapytał Tommy.

Mężczyzna nie chciał tego wyjawić, ale w końcu odpowiedział:

- Bill.

- Chciałbym już skończyć z tym panem - mruknął Falls.

- Chwila. Ja i Bill rozmawiamy sobie - rzucił Tommy.

- Nigdy w życiu nie zastrzeliłem faceta za nic. Ale ten...
człowieku! To zwykle ścierwo. Z gruntu pizda. Ludzka wagina.

- Uważam, że jest zabawny i głupi.

- Posłuchaj mnie! On jest... on jest... zły!

Mężczyzna zamknął oczy.

- Jesteś wniebowziętym skurwysynem. Myślisz, że jesteś
tak jasnie oświecony, że dasz sobie radę z kulą w głowie?

- Nie, sir. Nie wiem, co się dzieje i boję się.

- Więc po co tu siedzisz i moczysz kutasa w ziemi?

- Nie dam sobie rady z kulą. Ale dam sobie radę ze strachem.

- Wybaczcie, panowie - powiedział Tommy i wyszedł nagle małą drzwiami.

- O co mu chodzi? - zapytał Falls.

Mnich nie odpowiedział. Nie otworzył nawet oczu.

Falls czuł, że do tej pory nieźle się trzymał. Teraz zaczął ciężko dyszeć: uznał, że traci kontrolę nad sytuacją. Odbezpieczył kciukiem broń. Trzask zabrzmiał wybornie, precyzyjnie, jak kłaśnięcie językiem o podniebienie. Broń była arcydziełem sztuki rusznikarskiej. Ale. Cel nie dalej jak dziesięć cali od lufy, z której można by trafić w Marsu

Pochylił się i wsunął lufę pod brodę mężczyzny. Zastanawiał się, czy go nie uszczypnąć, by zwrócić na siebie uwagę, ale mnich otworzył w końcu oczy. Chciał coś powiedzieć, ale bał się, że powie coś złego.

- Jesteś gotowy, piździelcu?

- Niezupełnie, nie...

Thompson wczuł się do izdebki i szepnął coś na bezdechu.

- Co?

Thompson powtórzył przyciszonym głosem:

- Na zewnątrz są pojazdy.

- Gdzie?

- Na drodze. Słyszałem koła i drzwi, ale żadnych głosów.

- Kto to? - Falls zwrócił się do mnicha. Mężczyzna pokręcił głową, uniósł ręce i znów pokręcił

głową.

- Dobra - rzucił Falls. - Zobaczymy... o kurwa... - nie mógł skupić myśli.

- Zamykali drzwi kurewsko cicho - powiedział Thompson.

Wysunął rękę przed siebie i szczerzył zębami.

- Dobra - powtórzył Falls. - Wszyscy morda w kubel. Przeżyjemy i to...

Thompson usiadł ostrożnie na dywanie. Mnich wyprostował się, zamknął oczy i zaczął oddychać wolno i miarowo. Falls oparł się o ścianę - szorstką w dotyku, z prefabrykowanych skał. Zgiął lewą nogę i oparł na niej przedramię. Spędzał tygodnie, miesiące, a nawet lata - jeśli dodać wszystko razem - w takiej lub podobnej pozycji. W pomieszczeniach mniej więcej wielkości tego, w którym byli teraz.

Thompson odezwał się bardzo cicho:

- Jak długo będziemy czekać?

- Do usranej śmierci. I dłużej, jak będzie trzeba.

Po długiej chwili, która mogła być nawet godziną, Falls zaczął myśleć o meksykańskiej dziewczynie. Pomyślał, że Thompson też o niej myśli i o wielu innych rzeczach: ma w głowie całą Kalifornię, którą zjeździł w tę i z powrotem przez całe życie. Dlatego te małe pomieszczenia robiono aż tak małe. W końcu jednak człowiek się przyzwyczajał. Trwało to ze trzy, cztery miesiące, zanim ucichł gwar zabaw, a ulice zamieniły się w popiół, który rozwiewa wiatr. Potem

człowiek był już ustawiony. Wolny od domu. Wystarczyło trzymać się z dala od telefonu.

Byli tu już tak długo, że wszystko, co się działo, mogło równie dobrze trwać wieczność, choć w istocie zaczynał się dopiero świt.

Dwaj nadzy mężczyźni wyszli na tyły świątyni. Byli zmieszani. Szli wzdłuż ogrodzenia przez pastwiska, mijając pary i trójce dębów, które stały tuż przy własnych wielkich cieniach; szli drżący, ogarnięci zwątpieniem, mając z boku widok na złotą pagodę.

- Nie zawracaliśmy - powiedział Falls. - Nie sądzę.
- Gdzie to kurewstwo?

Chłód nie ustępował, choć tu i ówdzie nad pastwiskiem było cieplej i przytulniej, a powietrze miało zapach domowych wypieków. Pierwsze promienie słońca przebijały się przez mgłę, a może dym odległych pożarów.

- Gdzie bryka?
- To jest złoto...

Tommy przełknął świadomość, że wozu nie ma nigdzie w pobliżu, i zapytał:

- Na pewno?
- Ciężkie jak cholera.
- Może być malowany ołów.
- To złoto. Waży funt albo więcej.
- Ile to warte? Jaka jest cena złota?
- Nie wiem. Ale i tak tego nie sprzedam.
- Zdziwił się, że go nie walnąłeś.
- Za to złał się w pory.
- Nie widziałem.
- A ja widziałem. Mogłeś mi pozwolić go walnąć.
- Przecież ci nie zabraniałem. Tak wyszło, człowieku.
- Aaa - westchnął Falls. - Zabawiłbym się z nim. Znam zasady.

- Ciii... - powiedział Thompson.

Ktoś - jego długi cień rysował się niedokładnie na trawie mokrej od rosy - szedł w ich stronę.

- Wiesz, kto... wiesz, kto to jest? - zapytał Falls.
- Nasz stary kumpel?
- To on! Facet, co wypatroszył sukę Buska! Nie?

- Zniszczę go.
- A może to nie on.
- To byłby pech.
- Ma strzelbę.
- Nie widzi nas.
- Lepiej wróćmy po psy.
- Nie widzi nas.
- Taa? To w co celuje?

Falls uczył Meksykankę słów... Dotykała jego sinych blizn, a on mówił: blizny.

Blizny na piersi były od gwoździa, dużego gwoździa, największego z tych, jakie sprzedają: numer dwadzieścia, galvanizowany. Tylko skąd się wzięły? Pamiętał faceta na parkingu i kogoś, kto unieruchomił mu, Fallsowi, ręce od tyłu. Był pijany i rozlał coś na bilardowy stół. Odplacili mu z nawiązką za tę niezdarność.

Teraz miał przy sobie taki gwóźdź. Nosił go od tamtej pory.

- *Estrellas*.
- Nie, nie gwiazdy - powiedział, a potem sen się skończył.

Dwaj adepci zagłębili się na dziesięć jardów w pełną starych liści dąbrowę, po czym zwolnili kroku, znieruchomieli i ukryli się - każdy oddzielnie - z prawej i lewej strony za parą madrone.

Meadows klęczał przed ogniskiem, nadziewał na rożen dwa kawałki mięsa, nie większe od pięści. Nie podniósł głowy.

Adepci przyglądali mu się przez pewien czas, a potem wyszli na otwartą przestrzeń i skierowali się do Meadowsa pochylonego nad ogniem jak człowiek pierwotny.

Ranek był chłodny i obaj mieli na sobie ciepłe kombinezony i flanelowe koszule. Było bezwietrznie, ale czuło się zapach ognia, choć z ogniska pozostały tylko węgle.

Jeden z nich powiedział:

- Raczej nie.

Wyższy z adeptów przyglądał się uważnie neandertalczykowi.

- Jeśli jesteś pewien - odpowiedział koledze.

Ten podszedł tymczasem do złamanego pnia i spojrzał na

przedmiot oparty dziwnie o drzewo. - To nasze - powiedział. - Skradziona własność. - Schował przedmiot do kieszeni bardzo niebieskiego kombinezonu.

Zbliżył się do Meadowsa, który nie podniósł się z kolan, jakby go nie widział albo nie chciał widzieć.

- Powinieneś wiedzieć, że naruszasz prawo. Nie mogłeś przejść nieświadomie przez dziesięciostopowe ogrodzenie.

Meadows zerknął w głąb niewielkiego lasu tu i ówdzie nakrapianego światłem, pełnego rozrzuconych, pochyłych maderon o papierowych liściach, postrzępionych, czerwonych jak skóra, i o zielonych pniach.

- Czy coś cię łączy z dwoma mężczyznami, którzy włączyli się tej nocy do naszej świątyni?

Neandertalczyk szarpnął węża, rozdziawił usta i zneruchomiał: brakowało mu słów.

- Musisz opuścić ten teren - powiedział adept. - Natychmiast.

Neandertalczyk oddychał ciężko, wypuszczając powietrze przez nos. Potem odchrząknął. Oderwał oczy od lasu i spojrzał na adeptów.

- Chyba mogę dokończyć, to co zacząłem.

Adepci początkowo chcieli upierać się przy swoim, ale zmienili zdanie.

- Ta zwierzyna, którą piecesz... Czy tłumaczy strzały, które słyszeliśmy wcześniej?

Meadows podniósł rożen i zdjął z niego posiłek, który ułożył na brudnym talerzu z dębowej kory.

- Chyba nie dacie się namówić na poczęstunek?

- Nie jadamy mięsa - powiedział adept.

- Chyba nie.

- Ty zabiłeś. Ty zjadasz - powiedział. - To twoje.

- Gdzie byłeś? - zapytała Mo.

Gdzie? Nad przepaścią, w wietrze nad brzegiem morza -jak w reklamie pontiaka...

- Piłem - powiedział.

...aż w końcu skaleczył się w rękę, wyrzucając przez okno auta pustą butelkę po cuervo. Daleko w spienioną toń.

- Znowu dzwonił Merton - mruknęła, stojąc z rękoma splecionymi pod biustem. - Nie wiedziałam, co mu powie-

dzieć. Wczoraj, kiedy dzwonił, powiedziałam, że mundur jest w szafie.

- Mundur!

Najlepiej zabrać się do tego od razu.

Ściągał sweter przez głowę, płynął na tył domu jak bezgłowy korpus i obijał się o ściany. Szła za nim, dotarła do progu sypialni. Stał przed szafą ze swetrem i koszulą wepchniętymi pod pachę, choć nie uwolnił jeszcze prawej ręki z mankietów. Opierał się nią o drzwi szafy, jakby chciał zedrzeć z siebie ubranie. Opuścił dłoń, cofnął się, chwycił gałkę.

Skończyła już mówić.

Gdy odwrócił się, trzymając mundur za kołnierz niczym złodziejaska, jej już nie było. Upuścił sweter i koszulę na podłogę. Przydepnął je stopą.

Przeszukał mundur, znalazł to, o co mu chodziło, a resztę rzucił na bok.

Mo stała w kuchni ze spuszczoną głową, zamkniętymi oczyma, oparta lewą ręką o stół, może dla równowagi. Chwycił krzesło za oparcie, wyciągnął je spod stołu krótkim, niepewnym ruchem i usiadł naprzeciw niej, opierając łokcie o blat i obracając w dłoniach odznakę.

- Byłem mężem wielu kobiet takich jak ty. Nie poruszyła się.

- Bicie kobiety to kurewstwo i tchórzostwo.

Dwoma palcami chwycił lewy sutek i wbił w niego odznakę.

- To też kurewstwo i tchórzostwo - powiedział.

Siedzi przy stole z odznaką wbitą w nagą pierś.

- Wyglądam jak punk - mówi i patrzy na nią z rozdzielonymi ustami i ze wzrokiem starego psa. - Wyglądam jak punk, he?

- Chyba tak.

- He?

- Tak.

- Wyglądam jak punk.

- Prawda.

- Cholerna prawda.

Zdjął z pasa przypinaną kaburę i położył ją przed sobą na stole. Po kilku głębokich oddechach wyjął z kabury siną czterdziestkę piątkę i ujął ją oburącz, lekko, z rękoma

znów opartymi na stole, z lufą skierowaną mniej więcej w jej stronę.

Jest biała jak kreda, robi ze strachu w majtki:

- Człowieku, wcale mi się to nie podoba.

Widział, jak stoi oparta jedną ręką o stół, z kolanem zgiętym do środka; wpatrzona w niego, szukająca czegoś w jego twarzy.

- Masz prawdziwy wdzięk - powiedział.

Trzymał złotą odznakę w dłoni, a Jenny mówiła o samochodzie. Silnik Wankla był bardzo nietrwały, a kapitalny remont stwarzał same problemy, i to problemy nie do pokonania z uwagi na myśl techniczną tutejszych mechaników...

- Lubię wielkie V-8. Nie zamieniłbym ich na nic innego - powiedział.

Przestała mówić, skrzyżowała nogi i siedziała, patrząc na telefon. Dopóki Merton znów nie nabałagani, nie miała nic do roboty.

To nie była wina odznaki. Nie można zrzucać na nią odpowiedzialności. Odznaka nie była przyczyną choroby, natomiast ostrzegła o niej innych.

Przypiął ją do kieszeni munduru i zadzwonił do biura koronera w Ukiah. Minęło już jedenaście dni. Wyjaśnił to asystentce administracyjnej po drugiej stronie linii i powiedział, że nie może tego pojąć.

- Czekam od jedenastu dni i nie widzę na swoim biurku raportu o przyczynach zgonu. Przyczyny zgonu Williama Fairchilda. Przypuszczam, że powinienem zeznać coś do protokołu. Znalazłem ciało jako pierwszy... - powiedział. - Znalazłem ciało!

- William Fairchild? Nie widzę go. Nie mam nic zaplanowane w tej sprawie. Czy to był pseudonim?

- Nie, proszę pani.

- Niech mi pan poda jeszcze jakieś nazwisko.

- Nazywał się William Fairchild. Kropka. Strzał w głowę.

- Aaa, ta sprawa z Point Arena. Już wiem! Ale nie mam jeszcze żadnego planu.

- Nie pojmuję! Nic nie rozumiem - powiedział głosowi. - Macie już ostateczny raport? Taki jednostronicowy formularz

z nagłówkiem biura szeryfa, zaadresowany do okręgowego koronera?

- Nie, proszę pana.

- A co z zeznaniami?

- Nie jestem pewna. Chyba nie będą potrzebne. Ludzie szeryfa przedstawili nam swój raport i koroner uznał to za samobójstwo.

- Na podstawie ich raportu? A umiejscowienie rany?

- Nic o tym nie wiem, proszę pana.

- Dostał kulę od tyłu! W tył głowy! Chyba nie sądzi pani, że sam odstrzelił sobie twarz, prawda?

- Może pan wspomnieć o tym koronerowi. Nie wiem, może pomyliłam sprawy. Może potrzebne będzie zeznanie. Nie, już wiem, chodziło o ten list... Mam tu notatkę służbową. Piszą, że po potwierdzeniu autentyczności pisma z listu samobójcy uznaje się śledztwo za zamknięte.

- Kto tak napisał?

- Ta notatka przysłała do nas z biura szeryfa. Z datą dwudziestego pierwszego września.

- Myślałam, że pani tego nie ma.

- Nie mogłam znaleźć, przepraszam.

- Chryste! Jeszcze nie było wielkiego wstrząsu! Point Arena wciąż jest na mapie! Słyszała pani o nas? Proszę mi to przefaksować. I wszystko, co pani dostanie w tej sprawie od tej chwili!

- Wolałabym, żeby pan się nie unosił, policjancie.

- Proszę - powiedział.

- Jesteśmy po tej samej stronie, pamięta pan?

- Proszę więc informować nas o wszystkim, co się dzieje.

- Wysyłam.

Navarro odebrał faks. Trzymał w ręku notatkę zajmującą nie więcej niż dwie linijki. Czuł pulsowanie w skroniach z wściekłości. Może koroner widział raport z sekcji, ale z notatki nie można się było tego dowiedzieć. W charakterze załącznika przedstawiano jakąś ekspertyzę laboratoryjną, której treść pozostawała tajemnicą. Zadzwoił do laboratorium w San Francisco. Owszem, przesłali komuś, gdzieś, jakiś raport; mają jego kopię w komputerze, jak oznajmił technik.

- Można to przefaksować?

- Najpierw trzeba by wydrukować.

Ugryzł się w język.

- Jak długo?

- Zwykły czas realizacji prośby to czterdzieści osiem godzin.

- Z kim mam porozmawiać, żeby przeczytał mi ekspertyzę przez telefon?

- Może pan porozmawiać ze mną. Proszę poczekać chwilę, muszę się najpierw załogować. To potrwa... Mógłbym do pana oddzwonić, ale po drodze musiałbym odebrać dziesięć innych telefonów. Więc lepiej niech pan zaczeka...

- Zaczekam.

Technik odezwał się po minucie. - Pamiętam to - powiedział. - W porządku. List ofiary...

- Zgadza się. Odczytał pan?

- Taa. Liż cipę.

- Co?!

- No tak! Trzeba odejść parę kroków, żeby to zobaczyć. Jeden z naszych to odkrył. A potem ktoś ukradł. Na pewno któryś z techników...

- Chwileczkę. Dlaczego pan mi to robi?

- Co?

- Kpi pan ze mnie.

- Nie.

- Tak. Chyba że mówimy o dwóch różnych rzeczach.

- Ja mówię o czapce.

- O jakiej czapce?

- Baseballówce.

- Chwileczkę. Czy ma pan przed sobą ten raport? Czy może mi go pan przeczytać?

- William Fairchild?

- Tak jest. Co tam jest napisane?

- No... grupa krwi O Rh plus, jak u większości ludzi, mózg, fragmenty kości, proch, miedź, stal i tak dalej, co odpowiada rodzajowi rany. Grafit na palcach. „Rozwiązałem problem”.

- Kto? Pan? Co z tym listem. Był list napisany ołówkiem.

- Stąd właśnie grafit. List, ostatnie słowa ofiary: „Rozwiązałem problem”.

Odpina odznakę i przybija ją na wysokości piersi do chropawej kory jakiegoś dębu. Uderza w nią - pring! pring!

pring! - młotkiem, co przypomina czołówkę serialu *Dragnet*; tylko że tam wielki młot miażdżył odznakę numer 714.

Wszystko zostało już powiedziane - przez starych, grubych gliniarzy, którzy kończą życie w przyczepach, otoczeni wędkami i flaszkami po wódzie. Przepraszam za zamieszanie. Szkoda, że nie ma kto posprzątać. Tak wygląda przeciętna. Tak wygląda zgnilizna. Tak wygląda normalność aż do bólu. Czuł się jak topielec wrzucony do kloaki... Uwiesił się odznaki jedną ręką. Potem cofnął się o parę jardów.

Dałem ci nadzieję, że się uda. Kochałem cię w burzy. Znikam jak chory światełko.

Stoi i patrzy na ciąg idiotycznych wzgórz ku miejscu, gdzie się kończą, a później odchodzi do firebirda z włączonym silnikiem i otwartymi drzwiami, który tarasuje gruntową drogę. Rzucił młotek do tyłu, sięga na siedzenie pasażera po plastikową kaburę, przenosi ją nad dźwignią zmiany biegów, otwiera kciukiem i wyjmuje colta 0,357: nierdzewna stal, wykończenie, które nazywają „ostatecznym”. Obok trzy pełne magazynki. Tak to wygląda: cylinder w bok, magazynek do środka, komora pełna, cylinder zamknięty.

Rzucił pusty magazynek, nie patrząc gdzie, dwa pozostałe umieścił w prawej i lewej kieszeni mundurowej koszuli, odwrócił się i wypalił. Na ziemię spadł kawałek kory. Stał oniemiały, a huk wystrzału niósł się dolinami jak koło po szynie.

Dym wisi w powietrzu przez sekundę, potem wsysa go podmuch wiatru.

Postał moment i jeszcze parę innych, naciskając spust w miarowych odstępach, dopóki nie stracił z oczu odznaki. Zmiotł ją z horyzontu. Ale nie całkiem. Dostrzegł ją po prawej stronie pnia, migoczącą w trawie. Poszedł po nią, podniósł, zawiesił na dębnie - miała nową dziurę, w którą wepchnął sęk - cofnął się o pięć kroków i przeładował.

Zbliża się do odznaki z wyciągniętą ręką, strzelając po każdym kroku, odznaka wylatuje wysoko i, wirując, spada w trawę, przeładowuje więc jeszcze raz, staje nad nią i strzela, idzie tam, dokąd skacze, i znów strzela, tropi ją wśród cieni dębów, strzelając, strzelając, strzelając, aż nic z niej nie zostaje.

*

Zaparkował obok Drogi Nadbrzeżnej i ruszył cicho, niewidoczny w czerni munduru, wzdłuż karłowatych drzewek szkółki leśnej nad morze, ku przepaści. Wiatr niósł ujadanie psów: był na terenie prywatnym. Kręciło mu się w głowie, miał chyba skoki ciśnienia. Księżyc, choć niedostrzegalny, był gdzieś na pewno, bo w świetle padającym spoza chmur oglądał własne dłonie. Zatrzymał się przed urwiskiem, odpoczywał na wysokościach nad implodującym oceanem, a potem zaczął schodzić na mocno ugiętych nogach, szurając siedzeniem po węzłach gołych korzeni, po kamieniach; zsuwał się z rozpostartymi ramionami i chwytając wszystko, co dawało oparcie. W końcu grunt się wyrównał, poczuł pod stopami brzeg napięty niczym muskuł, usłyszał wodę liżącą skały, oddychającą.

Był na północnym krańcu małej zatoczki, niemal pozbawionej plaży. Na klifie zamykającym ją od południa stał jej dom. Nie wiedział, dlaczego nie może po prostu przemierzyć podjazdu i zapukać do drzwi. Nasłuchiwał własnych wyjaśnień i nie usłyszał niczego. Stał zawstydzony i piękny. Trochę dalej od brzegu ocean rozbijał się w pył o ogromne skały, ale uznał to za złudzenie - to skały zamieniały się w proch. Czuła go, musiała go teraz czuć. To było ich miejsce. Przyjdzie. Widziała go teraz.

Szaleństwo. Ale sposób, w jaki płakała przerażona zaraz potem. Widzieć ją tak poniżoną. Nawet jeśli nie był tym, który ją złamał.

Szedł w ciemności wzdłuż brzegu i znalazł ścieżkę prowadzącą do niej, wspinał się szybko, bez wytchnienia, i ujrzał zarys dachu nad urwiskiem, ujrzał wielkie przeszklone drzwi prowadzące na balkon, w których odbijały się nocne chmury nad wodą.

Może pozwoli mu wejść ostatni raz. Potem koniec. Naśle na niego gliny. Merton będzie go musiał stąd wyciągać.

Na tyłach domu nie paliło się światło. Obszedł budynek -od frontu było tak samo. Dom spowijały ciemności. Czekala w środku... Stał nieruchomo, nie wywołując najmniejszego hałasu. Od jej drzwi dzieliło go mniej niż dwadzieścia stóp.

Aresztują go, jeśli będzie tu przychodził - rozumiał, jakie ma dla niej nadzwyczajne znaczenie, wiedział, że nie da się tego odzyskać. Może tylko ten jeden, ostatni raz. Stał jak

zahipnotyzowany wśród powykręcanych, udreżonych drzew. Ilu było tu przed nim, ilu z nich było jej kochankami? Szedł ku drzewom. Nie wiedział, co za nimi znajdzie. Nie wiedział, co zrobi. Ale wiedział, co za nimi znajdzie. I wiedział, co zrobi.

1

14-25 września 1990

Cztery dni wcześniej, nim Clarence Meadows zastrzelił ich obu, jechali drogą 101, by podjąć na nowo karierę w przemyśle drzewnym i znów spać na prześcieradłach. Falls splunął na uciekający świat i powiedział do Thompsona:

- Robisz to. Robisz to. Robisz to teraz dobrze.
- Cudownie - odrzekł Thompson. - Tak jak mówię.
- Przyznaję, że uważam to raczej za podświadome - dodał Falls.

- Więc nie mówię? Jestem niemy?
- Włóż koszulę, dobrze?
- Jesteś przemęczony.

Falls milczy. Obraca w myślach ziarno nienawiści.

- Więc obejrzelśmy świat - oznajmił Thompson. -I w końcu wyrównaliśmy rachunki.

- Straciliśmy starą Sarę.
- To strata Buska, nie moja.
- To była dobra suka. Busk będzie chciał dostać odszkodowanie.

- Mam u niego kredyt. Ile on ma lat? Chyba z osiemdziesiąt. A pije, pieprzy i pali, od czego podobno się umiera.

- Hej! - krzyknął Falls. - Spójrz na to.
- Zatrzymaj się! To może być to!

Żeby zjechać z autostrady, Falls musiał najpierw się zatrzymać, następnie cofnąć poboczem. Jechał wolno, patrząc w szerokie wsteczne lusterka.

- Niewiele jest takich pierdziawek ze szmaccianą budą. Co powiesz, facet?

- Urodziłem się pod dobrą gwiazdą - oznajmił Thompson. Dojeżdżali wolno do porsche.
- Nagle zaczęło mi się to podobać. Fajnie jest.

- Jasne. Jesteśmy jak detektywi.
- Myśliwi, ale na wyższym poziomie. Bardzo wysokim poziomie.

Pierwszy raz natknęli się na Fairchilda niemal przed tygodniem w Point Arena. Na ich widok hodowca maryhy popędził na północ wzdłuż wybrzeża. Stracili go gdzieś przed Mendocino.

Cofnęli się i spróbowali drogi na Albion Ridge, ale nic się na niej nie działo, od jazdy pod górę przegrzewał się silnik, a oni tracili niepotrzebnie paliwo.

- Wspaniały widok - powiedział Thompson, gdy zawrócił silverado i zatrzymał się. Mieli przed sobą Pacyfik w świetle przesłoniętego chmurami księżycy... Wrócili do Gualali, kręcili się po mieście do wtorku. Na wszelki wypadek. Bez potrzeby. Lally zapłacił im po dwie setki na głowę i obiecał coś ekstra za benzynę. Potem kazał im odmaszerować: jego oczy, ramiona, mały drink - wszystko im mówiło, że mają odejść.

Tego ranka rozbili obóz na kempingu i dali nogę przed świtem, żeby nie płacić. I oto sto mil dalej na małym parkingu stoi sobie samotnie porsche.

W chłodnym ogólnobranżowym sklepie w Whiskeytown Fairchild kupił ryzę papieru maszynowego, dwa długopisy, pióro i wiele litrów wina. Mieli całe półki zastawione kalifornijskimi gatunkami i ani jednej dużej koperty. W samochodzie znalazł jakąś kopertę - pogniecioną, ale nie podartą - od podatkowych harpii w Sacramento; kopertę, która była niegdyś źródłem dojmujących - świdrujących - niepokojów, za którymi mógłby teraz zatęsknić. Choć kochał nazwę tej miejscowości, jechał jeszcze wyżej - do Wearerville.

Drodzy Win i Van... Win i Van - pomyślał - jak to ładnie brzmi; zapisał tę myśl na kartce i ciągle stojąc, pisał przez kilka minut, a potem odkorkował wino i usiadł przy biurku pod oknem w Trinity Alpine Lodge: nad stawem przysypanym liśćmi i gałązkami, przypominającymi paznokcie i kości, tanim łęgowskim, po którym pływało ptactwo wodne, zostawiając za sobą pierzaste strzały. Niedługo na tej wyso-

kości na kaczki spadnie śnieg. Nie miał pojęcia, co się wtedy z nimi stanie.

Gdy zapisał do połowy drugą stronę, wstał, poszedł do łazienki i odkręcił prysznic. Potem znów usiadł przy biurku i opuszczając rękę, żeby rozwiązać sznurowadła, zaczął wodzić wzrokiem po napisanych dotąd słowach, a później dodawać do nich następne, zapominając o butach, i pisał nie wiadomo jak długo, póki do jego świadomości nie dotarł szum wody. Wstał i zakręcił prysznic.

Pierwszego wieczoru zjadł kolację w barze przy tej samej uliczce, później nic już nie jadł i spędził cztery kolejne dni na pisaniu, przypadkowych drzemkach i spacerach - choć w ogóle nie pamiętał, żeby gdziekolwiek wychodził - głównie na dół, gdzie Ames, właściciel, ten zezowaty sukinsyn -Fairchild zapomniał, że był zezowaty - przyswajał sobie -mimo uciekającego oka - najnowsze wydarzenia z ekranu zdumiewająco małego telewizora marki Sony, stojącego w hallu z ręcznie heblowanej sosny; z sosny były meble, bale na ścianach - pokryte brązową miazgą, migoczącą w oczach Fairchilda - podobnie jak wszystko na górze, w pokoju, w którym nad łóżkiem pływał oprawiony w ramkę tęczy pstrąg, a na podłodze wił się z bólu żółtozęby niedźwiedź z okiem z agatu.

Czwartego, piątego - którego? - ranka wciąż przelewał myśli na papier, pozbywał się pewnych ciężarów, oczyszczał mózg i horyzont ze śmiecia naniesionego manią, jakiej niedawno doświadczył - w czym przeszkadzał mu tylko Ames, który przynosił drwa do kominka. Za dnia było jeszcze ciepło i Fairchild nie potrzebował ognia. Ames nie odzywał się do niego, nie mówił nawet dzień dobry. Stary, zadyszany kretyn. Nie lubił Fairchilda, bo Fairchild zasugerował - sądząc po wyglądzie futra - że niedźwiedź został zabity z karabinu maszynowego... Fairchild napisał o tym i nawet było mu przykro, że obraził starego, ale na tym polegał jego wyjątkowy talent: potrafił obrażać ludzi jednym, anemicznym żartem. Tak czy inaczej, nie ma znaczenia gdzie się znajduje, jestem już martwy. Ale jak dotarłem na te alpejskie wyżyny, do jesiennej Trinity Alpine Lodge? Powiedzmy, że tak: wyczołgałem się z morza, następnego dnia odebrałem samochód (szkoda, że o tym nie wiedziałeś, Van Ness: stał na tyłach

restauracji w Cove; mógłbyś go wepchnąć za mną do morza) i wypadłem z miasta ze świniarzami Harry'ego Lally na ognie. Hej, ho! Cóż to za para! Chciałbym was wszystkich wrzucić do wilczego dołu i popatrzeć. Ale ci chłopcy nie znają wybrzeża tak dobrze jak ja. Poza tym nie jeżdżą porsche, więc obawiam się, że ich przechytrzyłem. Skręciłem drogą numer 20 na wschód w Fort Bragg, spałem w aucie w górach, w samo południe przejechałem miasto Willits - chorobliwie tajemnicze w swej pięknej meksykańskiej ciszy, z pozamykanymi okiennicami, główną ulicą, przez którą paradują identyczne lata, lata brzydkich, małych dziewczyn zlizujących lody z paluchów, niezliczonych dziewiczych matek boskich, bigamistycznych żon ciała i wątpliwości. Hej...

Skąd wiedziałeś, że uczyłem się w szkole przygotowawczej? W zasadzie wiedzą o tym wszyscy w Gualali, ale podejrzewam, że powiedziała ci moja żona.

Do ciebie mówię, Van Ness, absolwencie Niczego, klepiącym bez zrozumienia kawałki z Nietzschego - jest taki jeden kawałek, którego nie podkreśliłeś tępym ołówkiem:

Istnieją przeraźliwe istoty noszące w sobie dzikie zwierzę, nie znające innych wyborów prócz popędów i samoupokorzeń. Lecz nawet ich popędy są samoupokorzeniami.

a potem drogą 20 do drogi międzystanowej numer 5 i okrężną drogą do Redding, i do góry, i na dół, i znów do góry - aż do tej izdebki z bali, pokoiku, którego każdy cal ma osobowość, sęki, supły i poprawki, ze złowionym na wędkę pstrągiem i niedźwiedziem wynurzającym się z podłogi, żeby przyjrzeć się wam dwojgu, lecz przede wszystkim mnie:

Rozdarłem paczuszki z koką należące do Harry'ego Lally.

Skonsumowałem święte, które szło na ofiarę. Piekło mi odpłaci.

Potem podpisałem cyrograf z diabłem. Dlaczego?

Na niemądre, nijakie, faryzejskie, przewrotne pytanie „dlaczego?” najlepszą odpowiedzią wydaje mi się „dlaczego nie?”.

Chyba nigdy nie wspominałem ci o tym, młoda damo, że podczas naszej wizyty w Palermo przeprowadziłem coś w rodzaju kokainowej transakcji. W swoim i Harry'ego Lally imieniu. Byłem mułem aż do Rzymu, dalej nie mogłem.

Spuściłem filtry Harry'ego do kibla. Zaatakowałem go w samej jego istocie. Stary Harry nie mógł mi wybaczyć.

I o to właśnie teraz chodzi, atak na samą istotę, przywoływanie Fatum. Fakty są obecnie faktami duchowymi, głównie o tym do was piszę: piszę o gigantycznych zbrodniach i gigantycznym przebaczeniu.

Chłopce od Nietzschego, dobrze załazłeś mi za skórę. Podejrzewam, że nigdy nie będę mógł wrócić do Gualali, w wiosce, w której się urodziłem, nic mnie już nie czeka oprócz krótkiej spowiedzi i napiętej liny. Ale wy, którzy to czytacie, wy jesteście moimi spowiednikami, wy dajecie mi rozgrzeszenie.

A potem zapomnicie o tym, który był tylko śmieciem.

Najokropniejsze rzeczy, jakich się dopuszczamy, są w naszym mniemaniu najlepsze, a to dlatego, że musimy je robić. Najlepsze, dobre rzeczy kryją w sobie bogactwo, którego rzeczy najokropniejsze nie mają, w nich bowiem kryje się jedynie trud, wyobcowanie i czasami dręcząca absurdalność.

Nie ośmielałem się mówić o Bogu. Zwrócę tylko uwagę na przenikającą wszystko lodowatą cierpliwość. Łączę się z nią, sprzymierzam. Jesteś Mi Najdroższy - Ukochany Domu - Spodziewaj Się Cudu - widzieliście takie nalepki na autach? Popieram je wszystkie, tuleje do serca. Tylko to mi pozostało. Nie mogę się zrewolucjonizować. Ale unikałem pętli, odrzuciłem wasze zdesperowanie. Cokolwiek stanie się teraz, będę wystrzegał się zła. Na tej pięknej planecie przemocy i miłości. W końcu stałem się obywatelem. Miłość i przemoc - nie po to, by zwalczać jedną za pomocą drugiej, ale by żyć z nimi oboma. Tego się nauczyłem. Każda ciągnie w swoją stronę. Jeśli zaprzestanę walki, nie rozedrą mnie na pół, ale uniosą do góry. Oto siedzę w jakimś górskim motelu, ze łzami za swoją maską - człowiek w drewnianej izbie. Oto mieszkam w niej, torturowany przeraźliwą prawdą. Przykład dla mrocznych akolitów. Chodźcie, szturchnijcie klatkę bestii!

Tyle demonów! Cieszę się na ich widok, odbiera mi mowę z wdzięczności za inne, które spotkałem po drodze. Jeśli mamy już demony, cały świat będzie nasz!

Jestem tu od tylu dni, że nie pamiętam, o czym mówiłem, ale myślę... Tak się złożyło, że kiedy spotkaliście się w Santa

Cruz, byłem niedaleko, w mieście. San Francisco i jego kaskady ulic. Zjadłem trochę popcornu i widziałem zmartwychwstałą kobietę. Tymczasem ty kładłeś się na spoconej Wi-nonie, a zamiast serca miałeś czarną dziurę. Echa waszego dotyku: pogrzeb w płomieniach. I ten motel. Założę się, że był różowy. W słońcu i bez słońca nekający oczy pastel.

Gdybym miał jakiś rzeczywisty... jakąś odrobinę, ułamek rzeczywistego kontaktu z życiem, przekonałbym się - wtedy na ulicy, na Army Street - przekonałbym się, że pojechało mnie przebaczenie. Że jestem na nie skazany.

Wszystkie te tragedie. Jak się nazywają te wątki, o które kaleczymy sobie palce, dotykając wielkiego arrasu?

Aaaa, Winono, pozwolisz, że przerwę z powodów, które mają pewien związek z naszymi westchnieniami.

PS (Następnego ranka) Ludzie, ale jestem szczęśliwy. Z takiej bądź innej przyczyny myślę o szczęściarzu Meadowsie -Clarence budzi się w przyjaznym cieple z jakąś kobietą, która pachnie jak Włochy. W jego prostym wszechświecie nie miałbym nic przeciwko krótkim wakacjom. W świecie, w którym wszystko, co może mnie zjeść, wymarło. Lubię Clarence'a. Lubię prostych ludzi.

Nie wiem, od ilu dni ukrywam się w tym pokoju, ale przed sobą mam jeszcze kilka. Muszę wrócić na wybrzeże, nad morze, muszę. Mam obecnie poczucie ogromu mojego sąsiada, Pacyfiku, innego wszechświata, innej przestrzeni, kierującej się własnymi prawami światła i ciemności, lecz także wszechświata czasu i przemijania (ocean wynosi ku nam swe wstrząsające tajemnice, tylko wstrząsające i tylko ku nam, bo te wesołe, o szczęśliwym zakończeniu, historie o bezpiecznych portach, zatrzymują się przy nas tylko na chwilę, a potem toczą się dalej, w głąb ładu; na wybrzeżu zostają tylko katastrofy i śmierć. To moje miejsce, widzę je: Zagubione Wybrzeże. Dziś mielizny są ekstra zielone, jak okręgowy areszt), w każdym razie poczucie tych wszystkich legend otaczających i obejmujących nas, starych historii uzupełniających i zamykających te nowe. Tak jak fale. Zagubione Wybrzeże.

Tu, w górach, chmury są dziś nisko, a okno jest tylko szarą plamą. Nie widzę drzew ani białawych jezior. Z nieba

nic nie zostało. Nic. Dlaczego to jest takie piękne? Nie wiem. Nie wiem.

Zapłacił rachunek gotówką i stał przed kontuarem z portfelem w złożonych jak do modlitwy dłoniach. Zajrzał do środka, rozszerzając brzegi kciukami. Zostały mu czterdzieści trzy dolary i karta kredytowa. Zdebetowana od miesiący. Musi zatankować na stacji bez łącza komputerowego, może w Redway albo jednej z tych wiosek oddalonych od centrów handlowych. Uśmiechnął się do Amesa. Ames w ogóle się nie odzywał, wypowiedział jedynie kilka krótkich słów rozpaczliwie potrzebnych przy wypisywaniu rachunku. Fairchild stwierdził:

- Pan myśli, że drwię sobie.

To go zaskoczyło. Chciał zaprzeczyć, ale zmienił zdanie i odezwał się rzeczowo:

- To dlatego, że jestem mały. - Potem odwrócił twarz w stronę telewizora.

Na drodze 36, którą zjeżdżał, Fairchild napotkał lorę do zwożenia drewna jadącą do góry. Droga była tak wąska, że ledwo mieścił się na niej porsche, lecz gdy kolizja wydawała się nieunikniona, osnowa rzeczywistości fizycznej rozciągnęła się i minęli się bezpiecznie, choć z pozoru zajmowali to samo miejsce w czasoprzestrzeni. Powtórzyło się to po piętnastu minutach i nim górską drogą wyprostowała się, znalazłszy łagodniejszy stok, Fairchild kilkakrotnie przejechał przez ciężarówkę widma.

Droga była prosta. Ale jechało się gorzej. Przed Mad River zatrzymał się przy rybackiej restauracji, założył dach, usiadł w samochodzie z kartkami na kolanach i sięgnął po pióro, by napisać: Szukam Zagubionego Wybrzeża. Atrament był sympatyczny. Dlatego wolał długopisy, przynajmniej działały. *Szukam Zagubionego Wybrzeża...* Dodał trzy linijki, spojrzął na mapę i pojechał dalej.

Jego droga przecinała się ze sto jedynek. Skręcił na południe. W tej okolicy niewiele dróg prowadziło do Pacyfiku. Chciał dotrzeć do jednej z nich, w Redway, by nią dojechać do King Rangę Forest i Zagubionego Wybrzeża.

Za Phillipsville zwolnił przed parkingiem i skręcił w zjazd. Wyobrażał sobie, że znajdzie się w ciężarowej oazie

z rzędami wielkich ciągników bulgoczących ropą, w szczęśliwym małym miasteczku. Ale tu było inaczej. Na parkingu stał tylko jeden samochód - niewątpliwie porzucony - zardzewiały pikap z domkiem kempingowym ze sklejki zamiast paki i tylko z trzema kołami. Poza tym pustka. Wodopój obok toalet nie działał.

Przyłożył usta do metalowego cycka, by uszczknąć z niego resztkę wilgoci, gdy nagle znalazł się na najbardziej niespodziewanym rozdrożu swej ucieczki przez stan. Obok porsche, oddalonego około dwudziestu jardów, zatrzymał się czarny pikap z kempingową nadbudówką, chevrolet silverado. Superciężki pojazd zatrzymał się i zakolysał na amortyzatorach; ruch ten trwał jeszcze, gdy z kabiny wyskoczyli dwaj mężczyźni. Rozległ się przeraźliwy hałas. Błędnie wziął wycie i poszczekiwanie za dialekt, w jakim się porozumiewali, głosy te wydawały bowiem zwierzęta, psy zamknięte w nadbudówce, rzucające się na jej ściany, gdy dwaj ludzie szli bez słowa w jego stronę. I teraz, w rozczulającej porze snu i magii, Fairchild zginie. Jeden z mężczyzn przykłęknął niespodziewanie i wymierzył weń z trzymanego oburącz pistoletu. Wypuścił z lufy pomarańczowy kwiat, który uleciał w kosmos. Wyprostował się, trzymając nad głową sztandar dymu. Od wodopoju odpadł metalowy kran.

Wciąż trzymając broń w wyciągniętej ręce, strzelec zerknął na monstrualny kształt, w który trafił. Opuścił broń i zadumał się nad jej niecelnością. Fairchild klęczał, jego głowę oddzielała od murawy długość ręki, którą się podparł; drugą sięgał do prawego boku, czuł powietrze wbite na samo dno płuc; pięć stóp dalej w lewo wodopój rzygał pióropuszem wody. Potrzęsnał głową i zamknął usta. Udało mu się odetchnąć, a powietrze dodało mu skrzydeł. Uleciał biernie w przestworza, gnany prądem własnego obrzydzenia, które niosło go ku temu miejscu. Wpadł na framugę drzwi, odbił się od brązowego zlewu, skapanego w żółtym świetle, raniony boleśnie w pierś. Fala, na której płynął, cofnęła go i usiadł na klozetowej muszli. Zemdlał, oparłszy głowę o działową ściankę.

*

Falls był dopiero w połowie drogi do ciężarówki, gdy Thompson zatrząskiwiał już drzwi kabiny. Przekręcił kluczyk, samochód zatrząsnął się. Psy były bardzo spokojne.

Falls dopadł go i oparł się o drzwi kierowcy.

- Spudłowałeś, zdaje się, o niecałą milę.
- Chciałbym wiedzieć, kto bawił się bronią?
- Myślisz, że kim jesteś? Clintem Eastwoodem? To tak nie działa!

- Casull. Nie wiem, co o tym sądzić.
- A co zamierzasz? Chcesz odjechać?
- A co? Musimy spadać, ktoś mógł usłyszeć strzał.
- Tu nikogo nie ma oprócz nas. I jego.

Thompson kiwnął głową, odkaszlnął i rękawem startł pot z czoła. Wyłączył silnik.

- Okay, ja tak dla draki. *Nolo contendere*. Co radzisz? Mam wejść i odstrzelić mu dupę?

- Nie, nie i jeszcze raz nie! Musimy z nim porozmawiać o trawie.

- Myślałem, że z tym już koniec.
- Nie, Tommy, jeszcze nie.
- Okay. Nie mów do mnie jak do dziecka.

- Przepraszam. Wybacz. - Falls zlustrował poziom własnych emocji, które -jak stwierdził - odpowiadały poziomowi gotowości do podejmowania decyzji. Zwykle, niesamowite szczęście, jeśli ten numer wyjdzie: jak inaczej nazwać znalezienie Fairchilda? Wyglądało to tak pięknie, że pachniało podstępem - jednym z tych, które nie omijały go w życiu. O ile zdołał się jednak zorientować, w polu widzenia nie było żadnych przeszkód, zatem do dzieła!

- Słuchaj - powiedział - mam zamiar iść tam po niego. Nasza obecna polityka: bierzemy go żywcem. Ale jeśli wyjdzie sam, wypruj z niego flaki.

- Zrobi się. Ale nie wyjdzie. Jest zapuszkowany.

- Nie zapominaj o oknach. - Bez przerwy pokazywał palcem toalety. - Twoje zadanie to okrążyć sracz.

- Jak mam go okrążyć? Jestem sam.

- Chodzi mi o to, żebyś go obszedł w cholerne koło! Czy możesz to dla mnie zrobić?

Falls wszedł do środka. Dwa zlewy z lustrami, suszarka do rąk, trzy kible: ścigany, drętwy i omdlały, oparty był

o ściankę przegrody jak nieszczęśliwie zakochana nastolatka. W żółtawej kiblowej poświacie wszystko miało inną barwę, a krany - jak to krany w kiblach - były z typu oszczędnych. Falls odkręcił jeden, a woda zaraz pociekła. Pochylił się, by ochlapać twarz. Gdy stanął w ciepłym elektronicznym wietrze suszarki i czekał, aż urządzenie osiągnie jakiś cel, ścigany niespodziewanie doszedł do siebie. Siedział na muszli i gapił się w podłogę ze zwieszonymi rękami, lecz gdy Falls zbliżył się do niego, podskoczył, wsadził mu kciuk w lewe oko i nacisnął.

Falls uderzył go lewą ręką, a prawą przyciągnął Fairchilda do siebie, trzymając za wycięcie podkoszulka. Tymczasem kciuk tylko macał na ślepo. Falls zamachnął się ponownie, ale poślizgnął się na posadzce i trafił w próżnię, dobrą stopę od jakiegokolwiek części ciała Fairchilda. Poczł, że ktoś wypala mu piętno na czaszce rozgrzanym do czerwoności żelazem. Jestem ranny? Cofnął się i odwrócił do swego odbicia w lustrze. Tak, możliwe, to krew. Wymacał kran, puścił wodę, pochylił się i opłukał jedną ręką twarz. Podniósł wzrok i ujrzał w lustrze Fairchilda, pulsującego i promieniejącego w żyłach neonowego światła.

- Coś mi zrobił? - zapytał.

Ale Fairchilda już nie było.

Falls dopadł drzwi i zatrzymał się. W rozedrganym polu jego widzenia, poprzecinanym rentgenowskimi błyskami, skulony Fairchild wykonywał dziwny bieg do porsche. Wskoczył do auta i odjechał. A gdzie Tommy?

- Tommy? - zawołał. Nic nie widział.

Falls odwrócił się i wszedł z powrotem do toalety. Miał wrażenie, że zapada się w jakąś szczelinę. Idąc, rozrywał zapięcie koszuli. Wrzucił ją do zlewu i puścił wodę, a sam przykucnął i oparł się na przedramieniu obejmującym zlew; otworzył usta, mrugnął najpierw jednym, potem drugim okiem, oddychając ciężko. Wyjął koszulę z wody i zanurzył twarz w mokrych fałdach, wstał i odchylając się do tyłu - pozwolił wodzie sączyć się po szyi i ramionach. Przetarł twarz i pochylił się ku podłodze, badając śliski wykwit, na którym się poślizgnął, przez który stracił Fairchilda.

*

Tommy spodziewał się, że będzie musiał go zastrzelić. Głupia nonszalancja, z jaką Falls wszedł do kibla, dawała do myślenia, jeśli wziąć pod uwagę, że osaczyli pana Nelsona i do minimum ograniczyli mu możliwość wyboru. W tak nienormalnej sytuacji, jak ta, facet mógł wskoczyć Fallsowi na głowę i wypaść stamtąd niczym jaguar z jaskini. Zbudowany z prefabrykatów kwadratowy budynek nie miał okien z obu widocznych stron. Tommy okrążył obiekt, poruszając się w prawo: trzecia ściana pusta, tył też, nic tylko cztery kratki wentylacyjne, przez które nie przecisnąłby się nawet wąż. Jedyny obcy pojazd na parkingu stał w wysokiej do* kolan trawie od strony wejścia dla pań: pikap z drewnianą kempingową nadbudówką - ruchomy szałas, któremu z tyłu brakowało lewego koła, podparty dębowym pniakiem. Obok leżał kamień i gałąź, za pomocą których podniesiono auto; prędzej czy później zjawią się tu właściciele wozu z załataną dętką. A może już tu są? W środku słyszał jakieś głosy: płacz i hiszpańskie przekleństwa.

Poczuł gorąco w żołądku, miał szczerą nadzieję, że nie trafił nikogo rykoszetem. Ale głos, kobiecy głos, był raczej zaniepokojony niż przepojony bólem - był to głos przestraszonej kobiety. Kobiety, która wpadła w panikę po wystrzale. Z obojętną - w zamierzeniu: niosącą ukojenie - miną zastukał do drzwi, zwykłych, domowych drzwi o rozmiarach odpowiednich do skleconego ze sklejki nadwozia, drzwi pokrytych najróżniejszymi kolorowymi nalepkami. Gdy zastukał ponownie, kobieta wrzasnęła jeszcze głośniejsze, słyszał też płacz dziecka. Przekręcił gałkę i uchylił drzwi na jakieś trzy cale. Nie widział dziecka, ale w środku na pewno była mama, klęczała na podłodze ze sklejki i oblizywała usta, smakując płynące ciurkiem łzy. Wyła nad nagim dzieckiem, leżącym na jej udach, dotykała go szybkimi, dziwnymi ruchami po całym ciele. Dziecko było pomalowane na niebiesko, a ona dotykała go dłońmi i cofała je, jakby sprawdzając, czy farba wyschła.

- Dobra - powiedział do niej. - Czego ci trzeba?

Odepchnęła dziecko i zapiszczała przeraźliwie:

- IIIIIIIIIIIIII! IIIIIIIIIIII!

- Chryste, zamknij mordę! - polecił. Nic nie kumała. - ZAMKNIJ SIĘ! - przetłumaczył. - Okay?

Było mu niedobrze. Próbując myśleć, przełknął kilka razy ślinę. W pomieszczeniu niczego nie było oprócz gratów zapakowanych w plastikowe worki. Aha, i jeszcze jednego dziecka, starszego, które płakało wciśnięte w kąt. Pierwsze leżało na podłodze. Nie miało więcej niż osiemnaście cali. Kurwa... zastrzelił dziecko, meksykańskie dziecko.

- Gdzie twój stary? *Su esposo*.

Wciąż wyla. Tommy odłożył broń w trawę i wyprostował się.

Wsunął rękę do środka nadbudówki i dotknął palcem sieniei twarzy niemowlęcia. Była gorąca... rozgorączkowana. Oczy uciekły w tył głowy, jak śniętej rybie. Mrugały jak zepsuta żarówka. To nie od kuli. To choroba. Jakaś pieprzona, tropikalna, śmiertelnie groźna dzuma. Mimo to pochylił się i wsunął głowę w drzwi, wciągnął powietrze, dotknął ustami główki dziecka i dmuchnął. Oddech syknął między jego wargami i gorącymi policzkami dziecka. Wsunął palec do ust niemowlęcia i wyciągnął z małej krtani kłęb jedzenia i flegmy. Znow dotknął ustami małych warg i gdy dmuchał powietrze, z nosa dziecka bluznęły smarki i opryskały go na policzku i w kąciku ust. Położył główkę dziecka na lewej dłoni, zacisnął palce na nozdrzach i dmuchnął powietrze do ust, przytrzymując je palcami, żeby się nie zamknęły. Zdaje się, że nie pomógł wiele.

- Chyba już nie oddycha - wyjaśnił matce.

- IIIIIII! IIIII! IIIIIIIII! - wrzeszczała.

Próbował wszystkiego: potrząsał nim brutalnie, uderzał w plecy, wsadzał palec do gardła, szukając następnych zatorów. Dzieciak przedawkował. Ale nie... łykał powietrze, z sinego robił się czerwony. Zaczynał kwilić. Niezbyt głośno, ale wydawał z siebie wilgotny, cmokający płacz i podniósł obie pięści do pomarszczonej buzi. Matka przestała sko-wyczeć.

Ujęła dziecko pod główkę i pupkę i zapatrzona w nie, osłupiała ze zdumienia, zaczęła powtarzać:

- A-a? A-a? A-a?

Thompson uklonił się przesadnie, uklonił się całym tułowiem, i mówiąc - *SU Si! Si!* - pokazał gestem, że się śpieszy. To dziecko przecież było już martwe. A kim ono było? Thompson nagle poczuł związek z nim. To dziecko może wyrosnąć

na... praktycznie każdego. Może też któregoś dnia przejechać go samochodem na ulicy.

- *Momentito* - powiedział, podniósł pistolet z trawy i odszedł.

Falls wyszedł zza węgła budynku nagi od pasa w górę, trzymając zwiniętą koszulę przy twarzy.

- Gdzie byłeś? Gdzie był,
do cholery?

- Tam... z tyłu...

- No tak. A on uciekł akurat przodem. Tam, gdzie są drzwi.

- Co ci się stało?

- Przestań, człowieku! Nie ma porsche, nie ma faceta, myślałem, że nie ma ciebie.

Thompson rozłożył przed sobą ręce i skrzywił się, oddychając przez zęby. Przestał się tłumaczyć i tylko potrząsał głową.

- Chodźmy.

- Kurwa. Przepraszam.

- Musimy iść.

- Nie dogonimy porsche na autostradzie - Thompson wciąż kręcił głową. - Na płaskim i na zakrętach nie da się go złapać.

- Ale możemy podjąć półprofesjonalną próbę, prawda?

- Bart, jeśli zwiął, to zwiął.

- Boli mnie oko. Skurwiel wsadził mi palec... - Falls odwrócił się. Oko łzawiło, może nawet krwawiło. - Myślę, że miał coś w ręku.

- Wiesz... uratowałem życie jednemu dziecku... tam - powiedział Thompson.

Falls popatrzył na niego dziwnie, wyduł usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale jeszcze nie wiedział, co. - Naprawdę? - Nie zdobył się na nic więcej.

- Taa - odrzekł Thompson. - Naprawdę. Dzieciak nie oddychał. W ogóle. Chodź, chodź. Muszę ci to pokazać.

Młoda matka zostawiła drzwi nadbudówki otwarte i siedziała w progu ubrana w dżinsy i podkoszulek, z dzieckiem w ramionach. Wymachiwała patykowatymi nogami.

- *Dias* - powiedziała.

Owinęła niemowlę ręcznikiem. Miała niezwykle ciemną

karnację, niemal taką, jak żaden czarny człowiek. I spiczastą, szczurzą twarz.

- *Dias* - odrzekł Tommy. - Ten dzieciak o mało nie odjechał. Miał jakiś zator w tchawicy, wyjąłem mu stamtąd całe kilo żarcia. Ma jeszcze jedno dziecko gdzieś tam... - wyjaśniał Fallsowi.

Falls popatrzył na nich z narastającym, dojmującym smutkiem. Przyszło mu do głowy, że powinno być jakieś schronisko, do którego oddawałoby się takich bezpańskich ludzi pod opiekę ekspertom.

Potem powiedział:

- Nie obraż się, koleś, ale jesteś jebanym wybrykiem natury.
- Wiem. Urodziłem się pod dobrą gwiazdą.

Falls doszedł do wniosku, że Meksykanie kupili brykę od jakiś północnoamerykańskich wędrowców. Na drzwiach pełno było nalepek w językach, o których ta kobieta nawet nie słyszała. Sklejka cuchnęła mu na odległość Południowym Zachodem - pyłem, Meksykanami, zepsutymi urządzeniami i ziemią pochłaniającą całe to gówno.

- Byłeś kiedy w Meksyku? - zapytał Tommy'ego.
- Nie.
- Ja też nie. A teraz: czy możemy wrócić do interesów?

Samochody skręcające na jego widok, trąbiące jak wozy strażackie, pędzące wprost na niego. Przyhamował, mówiąc: Przepraszam - i wjechał prawą stroną na trawę, chyba pas oddzielający jezdnię autostrady; porsche obróciło o sto osiemdziesiąt stopni, wyjechał tyłem na drugą stronę. Wciąż coś było nie tak: wcześniej jechał na południe pasem biegnącym na północ, teraz był na przeciwnym pasie i jechał na północ. Wcisnął sprzęgło, gaz, przerzucił bieg jak dźwignię ręcznej pompy. Przepraszam. Muszę się jakoś uporać z tą raną.

Na stacji benzynowej w Redway zaparkował na tyłach budynku, stwierdził, że może się poruszać, ba, czuje się lekko, jakby nagle stracił połowę wagi. Wsiadł z samochodu jak każdy tutaj. Ale wszystko od pasa w górę bolało go, było odrętwiawe. Poczul łupanie w głowie, zatrzymał się przy

śmietniku i podniósł podkoszulek, żeby obejrzyć ranę. Nic nie zobaczył, tyle było krwi.

Wszedł do toalety, chyba damskiej, zamek pokazywał „zajęte”, ale drzwi były otwarte, zamknął je cicho za sobą i poszukał kontaktu. Kawałek człowieka widoczny w małym lusterku miał plamę zakrzepłej krwi pod prawą pachą i niżej, poza ramą lustra. Chwytał wycięcie podkoszulka zębami i potem rozerwał tkaninę na całej długości, zdjął z siebie i wytarł delikatnie okolice rany. Miał rozorany brzuch, w jednym miejscu widać było coś białego, prawdopodobnie żebro. Wypełnił i załatał dziurę w ciele brązowymi papierowymi ręcznikami i przewiązał się podkoszulkiem, robiąc węzeł po drugiej stronie żeber. Wciągał powietrze przez zęby, śpiewając przy tym bez przerwy: - Człowieku! Człowieku! Człowieku! - Prawy but i prawa nogawka białych spodni były czerwone od krwi. Usiadł na muszli i skopał buty - po raz pierwszy od... nie pamiętał odkąd. Zapomniał, że nie były jego stopami. Walczył, pływał, chodził i jeździł w nich od urodzenia. Prawdziwy motel powinien mieć wannę! W prawdziwym motelu powinna być restauracja!

Zdjęcie spodni zabrało mu kilka minut. Nie dlatego, że był w szoku, lecz z tej przyczyny, że ogarnęły go wątpliwości, wątpliwości i obrzydzenie zamieniające wszystko w melasę. Przepłukał spodnie w zlewie i wykręcił z nich różową wodę; robił to z przerwami na oddychanie, postękiwania i jęki. Potem splukał krew z biodra i nogi, wytarł się papierowymi ręcznikami i włożył mokre spodnie. Dobre, chłodne, czyste spodnie, które go obudziły.

Siedział w samochodzie na tyłach Texaco aż do zachodu słońca, słuchając radia tak cicho, że prawie nic nie słyszał. Kręciło mu się w głowie i wyobrażał sobie muzykę.

Zanim zrobiło się całkiem ciemno, pozbierał się i ruszył na zachód przez Redway i dalej ku wybrzeżu zwykłą, asfaltową drogą. Wkrótce zapadła noc. Jechał na drugim biegu, wolno, by nie jętrzyć rany, prowadził jedną ręką. Droga pod-pelzała ku niemu w krótkich światłach porsche, a po obu jej stronach czaiła się - niczym stado wilków - czerń. Mijał jakieś domy, szopy, maszyny i sterty drewna, rozmazane w elektrycznym świetle małe obrazki miłośności wszelkich ludzkich wysiłków.

Potem znalazł się na wyboistej głównej ulicy. Światła porsche zakołysały się. Nie bez trudu - ból znów dał o sobie znać - skrzył w prawo, w szeroką aleję. A może ulicę. Zaparkował obok knajpy. A może baru. Wyłączył silnik, zgasił światła. Zasnął. Obudził się bladym świtem w mieście Whitehorn.

Zostawili meksykańską dziewczynę i jej meksykańskie dziecko własnemu losowi i pojechali na południe sto jedynką. Prowadził Thompson. Falls siedział z głową odchyłoną do tyłu i wygłaszał kazanie przez mokrą chustkę, którą miał na twarzy.

- Powinieneś zastanowić się, co działa. Co działa? Dwudziestka dwójka, którą strzela się do celu.

- Jak ci taka wypadnie zza pasa na policyjnym balu, od razu wiedzą, w czym rzecz.

- Nie jestem tu po to, żeby z tobą dyskutować.

- Więc nie dyskutuj.

- W życiu, w prawdziwym życiu podchodzi się do faceta i załatwia go. Magnum kaliber dwadzieścia dwa w tył czaszki. Wszyscy o tym wiedzą.

Falls zdjął chustkę z twarzy i zmoczył ją herbatą z lodem z termosu.

- Jak ci? - spytał Thompson.

- Tak mi, że jestem całkiem ślepy.

- Nie, ale poważnie, człowieku: lepiej czy gorzej?

- Lepiej. Ale po lewej stronie pola widzenia wciąż mam falistą, elektryczną linię.

- Ten facet!

- Ludzie sprawią ci jeszcze niejedną niespodziankę.

- W porządku, jestem taki - powiedział Falls, gdy oddawali razem mocz w męskiej toalecie stacji Texaco w Redway.

- W porządku - odparł Thompson. - Jesteś taki.

- Więc albo skręcam na północ i puszczam się w drogę do Kanady, albo zjeżdżam ze sto jedynki i waruję.

- Najrozsądniejszą rzeczą byłaby jazda przed siebie tą małą, nazistowską pierdziawką. Moglibyśmy mu nagwizdać.

- Może nie jest w stanie prowadzić - powiedział Falls. - Zbryzgał cały kibel, i to nie szczynami... - Zapiął rozpiorek i zaczął myć ręce.

- Trafiłem go?
- W każdym razie był ranny.
- Mówiłeś, że spudłowałem!
- Strzeliłeś raz i rąbnałeś fontannę, tylko tyle wiem.
- Hej, człowieku! Lecisz sobie ze mną? Trafiłem, czy nie trafiłem?

- Może fontanna to był rykoszet.
 - Żadnego „może”! Był teleskop. Czerwona kropka na celu.
 Mówiłem ci i mówiłem!

- Zaczarowana kula.
- Zwykła rzecz, jak muchy, Bart. Nazywa się balistyka.
- Musimy sprawdzić każdą boczną drogę.
- Człowieku! I co chcesz tym osiągnąć? Oprócz straty wieczności.

- Mówię o jednej z możliwości. Weryfikowalnej. Druga jest taka, że przejechał już sto mil autostradą. Świat przestaje być skomplikowany, gdy spojrzysz na niego przez pryzmat wyborów, weryfikowalnych wyborów.

- Wiesz co? Gadasz jak dożywotnik.

Obudził się zdrtwiał. Było zimno. Spał niemal nagi, przykryty wyłącznie bandażem z podkoszulka. Przez kilka godzin - gdy wschodzące słońce ogrzewało samochód - śledził powrót energii do swych członków; sprawiało mu to ogromną przyjemność, która nasilała się z każdą mijającą minutą i stała się w końcu odgrywaną na trąbach pieśnią pochwalną na cześć życia, na cześć tego, że nie został zamordowany. Rozwiązał podkoszulek i zaczął odklejać po kolei warstwy opatrunku... Rykoszetujący szrapnel - bo nie mogło to być nic innego - wyrwał zeń pas ciała o szerokości mniej więcej cala między szóstym a siódmym żebrem. Z prawej strony. Nie było to kolosalne pogwałcenie jego spójności - na grubszym facecie wyglądałoby jak zadrapanie. Rana krwawiła w nocy i pokryła się grubym strupem, mimo to bał się, że znowu zacznie krwawić. Odpoczywał, dawał odpocząć ciału, gdy nagle jego nerwami szarpnęło. Znajome uczucie. Bardzo nieprzyjemne. Uznał, że czas ruszyć nogami.

Dotyk Elektrycznego Anioła Strachu. Gorące tchnienie. Liźnięcie ozorem. W tym mieście były knajpy.

Sine Trupy Zgniłe Masy Spleśniałe Robale. Musiał się ruszyć.

Knajpa, przy której stanął, wyglądała w sam raz; niedługo ją otworzą, już teraz gromadzili się przed nią przedstawiciele miejscowej subkultury: starcy o pomarszczonych tatuażach, motocykliści w bujanych fotelach. Bezzębni Swobodni Jeźdźcy stali karnie w kolejce i przygarbieni - jak panusie odwiedzające z nudów sądy. W kapeluszach okupowanych przez muchy. Jego ciało dało się namówić do ruchu, wyrwało się z inercji i stanęło na ulicy. Nie miał się czym okryć, w samochodzie znalazł tylko biały szlafrok Melissy. Włożył go jakoś, stojąc obok auta. Nie przejmował się za wysoko wszytymi połami. Związał pasek w marynarski węzeł i ruszył między ludzi. Przyglądali mu się z nudów, osłaniając oczy przed porannym słońcem.

- Jeszcze nie otwar...

Ale drzwi były otwarte. Wszedł do środka i usiadł na stołku, trzymając w ręce portfel. Wbił wzrok w plecy barmana:

- Otwieramy o dziewiątej.

Potem w jego twarz naczelnika poczty:

- Teraz tylko wietrzę.

- Która jest?

- Siedem minut.

Facet, którego zlekceważył na zewnątrz - dziś Fairchild był głuchy na zaczepki - wszedł do baru w jakimś tępych oszołomieniu i usiadł na stołku obok. Inni także wchodzili i zajmowali miejsca.

- Gość w szlafroku.

- Nikt nie mówił, że wpuszczają w krawatach.

- Jak to nie wsiun, to pocałuj mnie w dupę.

- Jak to nie diabeł, to pocałuj mnie w dupę.

- Jak to nie socjopata, to pocałuj mnie w dupę.

- To ty mnie pocałuj. Możesz mi naskoczyć i pocałować mnie w różowy, syfiasty półdupek. Charles. Setkę i piwo. Charles.

- Otwarte o dziewiątej.

- Czas płynie.

- Czas płynie, toczy się i ucieka. Tylko Bóg ma tyle metafor.

Ostatnia uwaga zabrzmiała nieco teatralnie.

Whitehorn... Ci włóczędzy i opoje musieli mieć jakiś cel. Fairchiid i siedzący obok mężczyzna wymienili spojrzenia psów łańcuchowych. Nie, nie mieli celu. Spotkali się w tym miejscu na skutek przypadkowego tchórzostwa. Fairchiid przyglądał się, jak facet robi sobie skręta, oblizuje bibułkę i zakleja.

- Co w tym zabawnego?

- Śmieję się - powiedział Fairchiid - bo dawno nie widziałem tej dyscypliny sportu.

Barman rzucił:

- Pojedynczo - rozpoczął urzędowanie.

- Setkę i piwo - powiedział facet. - Wiszą mi w tym mieście pieniądze, nic więcej nie powiem. Siedzę tu i zabijam apetyt na śniadanie, bo wiszą mi pieniądze, a oni nie płacą. Nie można pracować, jak nie płacą? Słyszałeś kiedy o wydatkach? - Mówiąc to, rozglądał się wokół w poszukiwaniu miejsca, o które mógłby potrzeć zapalną; czynność ta pochłonęła go z czasem całkowicie: pstrykał białą główką o paznokieć kciuka, pocierał nią wzdłuż buta, walił o gwóźdź w blacie baru, aż w końcu ją złamał. - Słyszałeś kiedy o benzynie? Żarciu? Czynszu? Cholera, daj mi ognia.

Barman rzucił w jego stronę różową jednorazówkę, mężczyzna umilkł, przystawił butanowe piórko do papierosa zwisającego mu z ust jak korzeń i zapalił. Zaciągnął się głęboko. Popatrzył znacząco na Fairchilda.

- Słyszałeś kiedy, że można mieć dosyć?

- Mógłbyś mnie poczęstować takim skrętem, koleś?

- Ciebie? Ty nie palisz - mężczyzna odwrócił się, jakby zrobiło mu się smutno.

Barman uniósł brwi, patrząc na Fairchilda.

- Coś zabójczego. Dwie setki.

- Tequila? Rum?

- Tequila, bardzo proszę - dodał, gdy barman szturchnął kolanem mały pojemnik z lodem i sięgnął do środka, następnie odwrócił się do Fairchilda, trzymając w jednej ręce lśniące ostrze, a w drugiej żółtą, bardzo żółtą, żółtą jak słońce cytrynę. - Bez żarcia.

Barman odłożył cytrusa. Fairchiid wychylił kieliszek za jego zdrowie i poczuł, że pragnienie puszcza. Mężczyzna

siedzący obok zrobił to samo dla siebie i czekał, złożywszy dłonie na barze; drżały, rozmazując pokrywające je więzienne znaki runiczne. Pozostali robili to samo. Na barze pojawiały się kolejne dłonie złożone obok szklaneczek jak marznące, dopiero co urodzone szczenięta: pocięte przypadkowo i brudne od smaru ręce motocyklistów; ręce cieśli z brakującymi palcami; ręce pilarzy epoksydowane smołą i brudem. Wszyscy teraz obejmowali szklaneczki i skupili się na obrazach w telewizji.

- Pacz, znowu go pokazują.
 - Faktycznie, trup.
 - Trafili go prosto w tatuaż. W serce na tatuażu. Co to był za wzór? Nieśmiertelny Rock?
 - Taa?
 - Taa. A widziałeś taki tatuaż z panienko, co trzyma wielki, jebany krzyż?
 - To ta z zatopionego statku.
 - Taa. Wbija se krzyż w pierś.
 - Ich zdrowie.
 - Jego i jej.
 - To zbyt piękne, żeby się z tego śmiać.
- Barman zmienił pilotem kanał i trafił na to samo morderstwo.
- W Oakland panika dla ćpunów.
 - Hej!
 - Sie ma.
 - Hej, ktoś sprzątnął Beznadziejnego Joe.
 - Nie gadaj.
 - A jak! Zamordowany na polu golfowym. Właśnie pokazywali, jak leży na trawie, a obok przewrócone wiadro z piłkami.
 - Kto to zrobił?
 - Nieznany napastnik.
 - Lee Harvey Oswald.

Nie byli to źli ludzie, w żadnym razie źli - fontanny niewinności. Wielbicieli „Greatful Dead” roniący łzy wzruszenia. W mieście, w którym Jezus usunął sobie swastykę... Fairchild zastanawiał się, czy nie zamieszkać tu na zawsze.

Druga tequila wypita w Whitehorn. Tamto odeszło i Fairchild spojrzął w prawą stronę. Twarz: jak klin.

- Sie ma?
- Bolo mie plecy. Mam coś z kręgosłupem.
- Pan Harley? - spytał Fairchild. - Czy pan Davidson?
- Nieważne. Co cię sprowadza w nasze strony? Wyglądasz jak uciekinier.
- Trafiłeś, można powiedzieć, w sedno.
- Z czego uciekłeś?
- Raczej od kogo. Od niesłychanie nudnych ludzi.
- Charles. Jeszcze raz to samo, Charles. Na mój rachunek.
- Na twój rachunek? Twój rachunek u nas nie istnieje.
- Nie pierdol. Bo dobierze ci się do dupy duch Beznadziejnego Joe.
- Nie wierzę w duchy - odrzekł barman.
- A ja widziałem miliony. Na wojnie rozwalilem więcej duchów niż żółtków.
- Bóg - odezwał się inny mężczyzna z pustymi, zapatrzonymi gdzieś oczyma - pozna swoich.
- O tak, o tak, duchy, duchy - powiedział barman. - Jednak z przykrością muszę cię poinformować, że duch na polu walki nie jest duchem *per se*. To wyładowania elektromagnetyczne związane z polem. A raczej serią pól. Mówię przykładowo. Czytałeś Whiteheada?
- Przestań pan - przerwał mu Fairchild.
- Coś ci poradzę, kolego. Weź trochę kwasu i poczytaj Whiteheada.
- Pierwszy raz spotykam barmana, który czytał Whiteheada.
- Whitehead musiał brać LSD.
- Skąd wiesz? Hej, Charles, skąd wiesz?
- Żałuję, że pracuję w barze, w którym inteligentna rozmowa jest niemożliwa po dziewiątej piętnaście rano. - Pochylił się i wyprostował z papierosem w ustach. Zaciągnął się z przymkniętymi powiekami. - Dopiero za barem człowiek poznaje, czym jest prawdziwa samotność.
- Przykucnął, pociągnął nosem i odwrócił się.
- Boudreau.
- Boudreau. Właż tu, Boudreau.
- Najświeższe wiadomości: zabili Beznadziejnego Joe.
- Kto?
- Policja mówi o pięćdziesięciu tysiącach podejrzanych. Możesz wybierać.

- Dobry Boże - jeden z obecnych zwrócił się wprost do Fairchilda. - Byłem na polu golfowym z moim agentem, kiedy zrzucili bombę atomową na moją ulicę.

- Rąbnięty facet - doszedł do wniosku Fairchild, tym bardziej że śmiał się z otwartymi ustami, z których na brodę wypływała mu brązowa od tytoniu ślina.

- Uau. Patrzę na ciebie i nie mogę się nadziwić. Jakby ktoś skórę zdarł z Normalnego Batesa. Cześć, brachu.

Aż się zakrztusił. Łzy napłynęły mu do oczu. Wypił piwo do dna i powiedział:

- Czy wiesz, że krwawisz jak zarzynane prosię? Barman zerknął przez bar na nogi Fairchilda.

- Masz zły dzień, chłopcze - stwierdził.

- Normalny Bates krwawi. Musiał nadzieć się na nóż pod prysznicem.

- Nie zwracaj na niego uwagi - poradził barman. - Parę lat temu usmażył się na słupie wysokiego napięcia.

Obaj spojrzeli na mężczyznę.

- No tak - mruknął, jakby nagle sobie przypomniał. - Mam w głowie metalową płytkę.

- Dawaj tu, rusz tu dupę, ty wężu.

- Słyszałeś, że Beznadziejny Joe przeżywa chwilowe trudności?

- Skręcił kark, gasząc nogą peta.

- Poślizgnął się, pędząc do telefonu.

- Wszyscy umrzemy. Czyja to bryka tam, na zewnątrz?

- Moja, proszę pana. Napije się pan ze mną?

- Świetnie. Setkę Blue Velvet, Charlie.

- Black Velvet. Należy się równe pięć. Nie mam na imię Charlie.

- Wybacz, Charles. Charles.

- Równe pięć. Dla pana?

- Tequila. Bez żarcia.

Fairchild - znów silny i pełen optymizmu - rusza ku Zagubionemu Wybrzeżu. Jedzie wśród wysokich, zalesionych wzgórz i niskich chaparrali porośniętych manzanitą - tłum niemal bezlistnych gałęzi, na których wiszą jagody, niedźwiedzie jagody - jest już coraz bliżej, ale ciągle nie może znaleźć ani jednej zapadłej dziury, tu i ówdzie szkoła albo warsztat,

więc ktoś tu musi mieszkać - strumienie intryg płyną przez wiejskie potańcówki, duże, płochliwe gołębie zerkają na drogę - małe dziecko macha rączką, unosi ją wysoko, żeby nie było wątpliwości. Daleko przed nim biegnie bokiem jakiś kundel, niesie wywalony jęzor przez Kalifornię.

- Droga jak nie droga - powiedział Thompson. Najgorsza, jaką widział. Afrykańska ścieżka. W Whitehorn kupił ćwiartkę, teraz już tylko pół ćwiartki. W Whitehorn - osadzie motocyklowych dinozaurów, za bardzo sflaczałych, żeby odpalić z kopa. Choć nie był pijany, stracił zainteresowanie dla spraw tego świata, wtopił się w poduszkę fotela, a przez jego głowę przetaczała się biel.

- Zgubiliśmy się... Jesteśmy jądralnie sami we wszechświecie.

Prowadził Falls, któremu wrócił wzrok. Ale nie widział nic oprócz kolein i drzew - jedno było za głębokie, a drugie za blisko. Gdy w kabinę uderzały gałęzie, mówił:

- Wejdźcie, wejdźcie...

Nawet ocean zdołał się jakoś ukryć za tymi drzewami. W prześwitach widać było urwiska porośnięte zgniecioną przez wiatr trawą, pustkę z porozwieszonymi mewami. A potem znów dżungla.

- To nie jest wybrzeże - mówił Falls. - Nie dla mnie. Dla mnie wybrzeże jest tam, gdzie można dotknąć wody.

- Zagubione Wybrzeże.

- Nie widziałem tego na mapie.

- Zagubione Wybrzeże. Tak było na znaku. Do leśniczówki. Wielka, biała strzała.

- W prawo. A my pojechaliśmy prosto.

- Było napisane „Zagubione Wybrzeże”. I zgubiliśmy się jak amen w pacierzu.

- Nie zgubiliśmy się - liście uderzyły w szybę. - Wejdźcie. Wejdźcie...

- Obaj wiemy, że jeden z nas się zgubił. A ten drugi z nim jedzie.

- Niedźwiedź wpierdolił turystę - oznajmił Falls. - Tom-my, obudź się. Samochód na drodze!

Thompson spojrzał przed siebie. - O tak, Panie. O tak... wierzę, wierzę, wierzę.

Podjechali bliżej i Falls zatrzymał auto. Na chwilę odebrało im mowę, a w końcu odezwał się Falls:

- Wiesz, co się dzieje, człowieku?!
- Jest wszędzie. Jest ich legion.
- Urodziliśmy się pod dobrą gwiazdą, facet.
- To przypadek, nic więcej. - Thompson wysiadł, żeby obejrzeć porsche.

Falls powiedział tylko:

- Ludzie mnie przerażają.

Gdy Falls wyłączył silnik, Tommy podniósł się sprzed maski porsche i przyłożył dłoń do ucha.

- Jeszcze szumi. I czuję spaliny. A ty? - Przeszedł do tyłu i położył dłoń na kratce nad silnikiem, jak znachor, jak uzdrowiciel. Podniósł głowę. - Ciepły jak młoda dziewczka!

Wyjął z kieszeni scyzoryk i przebił tylne opony blisko deklini, obchodził samochód, a potem się zatrzymał. Przyłożył palec do ust i szepnął:

- *Tu chodzi o życie.*

Falls wysiadł z ciężarówki, patrząc na Thompsona, który zaciśniętymi zębami, zeszytywniała twarzą i gwałtownymi ruchami rąk nakazywał mu, by robił to cicho. Ale Falls słyszał już trzask gałęzi niedaleko drogi.

Tommy podszedł na palcach do kabiny pikapa, otworzył cicho drzwi od strony pasażera i zniknął w środku.

Falls podciągnął kolana pod brodę, siadając z tyłu porsche.

- Tu chodzi o życie? Czy to jakiś film o mafii? Ktoś włączył telewizor? - zapytał.

Drzwi kabiny otworzyły się do końca. Falls wpatrzył się teraz w lufę i teleskop casulla Tommy'ego.

Wyskoczył z auta jak oparzony. Zniknął z obrazu, potrząsając głową.

Fairchild - owinięty białym szlafrokiem - wyszedł na drogę w pewnej odległości za porsche, nie większej niż sto stóp. Drapał się oburącz po głowie, na ramieniu miał plecak i sprawiał dosyć dziwne wrażenie.

Tommy oparł broń o framugę okna i wystrzelił raz do celu - póki facet stanowił jeszcze cel - a potem odszedł o krok od auta i wystrzelał za nim cały magazynek, przerywając

tylko na odciąganie kurka i dochodzenie do siebie po każdym ogłuszającym huku.

- Wielka rzecz, facet - powiedział Falls.
- Zamknij się. I tak cię nie słyszę.
- Oddaję ci się w niewolę.
- Trzeba go dogonić.
- Daję ci godzinę z mojego życia. Póki się nie zmęczone. Potem wypuścimy psy.

Tommy rozłożył amunicję na masce pikapa, wyjmował naboje z małych pudełek i ładował. Jego duma i radość nie była bronią do walki - łuski trzeba było wydłubywać z magazynka nożem. Wyjmował je po kolei i wkładał do kieszeni. Załadował tylko cztery nowe naboje i zatrzasnął cylinder.

- Słyszę go! - zbiegł z drogi i skoczył jak baletnica w dół stoku: jedną rękę miał z tyłu, drugą przed sobą z bronią, a nogi w szpagacie. Strzelił.

- TOMMY! TOMMY! TOMMY! - wrzeszczał Bart i nie przestawał nawet wtedy, gdy Tommy wspiął się ponownie na drogę i stanął z nim twarzą w twarz.

- TOMMY! TOMMY! TOMMY! TOMMY! - darł się jak nakręcony.

- CO CO CO CO CO CO, KUTASIE?
- Czy mogę prosić cię o chwilę uwagi?
- Dorwijmy go.

Falls usiadł na przednim zderzaku pikapa i udawał, że się namyśla.

- Co? Wkurwiony jesteś?
- Wiesz, Tommy, chodzi o to, że zgadzaliśmy się i zgadzamy.
- W czym? Żeby do niego nie strzelać? Wiem. Był o tysiąc mil za daleko. Walnąłem tylko na postrach.

- Dziewięć razy. W ciągu ostatnich dwóch minut wystrzeliłeś dziewięć kul.

- W porządku. Nie wystrzele już ani jednej, dopóki z nim nie porozmawiamy - Tommy machnął bronią i podał Fallsowi kolbę.

Falls wziął pukawkę i próbował wsunąć ją za pasek, ale pieprzony wizjer nie chciał się zmieścić. Lufa była gorąca, a całe cholerstwo za ciężkie, niemal tak ciężkie jak niektóre

strzelby, jakie miewał dawniej w rękę. Biegąc z tym za pasem, można by pozbyć się gaci. Ujął broń za kolbę.

- Przypomnij mi, Tommy, żeby nigdy nie poszedł z tobą na polowanie.

W płóciennych butach na szorstkiej podszewie, z niebotycznym strachem w sercu Fairchild ześlizgiwał się w dół urwiska, chwytając gałęzie grubsze od jego ramienia. Przyłożył rękę do szyi po lewej stronie, po stronie, która krwawiła. Miał nadzieję, że niezbyt mocno, nie z głównej arterii. Zresztą przebita tętnica nie dałaby mu czasu na rozważanie takich spraw; plułaby fontannami jego życia dalej, niż sięgał wzrokiem. Ta cieknie miarowo jak górskie źródło. Tylko gdzie się zatrzymuje taki krwotok? Przycisnął dłoń do szyi. Tylko to mógł zrobić. Obleźli go ze wszystkich stron jak muchy, jak myśli. Kula trafiła w kamień i przeleciała mu obok ucha, bzycząc jak dentystyczne wiertło. Może kolejny szrapnel? Nie wiedział. W każdym razie znów go zranili.

Las kończył się nad samym morzem. Chciał zejść na brzeg i ruszyć aż do gajówki; chciał porozumieć się z jej właścicielem, człowiekiem, którego potrzebował, by położyć kres temu wszystkiemu.

Ten ciąg myśli przerwała mu świadomość, że leży na plecach z lewą ręką wbitą w ziemię. Wysoko nad głową Fairchilda przetoczył się grzmot. Strzały. Czuł zimno po tej stronie ciała, zamarzało mu ramię.

Ukrzyżowany niemal, spojrzął w górę na konary drzew. Wiatr poruszał liśćmi, falującymi prawie w jednakowym rytmie. Czuł, że nie jest tam, gdzie powinien być - wciąż daleko od tego miejsca. Przetoczył się w dół, miał piasek w ustach. Splunął. W oczach miał deszcz.

Usiadł i przetarł je konwulsyjnie, rozmazując błoto po twarzy i wpadł na drzewo, nim zdał sobie sprawę, że wstał i nogi go niosą; bał się wszystkiego, co miał za plecami, i uciekał przed tym. Ale teraz spadał, aż zatrzymał się w uścisku czyichś rąk. A raczej nóg - dwóch grubych ud, które wybiły mu powietrze z płuc. Ujrzał siebie wiszącego poziomo w kroczu: w rozwidleniu olchy. Poruszył głowę, pęknięcia na korze pulsowały. Był to odbity obraz: spoglądał w dół, na taflę wolno płynącego strumienia. Próbując się wyprosto-

wać, osunął się do tyłu, strome lasy uciekły sennie sprzed jego oczu i ujrzał ocean i tęcze, kilka tęcz wiszących między brzegiem a horyzontem; pół tuzina tęcz, niektóre podwójne, przecinające się, poruszające się dziwnie jak chmury, znikające, pojawiające się na nowo, przekazujące jego nerwom spazm braku poczucia miejsca, spazm strachu, bo odbierał je jako dowód utraty kontroli nad zmysłami. Wkrótce pojął, że są rzeczywiste. Wijąc się, opuścił pokryte bliznami, acz dobrotliwe łono drzewa, odnalazł stopami ziemię, oparł się na gałęzi.

Łożysko strumienia zamieniało się w skalisty potok, szczelinę wśród przesłaniających wszystko roślin, otwierającą się ku górze i w prawo, tam gdzie wielokolorowy łuk opadał jak ostrze ku słonecznym wzgórzom. Przez światło przedzierał się lekki, ulotny deszczyk, a przez lśniące krople szli dwaj świniarze. Z tej odległości ich maleńkie kroki wydawały się wymuszone pochyłością stoku, przebierali nóżkami jak niezdarne owady. Przeszli przez tęczę, nawet o tym nie wiedząc. Weszli w następną i już z niej nie wyszli.

Na prawym ramieniu Fairchilda wisiał plecak. Chwycił pasek palcami i próbował go strącić. W lewej ręce poczuł lodowy wybuch, jakby znalazła się jakimś cudem w przenikliwej śnieżnej zamieci - ból o nieznanym prawdopodobnie nasileniu. Odwrócił się, by zrobić krok, by odejść od niego, iść dalej, ale usiadł, gdy rozjechały mu się nogi. Jechał w dół, jak na kółkach, trafił stopami w strumień, stracił je z oczu, gdy okryła je długa kryza na wodzie. Siedząc, zaczął kierować się ku małej zatoczce, wpadł po pas do wody. Plecak zsunął mu się z ramienia, zatrzymał się i chwycił pasek, by machnąć o nim w stronę przeciwnego brzegu, oddalonego nie więcej niż o pięć stóp. Niżej, nad samą wodą, strumień okazał się szerszy, był spokojną rzeką, której drugi brzeg gubił się we mgle. Wstał. Z każdym jego krokiem nurt stawał się niebezpieczniejszy, rzeka coraz głębsza. Brodził, chwilami płynął, aż w końcu stracił dno, porwał go bystry nurt, przewrócił, zaczął obracać... Kamienie, bąbelki, kamienie, bąbelki, kamienie...

Znów miał przed oczyma liście. Rozwidlona olcha pochyla się prawie nad jego głową. Obok niej leży plecak.

Doszedł do ostrożnego porozumienia z osobą, która się temu przyglądała, dzięki czemu wyrobił sobie pojęcie, że

ogładana osoba była nieprzytomna i że był nią on sam. Tymczasem jedna z osób szarpnęła się teraz jak marionetka, a druga zepchnęła go w dół, tak że wisiał nad krawędzią w miejscu, gdzie strumień wrzynał się w ziemię, a on wrzynał się wraz z nim. Nie zgadzając się na myśl o strumieniu, wyswobodził się z jego nurtu. Ruszył w przeciwnym kierunku - znów tylko o tym myśląc. Woda chlupotała mu w butach. Padał gęsty deszcz. Słyszał podmuchy wiatru i kanonadę fali. Trzeba sobie z tym poradzić, z tym, co się stało.

Za każdym razem, gdy podnosił głowę, widział z daleka świniarzy - w błyskach piorunów, w tęczach, w zachodzącym słońcu, w lesie - widział ich sylwetki niby pomniki poświęcone niczemu. Sobie.

Znowu znalazł się wśród drzew i odpoczął, pochylając się w dół, siedząc okrakiem na pniu eukaliptusa. Wyciągnął sprawną rękę i zerwał garść długich, suchych liści. Wyrwane jak kwiat, wyrzucone w niebo, drzewo wysunęło się spod niego. Zjeżdżał na boku, czekał, aż odzyska siły, pełzał na kolanach, podparty jednym ramieniem, ku cierplivej strudze. Położył się twarzą w wodze i ssał. Odwrócił głowę o trzy cale od przejrzystej wody wpływającej i wypływającej z jego ust. Jego prawa ręka podpłynęła do ucha i odsunęła łupek, który miał pod policzkiem. Leżąc z głową zanurzoną do połowy w strumieniu, drapał palcami kamienie, a pozbywszy się ich, uderzył łupkiem w gliniaste dno. Odepchnął się, usiadł, oparł się plecami o skałę i znów odpoczywał, przyglądając się zmętniałym purpurowym warkoczom, które wypływały z jego spodni, pędziły z nurtem i znikwały w wysokiej na sześć stóp przepaści.

Złośliwa, pryszczata olcha stała nad nim. Obok wody leżał plecak. Pojął, że wszystkie te wyprawy, których było tak wiele, że ledwo je pamiętał, odbywały się na przestrzeni nie dłuższej niż cztery stopy.

Ścieżka - zbyt szeroka, by mogły ją wydeptać zwierzęta, ścieżka dla ludzkich stóp - biegła wśród drzew blisko miejsca, w którym siedział oparty o kamień, z błotem i mierzwą na podołku. Ogarniała go senność, ogromna i miękka, ale wiedział, że gdy zwali się na bok, już nigdy się stąd nie wydostanie.

Na wzór jednorękiego piekarza zaczął wyrabiać z gliny

dwa okłady, zawinął je w długie liście eukaliptusa i przerwał na chwile, patrząc na rzeczy, których nie rozumiał.

Rozbiegane, rozwodnione otwory w jego czaszce zwały się do wielkości łebków od szpilki. Patrzył na złamany pień.

Sęp w pełnym świetle, opadający powoli, zwalniający lot przez zamknięcie skrzydeł przed sobą, zatrzymał się na pieńku, rozpostarł ostrożnie skrzydła i podniósł je, by wyschły: krople spadały z różowego puchu - w każdej z nich zamknięta jakaś postać - deszcz na koniuszku każdego pióra. Wszystko inne też było mokre. Gładkie samorodki spadały z górnych pięter lasu.

„Hej, człowieku”.

„Kto to powiedział? Ja czy ty?”

„Jesteś Ptakiem Grzmotem”. To ja. To ja mówię.

Kopiąc, wydobył z ziemi płaski kamień o obwodzie ludzkiej głowy, gruby na cztery cale. Pełzając na kolanach, wpełznął kamień na środek ścieżki. Obok niego położył okład. Potem przewrócił się na bok, wyciągnął prawe ramię i przysunął do siebie drugą bułę z gliny i eukaliptusa.

Położył materiały - okłady i płaski kamień - obok skalnego występu szerokości dłoni, wystającego z ziemi przy ścieżce. Rozmazał jeden okład na plecach, na zmiążdżonej lewej łopacie i położył się, mając go między raną a skałą. Wrzasnął, a potem nacisnął to miejsce całym ciężarem. Cień sępa przemknął po jego twarzy. Dyszał ciężko i szybko przez dobrą minutę, potem zwolnił oddech. Stopniowo. Prawą ręką odepchnął klapy szlafroka, sięgnął po drugi okład, by położyć go na ranie wlotowej i przycisnąć płaskim kamieniem. Gdy przestał krzyczeć, znów ciężko dyszał. Łzybko, i nie mógł zwolnić. Przyspieszał więc, opuścił głowę i stracił przytomność.

Gdy się ocknął, w głowie miał burzę i czerwoną mgłę, mimo to pewne myśli rysowały się całkiem jasno. Krwawienie ustało, gdyby było inaczej, nie odzyskałby już przytomności. Ptak Grzmot pobłogosławił go skrzydłami. Ocaliły go indiańskie lekarstwa, musiał ruszać w drogę. Zrobił to natychmiast: usiadł, odpychając się zdrową ręką od ziemi, a stopy przesuwając w dół stoku, na stromiznę. Zdołał wsunąć je pod siebie i wstać. Trzymał się pnia i odpoczywał, potem zaczął opuszczać się po zboczu od drzewa do drzewa. W takiej wilgoci złowrogie błyski nie mogą być piorunami suszy.

Nie mogą też być synaptycznym spięciem, bo nie spał, zachował pełną świadomość, a poza tym synaptyczne spięcia nie rzucają cieni liści na ziemię.

W miejscu, gdzie brzegi strumienia zapadły się i gdzie leżały zwalone drzewa, otwierała się dziura z widokiem aż po oceaniczny horyzont. W niej, nad poszatkowaną wodą, unosił się niepewnie całun z chmur, od którego odrywały się krótkie emanacje i który migotał od wewnątrz, jakby połknął ładunek trotylu. Rzecz bez twarzy, może nawet bez głowy, tańcząca oblesną, podniebną czeczotkę i grzmiącą. Wijąca się, żałosna. Za nią druga warstwa chmur, jaśniejąca i ciemniejąca, na którą spadła burza i pożarła ją. Tu z liści kapał cichutko deszcz, niemal nic się nie poruszało, a nad oceanem zachód słońca został wymazany jak z tablicy - zastąpiła go nabrzmiała ciemność. Przez wodę biegła gwałtowna fala powietrza i uderzała w łód z siłą detonującej bomby.

Dotknął czegoś, uruchomił coś w swojej twarzy? - szlafrok wydał się jak balon, podmuch wyrywał mu włosy razem z cebulkami, a towarzyszący temu ból złościł go; drzewa spłaszczyły się, rozebrały jak kości we wrzątku. Wokół przelatowały liście. Błysk, tnące szpony wiedzy, wskazujące mu cel poniżej. Przerwa na akomodację oka i ogłuszający grzmot. Kolejne błyski wyznaczają upływ milisekund. Wyżej od niego jakiś człowiek. I jeszcze jeden. Zwrócenie ku sobie w znaczącym, nieruchomym pomieszaniu. I znowu: grzęznący w ziemi. Fairchild płynął, dotknął piętami ziemi: raz, dwa razy, byle dalej w dół stoku i znów pod drzewa.

Grunt wyrównał się. Las uciekł do tyłu. Już po burzy, chmury snuły się nad horyzontem, jakby zapomniały o wszystkim, a ocean spłaszczył się, zagłębił w sobie jak gumowa abawka. Niebo wydawało się próżnią, gdzie nie było pogody ni gwiazd. Wszedł przez wilgotny, wiszący nisko zapach ziemi w jednorodność mroku.

Strumień płynął szeroko: dwa cale wody sunęły po piasku w dolinie wykarczowanej przez osadników. Zarośnięty sad. Stóg gnijącego siana, sztachety w płocie rozhuśtane jak jesiony. Podniesiony na duchu, odświeżony zmianami, jakie zaszły w powietrzu - zmianami, które wyczuwał w płucach - szedł wzdłuż traktu, kiedyś zapewne drogi prowadzącej nie do, ale od morza, szedł krótkim, ćwierćmilowym gościń-

cem, którą wożono towary z łodzi do osady drwali, której już nie było, obok chat i szkoły, których też nie było, i obok sadu, który wciąż był. Stare jabłonie zdziczały w ekstrawaganckich kształtach, nowe gałęzie wyginały się i podwijały jak słoniowe kły. Widać było miejsca, w których ciężar owoców nadłamał konary. Większość jabłek zjadały sarny i jelenie. Na najwyższych gałęziach trzymało się kilka sękatych, zielonych owoców. Minął nadwątlone przez czas resztki osadniczego wozu, którego koła rozjechały się na boki, jakby chroniąc konstrukcję przed zapadnięciem się pod ziemię.

Między drzewami, po skosie, płynęła oszroniona chmura podobna do tej, którą widział poprzednio; nie migotała teraz, ale wydawała z siebie głębokie, kobiece jęki i ciche, prawie niesłyszalne i jakby obojętne poszum.

Zamknął i otworzył oczy: miał teraz przed sobą kobietę otoczoną drzącą, delikatną aurą, której nie powinien widzieć w ogóle w tak słabym świetle, kobietę w szarej sukni. A za nią innych. Swiniarzy nadciągających z cienia. Nie, nie swiniarzy, dwie zjawy.

Fairchildowi zdawało się, że kobieta jest zasmucona -z głową pochyloną nisko, opartą chyba o pierś; lecz gdy odwróciła się do niego przodem, ujrzał rozchełstane sznurówki jej szarej sukni, a za nimi pustkę. Była bezgłowa.

Słyszał śpiew i wiedział, że to ona śpiewa, ale głos niósł się zewsząd i znikąd zarazem, jakby ukryła się w pniu drzewa i przypominała sobie tylko swój obraz, swój śpiew, a jej cielesna powłoka unosiła się jak płomyk, gnana siłą własnego światła. Czuli obecność prześladowców i zerwała kielek z gałęzi jabłoni. Emanująca z niej poświata była prawdziwa, sunęła po konarach, które mijała, wyzierała spod niedalekiego stołu dla przyjeżdżających tu na pikniki wycieczkowiczów. Dwie zjawy przesłoniły ją na chwilę, później poszybowała ku wodzie. Przemknęła nad brzegiem, nad wodą zwolniła i przyspieszyła po chwili, migocząc jak kropla na rozgrzanym węglu, parując i dusząc się w ciemności.

Fairchildowi pozostało niewiele do przejścia - miał przed sobą zielony, choć teraz o barwie trudnej do odgadnięcia, stół dla wycieczkowiczów, własność Lasów Stanowych. Usiadł tyłem do blatu, wyprostowany. Czuł bicie serca w gardle.

Oparł się ostrożnie plecami o krawędź stołu. Pomyślał,

że jeśli w ogóle miał się zatrzymywać, powinien był zatrzymać się wcześniej, nim wszedł do morza. Pomyślał, że pędzą go do wody, żeby się utopił, ale to tylko stromizna stoku i grawitacja pędziły go tutaj.

Wyczuwał inne zjawy, w większości ulotne i odległe -z wyjątkiem ojca z płonącymi wściekle, mściwymi oczyma. Zdawał sobie sprawę z jego obecności już od jakiegoś czasu; zdawał sobie sprawę tak jasno i wyraźnie, jakby go słyszał przedzierającego się przez drzewa i dolinę, które zostawił za sobą.

Wybrałeś się na polowanie, chłopcze?

Mniej więcej... chyba.

Łapiesz kule, hę? Podziurawią cię jak szwajcarski ser.

Pracują nad tym.

Gdybyś tylko potrafił zaczarować świat, tak jak czarowałeś mnie.

Gdy mówił, zmieniał zabarwienie. Składał się z plam światła i ciemności, siedział na ławce po przeciwnej stronie stołu i przyglądał się wszystkiemu, a Fairchild przyglądał się ojcu.

Nie jesteś jedynym duchem w tej okolicy.

Nigdy tak nie twierdziłem.

Jest jeszcze kobieta.

Ta? To nauczycielka.

Co się stało z jej głową?

Zniknęła.

Ja też muszę zniknąć, ojczu. Muszę iść, ruszać się.

Po co?

Psy.

Zdechłe psy. Duchy psów. W tej okolicy są same duchy.

A ja?

No tak. Ty, ja, oni. Stara nauczycielka i jej dwaj kumple.

Zobacz, kto tu jeszcze przyszedł...

Winona? Winona?!

No tak. Udusił ją znajomy... Tak jest, synu, to stara Winona. Ta nowa jest kimś innym.

Wiedziałem! - szepnął Fairchild.

Nie rozmawiamy ze sobą.

Spojrzeli na cierpiącą nieopodal Winonę, otoczoną mgłą niezrozumienia, dotykającą palcami szyi.

Ojczu, wiedziałeś, że przyjdę?

Jasne, do cholery. Byłeś tu, odkąd ja tu jestem. Od zawsze.
Fairchild zastanowił się nad tym, ale nie potrafił zrozumieć.
Niech mnie, powiedział, ale mieliśmy burzę.

Ojciec tylko patrzył.

Niech mnie, powtórzył, to ci była burza.

Ojciec patrzył.

Widziałeś kiedy burzę?

Oprócz tej, którą byłeś? Nigdy.

Inne demony wałęsały się po okolicy w swej nagości i dziwności, ze swoimi pragnieniami, kolejne upiory obnosiły gołe czaszki, w tym Indianie ukrzyżowani na drzewach i kowboje z ich skalpami u pasów. Wszyscy emanowali bladym światłem. Fairchild - człowiek snów i porażek - też.

Nie rozmawiaj z nim. Kiedy nadejdzie pora, będziesz wiedział, co ma do powiedzenia.

Widział własnego ducha, który odchodzi ku plaży i wcale nie wygląda na nieszczęśliwego.

Wszyscy wydawali się żywi. Gdy ojciec ziewał, jego oddech był jak mistral.

Co powiesz na małą drzemkę?

Nie mogę.

Dlaczego?

Psy. Psy.

Psy śpią, powiedział ojciec.

Fairchild przygotowywał się do snu jak zwierzę. Znalazł miejsce z dala od gwaru i światła, gdzie jego ciało nie zagrażali drapieżcy ani złodzieje i gdzie mógł odpocząć, nie poruszając się ani nie zagrożony upadkiem. Położył się pod stołem, gdzie mógł uniknąć zasadzki niepokojów - tych dobrze znanych chwil przed zaśnięciem, skaczących bezbronnym do gardła, unoszących łby i kroczących wokół jak dinozaury. Mrugnął powiekami. W maleńkim stawie między jawą a snem mieszkają topielice... nikt nie przemknął się obok nich z otwartymi oczyma. Zrzekł się nadzoru nad własnymi myślami, powiedział: „żegnajcie” troskom i wszelkiej skłonności do zatroskania, przystał na to, by wola zsunęła się w bezdenną przepaść bierności i nihilizmu... Wówczas pojawiły się przed nim pierwsze zarysy nowego świata -fenomeny hipnopedyczne. Wstrząsały nim prawdy, elektryzowały go, wyciszały.

W dniu swojej śmierci Nelson Fairchild otrzymał liczne znaki pokoju, wyrazy żalu, świadectwa urody świata, wyjaśnienia, słowa pociechy i miłości. Opadając z przejrzyście czarnych przestrzeni, znalazł się najpierw w półprzezroczystej mgłę. Obudził się z lekkim sercem, wokół którego czuł ciepło, i nie śpieszyło mu się do wstania. Z obszarów jawy nadchodziły słabe, nieprzyjemne komunikaty o niewygodzie i bólu. Stał nad brzegiem świadomości i zrobił krok ku piaskom własnego ciała - sen był morzem, z którego wychodził, wodą, która go otulała. Lecz coś z jej mroków, z dławiących fałd... nie dawało mu spokoju. Była większa i potężniejsza od ciemności, którą znał do tej pory: przestraszył się i przyspieszył wybudzanie.

Śniło mi się, że byłem prawdziwy.

Leżał na prawym boku z kępką ostrej, wyrastającej z piasku trawy pod policzkiem i z plecakiem przyciśniętym do brzucha, a wpatrywał się z nieodległego jeszcze snu w coś, co wyglądało jak brzeg morza. Stwierdził, że zdrową ręką głaszcze się po kroczu; zdał sobie sprawę, że wcale nie chce przestać; zrozumiał, że czerpie z tego pocieszenie. Drugiej ręki nie było, jakby ją wymazano, barku i ramienia też; usunięto je z jego doświadczenia, ze wszystkich luster i starych fotografii. Podkraślał się ku niemu uogólnione cierpienie, lecz jeszcze nie zdołał obudzić zmysłów do prawdziwości rzeczy -cień jego położenia, jeszcze daleki, wydawał się niepokojący, ale do zaaprobowania. W powietrzu wyczuwał zapach, który przypominał kwaśny podpis kota - eukaliptus. Słyszał fale -jakby je ktoś okładał kijem - i postanowił to zapisać.

No cóż. Dlaczego nie.

Wstał i usiadł przy stole, pod którym spał. Zastanawiał się przez chwilę, jak udało mu się tego dokonać, przepowiadał sobie operacje, jakich musiał się podjąć na płaszczyźnie fizycznej: czołganie, stanie, łapanie równowagi, siadanie - i pojął, że czyn ów zasługiwał na miano heroicznego. Głupie, straszliwe mdłości. Od tej chwili - obiecał sobie - będę tchórzem.

Był ranek, ale o wieczornym świetle. Cień gór sięgał daleko w morze i tam się urywał. Woda miała szarzieloną barwę, na niebie wisiały chmury, a pomiędzy dwoma ży-

wiolami znajdowała się miedziana, wytopiona szczelina wze-
rająca się w Kalifornię. Daleko nad wzgórzami sępy stąpały
niepewnie po niczym. Nawoływały się foki, nawoływały się
mewy, ale niczego nie widział. Rozpiął zdrową ręką sprzączki
plecaka: w środku papiery, pióro.

Choć był zupełnie sam, wstydził się literackości, z jaką
wszystkiego doświadczał, a z drugiej strony był zły na siebie, że
pozwolił odpłynąć bez należytej interpretacji całemu popołudniu i
wieczorowi. Nie był umysłem, który pozwalałby sobie na takie
rzeczy. Żadnego odpływania bez nadzoru. Jego dusza nigdy się
nie rozbierała - Melissa twierdziła, że rujnowało go to w łóżku.
Winona też mogłaby tak powiedzieć, gdyby dano jej odpowiednią
wrażliwość, żeby to zauważyła.

Wtedy usłyszał nauczycielkę i jej niemal nieczytelną mru-
czankę. Piosenkę i głos, przypominające - tak, z całą pewnością -
indiański flet. A teraz niski, głuchy jęk umierającego człowieka.
Dźwięki te - słyszane za dnia - były bardziej przerażające niż
wczoraj.

Zerwał się, gnany strachem popędził przed siebie, ale już po
kilku krokach opadł z sił i usiadł nad brzegiem morza. Ocean -
chciał napisać - źródło życia, miejsce śmierci: Ocean
zachowujący się jak bóg. Ale zapomniał. Siedząc na mokrym
piasku, zajął się odwiecznym, żalonym dążeniem morza do
brzegu.

Gdy piszę te słowa - rankiem w obozie nad morzem, w okręgu
Humboldt - słońce wyziera zza krawędzi kanionu i rozpala
ścieżkę wiodącą stąd dalej. Wątpię jednak, by darie mi było nią
ruszyć.

Czuję się tak, jakbym tu mieszkał, przy głównej arterii
duchów, którą toczy się ruch nie istniejących bytów. Słyszę ich
kroki w trawie...

I jęki człowieka. Widział jakieś zwierzęta: foki albo ptaki, albo
może wydry, szukające jaj mew, wspinające się na skały z
wielkanocną obsesją. Ach, foki są tam, w morzu, zażywają
kąpieli i stroją miny, zadzierając pyski, jak francuscy inte-
lektualiści.

Kroki szurające w trawie minęły go. Fairchild nie podnosił
głowy i widział tylko wodoodporne buty mężczyzny i sznu-

rowadła, które ciągnęły się po ziemi. Ale musiał spojrzeć! Oto on: ksiądz gwałciciel ze Schoolmarm Cove, przyciskający do piersi nadgryzioną przez szczury Biblię. Przekonał się, że nic nie napisał. Pisał więc:

Umieram w Wheeler, w Kalifornii, w wiosce nad Pacyfikiem oddalonej o jakieś czterdzieści mil wzdłuż wybrzeża od Fort Bragg. Jestem jedyną osobą w mieście. W zasadzie nazywanie tego miastem lub wioską albo czymkolwiek innym jest przesadą i wprowadza w błąd. Są tu trzy, może cztery ściany stojące nad małą zatoczką, która na starych mapach ma nazwę School Marm's Cove, i dwie albo trzy zardzewiałe, pochodzące z poprzedniego stulecia maszyny tartaczne przewrócone na bok pod dębami. Poza tym miejsce jak miejsce -strumyk, zagajnik, łąka. Rzecz w tym, że nazywa się Wheeler. W zagajniku są dwa albo trzy kempingi należące do Lasów Stanowych. Jestem jedyną osobą na przestrzeni wielu mil. Nie licząc oczywiście świniarzy.

Jestem tu po to, żeby zdecydować, czy wyzbyć się życia, czy raczej walczyć o jego trwanie. Stawić czoło muzyce, czy zostać martwym.

Lub też... przyjechałem tu po to, żeby być sam przez resztę życia, sam na sam z napięciem, cudownym napięciem właściwym każdemu wyborowi. Mogę niczego nie postanawiać. Mogę zostać tu na zawsze z tą alternatywą. Mogę ją także zabrać ze sobą.

Chcę tylko, by w tej samotni kierowała mną moja prawda.

Próbował przypomnieć sobie pewien fragment, akapit z *Demiana* Hermanna Hessego, ale zdołał zanotować tylko kilkanaście słów: *...moje zło i moje nieszczęścia sprawiły, że stanąłem wyżej od ojca i pobożnych, i prawych...*

Pisząc „zło” pomyliłem się i przekreśliłem je, tak że zło wygląda teraz jak za zasłoną, nie tak jak je rozumiemy, ale jak dar: życie - zło - zasłona...¹

¹ W oryginale gra słów między angielskimi terminami *evii* - zło, *live* - żyć i *veil* - zasłona (*przyp. tłum.*).

Odpoczywał, przyglądając się niesionym przez fale śmieciom i wyniosłym foczym pyskom w wodzie. Spojrzał na stronę. Znalazł tylko jedno słowo: *Umieram*.

Choć siedział w cieniu, poczuł, że pada nań inny cień. Nauczycielki w szarej, podartej sukience z pustym wycięciem pod szyją. Nie zostawiała śladów stóp, choć buty wlokącego się za nią księdza odciskały się w piasku. Za księdzem podążał Maur.

Fairchild był ostatni, szedł z piórem zatkniętym za ucho, z papierami w dłoni. Cała czwórka trzymała się brzegu morza zachowując odległość między sobą, podążając równolegle do bezwstydneho horyzontu i zatłoczonego krajobrazu chmur. Nad morzem wzbijały się w przestworza mewy, niesione atmosferycznymi wirami, wiatr dał w porywach, ocean był pomarszczony, ale bez piany. Fairchild miał przetłuszczone włosy i skórę na twarzy. Czuł sól na wargach.

Wpłynęli do szerokiego ujścia strumienia, Fairchild podążył za nimi. Siły opuściły go, gdy strumień zaczął się zwężać. Usiadł przy innym stole przyprószonym liśćmi i zapatrzył się w płynącą wodę. Poczucie trwania i przemijania.

Chcę umrzeć tak, jak ta rzeka. Chcę odpłynąć, być przejrzysty i zimny. Chcę mieć pod sobą szorstkie, kamieniste dno.

Gdzie podział się ojciec?

- Ojciec? - zawołał, ale z jego gardła wydobył się tylko oddech brzmiący jak „ojciec”.

Stary nie chciał się pokazać. Oprócz bezgłowej nauczycielki i jej *entourage'u* nie odwiedzały go inne fantazmaty. Skrzywdzili ją przemytnicy albo - jak mówili niektórzy - indiańscy renegaci Porno, ale Fairchild wolał wersję, w której nieszczęsna padła ofiarą księdza - Hiszpana zrujnowanego przez mescal i syfilis. Ksiądz i marynarz Maur przywieźli ją tu z San Francisco. Miała uczyć dzieci. Gdy przybili do brzegu, stwierdzili, że miasto wymarło, a nie znalazłszy nikogo, ruszyli cztery mile na północ, zbierając po drodze jeżyny, które nazywali jagodami. Nieopodal Bear Harbor ksiądz i Maur rzucili się na nauczycielkę, zgwałcili ją, a później gonili z powrotem aż do Wheeler. Była młoda i krucha -

mówiono, że nie ma dość siły, by nosić aż taką obfitość długich, rudych włosów - ale opierała się, walczyła z nimi i sierpem wypruła flaki Maurowi. Ksiądz wyrwał jej sierp, by obciąć dziewczynie głowę. Potem się powiesił. Teraz dwaj gwałciciele mieszkają w tej okolicy jako duchy, skazani na jej śpiew dobiegający z niebios.

Nie pamiętam - pisał - czy przypominam to sobie, czy dowiaduję się o tym teraz.

Podniósł głowę, bo usłyszał psy, te psy.

Niektórych ludzi postrzegamy jak szczeliny, krótko, lecz głęboko, nawet w chwili śmierci. Innych -jak mielizny, przez które nigdy nie będzie nam dane przepłynąć.

Przyjrzał się kartce. Wciąż było na niej tylko jedno słowo.

Cudowne pióro. W piórze skończył się atrament. By je odkręcić jedną ręką, wsadził je sobie między zęby. Napelnił pióro z ciemnoczerwonej kałuży, w której siedział na ławce.

Wysoko w lasach wyły psy. Wiatr szumiał w gałęziach jak wdychające organy - *Nie Kocham już Melissy, która rozgrzała moje kości, ale Kocham samotność. Coraz mocniej i mocniej zakochuję się w samotności.* Lewa dłoń rozmasowała krew po całym marginesie.

O! Teraz właśnie zrozumiał: jestem nauczycielką ze Schoolmarm Cove.

Demony kłębiły się w jej brzuchu i wychodziły z niej przez serce jako łkanie i westchnienia. Najgorsze były powolne ruchy budzących się emocji, zdumiewająco opóźnione reakcje, skamieniałe fusy dziecięcych cierpień, stare żale rozdzierające ją od wewnątrz pazurami, wybuchające z gardła, nie powiązane z żadnymi wspomnieniami, będące czystym uczuciem.

Psy. Psy. Słyszała ich skowyt. Widziała je między drzewami opadające jak liście. I znów, i jeszcze raz, trochę niżej. Ich muzyka była pieśnią psów, radosną, przytłumioną, lecz dojmującą. W morzu pływały foki, odpowiadały psom, poszczekiwaniami: Szercz? Szercz, szercz? Szercz? Gdy ujrzała ludzi, poczuła wybuch niewyobrażalnej wdzięczności.

Prawdopodobnie nigdy nie odejdę - pisała nauczycielka własną krwią. - Czy to nie dziwne? Tak, dziwne i piękne zarazem. Żdźbła trawy na pastwisku zatrzymane w słońcu, które wygotowało z nich życie niosąc suszę - cała nadzieja, siła wzrostu, cierpienia — a teraz

a teraz są Bogiem. Stoję boso na trawie, pisząc te słowa. I muszę zachować je w tajemnicy. Mogę pokazać je tylko tym, których zawiodłem, i tym, których dane mi było zdradzić.

Clarence Meadows wszedł do hotelu „Gualala” i skręcił ostro w prawo, do baru, gdzie przedpołudniowi opoje słuchali melodii z szafy grającej. Zajął stolik obok dużego telewizora i usiadł twarzą do okna wychodzącego na drogę. Na której zatrzyma się na chwilę - wystarczająco długą, by można go było rozpoznać - wielebny Connor, który jedzie kościelną furgonetką na umówione miejsce. Scout zaparkowany przed hotelem nie rzucał się w oczy. Meadows przełożył rośliny do trzech srebrzystych worków na śmieci epoki kosmicznej i wepchnął je do tyłu razem ze zwiniętą w kłęb pałatką. Wszystko wyglądało normalnie, jak zwykły śmietnik. Tylko cuchnęło jak przypalony szpinak.

Potrząsnął przecząco głową, zanim barmanka wyszła do niego zza kontuaru. Oparła się z powrotem o bar i wróciła do rozmowy z koleżanką, trzymając twarz przy jej uchu. Telewizor był włączony bez dźwięku. Ścieżka dźwiękowa pochodziła z dudniącej szafy.

Błękitna, luterańska furgonetka zatrzymała się na pustej drodze, stała przy krawężniku przez sześćdziesiąt sekund i odjechała.

Na wielkim ekranie telewizora widać było zmęczonego mężczyznę w kajdankach. Przebierał palcami, żeby pobudzić cyrkulację krwi. Był prawie tak duży, jak siedzący obok ekranu Meadows. Pokazywali archiwalne zdjęcia. A potem kolejny film z kolejnego złego dnia w życiu Beznadziejnego Joe: Jose Esperanza zamordowany, z opuszczoną głową, cały w galaktyce kolorowych piłeczek do golfa; miał zadartą koszulę, z tatuażu wypływała krew. Pokazywali to już od tygo-

dnia. Zakochali się w tym amatorskim filmie, nakręconym kilka minut - może nawet sekund - po strzelaninie.

Meadows podszedł do baru i z dużego, szklanego półmiska wziął garść czerstwych, wyschniętych na wiór precli. Zabrał je na swoje miejsce, rozłożył na stole i zaczął jeść.

Nikt nie szkolił go w zabijaniu cywili, ale doszedł do wniosku, że przechowywanie broni użytej do morderstwa jest błędem. Mimo to zawinął winczestera w stary koc i wrzucił byle jak do bagażnika scouta -jeździł zatem, wożąc ze sobą dowód przeciwko sobie. Nawet w tej chwili strzelba leżała gdzieś pod towarem.

Zakończył post i nie wyrzygał posiłku zemsty. Tamci dwaj ubrali się na śmierć tak samo, jak do przyjścia na świat. Tajemnicę ich nagości potraktował jako znak usprawiedliwiający to, co zrobił.

Za godzinę wróci tu z mnóstwem pieniędzy. Wynajmie pokój, weźmie długi, bardzo gorący prysznic, wskoczy do łóżka z mokrą głową i zrezygnuje z piastowanych urzędów. Zostawi je młodszemu wilkom. Będzie spał przez dwanaście godzin w całkowitym bezruchu. Potem poślubi - raczej nieformalnie - matkę swego przyszłego dziecka.

Gdy otworzył drzwi silverado i wypłoszył psy, przemknęły obok niego jak kule, popędziły do strumienia i zatopiły w nim jęzory. Rośliny były zawinięte w jego własną niebieską plandekę i przykryte kocem. Psy zrobiły sobie na nich legowisko.

Gdy wjechał na mostek i dalej na drogę, przyszło mu do głowy, że powinien był zamknąć drzwi silverado po wypuszczeniu psów. Psy wrócą do wozu, wiatr zatrzśnie im drzwi i uwięzi je w ich kryjówce na zawsze.

Annę zapytała: - Jedziesz gdzieś? Daleko? Potrzebny mi będzie samochód po południu.

Niezbyt daleko, powiedział, a może nie powiedział. Są takie dni, kiedy nie słyszy się własnego głosu.

- Muszę przewieźć książki. Siedem kartonów.

Wielebny Connor zmienił plany i pozwolił żonie wziąć furgonetkę. Ubrany, gotów do wyjścia, usiadł w salonie i włączył telewizor. Nie odbierał telefonów.

Tuż przed południem wciągnął przez głowę golf i ruszył

drogą - omijając wzgórze i cmentarz za domem - do centrum handlowego w Gualali, gdzie Annę sprzedawała książki.

Obok poczty zobaczył kobietę, której nazwisko uleciało mu z pamięci, jedną z jego wiernych, z niemowlęciem - córką, jeśli się nie mylił - w ramionach.

- Witam! - zawołała młoda matka. Tatuś wychodził z poczty z kartkami i listami w ręku, dostrzegł Connora na parkingu i uśmiechnął się, pomachał dłonią.

Jak tam nasza nowa latorośl, powiedział - a może mu się zdawało? - i podszedł, żeby pogłaskać dziecko po główce, lecz zmienił zdanie. Nie w takim nastroju. Przeszedł dalej wzdłuż budynku, mając nadzieję, że pomyślał, iż z kimś go pomylili.

W kościelnej furgonetce należało wymienić wycieraczki. Poszedł po nie na stację Philipa, gdzie przy pompach pracował pewien młody kaznodzieja z West Point. Gdy wielebny Connor schodził ze wzgórza, z reguły przystawał przy tym obywatelu i zamieniał z nim parę słów, wyobrażając sobie, że jest bogaczem, który ofiarowuje jałmużnę żebrakowi, ale miał przy tym świadomość, iż prostą drogą podąża do piekła.

Z wycieraczkami pod pachą przeszedł przez szklane drzwi centrum, za którymi owiał go mocny zapach mielonej kawy. Zatrzymał się przy księgarni. Annę siedziała, jak zwykle, na wysokim krześle w mało atrakcyjnych okularach na nosie i gawędziła z każdym, kto się nadarzył. Jego zdaniem nie sprzedawała dużo książek.

- Potrzebujesz samochód? - spytała. - Ja już skończyłam. Kasa zadzwoniła i wysunęła szufladę. Annę rzuciła klu czyki na jego otwartą dłoń.

- Cassandra? - powiedziała, a on przypomniał sobie: Cassandra grała tego wieczoru koncert ze szkolną orkiestrą. Wszystkich to spieszy, ale co tam. - Nie masz chyba innych planów, prawda?

W istocie miał inne plany, obejmujące między innymi spotkanie z Harrym Lally i sprzedanie mu zbiorów, niemal bezwartościowych zbiorów. Co wiązało się z opowiedzeniem Harry'emu bajki, pięknej bajki. Bajki o marynarzach, pożarze i politurze. - Nie wiem jeszcze - postarał się powiedzieć to głośno.

31 października 1991

Nie podpisane, nie wyjaśnione, nie utajnione - wyznania czy wymysły? Plan morderstwa czy scenariusza filmowego? Pamiętnik spiskowca czy samobójcy, a może brednie szaleńca...

Prawdopodobnie nigdy nie odejdą - było chyba w nich napisane. - Czy to nie dziwne? Tak, dziwne i piękne zarazem. Żdźbła trawy na pastwisku zatrzymane w słońcu, które wygotowało z nich życie, niosąc susze. — cała nadzieja, siła wzrostu, cierpienia - a teraz--

Reszty niepodobna było odczytać. Człowiek napisał ostatnie słowa krwią. I nikt się nigdy nie dowie, jak brzmiały, choć trzyma je w ręku.

Rzucił list na stół i przyjrzał się własnemu odbiciu w kuchennym oknie. Nikogo tam nie ma. Na dworze szare światło zbawiające kolejny dzień. Włożył papiery do koperty.

Wziął ze stołu policyjną czapkę, przypiął nad sercem odznakę urzędu - nową, która kosztowała go osiemdziesiąt osiem dolarów - i zszedł na dół, zabierając ze sobą kopertę. Wiał jakby kłujący wiatr, ale nie złośliwy, na niebie było sporo chmur, ale znów - nic groźnego. Dobra pogoda na ślub. Ze sklepu spożywczego po drugiej stronie wychodziła łobuzeria z papierosami w zębach, z naręczami farb w sprayu.

Przed przyjęciem weselnym, które zorganizowano na molo, Navarro zatrzymał się na posterunku lub, jak kto woli, w biurze, lub - jeśli ktoś zapytałby go o zdanie - w szopie. Jenny opuściła żaluzje i zbierała różne rzeczy w ciemności, głównie na czworakach: teczki, spinacze, obwoluty i inne przejawy ich codziennych wysiłków. Navarro włączył lampkę na biurku i usiadł.

Nadszedł faks z archiwum kryminalnego - raport w sprawie właściciela silverado. Miał go na ekranie, ale potrzebował wydruk, coś, co mógłby zwinąć w kulkę i wyrzucić do śmieci, gdy przyjdzie odpowiednia pora. Pojazd należał do niejakiego Fallsa, Johna juniora, drugie imię Bartholomew. John przesiedział niemal połowę życia w różnych więzieniach:

pierwszy wyrok za morderstwo drugiego stopnia - oskarżony jako nieletni, dostał po zmianie kwalifikacji wyrok jak stary, dziesięć lat. Odsiedział całą dychę, nic nie wskazywało na to, że był grzeczny w pudle. Ostatni wyrok: San Quentin za czynną napaść i spisek, co w ludzkim języku oznaczało, że był wynajęty. Wielki stanowy komputer odfajkował go jako poszukiwanego: naruszenie wymogów zwolnienia warunkowego w październiku ubiegłego roku. Od tamtej pory po gościu ani śladu.

Navarro wrzucił wydruk do kosza, który kopnął w stronę Jenny. - Okrągłe archiwum dla pani - mruknął.

- Pracuję tu od zawsze. Jako pomoc biurowa. I *pomagam!* Czy ktoś temu zaprzeczy? Więc dlaczego znów kosze są pełne?

- Wywał wszystko, co nie przeszło jeszcze przez księgę korespondencji.

- Dobry pomysł. Byłoby mi lżej. Ale to rozwiązuje tylko część problemu. Co z tym, co muszę odarchiwizować po upływie przepisowych siedmiu lat, żeby zrobić miejsce na nowe archiwa?

- Założę się, że niektóre z tak zwanych nowych dokumentów mają więcej niż siedem lat.

- Być może. Ale nie pozwalasz mi zarchiwizować niczego, dopóki nie wsadzisz dokumentu do przegródki z napisem „Do archiwizacji”. Dostrzegasz ten paradoks?

Odwrócił się do niej plecami, wyjął z szuflady pióro i papier, ułożył na biurku, a potem zaczął szkicować odręcznie swoją rezygnację. Jenny ułożyła to w zdania, przepisując tekst na maszynie. Wystarczy, jeśli poda jej kilka powodów. Według niego wystarczającym powodem był każdy z otaczających go szczegółów: to miejsce, ci ludzie, on sam; powody piętrzyły się jak fale i zalewały wszystko aż po horyzont. W zasadzie powinien sporządzić list, taki, jak czytał przez ostatnie dni. Osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt stron rękopisu, w którym charakter pisma zmieniał się z linijki na linijkę, rozrastał się, kurczył, prostował, pochylał to w jedną, to w drugą stronę jak rewelersi - a wszystko splamione własną krwią autora.

- Dlaczego ludzie biorą ślub w święto Halloween?

- Istnieje dobry powód - powiedział.

- Jaki?

Stwierdził, że nie potrafi nawet zacząć.

- Tak, to zły pomysł.

Rok temu wziął przed Halloween zwolnienie lekarskie i wyjechał z Mo do Ukiah, gdzie zatrzymali się w Doubletree Inn - dawniej motelu Luanne - i oglądali filmy na wideo. W Doubletree zarezerwował tak zwany „zielony pokój”, który zawdzięczał swą nazwę wydarzeniom z 1988 roku - z końca ery Luanne - podczas których pomarańczowa wykładzina pod łóżkiem została poplamiona mokrym wojskowym workiem koloru oliwkowego, zawierającym całe pięć milionów dolarów gotówką. Worek oraz dwa karabiny maszynowe M-16 umieścili pod łóżkiem dwaj przestępcy, którzy dokonali największego w historii napadu na konwój przewożący pieniądze. Pozostali uczestnicy napadu - a wszyscy należeli do odłamu Braterstwa Aryjskiego, organizacji określającej się mianem „zakonu” - wyruszyli na północ z drugą połową dziesięciu milionów dolarów, zrabowanych bez rozlewu krwi z furgonetki Wells Fargo na wzgórzach za miastem. Dwójka bandytów wynajęła pokój w Luanne i oddawała się zasłużonemu odpoczynkowi, gdy rano na parkingu pojawiło się pełno aut z federalnymi tablicami rejestracyjnymi, a wszystkie pokoje wynajęli ponurzy agenci i szeryfowie federalni. Przestępcy porzucili łup i na paluszkach uciekli z motelu. Skarb leżący pod łóżkiem znalazła wiele miesięcy później pokojówka, niejaka Constance - wciąż zatrudniona w Doubletree w październiku poprzedniego roku - sprzątająca pokój ze zdwojoną - nie wiadomo dłaczego - czujnością. Minęło kilka następnych miesięcy, nim reszta członków zakonu zginęła w strzelaninie z przedstawicielami wszystkich znanych rodzajów służb federalnych w kryjówce organizacji w wiejskich rejonach stanu Waszyngton. Kryjówka spłonęła, podobnie jak ciała i połowa łupu...

Między nim a Mo rozgrywały się sceny - był pierwszym, który to przyznał: sceny w świetle poprzewracanych lamp--potworów. Po nich następowały przeprosiny, okraszone kosztownymi prezentami - w postaci chociażby nowej lampy, w każdym razie lepszej. Kochali się i w zasadzie nic nie stało na przeszkodzie ich miłości oprócz zwykłych nieporozumień. Navarro jednak zmęczył się, coraz częściej był nie-

obecny, a ona... no cóż, czy nie czekała wystarczająco długo, by stanąć na pewnym gruncie? Któregoś dnia zrozumiał, że nie pójdzie już z nim do łóżka. Kobiety na ogół...

Jenny miała dziś na sobie spodnie, naprawdę niezłe, z fioletowego materiału, który opinał ją i przylepiał się do niej, gdy się pochylała, i wyznaczał linię jej brzucha, gdy stała, pieścił jej uda, naciągał się na kolanach przy zakładaniu nogi na nogę. Odchyliła się w obrotowym krześle, wygięła w łuk i westchnęła.

Znał ją już ponad rok, ale tylko oficjalnie. Przyłapał ją na tym, że go przyłapała, gdy wpatrywał się w jej kształty, i pomyślał, że już dawno powinien był spróbować się z nią umówić, w każdym razie z pewnością powinien spróbować teraz, gdy miał zamiar zwolnić się z pracy. Na pewno.

- Wiesz o czym myślę?

Jenny spojrzała na niego.

- Tak. Wiem - powiedziała.

- Okay. I co ty na to?

- Z całą pewnością nie, John.

Przed minutą Navarro widział gdzieś pana młodego, który w tej chwili zniknął - być może w kuchni restauracji Cove.

Została panna młoda, cała w bieli; rozmawiała z kimś, gładząc włosy. Koronkowa i staromodna - jej suknia. Chyba z drugiej ręki, chociaż wcale nie nieelegancka. Czerwieniąc się i śmiejąc perliście, uniosła brzeg sukni, by wyczyścić okulary, potem opuściła ją ku reszcie fałd. Uśmiechała się, choć niekoniecznie do policjanta Navarro.

List czekał w krążowniku na miejscu dla pasażera, obok karabinu używanego do wystrzeliwania granatów z gazem łzawiącym i obok megafonu. List niczego nie mówił, a jednocześnie wyrażał wszystko. Tłumaczył wszystko o niczym.

Stał na środku parkingu, reklamując swą wielką władzę. Ktoś próbował mu podać kluczyki w przekonaniu, że jest tu za parkingowego.

- Ochrona - powiedział.

Panna młoda i pan młody dostaną rachunek za to święto. Ale co to dla nich! Winona była właścicielką posiadłości i domów, prawdopodobnie również ziemi, na której stały, tej restauracji i połowy Pacyfiku. Stała tu nie jako bogata wdów-

ka, ale bogata rozwódka. Nie można wierzyć wszystkim plotkom, ale mówiło się, że będzie jeszcze bogatsza w 1997 roku, kiedy dostanie pół miliona z polisy na życie. Navarro nie znał się na tym i nie miał pojęcia, czy będzie musiała opłacać składkę przez najbliższe sześć lat, dopóki prawnicy nie uznają Fairchilda za zmarłego.

Na wybrzeżu Mendocino wszyscy byli zapraszani na wszystko - Navarro dowiedział się przynajmniej tyle w okresie swojej służby tutaj. Wszystkie klasy i typy wpadały na siebie, ocierały się o siebie, radośnie mieszały ze sobą, ustawiały w kolejkach ciągnących się za aluminiowymi beczkami i przykrytymi papierem stołami. Restauracja serwowała sałatkę ziemniaczaną, dip czosnkowy i nie obrane jabłka i banany. Rzucali się na to jak dzicy, widać byli wygłodzeni na diecie z trawy. Której oszałamiający zapach niósł się teraz w powietrzu. Merton im powiedział: „W porządku, w samochodach na tyłach restauracji; inne, bardziej wonne substancje - zsyłka za kraty w Ukiah”. Czerwonooocy, zabawni kowboje, Indianie i Meksykanie. Mordercy drzew, świnio-bójcy, fani Grateful Dead, koniarze z Sea Ranch i wychudzeni neowieśniacy z wypalonych komun, bogaci uciekinierzy z branży rozrywkowej i mieszkańcy slumsów.

Przed chwilą widział prestidigitatora, który wyglądał zupełnie normalnie z włosami zczesanymi pod kołnierz beżowego garnituru.

Inni występowali w przebraniu: miał wokół siebie - z czego doskonale zdawał sobie sprawę - wiedźmy i demony, o jakich nie śniło się żadnemu dziecku, miłośników zła, którzy potrafiliby zamienić gliniarza w kupkę dziecięcego nieszczęścia. Wiedział o tym, ale przestał rozumieć, na czym polega zło. Tylko z rzadka trafiało ono do aresztu. Ludzie je lubili. Ludzkie serca były tylko jednym z jego domów. Co więcej? Jakież przeczucia, których nie potrafił ubrać w słowa. W Halloween jednak bawili się najzwyczajniej w świecie: latarnie z dyni, papierowe figurki, kostiumy, maski czarownic z kurczakami na nosach, włóczędzy - to znaczy mężczyźni wyglądający niemal tak, ja na co dzień, z wyjątkiem spodni przewiązanych sznurkiem - przerażające wilkołaki, prymitywni wojownicy, jedna kobieta udająca Nixona, Nixon bez stanika na wysokich obcasach, dalej maska prezydenta

Busha, Ronalda Reagana i tańczące dziewczęta w maskach z grubo nałożonego makijażu. Neli Taylor, dziewczyna, z którą raz się umówił, miejscowa dżezzorzystka i królowa aerobiku, wykonywała taniec siedmiu zasłon, podczas gdy ciemnoskóry, stateczny mężczyzna czarował ją jak węża, wygrywając egzotyczne melodie na klarnecie. Navarro pomyślał, że dobrze zrobi, umawiając się z nią po raz drugi.

Te i inne mniej lub bardziej oficjalne rozrywki odbywały się obok restauracji w wybudowanych do połowy motelowych pokojach, pełniących świetnie funkcję sceny. Ludzie tańczyli, przygrywała im orkiestra, składająca się przeważnie z miejscowych muzyków, z których część łatwo było rozpoznać jako upadłe gwiazdy. Navarro był pewien, że przynajmniej jeden z nich był od dawna martwy. Przynajmniej oficjalnie. Prestidigitator wskoczył do jednego z pokoi o trzech ścianach i stworzył swój wielokolorowy system planetarny. Potem uwolnił się od kaftana bezpieczeństwa i zaczął chodzić po szkle, ale jego gadkę zagłuszyła na szczęście muzyka. Navarro lubił rock and rolla, ale ci ludzie normalnie ze sobą nie grywali i grzmocili uporczywie standardy, w tym po raz trzeci lub czwarty kawałek *Louie, Louie*. Między piosenkami słychać było tylko śpiew i wodę: rozweselonych ludzi i odgłos małych, morskich fal.

Navarro uważał, że powinien trzymać się z boku i zachowywać czujność, lecz zamiast tego dawał się wciągać w głupie rozmowy i wypił dwa szybkie piwa za beczkami. Pomachał ręką do tańczącej dziewczyny, do Mo. Podniosła rękę i przemknęła wzdłuż krawędzi jego braku znaczenia jak drewniana figurka na karuzeli.

Mąż jednej pani, która prowadziła w Manchesterze sklep z żarciem dla zwierząt, zabił dziką świnię i wraz ze swymi braćmi wrzucił ją wczoraj do dołu wypełnionego kamieniami i rozpalonymi węglami, owinąwszy pierwej w łuski kukurydzianych kolb. Teraz trzech kosmaci mężczyźni wyciągnęli ją powoli nad ziemię na linach, rozebrali, a następnie rozdali na papierowych talerzach wszystkim, którzy jedli mięso, w tym również policjantowi Navarro. Wieprzowina odchodziła od kości wilgotnymi, parującymi kawałkami i smakowała jak dym. Tymczasem drwał, który wyglądał jak Paul Bunyan, ciągnął na linie saaba należącego do prestidigitatora.

Nie byłoby w tym może nic dziwnego, gdyby nie to, że trzymał linę w zębach. Najpierw jednak dwaj pomocnicy pchnęli lekko samochód, by wyrwać go z inercji, a potem domniemany Paul Bunyan ciągnął go po parkingu w burzy oklasków i wśród wrzasków zgromadzonych.

Ceremonia zaślubin odbywała się późnym popołudniem i była tylko jednym z wielu dziejących się w Cove wydarzeń. Navarro spodziewał się, że ujrzy Yvonne stojącą na kamieniu, błogosławiącą młodą parę, rozkładającą pokryte łuskami skrzydła, przesłaniającą słońce o zachodzie i spuszczać ją na młodych małżonków mrok. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Stanęli - wszyscy troje - na łasze piasku, z dala od sceny, na której leżały porozrzucane instrumenty i poniewierały się splątane kable. Yvonne zwróciła się twarzą ku młodej parze, jakaś mała, niemrawa, jakby nie była sobą. Wrażenie to nie wypływało z jej zachowania, ale raczej z sylwetki, a konkretnie z rąk. Opuściła szczupłe ramiona wzdłuż boków i odsunęła do tyłu, dłońmi skierowane naprzód, zupełnie jakby opierała się o jakiś nisko zawieszony reling: kciuki zaciśnięte i wygięte pod spodem, palce prostujące się w napięciu, lekko rozsunięte. Carl Van Ness, w długiej, sztywnej, niby-polinezyjskiej odświętnej bluzie, był znacznie wyższy od Yvonne, a Winona znacznie niższa. Zbyt wielu ludzi rozmawiało wokół i Navarro nie słyszał ślubów, jakie sobie składali. Yvonne wypowiadała słowa, a oni powtarzali je za nią. Wyglądało to jak kolejny niekonwencjonalny, północ - nokalifornijski sakrament - z wyjątkiem dziwnej pozycji rąk Yvonne. Tego jeszcze tutaj nie widziano. Wszystko trwało mniej więcej minutę.

Po odfajkowaniu ślubu atmosfera stała się jeszcze weselsza, może nawet nieco zbyt swobodna: nietańczący zaczęli nagle tańczyć, niegrający na instrumentach rozsiedli się z pochodzącą z łapanki orkiestrą, nieśpiewający śpiewali do mikrofonu - może nie tyle śpiewali, ile darli się co sił w płucach - wszyscy zaczęli wymieniać się maskami i gromadzić w falujący rytmem tłum pełen tancerzy o twarzach prezydentów, włóczęgów, czarownic.

Wilhelm Frankheimer tańczył o kulach - tak, tańczył! - jego długa głowa wystawała znad okolicznego motłochu; wykrzywił szczękę w grymasie, a może uśmiechu, tańcząc na

aluminiowych nogach z maleńką Melissą. Ci nie musieli się przebierać. Przyszli przebrani za siebie.

Inny wysoki gość, choć nie tak wysoki jak Frankheimer, zamiast tańczyć, zaczął szarpać żonę i Navarro musiał go arestować, zapraszając skinieniem głowy do wozu patrolowego i skuwając mu z tyłu rękę.

- Mam nadzieję, że nie zanieczyści pan wozu?
- Nie, nic mi nie jest. Przepraszam, jestem dupkiem.
- Proszę uważać na głowę.
- Jestem dupkiem!

Nagle szarpnął się do tyłu, a jego twarz załało bielmo wściekłości. Navarro uderzył go w czołko otwartą dłonią.

- Spokojnie, facet. Nie każ mi używać gazu.
- Okay. Przepraszam.
- Gaz jest zabroniony w Los Angeles, ale tutaj zupełnie legalny.

- To ona jest dupą! KURWA! - wrzasnął na całe gardło, a potem skurczył się jak niemowlę - w napadzie uległości - i wsiadł do klatki z tyłu auta.

Navarro - jak się miało okazać - po raz ostatni wyegzekwował prawo. Bo wkrótce rzucił pracę.

Do samochodu podeszła młoda dziewczyna, popatrzyła na rozrabiakę i zawołała:

- Zobaczcie, to Kenmore. Kenmore, co przeskrobałeś?
- Złamałem ich dziwne prawa - odrzekł.

Navarro zostawił Kenmore'a w krążowniku. Żeby skruszał. Przy okazji zabrał list i ukrył go pod służbową koszulą.

Tańczył w mundurze, udając, że to przebranie, choć jak przypuszczał - wszyscy go znali. Spadła mu czapka i ludzie zaczęli nią rzucać jak talerzem *frisbee*. Poczul, że popełnił błąd. Pot go oblał, ale czapka wróciła do niego, złapała i oddała mu ją tańcząca obok osoba, a wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Tłum rozstał się. Nadchodził pan młody, który stanął przed białą limuzyną, otworzył drzwi i czekał na małżonkę.

Gdy Winona żegnała się z groteskowymi przyjaciółmi, którzy całowali ją w policzek spod uniesionych masek, Navarro ruszył w jej stronę. Kiedy uwolniła się od znajomych, stanął na jej drodze, dotykając palcami koperty ukrytej pod koszulą.

- Przepraszam, czy jest pani morderczynią?

Zmieszła się, roześmiała, pojmując okoliczności, a pytanie zniknęło z jej oczu, z jej pamięci...

Odeszła.

Restauracyjna kuchnia była otwarta. Wszedł do środka i usiadł na stołku obok kotła z parującymi i obracającymi się wokół własnej osi ziemniakami. Parząca wilgoć powinna go stąd przepędzić na cztery wiatry, ale rozpaczliwie pragnął zniknąć na chwilę, zostać zapomniany. Pojawił się kucharz w białym fartuchu, skinał głową, naciągnął grube rękawice, podniósł wielki gar i poszedł z nim do zlewu.

Później weszła Yvonne z pustym półmiskiem w jednej i białymi kwiatami w drugiej dłoni. Nie przywitała się, tylko patrzyła na niego. Z bliska przekonał się, że zrobiła sobie makijaż na występ. Mimo to wyglądała na znękaną, zaszczuta, jakby wszyscy, których kochała, zdradzili ją. W jej oczach ukazały się łzy. Jej spojrzenie złagodniało na chwilę. I gdyby nie ten list...

- Czy ona do mnie wróci?
- Mo? Wiele razy, w wielu wcieleniach.
- A ty? Ty też.

Uniosła dłoń jak do pożegnania i uśmiechnęła się leciuteńko, następnie dotknęła palcami szyi.

- Moja żona - powiedział. - Moja piękna żona.

Yvonne odeszła. Także.

- Podejź no pan - zawołał kucharz, starszy człowiek. Wyglądał przez okno, wyraźnie rysował się jego ostry profil. - Widzi pan?

Fairchild odszedł. Mo odeszła, choć można było na nią popatrzeć. I mówiąc szczerze, on sam również odszedł. Jeszcze tylko nie wyjechał z miasta. Nagle wiedział już, że to zrobi. Przyjechał tu, żeby coś udowodnić, udowodnić coś sobie, a potem wyjechać: że nie jest właścicielem swojej samotności. Trzymał się jej tak jak miliony innych. Ale ona nie należała do niego, do nich, do nas. Była tu, zanim tu przyszliśmy.

- Jasna cholera - powiedział kucharz.

Navarro i kucharz, każdy przy swoim głębokim zlewie z nierdzewnej stali, spoglądali przez okno na człowieka stojącego samotnie na plaży, odchylającego głowę i wydmuchującego z ust ogniste kule. Był to prestidigitator, a scenę,

w której brał udział, oświetlały ostatnie myśli Navarro. Bo na dworze robiło się ciemno, gdy stał nad oceanem z wygiętą szyją, twarzą zwróconą ku mrocznemu niebu i chmurami płomieni wylatującymi z jego ust, do których przystawiał jakąś gałąź. Navarro i kucharz przypatrywali się temu dobrotliwie, bez reszty poddając się urokowi tajemnicy. Każdy ognisty podmuch zniknął natychmiast nad głową sztukmistrza. Który nie miał publiczności. Który sam sobie sprawiał przyjemność.

Navarro opuścił kuchnię i przeszedł przez gwar, by usiąść w samochodzie z Kenmore'em, który się nie odzywał. Będzie go musiał zabrać na posterunek, a Merton - odwieźć okręgową furgonetką do aresztu w Ukiah. Z tyłu, w klatce, było miejsce dla jeszcze jednego i Navarro pomyślał, że na niego poczeka. Może będzie nim Neli Taylor w siedmiu zasłonach.

Na tylnym siedzeniu Kenmore dyszał ciężko, co miało oznaczać gniew. We dwójkę obserwowali przyjęcie: więzień, pochylony na bok, ze skutymi z tyłu rękoma, i Navarro, łudzący się, że zupełnie bez powodu zgarnie kolejne prawie niewiniątko. Rozpiął koszulę i wyjął zza pasa list. Gdyby nie to, co trzymał w rękach...

- Idzie, idzie...

Pani Kenmore - lub jej prawny ekwiwalent - zmierzała w ich stronę w wysokim czepcu wiedźmy. Bez maski wyglądała na tyle lat, ile mógł mieć Kenmore: dobrze po trzydziestce. Byli razem zapewne od dawna.

- Nie wsadzi mnie do więzienia.

Navarro był podobnego zdania. Wysiadł z samochodu i wyszedł jej na spotkanie.

- Może pani jutro zgłosić się na posterunek w celu złożenia oficjalnej skargi.

- Czy... czy nie mógłby go pan wypuścić?

- Mogę wysłać go do domu. Pod warunkiem, że da mi pani słowo, że złoży jutro skargę. Nie mogę go więzić.

- Mogłabym z nim porozmawiać?

- Oczywiście. Ma pani na to resztę życia. Ale teraz... powiedziałbym: proszę dać sobie z tym spokój.

- Wie pan... Chyba nie trzeba go zamykać.

- Jutro także może pani zmienić zdanie.

Po powrocie do samochodu Navarro oznajmił więźniowi,

że jego żona przyjdzie jutro na posterunek z rozporządzeniem co do najbliższej przyszłości małżonka.

- Nie wsadzi mnie do więzienia!
- Mogę cię zawieźć do zakrętu i wypuścić.
- To chyba niezły plan...
- Ale jeśli wrócisz tu dzisiaj, o dowolnej porze, wyjmę broń i opróżnię magazynek. W ciebie. Czy wyrażam się jasno?

Kenmore wybałuszył oczy. Skalp przesunął mu się do tyłu, co wprawiło uszy w lekki ruch.

- Chryste! - powiedział. - Czy mam jakiś wybór?
- A jutro widzimy się na posterunku. Punktualnie o pierwszej.
- Nie ma sprawy! Nawet jak mnie pan zastrzeli!

Navarro jechał środkiem pustej doliny. Wszystkie przyczepy dawnego rybackiego miasteczka zostały usunięte, by zrobić miejsce pod budowę planowanych - według spiskowej teorii dziejów - lub tylko wymyślonych luksusowych hoteli. Przed zakrętem wypuścił Kenmore'a i obejrzał sobie jego odwrót, noszący cechy wystudiowanej nonszalancji: swobodne wymachy rąk, ruchy nadgarstków, lekki, sportowy krok.

Kilka minut później Navarro był już przy oczyszczalni ścieków i skręcił. Zaparkował samochód przy krzyżówce przed zakrętem, od nawietrznej basenów z gotującą się leniwie breją. W tym miejscu zapalając światła w kabinie, zniechęci do podróży pijanych kierowców wracających tędy do domu z przyjęcia. Podziała na nich otrzeźwiająco. I będzie mógł czytać.

Wiedział, że zostały mu tylko trzy końcowe strony, bo ostatnia była napisana krwią, a dwie wcześniejsze przylepiły się do niej. Na przedostatniej stronie znajdowało się tylko jedno słowo napisane atramentem:

Umieram

a na poprzedniej tylko krótki zapis:

Szukam Zagubionego Wybrzeża. Wpadłszy na tę chwilę, nie umiem się w niej znaleźć, nie umiem przejść przez wrota dolin odkrywających cząstki Pacyfiku jak gardła srebrzystych dziewczyn, nie umiem przejść jak przez tę rybacką knajpę z bursztynowymi oknami i zawieszonym nad nimi purpurowym neonowym martini i purpurową neonową rybą. Wycięcia dolin. Ich dekolty.

Wydawało mu się, że zdoła odczytać pierwsze napisane krwią słowa, ale reszta była zupełnie nieczytelna. Krew to nie atrament: wniknęła w mikroszczeliny między włóknami celulozy i rozlała się w kleksy; niektóre miały ogonki, tak że sprawiły, iż ostatnie słowa Nelsona Fairchilda przypominały nuty... piosenki, melodii, arii.

Może zawiezie je do jakiegoś muzyka. Może istotnie miał przed sobą jakąś kompozycję. Nie, raczej nigdzie tego nie zawiezie. Nie chciał się z tym rozstawać, oddawać komuś. Należało do niego. Mówiło jego językiem.

Navarro próbował spoglądać na stronę z różnych odległości, szukając choćby jednego słowa. Gdyby nie to, co trzymał w rękach, byłby zgubiony.



Od autora

Dzieło to nie jest moją kreacją. Winien jestem głęboką wdzięczność Billowi Knottowi, którego *Poeme Noir* stał się kanwą tej opowieści, i który w swojej niezwyklej uprzejmości pozwolił mi opracować tę opowieść na mój własny sposób.

Okolice, w których rozgrywa się akcja, niezupełnie wyglądają tak jak na mapie. Przesunąłem niektóre punkty orientacyjne i stworzyłem z niczego całe niewielkie regiony. Jeśli chodzi o zamieszkujących je ludzi, ich portrety nie są nierzeczywistymi portretami.

W niektórych fragmentach powieści dialogi zostały ubarwione cytatami z książki *A Course in Miracles* w sposób, który wypacza ich znaczenie. Każdy, kto chce lepiej zrozumieć pojęcia używane przez Yvonne, powinien sięgnąć po wspomniane opracowanie składające się z tekstu, ćwiczeń i podręcznika dla nauczycieli, dostępne w Foundation for Inner Peace, P.O. Box 635, Tiburon, CA 94920.

W Mocnej serii ukaze się:

Elizabeth George

Kto z was jest bez grzechu

W prehistorycznym kamiennym Kręgu Dziewięciu Sióstr policja znajduje dwa ciała: młodej kobiety i nastoletniego chłopca. Co łączyło ofiary okrutnej zbrodni? Kim naprawdę była Nicola Maiden? Jaką rolę w tragicznych wypadkach odegrał jej ojciec, były supertajniak Scotland Yardu?

Do ekipy policjantów prowadzących śledztwo w Derbyshire dołącza inspektor Thomas Lynley ze Scotland Yardu. Szybko odkryje, że stare mury Broughton Manor i gościnne progi Maiden Hall kryją niejedną bolesną tajemnicę. Gdy głęboko skrywane sekrety wyjdą na jaw, okaże się, że nikt nie jest bez grzechu, a my tak naprawdę nie znamy najbliższych nam osób...